
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

3284

HISTORYA DWÓCH LAT.

HISTORYA DWÓCH LAT.

1861 — 1862.

PRZEZ

Z. L. S.

CZĘŚĆ PIERWSZA.
Rok 1861.

TOM II.
Styczeń. — Maj.

W KRAKOWIE.
NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1893.

93/4381/9

29587/2

„U nas stronnictwa postępowego, stonnictwa ruchu nigdy nie zbrakło i nigdy go nie zbraknie, lecz brakowało zawsze tej siły, któraby umiała zorganizować stronnictwo porządku i umiarkowania".

(Z. Kaczkowski: *„Rewolucyjne sądy i wyroki"*.)

ROZDZIAŁ V.

Pięć ofiar.

Stan miasta. Raport urzędowy do cesarza. Aresztowanie Majewskiego. Zjazd delegatów uniwersyteckich. Powstanie tryumwiratu. Antoni Załuskowski w salach redutowych. Komitet Towarzystwa rolniczego. Pierwsze posiedzenie. Mowa Zamoyskiego. Konkluzya komitetu. Towarzystwo pod wpływem Tomasza Potockiego uchwala uwłaszczenie. Wieści o manifestacyi. Jełszyn i Paulucci. Balcer i środki ostrożności. Zebranie się ludu na polach grochowskich. Manifestacya na rynku Starego Miasta. Rada w Zamku i pobicie Trepowa. Wyruszenie procesyi z kościoła OO. Paulinów. Starcie z żandarmami. Pogłoski i rozwinięcie siły wojskowej. Żałoba. Telegram Gorczakowa do cesarza i ogłoszenie Trepowa. Postanowienie tryumwiratu. Inicyatywa mieszczaństwa warszawskiego w sprawie adresu. Wybory w cukierni Kontiego. Dzień 27 lutego. Nabożeństwo na Lesznie. Instrukcya namiestnika. Pochód procesyi. Zjawienie się jej na placu Zamkowym. Ataki Czernobrowa na tłum pod Bernardynami. Pogrzeb Łempickiego. Złamany krzyż. Wystąpienie piechoty Hartonga. Pojawienie się Zabołockiego. Towarzystwo rolnicze i Narzymski. Zabołocki rusza na wązkie Krakowskie Przedmieście. Strzały. Pięć ofiar i ich nazwiska. Zbieranie trupów przez lud i poszukiwanie dla nich pomieszczenia. Wzburzenie umysłów. Gorczakow wysyła Wiesielickiego i Semekę. Raport Zabołockiego. Deputacya u namiestnika. Wybór i wysłanie delegacyi. Delegaci i Gorczakow. Sześć punktów i usunięcie Trepowa. Redakcya adresu. Usiłowania Wielopolskiego. Podpisywanie adresu. Konstable narodowi. Korespondencya Gorczakowa z Petersburgiem. Oględziny sądowe ciał poległych. Patrole nocne i prowokatorzy. Wręczenie adresu. Popłoch w Zamku. Uroczysty pogrzeb poległych. Odezwy i wiersze. Okólnik o żałobie. Odezwa żydowska. Zakończenie.

Rok 1861 rozpoczynał się smutno. Karnawał, podczas którego niedawno jeszcze, w chwilach paskiewiczow-

skich podniet, szaleli nieomal wszyscy, teraz był cichy. Pod wpływem agitatorów, ich gróźb, listów bezimiennych, wybijania szyb, pańskie pałace i wykwintne salony warszawskie stały ciemne, opustoszałe i milczące. Maskarady, które co niedziela administracya teatrów urządzała w t. z. salach redutowych, sprowadzały zaledwie po kilkanaście osób; bale publiczne w resursie nie mogły zwabić nawet dziesięciu par tancerzy. W instytucie szlacheckim, gdzie co rok w karnawale, odbywały się bale, teraz na wyraźne oświadczenie młodzieży, że w zabawie udziału nie wezmą, musiano zwyczaju tego zaniechać. W atmosferze miasta unosiły się niezdrowe miazmaty, zapowiadające burzę blizką i straszną; powietrze było naelektryzowane i zdawało się, że tylko iskry trzeba, by pioruny zagrzmiały.

Władze rosyjskie w Warszawie, stronnictwo Kotzebuego i Paniutyna, widziało, że położenie poczyna być groźne, że materyały palne się gromadzą i że ze strony rządu nic takiego się nie robi, coby jakąkolwiek poważną kładło tamę wzbierającemu potokowi rewolucyi. Książę Gorczakow okazywał na każdym kroku brak stanowczości i brak programu w rządzeniu krajem. Gdy mu donoszono o jakiej nowej manifestacyi, o jakiej awanturze ulicznej z charakterem politycznym, unosił się gniewem, surowe wydawał polecenia, nakazywał śledztwa, aresztowania, by nazajutrz wpaść znowu w swą zwykłą niepewność i brak wszelkiej działalności. Nalegającym na niego dygnitarzom rosyjskim, by nie przerywał surowego postępowania, tłómaczył, że to jest niemożliwe, że duch czasu temu się sprzeciwia, że inna jest teraz niż dawniej epoka, epoka postępu i liberalizmu, że nie należy stawać sztorcem prądowi nowych idei, bo to nietylko państwu korzyści nie przyniesie, ale owszem narazić je może na poważne zawikłania. A przytem w głębi serca był on przekonany, że tak źle nie jest jak mu powiadają, jak stronnictwo despotyzmu wojskowego usiłuje rzeczy przedstawić. W sprawozdaniu, rok rocznie składanem cesarzowi o stanie kraju, za ubiegły 1860 r., wystylizowanem przez Muchanowa,

II 5-3

Gorczakow zapewniał, że „kraj z biegu rzeczy jest najzupełniej zadowolony, oprócz drobnej frakcyi szlachty podrzędnej, podbudzanej z zagranicy przez emigracyą“; przeciwny był stanowczo nadaniu Królestwu instytucyi reprezentacyjnych, gdyż „kraj sobie tego nie życzy i potrzeby nie czuje“; że z czasem będzie to można zrobić, ale dopiero wtedy, „kiedy stan włościan w Królestwie i Cesarstwie zrównoważony będzie, kiedy utworzenie w Cesarstwie hipotek, towarzystw kredytowych ziemskich i innych instytucyi publicznych, na wzór tych, jakie w Królestwie istnieją, całe państwo do przyjęcia i korzystania z jednostajnych instytucyj liberalnych prowincyonalnych zdolnem uczyni“.

Raport ten świadczy o głębokiej nieznajomości położenia, o umyślnem niejako oszukiwaniu siebie i rządu, oraz o tej zgubnej zasadzie, stale przez Muchanowa wyznawanej, że reformy w Polsce wtedy mogą być przeprowadzone, gdy je Rosya posiędzie. Gorczakow więc, choć widział niebezpieczeństwo, choć niekiedy ogarniała go trwoga przed widmem Polski, które zdawało się poruszać w swym grobowcu, sądził jednak, że niebezpieczeństwo to da się zażegnać przez użycie od czasu do czasu surowych środków i łudził się nadzieją, że sprawy pójdą dobrze i że kraj się uspokoi powoli.

Taka postawa naczelnika rządu miała jak najgorsze następstwa. Podwładna mu administracya i policya uważała za stosowne patrzeć na wszystko przez palce i jeśli kogo aresztowano, to chyba tylko wtedy, gdy już inaczej, bez wyraźnego okazania słabości władzy, postąpić nie można było. Jednakże Gorczakow od czasu do czasu zrywał się i w gniewie nakazywał, żeby raz położono koniec wszystkiemu, żeby wyśledzono kierowników spisku, który jak wulkan nowożytny kuł pociski i słychać było odgłos tego kucia w około.

Gdy takie rozkazy do policyi przychodziły, ta mimo całego swego niedołęztwa wiedząc nieomal o wszystkiem, co się działo w kołach agitatorów, rozpoczynała areszto-

wania, których ofiarą zwykle padali ludzie zajmujący drugorzędne stanowiska w agitacyi.

Ale nakoniec gdy się tych przebrało, gdy Gorczakow znowu wpadł w swój peryodyczny paroksyzm gniewu i energii, przyaresztowano w końcu Stycznia 1861 r. Karola Majewskiego i osadzono w cytadeli. Głównie przyczynił się do tego list Mierosławskiego, pisany do Majewskiego i znaleziony przy Narcyzie Jankowskim, w czasie przyaresztowania go w Szczakowy przez władze austryackie. Uwięzienie Majewskiego wstrząsnęło stronnictwem Czerwonych i resztkami Kapituły, która faktycznie nie istniała, ale mimo to, pozostali w Warszawie jej członkowie, wywierali pewien wpływ na bieg rzeczy. Zwłaszcza Majewski przez swoją zręczność i wymowę, zawsze zajmował wybitne, kierownicze stanowisko i przez swój spokój miał przewagę nad rozgorączkowanemi głowami Nowakowskich, Frankowskich i innych. Aresztowanie takiego człowieka, który był pewnym rodzajem cementu, spajającego rozmaite odcienia agitacyi, groziło ostatecznem rozpadnięciem i tak już słabo grawitujących ku sobie różnych żywiołów. Poczęto więc śród Czerwonych narzekać na bezczynność, dzięki której rząd wszystkich, jak owce może wyłapać i ubezwładnić. Oto, mówiono, do czego nas doprowadziły konszachty ze szlachcicami, „biała zaraza“, jaka się do nas wkradła. Na co my czekamy i czego się doczekamy? Gdyby nie Biali, nie ich zachcianki, olbrzymia manifestacya, „koncert nad koncertami“ dawno już by był zagrzmiał na ulicach Warszawy; rząd byłby ustąpił, dał co należy i Majewski nie jęczałby w cytadeli.

Słowa te znajdowały chętne ucho wśród rozgorączkowanej młodzieży. Wszyscy domagali się dalszego ciągu manifestacyi, tego „głośnego protestu przeciw najazdowi“. Żądania te wydawały się tem słuszniejsze, tem szerszy i ostrzejszy przybierały charakter, że właśnie w tę porę, w końcu Stycznia, w obec zbliżających się posiedzeń Towarzystwa rolniczego, a zatem konieczności powzięcia jakiejś stanowczej decyzyi co do programu dalszych działań,

zjechali do Warszawy, z inicyatywy studentów kijowskich, dość liczni delegaci różnych kół polskich i nie polskich po uniwersytetach rosyjskich. Przybyli wysłańcy nawet z Rygi, Charkowa i Kazania. Zwłaszcza delegaci uniwersytetu kijowskiego stawili się pod przewodnictwem Gustawa Wasilewskiego, Włodzimierza Lempke i Leonarda Sowińskiego, głośnego później poety, w znacznej liczbie, i odznaczali się ognistą, że tak powiemy, czerwonością swych przekonań. Chcieli oni, żeby Towarzystwo rolnicze podało adres do cesarza z prośbą o przywrócenie uniwersytetu polskiego w Wilnie i Kijowie, o zaprowadzenie szkół polskich na Litwie i Rusi, oraz różnych liberalnych instytucyi, których jednak bliżej nie określali. W tym celu delegaci porozumieli się najprzód z komitetem Towarzystwa rolniczego; odbyto nawet parę posiedzeń w hotelu Europejskim. Ale Komitet odrzekł chłodno, że podobny adres przechodzi jego atrybucye, radził młodzieży nie gorączkować się, gdyż potrzebne instytucye kraj może otrzymać na innej, spokojniejszej, a nadewszystko pewniejszej, niż manifestacye i adresa, drodze. Delegaci zlani w ten sposób zimną wodą przez Klemensowczyków, postanowili porozumieć się z kołami rewolucyjnemi warszawskiemi, ażeby działanie nabyło pewnej jedności i spólności, by jedni drugim pomagali. Tymczasem, właśnie gdy oni przybyli, nie było naprawdę z kim się porozumiewać w Warszawie. Tu, po rozbiciu Kapituły i po aresztowaniu Majewskiego, panował istotny chaos kół i kółek, żyjących osobno, działających na własną rękę i podejrzywających się wzajemnie. Jurgens ze swoimi Millenerami, z koteryą literacko-mieszczańską, która się zbierała u sławnej poetki Narcyzy Żmichowskiej, wywierającej niepospolity wpływ w tej epoce na umysły tych, którzy byli do niej zbliżeni, trawił się w bezczynności, czuł potrzebę działania i lękał się go, chciał zaprowadzić jakiś porządek, a nie miał sił i środków na wystąpienie stanowcze, na okiełznanie akademików, Marymontczyków, szkoły sztuk pięknych i mnóstwa innych stowarzyszeń, które roiły się na bruku war-

szawskim, wyprawiały awantury uliczne, manifestacye, wybijały szyby i t. p. Wszyscy ludzie rozumniejsi widzieli potrzebę zjednoczenia tych licznych ciał, ujęcia ich w karby wspólnego i obmyślanego z góry działania, przerwania, już teraz całkiem niepotrzebnych, drobnych demonstracyi i rozpoczęcia akcyi na wielką skalę, z wyraźnym celem zrobienia czegoś dla kraju. Zebranie walne Towarzystwa rolniczego było właśnie takim momentem, który można było i należało spożytkować.

Wśród tego wszystkiego Majewski po ośmiodniowem więzieniu w cytadeli, został z niej w początkach Lutego uwolniony. Czas już był wielki, bo policya poczynała się niepokoić zjazdem młodzieży uniwersyteckiej do Warszawy i Trepow wydawał rozkazy, by wyjeżdżali jak najprędzej, a nawet niektórych żandarmami wywoził ze stolicy. Przy pomocy osób trzecich, głównie Antoniego Porębskiego, późniejszego założyciela „Tygodnia“ w Piotrkowie, zdołano zetknąć ze sobą Jurgensa i Majewskiego, którzy dotąd mało się znali i dość krzywo na siebie patrzyli z powodu różnicy swych przekonań politycznych. Porozumienie między tymi dwoma ludźmi nastąpiło dość szybko. Postanowili oni połączyć się wzajem i przybrawszy jeszcze trzeciego, utworzyć komitet, tryumwirat, któryby opanował cały ruch i pokierował nim jak należy. Jurgens stojący, że tak powiemy, na czele koła inteligencyi warszawskiej, Majewski przodujący akademikom, Marymontczykom i szkole sztuk pięknych, przedstawiali w swych osobach działalność tych odłamów agitacyi. Szło jeszcze o owładnięcie młodzieżą szkolną, która stanowiła główny kontyngens, główne źródło drobnych manifestacyi ulicznych. W tym celu przybrali Władysława Gołemberskiego, nauczyciela gimnazyum, za pośrednictwem którego spodziewali się uzyskać wpływ na młodzież szkolną.

Tak ukonstytuowany tryumwirat postawił sobie przedewszystkiem pytanie: co robić należy? Jurgens domagał się zupełnego przerwania manifestacyi, których cel został już osiągnięty, duch w narodzie obudzony, i które teraz

całkiem są niepotrzebne. Majewski zgadzał się na to, ale utrzymywał pod wpływem delegatów uniwersyteckich, że w obec walnego zebrania Towarzystwa rolniczego należy urządzić jeszcze jedną wielką manifestacyą, któraby wciągnęła toż Towarzystwo do ruchu i zmusiła je do czynnej, politycznej działalności. Zresztą szło mu przedewszystkiem o to, by manifestacye dalej trwały i ruch rewolucyjny nie ustawał. Jurgens był temu stanowczo przeciwny. Uznając w zasadzie konieczność zmuszenia Towarzystwa rolniczego do akcyi politycznej, sądził jednak, że się to da uskutecznić bez manifestacyi ulicznych. Program swój teraz, obmyślany i wypracowany w długich rozprawach koteryi mieszczańskiej, stawiał on wyraźnie i jasno. Chciał on, by zgromadzona szlachta z jednej strony rozstrzygnęła kwestyą włościańską, z drugiej żeby podała petycyą do cesarza z żądaniem reform. Reformy te według niego zamykać się winny w ulepszeniu edukacyi publicznej na podstawach narodowych, w równouprawnieniu żydów, w organizacyi miast, w przekształtowaniu cechów rzemieślniczych, w nadaniu wolności stowarzyszania się w interesach ekonomicznych. Przeciw temu programowi Majewski właściwie nic nie miał, ale uparcie utrzymywał, że się to nie da zrobić bez wielkiej manifestacyi. Marzył on już o wtargnięciu ludu na miejsce posiedzeń Towarzystwa, o powtórzeniu się wspaniałej sceny z rewolucyi francuskiej, gdy motłoch paryski tłumnie wdzierał się do sali Konwencyi. Jurgens starszy, doświadczeńszy, rozumniejszy, opierał się temu stanowczo i wskutek tego rozstano się z niezadowoleniem wzajemnem i powstający tryumwirat w samym swoim zarodku rozpadł się prawie zupełnie.

Manifestacye więc trwały dalej i ani na chwilę nie ustawały. W instytucie szlacheckim młodzież, przyniesionymi pączkami obrzuciła portret cesarza, wiszący na ścianie w głównej sali. Podejrzanych o szpiegostwo dwóch kolegów: Drozdowicza, syna komisarza policyi i Żuczkowskiego, syna osławionego dozorcy więźniów politycznych w cytadeli, zbili niemiłosiernie i zmusili do opuszczenia

szkoły [1]). Nie było dnia, żeby która ze znaczniejszych osób w mieście nie odebrała listu bezimiennego, napełnionego przestrogami, pisanemi w stylu bombastycznym i groźnym, z dołączeniem niekiedy wyobrażenia szubienicy; żeby gdzieś na ulicy nie naklejono jakiej plakaty pełnej patryotycznych uniesień, słów pustych ale nadętych czułostkowym patosem, tak ulubionym przez ludzi tej epoki. Na Zamku przybito kartę z napisem: „Zamek od św. Jana do wynajęcia“, co nie było ani dowcipne, ani nowe. Innym razem po rogach ulic ukazało się ogłoszenie tej treści: „rewolucya z powodu ślizgawicy odłożona do Maja“. Na gmachu komisyi spraw wewnętrznych, gdzie mieszkał Muchanow, ktoś przylepił papier z napisem: „Muchanow złodziej na szubienicę“. Oficerów rosyjskich obrażano na ulicach, tłuczono szyby, śpiewano „Boże, coś Polskę“, odprawiano nabożeństwa z celem patryotycznym. W Styczniu odbyło się np. takie nabożeństwo z inicyatywy uczniów szkoły realnej w kościele OO. Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, za dusze trzech poetów: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, na którem odśpiewano hymny patryotyczne. Hymnów takich mnoży się teraz mnóstwo; przypominają sobie dawne, tworzą nowe, które w licznych odpisach ręcznych, lub odbitkach litografowanych kursują po mieście i kraju. Wszystko to było już, że tak powiemy, chlebem powszednim, przestawało być nowością i nie zwracało na siebie uwagi.

Głośniejszym się stał fakt, którego bohaterem był niejaki Antoni Załuskowski, syn obywatela ziemskiego. Zjawił on się w dniu 7 Lutego na maskaradzie, w salach redutowych, w gmachu teatru, przebrany za niewolnika z łańcuchami na rękach i nogach, przedstawiając niby Polskę, okutą przez wrogów. Widok takiej maski wywołał

[1]) Podejrzywali ich, że ulubionego przez uczniów guwernera instytutu, Andrzeja Sikorskiego, denuncyowali do władzy. Sikorski aresztowany dnia 16 Stycznia 1861 r. za to, że posiadał druki zakazane i korespondował z Mierosławskim. Spotkamy się z nim jeszcze później.

między zgromadzonymi powszechne poruszenie. Załuskowski zdołał jednak raz tylko przejść przez salę, został przyaresztowany przez policyą i odesłany do cytadeli.

Gdy się to wszystko działo, gdy bruk Warszawy i jej atmosfera coraz bardziej się rozpalała, szlachta powoli, po jednemu, po dwóch, poczęła się zjeżdżać do stolicy na walne posiedzenia Towarzystwa rolniczego. Wszyscy przybywali tu z poczuciem, że rozegrają się jakieś wielkie i ważne wypadki, że dla szlachty, dla Towarzystwa przypadnie w nich rola pierwszorzędna. Kwestya włościańska, która miała stanowić główny i jedyny nieomal przedmiot debatów walnego zebrania, która atoli w umysłach ogromnej większości szlachty poza oczynszowanie nie wychodziła, wobec opinii publicznej kraju, domagającej się uwłaszczenia, czyniła pozycyą Towarzystwa bardzo drażliwą i śliską. Gdy jednak zwolennicy oczynszowania znaleźli się w Warszawie, w jej atmosferze gorącej, wobec rozdrażnionej opinii powszechnej, poczęli wahać się w swych przekonaniach i ustępować; gdy wszystko w około nich drżało febrą rewolucyi, i oni tej febry doznawać zaczęli. Komitet jednak Towarzystwa, który przygotowywał przedmioty, mające wejść pod obrady walnego zabrania, złożony z szesnastu osób, samych Klemensowczyków, starał się zachować zimną krew i spokój. Zbierał on się na posiedzenia w mieszkaniu swego prezesa Andrzeja hr. Zamoyskiego i zgodnie ze swą dotychczasową działalnością starał się być nieprzystępnym dla wszelkich robót nielegalnych i zachcianek „ulicy“, jak się pogardliwie wyrażano o Czerwieńcach. Uważając się ciągle za „moralną reprezentacyą kraju“, Klemensowczycy z jednej strony stanowczo byli przeciwni uwłaszczeniu i zdecydowali na swych naradach nie wychodzić poza oczynszowanie; z drugiej nie brać żadnego ani pośredniego, ani bezpośredniego udziału w ruchu. Pozycya była niezmiernie ciężka i trudna do utrzymania, zwłaszcza z Towarzystwem tak licznem i z tak rozmaitych żywiołów złożonem, jakiem było rolnicze. Dla Komitetu pozycya ta jeszcze trudniejszą się stawała, że

był narażony na nieustanne ataki ze wszystkich stron. Tak dobrze zjeżdżający się do Warszawy członkowie Towarzystwa, na pół upojeni warem atmosfery stołecznej, jak i Czerwieńcy, Millenerzy, mieszczaństwo zresztą warszawskie, domagało się natarczywie, by Komitet wziął w akcyi inicyatywę, która mu, jak mickiewiczowskiemu podkomorzemu, „z wieku i urzędu się należy“. „Wasza postawa, wasze uparte zachowywanie się w granicach legalności, mówiono im, do niczego nie doprowadzi; nie powstrzymacie tem ruchu i gotujących się manifestacyi, które doprowadzić mogą do strasznych, nieobliczonych następstw, następstw może zgubnych dla kraju, bo ruchem kierują ludzie młodzi, niedoświadczeni. Czyż kierownictwo nie do was należy? czyż nie jesteście starszą bracią? moralną, jak sami się nazywacie, reprezentacyą kraju? Ogłoście uroczyście uwłaszczenie włościan, zredagujcie petycyą do cesarza, chwyćcie w swe ręce ster spraw krajowych, który może paść na ulicy wśród krwi i błota i dostać się w dłonie pierwszego lepszego Nowakowskiego, Frankowskiego, a przez nich w krwawe objęcia rewolucyi, w objęcia „zmartwychwstałego wodza Mierosławskiego“.

„Nie! odpowiadano; tą drogą z rządem rosyjskim do niczego się nie dojdzie, z rządem, który ma siłę w ręku i który nic prócz siły nie rozumie“. „Czuję Polskę w powietrzu“, wołał Zamoyski, ale do Polski tej nie dojdzie się przez manifestacye i przez awantury uliczne; one mogą tylko wszystko popsuć, zniszczyć tak mozolnie nawiązane nici odbudowania, zachwiać bytem Towarzystwa i kraju. Komitet i Zamoyski zaklinali, prosili, błagali członków zjeżdżających się do Warszawy, by nic nie robić, nie mięszać się do spisku, zachowywać się legalnie. W końcu, gdy to wszystko nie wiele pomagało, gdy wodze nieomal wyrywały się z rąk Klemensowczyków, ci postanowili przyspieszyć otwarcie ogólnego zebrania, rozpocząć narady dnia 21, zamiast 25 Lutego, jak było poprzednio postanowione i tym sposobem mieć do czynienia z mniejszą liczbą członków, wszelkie śmielsze projekty odkładać na

jutro i nawet w razie niebezpieszeństwa potajemnie się rozjechać. Zamiar przyspieszenia posiedzeń znalazł poparcie u tryumwiratu czerwonego, wprawdzie z całkiem innych względów. Wiedziano, że w Rosyi ukaz cesarski o usamowolnieniu włościan ma być wkrótce ogłoszony. Szło więc o to, by decyzyą o uwłaszczeniu chłopów w Królestwie przyśpieszyć i tym sposobem uprzedzić akt rosyjski, pokazać światu, że Polska nie poszła za przykładem Rosyi, nie była przez tę ostatnią zmuszona do wielkiej reformy społecznej, ale wykonała ją sama, z własnej woli, z poczucia potrzeby zagojenia ostatecznego rany socyalnej. Dla tego więc tryumwirat popierał gorąco projekt Komitetu Towarzystwa i domagał się jego wykonania.

Wśród takich to warunków, istotnie d. 21 Lutego, a więc wcześniej o cztery dni niż ogłoszono poprzednio, rozpoczęło się zebranie walne Towarzystwa rolniczego, we wspaniałej sali pałacu niegdyś Radziwiłłowskiego, powszechnie zwanego namiestnikowskim. Osób zebrało się tylko 789, a więc zaledwie trzecia część członków Towarzystwa. Wielu zjawiało się, zwłaszcza młodzi, w czamarkach, konfederatkach i butach wysokich, manifestując tym sposobem swe czerwone, patryotyczne uczucia i sympatyą ku ruchowi. Wśród szlachty, dumnych i okazałych postaci, zasiadło także kilku chłopów, wybranych niedawno na członków Towarzystwa, starców o wyglądzie patryarchalnym, którzy jednak w tem zgromadzeniu licznem i pańskiem, nie czuli się na miejscu. Między nimi zwracał na siebie uwagę, niejaki Długoszek z Suchowoli (w powiecie Radzyńskim, dobra jenerałowej Kickiej), który w kilka tygodni potem miał się stać głośnym w całym kraju przez swoje „Pismo do chłopów“. Zjawił się i Muchanow, który ze swą wiekuistą nieufnością do Towarzystwa, nie opuścił ani jednego posiedzenia i baczną zwracał uwagę na wszystko co tu mówiono. Zasiadł w fotelu wśród członków niedaleko mównicy, i twarz jego blada, jakby nalana, wejrzenie zimne i ponure dziwnie odbijało od otwartych, wąsatych twarzy szlacheckich. Znalazło się tu także wielu

członków kółek rewolucyjnych, którzy pod rozmaitymi pozorami brali udział w posiedzeniach dla tego, by kontrolować czynności Towarzystwa, popychać je w razie potrzeby ku pożądanej decyzyi, grozić lub przeszkadzać tym, którzyby śmieli oponować.

Komitet wiedział o tem, jak również i o tem, że wśród zebranych znajdują się głowy zapalone, zwolennicy czerwieńców i radykalnych przewrotów społecznych; ponieważ oni jednak byli w mniejszości, sądził, że potrafi sobie z nimi dać radę i w razie potrzeby okiełznać; liczył na to, że inna jest rzecz prawić szumnobrzmiące słowa wobec mieszczuchów, a inna wotować za uwłaszczeniem, gdy to trzeba przypłacić własną kieszenią. Komitetowi było wiadomem, że oczynszowanie szło nader opornie, że w ciągu zeszłego roku mało zawarto odnośnych układów. Sytuacya więc nie wydawała mu się zbyt groźną; powaga, spokój, atmosfera legalności przenikająca salę zebrania, mówiono sobie, ochłodzi najgorętsze nawet głowy. Ważność jednak chwili, przyspieszone tętno pulsu narodowego, odbiło się i na mowie prezesa Andrzeja hr. Zamoyskiego, jaką powitał zebranych. „Nikt więcej od nas, mówił, nie czuje ważności naszego posłannictwa, zwłaszcza przy obecnej sprawie oczynszowania włościan; obojętne z naszej strony postąpienie, lekceważenie obowiązków, byłoby nie pojęciem stanowiska obywatelskiego w naszym kraju“. Odwołał się do odwagi i wytrwałości zgromadzonych, „bo powątpiewanie, wahanie się, zrażenie, biorą czasem niektórzy za niepodobieństwo wykonania, za niemoc“. Utrzymywał, że dla dusz podniosłych heroizm jest istotnem szczęściem, jest obowiązkiem; nazywał potrzebę załatwienia kwestyi włościańskiej heroizmem dla tego, że bez ofiar się nie obejdzie i że pomimo tych ofiar sama kwestya powinna być jednomyślnie rozstrzygniętą. Chciał, by stosunki między dworem i chatą były przyjazne, że należy wyjaśniać chłopu istotne jego korzyści, chronić go przez to od zgubnego wpływu „rozbudzonych w nim zachceń“; że jednomyślność doda nowego blasku Towarzystwu, że „dziś

przedstawia ono kraj“, że na niem leży ciężka odpowiedzialność, że mimo to „ono dojrzało do tego“.

Mowa ta świadczyła wyraźnie, że w zakresie najważniejszej kwestyi tej chwili, w kwestyi włościańskiej, Komitet Towarzystwa ze swym prezesem na czele, chce utrzymać obrady wyłącznie na polu oczynszowania, w ten lub inny sposób przeprowadzonego, i że w ogóle nie przypuszcza możliwości innego załatwienia tej sprawy. Jakoż nie inaczej było. Zaraz na pierwszem posiedzeniu, Komitet głosował za oczynszowaniem, a następnie skupem czynszów, i w konkluzyach swoich zaproponował przez usta Franciszka Węglińskiego: „aby przez właściwie obmyślaną operacyą kredytową skup czynszu na celu mającą, włościanie, po ich oczynszowaniu, doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów“. Że takie rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej z wielu względów było rozumnem choć chłodnem, to nie ulega wątpliwości. Wprawdzie odkładało ono na długie lata ostateczne i stanowcze jej uregulowanie, gdyż przedewszystkiem trzeba było chłopów oczynszować, co przy złym stanie ekonomicznym szlachty szło bardzo wolno i musiałoby iść powoli, a następnie dopiero czynsze skupywać. Mogło to trwać kilka lat a mogło i kilkanaście, dając rządowi sposobność w razie potrzeby wmięszania się w tę sprawę i załatwienia jej po swojemu i na swoją wyłączną korzyść, do czego byłby niejako uprawnionym już przez to samo, że u siebie, w Rosyi chłopów usamowolnił, dokonał olbrzymiej i stanowczej reformy. Klemensowczycy jednak sądzili, że przez swoje zachowanie się spokojne i postawę legalną, nie dadzą nigdy rządowi takiej sposobności, a tymczasem kraju, stojącego źle pod względem materyalnym, nie zrujnują ekonomicznie i chłopa zyskają na swoją stronę. Był to błąd. W czasach tak gorących, wśród zrywającej się już burzy, której owładnąć nie mogli i nie chcieli, mniemając, że ona nie ma zarodków trwałości, którą gardzili wreszcie, przez takie rozstrzygnięcie najważniejszej kwestyi społecznej, oburzali przeciw sobie opinią kraju, a tym sposobem pozbawiali się możności od-

działywania na nią, sami wytrącali sobie z ręki jedyną broń, którą mogli odeprzeć ataki rewolucyi, wysuwali z pod nóg podstawę do akcyi. Towarzystwo, te, według Mierosławskiego „głupie pszczoły, zbierające miód dla cara bartnika“, od niejakiego czasu, dzięki podszeptom Czerwieńców, nie cieszyło się u młodzieży, u sfer rzemieślniczych, mieszczańskich i urzędniczych w kraju, zbyt wielką sympatyą; teraz mogło ją postradać zupełnie.

Na szczęście dobrą opinią Towarzystwa i w ogólności szlachty polskiej, ocalił Tomasz hr. Potocki, Dyonizy Skarzyński i kilku innych (Barski, Mittelszted, Kurtz, Gruszecki, Kłobukowski), którzy czuli potrzebę załatwienia kwestyi włościańskiej odrazu, za jednym zamachem, tak, żeby już nikt później, ani Czerwoni ani Moskale, nie potrzebowali do niej wracać, kuć z niej miecza na kark całego narodu i przyszłości polskiej; którzy zresztą rozumieli znaczenie i doniosłość chwili obecnej. U Potockiego, co wieczór prawie, zgromadzali się ci z pomiędzy członków Towarzystwa, którzy chcieli uwłaszczenia, oraz wybitniejsi przedstawiciele mieszczaństwa warszawskiego. Naradzano się wspólnie, co czynić, jak występować na sesyach, jak się wzajemnie popierać.

Gdy więc Komitet wystąpił ze swym projektem oczynszowania a potem skupu czynszów, niektórzy członkowie pod wpływem wyżej wymienionych osób, wystąpili przeciw temu, uznając projekt Komitetu za niedostateczny i z wielu względów nieodpowiedni położeniu. Z początku domagano się przystąpienia odrazu do skupu nie czekając na oczynszowanie, następnie pominięto oczynszowanie i okup, a żądano przyznania chłopom własności posiadanych gruntów za odpowiedniem wynagrodzeniem, czyli chciano wprost uwłaszczenia. Jaką drogą miało to być przeprowadzonem, mówcy nie powiadali; sposobu, w jaki miano oznaczyć to wynagrodzenie, nikt jasno i wyraźnie nie sformułował, ale myśl uwłaszczenia ze wszystkich przemówień występowała wyraźnie i stanowczo. Dopiero Tomasz Potocki na czwartem posiedzeniu sekcyi ogólnej,

dnia 24 Lutego, określił tę kwestyą bliżej. Uznając postanowienie uwłaszczenia jako fakt wielkiej doniosłości, uczynił wniosek: „dla uświetnienia tak radykalnego przeistoczenia warunków ekonomiczno-społecznych kraju“, ażeby zebranie uchwaliło, by czynszów już istniejących, oraz tych, które powstać mają, nie kapitalizować na 5, tylko na 6 procent, t. j. ażeby mnożyć nie przez 20, lecz przez $16^2/_3$. Tym sposobem właściciel ziemski czynił ofiarę ze swego mienia, jeżeli to ofiarą nazwać się godzi, bo odstępował na rzecz uwłaszczonych $^1/_6$ części wartości szacunkowej, oddanego im na własność gruntu. Wniosek ten jednomyślnie przyjęto, i musiano go przyjąć pod presyą, jaką wywierali na zgromadzonych rozrzuceni po sali agitatorzy i opinia publiczna. Tej opinii ogół szlachty tak się począł lękać, że nikt nie śmiał protestować głośno przeciw powyższym wnioskom, choć w duszy ogromna większość przeciwną była uwłaszczeniu. Znalazł się tylko jeden człowiek z rzadką odwagą cywilną, niejaki Waleński, dziedzic Iwanowic w Krakowskiem, który gdy przyszło do głosowania, sam jeden podniósł rękę, w charakterystyczny kułak ściśniętą, dając tem poznać, że wnioskowi stanowczo jest przeciwny. Ale już takich protestów dziś niesłuchano i słusznie zresztą.

Komitet z Zamoyskim, naprawdę przerażeni byli tym ruchem, jak mówili, rewolucyjnym, objawiającym się wśród stowarzyszonych. Widzieli oni w tem wpływ tej gorączki szalonej, która drżała w atmosferze miasta; lękali się, aby ona nie zawładnęła Towarzystwem i nie zepchnęła go z drogi ściśle legalnej, po jakiej szło dotąd; aby nie odstąpiło od ścisłego zakresu obrad, do których w przeszłym roku upoważnionem przez rząd zostało i nie wkroczyło w sferę prawodawczą, nie zmieniło się w parlament, w sejm. Zamoyski wołał: „że wielkie zadania ludzkości sam Bóg stawia“; z tonem wzruszającego smutku zaklinał w swym nieco francuzczyzną zaprawionym języku: „pamiętajmy, abyśmy nic takiego nie popełnili, przez co byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi“. Komitet gorliwie popierał swego

prezesa, starał się hamować „zbyt śmiałe, jak mówiono, zapędy“; doradzał nie przesądzać stanowczo kwestyi, w jaki sposób skup czynszów ma być urządzony, zostawiając rozstrzygnięcie tej sprawy spokojniejszej rozwadze. Po długich i gorących, choć nigdy z granic umiarkowania nie wychodzących debatach, dnia 27 Lutego, t. j. w chwili, gdy na ulicach Warszawy rozgrywały się pierwsze sceny krwawego dramatu, konkluzya Komitetu została przyjęta, z tym dodatkiem przez Tomasza Potockiego zaproponowanym: „aby wybraną została delegacya, z dziesięciu członków złożona, któraby na podstawie skapitalizowania czynszów w stosunku sta do sześciu, bezzwłocznie zajęła się ułożeniem stosownego projektu i dalszem jego poparciem“. Słowo: „uwłaszczenie“, nie zostało wymówione, ale projekt dzielnego obrońcy interesów chłopskich, Potockiego, faktycznie niczem innem nie był jak uwłaszczeniem. Usunąwszy na bok długą, leniwie wlokącą się procedurę dobrowolnego oczynszowania a następnie skupu czynszów, żądał on natychmiastowego skapitalizowania czynszów i oddania chłopom roli. Jakkolwiek postanowienie to nie było po myśli Zamoyskiego, jednakże uległ większości opinii Towarzystwa, jak to zawsze zwykł był czynić, ilekroć jego zdanie nie zgadzało się ze zdaniem ogółu lub większości. Wybrano więc delegacyą, która miała się zająć obmyśleniem środków i ułożeniem projektu instytucyi kredytowej, mającej na celu uwłaszczenie. Projekt ten miał być przedstawiony rządowi [1]).

Muchanow, który ani jednego posiedzenia nie opuścił i pilną na wszystko zwracał uwagę, przestraszył się tą decyzyą, nie ze względu, by uważał ją w ogólności za szkodliwą dla interesów państwa, ale dla tego, że ona uprzedzała zamierzoną reformę włościańską w Rosyi, a jak

[1]) Do delegacyi tej, która zresztą pozostała płodem poronionym, weszli: Tomasz Potocki, Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, August Cieszkowski, Wojciech Węgliński, Aleksander Bryndza, Klemens Krzyżtoporski, Antoni Wrotnowski i Leopold Kronenberg.

wiemy, według jego zasady Królestwo w niczem nie powinno uprzedzać cesarstwa. Dlatego też, gdy d. 27 Lutego Towarzystwo przyjęło wniosek Potockiego, w nocy trzykrotnie i nagląco telegrafował do Petersburga, by tam przyspieszono ogłoszenie gotowego już ukazu o usamowolnieniu chłopów. Tym to naleganiom i tym powodom przypisać, zdaje się, należy tę okoliczność, że ukaz rzeczony opublikowany został dnia 2 Marca, to jest znacznie wcześniej, niż pierwotnie zamierzano. Polska, jak to ciągle odtąd miało się powtarzać w tych czasach nieszczęsnych, robiła wielką przysługę Rosyi i oddziaływała na nią i jej losy w sposób niezmiernej doniosłości.

Obok kwestyi włościańskiej, członkowie Towarzystwa rolniczego bardzo żywo rozbierali między sobą sprawę adresu, którego jak wiemy wszyscy od nich się domagali tak dobrze Czerwieńcy, jak i Millenerzy. Celem przeprowadzenia w tym względzie należytej dyskusyi, rozdzielili się rzeczeni członkowie Towarzystwa na ośm kół wojewódzkich, po większej części obradujących w hotelu Europejskim. Rozprawy były gorące i większość oświadczała się za podaniem adresu, do czego zapewne przyczyniał się nacisk ze strony miasta. Zastrzegano się jednak powszechnie, że w dokumencie tym nie można i nie należy odwoływać się do kongresu wiedeńskiego i do konstytucyi 1815 r., gdyż jak mówiono w ten sposób dawanoby niejako sankcyą rozbiorowi Polski, kłamanoby wobec pragnień polskich, które nie chcą kompromisu z Rosyą, ale niepodległości zupełnej i granic historycznych. Co do tego jednomyślność zdań była uderzająca i świadcząca wyraźnie, że wszelkie odwoływanie się do rządu, miało tylko znaczenie chwilowego załatwienia oporu.

Z drugiej strony jednak powiadając, czego adres nie ma poruszać, nie mówiono wcale, co w sobie zawierać winien i czego żądać. W obec tego we wszystkich kołach wojewódzkich zapadła uchwała, ażeby odnieść się do Komitetu Towarzystwa z wnioskiem, iżby tenże Komitet przyzwawszy osobistości wybitniejsze w kraju, wspólnie z niemi

prezesa, starał się hamować „zbyt śmiałe, jak mówiono, zapędy“; doradzał nie przesądzać stanowczo kwestyi, w jaki sposób skup czynszów ma być urządzony, zostawiając rozstrzygnięcie tej sprawy spokojniejszej rozwadze. Po długich i gorących, choć nigdy z granic umiarkowania nie wychodzących debatach, dnia 27 Lutego, t. j. w chwili, gdy na ulicach Warszawy rozgrywały się pierwsze sceny krwawego dramatu, konkluzya Komitetu została przyjęta, z tym dodatkiem przez Tomasza Potockiego zaproponowanym: „aby wybraną została delegacya, z dziesięciu członków złożona, któraby na podstawie skapitalizowania czynszów w stosunku sta do sześciu, bezzwłocznie zajęła się ułożeniem stosownego projektu i dalszem jego poparciem“. Słowo: „uwłaszczenie“, nie zostało wymówione, ale projekt dzielnego obrońcy interesów chłopskich, Potockiego, faktycznie niczem innem nie był jak uwłaszczeniem. Usunąwszy na bok długą, leniwie wlokącą się procedurę dobrowolnego oczynszowania a następnie skupu czynszów, żądał on natychmiastowego skapitalizowania czynszów i oddania chłopom roli. Jakkolwiek postanowienie to nie było po myśli Zamoyskiego, jednakże uległ większości opinii Towarzystwa, jak to zawsze zwykł był czynić, ilekroć jego zdanie nie zgadzało się ze zdaniem ogółu lub większości. Wybrano więc delegacyą, która miała się zająć obmyśleniem środków i ułożeniem projektu instytucyi kredytowej, mającej na celu uwłaszczenie. Projekt ten miał być przedstawiony rządowi [1]).

Muchanow, który ani jednego posiedzenia nie opuścił i pilną na wszystko zwracał uwagę, przestraszył się tą decyzyą, nie ze względu, by uważał ją w ogólności za szkodliwą dla interesów państwa, ale dla tego, że ona uprzedzała zamierzoną reformę włościańską w Rosyi, a jak

[1]) Do delegacyi tej, która zresztą pozostała płodem poronionym, weszli: Tomasz Potocki, Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, August Cieszkowski, Wojciech Węgliński, Aleksander Bryndza, Klemens Krzyżtoporski, Antoni Wrotnowski i Leopold Kronenberg.

wiemy, według jego zasady Królestwo w niczem nie powinno uprzedzać cesarstwa. Dlatego też, gdy d. 27 Lutego Towarzystwo przyjęło wniosek Potockiego, w nocy trzykrotnie i nagląco telegrafował do Petersburga, by tam przyspieszono ogłoszenie gotowego już ukazu o usamowolnieniu chłopów. Tym to naleganiom i tym powodom przypisać, zdaje się, należy tę okoliczność, że ukaz rzeczony opublikowany został dnia 2 Marca, to jest znacznie wcześniej, niż pierwotnie zamierzano. Polska, jak to ciągle odtąd miało się powtarzać w tych czasach nieszczęsnych, robiła wielką przysługę Rosyi i oddziaływała na nią i jej losy w sposób niezmiernej doniosłości.

Obok kwestyi włościańskiej, członkowie Towarzystwa rolniczego bardzo żywo rozbierali między sobą sprawę adresu, którego jak wiemy wszyscy od nich się domagali tak dobrze Czerwieńcy, jak i Millenerzy. Celem przeprowadzenia w tym względzie należytej dyskusyi, rozdzielili się rzeczeni członkowie Towarzystwa na ośm kół wojewódzkich, po większej części obradujących w hotelu Europejskim. Rozprawy były gorące i większość oświadczała się za podaniem adresu, do czego zapewne przyczyniał się nacisk ze strony miasta. Zastrzegano się jednak powszechnie, że w dokumencie tym nie można i nie należy odwoływać się do kongresu wiedeńskiego i do konstytucyi 1815 r., gdyż jak mówiono w ten sposób dawanoby niejako sankcyą rozbiorowi Polski, kłamanoby wobec pragnień polskich, które nie chcą kompromisu z Rosyą, ale niepodległości zupełnej i granic historycznych. Co do tego jednomyślność zdań była uderzająca i świadcząca wyraźnie, że wszelkie odwoływanie się do rządu, miało tylko znaczenie chwilowego załatwienia oporu.

Z drugiej strony jednak powiadając, czego adres nie ma poruszać, nie mówiono wcale, co w sobie zawierać winien i czego żądać. W obec tego we wszystkich kołach wojewódzkich zapadła uchwała, ażeby odnieść się do Komitetu Towarzystwa z wnioskiem, iżby tenże Komitet przyzwawszy osobistości wybitniejsze w kraju, wspólnie z niemi

zdecydował co adres ma wyrażać; żeby pod tak przygotowany adres zajął się zbieraniem podpisów i żeby sam adres podał Andrzej Zamoyski, jako prezes Towarzystwa. Z powyższymi wnioskami delegowani kół wojewódzkich udali się dnia 24 Lutego zrana wprost do pana Andrzeja.

Pan Andrzej przyjął tę propozycyą dość kwaśno. Nie wdając się w żadne rozmowy z delegatami, oświadczył im, że tego rodzaju akt, mogący mieć następstwa niezmiernej doniosłości dla kraju, musi być wprzódy poddany dyskusyi wyczerpującej; że w tym celu zwoła dziś wieczór Komitet na posiedzenie nadzwyczajne, na które zaprosi także obywateli wybitniejszych z każdego województwa i o rezultacie tych narad jutro rano delegatów uwiadomi. W gruncie rzeczy Zamoyski, jak już wiemy, był przeciwnikiem podawania adresu, głośno się w dniu tym do swych bliskich odzywał, że adres będzie miał następstwa jak najgorsze, że w razie gdyby na dzisiejszem posiedzeniu wieczornem większość głosów wypadła za podaniem adresu, to on, Zamoyski, bez względu na treść żądań, jakieby w tym akcie zawarto, od wszelkiego działania się usunie, a do adresu ręki swej nie przyłoży.

Skoro więc wieczorem, wezwani panowie na naradę się zebrali w liczbie przeszło 30 osób, stanowiących samo czoło szlachty, zawiązała się żwawa i pod wielu względami wyczerpująca dyskusya. Nie bez przeważnego wpływu Zamoyskiego, zdecydowano ostatecznie, by adresu nie podawać. Decyzyą tę, udzieloną przez pana Andrzeja nazajutrz rano członkom Towarzystwa, ciż, dzięki karności i solidarności, jaką zgromadzenie to umiało w sobie wytworzyć, przyjęli w milczeniu, jako rzecz raz na zawsze rozstrzygniętą.

Gdy tak szlachta odrzucała myśl adresu, gdy z pewnem wahaniem i lękliwością uchwalała uwłaszczenie, gdy wśród dyskusyi gorących, nieraz gorzkich, z wyraźnym bólem płacić zamierzała ciężki dług, zaciągnięty przez przodków na hipotekę sumienia narodowego, Warszawa tymczasem kipiała, ziemia pod nią drżała. Czerwieńcy go-

towali się do nowej, wielkiej, majestatycznej, jak mówili, manifestacyi, do „koncertu nad koncertami“. Od kilku dni o tem tylko mówiono w całem mieście. Napróżno Millenerzy zabiegali, prosili, tłomaczyli; na nic się to wszystko nie zdało w obec gorączki szalonej, owładającej młodzieżą. Gdy już wszelkie perswazye nic nie pomogły, postanowiono wystąpić z odezwą publiczną, odwołującą się do zdrowego rozsądku narodu. Redakcyą tej odezwy powierzono Jurgensowi. Ale ten, jak wszystkie umysły refleksyjne, jak większość ludzi tej epoki, wyrosłych pod uciskiem Paskiewicza, chorował na niemoc czynu, wahał się w obec tysiąca wątpliwości, które w jego głowie powstawały. Pomimo nalegań, pomimo tego, że przyrzekł, odezwy tej nie napisał i zostawił swobodne pole agitatorom, którzy przygotowywali się do manifestacyi z energią niepowstrzymaną.

Zbliżał się właśnie dzień 25 Lutego, rocznica bitwy Grochowskiej, z której to sposobności Czerwieńcy postanowili skorzystać i lud warszawski jeszcze raz wprowadzić w ruch rewolucyjny. Dla niewtajemniczonych miał to być tylko obchód uroczysty bolesnego choć heroicznego wspomnienia, w gruncie jednak rzeczy, zamierzali Czerwoni zgromadzić się na Starem Mieście i tłumnie wyruszyć ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie Towarzystwo rolnicze odbywało swe posiedzenia, wciągnąć je w manifestacyą, porwać ze sobą niejako i pójść na pola grochowskie i tym sposobem nadać ruchowi cechę wszechnarodową. Towarzystwo raz wciągnięte w ruch, musiałoby robić coby ten ruch chciał; protestowałoby przeciw uciskowi i pisałoby petycye do cesarza z żądaniem praw politycznych i zupełnej autonomii dla Polski. Manifestacye „smarkaczy“, uliczne awantury, zmieniałyby się odrazu w poważny protest narodowy. O tem wszystkiem zresztą rozprawiano nieraz szeroko i długo na wieczornych posiedzeniach u Tomasza hr. Potockiego, a Majewski usilnie starał się przekonać obecnych tam członków Towarzystwa, że krok ten Czerwieńców jest dobry i zbawienny.

O gotującej się więc manifestacyi wiedzieli wszyscy, wszędzie o niej mówiono. Zamiary agitatorów wciągnięcia Towarzystwa rolniczego w ruch rewolucyjny, zaniepokoiły mocno Zamoyskiego, Klemensowczyków i w ogóle całe Towarzystwo, które lękać się mogło i słusznie, by przez to byt jego zachwiany nie został, i w cichości rozmyślano i naradzano się, coby uczynić należało. Było to tem trudniejsze, że rząd zachowywał swą zwykłą, obojętną postawę i na razie nie przedsiębrał żadnych środków zapobieżenia manifestacyi. Dziwiło to wszystkich, gdyż nie można było przypuszczać, by policya nie wiedziała o tem. o czem całe miasto mówiło. Jakoż, Jełszyn, naczelnik trzeciego okręgu żandarmskiego, doniósł namiestnikowi, że Polacy coś zamierzają zrobić w dniu 25 Lutego; ale co? dokładnie nie wiedział. Gorczakow oczywiście wezwał do siebie naczelnika tajnej policyi, którym był margrabia Paulucci, Włoch rodem, wychowaniec uniwersytetu modeńskiego, przejęty na wskróś ideami liberalnemi czasu, wielki zwolennik Garibaldiego, uważający domagania polskie za zupełnie słuszne i sprawiedliwe, i w cichości życzący Polakom powodzenia. Artysta w duszy, zamiłowany zbieracz starych mebli, bronzów, obrazów i kwiatów, na wszystko co się w mieście działo patrzał udając, że nie widzi, i niczemu właściwie nie przeszkadzał i nie chciał przeszkadzać; jeden z tych drobnych czynników, których tak wiele było w tej tragicznej epoce, a które przy najlepszych chęciach dla kraju, popychały go w przepaść zatracenia. Gdy więc namiestnik zapytał Paulucciego, czy to prawda co Jełszyn donosi, naczelnik policyi tajnej zaprzeczył temu jak najuroczyściej i twierdził, że wszystko jest dobrze i że dnia 25 Lutego nic nie będzie. Gorczakow zły, jak zwykle gdy go niepokojono, skrzyczał mocno Jełszyna, tak że ten o mało nie podał się do dymisyi [1]).

Mimo to jednak, uparcie powtarzające się pogłoski

[1]) Relacyą tę powtarzamy za Bergiem (Zapiski, 180) i na jego odpowiedzialność.

o manifestacyi, mającej się odbyć w d. 25 Lutego na polach grochowskich, zmusiły wreszcie Gorczakowa do obmyślenia i przedsięwzięcia jakichkolwiek środków zapobiegawczych [1]). Na szczęście, na trzy dni przedtem Wisła puściła, poszła kra gęsta i korzystając z tego, namiestnik kazał zdjąć most, łączący Warszawę z Pragą. Przerwanie komunikacyi prawie zupełne musiało oczywiście zapobiedz i samej manifestacyi, przynajmniej w takich rozmiarach, w jakich zamierzano ją wykonać. Most bowiem tymczasowy na Zjeździe, wzniesiony jedynie do pomocy przy budowie żelaznego, nie mógł w żadnym razie służyć do uroczystego i tłumnego pochodu.

Spostrzegli to kierownicy manifestacyi: Nowakowski, Frankowscy, Cielecki, Szachowski, a nadewszystko Majewski, Gołemberski i inni, i postawili sobie pytanie: co robić? Nie można iść na pola grochowskie, to prawda, ale można zawsze wyruszyć tłumnie ze Starego Miasta ku namiestnikowskiemu pałacowi, a ztąd przejść przez całe miasto, już z Towarzystwem rolniczem, ku placowi Trzech krzyży. Manifestacya zawsze będzie, a nawet lepsza, głośniejsza, niż gdzieś tam za rogatkami, na grochowskiem polu bitwy. Z drugiej strony trudno było odwoływać zamiar pierwotny, należy tylko uwiadomić o nowym. W tym celu przygotowano liczne plakaty, w których wzywano „braci“, by zebrali się jak można najtłumniej dnia 25 Lutego, o godz. $5^1/_2$ po południu, na rynku Starego Miasta „dla uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy zwycięztwa, odniesionego przez Polaków pod Grochowem“. Z plakatami temi rozpuszczono po mieście różnych „smarkaczy“, którzy je rozdawali przechodniom, wrzucali do sklepów, przyle-

[1]) Mikołaj Berg w swoich „Zapiskach o polskich powstaniach“ opowiada, że Gorczakow miał się zapytać w Petersburgu, coby mu należało robić w obec zamierzonej manifestacyi? Odpowiedziano mu: „niech się modlą za swoich, a my pomodlmy się za swoich“. W Warszawie, w kolonii rosyjskiej zastanawiać się miano, jak się mają odbyć te dwa nabożeństwa. Fakt ten z wielu względów wydaje nam się nieprawdopodobnym.

piali na rogach ulic. Jednego z takich roznosicieli, Ludwika Balcera, ucznia szkoły sztuk pięknych, schwytał d. 23 Lutego na rogu ulicy Chmielnej i Nowego Światu, komisarz policyi Brodzki. Prowadzony do biura policyi Balcer, rzucił w bramę jednego z domów naczynie z klajstrem, pendzel i cały stos odezw. Stróż znalazł to i zaniósł do cyrkułu. Tym sposobem, gdyby już zkądinąd władza nie wiedziała o tem co się przygotowuje w mieście, obecnie miała wyraźny i autentyczny dowód w ręku. Nic jednak nie zrobiono; pocieszano się tem, że most zniesiony, że zatem manifestacya nie może się odbyć; na wszelki jednak wypadek wysłano na pola grochowskie dwa bataliony piechoty i nieco kozaków.

Nadszedł nakoniec dzień 25 Lutego, który przypadł w poniedziałek, zwykle przez czeladź rzemieślniczą przeznaczony na świętowanie i pijatykę po szynkach. Pogoda była prześliczna, niebo czyste; słońce oświecało wspaniale ziemię, lekkim przymrozkiem ściętą. Od samego rana ci, którzy nie wiedzieli o zmianie zaszłej w programie rewolucyjnym, przeważnie rzemieślnicy, gromadkami poczęli ciągnąć ku Pradze. Koło godziny 3 po południu coraz większe, gęściejsze tłumy dążyły przez most, przez ulice Pragi ku rogatkom grochowskim. Te były spuszczone, a na szosie, w pobliżu kolumny, wzniesionej przez Mikołaja na pamiątkę bitwy, stała rozwiniętym frontem piechota i kozacy. Tłum niewstrzymany przez rogatkę spuszczoną, wśród żartów i śmiechu przechodził przez nią, pospacerował po szosie, popatrzał na żołnierzy, napełnił sąsiednie szynki i powoli wracał do miasta. Wielu się popiło i awanturowało się po cichych zwykle ulicach Pragi.

Tymczasem w Warszawie, zwłaszcza na ulicach, sąsiadujących z rynkiem Starego Miasta, już od południa dawał się spostrzegać jakiś ruch gorączkowy, znamionujący, że się zanosi na coś niezwykłego. Wszyscy czegoś oczekiwali, ale nikt dokładnie nie wiedział co to będzie, jak właściwie obchodzoną będzie zapowiedziana przez plakaty rocznica bitwy grochowskiej. Obiegały niejasne pogłoski

o jakiejś procesyi. Tłumy się gromadziły, zwykłe we wszystkich wielkich miastach tłumy gawiedzi i próżniaków, których tu ciągnęła prosta ciekawość a nie żadne uczucie patryotyczne. Około godziny 3-ciej po południu zjawiło się na rynku, wysłanych tu przez Majewskiego, kilkunastu uczniów gimnazyum, szkoły sztuk pięknych, akademików, kancelistów i dependentów, którzy kazali licznym przekupniom, mieszczącym się tam ze swemi straganami i stołami, sprzątać je; właścicielom domów usunąć całe góry lodu i śniegu, wznoszące się nad rynsztokami, a kupcom i handlarzom zamykać sklepy. Częścią przez posłuszeństwo, dziś dla nas niepojęte, częścią z obawy przed groźbami wysłańców, wykonano natychmiast to polecenie. Plac opustoszał zupełnie. Policya, dość gęsto rozstawiona na rynku i sąsiednich ulicach, patrzała obojętnie na rozporządzenia tajemniczej władzy, wkraczającej w jej atrybucye [1]).

Nad wieczorem, koło godziny 5, tłumy ludności zajęły zbitą masą cały rynek Starego Miasta i ulice: Świętojańską, Plac zamkowy, aż do kolumny Zygmunta. Po chodnikach przejść nie można było, gdyż zagradzali je ludzie wszelkiej płci i wieku, śpieszący na rynek staromiejski. Nie upłynęło i pół godziny, gdy wszystkie ulice, sąsiadujące z tą częścią miasta, roić się poczęły od głów ludzkich. Z jednej strony tłumy zajęły ulicę Freta, Podwale, Gołębią, Dunaj, Zapiecek, Świętojańską, z drugiej sięgały aż na Krakowskie Przedmieście i Senatorską. Obliczano po-

[1]) Na początku 1861 r. Rada Administracyjna Królestwa zatwierdziła projekt jenerał-gubernatora Paniutyna, dotyczący reorganizacyi i zwiększenia policyi, którą nazwano „warszawską komendą policyjną“. Odtąd miała się ona składać z 467 żołnierzy t. z. „stójkowych“, 27 podoficerów, 6 feldweblów, 120 rewirowych, 11 komisarzów policyi i 2 oficerów, ogółem 666 ludzi. Było to na te czasy i na tak rozległe miasto bardzo mało, choć rząd pocieszał się tem, że tak zreorganizowana policya „niewątpliwie odpowie oczekiwaniom władzy i zapewni spokojność, porządek i bezpieczeństwo miasta“. Koszt utrzymania zwiększonej w ten sposób policyi wynosił rocznie rs. 57.639 kp. 68. Z tego połowę dawał skarb Królestwa, a drugą kasa miejska (po 28.819 kp. 84).

nieżnie tę masę na dwadzieścia tysięcy osób. Teraz dopiero zjawiła się policya, w liczbie jakich stu ludzi, liczbie zbyt drobnej, by mogła cokolwiek zdziałać. Policyanci ginąc w ogromnej masie ludności, poczęli prosić, by się rozchodzono. Oczywiście nikt ich nie słuchał, owszem posypało się mnóstwo szyderstw, dotkliwych i grubijańskich żartów, narażających powagę władzy na szwank. Na zapytanie policyanta, zadane jakiemu chłopakowi od szewca lub krawca: „czego tu stoisz?“, ten ostatni odpowiadał zuchwałem pytaniem: „a ty czego stoisz?“ — „Idź dalej, nie wolno!“ — „Co nie wolno? stać na ulicy? gdzież to jest zabronione?“ Powoli policyanci przestali próżnych usiłowań, ginęli w tłumie i śmiali się z dowcipów.

W obec rosnącego coraz bardziej zbiegowiska, wysunięto z Zamku batalion piechoty, stu kozaków, zwanych w Warszawie czerkiesami, i pół szwadronu żandarmeryi Wojska te ustawiły się w szyku bojowym, piechota we środku, jazda po skrzydłach, od wylotu Świętojańskiej ulicy aż do Zjazdu, osłaniając tym sposobem Zamek całkowicie, w którym właśnie teraz odbywała się u namiestnika narada, pełna gorączkowych pomysłów, co czynić należy? Oberpolicmajster, pułkownik Trepow radził, żeby posłano wojska, stojące bezczynnie na placu Zamkowym, i żeby te siłą rozpędziły zbiegowisko. Ale poczciwy i łagodny Gorczakow miał pewien wstręt tajemniczy ku takim środkom, które mogły wywołać krwawe starcie; on by wolał, żeby się rzecz dała załagodzić spokojnie, drogą perswazyi. Odrzucił więc radę Trepowa i po krótkiem wahaniu się rozkazał mu jechać na rynek Starego Miasta i przekonać się osobiście, co tam właściwie się robi i czy koniecznem jest użycie siły zbrojnej. Trepow wykonał ten rozkaz; siadł do swego powoziku i ruszył na Stare Miasto, z trudnością przedostając się przez ulicę Świętojańską, witany gwizdaniem, brutalnymi żartami, tu i owdzie oklaskami. Tak dojechał do środka rynku, do wodotrysku z syreną. Tu zatrzymał się, wysiadł z powozu i zwracając się do tłumu zawołał: „panowie rozejdźcie się! sami gubicie

ojczyznę, sami prowadzicie ją do zguby!“ Na to z tłumu odezwał się silny, męzki głos: „Niech Bóg to osądzi!“ Poczęto znów szydzić z przedstawiciela władzy, posypały się żarty i dowcipy, a gdy Trepow spostrzegłszy przed sobą grupę akademików, kazał jej się rozejść, i Władysława Krajewskiego chwycił za kołnierz, ten rozgniewany uderzył naczelnika policyi prętem w twarz. Nie było co robić. Pobity oberpolicmajster siadł do swego powoziku, i żegnany kamieniami i błotem ruszył w odwrocie do Zamku, wołając po drodze: „Panowie rozchodźcie się, bo wojsko idzie!“ [1]). Przybywszy do namiestnika, przedstawił mu istotny stan rzeczy i otrzymał rozkaz, ażeby wziął pół szwadronu żandarmów i rozpędził, przy pomocy białej broni, zbiegowisko.

Był to dopiero wstęp do właściwej akcyi, do owego zamierzonego przez tryumwirat uroczystego procesyonalnego pochodu ku miejscu posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Na ten cel wybrano kościół OO. Paulinów, wznoszący się na rogu ulicy Długiej i Freta, gdzie w tę porę, jak zwykle w poście, odbywało się nabożeństwo pasyjne. Podczas gdy lud na rynku Starego Miasta i sąsiednich ulicach zgromadzał się tłumnie, oczekiwał co to z tego będzie, kłócił się z policyą i obrażał Trepowa, tutaj w kościele paulińskim przygotowywano się do istotnej manifestacyi. Znajdowali się tam wszyscy wybitniejsi agitatorzy tej chwili, Godlewski, bracia Frankowscy, Cielecki, Szachowski, Wasilewski i inni, mając do swego rozporządzenia znaczną ilość rzemieślników i młodzieży szkolnej. Rozdawano zgromadzonym małe chorągiewki w kolorach narodowych z orłami polskimi. Policya, jak wszędzie tak

[1]) Trepow nazajutrz chodził z owiązaną twarzą, kazał się tak nawet odfotografować w pierwszorzędnym ówczesnym zakładzie Bayera. Po mieście obiegał dwuwiersz:

„Przy wodotrysku
Dostał Trepow po pysku“.

Laski giętkie i grube, na wzór tej, jakiej użył Krajewski do ukarania oberpolicmajstra, nazywano „trepówkami“.

i tutaj nieliczna, w milczeniu przypatrywała się przygotowaniom do procesyi. Komisarz cyrkułu, w którego obrębie leżał kościół, stał spokojnie przed nim i patrzał w poczuciu swej bezsilności na rosnące coraz bardziej tłumy.

Około godziny szóstej, przy zapadającym już zmroku dnia zimowego, wyruszyła nakoniec procesya z kościoła. Garść żandarmów, dowodzona przez pułkownika Rozpopowa, przepuściła posuwający się orszak bez zaczepki. Śpiewając pieśń: „Święty Boże, święty mocny“, procesya skierowała się ku ulicy Gołębiej. Na placu, jaki tworzy zetknięcie się tej ostatniej z Podwalem, naprzeciw jatek rzeźniczych, stał zwyczajny wóz woziwody, pokryty płótnem, na którem leżała rzucona niedbale mocno zeszarzana burka. Gdy się czoło procesyi zbliżyło do tego wozu, nagle zerwał ktoś burkę i płótno, i szewc Paradowski podniósł ku górze chorągiew z orłem i pogonią... Gdy wiatr z szelestem rozwinął ten wspaniały, tak dawno niestety! nie widziany w Warszawie sztandar, ogólny okrzyk uniesienia wyrwał się z tysiąca piersi obecnych. Współcześnie z owego niepozornego wozu wydobyto mnóstwo chorągiewek trójkolorowych i mały transparent, na którym był orzeł biały, a z domu, zwanego „Gdańską piwnicą“, wybiegł ktoś z gorejącą pochodnią, od której, idąca na czele procesyi, modzież akademicka, uczniowie instytutu w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych i t. p. pozapalali przygowane już pochodnie i transparent z orłem. Czerwony, migotliwy blask tych świateł, padając na sztandary, na tłumy ludu, nadawał całości nader malowniczy i efektowny charakter. Procesya przy ogłuszającym śpiewie „Święty Boże“, który wkrótce zastąpiło „Boże coś Polskę“, powoli posuwała się przez ulicę Gołębią na rynek Starego Miasta, gdzie widok sztandaru z herbami dawnej Rzeczypospolitej, wywołał radosne, wstrząsające okrzyki. Ledwie atoli procesya doszła do połowy rynku, gdy wprost domu Żbikowskiego, oznaczonego № 43, natknęła się na żandarmów, sprowadzonych przez Trepowa z placu Zamkowego, zgodnie z rozkazem namiestnika. Żandarmi pod komendą ma-

jora Żydikowa biegli kłusem z trzaskiem i brzękiem, dzwoniąc podkowami po bruku i błyszcząc szablami nagiemi. Piersiami koni rozparli tłum, zabiegli drogę procesyi i obskoczyli ją łukiem. Trepow rozkazuje się rozejść, własną ręką chwyta jednego z młodych ludzi, stojących na czele pochodu i oddaje policyi. Robi się zamięszanie. Agitatorzy, gęste masy ludu z tyłu prą naprzód, żandarmi zaczynają płazować, wszczyna się zażarta i uparta bójka. Z jednej strony błyskają szable, z drugiej kije, pochodnie, drzewca od chorągiewek. Wielki sztandar z orłem z rąk Paradowskiego dostaje się żandarmom, akademik Przesmycki go odbiera. Po krótkiej, ale mocno zaognionej bójce, lud nakoniec ustępuje, poczyna się cofać, uciekać i wreszcie rozpryskuje się w różne strony. Na pobojowisku, po którem żandarmi przebiegają wyciągniętym kłusem, ścigając pojedynczych maruderów, zostało się nieco kapeluszy i czapek, trochę kijów, chorągiewek i pochodni. Wyloty ulic, prowadzące na rynek, zagrodził Trepow posterunkami, złożonymi z ośmiu ludzi. Z innych ulic poczęto się z zapadającą nocą rozchodzić i w parę godzin potem miasto przybrało swą zwykłą, cichą postać.

Aresztowano w ogólności zaledwie trzydzieści osób. Między niemi z wybitniejszych agitatorów schwytano: Karola Nowakowskiego, Leopolda Cieleckiego, Józefa Turowskiego i Stanisława Szachowskiego, wszystkich czterech uczniów szkoły sztuk pięknych. Przyaresztowany został także Władysław Krajewski, student Akademii medycznej, który uderzył Trepowa. Nowakowski oskarżony był, że pobił policyanta Tadeuszka. U schwytanych znaleziono w kieszeni drukowane proklamacye Mierosławskiego i portrety Kilińskiego z podpisem: „Jan Kiliński, szewc i pułkownik z czasów Kościuszki. Braciom rzemieślnikom i braciom chłopkom na pamiątkę uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy otrzymanego przez ich ojców zwycięztwa nad Moskalami“.

W mieście oburzenie było powszechne; narzekano na „barbarzyństwo Moskali, napadających na lud bezbronny“.

Opowiadano sobie cuda o waleczności młodych chłopców, którzy „zacięcie się z żandarmami ścierali“, że konnica trzy razy na nich uderzała, a oni „łokieć o łokieć się kupiąc, z całej siły pochodniami w konie i jeźdźców walili“. Mówiono, że żandarmi nie szczędząc kobiet i dzieci rąbali szablami głowy, że ranionych i zabitych było do sześćdziesięciu osób, że po rozpędzeniu tłumów na rynku i zamknięciu go przez posterunki, policya i żandarmi zbierali trupy i gdzieś je chowali; że między ranionymi znajduje się „dziewica“ Jenike, która tego jeszcze dnia wieczorem miała umrzeć. Wszystko to były pogłoski nieprawdziwe. Nie ulega wątpliwości, że było kilkanaście osób poranionych i potłuczonych, ale nikt z tego nie umarł i nie został zabity.

Pogłoski takie jednak, bardzo zresztą naturalne w obec powszechnego wzburzenia umysłów, znajdowały wszędzie chętne ucho. Trepow rozwinął zaraz, wieczorem d. 25 Lutego, całkiem już teraz niepotrzebnie, znaczną siłę wojskową. Zostawiwszy żandarmów na Starem Mieście, piechotę i kozaków przed Zamkiem, przed gmachem pocztowym na Krakowskiem Przedmieściu ustawił szwadron żandarmeryi; przed pałacem namiestnikowskim, miejscem posiedzeń Towarzystwa rolniczego, batalion piechoty; na placu Saskim rozłożyli się biwakiem żandarmi, ułani i piechota; przed Akademią medyczną mieniły się chorągiewki ułanów; całą uliczkę Kozią, wiodącą od Miodowej do Krakowskiego Przedmieścia, zajęła piechota. Gęste patrole przebiegały ulice. Do późnej nocy wojska stały, paląc tu i owdzie ognie, nadając miastu wygląd osobliwszy. Liczna publiczność przechadzała się po ulicach, przypatrując się ciekawie niezwykłemu temu widowisku. Dopiero koło godziny 11-tej wieczorem, gdy miasto prawie zupełnie opustoszało, ściągnięto wojska do koszar.

Nazajutrz umysły nie uspokoiły się, wzburzenie wzrastało. Ciągle mówiono o „krwi niewinnie wczoraj rozlanej“, o barbarzyństwie Moskali, o napaści na bezbronnych. Po mniemanych ofiarach, przyszła myśl agitatorom nałożenia

powszechnej żałoby. Poczęli więc w tym kierunku zaraz działać i na wzór Węgrów nakazali burzyć włos na kapeluszach, zwanych cylindrami, co miało oznaczać żałobę. Każdemu idącemu przez ulicę mówiono o tem, a w razie oporu surowo napominano. Na schodach Towarzystwa rolniczego stał młody człowiek ze szczotką w jednej a giętkim prętem w drugiej ręce i zapraszał każdego wchodzącego do oznaczenia na kapeluszu żałoby; niekiedy sam ją przy pomocy szczotki robił. Powiadają, że Zamoyski zapytany przez swych przyjaciół miał doradzić przyjęcie tej oznaki po fikcyjnych ofiarach, których liczba z każdą godziną nieomal rosła. Po mieście najrozmaitsze, najdziwaczniejsze obiegały pogłoski. Mówiono, że lud zamierza w nocy uderzyć na ratusz i odbić aresztowanych wczoraj. Pogłoska ta przybrała tak wielkie rozmiary, powtarzała się tak uparcie, że policya uznała za stosowne przedsięwziąć niektóre środki ostrożności. W tym celu zajęto wojskiem o zmroku całą ulicę Daniłowiczowską i przerwano na niej wszelką komunikacyą, tak że tamtejsi mieszkańcy chcąc dostać się lub wydostać z domu musieli się prosić o to, i odprowadzano ich pod konwojem policyi i żandarmów. Mówiono dalej, że Gorczakow telegrafował do Petersburga o tem, jakoby w Warszawie wybuchło powstanie, że jednak pułkownik Trepow stoczywszy żwawą walkę na rynku Starego Miasta, przy pomocy samych tylko żandarmów zdołał stłumić bunt w zarodku. Na to miano odpowiedzieć z Petersburga nominacyą Trepowa na jenerała, oraz polecono żandarmom wypłacić tysiąc rubli. W końcu cesarz miał się zapytywać ilu poległo żołnierzy i ile broni odebrano buntownikom i ilu ich wzięto do niewoli. Gdy mu odpowiedziano z Warszawy, że w wojsku nikt nie poległ i że broni nie zdobyto, bo jej Polacy nie mieli, cesarz był bardzo zdziwiony i cofnął nagrodę tak dla Trepowa jak i żandarmów.

Pogłoski te, noszące na sobie wyraźny stempel ludowych ulicznych plotek, nie były jednak pozbawione prawdy. W rzeczy samej, nazajutrz po manifestacyi na rynku

Starego Miasta, dnia 26 Lutego Gorczakow wysłał telegram do cesarza, donosząc mu, że „banda źle myślących“ chciała zrobić na ulicy demonstrancyą, połączoną z nabożeństwem za poległych pod Grochowem, że w tym celu zebrało się na Starem Mieście około 5.000 ludzi, że jednak policya bez rozlewu krwi zdołała przywrócić porządek, i że teraz jest spokojnie [1]). Nie zawierało więc to doniesienie żadnego z tych ustępów, o których opowiadano sobie w Warszawie z wyraźną chęcią wystawienia na śmieszność, przez nadanie mu cechy prostactwa i barbarzyńskiego okłamywania najwyższych sfer rządzących. Jeżeli atoli nie znając dokładnie doniesienia Gorczakowa snuto na ten temat śmieszne historye, to dokument, który się ukazał d. 26 Lutego, nazajutrz po wypadkach na Starem Mieście, ogłoszony i podpisany przez Trepowa, tonem swoim, treścią i stylem pobudzał rozgorączkowane umysły mas do szczerego śmiechu. Opisawszy bardzo treściwie zaszłe w d. 25 Lutego nieporządki, oberpolicmajster z rozkazu władzy wyższej „uprzedza mieszkańców miasta, że podobne obchody i śpiewy, jako naruszające porządek publiczny, nie mogą być cierpiane; jeżeliby zaś w przyszłości nadspodziewanie cokolwiek podobnego ponowionem zostało, to spokojni mieszkańcy winni starannie takich zebrań unikać, ażeby nie zostać wspólnikami winnych zrządzonego zamięszania“.

Tymczasem gdy tak miasto wrzało po wczorajszych wypadkach, resztki tryumwiratu konspiracyjnego: Majewski, Gołemberski i całe tłumy agitatorów, miotane były

---

[1]) Dosłownie, według tekstu pomieszczonego w „Ruskiej Starinie“ z r. 1882, telegram ten brzmi, jak następuje: „13 (25) Lutego, banda źle myślących, chciała na ulicach zrobić demonstracyą z nabożeństwem za poległych w Grochowie, i dlatego wezwała lud, żeby się zebrał na Starem Mieście. O godz. 6-tej wieczorem zebrało się do 5.000 ludzi na tym placu. Policya, uwiadomiona o tem wcześnie, przywróciła porządek bez rozlewu krwi, rozpędziwszy przez żandarmów konnych procesyą z kościoła Paulinów idącą z pochodniami, chorągwiami i śpiewem. Kilka osób aresztowano. Teraz wszystko spokojnie. Jenerał-adjutant ks. Gorczakow“.

różnorodnemi uczuciami. Jakkolwiek bowiem cieszyli się z tego, że lud warszawski okazał takie żywe, gorące współczucie dla manifestacyi, że kiedy jeszcze przed trzema miesiącami trzeba było umyślnej propagandy, mnogich starań i zabiegów, by zgromadzić przed kościołem Karmelitów na Lesznie półtora tysiąca ludzi, teraz zdołano zebrać bez wielkich zachodów kilkanaście tysięcy, co świadczyło o ogromnym postępie ducha patryotycznego wśród mas; to wszelako przyznać sobie musieli, że cel główny nie został wczoraj osiągnięty. Zamierzano iść w uroczystej procesyi do Towarzystwa rolniczego, wkroczyć na salę jak lud paryzki na Konwencyą, zmusić je do czynnego wystąpienia politycznego, i tego nie spełniono; żandarmi i Trepow przeszkodzili wielkiemu, jak mówiono, aktowi. Cóż więc pozostawało do roboty? Co czynić należało? Czy zezwolić na to, by Towarzystwo uchwaliwszy co najwyżej, z wyraźnym odcieniem lękliwości, uwłaszczenie włościan, rozeszło się, i zrobiwszy coś dla jednej klasy, naród cały pozostawiło w dawnem, nieznośnem położeniu? Czyż godzi się plan tak pięknie i tak zręcznie pomyślany porzucić dlatego, że temu Trepow się opiera? Na to, na taki rezultat, nikt z agitatorów zgodzić się nie mógł. Trzeba bądź co bądź, mówili sobie, choćby to nie wiem ile kosztować miało, raz powzięty plan wykonać i doprowadzić do skutku. Rzecz była tem pilniejsza, że najprzód, zaraz nazajutrz Towarzystwo rolnicze kończyło swe walne posiedzenia i członkowie jego mieli się rozjechać; a potem, że wczoraj, w czasie manifestacyi na Starem Mieście Towarzystwo zachowało się dziwnie chłodno. Gdy tam, na rynku staromiejskim żandarmi szarżowali i lud bili, Mikołaj Epstein, należący do znanej rodziny bankierskiej, doniósł o tem zebranym członkom Towarzystwa: „Panowie! — zawołał, wbiegając na salę, — my tutaj spokojnie siedzimy i obradujemy, kiedy na Starem Mieście krew braci się leje!“ Słowa te wstrząsnęły wszystkimi; poczęto się zrywać i wołać: „Chodźmy! gińmy razem!“ Prezes, Andrzej Zamoyski wstrzymał cisnących się do wyjścia zimnemi

słowami: „Obowiązkiem naszym tutaj pozostać“. I pozostano i radzono do godziny ósmej wieczorem.

Zachowanie się takie oburzało agitatorów, świadczyło w ich mniemaniu o egoizmie szlacheckim. Obiegająca po mieście pogłoska, że cesarz telegramem kazał podziękować Towarzystwu za jego wczorajszą postawę, dolewała oliwy do ognia. Bądź co bądź pewnem było, że Towarzystwo stanowczo nie chce wziąć udzialu w ruchu, i że podaniu adresu jest przeciwne, że zatem koniecznie należy je do tego zmusić.

Postanowiono więc, żeby nazajutrz, d. 27 Lutego powtórzyć manifestacyą, nadać jej charakter uroczystej procesyi kościelnej, ze zwykłemi chorągwiami kościelnemi. Ponieważ jednak Stare Miasto, ze względu, że ciągle było obsadzone silnymi posterunkami policyjnymi, nie nadawało się na ten cel bez narażenia manifestacyi na nowe niepowodzenie, zadecydowano więc zmienić punkt wyjścia dla procesyi, przenieść go na ciche, oddalone Leszno, do tego samego kościoła Karmelitów, gdzie tak szczęśliwie udał się obchód rocznicy powstania d. 29 listopada. Widząc powszechne rozgorączkowanie umysłów, uradzono odezw nowych nie drukować i nie przylepiać ich na ulicach, ale rozpuścić po mieście całe tłumy młodych „smarkaczy“, niezmęczonych agitatorów, którzyby uwiadomili kogo tylko mogą o tem, co się jutro dziać będzie. Do wykonania tego planu wzięto się gorliwie i z zapałem, godnym zaiste lepszej sprawy.

Podczas gdy w kołach Czerwonych powzięto takie postanowienie, które miało krwią spłukać bruk warszawski, pośród zamożniejszego, wykształceńszego i wybitniejszego mieszczaństwa warszawskiego urodziła się pod wpływem Jurgensa nowa myśl. Widząc, że Towarzystwo rolnicze wśród ciężkich bólów rodzi akt sprawiedliwości wiekowej względem chłopów; że nie chce nawet roztrząsać projektu szerszej akcyi politycznej; że wogóle ciało to ciężkie, lękliwe o swą własną skórę, stanowczo odrzuciło myśl podania adresu do cesarza, petycyi o zadośćuczynienie najbardziej

naglącym potrzebom kraju; widząc wreszcie, że manifestacya Czerwieńców, która miała zmusić Towarzystwo do inicyatywy, nie udała się; wzmiankowana grupa mieszczaństwa warszawskiego powzięła projekt napisania adresu do cesarza od mieszkańców Warszawy, z żądaniem reform, reorganizacyi szkół, przywrócenia uniwersytetu, równouprawnienia żydów, wprowadzenia wreszcie z małemi zmianami, stosownie do wymagań czasu, Statutu organicznego. Trzeba, mówiono sobie, wybrać delegacyą złożoną z notablów miasta, z najwybitniejszych osobistości, i jej powierzyć zredagowanie adresu. Należy to robić szybko, bo czas leci, ziemia drży pod nogami, paląca atmosfera dusi wszystkich.

Jakoż nazajutrz po wypadkach na Starem Mieście, dnia 26 Lutego, prawie w tej samej chwili, gdy Czerwieńcy przygotowywali nową manifestacyą, zebrało się popołudniu w cukierni Kontiego, w hotelu Europejskim na Krakowskiem Przedmieściu, w niewielkiej salce za bilardami, kilkadziesiąt osób znanych w mieście czy to ze swego majątku, czy rozumu, czy stanowiska, czy wpływów wreszcie. Po krótkich debatach, wybrano prawie jednogłośnie do delegacyi, mającej zredagować adres, najpopularniejszych ludzi w Warszawie, jak: doktora Chałubińskiego, entuzyastę, znakomitego lekarza, osobistość nerwowych uniesień i młodzieńczego zapału; bogatego kupca Ksawerego Szlenkera, którego brzydka, czarna, wysoce charakterystyczna twarz, znaną była całej Warszawie, lutra, Niemca z pochodzenia, ale mimo to gorącego patryotę polskiego; redaktora „Gazety codziennej“ J. I. Kraszewskiego, a z nim Józefa Keniga, redaktora „Gazety warszawskiej“, który śmiało gotował się do przyjęcia udziału w redakcyi adresu, mającego między innemi upomnieć się o równouprawnienie żydów, tych żydów, których przed dwoma laty gazeta tak surowo karciła; jenerała Lewińskiego, czcigodną resztkę tych bohaterskich zastępów, które zbierały laury od Grochowa aż do Woli, człowieka, który pewną, historyczną rolę odegrał w ostatnich dniach powstania Listopadowego; szanowanych

powszechnie w Warszawie, wielce wpływowych, zwłaszcza w klasach rzemieślniczych księży: Steckiego i Wyszyńskiego. Do delegacyi więc weszły wszystkie nieomal sfery burżoazyi warszawskiej, i jakby dla zaznaczenia swych postępowych i demokratycznych usposobień, swych zamysłów co do żądania w adresie równouprawnienia żydów i zniesienia cechów rzemieślniczych, zamierzono powołać jeszcze starszego zgromadzenia szewców, Hiszpańskiego, i rabina Mayzelsa. Od obecnego na tym sejmiku bankiera Leopolda Kronenberga zażądano, żeby pozwolił jako prezes Resursy kupieckiej, by nazajutrz mogli się tam zebrać delegaci i adres ułożyć. Kronenberg wymagane pozwolenie natychmiast dał.

Tak więc wszystkie najważniejsze zagadnienia chwili miały się rozstrzygać w dniu następnym, w dniu nazawsze pamiętnym w historyi naszych nieszczęść. Towarzystwo rolnicze gotowało się do zakończenia swych walnych posiedzeń i do wydania nakoniec uchwały o uwłaszczeniu; Czerwieńcy do wielkiej manifestacyi, a burżoazya warszawska do zredagowania adresu. To też wszyscy ludzie, umiejący trzymać rękę na pulsie społecznym, wszyscy aktorzy scen, jakie się miały nazajutrz rozgrywać, z pewnym, łatwym do pojęcia niepokojem i drżeniem oczekiwali tego dnia, który miał stanowić zwrot w bycie i przyszłości narodowej, miał być albo jutrzenką odrodzenia, albo zwiastunem głębszej niedoli i zatracenia.

Nadszedł nakoniec ten dzień, chmurny ale niezwykle ciepły i cichy. Zdawało się, że sama natura sprzyja zamiarom Czerwieńców. Zamówiono nabożeństwo za duszę owej „dziewicy Jenike“, zmarłej jakoby z ran otrzymanych na Starem Mieście, w kościele ks. Karmelitów na Lesznie. Gdy jednak księża miejscowi mieli pewne, uzasadnione zresztą wątpliwości co do śmierci owej dziewicy, postanowiono odprawić nabożeństwo za duszę, straconego przed laty trzydziestu, emisaryusza Artura Zawiszy, a jak inni głosili za Szymona Konarskiego. Szczerze mówiąc, to nikt na pewno nie wiedział, na czyją intencyą ma się msza żałobna odprawić. Zebrało się stosunkowo niewiele osób,

przeważnie jednak członków Towarzystwa rolniczego, wszyscy z ową osobliwszą oznaką żałoby na kapeluszach. Policya poprzednio już otrzymała pewne wiadomości o zamiarach agitatorów, i w skutek tego miała zwrócone baczne oko na kościół Karmelitów. Gdy się więc poczęto tam schodzić, zjawił się zaraz Trepow, przywożąc ze sobą na trzech dorożkach pewną liczbę policyantów. Lud powitał oberpolicmajstra okrzykiem: „Wiwat zwycięzca!“ Trepow popatrzał na gromadzący się coraz liczniej lud [1]), zawrócił i pojechał do Zamku dla otrzymania instrukcyi, co mu czynić należy.

Namiestnik polecił mu wziąć pluton piechoty i niewielki oddział policyantów i postawić ich przed kościołem. Jeżeli się okaże, iż odbywa się zwyczajne nabożeństwo żałobne, chociażby nawet śpiewano hymny rewolucyjne, nie przeszkadzać i nikogo nie aresztować. W czasie gdy Trepow słuchał tej osobliwszej instrukcyi, przyszła do Namiestnika prośba od Towarzystwa rolniczego, a właściwie od jego komitetu, żeby przed pałac namiestnikowski, Gorczakow raczył posłać oddział wojska, dla obrony zasiadających od możliwego najścia manifestatorów. Zgodnie z tą prośbą, zdradzającą poważną obawę w komitecie przed gotującą się demonstracyą, namiestnik rozkazał oberpolicmajstrowi wysłać tyle, ile może na razie wojska. Trepow posłał przed pałac cały batalion piechoty i kilkunastu żandarmów z komendantury placu, znajdującej się w pobliżu pałacu namiestnikowskiego, sam zaś z oddziałem swoim ruszył na Leszno.

Tutaj tymczasem, wobec wzrastających ciągle tłumów, odbywało się nabożeństwo. Śród ludności kręciło się mnóstwo akademików, młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, któ-

[1]) Agaton Giller w swych dosyć mętnych „Dziejach delegacyi warszawskiej“ (w zbiorze p. t. „Materyały do historyi powstania“, Lwów, 1888 r.), powiada, że „żandarma, który wydobył pałasz i groził publiczności“, Trepow kazał na miejscu wypłazować. Potwierdzenia tej wiadomości nie znajdujemy w żadnej relacyi drukowanej lub piśmiennej, jakie posiadamy.

rzy rozdawali zebranym portrety Kilińskiego i Kościuszki. Zachowywano się zresztą bardzo spokojnie, a po skończonej mszy odśpiewano suplikacye i jakiś nowo utworzony hymn do Matki Boskiej, którego ogromna większość zebranych nie znając, słuchała w milczeniu. Po ukończeniu, jakiś głos zawołał w kościele: „Niech żyją Polacy! wiwat! dziękujemy wam, obywatele miejscy i wiejscy!“ Ale zaraz poczęto sykać i wołać: „Cicho! tu kościół!“.

Była godzina jednasta rano, gdy się ukończyło nabożeństwo, i z kościoła wystąpiła procesya. Młodzież rzemieślnicza i szkolna, niosła na czele chorągwie kościelne i obrazki Matki Boskiej. Ruszono przez Leszno, Przejazd na ulicę Długą. Spotykanych przechodniów zatrzymywano i wołając: „Na środek, panowie, na środek!“, kazano im iść za procesyą. Jadących w dorożkach lub powozach zmuszano do wysiadania i łączenia się z pochodem. Tym sposobem tłum wzrastał ciągle i już na Długiej ulicy liczono go w przybliżeniu na kilka tysięcy. Za procesyą, zgodnie z rozkazem namiestnika, postępował pluton żołnierzy i policya pod wodzą miejscowego komisarza Jachimowskiego. Szli oni w kaskach na głowach, ale gdy z tłumu poczęto wołać: „Zdjąć kaski!“ — w milczeniu je zdjęli i szli już z odkrytemi głowami. Ta masa narodu, posuwająca się wolno, robiła wrażenie imponujące.

Ten kilkutysięczny tłum jednak, z wyjątkiem garści agitatorów, nie wiedział nic o powodach tej procesyi. Pod tym względem obiegały wśród postępujących ulicą Długą pogłoski najrozmaitsze. Jedni mówili, że procesya ma na celu dokonanie tego, co było zaczętem onegdaj na Starem Mieście a czemu się oparł Trepow z żandarmeryą, i ci byli najbliżsi prawdy, jakkolwiek także nie wiedzieli, czego ostatecznie chciano onegdaj. Inni utrzymywali, że zamiarem procesyi jest odzyskanie ciał poległych dnia 25 Lutego i pochowanie ich uroczyste na miejscu poświęconem; jeszcze inni, że procesya ma się udać przed Zamek i zażądać natychmiastowego uwolnienia wszystkich aresztowanych przed paru dniami. Cała ta masa ludzi, między któ-

rymi przecież było wielu rozumnych, rozważnych, spokojnych, zdających sobie sprawę ze swych czynności, nie wiedziała dobrze dokąd i po co idzie, dając się powodować jak owce kilkunastu agitatorom, świadcząc przez to o tej starej prawdzie, że tłum nie ma nigdy ani woli ani rozumu.

Procesya przeszedłszy całą ulicę Długą, zatrzymała się przed kościołem Paulinów, tym samym, z którego onegdaj wyruszono na Stare Miasto. Odkryto głowy, poklękano na bruku i tysiące piersi zanuciło wspaniały hymn: „Święty Boże“. Żołnierze idący za tłumem, zdjęli także czapki i wielu żegnać się poczęło... Ztąd ruszono przez ulicę Gołębią na Stare Miasto przy ciągłym wzroście liczebności tłumów [1]). Na ulicy Świętojańskiej, z okien jednego z domów, posypało się mnóstwo obrazków z Matką Boską i portretów Kilińskiego, które młodzież idąca na czele, przyczepiała do lasek i niosła tak przed sobą. Dotąd cały ten pochód olbrzymi nie napotkał żadnej przeszkody, ale teraz wysuwając się na plac Zamkowy, miał się zetknąć z wojskiem.

W Zamku bowiem wiedziano o zbliżającej się procesyi i prawdopodobnie o tem, dokąd ona dąży, zwłaszcza że żądanie Towarzystwa rolniczego jasne na ten cel rzucało światło. Prócz tego na ulicach wychodzących na plac, jak Krakowskie Przedmieście, Senatorska i Podwale, poczęły się także na chodnikach gromadzić znaczne i gęste tłumy, oczekując na pojawienie się procesyi. W obec tego, z polecenia namiestnika, rozkazano wystąpić batalionowi piechoty, w tym samym porządku jak dnia 25 Lutego, i stu koniom kozaków kubańskich pod wodzą esauły Zawarowa. Piechota stanęła przed główną bramą pod wieżą, kozacy po skrzydłach aż do Zjazdu. Batalion miał, zdaje się, jedynie rozkaz osłaniania Zamku, gdyż przez cały czas

[1]) A. Podwysockij, znany nam członek tajnej policyi, w swych „Zapiskach“ powiada, że podchodząc ku placowi Zamkowemu, tłum liczył koło 50 tysięcy ludzi.

wypadków, jakie się wkrótce rozegrać miały, nie ruszył się ze swego miejsca.

Jak tylko procesya wysunęła się z ulicy Świętojańskiej i doszła placem do wylotu ulicy Piwnej, esauła Zawarow otrzymał rozkaz, ażeby z plutonem kozaków zabiegł drogę tłumowi od czoła, prosił o rozejście się, w razie zaś oporu uderzył na niego batami. Jakoż tak się stało. Zawarow wezwawszy łamaną polszczyzną zbite masy ludu do rozejścia, gdy spostrzegł, że te nie słuchają go wcale, lecz owszem usiłują dalej się posuwać, zwrócił się do swoich kozaków i wydał rozkaz: „Udarit w nahajki!“ (uderzyć batami). Kozacy rzucili się z batami w rękach, bili każdego, kogo dostać mogli, bez względu na płeć i wiek, ale ostatecznie nic zrobić nie mogli. Tłum był zbyt wielki, zbyt naciskany z tyłu, zbyt zdeterminowany, by mógł się rozprószyć. Cofnięto się tylko i cała ta masa ludzi stanęła nieruchomie. Zawarow zobaczywszy, że na czele tłumu, nieco wysuniętych naprzód stało trzech czy czterech ludzi, niosących obraz Matki Boskiej, kazał kozakom go odebrać. W starciu, jakie ztąd wynikło, obraz ów upadł na bruk i rozbił się na szczątki. Na ten widok wszystkie oznaki procesyi kościelnej znikły, a został się tylko sam tłum, który stał nieruchomie, nie posuwając się naprzód, ale i nie ustępując w tył, patrząc w milczeniu na kozaków, a kozacy na niego. Cały plac Zamkowy zaległa cisza, z wielu względów złowroga, bo kryjąca w swem łonie straszną i blizką burzę. Trwało to dość długo takie wzajemne przypatrywanie się i sytuacya poczynała być nie do wytrzymania, gdy nagle z pośrodka tłumu wysunęła się niewielka grupa młodych ludzi, którzy śmiało zbliżyli się do Zawarowa i poczęli go prosić, by ich przepuścił na Krakowskie Przedmieście, gdyż oni jako członkowie Towarzystwa rolniczego muszą znajdować się na posiedzeniu, teraz właśnie odbywającem się. Młodzi ludzie mieli istotnie wygląd szlachciców wiejskich i Zawarow kazał ich przepuścić. W chwili atoli, gdy prawdziwi czy nieprawdziwi członkowie Towarzystwa, korzystając z tego pozwolenia, posunęli się naprzód, przyłączyło

się do nicn kilkunastu innych, którzy gromadkami i pojedynczo poczęli się przemykać przez łańcuch kozaków, lub korzystając z odwrócenia ich uwagi chodnikiem koło ścian domów, ku Krakowskiemu Przedmieściu, łącząc się z tłumem, stojącym na tej ulicy, głównie koło kościoła Bernardynów.

Podczas gdy tutaj na placu Zamkowym wciąż trwała względna cisza i spokojne przypatrywanie się wzajemne tłumu i kozaków, nagle tam, pod kościołem Bernardyńskim, rozległo się w tej ciszy „Boże coś Polskę“. W obec tego Zawarow naradził się z Trepowem, obecnym na placu i posłał ku kościołowi pluton kozaków ze swej setki pod wodzą „uryadnika“ Czernobrowa. Gdy się kozacy ukazali tam z batami w rękach, tłum a głównie baby żebrzące pod kościołem, powitały ich kamieniami, błotem i krzykiem: „hura!“ Budowano właśnie wtedy gmach resursy obywatelskiej i na ulicy, zaraz za kościołem leżały całe stosy kamieni, cegieł i gruzu, który ludność chwytając, zarzuciła pojawiającego się Czernobrowa istnym gradem pocisków. Kozacy atakowali aż siedm razy, zmuszali tłum do odstąpienia nieco, do kupienia się na chodnikach, ale ostatecznie zarzuceni pociskami, obryzgani błotem, wielu krwią, spostrzegli, że nie dadzą rady wzmagającemu się zbiegowisku. Mnóstwo osób przybywało z głębi miasta przez Krakowskie Przedmieście, przez ulicę Senatorską, przez przechodni dom Rezlera, a nawet koło kolumny Zygmunta, z tłumu, który szedł niedawno w procesyi, przemykanie się ku Krakowskiemu Przedmieściu stało się coraz częstsze i liczniejsze.

Zdarzyło się, że właśnie w tę porę, koło godziny 2 po południu, miał się z kaplicy przy kościele Bernardyńskim odbyć pogrzeb niejakiego Józefa Łempickiego, urzędnika z dyrekcyi ubezpieczeń od ognia, osobistości mało bardzo znanej, która stała się historyczną po swej śmierci przez szczególny i jedyny w swoim rodzaju zbieg okoliczności. Karawan stał przed kościołem, i jakkolwiek pogrzeb sam nie miał żadnego związku z procesyą i z całą

manifestacyą, w chwili, gdy tak zwany dziad kościelny stanął przed karawanem z dużym krzyżem drewnianym, oraz ksiądz, agitatorzy postanowili skorzystać z tego, przyłączyć się do orszaku pogrzebowego i pod jego zasłoną przełamać łańcuch kozaków, dzielący tłumy na Krakowskiem Przedmieściu od procesyi, wciąż nieruchomie stojącej na placu Zygmunta. Wśród wołania: „to pogrzeb ofiary poległej onegdaj“, lud tłoczyć się począł za karawanem.

Kozacy Czernobrowa, któremu na pomoc pospieszył nowy pluton uryadnika Rentowa, mając rozkaz nie przepuszczania procesyi, widząc posuwający się orszak pogrzebowy w kierunku ku ulicy Senatorskiej, zabiegli drogę karawanowi i poczęli bić batami każdego kto się nawinął. Dziad, niosący krzyż, starzec siedmdziesięcioletni, niegdyś żołnierz polski, Franciszek Rosiński powiadał potem przy śledztwie, że go kozak „skropił parę razy przez plecy nahajką“; idącego za nim braciszka bernardyńskiego Rogiera Zawitkowskiego ten sam los spotkał. Zasłonił on się krzyżem, który niósł, przyczem zostały złamane dwa kolce z korony cierniowej, tudzież wielki palec u prawej ręki Pana Jezusa[1]). Na ten widok w tłumie rozległ się jeden okrzyk zgrozy: „krzyż łamią! bezczeszczą świętości nasze!“ wołano ze wszystkich stron. Z faktu tego, bardzo zresztą drobnego i będącego następstwem prostego wypadku, umieli później skorzystać agitatorzy i „krzyż złamany“, jako symbol niedoli polskiej, pojawił się na medalach, spinkach, hymnach, broszurach, plakatach; kobiety nosiły go na piersiach.

Kamienie nie przestawały świszczeć koło głów kozackich i chociaż z rozkazu namiestnika, posłano jeszcze jeden pluton na pomoc dwom ucierającym się już od godziny, wszelako nic to nie pomogło. Pogrzeb zatrzymał

[1]) Giller w cytowanem dziele powiada, że za uciekającym księdzem wpadł kozak do kruchty kościelnej; to samo twierdzi parę relacyi drukowanych polskich. W rękopiśmiennych urzędowych i nieurzędowych sprawozdaniach, wiadomość ta się nie potwierdza.

się, tłum zbitą masą stał, krzyczał, wymyślał na kozaków. W obec tego namiestnik, który z Enochem i kilku jenerałami patrzał z okien Zamku na rozgrywający się przed jego oknami dramat, widząc bezowocność usiłowań kozackich, postanowił nakoniec użyć piechoty do rozpędzenia tłumów. Do tego postanowienia przyczynił się może widok kozaka ciężko ranionego w głowę, zlanego krwią, który, ledwie trzymając się na koniu, był właśnie w tej chwili przez towarzyszów prowadzony do Zamku. Wskutek rozkazu namiestnika wystąpił pułkownik Hartong z batalionem piechoty pułku muromskiego, do którego zaraz potem przyłączyła się jeszcze jedna kompania pod dowództwem pułkownika Fenshaw. Hartong podzielił swe siły tak, że jedna połowa posuwała się wzdłuż prawej, a druga lewej strony ulicy. Zaledwie atoli zbliżyli się do kościoła Bernardynów, gdy posypał się na nich grad pocisków, najprzód z poza krat żelaznych, znajdujących się między kościołem a dzwonnicą, a potem z owych gór kamieni, gruzu i cegieł, leżących wprost budującej się resursy. Głównie ucierpiała od tego lewa kolumna wojska. Mimo to żołnierze żwawo posuwali się naprzód, bili kolbami nawijających się po drodze i ostatecznie oczyścili ulicę aż do figury Matki Boskiej, która stała wtedy wprost domu Orgelbranda, niegdyś należącego do Dra Malcza, i znanego powszechnie pod tem imieniem. W owe czasy, na miejscu, gdzie dziś znajduje się piękny skwer z wodotryskiem, wznosił się szereg ścieśnionych domów tworząc t. z. wązkie Krakowskie Przedmieście. W tem miejscu miała się rozegrać najtragiczniejsza scena tej całej tragedyi.

Kiedy batalion Hartonga dotarł do tego miejsca, a za nim środkiem ulicy posuwał się karawan ze zwłokami Łempickiego [1]), zjawiła się nowa osobistość i z nowemi siłami wojskowemi. Osobistością tą był jenerał-lejtnant, de-

[1]) Zawrócony przez kozaków nie poszedł ulicą Senatorską, ale postępując za batalionem Hartonga dostał się do Trembackiej i tędy się przemknął. Księża zaś poszli ulicą Senatorską.

żurny jenerał 1-szej armii Zabołockij, którego imię miało od tej chwili stać się historycznem, powtarzanem ciągle, przeklinanem przez wszystkich, przez Rosyan i Polaków. Przyjechał on niedawno do Warszawy, przed kilku zaledwie tygodniami, z wycieczki zagranicę i prawdopodobnie nie bardzo pojmował, co się tu koło niego dzieje. Wyszedłszy z Zamku w chwili, gdy kozacy Zawarowa ucierali się z procesyą, widząc zamęt dokoła panujący, przebiegających kozaków, strwożone twarze, jednem słowem burzę, która mogła najspokojniejszego człowieka wstrząsnąć, ruszył do pałacu Prymasowskiego z zamiarem wzięcia czynnego udziału w przywróceniu porządku. Zabrawszy z rzeczonego pałacu kompanią piechoty pułku nizowskiego, wyszedł z nią przez tylne wrota na ulicę Kozią a potem na Krakowskie Przedmieście w pobliżu poczty. Tu stosunkowo było dość spokojnie; lud stał gromadkami, od czasu do czasu pojawiali się kozacy, lecz nic groźnego ani niebezpiecznego dla władzy nie było. Zabołockij chcąc dać jakieś zajęcie kompanii, przypomniał sobie, że w Zamku mówiono, iż procesya chce się dostać do sali posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Spojrzał w tym kierunku i zdawało mu się, że przed pałacem namiestnikowskim jest jakiś ruch niezwykły. Postanowił tam pójść.

Cóż jednak przez ten czas, gdy na ulicach rozgrywały się takie sceny bolesne, działo się w Towarzystwie rolniczem? Tam właśnie na wniosek Tomasza hr. Potockiego uchwalono uwłaszczenie; do zgromadzonych dochodził ponury, głuchy szum burzy wrzącej na ulicy, przebiegał po nich dreszcz niepokoju. Ten i ów wychodził, żeby zobaczyć co się dzieje i wracając przynosił coraz groźniejsze, dziwniejsze wieści. Muchanow zjawił się na posiedzeniu mówiąc do Zamoyskiego, że przyszedł dzielić z Towarzystwem grożące mu od agitatorów niebezpieczeństwo. Szeptano sobie, że kozacy lud biją, tratują po ulicach, że sceny odbywają się straszne, barbarzyńskie, najazd Mongołów przypominające. Coraz większy niepokój ogarniał zebranych; siedzieli jak na rozżarzonych węglach. Poczęły

się nakoniec odzywać głosy, że niepodobna, by Towarzystwo obojętnie się zachowywało w obec okropnych wypadków, dziejących się pod jego bokiem; że trzeba wybrać deputacyą i posłać do Zamku, do namiestnika, żądać cofnięcia wojsk, ustępstw dla kraju. Zrazu lękliwe, pojedyncze te głosy, powoli zwiększały się, stawały się liczniejsze, żądania wyraźniejsze i bardziej stanowcze. Zamoyki słuchał tego, słuchał, nakoniec powstał i począł mówić... Lecz nie wypowiedział jeszcze nawet kilku słów, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do sali wszedł, a raczej wniesiony został przez przyjaciół, członek Towarzystwa Józef Narzymski, zamożny obywatel z Płockiego, znany w tej dobie całej Warszawie hulaka i utracyusz, który z czasem miał zająć bardzo wybitne stanowisko w literaturze ojczystej. Brał on czynny udział we wszystkich manifestacyach, znalazł się i w ostatniej i został zbity przez kozaków batami pod kolumną Zygmunta. Przyjaciele przywieźli go dorożką i stękającego, zbroczonego krwią wnieśli na salę posiedzeń, usadzili w krześle i poczęli opowiadać zebranym i zdziwionym niezmiernie tem zjawiskiem, całą historyą Narzymskiego. Scena była niesmaczna i miała charakter teatralny, więc Zamoyski wysłuchawszy dość długiego, szczegółowego i gorącego opowiadania, zapytał się tonem chłodnym i posępnym: „czegóż więc panowie chcecie?“ Na to otaczający Narzymskiego odrzekli, że chcą, żeby do Zamku była wysłana deputacya, którąby przedstawiła namiestnikowi istotny stan rzeczy, napaść wojska na bezbronnych, zbeszczeszczenie świętości, poranienie wielu osób, przechodniów nic niewinnych, i żądała obrony przed taką napaścią. Na to hrabia Zamoyski, zawsze zachowując swój ton chłodny i posępny, odparł, że Towarzystwo nie ma prawa mięszać się do zarządu miasta; że dla tego rodzaju spraw są specyalne instytucye, np. ratusz, gdzie właściwie trzeba było odprowadzić ranionego, a nie tutaj, na salę posiedzeń Towarzystwa.

Słowa te nacechowane delikatną i pańską ironią, mówiącą wyraźnie, że sędzią awantur ulicznych jest policya,

niepodobały się większości zgromadzonych. „Przecież on obywatel, wołano, nasz kolega, a nawet członek naszego Towarzystwa. Czyż godzi się nie ująć się za niego?“ — „Jeżeli pan Narzymski jest obywatelem i naszego Towarzystwa członkiem, zauważył lodowatym tonem Zamoyski, to powinien się tu znajdować, na posiedzeniu, a nie mięszać się między uliczników i awanturować z wojskiem. Gdyby tu był, byłby cały“. Wyrazy te wywołały powszechne nieomal oburzenie. Podniosło się mnóstwo głosów, że przyjaźń i związki z rządem moskiewskim winny mieć dla każdego dobrego Polaka pewne granice; że są obowiązki wyższe od obawy skompromitowania się w obec władzy; że są chwile, w których wszyscy, do jakiegokolwiek należeliby stronnictwa i obozu, powinni ponosić ofiary. Zamoyski spokojnie wysłuchał tej burzy i zniósł te dotkliwe pociski, a gdy się nieco uciszyło, odrzekł, że nie obawa kompromitacyi przed władzą, ale prosta przyzwoitość nakazuje mu danie odmownej odpowiedzi tym panom; że gotów jest jechać do Zamku sam jeden, gdyby tego wymagały okoliczności, ale deputacyi nie wyśle; że co się tyczy jego uczuć patryotycznych, to te dobrze są znane ogółowi. W końcu gorąca, angielskim pokostem lodu pokryta, dobra jego polska krew rozgrzała się nieco, i zawołał: „chcecie, żebym ja przewodniczył burdzie? nigdy!“

Podniosła się jeszcze większa wrzawa. Jedni popierali zdanie swego prezesa, inni domagali się wysłania natychmiast deputacyi, gdyż inaczej wszystko skończy się jakąś katastrofą, a wtedy nie czas będzie na pertraktacye. Zamoyski jeszcze raz chciał mówić, wzywał do porządku, dzwonił, ale naprożno. Żądano, żeby już nie deputacyą wysłać, ale żeby całe Towarzystwo gremialnie wyruszyło do Zamku. Nacisk był tak silny, że Zamoyski zawsze poddający się żądaniu większości, z widocznym jednak wstrętem zgodził się na to i ogłosił zamknięcie posiedzenia. Wszyscy zebrani wyruszyli z sali sesyonalnej. Na dziedzieńcu jednak, już koło czterech lwów zamykających wejście do pałacu, Zamoyski rozmyślił się, przedstawił ota-

taczającym go, że lepiej będzie rozejść się i zawrócił na lewo do swego mieszkania. Część zebranych poszła za nim a część pod wodzą Marcelego Karczewskiego, obywatela z okolic Sieradza, człowieka już niemłodego, mimo to zapalonej, gorącej głowy, udała się na prawo, ku miejscu manifestacyi.

Ten to ruch, wychodzących tłumnie członków Towarzystwa, zauważył zapewne stojący ze swą kompanią przed gmachem pocztowym, jenerał Zabołockij. Wskutek tego skierował się ku pałacowi namiestnikowskiemu, ale widząc, że tu spokojnie, że na dziedzińcu stoi batalion piechoty, zawrócił i zatrzymał swój oddział na rogu ulicy Czystej, gdzie stał jakiś czas przypatrując się i przysłuchując wrzawie, dochodzącej aż tutaj z pod Bernardynów. Zbliżyło się doń kilku oficerów i opowiadało mu o bójce ludu z kozakami przed odwachem, który znajdował się wówczas tuż przy kościele rzeczonym, w miejscu gdzie do dziśdnia rośnie kilka samotnych kasztanów. Zabołockij wysłuchał tego i ruszył ze swą kompanią z powrotem, jak się zdaje w zamiarze zaprowadzenia jej do koszar, do pałacu Prymasowskiego. Ale w miarę zbliżania się do poczty wrzawa wzrastała; tłumy snujące się dokoła, wygrażały i wymyślały żołnierzom; do jenerała podjechał jakiś kozak i doniósł, że „Polacy rozbijają odwach“, co potwierdził nieznany ordynans w mundurze. Wobec tego Zabołockij nie wiele myśląc, porzucił swój pierwotny zamiar odprowadzenia kompanii do jej koszar, i ruszył na wązkie Krakowskie Przedmieście. Ale tutaj tłum był tak gęsty, że niepodobna się było zwykłym frontem przedostać. Prócz tego z ulicy Bednarskiej podjechał wóz z cegłą, wywrócił się umyślnie czy przypadkiem i zagrodził drogę. Za tym wozem nagromadziło się kilka dorożek, o których powiadano, że je ustawił Marceli Karczewski, który po wyjściu z Towarzystwa zjawił się tutaj, otoczony liczną grupą swych kolegów. Na dorożkach tych stało kilku mężczyzn i ciekawie przypatrywało się niezwykłemu widowisku.

Zabołockij kazał żołnierzom przesuwać się pojedynczo

chodnikiem lewym (idąc ku Zamkowi), ale zaledwie kompania ruch ten rozpoczęła, gdy powitana została gradem kamieni, błota i słów obelżywych. Tłum zwracał się do jenerała i wołał: „krzyże nam rąbią, wiarę hańbią!“ Mimo to żołnierze przedostali się na szerokie Krakowskie Przedmieście i spostrzegli posuwający się naprzód batalion Hartonga, a za nim karawan z ciałem Łempickiego. Zabołockij kazał kompanii stanąć i rozwinąć się wzdłuż trotoaru lewego, tyłem do niego a frontem do ulicy; zajął tym sposobem przestrzeń od apteki Hakebajla do istniejącego podówczas zaułka, łączącego ulicę Kozią z Krakowskiem Przedmieściem. Kamienie wciąż padały, zwłaszcza, według podejrzanej relacyi oficerów z oddziału Zabołockiego, z drugiego piętra domu Malcza, gdzie w jednem z okien siedziały dwie damy, a za niemi stali jakoby mężczyzni i ci mieli ciskać kamienie. Niemniej tłum, stojący gęstą masą obok wzmiankowanego domu, nie przestawał kamienować i wymyślać „kapuśniakom“. Sam jenerał został porażony ciężką cegłą w plecy.

W tej chwili właśnie oddziały Hartonga i Fenshawa zbliżyły się do wylotu wązkiego Krakowskiego Przedmieścia, które, jak wyżej powiedziano, zabarykadowane było dorożkami. Potrzeba było raz temu koniec położyć i ulicę oczyścić dla rzeczonego batalionu i dla orszaku pogrzebowego. W tym celu Zabołockij, zupełnie niepotrzebnie mięszając się do rzeczy, której wykonanie poleconem było oddziałowi Hartonga, rozkazał dwom kozakom, którzy się przy nim znajdowali, rozpędzić dorożki. Ale wszelkie usiłowania na nic się nie zdały. Tłum odpierał, straszył, bił konie. Wówczas Zabołockij nakazał swej kompanii bagnetami oczyścić ulicę, ale i to do niczego nie doprowadziło. Tłum krzyczał, wymyślał, rzucał kamieniami, szydził, śmiał się, wrzeszczał. Rozgniewany do żywego Zabołockij oświadczył, że będzie strzelał. „Nie wolno, odpowiadano mu, Napoleon zabronił!“

Trzeba było istotnie wielkiej, niezwykłej woli, by znieść spokojnie, mając siłę w ręku, takie naigrawanie

i takie obelgi. Postawa rozszalałych mas była wyzywająca i Zabołockij rozkazał broń nabić, ale kapiszonów na brandki nie nakładać. Żołnierze dobyli nabojów, odgryźli je zębami, wpuścili w lufy, a wśród tłumu ciągle rozlegały się żarty brutalne, zjadliwe szyderstwa, dotkliwe obelgi. „Nie bójcie się, ktoś wołał z jednej z doróżek, ślepymi ładunkami będą strzelali“. Nikt nie wierzył, by naprawdę dano ognia do bezbronnego, jak mówiono, ludu. Zabołockij jeszcze raz zwrócił się do tłumu i groził, że jeżeli się nie rozejdą, będzie strzelał. Wyrazy te powitano śmiechem i słowami o Napoleonie. Kamienie nie przestawały ani na chwilę latać koło głów żołnierzy.

Zabołockij nakazał jednemu plutonowi zajść lewem ramieniem naprzód, frontem do domu Malcza i do wązkiego Krakowskiego Przedmieścia. W chwili gdy ten obrót wykonywano, żołnierze poczęli wołać: „strzelają! strzelają!“ Oczywiście nikt nie strzelał, ale te słowa zdecydowały Zabołockiego. Rozległa się komenda: ognia! W mgnieniu oka kapiszony znalazły się na brandkach i zagrzmiała palba, nieco przeciągła, niesforna, rozrzucona, świadcząca o silnem wzburzeniu żołnierzy. Kule w ogólnej liczbie 55, padły w dom Malcza, i w zbite, gęste masy ludu na wązkiem Krakowskiem Przedmieściu. Ściany domu zostały poorane pociskami, pięć okien wybito, w magazynie mód panien Kuhnke cztery kule uwięzgły w suficie, stłukły lustro, podziurawiły firanki [1]). Przed samą bramą domu padł zabity na miejscu, niejaki Michał Arcichiewicz, uczeń klasy czwartej gimnazyum realnego. Kula uderzyła go w głowę, tak że mózg rozprysł się dokoła. Na rogu ulicy Bednarskiej, tuż przy gmachu Towarzystwa dobroczynności, chroniąc się w bramę domu poległ Marceli Karczewski, znany nam już obywatel z Sieradzkiego, właściciel dóbr Przeczni i członek Towarzystwa rolniczego.

Tutaj więc padły wszystkiego dwie ofiary, ale w wąz-

---

[1]) Lustro to i firanki przez długi czas zachowywały u siebie panny Kuhnke na pamiątkę.

kiem Krakowskiem Przedmieściu, gdzie stały zbite masy ludu, pomimo nadzwyczaj nieporządnych strzałów wojska, było trzech zabitych i kilkanaście osób ranionych. Na jednej z dorożek stojąc padł Zdzisław Rutkowski, także obywatel ziemski, dziedzic dóbr Jaszowic w Radomskiem, młody człowiek, zaledwie dwadzieścia kilka lat mający; na samej ulicy, na chodniku polegli: Karol Brendel, czeladnik ślusarski, pracujący w jakiejś fabryce żelaznej, i Filip Adamkiewicz, pierwotnie uważany za wyrobnika, zajętego przy budowie mostu na Wiśle, a jak później się przekonano, czeladnik krawiecki, wdowiec, lat 46 liczący, rodem z Warszawy [1]).

[1]) Rozmaite relacye, jakie posiadamy pod ręką, różnią się między sobą co do miejsca, w którem padło pięć ofiar. Według raportów urzędowych, Arcichiewicz zginął w bramie domu Malcza; według pewnej relacyi rękopiśmiennej „mieszkańca Warszawy“, którą w naszych zbiorach mamy, poległ w oknie domu Malcza. Zdzisław Rutkowski, według tejże relacyi, miał paść przeszyty kulą na progu sklepu kupca Bogdańskiego; inne, bardzo wiarogodne opowiadanie naocznego świadka, za którem w tekście poszliśmy, twierdzi, że poległ stojąc razem z Karolem Majewskim w dorożce, przyczem zaniepokojonego nieco widokiem nabijania broni, Majewski upewniał, że będą strzelali ślepymi ładunkami. Mamy jeszcze jedną relacyą, także rękopiśmienną, która utrzymuje, że Rutkowski nie mając wcale zamiaru brania udziału w manifestacyi, wyszedł z hotelu Saskiego, gdzie mieszkał, po lekarstwo dla chorej żony do apteki Hakebajla, i na jej schodach padł przeszyty kulą w samo serce; Lisicki (Le Marquis Wielopolski II, 137) utrzymuje, że zginął idąc na pocztę po konie. Co do Brendla i Adamkiewicza wieści są jeszcze niepewniejsze. Okazać się bowiem miało, jak utrzymują źródła rosyjskie, że Brendel żył w r. 1864. Być to mogło, wszelako nie ulega żadnej kwestyi, że pięć trupów zebrano i pięć pogrzebano. Wszyscy je przecie oglądali, dziesiątki tysięcy osób modliło się u stóp zwłok; mimo to, mogło być prawdopodobnem, że ten, którego uroczyście pochowano d. 2 Marca pod nazwiskiem Brendla, inne nosił miano. Gdyby tak było, to dziwić się temu nie można. Przy zamęcie, jaki powstał po wypadkach d. 27 Lutego, trudnem w istocie było skonstatowanie osobistości jakiegoś prostego, nikomu nieznanego robotnika. Wszelako staranne z naszej strony poszukiwania przekonały nas, że podejrzenia rosyjskie nie mają żadnej podstawy. Istotnie d. 27 Lutego 1861 r. poległ na Krakowskiem Przedmieściu Karol

Skutek strzałów był taki, jakiego spodziewać się należało. W jednem mgnieniu oka ulica została pustą, doróżki pędem uciekały. Tłum rozprysł się jak stado spłoszonych owiec, z czego korzystając batalion Hartonga i Fenshawe, którego kompania, widząc strzały, bez rozkazu poczęła nabijać broń, przeszły spokojnie, zawsze z karawanem za sobą, aż do ulicy Czystej, i tu zawróciły z powrotem do Zamku [1]).

Tymczasem po cofnięciu się wojska, które przez niepojęte nierozgarnięcie dowódców, zostawiło zabitych na ulicy, lud począł się znowu kupić koło poczty i na innych punktach. Z jękiem, płaczem, klątwami i odgróżkami rzucono się do zbierania ranionych i poległych. Karczewskiego, jeszcze żywego, gdyż dostał kulą w bok poniżej serca, podniesiono na rogu ulicy Bednarskiej, wsadzono do doróżki i zawieziono do hotelu Smoleńskiego, w którym mieszkał i który się znajdował na tejże ulicy. Tam jednak z powodu przerażenia ogólnego, ranionego nie chciano przyjąć; wówczas przyszło komuś do głowy zanieść go do domu Malcza. Tu Karczewski w sieni wkrótce skonał, popomimo szybko podanej pomocy z apteki Hakebajla. Z tru-

---

Brendel, czeladnik ślusarski. Akt jego zejścia spisany został zaraz nazajutrz w parafii Śgo Jana, gdzie oznaczony jest w księgach stanu cywilnego numerem 212. Jako świadkowie do aktu tego stanęli: Julian Rzeczkowski, rządca domu i Marcin Falkowski, litograf, i zeznali, że d. 27 Lutego, w domu pod № 372 na Krakowskiem Przedmieściu (dziś zburzony i zajęty na skwer) zmarł Karol Brendel, lat 24 liczący, rodem ze wsi Chlewisk w gubernii Radomskiej, syn Józefa i Antoniny z Góreckich. Akt zejścia Adamkiewicza Filipa znajduje się w księgach parafii św. Krzyża, i powiada, że denat zmarł pod № 419, czyli przed jednym z domów w pobliżu ówczesnej poczty.

[1]) Karawan ze zwłokami Łempickiego zawrócił na ulicę Trembacką i „lecąc nadzwyczajnym pędem“, jak się wyraził przy śledztwie dziad Rosiński, połączył się z księżmi na ulicy Bielańskiej. Ponieważ w zamięszaniu nikt nie zauważył, co się stało z karawanem, więc późniejsi pseudo-historycy rosyjscy twierdzili, że cały ten pogrzeb urządzony był przez agitatorów, chowających niby rząd rosyjski.

pem Rutkowskiego postanowiono pojechać do Zamku, pokazać zabitego namiestnikowi i żądać surowego ukarania sprawców tej zbrodni. Ale na placu Zygmunta, kozacy, snujący się jeszcze tu i owdzie i rozpędzający zbiegowisko, napadli na jadących, zbili ich batami i zmusili do odwrotu [1]). Pojechano więc do domu Malcza, i tam złożono w sieni zwłoki, obok Karczewskiego i Adamkiewicza, o którym nie wiedziano jeszcze jak się nazywa. Ciała Brendla i Arcichiewicza zaraz z początku wniesiono do magazynu mód panien Kuhnke, gdzie pierwszy wkrótce skończył życie [2]). Co do Rutkowskiego, to po krótkiej naradzie, ruszono z jego trupem do hotelu Europejskiego. Współcześnie z mieszkania panien Kuhnke, uczniowie i studenci wynieśli ciało Arcichiewicza, i posuwano się naprzód z Rutkowskim w dorożce, śród rosnącego tłumu, wśród płaczu i przekleństw na Zabołockiego i Moskali. Niosący, idąc z gołą głową, wołali: „zdjąć czapki, cześć dla ofiar!“ Wszyscy odkrywali głowy, kobiety płakały, rzemieślnicy klękali na ulicach i głośno przysięgali zemstę. Arcichiewi-

---

[1]) I pod tym względem znajdujemy różne sprzeczności w relacyach. Berg w „Zapiskach“, oraz rękopisie „mieszkańca Warszawy“ twierdzą, że Rutkowskiego wprost z ulicy zawieziono do domu Malcza. Poszliśmy w tekście za bardzo wiarogodną relacyą świadka naocznego, który jechał z ciałem Rutkowskiego do Zamku. Berg utrzymuje, że do Zamku powieziono zwłoki Adamkiewicza; „mieszkaniec Warszawy“ i raport policyjny, którego dosłowną kopią posiadamy, twierdzi, że nie Rutkowskiego, nie Adamkiewicza, ale Brendla chciano pokazać namiestnikowi.

[2]) Niemniej rozmaite są relacye i co do tego, w którem miejscu składano najprzód zwłoki zabitych. Berg utrzymuje, że Karczewskiego zaniesiono do magazynu panien Kuhnke, gdzie już miały się znajdować ciała Brendla i Adamkiewicza; że gdy jeszcze wniesiono tam Rutkowskiego, przerażone kobiety nie chciały go przyjąć, mówiąc, że „nie mają go gdzie pomieścić, że już trzech jest dosyć“. W rzeczy zaś samej, jak nas przekonały nasze poszukiwania, u panien Kuhnke złożone były tylko zwłoki Brendla i Arcichiewicza, przyczem ci, którzy je nieśli, zastawszy drzwi do magazynu zamknięte, wyłamali je siłą. Wszystkie zaś inne ciała, złożono w sieni domu Malcza.

cza zaniesiono do pałacu Zamoyskiego na Nowym Świecie i tu domagano się, by pan Andrzej się ukazał. Pan Andrzej się ukazał w towarzystwie Węglińskiego i w obec pokrwawionego trupa Arcichiewicza zachował swą zwykłą flegmę angielską, a choć domagano się, by przemówił, choć wołano: „panie hrabio, ujmij się za nieszczęśliwym narodem, męczonym i zabijanym“, milczał jednak uparcie. Zato Węgliński, szlachcic wysoki i tęgi, słynny ze swej wymowy, wśród gestów gwałtownych, potrząsając pięścią, wygłosił mowę ognistą, pełną tych pseudo-patryotycznych słów szumnych a pustych „o ofiarach krwawych, składanych na ołtarzu ojczyzny“. Tłum zadowolony tą mową, poniósł ztąd zwłoki Arcichiewicza do mieszkania rodziców, którzy, jako oficyaliści Zamoyskiego, mieszkali w zabudowaniach pałacowych. Z Rutkowskim zatrzymano się przed hotelem Europejskim, wyjęto z dorożki i wśród wygrażań i wymysłów, przeniesiono obok batalionu piechoty, która stała między hotelem i komendanturą placu (t. z. Ordonanshaus). Zarządzający hotelem, Niemiec Knoll, zrazu opierał się przyjęciu takiego niebezpiecznego depozytu; nie chciano go nawet słuchać i wniesiono trupa na korytarze. Jeden z właścicieli hotelu, Wambach, niegdyś oficer wojsk polskich, który przypadkiem znalazł się tam wtedy, kazał otworzyć dla przyjęcia zwłok № 64, na drugiem piętrze, duży, pół okrągły salon, znajdujący się nad cukiernią Kontiego. Tu ułożono zwłoki nieszczęśliwej ofiary na materacu i czystej poduszce.

Koło godziny 5-tej po południu, wśród tłumów snujących się olbrzymiemi masami po ulicach, wśród nieopisanego wzburzenia umysłów, postanowiono przenieść i resztę zwłok do hotelu Europejskiego z domu Malcza i magazynu panien Kuhnke. O Adamkiewiczu dotąd nie wiedziano, kto jest i jak się nazywa. Zrazu rozeszła się pogłoska, że miano jego jest Witte, że jest Francuzem i dla tego postanowiono zanieść go do konsulatu francuzkiego i tam złożyć. Wśród krzyków: do konsula! do konsula! wyruszono z trupem. Ale konsul p. Segur-Dupeyron, zwłok nie

przyjął, mówiąc chłodno, że niema miejsca na pomieszczenie trupa i że jutro rozpatrzy tę sprawę. Zawrócono więc do hotelu Europejskiego, gdzie już wszystkie inne zwłoki były złożone, oprócz Arcichiewicza.

Tymczasem miasto wrzało; cała ludność nieomal wyległa na ulice, odgrażano się, krzyczano, płakano. „Co się mamy dać mordować bezkarnie, wołali rzemieślnicy, weźmy się bracia do zbójów, zduśmy, stłuczmy, kości na mak pogruchoczmy“. Najzimniejsze, najspokojniejsze umysły nie mogły się oprzeć gorączce, ogarniającej wszystkich. Znajomi spotykając się, witali słowami: „a więc jeszcze żyjesz?“ jakby nie pięć osób poległo, ale tysiące; jakby nie jeden pluton strzelał, ale całe pułki i rzeź w mieście była. Obiegały różne, po większej części nieprawdziwe pogłoski. Mówiono, że nie pięć osób poległo, ale ośm; wymieniano nazwiska jakiegoś Czerniewicza, rzeźnika Kabatkina i nieznanego z imienia kowala. Rannych miało być mnóstwo; przytaczano nazwisko panny Matyldy Malta, którą ciężko poranioną zaniesiono do domu; niejakiego Henryka Karskiego, któremu kula rękę strzaskała [1]), nazwiska Błeszyńskiego, Wiśniewskiego, Stanisława Wołowskiego, Kolasińskiego i w końcu kilku żydów. Kupcy przerażeni rosnącem wzburzeniem i zbiegowiskiem pozamykali sklepy. Na ulicach nie widać było wojska ani policyi i wszystkich uderzała ta okoliczność. Mówiono sobie, że namiestnik cofnął wojsko, bo mu nie dowierzał, że w czasie strzelania Zabołockiego, jakiś junkier wyszedł z szeregu, złamał szablę i ukrył się w tłumie. Bądź co bądź, jakkolwiek wszystkie te wieści nie miały w sobie ani odrobiny prawdy, wszelako cofnięcie wojsk i policyi z ulic było faktem widocznym, uderzającym każdego i świadczącym, że władza straciła głowę i przeraziła się sama tego, co zrobiła.

Cóż więc przez ten czas działo się w Zamku?

---

[1]) Karski dostał kulą w rękę, stojąc z kilku znajomymi, na schodkach przed księgarnią Gebethnera na Krakowskiem Przedmieściu.

Gdy pierwsze echo grzmiących na Krakowskiem Przedmieściu strzałów doszło do Zamku, namiestnik wyszedł do sali przyjęć, gdzie od rana pełno było różnych wyższych oficerów i zapytał: „kto to strzela i gdzie?“ Gdy na razie nie mógł nikt na to odpowiedzieć, Gorczakow kazał jenerałowi Wiesielickiemu siąść na koń i przekonać się o stanie rzeczy i powodach strzelania. Wiesielicki przypadł do Zabołockiego właśnie w chwili, gdy ten, dokonawszy swego, ściągał kompanią w zamiarze odwrotu. Zapytany dla czego strzela bez niczyjego rozkazu, Zabołockij miał odrzec tonem szorstkim i wzburzonym, że nie jemu (Wiesielickiemu) zda z tego sprawę. Tymczasem do Zamku zdołała już dobiedz wieść niejasna i nieprawdziwa, że „powstańcy strzelają z domu Malcza do wojska“. Na skutek tego namiestnik rozkazał jenerałowi Semece, kwatermistrzowi armii, wziąć ze sobą kompanią piechoty i aresztować wszystkich w domu Malcza, jeśli wieść o strzelaniu z tego domu okaże się prawdziwą. Semeka wyruszył i spotkał Zabołockiego, postępującego na czele kompanii, bladego, drżącego, z gołą szablą na dół spuszczoną, koło kościoła Bernardynów. Dowiedziawszy się, z jakim rozkazem Semeka został wysłany, Zabołockij rzekł: „uspokój się pan, to nie z domu Malcza, to ja strzelałem“. Wrócili więc obadwaj do Zamku, a kompania Zabołockiego zatrzymała się przy kolumnie Zygmunta, i w jakiś czas potem poszła ulicą Senatorską do pałacu Prymasowskiego, gdzie zaraz przeliczono wystrzelone ładunki, których było 55.

Zabołockij z Semeką wszedłszy do sali przyjęć, zastali tu mnóstwo oficerów wszelkiego stopnia, którzy dość głośno narzekali na nieczynność władzy, na brak wszelkich rozporządzeń. Dyrektor kancelaryi namiestnika, rzeczywisty radca stanu Kazaczkowski wołał, że oddawna należało zająć przez wojsko wszystkie główniejsze punkta miasta i ogłosić stan wojenny; że takie postąpienie odrazu by położyło koniec nieporządkom. W drugiej, mniejszej sali Gorczakow przyjął Zabołockiego, wysłuchał jego opowiadania i mruknąwszy: „parfaitement fait“ (wybornie zrobione) od-

szedł do swego gabinetu [1]). Zabołockij wrócił do zgromadzonych oficerów, tu jeszcze raz opowiedział całą historyą swego strzelania, uskarżał się na ból w plecach i na skutek rady obecnych, by sobie kazał co na ten ból zrobić, poszedł do domu zupełnie spokojny, przekonany, że spełnił swój obowiązek jak należy i że Gorczakow nie inaczej na tę sprawę się zapatruje.

Ale jeszcze tego samego dnia namiestnik miał zmienić pod tym względem zdanie. Wzburzenie umysłów, ogarniające całe miasto, przesadzone wieści obiegające wszędzie, gorączka powszechna udzieliła się najspokojniejszym nawet osobom, których stanowisko i wiek, zdawaćby się mogło, powinien był od tego ustrzedz. Do zamku dochodził ponury odgłos, głuche mruczenie wielkiego, wzburzonego do głębi miasta. Co chwila ktoś wbiegał i donosił najnierozsądniejsze wieści, że Warszawa gotuje się do powstania powszechnego, że tylko patrzeć, jak ono wybuchnie i potokami krwi zaleje ulice. Powoli, pod wpływem tych wieści, poczęły się zmieniać pojęcia dotychczasowe o stanie rzeczy u Gorczakowa. Chory, wrażliwy, przyjmował wszystkie te wieści, jako mające w sobie cząstkę prawdy i nabierał przekonania, że postępek Zabołockiego był błędem, zbrodnią nawet, za którą przyjdzie rządowi rosyjskiemu ciężko odpokutować w Polsce. W obec modnych w owe czasy idei liberalnych, wobec budzącej się w Rosyi opinii publicznej, lękać się zaczął, że ta opinia go potępi za czyn całkiem niepotrzebny, czyn brutalnej siły wojskowej, krwawej napaści na bezbronnych. W umyśle jego prostym i szczerym, w sercu dobrem w gruncie rzeczy, budził się pewien wstręt przeciw krokom gwałtu, zwłaszcza, że ostatecznie Polacy są nieszczęśliwi, żądania ich bądź co bądź są słuszne, i mają prawo do ustępstw w czasach, gdy wszystkie rządy ustępują. Cóż wobec tego powie Rosya, co powie Europa, gdy wieść do niej dojdzie o krwawych

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły zaczerpnięte są z Berga (Zapiski, 200 i nast.) Autentyczności ich sprawdzić nie mogliśmy.

scenach warszawskich? Trzebaż było jemu, bohaterowi Sewastopola, ściągnąć przy końcu życia na swą siwą głowę krew niewinnie przelaną! A przytem w grupie dygnitarzy wojskowych, otaczających starego namiestnika, znajdowało się wielu intrygantów, wielu wrogów Zabołockiego, którzy korzystając ze sposobności, nie omieszkali podburzać Gorczakowa przeciw jenerałowi, który wmięszał się w rzeczy niepotrzebnie, działał samowolnie, bez rozkazu, i narobił piwa, które rząd musi wypić. Twierdzono, że chwila jest straszna i bardzo niebezpieczna, bo, jeżeli powstanie istotnie wybuchnie, władza z trudnością będzie mu mogła stawić czoło. Mówiono, że w całem Królestwie jest zaledwie 25.000 wojska, że garnizon warszawski dochodzi ledwie pięciu tysięcy. Czyż z taką siłą możliwe jest pokonanie powstania w mieście, liczącem przeszło dwakroć sto tysięcy ludności? Gorczakow wiedział o tem dobrze, iż istotnie Królestwo ogołocone jest z wojska. Wskutek zbliżającego się ogłoszenia ukazu o usamowolnieniu włościan i obawy mogących z tego powodu wybuchnąć rozruchów, ściągnięto do cesarstwa wszystkie rozporządzalne siły, zwłaszcza, że Królestwo zdawało się być ciche i zadowolone ze stanu rzeczy, jak zapewniał raport z r. 1860. Gdyby więc powstano w Warszawie, a za nią rozumie się w kraju całym, czemże zdołanoby się ruchowi oprzeć? Nimby można ściągnąć pomoc z Litwy, pomoc spóźnioną dla złych dróg i roztopów, Bóg wie, co przez ten czas może się stać w Polsce, do czego dojść. Znana osobiście Gorczakowowi waleczność Polaków, wspomnienia 1831 r. i kampanii krymskiej, nadawały w umyśle starego wodza cechę prawdopodobieństwa klęsce, jaka czekała Rosyą. Wszyscy otaczający go, jak zwykle dworacy, widząc gwałtowną zmianę w usposobieniu namiestnika, malowali stan rzeczy w kolorach jak najczarniejszych, wygadywali na Zabołockiego, nazywali go słusznie zresztą zbrodniarzem, godnym surowej kary, burzycielem porządku publicznego, zuchwalcem, który nadużył swej władzy, który zgrzeszył przeciw karności wojskowej. Ci, którzy przed chwilą oburzali się

w Zamku na brak zdecydowanego programu w postępowaniu, wszyscy Kazaczkowscy i inni, pochowali się gdzieś, chodzili mroczni i chmurni, milczeli, wzdychali i ruszali ramionami.

Tymczasem wzrastająca gorączka, powszechne szemranie przeciw Zabołockiemu, wzbudziły w niektórych wybitniejszych osobistościach w mieście zamiar udania się do Zamku i przedstawienia namiestnikowi stanu rzeczy, żądania przerwania gwałtów ulicznych i ukarania winnych. W tym celu, jak się zdaje z własnej inicyatywy i bez porozumienia się z kimkolwiek innym, udał się wieczorem do namiestnika arcybiskup Fijałkowski. Gorczakow przyjął arcybiskupa szorstko, nie dał mu mówić i zagroził, że, w razie powtórzenia się podobnych manifestacyj ludowych, wyda rozkaz strzelania ze wszystkich dział fortecznych. Na to Fijałkowski, człowiek pomimo wieku łatwo się unoszący, odrzekł: „a ja każę uderzyć we wszystkie dzwony!“ Rozstano się z gniewem i niezadowoleniem [1]).

Gdy się takie sceny rozgrywały w Zamku, u hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, w jego pałacu na Nowym Świecie, zbiegło się tymczasem mnóstwo szlachty, członków Towarzystwa rolniczego, cały Komitet, złożony wyłącznie prawie z Klemensowczyków, i burzliwie poczęli się naradzać, coby w obec tak poważnych okoliczności czynić należało. Myśl o adresie, któryby wypowiadał wszystkie żądania i wszystkie bóle polskie, znowu się obudziła wbrew postanowieniu, zapadłemu przed trzema dniami, zapewne pod wpływem wiadomości, że mieszczaństwo warszawskie już wczoraj krzątało się koło napisania adresu. Gdyby to przyszło do skutku, mówiono sobie, pominąwszy już tę okoliczność, że taki rozdział ludzi dobrej woli, nie może być korzystnym dla interesów krajowych, to napisanie i posłanie adresu przez samo mieszczaństwo, usuwało Towarzystwo na drugi plan, odbierało mu inicyatywę w sprawach publicznych. Bądź co bądź, wołano, trzeba coś po-

[1]) Berg, 205.

stanowić, trzeba wysłać deputacyą do Zamku, żądać ukrócenia nadużyć siły wojskowej, reform dla kraju, pozwolenia na podanie adresu do cesarza; trzeba jednem słowem, żeby pan Andrzej jechał do namiestnika i to zaraz [1]). Pan Andrzej, jak zwykle ulegający woli większości, z wyraźną jednak niechęcią, zebrał się i pojechał koło godziny 10-tej wieczorem, wraz z wiceprezesem Towarzystwa, Ostrowskim, do Zamku. Wszelako ulegając pod tym względem woli większości, w najważniejszej sprawie, w sprawie adresu, jak zapewniają ci, co go bliżej znali, powziął postanowienie odjęcia temu aktowi wszelkiej cechy ugody między najazdem i krajem; miała to być tylko skarga. Gdyby jednak zdanie jego nie było wysłuchane, zdecydowany był do tego aktu nie przykładać swej ręki. Z takiemi myślami wyruszył do Zamku.

Wchodzącym deputatom szlacheckim zabiegł drogę oberpolicmajster Trepow, oczekujący zapewne na rozkazy namiestnika w pierwszej sali. Zamoyski, wzburzony wypadkami tego dnia, które najzimniejszych nawet ludzi podrażniły, pierwszy odezwał się do Trepowa tonem dość szorstkim: „co wyrabiacie? strzelacie do ludzi jak do kaczek!“ Na to Trepow głosem spokojnym i grzecznym począł upraszać p. Andrzeja, by dał radę, jak zapobiedz manifestacyom. Ale pan Andrzej odrzucił tę prośbę; dawanie rad, mówił, nie do niego należy; kto ma wojsko i policyą, zawsze może zbiegowisku zapobiedz; zbiegowiska wszędzie się przytrafiają, ale żaden rząd nie zabija ludzi i nie dozwala strzelać, jak do zwierząt.

Słowa te świadczyły o mocnem podrażnieniu pana Andrzeja. Gorczakow przyjął obu posłów ze wzruszeniem

---

[1]) W książce „Porozbiorowe aspiracye polityczne narodu polskiego“ (str. 229) znajdujemy wiadomość, że sam namiestnik wezwał do siebie przez wysłanego umyślnie kozaka pp. Zamoyskiego i Ostrowskiego. Sprawdziliśmy tę wiadomość i przekonaliśmy się, że jest fałszywą. Gorczakow wcale w ów wieczór nie wzywał do siebie tych panów, ale oni do niego poszli jako przedstawiciele Towarzystwa rolniczego.

widocznem i silnem zakłopotaniem. Ubolewał nad tem, co się stało, usprawiedliwiał się, że nie dał rozkazu do strzelania, że jenerał, który to zrobił, będzie surowo ukarany; że, będąc sam przekonany o niewinności zabitych, dozwala na urządzenie ich pogrzebu, zastrzegając tylko, by to nie dało powodu do nowych rozruchów, że za nie uczyniłby odpowiedzialnym p. Andrzeja. Przeskakując z przedmiotu na przedmiot, znów zapewniał, że nie on kazał strzelać. „Ja panom powiem, mówił, jakie wydałem rozkazy. Oto poleciłem komendantowi cytadeli, aby jej nie wydawał nawet wtedy, gdybym mu na to wyraźny rozkaz przesłał“ [1]). Wygłosiwszy to osobliwsze w okolicznościach ówczesnych wyznanie, znowu się począł uniewinniać, obiecywał zarządzić śledztwo, ale o adresie mówić sobie nawet nie dał. Zamoyski przez cały czas tych pertraktacyi był chłodny, sztywny, i gdy Gorczakow w jednym z paroksyzmów przestrachu, w gorącej chęci załatwienia wszystkiego na drodze spokojnej, radził go się, coby miał czynić, hrabia polski odrzekł z lodowatą flegmą angielską: „opuścić kraj“ (allez-vous en) [2]). W rezultacie nie uzyskawszy nic, prócz obietnic nieokreślonych i ubolewań, Zamoyski wrócił

[1]) Według innej relacyi współczesnej, Gorczakow miał powiedzieć: „czy mię bierzecie panowie za Austryjaka? Dałem tylko jeden rozkaz, niewydawania cytadeli, nawet wskutek polecenia przezemnie podpisanego“. (Me prenes-vous pour un Autrichien? Je n'ai donné qu'un seul oddre, celui de ne pas vous livrer la citadelle, même sur une injonction signée de ma main“.

[2]) Tak opowiada Lisicki (Le marquis Wielopolski, II, 139); w liście jednak, jaki w d. 12 Listopada 1861 r. opublikował w dziennikach francuzkich jenerał Władysław hr. Zamoyski, a który to list podał także „Demokrata polski“ z d. 23 t. m. i r. słowa pana Andrzeja i cała rozmowa jego z ks. Gorczakowem inaczej nieco brzmi. Namiestnik miał powiedzieć: „bijmy się, dostarczę wam broni“ — na co Zamoyski odrzekł: „nie mości książę, nie będziemy się bili. Możecie nas zabijać, jak to już zrobiliście; lecz jeżeli kraj opuścicie, jako nie będący Polakami, wówczas mieć będziecie pokój. Wówczas my zapomnimy naszych krzywd, i cesarz, jako król, będzie mógł przybyć dla odebrania hołdu naszego“. Relacya ta, jakkolwiek pochodzi ze źródła dobrego, jest wątpliwą.

zmęczony i zniechęcony misyą, której nie aprobował, do oczekujących go niecierpliwie w jego pałacu, członków Towarzystwa.

Wśród tego wszystkiego, gdy pierwsze usiłowanie Klemensowczyków chwycenia inicyatywy w ręce, rozbiło się o niechęć z jednej strony Zamoyskiego, o odmowę Gorczakowa z drugiej, w resursie kupieckiej na ulicy Senatorskiej odbywało się inne zgromadzenie, daleko liczniejsze i burzliwsze. Zeszli się tam przedewszystkiem wybrani wczoraj w cukierni Kontiego delegaci do napisania adresu, zeszli się członkowie resursy, bogata burżoazya warszawska, zeszło się mnóstwo innych osób, czujących potrzebę naradzenia się i nakreślenia jakiegoś programu postępowania w tym chaosie wypadków okropnych i nieprzewidzianych. Biegł tam zresztą kto chciał i kto tylko mógł. Zebrało się przeszło pięćset osób, między niemi Karol Ruprecht, skazany w r. 1846 na śmierć i z pod szubienicy ułaskawiony, męczennik w kopalniach nerczyńskich, wrócony do kraju za amnestyą; znalazł się Jurgens, Majewski, Agaton Giller i mnóstwo innych [1]). Zrazu w tem zebraniu panował nieład ogromny, wszyscy chcieli mówić, umysły się gorączkowały, serca paliły, namiętności wrzały. Powoli jednak, po długich sporach, na wniosek Kronenberga stanęło na tem, żeby wybrać kilkunastu ludzi, jako mandataryuszów miasta i im powierzyć obmyślenie i wykonanie środków, jakie uznają za stosowne i odpowiednie w obecnych okolicznościach. Propozycyą tę przyjęto i po godzinie 8-ej wieczorem, w dolnej sali resursy przez aklamacyą wybrano tak zwaną: delegacyą miasta. Do delegacyi tej weszły najprzód osoby, które zaproponowano wczoraj w cukierni Kontiego, i dodano im kilku innych, wybitniejszych notablów miejskich z tym celem, żeby każdy stan był

---

[1]) Berg (Zapiski, 204) powiada, że Leopold Kronenberg kazał przynieść wszelkiego rodzaju napojów i cygar i ugaszczał zgromadzonych. Wiadomość ta, jakkolwiek małego znaczenia, jest jednak fałszywą.

w delegacyi reprezentowany. Na reprezentanta rzemieślników wzięto starszego cechu szewców, Hiszpańskiego [1]). Wybrani więc zostali od stanu duchownego księża: Józef Wyszyński i Józef Stecki; od właścicieli domów: Jakób Piotrowski; od dziennikarzy i literatów: Józef Ignacy Kraszewski i Józef Kenig; od stanu wojskowego: jenerał Józef Lewiński; od przemysłowców i kupców: bankier Leopold Kronenberg, Matyas Rosen, Ksawery Szlenkier, fotograf Karol Beyer; od lekarzy: doktór Tytus Chałubiński; od prawników: adwokat August Trzetrzewiński; od rzemieślników: szewc Stanisław Hiszpański; od żydów: rabin Mayzels, ogółem czternaście osób.

W tem ściślejszem kole trzynastu osób, bo Kronenberg pojechał do Zamoyskiego, gdzie wiedziano, że odbywało się posiedzenie szlachty, rozpoczęły się narady już nieco porządniejsze i sforniejsze, choć ciągle nie wiedziano czego się chwycić i jak postąpić. W rezultacie stanęło na tem, że trzeba wysłać do namiestnika deputacyą, któraby przedstawiła wielkorządcy całą grozę napaści wojska na bezbronnych, żądała śledztwa w celu rozpatrzenia postępku jenerała Zabołockiego i w końcu prosiła o pozwolenie podania adresu do cesarza. Ponieważ już było późno, rozmyślano nad tem, kiedy wysłać tę deputacyą. Jeden z obecnych zrobił uwagę, że należy korzystać ze świeżego wrażenia, że we wstrząśnieniach politycznych kilkanaście godzin wiele znaczy i odmienić może zupełnie położenie, że jeżeli deputacyi Gorczakow dziś nie przyjmie, to zostanie

[1]) Hiszpański był dobrze znany w kołach Millenerów, w których program wchodziło podniesienie rzemieślników i obudzenie w nich uczuć polskich. Na wybór szewca wpłynęła może także tradycya Kilińskiego. W r. 1858, lub w początkach 1859, z inicyatywy Narcyzy Żmichowskiej i Jurgensa, utworzyło się w Warszawie stowarzyszenie, mające na celu rozszerzanie w masach oświaty. Zbierało ono składki, udzielało funduszów młodzieży ubogiej i pragnącej się kształcić, wysyłało nawet niektórych zagranicę, dopomagało przy zakładaniu szkółek wiejskich i t. p. Do stowarzyszenia tego należał także Hiszpański, który tym sposobem samo przez się niejako, został teraz w delegacyi reprezentantem klasy rzemieślniczej.

jej zawsze możność udania się nazajutrz do Zamku. Przyznano słuszność tym uwagom i z pomiędzy trzynastu delegatów wybrano ośmiu deputowanych, mianowicie: Szlenkiera, Chałubińskiego, ks. Steckiego, Jakóba Piotrowskiego, Beyera, Trzetrzewińskiego, Mayzelsa i Hiszpańskiego [1]).

Była godzina jednasta w nocy, gdy delegaci ruszyli do księcia namiestnika, ubrani tak jak chodzili po ulicy, w surdutach, w kurtkach, w czem kto był. Jechali nie bez pewnej obawy, gdyż powszechne było przekonanie, że więcej nie wrócą do resursy, tylko odrazu z Zamku przewiozą ich na mieszkanie do cytadeli. Przed Zamkiem jadących w dwóch dorożkach deputatów, zatrzymali kozacy, a wkrótce zjawił się oficer dežurny Fenshawe, ten sam, co dziś rano dowodził kompanią, rozpędzającą lud na Krakowskiem Przedmieściu, i zapytał po francuzku: „kto są i po co przybyli? Posłowie oświadczyli, że są deputacyą od obywateli miasta i chcą się widzieć z namiestnikiem. Fenshave przez chwilę wahał się, w końcu jednak poszedł z doniesieniem o tem do księcia. Ten kazał deputatów przyjąć.

Wprowadzono ich do małej sali przed gabinetem Gorczakowa, sali źle oświeconej przez dwie lampy i pełnej posępnych, mrocznych cieni, tłukących się po kątach. Do niespokojnych ciągle deputatów, wyszedł jenerał Kotzebue, porozmawiał trochę na osobności ze Szlenkierem i cofnął się do gabinetu namiestnika. Ten zjawił się nakoniec

[1]) Kto należał do deputacyi zachodzą najrozmaitsze sprzeczności w relacyach. Większość pisarzy pomięszała delegacyą z czternastu osób, wybraną z chaotycznego zgromadzenia w resursie, w celu spokojniejszego zastanowienia się nad tem, co czynić należy, z deputacyą do namiestnika, wybraną z pośrodka tych 14 osób. Co do liczby delegatów (ośmiu) niema wątpliwości, ale zachodzą wątpliwości co do ich nazwisk. Giller w swych „Dziejach delegacyi“ (p. 86) twierdzi, że wybrano: Szlenkiera, Piotrowskiego, Rosena, Chałubińckiego, Keniga, Bayera i Steckiego, czyli 7 osób, choć sam zaraz mówi, że „delegaci w liczbie ośmiu siedli do dwóch dorożek“. Nasze poszukiwania przekonały nas, że Kenig nie brał udziału w deputacyi, a natomiast byli tam rabin Mayzels i szewc Hiszpański.

chmurny, widocznie wzruszony i stanął opierając się o poręcz krzesła, mając po swej prawej nizkiego jenerała Kotzebue, po lewej opasłego, brzydkiego jak noc Muchanowa. Deputaci ustawili się rzędem; u okna stał Szlenkier, potem Chałubiński i ks. Stecki. Z tyłu za nimi pomieścili się inni, a szewc Hiszpański został we drzwiach. Nikt z tych mieszczuchów, zajętych pracą na chleb, nie mówił dobrze po francuzku, więc odzywali się jak mogli, po polsku, po niemiecku i nakoniec kiepską, łataną francuzczyzną. Gorczakow wszedłszy rzekł tonem ostrym: „*malheur est arrivé!*“ (nieszczęście się stało). Na to pierwszy Szlenkier głosem podniesionym i energicznym zawołał: „*grand malheur!*“ (wielkie nieszczęście!). Słowa te zmięszały namiestnika, zmienił zaraz ton i zapytał, czegoby deputacya od niego chciała? Wówczas Szlenkier tym samym podniesionym głosem, w którym czuć było nutę silnego, namiętnego rozdrażnienia, zawołał, że przychodzą tutaj pełni boleści, żeby wyrazić zgrozę nad wypadkami dnia dzisiejszego, że popłynęła krew niewinnych i spokojnych obywateli, że religia jest obrażona, znieważony krzyż i kapłani zelżeni, że lud nie ma wiary w rząd, że policya, bagnety i żandarmi dzisiaj Warszawy nie zastraszą. Zakończył słowami: „waszej książęcej mości złe dają rady“ [1]). Za nim odezwał się

[1]) Obiegała wówczas po Warszawie w licznych odpisach mowa Szlenkiera. Z jej formy i tonu łatwo poznać, że był to utwór późniejszy, zredagowany w tym stylu napuszonego patosu, tak ulubionego przez czytelników tej epoki. „Mości książę, miał mówić Szlenkier, ze skrwawionem i boleścią przepełnionem sercem, stawa deputacya obywatelska miasta przed Waszą książęcą Mością, aby jej wyrazić zgrozę i boleść nad wypadkami dnia dzisiejszego. Krew popłynęła niewinnych i spokojnych obywateli. Religia obrażona w znieważeniu Krzyża Ś-go i zelżeniu kapłanów, lud zraniony w najświętszych swych prawach, nie ma wiary w rząd, bo widzi się zdradzonym, ma bowiem to przekonanie, że rozkazy Waszej książęcej Mości, w wypadkach poniedziałkowych i dzisiejszych przekroczone zostały. W takich okolicznościach, jesteśmy upoważnieni żądać od W. ks. Mości natychmiastowego śledztwa winnych, ukarania wedle prawa jenerała Zabołockoj (sic), który wydał rozkaz strzelania na lud bezbronny bez uprzedzenia go; natychmiastowego oddalenia z urzędu policmaj-

Chałubiński, potem inni w tym samym tonie rozdrażnionym, co, jak opowiada jeden z deputatów, „największy efekt zrobiło“. Gorczakow odpowiadał tonem miękkim, czuć było w jego słowach chęć zatarcia, załagodzenia sprawy. Rozpoczęła się formalna pogawędka. Muchanow się w nią wmięszał, usiłował stanąć na stopie przyjacielskiej z delegatami, rozmawiał z każdym po kolei jak najgrzeczniej i najuprzejmiej. Powoli do sali, w której toczyły się te rozprawy, wsunęli się na palcach: jenerał Paniutyn, Bebutow, prezydent miasta Andrault, Karnicki sekretarz stanu, Enoch i inni. W milczeniu przysłuchiwali się oni rozmowie, z wielu względów nader interesującej. Namiestnik utrzymywał, iż wszystko stało się przez pomyłkę, przez źle zrozumiane rozkazy, że komisya specyalna rozpatrzy, kto winien a kto nie winien. Hiszpański, który także wysunął się ze swego stanowiska przy drzwiach, dorzucił od siebie parę słów po polsku. Obiegała wówczas po mieście pogłoska, że w chwili, gdy procesya z ulicy Świętojańskiej wysunęła się na plac Zygmunta, i kozacy stali w niepewności co mają robić, Gorczakow patrzący na to z okien Zamku, dał znak chustką i wówczas czerkiesi rzucili się na ludność z batami. Otóż Hiszpański, zaznaczając za innymi wielkie wzburzenie umysłów, panujące w mieście, wspo-

---

stra pułkownika Trepow, który stracił u ludu wszelką popularność i stał się niemożliwym. On, jako naczelnik policyi, powinien był zapobiedz wypadkom d. 25 Lutego; gdy tego nie uczynił, dowiódł nieudolności, a co gorzej złej woli i niecnych zamiarów. W. ks. Mości źle radzą; prezydent miasta powinien znać usposobienie mieszkańców i odradzać księciu użycie tak gwałtownych środków, które tyle nieszczęść i ofiar sprowadziły. Nie sądź W. ks. M., że policya, żandarmi i bagnety dziś lud zastraszą. Lud przedewszystkiem wiarę w rząd mieć powinien. Dziś, kiedy w krwi niewinnych ofiar maczał białe chustki, jako symbol niewinności i zemsty, z radością męczeńską nadstawi swe obnażone piersi na kule i bagnety, bo widział kapłanów swych w czasie obchodu świętego bitych knutem, a krzyż Ś-ty, symbol jego wiary porąbany i znieważony. Tak, książę! i my mamy Boga w niebie, który nas sądzi, a ludy ucywilizowane patrzą z boleścią na naród nieszczęśliwy i jego rząd, który do niewinnych i bezbronnych strzela“.

mniał o tej chustce i o biciu ludności „jak bydła“. Gorczakow popatrzał na niego i nic nie odrzekł, ale po jego twarzy znać było, że uwagę tę przyjął dość niechętnie [1]).

Słowa te i inne jeszcze, które kładziono na karb Hiszpańskiego, rozeszły się po Warszawie i zjednały mu popularność ogromną. Widziano w nim drugiego Kilińskiego. Fotografie jego, na których był przedstawiony siedzącym przy warsztacie, w fartuchu, z rękami obnażonemi, z głową energiczną, kędzierzawą, krótko strzyżonym wąsem, rozchodziły się tysiącami i fotograf Bayer nie mógł ich nastarczyć. Sam Gorczakow miał go nazywać „maleńkim Cavourem“.

Rezultat tych rozmów i pobytu deputacyi w Zamku, właściwie do niczego nie doprowadził, chyba tylko do tego, że w umyśle namiestnika obudził większą jeszcze obawę i niepewność.

Delegaci, rozpływając się w skargach i żalach nad wypadkami, które zalały krwią bruk warszawski, sami właściwie nie wiedzieli, czego chcą. W rozdrażnieniu namiętnem przeciw Trepowowi, który, szczerze mówiąc, nic tu nie był winien, i przeciw Zabołockiemu, który, działając bez rozkazu, popełnił występek godzien kary surowej, domagali się, by pierwszy został oddalony z urzędu oberpolicmajstra, drugi zaś był pod sąd oddany. Namiestnik odrzucił te żądania, a lękliwych napomknień niektórych delegatów o adresie do cesarza, słuchać nawet nie chciał. Skończyło się po całogodzinnych sporach, wśród których Gorczakow był raz surowy, groźny, chmurny i gniewny, to znów łaska-

[1]) Opowiadają, co i Berg w swych „Zapiskach“ powtarza, że Hiszpański na słowa Gorczakowa, że to, co się stało, stało się przez pomyłkę, miał rzec: „ja, mości książę, jestem szewcem i mam warsztat z czeladzią; jeżeli z mego warsztatu wyjdą złe buty, nikt nie będzie mówił, że to czeladnik winien, ale majster Hiszpański“. „Więc według ciebie, odezwał się na to Gorczakow z uśmiechem, ja jestem winien?“ — „Tak, mości książę“. Anegdota ta jednak nie ma w sobie ani krzty prawdy. Jest ona jedną z tych, jakich dziesiątki obiegały po mieście na rachunek Hiszpańskiego, z którego chciano koniecznie stworzyć nowego Kilińskiego.

wy, grzeczny, uprzedzający, na tem, że się wyżalono do syta i że żalów tych przedstawiciel władzy rosyjskiej wysłuchał, owszem, żegnając się z delegacyą, wyrzekł: „przy pierwszem zbiegowisku na ulicy, on ukaże się osobiście i skarg wysłucha“ [1]).

Bytność wszelako delegacyi, jej ton rozdrażniony, słowa bolesnej skargi, wywarły silne wrażenie na miękkie i dobre serce Gorczakowa. W swej prawości charakteru, we wstręcie słowiańskim do rozlewu krwi, zdawało mu się, że ta krew spada na jego głowę. Do tego przyłączyły się jeszcze inne względy. Rozruchy w Polsce były nie na rękę dla Rosyi, tak z powodu spraw wewnętrznych jak i zewnętrznych. Wielka reforma włościańska wymagała spokoju, a prowadzące się właśnie rokowania z Napoleonem III w przedmiocie przymierza z Francyą, mogły być rozerwane przez niepokoje nad Wisłą, podnieść kwestyą pol-

[1]) Twierdzenie Berga (Zapiski, 209), jakoby delegaci przedstawili namiestnikowi sześć punktów swoich wymagań i otrzymali na nie przyzwolenie, nie jest prawdziwem. Owe punkta miały być tak sformułowane: 1) pogrzeb uroczysty ofiar poległych; 2) usunięcie wojska i policyi podczas pogrzebu; 3) zatwierdzenie wybranej przez miasto delegacyi, aż do ukończenia pogrzebu; 4) naznaczenie w miejsce Trepowa na oberpolicmajstra jenerała Paulucci; 5) uwolnienie wszystkich aresztowanych; 6) pozwolenie, by osobna deputacya udała się do Petersburga dla wręczenia cesarzowi adresu. Twierdzeniu temu Berga sprzeciwia się najprzód ta okoliczność, że na sformułowanie tego rodzaju żądań, wyglądających na owoc długich rozmyślań, wprost nie było czasu. Zebrani w resursie koło godz. 9-tej już o 11-tej byli u namiestnika i w chaosie wrażeń, ogarniających wszystkich, nie było po prostu kiedy zastanawiać się i układać żądania. Delegaci pojechali, by się skarżyć, domagać się przerwania gwałtów wojskowych, usunięcia Trepowa, ukarania Zabołockiego i pozwolenia przesłania adresu, który był na ustach wszystkich i który agitował się od kilku dni. Namiestnik jednak na to wszystko się nie zgodził, jak zresztą świadczy najlepsze źródło, list Bayera cytowany u Lisickiego, gdzie wyraźnie czytamy: „nie otrzymaliśmy nic, dopiero później poświęcono nam pułkownika Trepowa i innych dygnitarzy“. Uwagi te odnoszą się także do A. Gillera, który w swej rozprawie „Dzieje delegacyi warszawskiej“ utrzymuje, że namiestnik od razu ustąpił.

ską. Wszystko to wpłynęło tak na Gorczakowa, że chwiał się i stracił głowę. Po odejściu delegacyi biegał wzburzony po komnatach zamkowych, chwytał się za głowę i do otaczających go doradców swoich wołał: „*donnez moi refléchir*“ (pozwólcie mi się zastanowić). Wreszcie po długiej rozterce wewnętrznej, mówiąc o Trepowie i Zabołockim, wyraził się: „*il faut les sacrifier*“ (trzeba ich poświęcić), to znaczy ustąpić żądaniom delegatów.

Powziąwszy to postanowienie, wykonał je natychmiast w gorącej żądzy uspokojenia miasta. Około godziny 1-ej po północy przez adjutanta swego, barona Meyendorfa, zawiadomił prezydenta miasta Andraulta, że Trepow zostanie usunięty, a na jego miejsce mianowany będzie pułkownik Demoncal, naczelnik straży ogniowej. Andrault posłał po kilku deputatów i objawił im wolę namiestnika. Ale deputaci, zdaje się, przez tę parę godzin urośli w moc i znaczenie; widząc, że władza ustępuje, że się waha, cofa, postanowili ze swej strony nie robić żadnych ustępstw, stać przy swojem, domagać się spełnienia swych żądań coraz natarczywiej. Odrzekli więc prezydentowi, że oni koniecznie proszą o nominowanie na oberpolicmajstra jenerała Paulucci; Demoncal jest dla Warszawy osobistością nową, nieznaną, obcą, nie mogącą jeszcze wzbudzać zaufania. Niech więc pan prezydent raczy jechać do księcia i przedstawić mu te żądania delegacyi. Prezydent pojechał i Gorczakow ustąpił. Ale że rozkaz co do Demoncala już został wydany i nie wypadało go zmieniać, więc wymyślono dla Paulucciego nowy tytuł „zawiadującego naczelnie policyą warszawską“ i postawiono go wyżej ponad oberpolicmajstrem [1]).

[1]) Co do deputacyi i co do sposobu uzyskania przez nią wymienionego w tekście ustępstwa zachodzą także różne sprzeczności w relacyach, jakie posiadamy. Berg utrzymuje, że oprócz Fijałkowskiego, Zamoyskiego i deputacyi miejskiej, był jeszcze w Zamku Tomasz Potocki i nagadać miał namiestnikowi niesłychanych rzeczy, zachowywał się szorstko i wyniośle. Jest to oczywista pomyłka. Pomięszał historyk rosyjski Tomasza z Henrykiem Potockim, który,

Powrót deputatów miejskich powitany był przez oczekujących w resursie okrzykami łatwo dającej się pojąć radości. Wysyłając deputacyą, większość była przekonana, że ich nie ujrzy więcej, nikt się nie spodziewał, by namiestnik skarg ich chciał wysłuchać; znano przecież rząd rosyjski i wiedziano, co o nim trzymać należy. Tymczasem stało się to, czego nawet w marzeniach nie przypuszczano; rozlana krew na bruku warszawskim, zdawało się, że zamroczyła władze rosyjskie. „Krew jest dziwny sok“ — powiada poeta, — i istotnie, w zastosowaniu do wypadków warszawskich, orzeczenie to jest najzupełniej prawdziwem. Wróciła więc deputacya wśród okrzyków radości do resursy, wśród niesłychanie wysoko podniesionej temperatury entuzyazmu.

Podczas gdy tak cieszono się w resursie, Szlenkier, Kronenberg i Chałubiński udali się do pałacu Zamoyskiego i uwiadomili zebraną tam szlachtę o rezultacie swej bytności w Zamku. Jakkolwiek atoli deputaci miejscy mogli się słusznie szczycić swem śmiałem wystąpieniem, przecież najważniejsza kwestya, kwestya adresu nie była załatwiona. A adres bądź co bądź postanowiono podać. W celu więc wyjednania pozwolenia na to u Gorczakowa Komitet Towarzystwa rolniczego postanowił jeszcze raz wysłać od siebie delegacyą do Zamku. Mówiono, że to co uzyskała deputacya miejska świadczy, iż namiestnik gotów jest do ustępstw, że jest w widocznej obawie, że należy żelazo kuć póki gorące. Zamoyski, jak zwykle, zgodził się na zdanie większości, i choć była już godzina 12 w nocy, wy-

jak to zaraz zobaczymy, jeździł do Zamku w trzeciej z kolei deputacyi. Potem, opowiada dalej Berg, miały być różne deputacye miejskie, ale jakie? nie wymienia. W jednej z nich jakiś wysokiego wzrostu delegat miał powiedzieć do namiestnika: „że cech rzeźniczy gotów jest uderzyć zaraz na wasze działa, i jutro, jeżeli ciała świętych ofiar nie zostaną miastu oddane, dla ich uroczystego pochowania, będziecie brodzili w naszej krwi po kolana“. Cała ta tyrada, ze stylizacyi podobna do apokryficznej mowy Szlenkiera, wydaje nam się podejrzaną choćby dlatego, że nie potrzeba było żądać wydania ciał poległych, kiedy te ciała były w ręku miasta.

słano wiceprezesa Towarzystwa, Ostrowskiego, i dwóch członków: Ludwika Górskiego i Henryka Potockiego, właściciela Chrząstowa pod Koniecpolem. Gorczakow jeszcze czuwał i nie odmówił posłuchania tej nowej deputacyi. Rozmowa była bardzo żywa i gorąca. Deputowani starali się przekonać namiestnika, że tylko pewność, iż adres zostanie przyjęty, że głos kraju dojdzie do tronu, może umysły uspokoić. Zaklinali Gorczakowa, by nie stawał między tronem i narodem. Henryk Potocki, człowiek wrażliwy i mocno rozgorączkowany wypadkami tego dnia, uniósł się w obec oporu namiestnika. Mówił wiele, tonem podniesionym i nie obwijał niczego w bawełnę. Między innemi rzekł, że herb Gorczakowów dotąd był czysty, nie było na nim plam od krwi kobiet i dzieci, że dopiero od dnia dzisiejszego taką krwią się zalał. Słowa te wywarły na namiestnika wrażenie bardzo silne, miękł widocznie, przyznał słuszność uwagom deputatów, jednakże obawa przed tem, co powie na przyjęcie adresu Petersburg, przemogła, i nie dał przyrzeczenia stanowczego. Deputaci jednak z rozmowy tej wynieśli takie przekonanie, że Gorczakow przy nowym nacisku adres w końcu przyjmie.

Na skutek tego, gdy wrócili do swych mandataryuszów, zajęto się zaraz, tej samej nocy, sprawą adresu. Rzecz była pierwszorzędnego znaczenia i doniosłości i wymagała zastanowienia głębokiego. Pomimo tego, że szlachta ostatecznie wyjednała pozwolenie złożenia adresu, gdy przyszła wiadomość o zebraniu mieszczańskiem w resursie i o tem, jakie deputacya jego zdobyła ustępstwa na Gorczakowie, postanowiono toż mieszczaństwo zaprosić do redakcyi adresu. Zamoyski z pomiędzy zgromadzonej u siebie szlachty wybrał czterech członków Komitetu Towarzystwa i tyluż znakomitszych obywateli ziemskich do komisyi redakcyjnej, a uwiadomiona o tem resursa przysłała od siebie do tejże komisyi jenerała Lewińskiego, Szlenkiera, Dra Chałubińskiego i Kronenberga. Projektów do adresu było mnóstwo, ale najważniejszy z pomiędzy nich

był przyniesiony przez Tomasza hr. Potockiego, członka rzeczonej komisyi, adres margrabiego Wielopolskiego.

O istnieniu tego adresu większość członków komisyi redakcyjnej wiedziała dobrze. Wielopolski bowiem, pomimo niepowodzenia, jakiego doznał u Komitetu Towarzystwa rolniczego w roku zeszłym jego projekt podania adresu do cesarza [1]), nie przestał myśleć o losach kraju, o wyzyskaniu szczęśliwego i mogącego się już nigdy nie powtórzyć zbiegu okoliczności. Zniechęcony był jednakże mocno, widząc, jak jego usiłowania rozbijają się o upór i zacietrzewienie marzycieli, nie rachujących się wcale z położeniem rzeczy. Gdy więc na parę tygodni przed ogólnem zebraniem Towarzystwa rolniczego, w połowie Lutego 1861 r., gdy Czerwoni i tryumwirat gotował się do urządzenia olbrzymiej manifestacyi, zjechał do Chrobrza najstarszy syn Wielopolskiego, Zygmunt, i przedstawił ojcu sytuacyą kraju, a nadewszystko Warszawy, zrazu ten nie chciał się do niczego mięszać. Napróżno syn mówił mu o wrzeniu umysłów, o podziemnem, tajemniczem parciu rewolucyonistów wszel-

[1]) W dziele niemieckiem p. t. „Die polnischen Aufstände seit 1830 in ihrem Zusammenhange mit den internationalen Umsturzbestrebungen“, napisanem na podstawie materyałów archiwalnych przez majora pruskiego, Emila Knorra (Berlin 1880), w dodatkach napotykamy pod № 38 akt, zatytułowany: „Memoryał margrabiego Wielopolskiego do księcia Gorczakowa (zima 1860 r.“). Akt ten nie jest wcale dziełem Wielopolskiego, ale znanego nam już Michała Łempickiego, o którego memoryale, przesłanym cesarzowi, pisaliśmy już we właściwem miejscu (patrz Tom I, str. 229). Memoryał niniejszy, drugi z rzędu i podobnie jak pierwszy nie posiadający wybitnego znaczenia historycznego, gdyż jest do pewnego stopnia osobistym poglądem osoby prywatnej na stan polityczny Europy, pisany był do kanclerza państwa, ks. Gorczakowa i podany na ręce namiestnika. Na jakiej podstawie Knorr przypisuje go Wielopolskiemu, nie wiemy. Prawdopodobnie dokument ten nie został przesłany gdzie należy i utonął w kancelaryi namiestnikowskiej, z której potem, między innymi papierami, dostał się, z rozkazu namiestnika Teodora Berga, Knorrowi. Memoryał ten, według autentycznego, oryginalnego rękopismu, pomieszczamy poniżej w zbiorze dokumentów pod № II-gim.

kiego pokroju, o potrzebie ujęcia w pewne karby ruchu, który ostatecznie zagraża powstaniem, margrabia znużony odrzucił wszelkie projekta. Zygmunt Wielopolski chciał, aby ojciec jechał do Warszawy i wziął czynny udział w rozwijających się sprawach krajowych. Margrabia, jakkolwiek oddawna przygotowany na chwilę wystąpienia publicznego, jakkolwiek cały plan tego wystąpienia obmyślił w najdrobniejszych szczegółach przez długie, samotne godziny swego pobytu na wsi, lecz zrażony w życiu niejednokrotnie, składał czynność polityczną na innych, zwłaszcza na Andrzeja Zamoyskiego, którego niezmiernie wpływowe stanowisko widział dobrze i oceniał jak należy, którego, pomimo pewnej niechęci osobistej, może nawet zazdrości, szanował wysoko i uważał za człowieka zdolnego i obdarzonego wyższą inteligencyą. Wiedział o swej niepopularności w kraju, którą proces Świdzińskich, umiejętnie wyzyskany przez nieprzyjaciół, doprowadził do wysokiego stopnia, i rozumiał to dobrze, że w tym stanie umysłów, wystąpienie jego zagrożonem jest bezwarunkowo niepowodzeniem, a niepowodzenie w tej chwili jego ulubiony, wypiastowany w potężnej tej inteligencyi plan działania zrujnowałoby na długo, może na zawsze.

W obec tego syn przedstawił mu taki projekt. Zamiast od razu jechać do Warszawy i narażać się tam na fiasco, on, Zygmunt, uda się do Krakowa i porozumie się z pewną grupą osób, o których wpływie na Zamoyskiego i Klemensowczyków wiedziano dobrze. Po lekkiem wahaniu margrabia zgodził się na ten pomysł. Zygmunt więc pojedzie do Krakowa i jeżeli przywiezie zgodzenie się na program ojca kilku osób, które mu wskazał, a z którymi łączyły go dawne węzły przyjaźni czy stosunków, to on, margrabia, natychmiast puści się do Warszawy i rozpocznie działanie polityczne już na wielką skalę. Zygmunt więc wyjechał, porozumiał się z Adamem hr. Potockim z Krzeszowic, z księciem Jerzym Lubomirskim, człowiekiem bardzo rozumnym i bardzo trzeźwym w swych poglądach na sprawy kraju; z Maurycym Mannem, redaktorem „Czasu“, jako kierownikiem pisma nader stosunkowo rozpowszechnionego

w całej dawnej Polsce; z Pawłem Popielem, pochodzącym z Kurozwęk, sąsiadujących z Chrobrzem, człowiekiem nader wpływowym i inteligentnym, mającym swe znaczenie we wzmiankowanej redakcyi; nakoniec z dziennikarzami: Lucyanem Siemieńskim i Szukiewiczem. Wszyscy oni podzielili poglądy Wielopolskiego na położenie kraju, na potrzebę okiełznania budzącej się hydry rewolucyjnej, i obiecali jak najsolenniej, że na oznaczony czas, t. j. z chwilą rozpoczęcia się posiedzeń Towarzystwa rolniczego zjadą do Warszawy i margrabiemu użyczą całego swego poparcia. Mając takie zapewnienie i nie czując się już osamotnionym, Wielopolski wyruszył dnia 17 Lutego do Warszawy.

Jakiż był w tej chwili program działania ordynata chroberskiego? Jedyny sposób ujęcia w karby ruchu rewolucyjnego, który, dążąc do powstania, mógł narazić kraj na straszną klęskę, na nieobliczone a zawsze zgubne następstwa, było wyjednanie na drodze legalnej koniecznych reform, przywrócenie, jeżeli już nie konstytucyi 1815 roku, to przynajmniej Statutu organicznego, nadanego przez Mikołaja i nigdy nie wprowadzonego w życie. W braku jednak wszelkiego organu, za pośrednictwem którego mogły dojść do tronu życzenia kraju, trzeba było wystąpić z adresem podpisanym przez wszystkich, najwybitniejszych obywateli. Adresu tego podać nie mógł ani Wielopolski, ani Zamoyski, ani nikt, gdyż w obec przepisów obowiązujących, byłoby to wystąpieniem nielegalnem; nie mogło również podać Towarzystwo rolnicze, bo do tego nie miało żadnego prawa, nie skorzystawszy w przeszłym roku z jedynej szczęśliwej sposobności, gdy mu pozwolono zajmować się sprawą włościańską i gdy to pozwolenie dawało mu podstawę do wystąpienia z adresem. Takiem było położenie kraju, tak rządy Mikołaja i Paskiewicza starły w nim wszelką reprezentacyą, że chcąc zachować konieczny warunek powodzenia, legalność w obec rządu, trzeba było uciekać się do wybiegów, do subtelności dyplomatycznych, by módz odezwać się do tronu. Taki wybieg, taki punkt wyjścia, zdawało się Wielopolskiemu, że znalazł w tym fakcie, że

w r. 1856 cesarz, będąc po raz pierwszy po swem na tron wstąpieniu w Warszawie, przyjmował w Łazienkach szlachtę jako korporacyą. Jeżeli więc cesarz uznaje szlachtę polską jako pewne ciało, reprezentujące kraj, ciało, do którego mówił i przed którem rozwijał swój program rządzenia Polską, to trzeba, żeby teraz adres był podany nie od Towarzystwa rolniczego, ale od tej szlachty jako korporacyi. Ten punkt wyjścia, przyznać należy, był bardzo subtelny, głęboko obmyślany i miał pewne pozory legalności, ale tylko pozory. Pominąwszy już to, że w oczach rządu rosyjskiego szlachta polska nie przedstawiała żadnej uorganizowanej korporacyi, to z drugiej strony nie było w Królestwie ani jednego ciała społecznego, które by miało prawo bezpośrednio i kollektywnie odzywać się do tego rządu. Bądź co bądź jednak, punkt wyjścia był wynaleziony, a wynaleziony z wielką bystrością umysłu i nadawał on wystąpieniu z adresem pewne formy legalne, nie mógł uchodzić za bunt przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy; dla margrabiego zaś przedstawiał tem większą wartość, że pomijał nienawistne mu Towarzystwo rolnicze, strącał je z wyżyn kierownika nawy narodowej, bez którego nic dotąd zrobić się w kraju nie mogło.

Sam adres, Wielopolski jadąc do Warszawy, miał już gotowy. Treść jego w zasadzie nie różniła się od projektu, z jakim się nosił w r. 1856, redakcya tylko była nieco rozciąglejsza, zupełniejsza, bardziej dobitna. Zaczynając od tego, że panowanie cesarza Aleksandra II „wszyscy Polacy powitali z uczuciem nadziei, jako zwiastujące epokę łaski, ufności i pojednania“, przypomina słowa monarsze, wyrzeczone do szlachty w d. 27 Maja 1856 r. „o zachowaniu nadanych nam instytucyi“. „Wszakże, mówi dalej, od lat czterech władze Królestwa nie ziściły jeszcze uroczystych słów Waszej Cesarskiej Mości o instytucyach krajowych, a przewłoka ta zdawałaby się nieograniczenie przedłużać stan rzeczy tymczasowy, w jakim kraj pod względem swego prawa publicznego od lat trzydziestu zostaje“; zaznacza, że czuć się daje jak największy niedostatek

„jakiego uprawnionego organu, za pomocą którego kraj byłby mocen wykonywać prawo nieocenione, z istoty rządów monarchicznych płynące, prawo niepożyte poddanych zbliżania się do swego władcy“; że niedostatkowi temu nie zaradza zaprowadzenie marszałków szlachty, „którzy samą już nazwą swego urzędu pozbawieni są mocy wyobrażania wszystkich klas społecznych“; prosi, by z uwagi na to, cesarz raczył wybaczyć nielegalność i niezwykłość tego kroku.

W dalszym ciągu napotykamy w adresie znamiona wielkiej odwagi cywilnej i większego jeszcze rozumu politycznego. Mówi więc w tonie pełnym powagi, że jedyną spójnią między monarchą i narodem jest wobec tego konstytucya z 1815 r., przypomina wypadki 1831 r. i woła, że „w prawości uczuć naszych, oraz w przekonaniu, że odpowiemy tem samem wzniosłym Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości widokom, rzucamy zasłonę na powody tego poruszenia; nastąpiła po niem trzydziestoletnia spokojna i cierpliwa uległość, w czasach gdzieindziej głębokiemi wstrząśnieniami naznaczonych“; utrzymuje, że konstytucya 1815 r. nie jest zniesiona, że manifest i Statut organiczny z r. 1832, „nie obejmują żadnego wyraźnego, ją uchylającego rozporządzenia“; rozbiera Statut i twierdzi, że „niewykonanie prawa zasadniczego z r. 1815 wszelkiej rękojmi nas pozbawia, niepokoi kraj, w prawach, dążeniach, uczuciach swoich dotknięty“.

Tak nakreśliwszy położenie kraju, przechodzi następnie kolejno potrzeby, jakim rząd winien zadośćuczynić. Potrzeby te zamknął: w spiesznem uregulowaniu za pomocą oczynszowania sprawy włościańskiej; w założeniu polskiej szkoły prawa a raczej uniwersytetu; w zniesieniu a przynajmniej ograniczeniu cenzury; w równouprawnieniu żydów. Kończy wspaniałą prośbą, by cesarz pamiętać raczył „na naszą dawną chwałę i nasze nieszczęścia“.

Adres ten w desideratach swoich bardzo niewiele się różnił od tego, jakiego domagali się od Towarzystwa rolniczego Czerwieńcy, a zwłaszcza Millenerzy, czyli miesz-

czaństwo warszawskie. Ono tak samo jak Wielopolski chciało ukończenia kwestyi włościańskiej, reformy wychowania publicznego, równouprawnienia żydów, i tam, gdzie margrabia chciał ograniczenia cenzury, żądało prawa wolnego stowarzyszania się w zakresie przedsiębiorstw ekonomicznych. Podstawy więc były te same i jest to jedno z bardzo ciekawych zaiste widowisk, że dwa stronnictwa (bo Wielopolski starczył sam jeden za całe stronnictwo), stojące tak daleko od siebie, na dwóch przeciwległych sobie krańcach, jak owe dwa bogi u Słowackiego, stojące na dwóch słońcach, w chwilowych pragnieniach swoich zeszły się na jednym punkcie. Różnica głównie polegała na tem tylko, że margrabia poza temi żądaniami, których urzeczywistnienie uważał za rzecz nadzwyczaj pilną, w dalszych swoich aspiracyach nie sięgał poza Statut organiczny, w najlepszym razie poza konstytucyą 1815 r. Nie krył się z tem wcale, że jego pragnieniem, jego ideałem politycznym jest Polska taka, jaką utworzył kongres wiedeński; i otwarcie mówił, że gdyby to osiągnął, niczegoby więcej dla swej ojczyzny nie pragnął. W swoim pozytywnym, trzeźwym, realnym umyśle wszystko określał, przedstawiał ściśle i nie zostawiał nic niedomówionego, nie snuł żadnych marzeń.

Inaczej się rzecz miała z projektem Millenerów i z programem Czerwieńców. Ci, postawiwszy te same mniej więcej co Wielopolski żądania, jako potrzebę, która musi być najprzód załatwioną, dalsze swe pragnienia i aspiracye pokrywali milczeniem, każąc przez to przypuszczać, że niczego się nie wyrzekli, tak dobrze o zupełnej niepodległości politycznej, jak i o granicach 1772 r. Dlatego też adres Wielopolskiego nosił na sobie znamię wyższego, ścisłego rozumu, liczył się z rzeczywistością i z drażliwością rządu, do którego się odzywał, i w innych czasach, w czasach, gdy głowy są spokojne, mózgi nie odurzone haszyszem fałszywego patryotyzmu, taki tylko adres byłby przyjęty i bezwarunkowo najskuteczniejszy.

Przyjechawszy do Warszawy, Wielopolski usiłował obznajmić z treścią swego adresu wybitniejszych członków Komitetu i samego Towarzystwa rolniczego. W jego mieszkaniu, w hotelu Angielskim przy ulicy Wierzbowej, odbywały się częste, prawie nieustanne narady, w których nieomal wszyscy członkowie Komitetu nie gremialnie, ale pojedynczo brali udział. Wielopolski mówił im, jak należy podać adres; że ma tego dokonać nie Towarzystwo rolnicze, ale szlachta jako korporacya; że należy go zanieść do namiestnika z podpisami, „choćby przyszło za to przespać się w cytadeli“. Większość aprobowała myśl i sam adres, zgadzała się na niego, przyrzekała nawet poparcie, byli jednak i tacy, którzy, trzymając się ściśle taktyki przyjętej przez Komitet, że wszelki udział czynny w sprawach publicznych był zależny od gremialnej decyzyi Komitetu, wstrzymywali się z wygłaszaniem swego zdania przed „obcym“, jak mówili. Zamoyski wiedział o tych posiedzeniach w hotelu Angielskim, ale trzymał się od nich z daleka. On nie chciał adresu, nie chciał Polski wymodlonej lub wyproszonej, ale powstającej siłą własnej tęgości i dojrzałości.

Do mieszczaństwa, do Kronenberga, J. I. Kraszewskiego i innych udawał się z adresem syn margrabiego Zygmunt, czytał go i oświadczał, że jeżeli trzeba będzie, to on sam pojedzie z nim do Petersburga i wręczy go cesarzowi. Słuchano, chwalono, żądano zmian tu i owdzie, ale jak między Klemensowczykami, tak i u mieszczaństwa sprawę tę chłodno i z wyraźną powściągliwością traktowano.

Wielopolski był zanadto bystrym człowiekiem, by nie widział, że ostatecznie adres jego nie bardzo się podoba; że jeżeli wielu zgadza się na niego, to dlatego tylko, że nie widzą nic lepszego. Ci, którzy synowi jego w Krakowie przyrzekli, że przyjadą do Warszawy i poprą myśl ojca, nie zjawili się wcale, a wypadki szły szalonym pędem naprzód, i nakoniec wybuchła krwawa katastrofa dnia

27 Lutego, deputacye do Zamku, pozorne zgodzenie się namiestnika na podanie adresu, i wreszcie, późno w noc, debaty nad tym adresem u Zamoyskiego.

Wówczas to Tomasz hr. Potocki, wielki adorator Wielopolskiego i zwolennik jego adresu, osobistość nie bez wpływu na Komitet i samo Towarzystwo, kuzyn wreszcie margrabiego (którego żona Paulina była rodzoną siostrą Tomasza), posłał do hotelu Angielskiego z prośbą, by Wielopolski dał adres, a on, Potocki, odczyta go na zebraniu u Zamoyskiego i będzie się starał wyjednać jego przyjęcie. Wielopolski zrazu miał zamiar sam pojechać na rzeczone zebranie i dlatego też odrzekł posłowi, że „ja i mój adres jesteśmy nierozdzielni“, ale po pewnym namyśle, wiedząc o swej olbrzymiej niepopularności, dzięki której osobiste jego pojawienie się mogło stanowczo zaszkodzić adresowi, zgodził się na projekt Potockiego i pojechał do niego z adresem w kieszeni. Potocki, który miał u siebie kilku szlachty, przyjął margrabiego w innym pokoju, rozmówił się z nim krótko i ruszył na zebranie do Zamoyskiego, zostawiając u siebie margrabiego, który postanowił czekać na rezultat.

Adres Wielopolskiego w Komisyi redakcyjnej nie był nawet czytany i pomimo gorącej obrony Potockiego, po długiej, nużącej i upartej dyskusyi został przez większość odrzucony. Przedewszystkiem deputowani mieszczaństwa oznajmili, że gdyby obywatele ziemscy zdecydowali się podać adres na poglądach margrabiego oparty, w takim razie pisać ten akt będą sami, gdyż Warszawa udziału w nim nie weźmie. To oświadczenie poparli także członkowie szlacheccy Komisyi redakcyjnej (Kurtz, Ludwik Górski, Edmund Stawiski). Śród zebranej szlachty u Zamoyskiego wiadomość, że Potocki proponuje przyjęcie projektu Wielopolskiego, wywołała odrazę powszechną. Umysły były tak rozgorączkowane, że niejaki Teleżyński, szlachcic z Hrubieszowskiego, zawołał: „niech temu ręka uschnie, kto podpisze ten adres!“ Przyczyny, które się złożyły na ten ze

wszech miar smutny wynik, były bardzo rozmaite i różnej natury. Znaczna większość zebranych nie rozumiała, nie pojmowała jeszcze, co się w około dzieje; wypadki spadły tak nagle, tak niespodzianie, ustępstwa ze strony władzy, tej strasznej władzy, w której zdawało się, że kołata się jeszcze duch Paskiewicza i Mikołaja, były tak wielkie, że ci wszyscy, którzy nie śledzili bacznie wypadków, tajnej agitacyi rozwijającej się od lat kilku w kraju, byli zdumieni tym nagłym zwrotem, tą wielkością faktów, które się przed nimi rozgrywały. Dlatego też większość oszołomiona jeszcze zdarzeniami tego dnia, nie miała nic przeciw samemu adresowi, który stawał przed nią gotowy, wykończony od stóp do głów, zbrojny w argumentacyą, logikę i śmiałość. Mówiono nawet sobie w głębi sumienia, po cichu, że adres jest za śmiało, za zuchwale napisany. Ten głos poważny Polaka, upominającego się o prawa swej ojczyzny, wielu bardzo się podobał, ale nie podobał się jego autor, sam margrabia. Bezprzykładna niepopularność tego człowieka wybuchła odrazu jednomyślnym prawie protestem przeciw przyjmowaniu czegokolwiek z jego ręki. Wielu nie znało go wcale, byli tacy, co go nigdy nie widzieli, a przecież na myśl o Wielopolskim trzęśli się z oburzenia.

Jeszcze inna, stosunkowo bardzo niewielka grupa zapalonych Czerwieńców, nieprzekonanych niczem marzycieli, polityków serca lub nerwów, odrzucała adres Wielopolskiego z zaciekłą bezwzględnością dlatego, że, jak mówili, zdradza sprawę narodową. Jak można, twierdzili oni, powoływać się na traktat wiedeński, uznawać go za alfę i omegę pragnień polskich, kiedy ten traktat był niczem innem, tylko międzynarodowem usankcyonowaniem rozbioru Polski? Taki punkt wyjścia dla upomnienia się o zgwałcone prawa narodowe jest poprostu zdradą kraju. Zresztą kongres wiedeński nadał autonomią i konstytucyą tylko Królestwu Polskiemu, i adres Wielopolskiego zgodnie z tem myśli wyłącznie o tej cząstce ziemi naszej, która nosi miano Królestwa. Ale cóż się stanie z Litwą, Wołyniem,

Podolem, Ukrainą? Czyż to nie zbrodnia przeciw ojczyźnie wyrzekanie się tych ziem, zdobytych naszym mieczem, zroszonych naszą krwią, uznojonych naszym potem i pługiem naszym zaoranych, ziem na wskróś polskich? Przytem czegóż on żąda? Uregulowania kwestyi włościańskiej, reformy szkół, równouprawnienia żydów. Toż na to krwią zlaliśmy dziś bruk warszawski, by takie tylko otrzymać koncesye? Żądania te są niedostateczne, a wyparcie się ruchu 1831 r. jest ubliżeniem godności narodowej.

Tak mówili Czerwieńcy i marzyciele polityczni. Ale poza nimi była jeszcze jedna grupa, najbliższa Zamoyskiego, która także stanowczo oponowała przeciw projektowi margrabiego, już dla tego samego, że oponowali oni w ogóle przeciw podawaniu adresu jakiegokolwiekbądź. Sceptycy z doświadczenia i przekonania, nie wierzyli oni, by rząd rosyjski zadośćuczynił choćby najdrobniejszym żądaniom polskim. Po co więc pisać adresy, kiedy one na nic się nie przydadzą, nie wzruszą rządu, nienawidzącego Polaków i nieufającego im nigdy? A przytem, wołali oni, wszelkie sformułowanie żądań polskich jest zdradą sprawy ojczystej; adres jest niczem innem jak tylko prośbą, a prośba jest pewnym rodzajem umowy z wrogiem, pewnemi kajdanami nałożonemi na sumienie, kompromisem z istniejącym stanem rzeczy. Niczego nie żądać, o nic nie prosić jest najgodniejszem i najuczciwszem postępowaniem dla Polaka.

Ta grupa, stojąca najbliżej Zamoyskiego, gdy ten, jak to zawsze czynił, ustąpił żądaniom większości i zgodził się na podanie adresu, nie chciała oczywiście ani słyszeć o projekcie Wielopolskiego. Jeżeli już mamy podawać adres, mówili, to trzeba, żeby on miał formę możliwie luźną, żeby niczego w nim nie żądać, a za to wszystkiego się domagać. Błędem byłoby stawianie jakichś desideratów, kiedy nie wiemy, jak się w Petersburgu zapatrywać będą na wypadki warszawskie. Może też tam więcej nam dadzą, niż my żądać będziemy. Trzeba swobodę zostawić rządowi; dość będzie, gdy mu powiemy, że źle jesteśmy rządzeni i że taki stan jak obecny dłużej trwać nie może.

Te zdania, pozornie bardzo rozumne, ale błędne, wzięły górę w zgromadzeniu i w komisyi redakcyjnej, bo trafiały w przekonania większości, w jej ideały najserdeczniejsze. Adres Wielopolskiego został stanowczo odrzucony, a natomiast powierzono redakcyą Edmundowi Stawiskiemu, ziemianinowi ze wsi Podłężyc pod Sieradzem, pisarzowi znanemu w literaturze ojczystej z prac, dotyczących historyi rolnictwa w Polsce i studyów ekonomicznych, członkowi nakoniec Komitetu Towarzystwa rolniczego. Stawiski wziął się zaraz do pisania adresu, w którym porobiono małe zmiany, całość nieco skrócono i o godzinie 5-tej rano Zamoyski wszedł na salę zapełnioną obywatelami ziemskimi i odczytał tekst polski adresu.

Za punkt wyjścia wybrano w nim dzień 27 Lutego i strzelanie na Krakowskiem Przedmieściu. „Wypadki obecnie zaszłe w Warszawie, brzmi ten dokument, stan wzburzenia umysłów, jaki je wywołał i po nich nastąpił, głębokie uczucie boleści przejmujące wszystkich, powodują nas w imieniu kraju zanieść do tronu Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości prośbę, w nadziei, że szlachetne serce Jego wysłucha głosu nieszczęśliwego narodu.

„Wypadki te, od opisu których wstrzymujemy się, nie są wybuchem społecznych namiętności jakiejś pojedynczej warstwy narodu; są one jednomyślnym, gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb. Długoletnie cierpienia narodu, od wielu wieków wolnemi instytucyami rządzącego się, pozbawienie go nawet wszelkiego organu legalnego, za pomocą którego mógłby bezpośrednio przemawiać do tronu i objawiać swoje życzenia i potrzeby, postawiły kraj w tem położeniu, że ofiarami tylko może głos podnieść, dlatego też poświęca ofiary.

„W duszy każdego mieszkańca tego kraju bije silne poczucie odrębnej wśród ludów europejskich narodowości. Poczucia tego ani czas, ani wpływ rozlicznych wypadków zniszczyć, ani nawet osłabić nie zdołał. Wszystko, co je obraża i nadweręża, do głębi wstrząsa i niepokoi umysły.

„Widzi kraj z boleścią, że gdy potrzeba ta nie zo-

stała zaspokojoną, powstał ztąd brak zaufania, nieodzownego w stosunkach pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Zaufanie to nie wróci, póki użycie gwałtownych a bezskutecznych środków represyjnych nie ustanie.

„Kraj ten, równający się niegdyś stopniem cywilizacyi z innymi krajami Europy, nie przyjdzie do rozwinięcia swych moralnych i materyalnych zasobów tak długo, dopóki zasady, płynące z ducha narodu, jego tradycyi i historyi, nie będą przeprowadzone w kościele, w prawodawstwie, w wychowaniu publicznem, zgoła w całym społecznym organizmie.

„Życzenia tego kraju tem są gorętsze, że w rodzinie ludów europejskich on tylko jeden pozbawiony jest tych koniecznych warunków bytu, bez których żadna społeczność dojść nie może do poznania celów, dla których ją Opatrzność do życia powołała.

„Składając ten wyraz cierpień i gorących życzeń naszych u stóp tronu, ufni we wspaniałomyślność Monarchy, odwołujemy się z zupełną wiarą do głębokiego uczucia sprawiedliwości Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości“.

Takim był ten adres, który większość zebranych u Zamoyskiego uznała za najodpowiedniejszy położeniu chwili i aspiracyom polskim. Był on istotnie tak luźny, tak kontury jego rozpływały się we mgle frazeologii, w sentymentalno-mistycznych zdaniach o celu, „dla którego Opatrzność Polskę do życia powołała“, że istotnie mogło się w niego wszystko zmieścić, tak dobrze równouprawnienie żydów, jak i Statut organiczny i konstytucya 1815 r., a nawet niepodległość zupełna i granice z 1772 roku. Krótkie, jakby mimochodem tylko wyrzeczone, napomknienie o potrzebie organu jakiegoś między rządzącymi i rządzonymi, o konieczności reform w kościele, prawodawstwie, w wychowaniu publicznem, nie ratowało adresu od tej frazeologicznej pustki, jaka z niego wieje. Nie zastanowiono się nad tem, że adres taki przesłany do Petersburga, musiał tam przedewszystkiem wzbudzić pytanie: ale nakoniec czegóż oni chcą? co im dać mamy? jakie reformy poczy-

nić? Jeżeli jednak nic o tem nie mówią, to znaczy, że nic nie chcą, czyli, co na jedno wychodzi, chcą wszystkiego, to jest, żebyśmy się od nich wynieśli, żeby dawna Rzeczpospolita była przywróconą. Skoro tak jest, to świadczy, że społeczeństwo polskie jeszcze nie otrzeźwiało, że jak dotąd, tak i ciągle rządzi niem stronnictwo ultranarodowe, marzycieli i szowinistów. Z takimi ludźmi, nietylko że wszelki kompromis jest niemożliwy, ale nawet mówić nie można i porozumieć się nie można.

Gdy się to działo w pałacu Andrzeja Zamoyskiego, gdy wśród długiej nocy lutowej opary krwi rozlanej na ulicy zdawały się oszołomiać głowy, Wielopolski oczekiwał w mieszkaniu Potockiego sam jeden i nie śpiąc wcale, aż do godziny 4-tej rano na rezultat sprawy co do adresu. „Robiłem co mogłem, mówił mu Potocki, powróciwszy z pałacu Zamoyskiego, broniłem twego projektu, ale odrzucono go znaczną większością“. Opowiedział mu, że ci wszyscy, którzy poprzednio pojedynczo zgadzali się na ten adres, którzy go przyrzekali bronić, teraz spoglądali na siebie tylko i milczeli. Wielopolski nie okazał żadnego gniewu, pożegnał się i poszedł do domu. Był przecie pewny, prawie przekonany, że jego adres nie przejdzie, że jest za chłodny dla ówczesnych serc, za rozumny dla ówczesnych głów. To też nazajutrz, gdy przeczytał adres Stawiskiego i gdy mu proponowano, by się podpisał na nim, stanowczo odmówił, wołając, że „adres większości dla mnie za ciasny, ja się w nim zmieścić nie mogę“. Niestety! nie był on za ciasny, był on przeciwnie tak obszerny, że nie wiedziano naprawdę, gdzie się znajdują jego granice; że mogła się w nim pomieścić nietylko olbrzymia, ciężka postać margrabiego, ale cała nawet Polska, opłukiwana wodami dwóch mórz i dwóch rzek...

Z pewnym głębokim smutkiem i zniechęceniem, z poczuciem, że źle się zaczyna dziać w kraju, że nie zdołano jak należy skorzystać z chwili jedynej, jaka się już nigdy nie przydarzy, margrabia Wielopolski opuścił Warszawę, udając się (d. 1 Marca t. j. w Piątek) do Chrobrza, gło-

sząc, że się do niczego mięszać nie chce, w gruncie zaś rzeczy zamierzając rozpocząć akcyą na własną rękę [1]).

Tak upłynęła owa noc na zawsze pamiętna w dziejach niedoli naszej, i zajaśniał poranek dnia 28 Lutego, który zastał Warszawę i jej ludność w silnem, dawno tu już nie widzianem podbudzeniu umysłów. Tłumy publiczności wszelkich stanów, płci i wieku snuły się po ulicach, zwłaszcza po Krakowskiem Przedmieściu, w tem miejscu, gdzie wczoraj padło pięć ofiar, jak poczęto nazywać poległych. Większością kierowała oczywiście ciekawość, jaki obrót przyjmą wypadki, co się też dziś stanie? Wszystkich uderzała ta okoliczność, że wojska i policyi nigdzie nie było, mundury się nie pokazywały, jak gdyby nagle ta straszna, despotyczna władza rosyjska gdzieś znikła i przepadła. Mnóstwo osób pojawiało się na ulicach w głębokiej żałobie. Kapelusze męskie pod włos zaczesane wczoraj, dziś nosiły białe taśmy; kołnierze ubrań, klapy surdutów, salopy i burnusy kobiece, wszystko błyszczało białą, żałobną obwódką. Do czapek przyczepiano kokardy krepowe. Powoli, w ciągu dnia poczęło to przybierać niesmaczne, przesadzone, niekiedy śmieszne formy teatralnej maskarady. Temperament Warszawiaków, lubujący się w zewnętrznych objawach uczuć, w pozorach, w sztucznych efektach, połączony z czułostkowością, właściwą tej epoce, znalazł tu obszerne pole do popisu. Nietylko siebie strojono w żałobę nieraz krzyczącą, ale krepą pokryto nawet lalki woskowe w sklepach fryzyerów, butelki z wódką i winem w oknach kupców, głowy cukru, a nawet łby końskie w oknach siodlarzy i rymarzy. Włóczono się po mieście, oglądano się wzajemnie, przyklaskiwano jakiej nowej, nieużywanej dotąd oznace żałoby. Miasto miało wygląd niezwykły i zdawało się, że wszystko w niem wyszło z karbów, choć spokój i cisza była zachowana.

W hotelu Europejskim, gdzie złożono wczoraj ciała

---

[1]) Wiadomość o wyjeździe swoim Wielopolski opublikował w gazetach.

czterech ofiar, obito pokój kirem; w biurze żeglugi parowej, w pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie, gdzie leżał trup Arcichiewicza, tak samo cały pokój okryty był czarnem suknem, nawet bramę od wewnątrz przybrano w tę oznakę żałoby. Twarze były smutne, kobiety na widok tego wszystkiego płakały.

Tymczasem sprawa adresu posuwała się dalej. Referat Stawiskiego, sam Andrzej hr. Zamoyski przetłómaczył na język francuzki i poczęto zbierać podpisy. Przedewszystkiem podpisał się arcybiskup Fijałkowski „w imieniu duchowieństwa“, potem z pewną niechęcią i wyraźnem wahaniem Zamoyski. Wysłano zaraz delegatów na miasto, by adres ludności odczytywali i zbierali podpisy na osobnych arkuszach papieru. Czytano więc w cukierni Kontiego w hotelu Europejskim, w resursie kupieckiej, na Starem Mieście, gdzie można było, i po przeczytaniu zapraszano obecnych do podpisów. Podpisywali się więc wszyscy, szlachta, mieszczanie, rzemieślnicy, żydzi. Obok arcybiskupa Fijałkowskiego stało nazwisko rabina Mayzelsa, obok Mayzelsa pastora luterskiego Otto. Na oryginale było ogółem podpisów 127. Arkusze zapełniały się nieraz nader dziwacznie wyglądającymi znakami, tu i owdzie pozamazywane, bardzo często z tak zwanym „żydem“, dużą plamą atramentu, spadłą z pióra nieumiejętnie umaczanego w kałamarzu. W resursie kupieckiej, gdzie formowano straż bezpieczeństwa z młodzieży akademickiej i szkolnej i wysyłano ją na miasto dla utrzymania porządku, gdyż policya została usunięta, tłumy ludu się snuły, zebrania były niezmiernie burzliwe i hałaśliwe. Większość nie pojmowała, co to się stało; nagły przewrot oszołamiał wszystkich, tracili przytomność i zdrowy rozsądek. Po czasach surowości władzy, po tradycyi paskiewiczowskiego despotyzmu, nagle, w ciągu kilku godzin, taka zmiana olbrzymia, taka zupełna, dobrowolna abdykacya władzy, wydawała się niepojętą. Jedni uważali to za jakąś zasadzkę, za jakiś podstęp zdradziecki; inni widzieli w tem słabość rządu, budzące się w nim przekonanie, że nie zdoła się utrzymać w Polsce,

wpływ Francyi i Napoleona; śnili najdziwaczniejsze nadzieje. Gorąca polska fantazya, której nie zdołało ochłodzić trzydziestoletnie „łamanie kości“, nie znajdowała już teraz granic, widziała w tych chwilach, istotnie dziwnych i bezprzykładnych, jutrznię odrodzenia Polski. Młodzież, wszystka czerwono usposobiona i ufna w siebie po tem, co dokazała, boć ostatecznie ona to, co się teraz dzieje, zrobiła wbrew twierdzeniom i opiniom innych stronnictw, wołała, że czas pomyśleć o Litwie, o „zabranym kraju“, o konstytucyi. Byli tacy, co rozprawiali o powstaniu i o jego konieczności. Mówcy wchodzili na krzesła i stoły, ze szczytu których dopóty mówili, dopóki ich kto inny nie ściągnął, lub krzyki nie zmusiły do milczenia. Od czasu do czasu tłum rozgorączkowany i rozochocony, wzywał donośnymi krzykami którego z delegatów, żeby wysłuchał „głosu narodu“. Zjawiał się zwykle Chałubiński, lub ktoś inny, odpowiadał na zadawane sobie pytania, tłómaczył lub przekonywał.

Zresztą nie sam tylko tłum trzeba było przekonywać, wyjaśniać położenie, przedstawiać istotny stan rzeczy. Bardzo niewielu takich było, którzy potrafili jako tako zoryentować się w położeniu. Więc Chałubiński, Jurgens i inni, musieli mówić i mówić; pierwszy aż chrypki dostał. A przytem jakiż ogrom zajęć leżał przed delegatami! Podczas gdy Czerwieńcy, nie zapominając o swych zadaniach rewolucyjnych, wysyłali na prowincyą ajentów z wieścią o tem, co się w Warszawie stało i z poleceniem wiązania wszędzie ludności w organizacyą dziesiątek i setek, ogarnięcia tym sposobem wszystkich w ogóle miast konspiracyą, delegacya musiała myśleć o pogrzebie pięciu ofiar, o utworzeniu policyi narodowej. Na szczęście młodzież szkolna tłumnie garnęła się do tego zajęcia, które uważała za służbę zaszczytną ojczyźnie i sprawie polskiej. Konstable narodowi, bo tak ich nazywano, ubrani w mundurki akademickie lub szkolne, z przepaskami żałobnemi na lewem ręku, z numerem na czapce, poustawiali się gęsto na ulicach i strzegli porządku i spokoju. Każdy z największą uległością słuchał

ich upomnień, tłum na głos dzieciucha rozchodził się, i biada temu, ktoby stawił opór żądaniu policyi narodowej. Wielu starców na ten widok płakało, a jakiś sędziwy mieszczanin na Starem Mieście, widząc wzorowy porządek utrzymywany drobną ręką dzieciucha, zawołał w swym dosadnym, ulicznym języku: „jak Boga kocham, gdyby ten chłopczyna kazał mi baty wyrypać (sic), tobym się bez oporu natychmiast położył“. Jeden ze straży bezpieczeństwa, słysząc hałas w ubogim domku na Rybakach, otworzył drzwi i zastał męża i żonę kłócących się w największej pasyi. Słowa: „wstydźcie się, wszyscy w narodzie kochają się, a wy się kłócicie“, wstrzymały spór i małżonkowie, spojrzawszy na siebie i rzucając się sobie w objęcia, zawołali: „prawda, ja Polak a ty Polka!“ Serca i głowy ogarnęło jakieś podniosłe, rzewne uczucie, i dla tych, którzy na to wszystko własnemi patrzeli oczyma, te dni, niestety! tak krótkie, zostawiły jedno z najsilniejszych, najsłodszych, niezapomnianych nigdy wspomnień.

Tymczasem w Zamku przepędzano te godziny w ciągłej obawie i trwodze. Ściągnięto tam wojsko i dla niego zmieniono na koszary trzy wielkie sale: tronową, dębową i malowaną al fresco. Z miasta dochodziły najrozmaitsze, coraz bardziej alarmujące wieści, a jakkolwiek sama jaskrawość kazała wątpić w ich autentyczność, były jednak fakta dowodzące, że wzburzenie jest wielkie i że rząd staje się coraz bardziej odosobnionym. Do rzędu takich faktów należało gremialne podanie się do dymisyi wszystkich marszałków szlachty, za których przykładem poszli: hrabia Kosakowski, prezes heroldyi; hr. Maurycy Potocki, szambelan dworu; Łuszczewski, ojciec znanej poetki Deotymy, dyrektor wydziału przemysłu w Komisyi spraw wewnętrznych, hr. Aleksander Przeździecki i baron Edward Rastawiecki, jako członkowie heroldyi, nakoniec Piotr Kobylański, pomocnik prokuratora ogólnego zebrania senatu. W podaniach swoich, jeżeli nie mówili otwarcie, to kazali się domyślać, że nie chcą służyć rządowi, który się splamił krwią bezbronnych.

Gorczakow wśród tego tracił głowę. Chory i rozstrojony, nie wiedział co robić, do kogo się zwrócić, gdzie poszukać rady i pomocy. Rano d. 28 Lutego doniósł cesarzowi telegramem o wypadkach zaszłych wczoraj, i tłómaczył, że powodem strzałów było obrzucenie wojska kamieniami. Miał tak niepewne wieści, albo może przez właściwą sobie nieuwagę i roztargnienie, dość, że obliczył ilość zabitych na sześć osób i tyleż rannych. „Wzburzenie umysłów w mieście wielkie, kończył, i może być, że dziś znowu nastąpią nieporządki“. Przekonanie to utrwalało się w nim z każdą chwilą; widział z okien Zamku snujące się tłumy żałobne, a gremialne podanie się do dymisyi marszałków i innych dygnitarzy, przekonywało go niejako, że i dziś, d. 28 Lutego, nie obejdzie się bez krwi rozlewu, kto wie, może wybuchnie ogólne powstanie. Telegrafował więc znowu do cesarza, donosząc o dymisyi marszałków, której powody tłómaczył tem, że „utracili wpływ na obywateli“. Skarżył się na Zabołockiego, że postąpił wbrew jego rozporządzeniom, gdyż wojsko miało rozkaz, by broń nie była nabita. Donosił, że zarządził śledztwo. „Trepowowi, kończył, kazałem, by się podał za chorego, nienawiść bowiem przeciw niemu wciąż się rozwijająca, grozi tem, że go zabiją na ulicy. W tej chwili wszystko spokojnie, mam jednak powody spodziewać się wkrótce wielkich zaburzeń. Proszę tedy o pozwolenie ogłoszenia w razie konieczności, stanu oblężenia w mieście“.

Wiadomości te były bardzo lakoniczne, bardzo niedokładne i nie objaśniały wcale cesarza o istotnem położeniu rzeczy, owszem, przebijająca się w nich wyraźna obawa, kazała mu sytuacyą Warszawy widzieć w gorszem, niż w istocie świetle. Gorczakow nie donosił mu nic o delegacyi, o cofnięciu wojska i policyi, o pozwoleniu na adres i na pogrzeb zabitych, jak gdyby wstydził się swej słabości i lękał surowych napomnień ze strony cesarza. Ten oddalony od wypadków, źle lub niedostatecznie poinformowany, z właściwą sobie jednak bystrością i spokojem patrzał na rzeczy. Odpowiadał więc Gorczakowowi, że nie-

cierpliwie oczekuje wiadomości, jak przejdzie dzień dzisiejszy (28 Lutego), że przekonany jest, iż Gorczakow użyje wszelkich potrzebnych środków dla przywrócenia porządku. Pytał: „czy są w wojsku ranieni i czy zauważono broń u ludu?“ Dymisyą marszałków szlachty uważał za bardzo niewłaściwą, „bo dowodzącą ich małoduszności“; ganił rozporządzenie dotyczące Trepowa. „W teraźniejszych okolicznościach każdy powinien być na swojem miejscu“ pisał, i kończył, że ogłoszenie stanu oblężenia pozostawia decyzyi namiestnika.

Wieści o tej korespondencyi, prawdopodobnie wskutek złej woli niższej służby telegraficznej, przeniknęły do publiczności, jakkolwiek w znacznie zmienionej formie, i przyczyniły się tylko do większej pogardy i zohydzenia władzy. Opowiadano sobie, że cesarz zapytał się: „ilu powstańców ujęto, i ile zdobyto na nich broni?“ Śmiano się z tego, szydzono, poniewierano tą władzą, która nie umiała w należytej chwili utrzymać swej powagi i majestatu. Wszystko nakoniec, i ludzie i rzeczy składały się na to, by urok władzy gasł coraz bardziej w oczach ludności warszawskiej, która, jak każda ludność wielkiego miasta, skłonną jest do szyderstwa i wyszukiwania we wszystkiem śmiesznej strony. Rano tego samego dnia zjawił się w hotelu Europejskim, gdzie leżały ciała poległych, świeżo mianowany policmajster miasta, jenerał Paulucci, i odgrywając rolę nowego Lafayetta w mundurze rosyjskim, miał się zapytać zebranych tamże obywateli: „czy pragną mieć go na stanowisku głównego naczelnika policyi?“ Na to pytanie, po to chyba postawione, by do reszty osłabić w oczach Warszawy powagę władzy, rozległy się okrzyki: „vivat! hura! i Garibaldi jest Włochem i ten jest Włochem! Niech żyją Włochy! niech żyje Garibaldi! niech żyje Paulucci!“ Okrzyki te przeniosły się powoli na ulicę i w chwili, gdy nowy naczelnik policyi ukazał się w bramie hotelu, zagrzmiały znowu i towarzyszyły mu długo.

Margrabia Paulucci przybył tu właściwie po to, by być obecnym przy oględzinach sądowo-lekarskich ciał po-

ległych wczoraj ofiar, jak tego wymagały obowiązujące w kraju przepisy. W tym celu do numeru 64, gdzie leżały te ciała, zeszedł drugi oddział Sądu policyi prostej w Warszawie, w nakazanym przez prawo komplecie, z rejentem i dwunastu obywatelami w charakterze świadków. Ponieważ śmierć nastąpiła, jak się wyraża protokół sądowy „z ran zadanych przez żołnierzy“, więc zażądano obecności deputata wojskowego, który istotnie przybył i wówczas spisano szczegółowy protokół oględzin sądowo-lekarskich [1]). Potem fotograf Bayer zdjął podobiznę zabitych, nieco w pozach teatralnych, z ranami widocznemi i odkrytemi. Fotografie te, brzydkie i źle wykonane, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozbiegały się po całym kraju.

Ciągle tłumy snuły się koło hotelu Europejskiego, w którym poczęto zbierać składkę na pogrzeb pięciu po-

---

[1]) Mikołaj Berg w „Zapiskach o polskich wozstaniach“ str. 120, szydzi z protokółu tych oględzin. „Protokół ten, powiada, jest bardzo ciekawy i wybornie maluje chwilę. Nie dość na tem, że w tonie najpoważniejszym opisano położenie ciał na materacach, w numerze hotelu, potem gdy ciała te objechały kilka ulic, były rzucane i przerzucane i nakoniec ułożone w pozach fotograficznych — w protokóle zamieszczono nawet opis śladu błota na policzku jednej z ofiar, niezupełnie strawiony kartofel w żołądku drugiego trupa i najskrupulatniejszy opis kuli, znaleziony w trzecim zabitym. Jednem słowem pisali nie akt, ale swawolili w sposób nieprzyzwoity dzieci, uwolnionych nie we właściwym czasie z powijaków, i tę swawolę, ten żart z władzy, musiał nie na żarty podpisać deputowany wojskowy rosyjski“.

Zdaniem naszem w tem wszystkiem nie było ani odrobiny swawoli, o jaką Berg oskarża ówczesne władze sądowe polskie. Przepisy dotyczące oględzin sądowo-lekarskich osób zabitych, w epoce tej obowiązujące, nakazywały opis jak najbardziej drobiazgowy wszelkich szczegółów, dotyczących denata i samej sekcyi. Opis więc śladu błota, kartofla w żołądku i kuli w ciele, jakkolwiek wydać nam się może śmiesznym wobec faktu wszystkim wiadomego o przyczynach śmierci pięciu poległych, był dokonany zgodnie z przepisami. Przepisy te zresztą w większej części wypadków okazały się dobrze i rozumnie obmyślanymi i spełniły to zadanie, dla którego wydane zostały. Ileż to razy takie drobiazgowe protokóły oględzin przyczyniły się do wykrycia najbardziej z pozoru tajemniczej zbrodni!

ległych. Niejaki Leja, urzędnik drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, niegdyś emigrant, który powrócił do kraju za amnestyą, i Piotrowski właściciel ziemski z Błońskiego, wystawiwszy z okien cukierni Kontiego kapelusze, zapraszali głośno do składania w nie ofiar. Jakoż składano je i składano obficie. Sypały się tam w owe kapelusze nie tylko miedziane i srebrne pieniądze, nie tylko złoto i papiery, ale kolczyki, pierścionki, bransoletki i t. p. kosztowności, które w entuzyastycznem rozżaleniu rzucano z przekonaniem, że to idzie na ołtarz ukochanej ojczyzny. Tłumy rosły koło hotelu Europejskiego, rosły i sumy zbierane przez Leję i Piotrowskiego. Prócz tego można było składać ofiary w sklepie Ksawerego Szlenkiera na ulicy Senatorskiej i u Matyasa Rozena na Miodowej, oraz w wielu innych sklepach. „Nikt ze swym groszem, wołała „Gazeta Warszawska“, chociażby to nawet był grosz wdowi zalegać nie może; jest to ofiara święta“.

Dla uniknięcia zbiegowiska, postanowiono ciała zabitych przewieść późno w nocy do kościoła św. Krzyża, z którego pogrzeb miał się odbyć. Koło godziny 12-tej więc, o północku, włożono w trumny czarne, proste, bejcowane, na których białymi ćwiekami wypisane były nazwiska zmarłych, i przeniesiono do kościoła górnego, gdzie ustawiono je w ten sposób, że jedna stanęła w środku, a cztery po jej rogach. Cały kościół suknem czarnem, dostawionem za darmo przez fabrykantów i kupców, wybito, co w tej ogromnej, wysokiej świątyni, imponujące swą powagą i smutkiem robiło wrażenie. Same trumny ozdobiono palmami, niby godłami męczeństwa, i wieńcami z cierni. Mnóstwo kwiatów i świateł otaczało dokoła ciała. W trumnie Zdzisława Rutkowskiego, oprócz jego zwłok, leżała także ręka strzaskana przez kulę i odjęta ranionemu w d. 27 Lutego Henrykowi Karskiemu. Między ranionymi w ów dzień, jakeśmy wspomnieli, było kilku żydów. Jeden z nich, wedle zdania lekarskiego żyć nie mógł, współwyznawcy oczekiwali niecierpliwie na jego śmierć, aby nie pięć ale sześć ofiar pochowanych było wspólnie i żeby między

niemi znajdował się koniecznie żyd. Spodziewano się jego śmierci właśnie w d. 28 Lutego, tymczasem on nie umierał i nie umarł aż w parę tygodni później.

Wieczorem, gdy się ukazały gazety, rozchwytywano je chciwie, bo znajdowało się w nich kilka ciekawych i interesujących ogół ogłoszeń. Przedewszystkiem więc sam namiestnik donosił w krótkich słowach o wczorajszych wypadkach i zawiadamiał, że „celem wykrycia winnych tego nieszczęśliwego starcia“ zarządził ścisłe śledztwo; zapewniał, że nie będzie „tolerował gwałtów z żadnej strony“, prosił, by „spokojni obywatele“ unikali tłumnych zbiegowisk „obecnie częstokroć przez knowania niebezpiecznych podżegaczów wywoływanych“, i na wezwanie władz rozchodzili się dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom. W końcu, w tonie patetycznym wołał: „mieszkańcy miasta Warszawy! nie poddawajcie się zwodniczym zabiegom, usłuchajcie głosu człowieka, prawość którego, w ciągu trzydziestoletniego pobytu jego między wami, mogliście ocenić“.

Odezwa ta była w najwyższym stopniu niezręczna. Zapewniając Gorczakow, że nie ścierpi gwałtów z żadnej strony, uznawał publicznie, że wczorajsze strzelanie było gwałtem, godnym nagany i kary, co wprawdzie świadczyło o jego najpoczciwszych chęciach łagodzenia zbyt naciągniętej sytuacyi, ale zarazem zdradzało przed ogółem, że władza nie wiedziała sama, czego się trzymać, że straciła głowę, że ogarnęła ją obawa przed następstwami krwi rozlewu. Wprawdzie wszystko to były rzeczy wiadome już pewnej części ludności warszawskiej, po tem, co wczoraj delegacya mieszczańska uzyskała, ale pocóż się było do tego przyznawać i zawiadamiać o tem cały kraj i cały świat? Odezwa namiestnika nie uspokoiła „niebezpiecznych podżegaczy“, nie zachęciła „spokojnych obywateli“, by w awanturach ulicznych nie brali udziału, ale zato pokazała jeszcze raz słabość rządu, jego brak decyzyi i śmieszną obawę. Odwoływanie się do znanej przez trzydziestoletni pobyt prawości człowieka, który rządził Polską, nie

mogło znaleść echa w sercach oszalałych, w głowach rozgorączkowanych i upojonych tryumfem tak łatwego a nadewszystko tak niespodziewanego zwycięztwa.

Obok odezwy namiestnika, jenerał gubernator warszawski Paniutyn ogłosił, że margrabia Paulucci został mianowany zawiadującym naczelnie policyą warszawską [1]).

Jeżeli obie te odezwy świadczyły o słabości rządu, to zato pewien rodzaj proklamacyi, jaką ogłosiła w piśmach delegacya obywateli, wyraźnie mówiła tonem swoim o tem nagłem zwycięztwie i przewadze, jaką agitacya rewolucyjna osiągnęła w mieście. Doniósłszy, że pogrzeb pięciu ofiar odbędzie się w sobotę dnia 2 Marca o godz. 10-tej rano, delegacya wołała: „w imię miłości kraju, w imię najświętszych, najdroższych dla każdego z nas obowiązków, wzywamy wszystkich mieszkańców miasta, by cześć oddawana ofiarom tym w chwili pogrzebu ich ciał, odznaczała się najwyższą godnością, najwyższym spokojem. Mieszkańcy Warszawy, wysłuchajcie tych słów braci waszych“ [2]).

Te słowa tak gorące, tak patetyczne, mówiące głośno i publicznie o miłości tej ojczyzny, o której od lat trzydziestu nie wolno było nawet wspominać, wywarły silne, potężne wrażenie na ogół. Rozchwytywano je, czytano, płakano nad niemi i przyrzekano sobie, że święcie wypełnioną będzie wola delegatów, braci, moralnego rządu polskiego. Pokażmy Moskalom, mówiono sobie, jak umiemy być karni i posłuszni władzy naszej, która choć nie opiera się na bagnetach i żandarmach, jest przecie silniejszą w Resursie, niż cały rząd rosyjski w Zamku; okażmy całemu światu przykład narodu kierowanego nie siłą fizyczną ale

---

[1]) Trepow wyjechał z Warszawy odfotografowawszy się wprzódy u Bayera z twarzą owiniętą. Wieść niosła, że za swe zasługi otrzymał stopień jeneralski i 3.000 rs. gratyfikacyi.

[2]) Odezwę tę podpisali: ks. Wyszyński, ks. Stecki, J. Lewiński, K. Szlenkier, L. Kronenberg, K. Bayer, M. Rozen, J. Piotrowski, J. I. Kraszewski, St. Hiszpański, A. Trzetrzewiński, J. Kenig, Dr. Chałubiński, K. Kucz (redaktor „Kuryera warszawskiego“).

siłą moralną, narodu, który umie znosić z godnością swe nieszczęścia i ze spokojem swą niedolę; bądźmy poważni i cierpliwi w naszem męczeństwie; podnieśmy ducha do wyżyn, na jakie krwawa ofiara nasza podniosła cały naród. Nastrój ludności stał się jakiś rzewny, rozżalony, roztęskniony; zda się, że powiał po tym ludzie ów duch egzaltacyi mistycznej, jaki przebijał oddawna w poezyi romantyków emigracyjnych. Ojczyzna znów stawała się jedynym ideałem, jedynem pragnieniem i jedynym celem życia. Takich, którzyby nie poświęcili dla niej, w owych chwilach dziwnej, niepojętej, rzadko już później widzianej egzaltacyi, wszystkiego, było z pewnością wtedy nie wielu w Warszawie.

Spostrzegli to kierownicy ruchu, agitatorzy, owa nieokiełznana młodzież z akademii, ze szkoły sztuk pięknych, z Marymontu i różnych dykasteryi urzędniczych; sama ona wreszcie kipiała pod wpływem waru uczuć, unoszących się w powietrzu Warszawy. Teraz lub nigdy, powiadali, jest najsposobniejsza chwila do powstania. Miasto jest tak oburzone i tak rozgorączkowane ostatnimi wypadkami, że powstanie jak jeden człowiek. Wojska jest niewiele, władza przerażona, policyi niema; zbierzmy się, uderzmy na cytadelę. W dwie godziny nie będzie ani jednego Moskala w mieście. Zgromadzimy cechy; z fabryk na Solcu trzystu robotników postawimy uzbrojonych w noże, topory, oskardy, sztaby żelaza, i pójdziemy jak wicher, jak Bóg wojny, jak huragan naprzód. Weźmiemy Zamek i cytadelę; oczyścimy miasto z najeźdźców.

Rozumniejsi, zimniejsi, ostrożniejsi delegaci i Millenerzy usiłowali wszelkimi sposobami uspakajać rozgorączkowaną młodzież. Nie weźmiecie, odpowiadali im, ani Zamku ani cytadeli, nie macie czem wziąć. Gołemi rękami fortec się nie zdobywa. Przelejecie tylko potoki najlepszej krwi, zburzycie miasto i zostawicie swobodne pole dla tyranii i despotyzmu militarnego. Słowa te i usiłowania umiarkowanych powiodły się w części. Rozsyłając delegaci patrole nocne, złożone z młodzieży, zalecali im mocno, by

baczną zwracały uwagę na te okręgi miasta, w których zamieszkuje klasa rzemieślnicza i robotnicza. Młodzież tę zaopatrzono w bileta i w hasło, którem na tę noc był wyraz „krzyż“, żeby się nawzajem poznawać mogli i starano się wlać w nią przekonanie, że rząd umyślnie rozpuścił mnóstwo szpiegów, którzy namawiają ludność do powstania, broń nawet rozdają. Mówiono, że rząd czuje, jaką przeciw sobie obudził pogardę za mordowanie bezbronnych, że potrzebuje usprawiedliwić się przed oczami Europy, a usprawiedliwić tem, iż lud istotnie się buntuje i napada z bronią w ręku na wojsko. Było to dość zręcznie pomyślane i miało ten rezultat, że część rozgorączkowanej młodzieży uwierzyła temu, zwłaszcza, że nazajutrz rozpuszczono pogłoskę, jakoby patrole, straż bezpieczeństwa jak ją zwano, schwytała kilku ludzi z bronią w ręku i wydała ich władzom policyjnym. Jakkolwiek jednak pogłoski takie umyślnie były rozgłaszane, by ludność utrzymać w spokoju, natchnąć ją przekonaniem, że rząd pragnie wywołać powstanie, aby przy pomocy wojska krwawo je odrazu stłumić, że zatem obowiązkiem polskim jest nie czynić tego właśnie, czego rząd chce, przecież nie ulega kwestyi, że pewna liczba prowokatorów znajdowała się w mieście i kraju. Po większej części byli to dymisyonowani oficerowie wojsk rosyjskich, Polacy, których znaczna liczba została po kampanii krymskiej uwolniona z szeregów, i pędzili oni życie biedne, niezdolni do żadnych zajęć; element burzliwy, niespokojny, i gotowy rzucić się do wszystkiego, siać wichry i pioruny, byle swej nędznej egzystencyi nadać cel jakiś. Nie byli to ludzie, którychby rząd płacił za to, że podniecali młodzież do powstania; nie mieli oni żadnych związków z policyą, ale byli niezadowoleni, patryoci skwaszeni życiem mizernem, zgoryczeni nędzą i brakiem celu. Jednego z takich, niejakiego Józefa Cywińskiego, schwytali w kilka dni później, d. 5 Marca w Piotrkowie uczniowie gimnazyum tamtejszego w chwili, gdy podmawiał ich do powstania zbrojnego. Wydany władzom rosyjskim, osadzony został w cytadeli warszawskiej.

Innego znowu, Stanisława Krupskiego, podobno ajenta austryjackiego, przyaresztowała sama policya, jeszcze w d. 25 Lutego w chwili, gdy przylepiał na ulicy ułożoną przez siebie proklamacyą, wzywającą do zbrojnego wybuchu [1]).

Aresztowanie Krupskiego w Warszawie i innych prowokatorów, zdania, obiegające między młodzieżą szkoły sztuk pięknych o konieczności chwycenia za oręż, świadczyły, że natychmiastowe powstanie w Warszawie jest możliwem, jest pożądanem dla niektórych państw, jest strasznem bezwarunkowo niebezpieczeństwem, wiszącem nad głową narodu. Delegacya więc musiała natężać wszystkie siły, używać całego swego wpływu moralnego, by utrzymać miasto i kraj w spokoju.

Taki był stan umysłów w mieście, gdy przedpołudniem 28 Lutego, deputacya, złożona z arcybiskupa Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego, Kronenberga i Szlenkiera, oddała w Zamku adres księciu Gorczakowowi, zaopatrzony w kilkanaście tysięcy podpisów, które miano jeszcze przez parę dni zbierać na osobnych arkuszach i w miarę kompletowania wręczać je namiestnikowi dla dołączenia do adresu. Sam adres odbito w tysiącu egzemplarzy w litografii Towarzystwa kredytowego ziemskiego dla rozesłania po kraju, ale dowiedziawszy się o tem prezes Towarzystwa, Białoskórski, cały ten nakład skonfiskował. W gazetach wydrukować go nie pozwolono, co było błędem, wynikiem ciasnego, biurokratycznego poglądu na rzeczy, gdyż w braku możności opu-

[1]) Podwysockij w swoich „Zapiskach oczewidca“, potwierdza to, że Krupski był ajentem austryjackim. Władze austryjackie jednak temu zaprzeczały. W raporcie konsula austryjackiego w Warszawie, przesłanym do Wiednia, do ministeryum, nazywano Krupskiego „burzycielem, który się powoływał na upoważnienie rządu cesarsko-austryjackiego“ (ein Aufwiegler, der sich auf ein Mandat der Kaiserlich-österreichischen Regierung berufte). Krupski był studentem uniwersytetu Jagiellońskiego; zesłany na Sybir, pojawia się w r. 1863 w tak zwanej „sprawie kazańskiej“.

blikowania adresu drogą dziennikarską, zmuszono jego autorów do rozpowszechnienia go drogą tajną. Jakoż dziesiątki tysięcy egzemplarzy pisanych lub litografowanych rozbiegło się po całym kraju. Również błędem było rozesłanie przez Gorczakowa okólnika w parę dni później do różnych dykasteryi, w którym zabraniał urzędnikom podpisywania się na adresie; a gubernator augustowski Ferzen głośno się odgrażał, że każdego, kto podpisze, każe aresztować. Nie zapobiegło to jednak, że liczba podpisów dosięgła blizko 20 tysięcy, i ustało ich zbieranie wtedy dopiero, gdy Gorczakow wyraźnie tego zakazał, co wszystko, nie zapobiegając samemu faktowi, drażniło mocno i tak już rozdrażnioną ludność.

Gorczakow, otrzymawszy adres z rąk Fijałkowskiego, okazał widoczne zakłopotanie. Długo, namyślając się, trzymał pismo w ręku, aż wreszcie rzekł: „adresu przyjąć nie powinienem, ale... zobaczymy“, i podniósłszy dokument do swych maleńkich oczów, począł go czytać. Przeczytał go raz, ale wzruszenie snadź nie pozwoliło mu go zrozumieć, bo czytać począł powtórnie, a ustęp, w którym jest mowa o braku zaufania do rządu, głośno powtórzył, poczem rzekł tonem urywanym, pełnym wahania: „adresu przyjąć nie powinienem, ale... go przyjmuję... biorę przez to na siebie wielką odpowiedzialność... i zapewniam panów, że go dzisiaj jeszcze do Petersburga odeślę i poprę o ile możności“. Nie odesłał jednak zaraz, ale natomiast doniósł o tem cesarzowi drogą telegraficzną. Adres ten nazwał on prośbą, mieszczącą w sobie „wyrażenia ogólne, bardzo liberalne, dążące do nadania Królestwu Polskiemu rozmaitych praw“. Twierdził, że petenci oświadczyli mu, iż przedłożenie tej prośby monarsze, dopomoże nie mało do uspokojenia umysłów, zaręczał nakoniec, że w mieście jest spokojnie. W odpowiedzi na to, tegoż jeszcze wieczoru (28 Lutego), cesarz telegrafował do namiestnika, że „jeżeli prośba rzeczywiście jest tej treści, o jakiej wspominał Gorczakow, to nie należało jej przyjmować. W każdym razie,

kończył swą depeszę Aleksander, teraz nie czas na ustępstwa i ja nie dopuszczę żadnych".

Te słowa cesarskie, świadczące, że w Petersburgu nie myślano o żadnych ustępstwach dla Królestwa, że chciano dalej prowadzić politykę surowości, utrzymać despotyzm militarny, sprawiły, że Gorczakow wpadł w jeszcze większe pomięszanie. I tak już niezdecydowany, niepewny czego się chwycić, jaką drogą postępować, znalazł się nagle pod naciskiem dwóch prądów, jednego idącego z Petersburga, drugiego z miasta, które nim miotały, jak liściem zeschłym miota wiatr jesienny. Tam polecano mu surowość, tu domagano się ustępstw, grożąc, że w przeciwnym razie może wybuchnąć powstanie, powstanie straszne, które krwią zaleje ulice Warszawy, tą krwią, o której mówił Potocki, że rdzawą plamą legnie na czystym dotąd herbie Gorczakowów. Dla każdego umysłu, dla każdego charakteru położenie było bardzo przykre i bardzo śliskie, a cóż dopiero dla tego chorego starca, dla tej duszy poczciwej, ale miękkiej. Chodził jak błędny po salach zamkowych, łamał ręce i nie wiedział, czego się chwycić, jak postąpić. Nazajutrz d. 1 Marca, ten brak decyzyi szersze musiał koniecznie przybrać rozmiary, w obec ponownego telegraficznego rozkazu cesarza, ażeby namiestnik „prośbę" zatrzymał, jeżeli jeszcze nie wysłana. „Proszę działać ze spokojem i energią, pisał mu cesarz; żadnych zgoła ustępstw nie mam zamiaru czynić". W obec tego Gorczakow coraz bardziej się chwiał, coraz więcej tracił konieczny w tak ważnych chwilach spokój i przytomność ducha. Raz wpadał w gniew, postanawiał chwycić się surowych środków, polecał naczelnikowi swej kancelaryi Kołaczkowskiemu zredagować ogłoszenie o zaprowadzeniu w mieście i kraju stanu oblężenia, to znowu miękł i drżał w obawie przed grożącem jakoby powstaniem w Warszawie. Wieści o tem dnia 1 Marca przybierały coraz szersze rozmiary, coraz częściej dochodziły do Zamku. Mówiono, że jutrzejszy pogrzeb pięciu poległych będzie tylko pretekstem do zebrania znacznych

mas ludności, że w czasie tego pogrzebu wybuchnie powstanie; że rzeźnicy przybędą z toporami pod ubraniem, robotnicy z Solca stawią się także z bronią, z siekierami, nożami, z czem kto będzie mógł; że ze Starego Miasta, z nadwiślańskich dzielnic, z okolic podrogatkowych, siedliska ubogiej ludności, wylegną posępne tłumy straceńców, które rzucą się na koszary, na Zamek, na cytadelę...

Wieści te wydawały się staremu namiestnikowi, który w swem życiu patrzał na tyle krwi, na tyle gromów i trupów, tak prawdopodobnemi, że wezwał do siebie jednego z zaufanych oficerów i wręczył mu dwie szkatułki z rozkazem zaniesienia ich do cytadeli i oddania komendantowi, któremu miał polecić staranne ich przechowanie aż do czasu, gdy ich namiestnik znów zażąda. Objaśnił przytem oficera, co się w szkatułkach znajduje. Fakt ten, który nie mógł ujść argusowych oczów różnych jenerałów i świty, kręcącej się ciągle po Zamku, wywołał wśród nich formalny popłoch. Za przykładem swego zwierzchnika poszedł zaraz szef sztabu głównego, Kotzebue, i wręczył także temu samemu oficerowi jakieś paczki. Jenerał-gubernator Paniutyn wysłał do cytadeli dwa ogromne kufry; ogółem około dwudziestu najwyższych dygnitarzy na gwałt oddawało pod ochronę wałów i dział twierdzy swe majątki i kosztowności. Popłoch ten ciągle wzrastał do takich rozmiarów, że w końcu kazano kasy wojskowe i ważniejsze papiery przenosić do cytadeli. Na noc zamykano na głucho wszystkie bramy w Zamku i klucze od nich odnoszono do rąk samego namiestnika. Zarząd intendentury wojskowej odebrał z Banku polskiego złożone tam do depozytu 600,000 złp. Nawet szańce fortecy polecono obstawić wojskiem i wszystkie działa nabić, a Gorczakow żonę i rodzinę swoją co prędzej wyprawił do Drezna.

Tymczasem, gdy w Zamku wahano się ciągle, przechodzono od zamiarów ustępstw do projektów surowości, gdy raz wpadano w niczem nie usprawiedliwioną odwagę, drugi raz w takiż sam popłoch, miasto powoli przybierało uroczysty, na pół świąteczny, poważny charakter. Od sa-

mego rana tłumy ludności dążyły do kościoła św. Krzyża, żeby popatrzeć na pięć trumien, pokłonić się ofiarom, pomodlić się za ich dusze. Kobiety w głębokiej żałobie, z książkami do nabożeństwa w rękach, starcy, dzieci, wszystkie stany, bogaci i ubodzy, szlachta i rzemieślnicy, wszystko to płynęło jak fala czarna, poważna, posępna do kościoła, gdzie Chrystus w portyku dźwigał krzyż i zdawał się wołać kamiennemi usty: w górę serca! Kościół, ogromny, surowego stylu gmach, czarny i ciemny, napełniony był nieustannie tłumem, w którym słychać było tylko szept modlitwy i łkania spazmatyczne kobiet. Nieraz poważne, surowe, wąsate twarze starych wiarusów, którzy widzieli jeszcze hiszpańskie Sierry, lipski bój, krwawe niwy Grochowa i Ostrołęki, ukazywały się zalane łzami.... Straż bezpieczeństwa, przeważnie z młodzieży szkolnej złożona, porozstawiana była w kościele i zewnątrz niego dla zachowania porządku. Wpuszczano odwiedzających bocznemi od dziedzińca drzwiami, a wypuszczano przez główny portal na ganek kamienny z posągiem Chrystusa.

Wśród tego wszystkiego pewna część delegacyi miejskiej, uorganizowawszy się w osobny Komitet, zajmowała się ułożeniem programu jutrzejszego pogrzebu. Chciano go mieć możliwie wspaniałym i uroczystym. Składki wciąż na ten cel płynęły na ręce kasyera Komitetu, Jakóba Piotrowskiego. Prócz tego po znaczniejszych sklepach powywieszano kartki z napisem; „tu przyjmują się ofiary na pogrzeb poległych d. 27 Lutego“. Pokup na oznaki żałoby, na czarne krzyżyki, na kolczyki i ozdoby kobiece z lawy, był ogromny. Jakaś nieznajoma dama złożyła u jednego z kupców na Krakowskiem Przedmieściu znaczny stosunkowo fundusz na godła żałobne, które rozdawano darmo, kto ich tylko zażądał. Wszystkie szwalnie, wszystkie nieomal kobiety zajęte były przygotowaniem na dzień jutrzejszy żałoby. Smutek, wielki, rzewny smutek leżał na całem mieście. Mówiono sobie, że nie pięć, ale kilkanaście osób poległo, lecz że trupy policya zdołała usunąć. Rozpuszczono pogłoskę, której wszyscy dawali wiarę, że pod Bielanami

wyrzuciła Wisła kilka trupów, pod Zakroczymiem wyłowiono kilka ciał w słomę owiniętych, że śladami ran od kul. Wszystkie te pogłoski drażniły ludność, nie umiejącą rozróżnić prawdy od fałszu, płakano, obiecywano pomstę, obrzucano klątwami dziki, barbarzyński, „mongolski“, jak mówiono, rząd, który morduje bezbronnych.

Gdy się to dzieje, Czerwieńcy, a głównie Majewski, przemyśliwał nad tem, by skorzystać z przyjaznych, jedynych okoliczności, i dążności rewolucyjne utrwalić na takich podstawach, któremiby już żadna późniejsza represya rządu wstrząsnąć nie mogła. Szło mianowicie o zrewolucyonizowanie całego kraju, o „obudzenie w nim ducha“, jak mówili. Wysławszy w tym celu ajentów na prowincyą pod pozorem uwiadomienia kraju o wypadkach warszawskich i zaproszenia go na pogrzeb, wysyłali ich jeszcze ciągle w różne strony, pod innymi, rozmaitymi pozorami, jak np. dla zbierania podpisów na adresie do cesarza. Ci ajenci, przeważnie młodzież ucząca się i zrewolucyonizowana do szpiku kości, wpadali jak zarzewia pożaru w ciche, senne, leniwy i ospały żywot pędzące nasze miasteczka. Tu i owdzie, zwłaszcza bliżej Warszawy, przy drogach bitych, po których szła codzienna, regularna komunikacya ze stolicą, ajenci zastawali już wieści o katastrofie 27 Lutego, które zdołały ich uprzedzić. Wieści te, przez jedno z tych osobliwszych zjawisk, jakie zawsze spostrzegać się daje, ilekroć gdzieś ważny, wszystkich interesujący zajdzie wypadek, piorunem, rzec można, rozbiegły się po kraju, robiąc wszędzie potężne, wstrząsające wrażenie; a rozchodząc się coraz dalej promieniami, pantoflową pocztą, powtarzane z ust do ust, przybierały nieraz bajeczne, niepodobne do uwierzenia rozmiary. Prawie wszędzie po miastach mieszkańcy gromadami wychodzili na drogę o oznaczonej godzinie, w której miała przybyć poczta z Warszawy, oczekując w naprężonym niepokoju na wiadomości ze stolicy, po większej części kłamliwe, a zawsze przesadzone. Wywoływały one powszechne oburzenie; budziły patryotyzm uśpiony. To też, gdy zjawiali się tu ajenci Czerwień-

ców, znajdowali materyał gotowy, bogaty i niezmiernie podatny. Dziesiątki, setki, tysiące, cała, jednem słowem, organizacya, oddawna już w Warszawie i Kijowie, między młodzieżą akademicką wypróbowana, rosła jak na drożdżach i zapuszczała tak silne korzenie, że przetrwała wszystkie późniejsze burze i wstrząśnienia. Ajenci ustanawiali wszędzie rodzaj zwierzchnich komitetów, którym kazali się znosić z Warszawą, szepcząc tu i owdzie z tajemniczą miną, że na czele całej organizacyi w stolicy, stoi jakaś poważna, wybitna i rozumna osobistość, której nazwiska jednak wymienić nie mogą, dla powodów łatwych do odgadnięcia. Wszystko to, ten spisek pełen tajemnicy, ten urok walki podziemnej z najazdem, ogarniał z niezmierną łatwością głowy mieszczaństwa, klasy urzędniczej, adwokatów, lekarzy, inżenierów, budowniczych, warstw, według starożytnego wyrażenia, ciekawych nowości, niezadowolonych z siebie i innych, demokratycznie i czerwono usposobionych. Jednem słowem, śmiało rzec można, że w ciągu Marca 1861 r. organizacya ogarnęła prawie wszystkie miasta Królestwa, tu i owdzie nawet sięgnęła na wieś, do szlachty i ludu [1]).

[1]) Są ślady, że w tym czasie, w Lutym lub Marcu 1861 r. pod wpływem, jak się zdaje, Mierosławskiego, uorganizował się we Lwowie pewien rodzaj Rządu narodowego, na czele którego stał Dobrzański, późniejszy redaktor „Gazety narodowej“. Faktem jest, że jeden z oficerów wojsk austryjackich, konsystujących w twierdzy związkowej niemieckiej, Rastadzie, otrzymał w imieniu Rządu narodowego rozkaz ze Lwowa, z poleceniem wręczenia go jenerałowi brygady i kolegom Polakom. W rozkazie tym samozwańczy i tajemniczy rząd rewolucyjny lwowski, domagał się, by Polacy opuścili natychmiast służbę austryjacką, udali się do Lwowa lub miejsc urodzenia i tam oczekiwali rozkazów dalszych. Przytem uprzedzano ich, że we właściwym czasie wezwani będą do pełnienia służby w wojsku narodowem.

Niemniej ciekawe, choć nie dość jasne, znajdujemy napomknienie w książce Z. Miłkowskiego p. t. „W Galicyi i na Wschodzie — przyczynek do dziejów powstania 1863“. (Poznań, 1880). Na str. 1 tego dzieła czytamy: „w miesiącu Wrześniu 1859 r. wyjechałem z Paryża w zamiarze przygotowywania powstania. Wyjechałem

W samej Warszawie Majewski i jego pomocnicy niemniej gorliwie zabrali się do dzieła. W wigilią pogrzebu pięciu ofiar, a więc w parę dni po wypadkach 27 Lutego, zebrali posiedzenie gremialne Kółka akademików, uczniów szkoły sztuk pięknych i Marymontczyków, w teatrze anatomicznym przy szpitalu Dzieciątka Jezus, i tu najprzód zajęli się przywróceniem jedności w samem Kole, które od czasu sprawy akademickiej w 1859 r. rozpadło się było na dwie części, na mocno czerwonych i umiarkowanych, zwanych inaczej „białymi“. Pod wpływem wypadków, które tak głęboko wstrząsnęły umysłami, które wywołały powszechne poczucie potrzeby skupiania się i jedności, pogodzono się wśród łez, przysiąg, zaklęć, rzucania się sobie w ramiona. Gdy to nastąpiło, zajęto się debatami nad uorganizowaniem miasta. Podzielono całą Warszawę na sekcye, rozdano je między siebie i zalecono sobie wiązać w dziesiątki i setki rzemieślników, robotników, tę liczną, rojną klasę ludu warszawskiego, która okazywała tyle patryotyzmu i tyle gorączki. Wszelka łatwość była teraz po-

w charakterze członka Komitetu, który, oprócz mnie, składał się z jenerała Wysockiego i z pp. Seweryna Elżanowskiego, Józefa Ordęgi i Wincentego Mazurkiewicza. Do Komitetu tego, zawiązanego pod naciskiem przebywającej podówczas tłumnie w Paryżu, a domagającej się działania powstańczego, młodzieży krajowej, odnieść należy początek myśli, która wywołała samoistną w Polsce organizacyą“. Odsyłając czytelnika po bliższe, jakkolwiek bardzo skąpe, szczegóły do wymienionej książki, zaznaczyć tu jednak musimy, że ze wzmianki tej wyprowadzić należałoby wniosek, iż o wybuchu zbrojnym emigracya już myślała w r. 1859 i robiła do niego przygotowania.

Wniosek ten do pewnego stopnia potwierdza obszerny list Narcyzy Żmichowskiej do Seweryna Elżanowskiego z d. 4 Października 1859 r. List ten (patrz „Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół. Kraków, 1885. II, 23—45)“ jest odpowiedzią na żądanie Elżanowskiego, by Żmichowska przygotowywała kraj do powstania i zawiązała Komitet. Żmichowska, wygłaszając program powolnego rozwoju społecznego, który był programem Millenerów, stanowczo oparła się temu żądaniu. „Na spiskowe działania już nie czas, pisała, na sprzysiężenie powstańcze zawcześnie“.

temu. Policya, cofnięta z ulic, nie mogła przeszkadzać, a konstable narodowi, złożeni z akademików lub przez nich kierowani, mieli tysiące sposobności zetknięcia się z ludem i chwytania go w sieć organizacyi rewolucyjnej. Jakoż w Warszawie to samo zjawisko się okazało, co i na prowincyi. Organizacya tajna wzmagała się z każdą chwilą i na silnych opierała się fundamentach. Te to dni, te „polskie czasy“, jak tradycyjnie długo potem lud warszawski nazywał epokę czterdziestodniowej, że tak powiemy, nieobecności rządu, dały podstawy, wytworzyły istotną organizacyą rewolucyjną.

Wśród takich to działań, takiej agitacyi i odgłosów dalekiej jeszcze, ale bądź co bądź zbliżającej się i widocznej burzy, Komitet zajmował się przygotowaniami do jutrzejszego pogrzebu pięciu ofiar, pogrzebu, który miał być nie czem innem, tylko także wielką, majestatyczną manifestacyą polityczną, uorganizowaną spokojnie i obmyślaną dobrze. Wieczorem tegoż dnia (1 Marca) ogłoszono po gazetach program uroczystości jutrzejszej [1]), i z powodu wciąż

---

[1]) Program ten brzmi, jak następuje: „jutro o godz. 10-tej rano odbędzie się eksportacya zwłok ofiar poległych d. 27 b. m. z kościoła górnego św. Krzyża na cmentarz Powązkowski. Program tej eksportacyi jest następujący: orszak żałobny wyruszy z kościoła po odprawionem nabożeństwie i postępować będzie ulicami: Krakowskiem Przedmieściem, Saskim placem, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. Rozpoczną orszak: sieroty i starcy warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, za nimi postępować będą uczniowie szkół tutejszych, z kolei cechy z chorągwiami żałobnemi i światłem jarzącem, dalej duchowieństwo. Poza duchowieństwam niesione będą ciała zmarłych, a za temi postępować będą przed karawanami duchowni wyznania Mojżeszowego, w właściwych ubiorach i stosownie do swego obrzędu z nakrytemi głowami. Jakkolwiek spodziewany jest spokój i porządek przy tak uroczystym i smutnym obrzędzie, wszelako dla tem większej rękojmi utrzymania tegoż porządku, Delegacya miasta i Komitet, zajmujący się pogrzebem, przy pomocy dobranych osób i młodzieży z Akademii medycyny, ze szkoły sztuk pięknych i Instytutu agronomicznego, czuwać będą nad pochodem całego tego orszaku. Wzywa się przeto wszystkich, dobra kraju pragnących, ażeby: 1) obywateli szarfą żałobną na lewem ramieniu od-

powtarzających się pogłosek o gotującem się powstaniu, pogłosek, które tak przeraziły Gorczakowa i jego otoczenie, delegaci kazali wydrukować i rozlepić po rogach ulic odezwę, w której zapowiadali, że kto podczas pogrzebu ukaże się na ulicy z bronią w ręku, uważany będzie za zdrajcę kraju. Przez całą noc gęste patrole, złożone z konstablów narodowych, przebiegały ulice, aresztując wszelkie podejrzane osobistości i oddając je w ręce policyi rządowej. Dla patroli tych urządzono w niektórych domach rodzaj bufetów, w których mogły podczas uciążliwych spacerów po mieście, wśród nocy długiej i chłodnej się posilić. W pałacu Krasińskich, z rozporządzenia pani domu, przez całą noc w salonie stał samowar i przekąski. Młodzież w ogóle bardzo gorliwie i bardzo energicznie pełniła swą służbę czuwania nad bezpieczeństwem publicznem. Znowu miano schwytać kilku ludzi z bronią w ręku. Obawa przed możliwością powstania była tak silna, że jeden

---

znaczonych; 2) akademików; 3) uczniów szkoły sztuk pięknych; 4) uczniów Instytutu agronomicznego, we wszelkich rozporządzeniach porządkowych, stanowczo słuchać zechcieli zarówno przy samym pogrzebie, jak i przy powrocie do domów. Obok tego uprasza się jak najusilniej publiczność, aby nie gromadziła się zbytecznie w jednych miejscach, lecz zechciała się zbierać już to na obszerniejszych a przyległych placach, już na chodnikach wzdłuż całej linii, którą orszak żałobny postępować będzie, tak dla nietamowania pochodu, jako też dla tem większej własnej dogodności.

Ofiary poległe w d. 27 b. m., których pogrzeb odbędzie się jutro, są następujące: Marceli Karczewski obywatel ziemski, lat 56, z powiatu Sieradzkiego, Zdzisław Rutkowski, lat 23, obywatel ziemski z Jaszowic, z gubernii Radomskiej, Adamkiewicz, Karol Brendel, rzemieślnik przy warsztatach fabryk żelaznych i uczeń Arcichiewicz. Od dziś rana zwłoki tychże wystawione zostały w kościele św. Krzyża.

Delegacya obywateli uprasza, aby w dniu jutrzejszym uroczystego pogrzebu uprzątnięte i oczyszczone były wszystkie ulice, któremi orszak przechodzić będzie, mianowicie: od św. Krzyża placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami ku cmentarzowi Powązkowskiemu. Właściciele wozów zechcą nawieść piasku za wynagrodzeniem, jakie kto zażąda.

Warszawa, d. 1 Marca 1861 r.“

z najpopularniejszych członków Delegacyi, zdaje się Dr Chałubiński, osobiście udał się na Solec, gdzie najliczniej mieszkała klasa robotnicza i rzemieślnicza, by ją uspokoić i wpłynąć na nią, żeby zaniechała wszelkich zamiarów rewolucyjnych.

Nakoniec zajaśniał poranek dnia 2 Marca. Dzień był słoneczny, ciepły, jasny, śmiejący się wszystkimi urokami młodej wiosny, „jak gdyby Bóg promień miłosierdzia rzucił na biedny nasz kraj“, że użyjemy wyrażenia jednej ze współczesnych relacyi. Od samego świtu, ledwie słońce weszło, tłumy zaległy ulice, któremi miał przechodzić orszak pogrzebowy, zwłaszcza Krakowskie Przedmieście w pobliżu kościoła św. Krzyża, gdzie znajdowały się trumny pięciu ofiar. Wszyscy byli w miarę swej możności w grubej żałobie; kobiety ubrane w długie, czarne zasłony, nadawały całości charakter smutny i melancholijny. Sklepy prawie wszędzie pozamykano, dorożki i wozy nie pokazywały się na ulicach, domy, balkony przystrojono w czarne flagi, w takież kobierce, zwykle z krzyżem białym na środku, z obwódkami białemi u brzegu. Miasto było ciche i robiło niewypowiedzianie silne wrażenie przez swój wygląd smutny, żałobny, jakkolwiek tu i owdzie przeglądała pewna teatralność, pewna dążność do wywołania efektu, tak właściwa ludności warszawskiej. Ruch na mieście był ogromny. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi dążyło w głębokiem milczeniu ku kościołowi św. Krzyża. Wszędzie panowała poważna, uroczysta cisza i porządek był wzorowy. Gęsto rozstawieni konstable narodowi z przepaskami żałobnemi na rękach, w liczbie tysiąca pod wodzą Leona Trzetrzewińskiego, zapobiegali wszelkiemu zamięszaniu. Cechy rzemieślnicze, skupione pod swe chorągwie owinięte krepą, licznemi gromadami śpieszyły ku kościołowi, by przyjąć udział w pogrzebie. Nastrój był taki, obawy tak wielkie, że rząd skorzysta z nagromadzenia się ludności i zrobi wśród niej rzeź, że wiele osób w tym dniu, idąc na pogrzeb, spowiadało się i komunikowało jak przed śmiercią. Mnóstwo pogłosek obiegało śród tłumu. Nie wierzono w pozorną bez-

czynność władzy; mówiono, że rząd chce wywołać rewolucyą, że konstable narodowi ciągle chwytają szpiegów z bronią w ręku i oddają ich policyi za pokwitowaniem.

Tymczasem w kościele za dusze poległych biskup sufragan Dekert, „dziecię Warszawy“, trzymany niegdyś do chrztu przez cały naród w osobie marszałka sejmu czteroletniego, odprawił uroczystą, pontyfikalną mszę, podczas której na chórze odśpiewano *requiem* Stefaniego, pod dyrekcyą Apolinarego Kątskiego. Śpiewał instytut muzyczny, oraz najlepsi artyści opery, jak: Dobrski, Matuszyński, Troszel, Stolpe i Keller. Kościół był rzęsiście oświecony, koło trumien gorzało mnóstwo światła, zieleniały wieńce i kwiaty. Cała, ogromna świątynia była przepełnioną, a koło samych trumien stały rodziny poległych, o ile oczywiście te się zgłosiły. Nastrój był niezmiernie uroczysty i rozrzewniający.

Po mszy stary, siwy, przygarbiony arcybiskup Fijałkowski, ubrany w purpurę i złoto i w infułę biskupią, otoczony tłumem duchowieństwa, pobłogosławił ciała poległych wśród głośnego płaczu w kościele i punktualnie o godzinie 10-tej rano rozwarły się drzwi główne na oścież i kondukt pogrzebowy ruszył. Sam arcybiskup szedł na czele, mając po bokach dwóch biskupów, Dekerta i Platera, za nimi długi szereg duchowieństwa. Szli tu w fioletach kanonicy archikatedralni, szli księża w białych komeżkach, cała młodzież akademii duchownej, zakony w swych charakterystycznych, średniowiecznych habitach, bernardyni, brodaci kapucyni, reformaci, karmelici i kameduli biało ubrani, dominikanie w swych płaszczach żałobnych. Gdy wyniesiono na barkach ubiegającej się o to młodzieży pięć trumien, cały orszak począł się odpowiednio szykować. Środek ulicy był zupełnie pusty, publiczność tłoczyła się na chodnikach, powstrzymywana przez łańcuch, jaki utworzyli, trzymając się za ręce, mężczyźni. Stosownie do programu, ułożonego przez Komitet pogrzebowy, orszak rozpoczynały długie rzędy sierot i starców, utrzymywanych przez Towarzystwo dobroczynności, w jednakowych, szarych strojach, pod nadzorem sióstr miłosierdzia, których wielkie czepce białe

widne były zdaleka. Przed nimi atoli ukazał się na samem czele, na koniu, w pełnym swoim mundurze, w hełmie na głowie, jenerał Paulucci, którego „życzliwie witano“, jak pisze jedna z gazet współczesnych, a za nim posuwał się oddział straży ogniowej, t. z. strażaków, ulubieńców miasta, ubranych odświętnie, w błyszczących kaskach z herbem syreny, pod wodzą swego brandmajstra. Paulucciemu, dla uchronienia go od możliwych bardzo zniewag ze strony rozdrażnionej ludności, dano do boku Karola Ruprechta, który przez cały pogrzeb szedł obok naczelnika policyi. Za sierotami postępowali uczniowie wszystkich szkół, akademicy, szkoła sztuk pięknych, instytut agronomiczny z Marymontu, szeregami, przez całą szerokość ulicy, trzymając się za ręce. Po nich posuwały się czarno ubrane, z zapalonemi świecami w rękach, bractwa wszystkich kościołów, długi rzęd mężczyzn i kobiet. Z ulicy Królewskiej, gdzie oczekiwały na orszak, wysunęły się teraz wszystkie cechy warszawskie ze swemi chorągwiami w krepę owiniętemi. Dobyto nawet, schowaną od r. 1831 w magistracie, chorągiew jubilerów, na której, na czerwonem tle, błyszczał orzeł biały, teraz pokryty kirem. Po cechach szło duchowieństwo. Arcybiskup, odprowadziwszy orszak do rogu ulicy Królewskiej, siadł do karety, a kondukt pogrzebowy wiódł już Plater, sufragan łowicki. Zaraz po nim, oddzieleni tylko grupą członków Towarzystwa rolniczego, wśród których widziano chłodną postać Andrzeja hr. Zamoyskiego, posuwali się w swych togach i biretach na głowie superintendenci wyznań protestanckich, luterski: Ludwig, i kalwiński: Spleszyński, otoczeni kilku pastorami. Trumny, pięć czarnych trumien, nieśli na swoich barkach, szlachta: rzemieślników, rzemieślnicy: szlachtę. Kobiety chciały także nieść trumny, ale dano im olbrzymi wieniec cierniowy, „godło zwycięztwa i niewinności“, który ostentacyjnie dźwigały. Do niesienia trumien przez całą drogę nacisk był ogromny ludzi wszelkich stanów i wyznań. Każdy się dobijał, by ofiarom narodowym, jak mówiono, cześć oddać.

Za trumnami jechało pięć próżnych karawanów, a za

nimi, stosownie do swego obrzędu, nadrabin Beer Mayzels i Dr. Jastrow, w lisich czapkach na głowie, postępując z powagą uroczystą. Za nimi dopiero tłoczyły się gęste masy publiczności, z odkrytemi głowami, w głębokiem skupieniu ducha. W tłumie spostrzegano grupę druciarzy, w ich charakterystycznych strojach góralskich. Cisza była i porządek zupełny. Słychać było tylko melancholijny śpiew duchowieństwa i jęk dzwonów, bijących skargą ku niebu ze wszystkich dzwonnic warszawskich. Liczbę ludzi znajdujących się na pogrzebie oceniano na 100 do 160 tysięcy, który to rachunek nie zdaje się być zbyt przesadzonym z tego względu, że, gdy na cmentarz wchodziło czoło orszaku, koniec jego zajmował jeszcze ulicę Bielańską.

Wojska i policyi nigdzie nie było. Gorczakow przez rozkaz dzienny jak najsurowiej zabronił ukazywania się w ten dzień na ulicach żołnierzom i oficerom. Między tymi ostatnimi z tego powodu powstało silne oburzenie; mówili głośno, że „namiestnik poddał Warszawę Polakom“. Jednakże w czasie przejścia orszaku przez plac Saski, wojsko na odwachu będące wystąpiło, sprezentowało broń, a dobosz bił w bęben, salutując pogrzeb. Na dachach ratusza i arsenału drobne gromadki policyi i wojska ciekawie przypatrywały się tej olbrzymiej, niewidzianej dotąd manifestacyi. Lud, spostrzegłszy ciekawych, pokazywał ich sobie palcami i śmiał się z nich dobrodusznie. Wszędzie balkony i okna pokryte były flagami żałobnemi, na których obok krzyża pojawiały się teraz wieńce cierniowe i palmy.

Orszak pogrzebowy posuwał się ulicami w programie oznaczonemi t. j. placem Saskim, Wierzbową, Bielańską, Nalewkami i t. d. na Powązki, wśród największego porządku i uroczystej, niczem nie zakłóconej ciszy. W chwili, gdy z pierwszą trumną wchodzono na cmentarz, słońce, które przez cały czas pochodu jasno świeciło, okryło się nagle chmurą i przyćmienie to trwało dopóty, dopóki ostatniej trumny nie przeniesiono na miejsce wiecznego spoczynku. Bardzo naturalne to zjawisko obserwowane było

przez wszystkich obecnych z natężoną bacznością; w mistycznem usposobieniu widziano w tem znak, palec Boży, płacz całej przyrody nad niedolą polską. Takie to brednie plątały się po głowach ówczesnych; powtarzane były przez pisma publiczne, które twierdziły, że wydarzenie to ze słońcem „niewysłowiony urok rzuciło“.

Na cmentarzu, nad pięciu wykopanymi grobami, artyści opery i uczniowie instytutu muzycznego, odśpiewali marsz Nideckiego, przy współudziale kilkuset osób [1]), a uczniowie różnych zakładów naukowych rozdawali wśród tego fotografie poległych, cząstki wieńców cierniowych i kawałeczki płótna, zmaczane w „niewinnej krwi“ zabitych. Nad pięciu ciałami usypano pięć mogił, które stały się odtąd celem nieustannej pielgrzymki Warszawian, dopóki później, w czasach reakcyi rządowej, mogił tych nie zrównano z ziemią. Wtedy jednak, zaraz po pogrzebie, zasypano je literalnie wieńcami i kwiatami, które utworzyły istne góry, drogiej jeszcze w tej porze i rzadkiej zieleni. Wśród płaczu, przeklinania „barbarzyńców Moskali“, tłum począł wracać do miasta. Obawiano się, że w stanie podniecenia, w jakim znajdowała się ludność Warszawy, w powrocie tym mogą nastąpić jakieś nieporządki i ekscesa. W tym celu, za staraniem komitetu pogrzebowego, starsi zgromadzeń rzemieślniczych powołali pod cechowe chorągwie wszystkich swoich, zwłaszcza młodzież; nad resztą zaś bacznie czuwała policya narodowa tak, że ten liczny, stutysięczny, rozdrażniony mocno tłum rozchodził się spokojnie i cicho. Na ulicy Wierzbowej tylko zerwano afisze teatralne na znak, że teraz nie czas na rozrywki. Jakoż zapowiedziane przedstawienie w obu teatrach odwołano, a nazajutrz, w niedzielę, sale teatralne świeciły przerażającemi

[1]) W niektórych relacyach współczesnych jest wzmianka, że nad grobem poległych miał mowę ks. Mikulski. W rzeczy zaś samej tak nie było. Ks. Mikulski istotnie zamierzał wygłosić mowę pogrzebową i przygotował ją nawet, ale policya stanowczo się temu oparła. Mowy tej w oryginale nie znamy. Podał ją w przekładzie rosyjskim Podwysockij w swych „Zapiskach“.

pustkami, wśród których garść oficerów i urzędników rosyjskich spoglądała na siebie nieco zdziwiona i nieswoja. Poza tem zachowano się spokojnie i z godnością. Względem żydów, których zresztą współudział w pogrzebie był bardzo nieliczny, i w dzielnicy Nalewkowskiej, zamieszkałej prawie wyłącznie przez nich, masa chałatowego żydowstwa ciekawie ale obojętnie przypatrywała się olbrzymiej manifestacyi, przesuwającej się w pochodzie uroczystym przez ich ulice, starano się usilnie zachować uprzedzającą grzeczność, okazywać miłość i braterstwo. Zdarzyło się, że na ulicy Gęsiej, dziecko żydowskie, znalazłszy się wypadkiem w samym środku dążącej za pogrzebem masy ludności, przestraszyło się i poczęło płakać. Otoczono je, uspokojono łagodnemi słowy i odprowadzono do domu.

Takim był ten pogrzeb, ta wielka rozmiarami i majestatem demonstracya polityczna, stanowiąca punkt zwrotny w dziejach tej epoki, poczynająca te „polskie czasy“, o których tradycya długo potem krążyła wśród ludu warszawskiego. Jakkolwiek manifestacya ta nosiła z wielu względów sztuczny, teatralny charakter, wyraźne znamię wywołania efektu scenicznego przez zgromadzenie pastorów luterskich, rabinów żydowskich, druciarzy i t. p., przecież swą wielkością, swą ciszą, swym majestatem powagi, zrobiła ona nawet na najchłodniejszych umysłach potężne, niezatarte nigdy wrażenie. Naoczni świadkowie pogrzebu, pisząc lub mówiąc o nim, wyrażają się zawsze z entuzyazmem, z pewnem rzewnem uczuciem słodkiego, bolesnego i wspaniałego zarazem wspomnienia, z którem się nic porównać nie da, którego żaden opis nie odmaluje, które trzeba było widzieć, żeby mieć o niem wyobrażenie. Gazety ówczesne, które albo w ten dzień ukazały się w żałobnych obwódkach, albo, jak nader rozpowszechniony w mieście „Kuryer warszawski“, wcale nie wyszły dla uczczenia żałoby i wielkiej uroczystości narodowej, w opisach pogrzebu gubiły się w hiperbolach i patetycznych określeniach. Kraszewski w redagowanej przez siebie „Gazecie codziennej“, zaznaczając, że rabini odprowadzili ciała poległych aż na Powązki, pi-

sze: „mieli do tego w tym dniu zupełne prawo, złożywszy razem z nami ofiarę na jednym ołtarzu kraju". W innem miejscu, pisząc o pogrzebie, wołał, „że było to coś strasznego i pięknego jak sen, wielkiego jak Dantowskie obrazy, smutnego dziwnym smutkiem, do którego uczucie pewnej dumy sprawiedliwej się mięszało. Było to zwycięztwo potęgi ducha nad siłą namiętności i uczucia, tryumf woli niezłamanej i energii bezmiernej". Gazeta warszawska pisała: „dziwnym dowodem dojrzałości ludu było to cudowne uorganizowanie się jego własne, jego zlanie się w ciało porządne i władnące sobą, jego spokój i powaga. Ten dowód wielkich zasobów duchowych, nawet w chwili tak drażniącej ową świeżą jeszcze boleść, podnosi wysoko w oczach naszych stutysięczny tłum stolicy". Te frazesy patetyczne, kończy pewnym rodzajem mistycznego programu na przyszłość: „nie siła dłoni naszych jest siłą naszą, ale siła dusz i umysłów, ale hart ducha i głęboka wiara w potęgę sprawiedliwości, w nieodzowne spełnienie się tego, co prawdą jest, gdy się nań zasłuży dojrzałością i wewnątrz nas wyrobioną mocą ducha. O nią przedewszystkiem starać się, dla pozyskania jej pracować należy. Z miłością i spokojem oczekujemy tego, co nam własne czyny i zasługi wyjednają". W parę dni potem, d. 5 Marca, jeszcze raz powróciła do tego przedmiotu, i zapominając o niedawnych swoich walkach z żydami, pisze: „każdy, najdrobniejszy nawet szczegół w tym dniu, tak pamiętnym dla nas, ma w sobie ukryte, głębokie znaczenie: męczeńska palma świadczyła, że się spełnił tu akt poświęcenia, będący węgielnym kamieniem chrystyanizmu; zespolenie wszystkich warstw społecznych okazywało jasno, że w obliczu Boga, w obec wzniosłej idei, wszyscy tu poczuli się równymi, podali sobie dłoń bratnią; nakoniec młodzież nasza, tak drobna jeszcze latami a tak dojrzała poczuciem obowiązku, wezwana do pełnienia w tym dniu służby obywatelskiej, była w oczach naszych jasnem godłem nadziei. Powaga i niezachwiany na chwilę nawet spokój, z jakim lud postępował, miał coś starożytnego w sobie, bratnia zaś

mogiła, która przyjęła w siebie popioły poległych, otoczona czcią całego ludu, stanie się dla nas i dla potomków naszych godłem braterstwa i poświęcenia. Grób taki ma zaprawdę potężną wymowę".

Wieści o pogrzebie szybko rozbiegły się po kraju. Tysiące szumnobrzmiących, po większej części pisanych relacyi, trzymanych zawsze w tonie wysoko nastrojonego patosu, kładących nacisk na braterstwo wszystkich stanów, wszystkich warstw społecznych, obiegało po kraju. Posypały się wiersze, poezye przesiąknięte tym modnym, mistycznym duchem, który ze wszystkich pism i działań tej epoki wychyla swą mglistą, senną, marzycielską twarz [1]). Rozrzucano wszędzie obrazki litografowane, przedstawiające pogrzeb, tłumy ludu, pięć trumien, a na pierwszym planie Andrzeja Zamoyskiego, idącego pod rękę z chłopem w kerezyi, obaj zajęci bardzo żywą rozmową. Na innych znowu narysowany był szlachcic wąsaty, w bekieszy i butach długich, jak ściska się z żydem w jarmułce i pantoflach przydeptanych. Henryk Pilatti, malarz nie bez talentu, cieszący się w tej porze nie małą sławą, wymalował ogromny obraz olejny, na którym przedstawił pogrzeb poległych i wybitniejsze osobistości w mieście sportretował. [2]). Komitet Towarzystwa rolniczego, widząc, że całe wodze rozbudzonego ruchu przeszły w ręce mieszczaństwa warszawskiego, wystąpił także z odezwą, wydaną imieniem wszystkich członków Towarzystwa, noszącą datę 2 Marca, a więc

[1]) Najpopularniejszym, najczęściej znajdującym się w zbiorach z tej epoki, jest wiersz, w którym taką zwrotkę czytamy:

„I spojrzał z niebios na ziemię Pan,
Na te pięć trumien z temi godłami,
Co, na wzór pięciu Chrystusa ran,
Poniosły Bogu skargę za nami".

Zwrotkę tę przytaczamy dlatego, że porównanie Polski do ukrzyżowanego Chrystusa, a pięciu poległych do pięciu ran Jego, staje się bardzo powszechnem i ulubionem w tym czasie.

[2]) Obraz ten znajdował się przez jakiś czas w zbiorach skrzętnego miłośnika sztuki, Feliksa Gebethnera w Warszawie. Zamówił go u Pilattiego Bayer i dał mu za niego rubli sto!...

dnia pogrzebu, i podpisaną przez Zamoyskiego i sekretarza Władysława Garbińskiego. W odezwie tej Komitet dziękuje „szlachetnej młodzieży akademickiej i szkolnej“ za dzielną jej pomoc, za utrzymanie porządku „w czasie dzisiejszego smutnego a tak uroczystego obrządku“ pochowania ofiar poległych w d. 27 Lutego, „pomiędzy któremi było także kilku (właściwie tylko dwóch: Karczewski i Rutkowski) członków Towarzystwa rolniczego“. — „Daliście postępowaniem waszem, pisze w końcu odezwa, dowód tych wszystkich przymiotów, jakie w przyszłości zrobią z was godnych i pożytecznych obywateli kraju, który całą duszą wraz z wami kochamy, a któremu służyć świętym jest każdego obowiązkiem“.

Niezręczna ta odezwa, zdradzająca zanadto widoczną obawę, by Towarzystwo rolnicze, dotąd odgrywające pierwszorzędną rolę w kraju, nie zeszło na drugi plan, nie wywarła żadnego wrażenia i wśród powodzi innych tego rodzaju utworów przebrzmiała bez echa. Za to chętniej czytana była odezwa Delegacyi, rozlepiona nazajutrz po rogach ulic i rozrzucona po całem mieście. Było to także podziękowanie; ale już nie tylko samej młodzieży szkolnej, ale całej ludności za godne zachowanie się podczas pogrzebu. „Ludność ta, pisze odezwa, dowiodła, czem jest obowiązek względem kraju; każdy go spełnił, każdy bez różnicy. Jednem złączeni uczuciem, żegnaliśmy poległych. Bracia! to uczucie obowiązku niech w każdej chwili nadal nami kieruje“.

Najsilniejsze jednak wrażenie, a co ważniejsza ogólny posłuch znalazł okólnik, datowany także 3 Marca, i jak wieść powszechna niosła, wydany pod patronatem arcybiskupa Fijałkowskiego [1]), nakazujący „wszystkim częściom odwiecznej Polski“ przywdzianie na czas nieograniczony

[1]) Broszura wydrukowana we Lwowie w r. 1864 p. t. „Krzyżowy charakter ruchu polskiego i trzy charakterystyki przez Juliusza Jastrzębczyka“, wprost na str. 21 przypisuje wydanie tego okólnika arcybiskupowi Fijałkowskiemu. Źródła rosyjskie to samo utrzymują.

żałoby. Kobiety mogą brać suknię białą tylko w dzień ślubu. „Znośmy szlachetnie, woła w zwykłym patetycznym i sentymentalnym stylu okólnik, gorzkie i głębokie narodowe rany, strzeżmy się junactwa, samochwalstwa, a będziemy zawsze ludem jedności i poświęcenia. Dziś i od lat wielu godło nasze jest cierniowa korona, ta sama, którąśmy w dniu wczorajszym uwieńczyli trumny ofiar poległych. Czyż nie wiecie, że ta korona znaczy cierpliwość, cierpienie, poświęcenie, wyzwolenie, przebaczenie. Obowiązujemy Polaków wszelkich wyznań do udzielenia tych kilku wyrazów w najodleglejsze strony".

Najważniejszą atoli, nie tyle pod względem politycznym ile społecznym, była odezwa wydana jakoby przez żydów do żydów, „w imię wiekuistego Boga i za zgodą najznakomitszych członków gminy naszej, do braci Izraelitów, dzieci Polski", datowana także 2 Marca. Przebiega ona historycznie cały ucisk, jakiego doznawali żydzi od rządu rosyjskiego w Polsce; twierdzi, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat wyszło przeszło sto rozporządzeń rządowych, tyczących się żydów, i żadne z tych rozporządzeń nie zawiera ulgi, lecz owszem do coraz większego uciemiężenia dąży; że pomiędzy swymi współwyznawcami w całej Europie, oni sami tylko jęczą jeszcze pod jarzmem średniowiecznego barbarzyństwa; że za panowania Aleksandra I-go zapewnionem zostało żydom równouprawnienie „z innymi naszymi ziomkami", w razie, jeżeli należeć będą do spisu wojskowego; że wtedy ustaną wszelkie podatki, wyłącznie na nich ciążące, jak podatek koszernego i pogłówne, „tagcetlens" zwane; jak niemniej wszelkie ograniczenia co do osiedlania i procederu zniesione zostaną. Mimo to od r. 1843 tysiące żydów brano do wojska, a zapewnionych swobód im nie dano. Gdy przed piętnastu laty wyszedł rozkaz zmienienia ubioru żydowskiego, to użyto do tego najbezecniejszych sposobów. „Wlekli starców jak psów po ulicach, a rozbestwiona policya w swej bezczelności nie znała granic. Ci służalcy rządowi wyrośli wprawdzie na wspólnej ziemi, są to przecież tylko wyrodne jej dzieci; tylko podli

ludzie są chętni do wykonywania barbarzyńskich rozkazów, gdy tymczasem ludzie sumienia i dobrej wiary z odrazą na to spoglądają. Czemuż nie znano takiego bezprawia przed rokiem 1831? Bo przed ową epoką urzędy były piastowane przez ludzi zacnych, miłujących ojczyznę i dbających o dobro mieszkańców; teraźniejsi urzędnicy zaś z małym bardzo wyjątkiem są zdemoralizowani do najwyższego stopnia; miłości kraju i jego dzieci nie znają. Przed dziewięciu laty dopiero marszałkowie szlachty, baczni o dobro kraju, pomyślne względem nas przedstawili projekta, o czem naocznie się przekonać mieliśmy sposobność; jednakże projekta te u władz bez skutku zostały".

Przechodząc następnie do panowania Aleksandra II-go, zaznacza odezwa dobre chęci tego monarchy, ale nie wymieniony imiennie Muchanow, „szatańskim wrogiem" nazwany, temu się sprzeciwiał i nie przestawał rzucać na żydów oszczerstw „tak czarnych, jakich nie znano od czasów Hamana". „Nie dość na tem, brzmi dalej odezwa, posunięto złą wiarę tak daleko, iż chwytano się wszelkich możliwych środków, aby wytworzyć rozdwojenie w kraju w celu osłabienia jego sił żywotnych; usiłowano za pomocą dziennikarstwa obudzić namiętną nienawiść szlachty przeciw żydom, wpływając na to, aby coraz bardziej ścieśniać nasze środki egzystencyi. Dla osiągnięcia rozbratu nie wahano się nawet użyć fanatyzmu religijnego; otóż, gdy przed trzema laty w mieście Turku, w wigilią sądnego dnia, rozniamiętniona ludność chrześcijańska, hańbiąc święty przybytek religijny, spustoszyła synagogę, rozdarła rodały, gdy żydzi w skutek podobnej zbrodni zanieśli skargę do władzy, przypominacie sobie, jaką dano odpowiedź? Że w nowym kodeksie kar nie masz wzmianki o żydowskich świętościach. Jak Polska Polską podobnej zgrozy nigdy nie znano!"

W końcu tego wykładu historycznego odezwa powiada: „chcecież poznać prawdziwego ducha narodu? Oto, widzicie, zaledwie trochę wolniej oddycha, a już kapłani jego we wszystkich kościołach tutejszych ozwali się sło-

wami miłości i braterstwa ku nam, przyznając nas za dzieci ojczyzny, którą od ośmiu wieków zamieszkujemy. Bracia Izraelici! odwaga i męztwo! przyjmijmy z wszelką gotowością bratnią dłoń nam podaną. Widzieliśmy pierwszych mężów kraju, postępujących razem z duchowieństwem naszem, dla odprowadzenia na miejsce spoczynku pięciu ofiar, których niewinna krew po ulicach naszego miasta płynęła potokiem; postępował za niemi stotysięczny tłum wszelkich wyznań, dłoń w dłoń, przejęty duchem braterstwa i pojednania. A gdy przyszło wybierać ludzi zaufania, obrano także do tej zaszczytnej rady i naszego rabina i innych żydów. Któżby o tem marzył przed krótkim jeszcze czasem? W mniemanych nieprzyjaciołach ujrzeliśmy naszych przyjaciół: „stało się to nie siłą, nie przemocą, lecz duchem moim“, rzekł Bóg. Pan Bóg to zrządził, uzbrajając w odwagę ludzi szlachetnych, aby przemówili za naszą sprawą, a wrogów Polski, rozsiewających nienawiść pomiędzy jej dziećmi, skazał na milczenie.

„Błagamy was, bracia, abyście wspólnie, z wszelką gorliwością okazali całą wdzięczność naszą ziomkom, abyście ich wspierali w szlachetnych usiłowaniach, bo dobro ich jest i dobro nasze. Pośpieszajcie z podpisami waszymi pod adres do Najjaśniejszego pana podany. Monarcha pragnie się dowiedzieć o życzeniach ludu naszego kraju. Podnośmyż więc głos wspólnie z naszymi ziomkami. Ufni jesteśmy, że nas usłuchacie i szczerze się z nimi połączycie ku wspólnemu dobru; jest to jedyny prawy sposób poprawienia naszego położenia. Kto roztropny, ten pojmie, że tą tylko drogą a nie inną dobro kraju osiągniętem być może. Okażcie się więc mężnymi, a Bóg z wami będzie“.

Dokument ten, rozrzucony po kraju w dziesiątkach tysięcy litografowanych egzemplarzy, był wymownym dowodem zwrotu, jaki co do kwestyi żydowskiej wytwarzał się w Polsce powoli od lat paru. Czytano tę odezwę z zapałem, rozpowszechniano ją wszędzie, agitowano na korzyść tej nowej myśli, bratano się z żydami i stale zwać ich

teraz poczęto w mowie i piśmie „Polakami mojżeszowego wyznania“.

Taki w głównych zarysach miały rezultat na zawsze pamiętne wypadki lutowe wśród społeczeństwa polskiego. Z kolei rzeczy wypada nam zobaczyć, jakie one wrażenie wywarły na sfery rządzące, i jakie to wrażenie w następstwie zrodziło owoce.

ROZDZIAŁ VI.

Koncesye. Polskie czasy.

Cesarz odrzuca adres. Gorczakow myśli o reformach. Juliusz Enoch. Karnicki jedzie do Petersburga. Proponowane reformy. Nadzwyczajna rada tajna. Przyznanie koncesyi. Stan miasta. Pertraktacye Delegacyi z Gorczakowem. Zebrania w resursie. Organizacya straży bezpieczeństwa. Posiedzenia Delegacyi. Dziennikarstwo, medale, krzyże i kopce pamiątkowe. Nabożeństwo żałobne d. 9 Marca. Składki. Nabożeństwa w kraju i zagranicą. Dwa stronnictwa w Delegacyi. Więźniowie polityczni. Odpowiedź cesarska na adres, i wrażenie, jakie ona wywarła. Zamoyski z podpisami u Gorczakowa. Dymisya Muchanowa z kuratorstwa. Mowa Łaszczyńskiego. Wielopolski w Warszawie i jego warunki. Program żądanych przezeń koncesyi. Wysyłka projektu do Petersburga. Raport ministra sekretarza stanu. Ośmiogodzinna narada ministrów. Ogłoszenie treści koncesyi. Ukaz cesarski. Odezwa namiestnika. Okólnik Gorczakowa do ambasad i misyi rosyjskich. Delegacya w Lublinie. Zamach Nowakowskiego na Delegacyą. Projekt Szlenkiera. Wzburzenie wśród ludu. Okólnik Muchanowa. Instrukcya Towarzystwa rolniczego. Okólnik Myślińskiego. Dymisya Muchanowa i jego wyjazd z Warszawy. Rozwiązanie Delegacyi. Wydział obywatelski. Kocie muzyki. Narada w Zamku. Ogłoszenie koncesyi. Zakończenie.

Wpośród tej rozwijającej się coraz bardziej agitacyi, tego powszechnego wzburzenia umysłów, w Zamku rozmyślano nad tem, jakiej drogi chwycić się należy. Grupa jenerałów, otaczających namiestnika, po pogrzebie pięciu poległych domagała się, by rząd stał się rządem prawdziwym. Skończyło się już, mówili oni, dramat został odegrany, publiczność zadowolona, ciała ofiar, drażniące umy-

sły, usunięte i zakopane na wieki w mogile. Czas już wielki, by rzeka namiętności polskich, wezbrawszy nagle i narobiwszy tyle szkód swoim wylewem, wróciła do zwykłego koryta i popłynęła w przyszłość spokojnym prądem. W tym celu śmiałym krokiem, ciosem energicznym trzeba rozciąć węzeł, któryśmy sami przez naszą dobroduszność, niezaradność, brak szybkiego oryentowania się w sytuacyi, przez fałszywie nakoniec pojęty liberalizm zadzierzgnęli. Należy natychmiast ogłosić stan wojenny, gotowy już na papierze, znieść Delegacyą miejską, zamknąć Resursę kupiecką i wprowadzić tam oddział wojska, usunąć konstabli narodowych, gęstymi patrolami przebiegać miasto, jednem słowem przyjąć postawę groźną i zdecydowaną. Środki te z pewnością przywrócą spokojność w mieście, a gdy zapanuje zupełny porządek, można będzie dopiero pomyśleć nad tem, czy należy lub nie robić Polakom ustępstwa.

Rady te z wielu względów zbawienne dla Polski, gdyby rząd, tłumiąc surowo i bezwzględnie jedną ręką nieporządki i agitacyą rewolucyjną, drugą dawał dobrze obmyślane ustępstwa, nie podobały się Gorczakowowi. Zawsze niezdecydowany, raz chciał pójść za temi radami, to znowu lękał się ich następstw, drżał przed powstaniem, które lada chwila mogło w mieście wybuchnąć. Telegramy, jakie otrzymywał z Petersburga od cesarza, nie mogły go także natchnąć odwagą i stanowczością. Właśnie w dniu 2 Marca, w chwili gdy uroczysty orszak pogrzebowy przesuwał się przez ulice miasta, cesarz jeszcze raz rozkazywał swemu reprezentantowi, żeby „prośbę (t. j. adres) wstrzymał i nie odsyłał“, żeby działał z należnym spokojem i energią, że „żadnych zgoła ustępstw nie mam zamiaru czynić“.

Gorczakow, nie śmiejąc już teraz posłać wprost do cesarza adresu, a uważając, ze względu na uspokojenie umysłów, za rzecz konieczną przedstawienie go cesarzowi, chwycił się drogi pośredniej i przesłał kopią adresu ministrowi wojny. Co większa, pod wpływem wrażenia, jakie wywarł na niego pogrzeb, telegrafował do cesarza te słowa,

zdradzające silny niepokój i wzburzenie: „położenie w Królestwie jest tak poważne, że oprócz mnie konieczny tu jest człowiek, posiadający zupełne zaufanie cesarza. Proszę go przysłać". Na to wszystko tegoż samego dnia otrzymał telegram, brzmiący surową naganą i zamiarem nie ustępowania ani na krok jeden. „Oświadcz pan z mocy służącej panu władzy, że prośba podana na moje imię, z powodu nieprzyzwoitości i niewłaściwości zawartych w niej żądań, zwraca się bez skutku. Donieść mi telegrafem nazwiska pięciu osób, które wraz z Fijałkowskim podawały prośbę. Czy zaburzenia w Warszawie miały odgłos na prowincyi?" Na żądanie zaś Gorczakowa o przysłanie mu kogo do pomocy, cesarz nazajutrz, d. 3 Marca odpowiedział, że namiestnik posiada całe jego zaufanie i dlatego niema potrzeby posyłania kogokolwiek, chyba, że chce mieć pomocnika do zarządu cywilnego i w takim razie proponował mu jenerała Chrulewa, starego żołnierza z wojny krymskiej, przeżuwającego w stolicy nad Newą swój „kwas sewastopolski", jak określano niezadowolenie z nowego porządku rzeczy surowych, mikołajewskiego pokroju żołdaków.

Te słowa, te rozkazy groźne nie mogły natchnąć odwagą i energią namiestnika, którym miotały teraz rozmaite wpływy. Najważniejszą jednak rzeczą w tej chwili, w dniu 2 Marca, gdy tłumy stutysięczne wracały z pogrzebu, było to, że sprawa adresu była stanowczo przegraną. Cesarz przyjąć go nie chciał i tonem ostrym rozkazywał uwiadomić petentów, że prośba ich zwraca się bez skutku. W obec tego Gorczakow stawiał sobie pytanie: co teraz robić? Ogłosić stan wojenny, to znaczy wywołać powstanie, którego wybuch, jak mu zewsząd donoszono, na włosku tylko wisi. Powstanie wybuchnie, walka zażarta i nieubłagana zawiąże się na ulicach, rezultatem której będą potoki krwi, tysiące ofiar, ruina może Warszawy, do której on przez tyle lat pobytu przywykł, którą kochał po swojemu wprawdzie, ale zawsze kochał. A przytem on nie lubiał krwi, tej krwi, której kilka kropel wylanych przed paru dniami, zdawało się ciężyć mu na starych barkach i na siwej głowie

brzemieniem olbrzymiem. Cóż zresztą powie na to Europa, co powie Rosya, ta Rosya drżąca dreszczem odrodzenia, gdy dowie się, że w Warszawie rozegrały się straszne, okropne sceny rzezi ludności bezbronnej, upominającej się o swe prawa przyrodzone? Położenie jest opłakane; i jeżeli ogłoszenie stanu wojennego, jako zależne od samego namiestnika, może być wstrzymane, to odpowiedź cesarska na adres musi być udzielona Polakom, a udzielenie jej to wywołanie ogólnego oburzenia, to także powstanie. Bądź co bądź sprawa adresu stanowczo przepadła.

Jakoż, jeżeli przeważna część obaw Gorczakowa była prostem urojeniem, to adres, lojalne domagania się polskie, nadzieja uzyskania jakichś koncesyi została bezwarunkowo zawiedziona. To, na co liczyły wszystkie stronnictwa, nie powiodło się. Cesarz w słowach surowych i pogardliwych, nie odpowiadając nawet na adres, rozkazywał namiestnikowi zwrócić go bez skutku. W obec tego, jeżeli rząd w Warszawie w osobie swego zwierzchnika, stawiał pytanie: co mu czynić należy? niemniej takie samo pytanie zadaćby sobie musieli i Klemensowczycy i Millenerzy i Czerwieńcy. Dla tych ostatnich nie pozostawało nic innego, jak iść dalej drogą rewolucyi, wywołać powstanie, zalać krwią bruk warszawski i patrzeć na konanie ruchu pod ciężką ręką despotyzmu wojskowego, na kraj ściśnięty dawnymi kleszczami paskiewiczowskimi.

Od tego strasznego rozwiązania wybawiło Polskę nie stronnictwo Klemensowczyków, nie Czerwieńcy, nie młodzież warszawska, odgrywająca na ulicach rolę stróżów porządku publicznego, ale sam Gorczakow, który w tych dniach ciężkich prób, po namyśle, postanowił wziąć śmiałą i niezwykłą między jenerałami rosyjskimi, rządzącymi u nas, inicyatywę i wyjednać dla Polski pewne reformy. Zdawało mu się, że ustępstwa dane Polsce, położą koniec zgubnemu ruchowi.

Nie bez wpływu na Gorczakowa pod tym względem była pewna grupa ludzi, wyższych urzędników polskich, którzy go otaczali. W grupie tej znajdował się w tej chwili

i zajmował wybitne, dygnitarskie stanowisko człowiek bardzo zdolny, bystry, posiadający niezwykłą odwagę cywilną i wielki wpływ na umysł namiestnika. Człowiekiem tym był, znany nam już ze swej decydującej roli w sprawie „Słowa“ petersburskiego, naczelny prokurator ogólnego zebrania departamentów rządzącego Senatu, Juliusz Enoch, żyd z pochodzenia. Syn głośnego w swoim czasie lekarza, należał do tej licznej, zdolnej i wpływowej sfery żydów chrzczonych, którzy w ostatnich czasach poczęli tak wybitną rolę odgrywać w kraju, którzy w wypadkach 1861—1865 r. pierwszorzędnymi na wszystkich polach byli czynnikami. W ruchu wzięli oni żywy udział i nieraz nadawali mu tę nieprzezwyciężoną energią i jej ciągłość, jakiej kiedyindziej nie spostrzegamy w charakterze polskim. Do tej sfery bardzo wpływowej przez swój rozum, bogactwa, stanowiska, należał i Enoch. Pierwotnie uczył się w szkole inżenieryi wojskowej, służył nawet jakiś czas w marynarce, ale wkrótce ją porzucił i przeniósł się do sądownictwa w Królestwie Polskiem [1]). Tu bardzo szybko wysunął się naprzód i uzyskał przez swój charakter gładki, wesołe usposobienie, dowcip nieraz zjadliwy i wyborną znajomość francuzczyzny taki wpływ na namiestnika, że powszechnie prokuratora senatorskiego nazywano faktorem Gorczakowa. Człowiek to był bardzo rozumny, bardzo zręczny i posiadał rzadką w tej dobie w Polsce zdolność szybkiego oryentowania się w sytuacyi i umiejętność jej zużytkowania. Przed bystrym jego wzrokiem nie mógł się ukryć ruch rewolucyjny i patryotyczny w Polsce, i widział w nim możność zużytko-

[1]) Zawód swój sądowy rozpoczął Enoch jako sekretarz Tytza, pierwszego naczelnego prokuratora IX departamentu rządzącego Senatu i jednocześnie odbywał aplikacyą sądową, po skończeniu której i złożeniu egzaminu sądowego, został mianowany asesorem Trybunału cywilnego w Warszawie, a wkrótce potem sędzią tegoż Trybunału. Z tego stanowiska przeniesiony został wprost na referenta ogólnego zebrania warszawskich departamentów Senatu, a kiedy w r. 1857 zawakowała posada naczelnego prokuratora tegoż zebrania, Enoch ją otrzymał.

wania go na korzyść kraju. Nie wątpił, że sposobność potemu się znajdzie; i w tym kierunku oddziaływał na Gorczakowa.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pod tym względem Enoch był znowu echem poglądów Wielopolskiego. Znali się oni od dawna dość dobrze, w ostatnich czasach nawet widywali się u bankiera Flataua i zapewne wiele ze sobą mówili o wypadkach bieżących, które, rzecz prosta, absorbowały prawie zupełnie wszystkie lepsze umysły ówczesne. Ponieważ nie można było nawet marzyć o przywróceniu konstytucyi 1815 roku, więc z kolei rzeczy należało się oprzeć na Statucie organicznym, nadanym w r. 1832 i nigdy nie wprowadzonym w wykonanie, z niezbędnemi znamionami odpowiednio do ducha czasu. W tym kierunku oddziaływał na namiestnika Enoch i inni, bliżej nam zresztą nieznani [1]).

Pod tym to wpływem Gorczakow, raz zdecydowawszy się na ustępstwa, postanowił je oprzeć na Statucie organicznym. Przedewszystkiem atoli trzeba było kogoś wysłać do Petersburga i namiestnik chciał, by Enoch natychmiast jechał do stolicy caratu dla zdania relacyi cesarzowi o stanie rzeczy w Warszawie i w Królestwie i przedłożenia wniosków co do reform. Enoch jednak stanowczo odmówił dla powodów bliżej nam nieznanych. Być może, iż nie wydawało mu się stosownem i przyzwoitem, by on, urzędnik, żyd z rodu, grał przed carem rosyjskim rolę przedstawiciela i rzecznika pragnień i życzeń polskich; jeżeli takie względy wstrzymały go od podróży nad Newę, to przyznać

---

[1]) W relacyi rękopiśmiennej, jaką posiadamy w naszych zbiorach p. n. „W sprawie memoryału Enocha“, a pochodzącej od osoby, biorącej udział bezpośredni w przebiegu tej dość ciemnej jeszcze kwestyi, wyraźnie jest powiedziane: „namiestnikowi zdawało się, że wyjednanie reform, odpowiednich wyrażonym wówczas przez ludzi poważnych życzeniom, zapobiegnie rozwojowi ruchu i potrzebie krwawej walki ulicznej, której przedewszystkiem chciał uniknąć, a otaczający go Polacy umacniali go w tem przekonaniu“. (Patrz: dokument Nr. 1, na końcu dzieła).

trzeba, że dał dowód rozumu, bystrości poglądu i taktu [1]). W obec tego wybór Gorczakowa padł na Jana Karnickiego, wówczas sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa. Wybór był z wielu względów bardzo trafny. Karnicki liczył w tej dobie zaledwie 48 lat, obyty był z ludźmi, salonowiec wykwintny, ślicznie mówiący po francuzku, bystry, zręczny, inteligentny, mający swe stosunki w Petersburgu, nadawał się w sam raz do tej misyi śliskiej i pełnej szkopułów [2]).

Wezwano go zaraz d. 2 Marca, w uroczysty dzień poległych, do Zamku. Tu Gorczakow oświadczył Karnickiemu, że przy niepodobieństwie dania cesarzowi na piśmie dokładnego pojęcia o tem wszystkiem, co się dzieje w Warszawie, on, Gorczakow, pragnie, aby Karnicki jak najśpieszniej udał się do Petersburga dla przedstawienia monarsze rzeczywistego położenia kraju i poglądów namiestnika na środki, jakie przedsięwziąć należy. „Gdybym chciał pisać całe tomy, mówił namiestnik, Najjaśniejszy Pan nie powziąłby jeszcze dokładnego pojęcia o tem, co się stało w Warszawie w ciągu ubiegłego tygodnia“. Karnicki, wysłuchawszy tego, odrzekł, że oceniając całą ważność tak zaszczytnej dla siebie misyi, gotów jest tegoż dnia puścić się w drogę. Namiestnik, rozstając się z nim, zalecił mu, ażeby przed samym wyjazdem wstąpił do Zamku dla odebrania instrukcyi.

---

[1]) Lisicki w życiorysie polskim Wielopolskiego, mówiąc o tem, dlaczego Enoch nie pojechał do Petersburga, powiada: „różne okoliczności sprawiły, że misya ta przypadła Karnickiemu“. Jakie zaś były te okoliczności, nie wyjaśnia.

[2]) Karyera urzędnicza Karnickiego była szybka. Urodzony w r. 1813, w dobrach dziedzicznych Eswermujże, w Inflantach polskich, ukończywszy uniwersytet wileński za dni jego świetności, wstąpił do służby rządowej w Królestwie Polskiem, i od razu tu zajął stanowisko sekretarza jeneralnego Komisyi rządowej sprawiedliwości. Odtąd szedł szybko w górę. W r. 1856 z członka rządzącego Senatu powołany został na sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej, na którem to stanowisku zastały go wypadki Lutowe 1861 roku.

Jakoż w nocy z d. 2 na 3 Marca, Karnicki wybrawszy się w podróż, zgodnie z wolą namiestnika, znalazł się w Zamku dla otrzymania zapowiedzianych instrukcyi. Gorczakow wręczył mu list do cesarza i kazał notować główniejsze punkta swych zaleceń, mówił o potrzebie dania cesarzowi dokładnych wiadomości o wypadkach warszawskich, o pobudkach, jakie je wywołały, o tem, że według jego zdania, dla uspokojenia umysłów niezbędnem jest nadanie Królestwu odpowiednich instytucyi i przeprowadzenie reform, bez szczegółowego jednak określenia, na czem reformy te polegać miały [1]). Przy wsiadaniu już do powozu, wśród pożegnań z familią, Karnicki miał chwilową rozmowę z Enochem, w której ten zapewne jaśniej, niż to uczynił namiestnik, przedstawił posłowi szkielet koniecznych reform [2]).

Nazajutrz, d. 3 Marca, Gorczakow telegrafował do ministra wojny, żeby wyjednał u cesarza cofnięcie rozkazu co do adresu, oraz donosił o wysyłce Karnickiego. Szło teraz o to, żeby niepotrzebnie nie rozdrażniać ludności, dla której może się uda wyjednać jakie reformy i tym sposobem zupełnie się ją uspokoi. Cesarz zgodził się na

[1]) Tak utrzymuje sam Karnicki w broszurze „Suum cuique“ (Drezno 1878 r.), w której sobie przypisuje lwią część wyjednanych reform.

[2]) Karnicki we wzmiankowanej broszurze tak o tem opowiada: „wróciwszy do domu, Karnicki, przy wsiadaniu już do powozu, wśród pożegnań z familią, miał chwilową z naczelnym prokuratorem Enochem rozmowę, w której ten udzielił mu pobieżnie wiadomości o życzeniach, powziętych jakoby przez siebie, jakie w gronie poważnego obywatelstwa co do spodziewanych reform objawić się miały. Karnicki nie miał powodu uważać Enocha za organ opinii kraju i nie przywiązywał też wielkiej wagi do osobistego zapatrywania się Enocha na wypadki. Nie przedstawiał więc jego myśli Ministrowi sekretarzowi stanu“. Ten ton słodko-kwaskowaty, z jakim Karnicki odzywa się o Enochu, pochodził ztąd, że obaj ci panowie nie lubili się wzajemnie. Zachowując względem siebie najwyszukańsze formy salonowe, Karnicki miał Enocha za parweniusza, któremu zazdrościł wpływu na Gorczakowa i uważał go za liżącego się dworaka. Bliższe szczegóły o tem w dokumencie Nr. 1.

żądanie namiestnika i cofnął rozkaz swój pierwotny co do zwrócenia adresu, odkładając ostateczną w tej kwestyi decyzyą do przybycia Karnickiego. Tymczasem polecał, żeby wydano rozkaz powszechnego rozbrojenia mieszkańców Królestwa; donosił, że wkrótce przyjdą tam znaczne posiłki wojenne, a mianowicie cała druga dywizya piechoty i brygada jazdy (huzary), oraz cztery pułki kozackie z nad Donu. Wojska te, zapewne pod wpływem obawy blizkiego powstania, miały wkrótce wyruszyć do miejsca swego przeznaczenia. Cesarz z naciskiem nakazywał, ażeby pod żadnym pozorem nie opuszczać Warszawy, w razie konieczności bombardować miasto z cytadeli.

Wśród tak groźnych rozkazów cesarskich, nie zapowiadających nic dobrego dla Polski, Karnicki przybył do Petersburga, dopiero dnia 7 Marca rano. Droga była zła, kolej żelazna, łącząca stolicę rosyjską z polską, nie była jeszcze ukończona i trzeba było końmi jechać i powoli odbywać tę podróż daleką i nużącą. Tegoż samego dnia wieczorem został przyjęty przez cesarza w obecności ministra sekretarza stanu Tymowskiego i jego pomocnika Płatonowa. Gdy Karnicki wszedł, cesarz żywo się zapytał: „powiedz mi, co się dzieje w Warszawie, czego tam chcą? spodziewam się, że nie konstytucyi przecie?“ (Dites moi ce qui se passe, qu'est ce qu'on demande à Varsovie, ce n'est pas une constitution j'espère)[1]). Rozmowa toczyła się po francuzku. Poseł starał się jak najdokładniej i najrzetelniej opowiedzieć cesarzowi wypadki warszawskie, ich pobudki i stan rzeczy, jaki się ztąd wytworzył; w końcu przedstawił zdanie namiestnika: „że, chcąc bez znacznego krwi rozlewu, któryby pociągnął za sobą potrzebę zapro-

[1]) Zapytanie to świadczy, że cesarz nie miał pojęcia o tem, czego właściwie żądają Polacy, i że adres wcale go pod tym względem nie objaśnił. Opowiadają, że gdy adres przyszedł do Petersburga, Aleksander czytał go w obecności kilku osób swej rodziny. „Ależ oni nic nie żądają!“ zawołał ktoś z obecnych. „To jest właśnie najgorszem“ (c'est justement ce qu'il y a de grâve), miał odrzec cesarz.

wadzenia rządów czysto militarnych, przywrócić w kraju spokojność, nieodzownem jest przedsięwziąć reformę zarządu krajowego, mogącą zadość uczynić słusznym życzeniom prawych i umiarkowanych w kraju mężów". Ze swej strony Karnicki gorąco popierał konieczność tych reform tak, że cesarz, widząc, iż dotąd wszystko obraca się koło zdania, że zmiany są potrzebne, ale nikt ich bliżej nie określa, zapytał się: „jakie mianowicie reformy, możliwe w kraju, zdolne byłyby wpłynąć na uspokojenie umysłów?" Pytanie było ważne, i Karnicki, pragnący szczerze autonomii Królestwa, przekonany, że konstytucya 1815 r. nie może służyć za punkt wyjścia, co zresztą potwierdzały słowa cesarskie, jakiemi powitał posła polskiego, postanowił oprzeć się na tych wskazówkach, jakie mu dał Gorczakow, t. j. na Statucie organicznym z r. 1832. W odpowiedzi więc na pytanie cesarskie wynurzył nadzieję, że wprowadzenie w życie przyobiecanych w Statucie instytucyi, z pewnem rozszerzeniem zakresu ich działalności, i przy ścisłem zachowaniu zapewnionych krajowi rękojmi, odpowie życzeniom światłych i umiarkowanych obywateli.

Wychodząc więc z tego założenia, proponował przywrócenie zniesionej w r. 1841 Rady stanu, która będąc organem potrzeb miejscowych, rozpoznawałaby wszelkie projekta nowych praw. Władza ta składać się miała z mężów zasłużonych krajowi; wszelako nie należy do niej powoływać tylko osobistości z hierarchii urzędniczej, lecz i takie, które posiadają zaufanie u ogółu, lub dzięki swemu rozumowi, majątkowi lub zaletom osobistym, zajmują wybitne stanowisko, jak np. prezesi władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Rada stanu, oprócz rozpoznawania projektów do nowych praw, winna posiadać ważne i obszerne atrybucye pod względem administracyjnym, jako to: a) roztrząsanie przedstawień i próśb Rad obywatelskich względem potrzeb i dobra kraju; b) przeglądanie budżetu Królestwa oraz raportów kontrolera jeneralnego o stanie finansów każdego roku; c) rozpoznawanie corocznych sprawozdań głównych naczelników oddzielnych gałęzi rządu.

Taką być miała Rada stanu według projektu Karnickiego. Oczywiście w obec tego rodzaju instytucyi, istnienie znienawidzonej Komisyi kodyfikacyjnej w Petersburgu, stawało się całkiem zbytecznem, więc Karnicki radził natychmiastowe jej zwinięcie.

Drugim projektem Karnickiego było utworzenie w miastach Rad municypalnych, czyli miejskich, a po prowincyach obieralnych Rad gubernialnych i powiatowych. Tym sposobem obywatele mieliby udział w załatwianiu czynności, dotyczących ich interesów. Rady te winny posiadać obszerne atrybucye co do spraw miejscowych, jako to: rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, uposażeń i utrzymania kościołów, zakładów dobroczynnych, szkół elementarnych, dróg, więzień, służby wojskowej, rozkładu podatków, wreszcie zanoszenia przedstawień w zakresie potrzeb gubernii, powiatu lub miasta.

Następnie Karnicki mówił o potrzebie reformy wychowania publicznego, z zasady, że brak wyższego zakładu naukowego pozbawił młodzież polską możności nabywania wyższego wykształcenia, lub zmuszał do uczęszczania do obcych uniwersytetów. Również stan niższych i średnich zakładów naukowych nie odpowiadał potrzebie. Zastrzegł się przytem, że w ogólności przy stosowaniu paragrafów Statutu organicznego należy koniecznie zmienić niektóre jego przepisy, nieodpowiednie obecnemu ustrojowi społecznemu, jak np. odróżnianie zgromadzeń szlacheckich od nieszlacheckich, wybieralność sędziów dwóch instancyi i t. p. Na tem kończyły się projekta Karnickiego, i jak widzimy, opierały się one z małym wyjątkiem na Statucie organicznym. Ustawa ta jednak, nigdy w życie niewprowadzona, zawierała jeszcze jedną ważną instytucyą, o której przy powoływaniu się na Statut organiczny należało może nie zapominać. Mówimy tu o Stanach prowincyonalnych. Karnicki nie wspomniał o nich, z pobudek prostej ostrożności, by, żądając wiele, nie zrazić rządu zawsze podejrzliwego i niechętnego Polakom, i przez to nic nie otrzymać. Zresztą wybieralna Rada stanu, posiadająca obszerne atrybucye,

w związku z Radami obywatelskiemi, miała do pewnego stopnia charakter reprezentacyi krajowej, doskonale na teraz zastępującej Stany prowincyonalne, które nieznane w Rosyi, niejasno w Statucie organicznym określone, przy wprowadzeniu mogłyby wywołać tysiące kwestyi i wątpliwości, a tu trzeba było szybkiego uzyskania dla Królestwa koncesyi i wyjścia z niepewności co do kierunku, jaki rząd obierze w obec ruchu w kraju.

Nie należy bowiem zapominać, że w obec tego ruchu rząd miał przed sobą dwie drogi postępowania: albo stłumić ruch siłą i ustanowić rząd militarny, przywrócić ucisk dawny, paskiewiczowski; albo zadość uczynić w pewnej mierze żądaniom kraju i rozszerzyć jego autonomią. Otóż, były pewne, zupełnie zresztą uzasadnione obawy, że rząd ma szczerą chęć chwycenia się pierwszej drogi. Nakazywała mu to tradycya jego władzy i ta podejrzliwość, jaką zawsze okazywał względem Polaków. Skłonność do surowych środków, do stłumienia siłą wszelkich objawów niepokoju, widną już była w rozkazach do Gorczakowa, w stanowczem poleceniu cesarskiem odrzucenia adresu, w groźbie bombardowania Warszawy, w niezgodzeniu się, właśnie w czasie debatów z Karnickim nad koncesyami, by do Petersburga przybyła deputacya polska dla wręczenia adresu. W obec takiego usposobienia sfer rządowych petersburskich, należało się lękać, by przez zbyteczne naciągnięcie struny, struna ta nie pękła. Trzeba było przytem działać szybko, gdyż z Warszawy mogły lada chwila przybyć wieści o nowych zaburzeniach, kto wie, może o powstaniu zbrojnem, i wszystkie nadzieje i usiłowania zwiać jak piasek, gdy wicher się zerwie. Dlatego to Karnicki był ostrożny i żądał niewiele; takim zresztą być musiał, gdyż instrukcya dana mu od Gorczakowa, o Stanach prowincyonalnych nic nie mówiła. Najrozumniejszem postępowaniem w tej chwili było uzyskanie czegośkolwiek, sprowadzenie rządu na drogę koncesyi, na której już łatwiej było popchnąć go przy zdarzonej sposobności dalej.

Gdy Karnicki skończył swoje przedstawienie, cesarz

począł się naradzać z Tymowskim i Płatonowem, coby czynić należało. Tymowski był już człowiekiem starym i bez zdania, ale na szczęście pomocnik jego Waleryan Płatonow gorąco poparł projekta Karnickiego. Wskutek tego cesarz zadecydował, że na dzień następny ma być zwołana nadzwyczajna narada tajna, złożona z głównych, jego zaufaniem zaszczyconych, ministrów, t. j. księcia Gorczakowa, ministra spraw zagranicznych; Suchozaneta, wojny; księcia Dołgorukowa, szefa żandarmów; Tymowskiego i Płatonowa, celem szczegółowego rozbioru wniosków Karnickiego. Było to już ważne zwycięztwo, zdobycie, że tak powiemy, pierwszej reduty. Szło teraz o to, by członków rady tajnej jak najlepiej usposobić dla proponowanych reform i dlatego zaraz nazajutrz rano Karnicki objechał wszystkich tych panów i każdemu szczegółowo opowiedziawszy stan rzeczy, wyłożył konieczność żądanych reform.

Rada odbyła się dnia 8 Marca popołudniu. Dzięki temu, że cesarz, raz zdecydowawszy się na przekształcenie administracyi w Królestwie, chciał doprowadzić do skutku swoje postanowienie; reformy na tej naradzie tajnej w zasadzie postanowione zostały. Uchwalono donieść o tem namiestnikowi, z zastrzeżeniem, aby rezultat narady nie był jeszcze ogłoszony, wszakże żeby o nim poufnie wpływowe osobistości w kraju zawiadomił. Jednocześnie polecono Tymowskiemu, ażeby wspólnie z Karnickim i Płatonowem ułożył raport, mający służyć za podstawę do koncesyi przyznanych już w zasadzie. Romualdowi Hubemu, pracującemu dotąd w osławionej Komisyi kodyfikacyjnej, kazano wygotować memoryał o urządzeniu w Warszawie wyższego zakładu naukowego i o reformie wychowania publicznego. Nakoniec zdecydowano, żeby przed ostatecznem wyrzeczeniem co do reform projekta do nich komunikować namiestnikowi, który, po zasięgnięciu zdania mężów zaufanie w kraju posiadających, mógłby uczynić wniosek o ich uzupełnienie, zmianę lub rozszerzenie.

Gdy się to wszystko działo w Petersburgu, gdy Tymowski, Płatonow, Karnicki i Hube mozolnie pracowali

nad wygotowaniem t. z. raportu o reformach, przyznanych Królestwu, w Warszawie wypadki toczyły się raz nabytym w dniu pogrzebu poległych pędem i wiodły naród ku zgubnej, niespostrzeganej jeszcze w tej chwili przepaści zatracenia. Po z wielu względów podniosłem i nigdy niezapomnianem widowisku, jakie przedstawiał pogrzeb pięciu ofiar, zdawałoby się, że wyparte katastrofą fale życia społecznego winny wrócić do swego koryta i czekać w spokoju na to, co przyniosą starania Karnickiego, o którego wyjeździe, oraz o celu tego wyjazdu to i owo zdołało się do publiczności przedostać. Tymczasem wzburzenie umysłów wciąż trwało i obawa następstw tego wzburzenia nie opuszczała ani na chwilę tak Delegacyi miejskiej w Resursie, jak i Gorczakowa w Zamku. Ponieważ nazajutrz po pogrzebie, dnia 3 Marca, przypadała Niedziela i lękano się, by klasa rzemieślnicza, zwłaszcza jej młodzież, wolna od zajęcia, nie gromadziła się licznie na ulicach i przy ogólnym stanie podniecenia nie wywołała jakich zaburzeń, więc Delegacya miejska wydała odezwę, drukowaną i rozlepioną na rogach ulic, do starszych zgromadzeń rzemieślniczych, ażeby zabronili chłopcom i czeladzi swojej tłumnych zbiegowisk na ulicach. Ton tej odezwy ciepły, serdeczny, przejęty sentymentalizmem epoki, zrobił swoje i Niedziela przeszła spokojnie. Tłumy snuły się po ulicach miasta, jak zwykle w Warszawie w każde święto, tłumy czarne, żałobne, ciche, nadając całości znamię szczególne, dziwnie smutne.

Tegoż dnia 3 Marca wezwany został do Zamku Andrzej hr. Zamoyski i Aleksander Ostrowski, którym Gorczakow dziękował za utrzymanie porządku podczas pogrzebu. Przyjęli to podziękowanie w milczeniu, jakkolwiek nie ich to było zasługą, ale Delegacyi miejskiej, która także w tym dniu w osobie Szlenkiera, Piotrowskiego i Lewińskiego stawiła się dla złożenia namiestnikowi sprawozdania z pogrzebu. Gorczakow dziękował im tak samo jak i szlachcie, nie mógł wyjść z podziwienia, że w przeszło stutysiącznym tłumie porządek był utrzymany bez policyi,

bez wojska, bez reprezentantów władzy, którą zastępowali studenci różnych zakładów naukowych, młodzież gimnazyalna lub rzemieślnicza [1]). Mówił, że go to cieszy, że teraz jednak, kiedy Delegacya obywatelska dopełniła zaszczytnie swego zadania utrzymania porządku, może powrócić do swych prywatnych czynności, nadal bowiem już policya czuwać będzie nad bezpieczeństwem miasta. Słowa te mówiły do członków Delegacyi, że korporacya ich zostaje rozwiązana, przypominały szyllerowskie zdanie o murzynie, który swoje zrobił i może już odejść. Ze stanowiska Gorczakowa, rozwiązanie Delegacyi, która rozporządzała się w mieście jako władza, było rzeczą konieczną i naglącą, i domaganie się jego było zupełnie na miejscu, było czynem nawet zbawiennym nietylko dla rządu, ale i dla losów Polski. Nestety! to żądanie tak konieczne, tak naturalne, tak zdaje się logiczne, znalazło szkopuł, o który się rozbiło w tej przesądnej i naprawdę nieusprawiedliwionej obawie przed mogącem wybuchnąć powstaniem w mieście, jaka ciągle kołatała się po głowie namiestnika i jego otoczenia. Powodowany tą obawą, mówiąc o potrzebie rozwiązania Delegacyi, dodał, że spodziewa się jednak, iż obywatele nie odmówią swej pomocy rządowi i wpływem swoim starać się będą ułatwić mu uspokojenie umysłów. Z tych słów, zdradzających widoczny strach w Gorczako-

[1]) Giller („Dzieje delegacyi warszawskiej“) z tego powodu opowiada następującą anegdotę: Hiszpański przy jakiejś sposobności, której autor bliżej nie określa, miał ironicznie wyrazić się przed Muchanowem z przyczyny tego zachowania się młodzieży: „iż jego (Muchanowa) to zasługą, że tak patryotyczną młodzież dla Polski wychował“. Jest to bardzo dowcipne, tylko niestety! nieprawdziwe i należy do rzędu tych licznych w tej dobie bajeczek, mniej lub więcej zręcznych, które tworzono na rachunek Hiszpańskiego, człowieka Bogu duszę winnego, dobrego szewca, ale nic więcej. Niemniej wątpliwą wydaje nam się relacya, podana przez tegoż Gillera, jakoby „Paulucci przybywszy do Resursy padł na klęczki przed Delegacyą i dziękował za zachowanie porządku podczas pogrzebu, w najgorętszych słowach wyrażając podziwienie swoje i obawy, jakie pomimo zapewnień kazały mu się spodziewać rozruchu“.

wie, z wielką zręcznością skorzystali delegaci, a mianowicie Szlenkier. Zauważył on tonem chłodnym, że jeżeli obywatele potrafili dotąd miasto w spokoju utrzymać, to dlatego, że posiadali zaufanie publiczne jako delegowani, jako członkowie ciała wybranego nieomal przez całe miasto, od którego otrzymali mandaty; z chwilą jednak, gdy te mandaty będą zmuszeni złożyć, pojedynczo żaden z nich wpływu nie ma i w duchu wspomnianym przez namiestnika działać nie może. Widząc, że słowa te robią wrażenie na Gorczakowie, Szlenkier w jaskrawych barwach odmalował swą obawę, iż usunięcie się Delegacyi może być powodem do nowych zaburzeń. Napróżno namiestnik usiłował zbić te obawy, raczej przed sobą niż przed delegatami, napróżno opierał się na tem, że najlepsza przecie sposobność do zrobienia powstania podczas pogrzebu już minęła i wczoraj rozruchów żadnych nie było; delegaci odrzekli, że to jest prawdą, że jednak, jeżeli wczoraj nie przyszło do zaburzeń, to nie dlatego, żeby chęci lub żywiołów potemu w mieście brakowało, ale że oni, delegaci, wszystkich swych sił, całego wpływu użyli, by pogrzeb odbył się spokojnie i cicho; że wzburzenie umysłów ciągle trwa i najmniejszy krok niezręczny ze strony władzy może wywołać nowe, stokroć krwawsze i donioślejsze starcie, niż to było we Środę. Zdania te zdawały się przekonywać Gorczakowa, zwłaszcza, że pod tym względem w głębi duszy zgadzał się z delegatami i jeżeli stawiał opozycyą, to tylko dla formy. Naradziwszy się z jenerałem Kotzebuem, w rezultacie zezwolił na dalszą egzystencyą Delegacyi obywatelskiej, a nawet zgodził się na to, by ona zwiększyła liczbę swych członków przez przybranie nowych. Prezydować w tej nowej Delegacyi ma jenerał Paulucci. Wysłuchawszy tej rezolucyi, zapewniającej mieszczaństwu nowe zwycięztwo nad władzą chwiejną i niezdecydowaną, delegaci skłonili się i przypomnieli namiestnikowi o więźniach zamkniętych w cytadeli. Na to Gorczakow udał się do swego gabinetu i, wyniósłszy ztamtąd jakiś papier, rzekł: „oto raport komendanta cytadeli; z niego

przekonać się można, iż tylko 21 więźniów politycznych jest w dziesiątym pawilonie. Zakomunikujcie to panowie kolegom i ludności i powiedzcie jej, że więźniowie będą sądzeni w sądach cywilnych“.

Ucieszeni ze swego nowego, niezaprzeczenie znacznego zwycięztwa, zwłaszcza co do więźniów politycznych, których odtąd miały sądzić sądy zwyczajne, delegaci powrócili do resursy i uwiadomili zebranych o rezultacie swej misyi i ustępstwach, jakie uzyskali. Przyjęto ich okrzykami radości licznie zebranych tłumów, które napełniały wszystkie sale, schody, korytarze i sienie. Nazajutrz, d. 4 Marca, Enoch zjawił się w resursie, wysłany tu przez namiestnika i potwierdził wczorajsze decyzye. Odtąd Delegacya miała się składać ogółem z 24 członków, którzy naprzemian po ośmiu mieli obradować w ratuszu pod prezydencyą Paulucciego. Porządek w mieście ma utrzymać nie policya rządowa, ale straż obywatelska, dalszy ciąg owych konstabli narodowych, którzy w dzień pogrzebu pięciu poległych tak dzielnie czuwali nad porządkiem i spokojem publicznym. Straż ta jednak broni nie miała nosić. Co do więźniów politycznych, Gorczakow widocznie po namyśle i po zasiągnięciu zdania u swych doradców, przez usta Enocha oznajmił, że zniesie się najprzód z audytorem sądów wojennych i uwiadomi, czy więźniom może być dodana obrona cywilna. Było to cofnięcie się wsteczne wobec wczorajszych przyrzeczeń, ale pigułkę tę starał się namiestnik osłodzić obietnicą, że nikt bez poprzedniego zawiadomienia Delegacyi aresztowanym nie będzie.

Wszystko to Enoch odczytał w resursie po francuzku, a słowom jego towarzyszyły huczne i radosne oklaski. Nie długo jednak miano się cieszyć pewnością swego zwycięztwa. Gorczakow ciągle niezdecydowany, coby mu czynić należało, w ciągłej obawie, czy nie zanadto popuścił cugli Polakom, w nieustannem wahaniu się, to, co rano dał, po południu chciał cofnąć. Zawiadomił mianowicie nazajutrz, d. 5 Marca, Delegacyą w odezwie po polsku zredagowanej, że chce, iżby straż obywatelska ograniczona była do dwóch

obywateli na każdy cyrkuł, oraz co do więźniów politycznych cofnął zupełnie swe poprzednie zobowiązania. Delegacya tych zmian przyjąć nie chciała, więc znowu zawiązały się negocyacye i w rezultacie stanęło na ustępstwach z d. 4 Marca, pod warunkiem, że w gazetach nie będą ogłoszone przyrzeczenia co do straży, więźniów i aresztowań. Jakoż tego jeszcze dnia (5 Marca) ukazała się w gazetach odezwa Paulucciego, uwiadamiająca ogół o ustanowieniu Delegacyi obywatelskiej z 24 członków, mającej zasiadać w ratuszu, kolejno w komplecie po ośm osób pod prezydencyą Paulucciego, „dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego“ [1]).

Jakoż nazajutrz, d. 6 Marca rano, zebrano się w resursie i delegaci przybrali nowych członków, mianowicie: Teofila Piotrowskiego, obywatela ziemskiego; Jakóba Natansohna, uczonego chemika; Franciszka Szolce, właściciela domu; Kajetana Witkowskiego, zduna i właściciela domu; Henryka Krajewskiego, Sybiraka, który wrócił do kraju za amnestyą; Konstantego Fiszera, byłego pułkownika b. wojsk polskich; Antoniego Trembickiego, obywatela ziemskiego i adwokata Antoniego Wrotnowskiego, obu członków Towarzystwa rolniczego; nakoniec Dominika Zielińskiego, adwokata, doradcę prawnego wielu panów bogatych i bankierów. Prócz powyższych, na wniosek Dra Chałubińskiego, ażeby i Akademia medyczna była w Delegacyi reprezentowaną, pomimo słusznej i usprawiedliwionej opozycyi J. I. Kraszewskiego, że Akademią reprezentują

---

[1]) Odezwa ta dosłownie brzmi jak następuje: „J. O. książę namiestnik, mając na względzie potrzebę zwiększenia obecnie środków zachowania porządku, jak niemniej chwalebną ku temu gotowość obywateli, ustanowić raczył czasową Delegacyą z wybranych w tym celu 24 delegowanych z miasta. Delegacya ta zasiadać będzie w ratuszu, kolejno w komplecie po ośm osób, pod prezydencyą jenerała Paulucci, naczelnie zawiadującego policyą, dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego“.

Warszawa d. 5 Marca 1861 r. Naczelnie zawiadujący policyą
Jenerał-Major, Markiz Paulucci“.

profesorowie a nie studenci, i że młodzież w Delegacyi jest niepotrzebną, przyjęto do niej studenta Henryka Kuszkowskiego [1]). Tym sposobem powstał skład 24 członków nowej Delegacyi. Jak widzimy, Towarzystwo rolnicze miało w niej dwóch swoich reprezentantów, którzy mieli tam przedstawiać politykę tegoż Towarzystwa, a zarazem uwiadamiać to ostatnie o wszystkiem, co się w Delegacyi dzieje.

Ukonstyuowawszy się ostatecznie w sposób powyższy, Delegacya obywatelska koło godziny 11-tej rano wyruszyła z resursy pieszo do ratusza. Pochód ten urządzono z pewną ostentacyą i z teatralną efektownością, tak ulubioną przez ludność warszawską. Najprzód, na czele, jako najstarszy wiekiem, rozrzewniający szczątek dawnej chwały wojennej polskiej, posuwał się drżący i zgarbiony jenerał Jakób Lewiński. Zanim, na znak braterstwa wszystkich wyznań, ks. Wyszyński szedł pod rękę z nadrabinem Mayzelsem, a ks. Stecki z opasłym, czerwonym bankierem Rosenem. Wśród okrzyków ludu, zachwycającego się tem widowiskiem, Delegacya przeszła przez ulicę Senatorską na ratusz, gdzie ją powitał oczekujący na nią jenerał Paulucci. Przystąpiono zaraz do czynności, rozpoczynając tym sposobem te słodkie „polskie czasy“, te „dni wolności“, które długo w tradycyi ludu warszawskiego żyły, jak owa oaza zielona i świeża w głuszy i udręczającym warze pustyni, do której wędrowiec tęskni i o której z melancholijnem uczuciem szczęśliwości minionej wspomina.

Przedewszystkiem na tem pierwszem posiedzeniu prezes urzędowy Delegacyi, Paulucci, odczytał jej dwie decyzye namiestnika, a mianowicie, że: mają jej być komunikowane odtąd imiona i nazwiska osób aresztowanych za przestępstwa polityczne z objaśnieniem powodów areszto-

[1]) Kuszkowski właściwie wszedł do Delegacyi w zastępstwie Karola Majewskiego, który, czem innem zajęty, nie miał czasu. Kuszkowskiego w tym celu przez akt rejentalny zrobiono właścicielem fikcyjnym domu w Warszawie.

wania; oraz że zostaną przedsięwzięte środki dla pogodzenia przepisów procedury sądowej wojennej z życzeniem księcia namiestnika, ażeby oskarżeni o przestępstwo stanu mogli być bronieni przez adwokatów. Decyzye te znane już były Delegacyi; wysłuchawszy ich więc, członkowie zebrania zwrócili się do Paulucciego z prożbą, by raczył ich uwiadomić, co mianowicie zrobiono dotąd w kwestyi publicznej obrony oskarżonych, oraz, czy Delegacya nie mogłaby otrzymać w celu uspokojenia umysłów spisu osób uwięzionych za przestępstwa polityczne? Paulucci na oba te pytania odrzekł, że poprosi księcia namiestnika co do pierwszego o wiadomości, a co do drugiego o pozwolenie. Delegacya jednak na tem nie poprzestała; z uporem osobliwszym, gdyby go nie tłomaczyły ówczesne okoliczności, zajmowała się ciągle sprawą więźniów politycznych. Postawiwszy już dwa żądania, Delegacya wyraziła zdanie, że prędkie rozstrzygnięcie losu więźniów zgodnie z zasadami sprawiedliwości i ludzkości przyczyni się znacznie do uspokojenia umysłów. Jenerał Paulucci odrzekł, że zawiadomi o tem księcia namiestnika.

Skończywszy nakoniec z więźniami politycznymi, pomówiwszy trochę o straży bezpieczeństwa obywatelskiej, Delegacya przedstawiła następujące wnioski: ażeby policya wykonawcza, w razie przedsięwzięcia jakich środków nadzwyczajnych, uwiadomiła o tem poprzednio Delegacyą, gdyż tym tylko sposobem będzie można nieraz uniknąć potrzeby stosowania rzeczonych środków; że dobrzeby było, ażeby policyi zakomunikowane były imiona i nazwiska członków Delegacyi. Na oba te żądania Paulucci się zgodził. Wreszcie zajęto się organizacyą wewnętrzną; postanowiono mianowicie, ażeby Delegacya zbierała się codziennie dwa razy, o godz. 1-szej w południe i o 7-mej wieczorem i że mają być spisywane protokóły każdego posiedzenia w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, podpisanych przez wszystkich członków.

Tegoż samego dnia zebrała się Delegacya poraz drugi w ratuszu o godz. 6-tej wieczorem. Paulucci, który między

jednem a drugiem posiedzeniem zdołał porozumieć się z namiestnikiem i zanieść mu żądania obywateli, oznajmił: „Książę powtórzył mi, że zajmie się jak można najspieszniej zapewnieniem więźniom politycznym środków uniewinnienia się przez udzielenie im obrońców. Z mojej strony mam honor dodać, że środek ten, tak wielkiego znaczenia w interesie ludzkości, nie może być przedsięwziętym bez dojrzałej rozwagi, tem więcej, że zmieni on całkiem sposób postępowania, istniejący w Królestwie. Listę uwięzionych za przestępstwa polityczne i przyczyna ich zatrzymania zakomunikowaną zostanie Delegacyi. Niemniej książę namiestnik zgodził się na życzenie panów przyspieszenia decyzyi względem więźniów politycznych“. Zdawałoby się, że tak zupełne zadośćuczynienie żądaniom Delegacyi powinno ją zadowolnić. Wysłuchawszy odpowiedzi Paulucciego, członkowie poczęli się uskarżać na zwłokę w działaniu, która według ich zdania może wywrzeć wpływ niekorzystny na umysły mieszkańców. Na wniosek Paulucciego, że w razie jego nieobecności należy kogoś wybrać na przewodniczącego, jednogłośnie wiceprezydenturę powierzono jenerałowi Lewińskiemu, na sekretarza zaś obrano Henryka Krajewskiego.

Po odbytem posiedzeniu na ratuszu członkowie Delegacyi udali się do resursy, gdzie ciągle zbiegały się tłumy, gdzie krzyczano, rozprawiano i radzono. Zbiegowiska te, jakkolwiek nie miały charakteru klubu, nie były dawną Honoratką rewolucyjną, przecież stanowiły pewien wyraz opinii ogólnej miasta, i przez swą liczebność i gwałtowność wywierały silny nacisk na Delegacyą. Ta wkrótce spostrzegła, jak jej stanowisko jest śliskie i niepewne. Z jednej strony rząd zawsze podejrzliwy i zawsze skłonny do środków despotyzmu wojennego, znoszący Delegacyą z niechęcią, uznający jej istnienie tylko pod warunkiem, że utrzyma miasto w spokoju; z drugiej te tłumy gorącej młodzieży, głów rozgrzanych przez wypadki, oszołomionych przez ustępstwa rządowe, gotowych do oskarżenia o zdradę ojczyzny tych, którzyby inaczej myśleli i postępowali, pra-

gnących dalszego ciągu manifestacyi a nawet powstania. Położenie więc Delegacyi było niezmiernie trudne. Trzeba było trzymać na łańcuchu dzikie zwierzę rewolucyi i od czasu do czasu pokazywać rozwartą paszczę tego zwierzęcia rządowi, gdy ten sztorcem chciał stawać. Jeżeli z tym ostatnim walka była ciężka i niebezpieczna, o ileż ona cięższą była z tymi tłumami, które gotowe były każdej chwili do wyłamania się z pod moralnej supremacyi komitetu obywatelskiego. Tu trzeba było przemawiać, tłomaczyć, odwoływać się do miłości tej ojczyzny, którą wszyscy niby kochali gorąco, ale wszyscy prowadzili ku strasznej skale Tarpejskiej i bezdennej u jej stóp przepaści. Co wieczór więc, po sesyi na ratuszu, członkowie Delegacyi szli do resursy na drugą sesyą, zawsze burzliwą i zawsze głośną i gorączkową. Tutaj Chałubiński albo Szlenkier zawiadamiał zebranych o tem, co robiono na posiedzeniu w ratuszu, słuchał zarzutów, bronił Delegacyi, spierał się, walczył, tłomaczył.

Gdy tak Delegacya organizowała się i jak starożytny Janus dwa lica mieć musiała, jedno grożące wojną, drugie uśmiechnięte pokojem, jeszcze w dniu 5 Marca utworzyła ona komitet dla wystawienia pomnika poległym w d. 27 Lutego, oraz wsparcia pozostałych po nich rodzin, jakoteż i wsparcia osób w tym dniu ranionych. Prezydującym w tym komitecie, na który Gorczakow patrzał przez palce, został ks. Wyszyński, sekretarzem Jeziorański, późniejszy głośny dowódca w powstaniu. Składał on się z siedmiu osób, do których dodano jeszcze dwóch studentów Akademii medycznej, Fochta i Szaniawskiego [1]). Komitet ten zaraz po swem ostatecznem uorganizowaniu się, zawiadomił o tem kraj przez publiczne po gazetach ogłoszenie [2]), w którem

[1]) W skład komitetu wchodzili: ks. Wyszyński prezes, Jeziorański sekretarz, Karol Beyer, fotograf; Wambach, jeden z właścicieli hotelu Europejskiego; Karol Kucz, redaktor „Kuryera Warszawskiego“; Karol Majewski, akademik i jenerał Lewiński.

[2]) Tekst ogłoszenia jest następujący: „Dobrowolne ofiary, jakie ze wszech stron posypały się tak od znajdujących się czasowo

między innemi zaznacza, że składki pieniężne, jakie wpłynęły na pogrzeb znacznie przewyższyły koszta [1]).

Drugą czynnością Delegacyi obywatelskiej, po rozpuszczeniu konstabli narodowych, potworzonych z młodzieży akademickiej i szkolnej, było uorganizowanie straży bezpieczeństwa obywatelskiej. W tym celu utworzono Dyrekcyą straży bezpieczeństwa, pod prezydencyą bardzo czynnego i ruchliwego kupca Józefa Kwiatkowskiego [2]). Ten zajął się tą sprawą nader gorliwie tak, że w stosunkowo krótkim czasie straż stanęła, jakby nagle z ziemi wyrosła. Każden cyrkuł policyjny podzielono na trzy okręgi (cyrkułów było 12, zatem okręgów 36) pod naczelnictwem

---

w Warszawie obywateli wiejskich, jako też całej niemal ludności warszawskiej, dla pochowania zwłok pięciu osób poległych w d. 27 z. m. bez względu nawet na zamożność rodzin, pozostałych po niektórych z tychże; spowodowały utworzenie się funduszu, którego ilość po obliczeniu wszystkich w ogóle wpływów podaną zostanie do wiadomości publicznej. Po dopełnieniu zatem z czcią należną pochowania zwłok, ogólna suma tych darów pomimo całej świetności pogrzebu, nie wiele zmniejszoną została, albowiem, począwszy od szanownego Duchowieństwa, aż do najmniejszej niemal posługi, wszyscy z całą gotowością i bezinteresownością pośpieszyli dla uczczenia pamięci poległych. Pragnąc zatem z całą sumiennością dopełnić życzeń ofiarodawców, t. j. aby z pozostałej składki od pogrzebu wystawić pomnik poległym w tem miejscu, gdzie zwłoki ich na cmentarzu Powązkowskim złożono; a następnie resztę użyć na cel dobroczynny, a przedewszystkiem na wsparcie rodzin poległych i ranionych, które tego potrzebować będą, a znajdują się w stanie niezamożnym, zawiązany został Komitet z kilkunastu członków złożony a pod prezydencyą J. X. kanonika Wyszyńskiego zostający itd.“

[1]) Ilość tych składek do dnia 5 Marca, według rachunku ogłoszonego przez kasyera komitetu pogrzebowego Jakóba Piotrowskiego, wynosiła złp. 74.421 gr. 17. W to wliczona jest wartość łyżeczki srebrnej przez kogoś zaofiarowanej, oraz zegarka damskiego, nadesłanego z Litwy, przez wnuczkę Tadeusza Rejtana, z portretem tego patryoty.

[2]) Do Dyrekcyi straży bezpieczeństwa należeli: Józef Kwiatkowski, kupiec, Karol Ruprecht, Sybirak; Edward Jurgens, urzędnik; Ignacy Natansohn; Leopold Otto, pastor luterski, Rafał Krajewski, i jeszcze jakiś ksiądz, którego nazwiska nie wiemy.

tak zwanego okręgowego, który był z wyborów. Okręgowy, inaczej dziesiętnik lub setnik, miał pod sobą najmniej pięćdziesięciu, często więcej konstablów, jeżeli strzegł ruchliwszej lub ludniejszej strony miasta. Były codzień trzy zmiany służby i ogólna liczba konstablów dosięgała od 1800 do 2000 ludzi [1]). Wpływ ich na miasto, zwłaszcza na ludność uboższą był ogromny, a działalność większej części konstablów na wskróś rewolucyjna. Przestrzegając porządku publicznego, stykając się bezpośrednio z ludem, zrewolucyonizowali go, przygotowywali w duchu powstańczym. Mięszali się oni do wszystkiego, załatwiali i sądzili wszelkie spory, na wzór owego konstabla, który pogodził w imię miłości ojczyzny kłócące się małżeństwo na Rybakach. Ponieważ improwizowani ci policyanci tworzeni byli przeważnie z młodzieży, przejętej duchem agitatorskim, duch ten więc przenikał wszędzie. Tu i owdzie przy rozstrzyganiu drobnych zajść ulicznych, rozgrywały się wysoce komiczne sceny, w ogóle jednak szanowano i słuchano młodzieńczych strażników bezpieczeństwa publicznego. Zdarzało się nieraz, że lud swe nieporozumienia niósł pod sąd konstablów, którzy powoli potrafili wzbudzić ku sobie takie zaufanie i zyskać tyle powagi, iż na ulicach rozstrzygali spory kilku słowami [2]). Prowokatorzy rozruchów, agitatorzy zapaleni, zwolennicy niekończących się nigdy manifestacyi, konstable ci, odgrywając na pozór dość zręcznie rolę stróżów pokoju i ciszy powszechnej, tem usilniej, tem

[1]) Każden z nich był zaopatrzony w numer i bilet z napisem „Straż obywatelska“. Na odwrotnej stronie tego biletu było nazwisko konstabla, a pod spodem wyciśnięte dwie ściskające się ręce. W zbiorach naszych posiadamy kilka takich biletów, włożonych w kopertę żółtą tekturową, na której wypisany jest numer konstabla.

[2]) Agaton Giller, który był okręgowym w okolicach Nowego Miasta, opowiada takie zdarzenie: „raz pod murami cytadeli przyprowadzili do mnie, jako okręgowego, policyantów rosyjskich, którzy usiłowali swą władzę utrzymać i w szynku wymyślali. Dałem policyantom naukę szanowania narodu i łagodnego obchodzenia się z ludźmi i zapytałem robotników: „a cóż z nimi chcielibyście teraz

gorącej pracowali w skrytości, w głębi ludowych warstw nad ich poruszeniem i popchnięciem ku agitacyi. Było to oddaniem miecza w ręce szalonego; i zezwolenie Gorczakowa na powierzenie miastu władzy policyjnej było największym z błędów, jakie popełnił.

Jeżeli jednak ustanowienie konstabli narodowych z jednej strony tak zły, tak zgubny dla przyszłości kraju wpływ wywierało, to z drugiej wytworzyło dziwne, niepojęte z wielu względów dla tych, którzy na to nie patrzeli własnemi oczami, podniesienie się poziomu moralnego całej społeczności miejskiej. Złodzieje, nocni rycerze, nierządnice i pijacy jakby całkiem znikli z obrębu miasta. Niezmiernie rzadkie były wypadki, by straż obywatelska wystawiona była na smutną konieczność chwytania rzezimieszków, odprowadzania pijanych, usuwania kobiet publicznych. Zdawało się, że po wielkiem tem mieście powiał jakiś duch niezwykle podniosły, jakby znikły i zgasły w niem wszystkie poziome, ludzkie namiętności pod wpływem jednego wielkiego uczucia: miłości ku tej Polsce nieszczęśliwej i gnębionej! Ten stan umysłów wywierał na wszystko i wszystkich niesłychany urok, zdawał się być ziszczeniem najsłodszych marzeń, Chrystusowych utopii o niezakłóconej ciszy i miłości społecznej; ale ludzie rozważniejsi, doświadczeńsi obawiali się i słusznie, by po tym chwilowym nastroju wysokim ducha nie nastąpił jeszcze większy upadek, jeszcze silniejsza reakcya.

Wśród takiego usposobienia, tak górnie i niezwykle nastrojonej opinii publicznej, Delegacya obywatelska odbywała regularnie swe posiedzenia w ratuszu. Na trzeciej z rzędu sesyi, d. 7 Marca, zajmowano się jak zwykle

---

zrobić?“ „Puścić ich wolno, odrzekli, ale niechaj pamiętają, że Polacy postępowali z nimi dobrze, nie tak jak oni, co nas jak bydlęta traktowali“. W innem miejscu w szynku chcieli żołnierze ugościć wódką wyrobników. Odsunęli kieliszki nalane mówiąc: „nic od was nie chcemy“. Giller przytacza te anegdoty, jako objaw podniosłości uczuć moralnych w ludzie warszawskim, jakkolwiek relacye tego pisarza należy przyjmować z wielką ostrożnością.

sprawą więźniów politycznych, których listę Paulucci przyniósł i wręczył delegatom; wreszcie domagano się, żeby protokóły posiedzeń mogły być ogłaszane drukiem. Paulucci odrzekł, że na to nigdy i pod żadnym pozorem zgodzić się nie może. Następnie delegaci oznajmili, że ponieważ nikt się nieznajomością prawa tłomaczyć nie może, należy więc znać przepisy prawne, obowiązujące w kraju; tymczasem więźniowie polityczni od dawiendawna stawiani są przed sądy wojenne, które sądzą według ustaw nigdy w kraju nieogłoszonych i nikomu z mieszkańców nieznanych. W skutek tego Delegacya uznała za konieczne prosić o zakomunikowanie jej rozporządzeń, któremi kierują się sądy wojenne przy rozpatrywaniu przestępstw politycznych [1]).

Kategoryczny zakaz publikowania przez pisma protokółów posiedzeń Delegacyi miał ze wszech miar złe skutki, stokroć gorsze od tych, jakich rząd się lękał, gdyby sprawozdania te były ogłaszane publicznie. Delegaci, w obec wzburzonych umysłów i rozdrażnionej nadzwyczajnie opinii, znajdowali się w tem położeniu, że nie mogli ukrywać tego, co się działo na posiedzeniach. Ogół, oddając całe swoje zaufanie w ręce kilkunastu ludzi, oddając niejako losy swoje i kraju, miał prawo domagać się, by go uwiadamiano, co ci ludzie robią, jaki użytek czynią z tego zaufania i czy nie wchodzą na błędne ścieżki. W takim stanie rzeczy delegaci, nie mogąc publikować sprawozdań ze swych posiedzeń, zmuszeni byli użyć innej drogi; co wieczór więc, po ukończeniu sesyi w ratuszu, przychodzili do resursy, przynosili ze sobą kopią protokółu i odczytywali go zawsze tłumnie zgromadzonej tam publiczności, która tym sposobem dowiadywała się i kontrolowała postępo-

[1]) Po zamknięciu tego posiedzenia jenerał Lewiński, ks. Stecki i Antoni Wrotnowski udali się wraz z jenerałem Pauluccim do aresztu policyjnego, znajdującego się w zabudowaniach ratusza i przekonali się, że tam jest jeden tylko więzień, niejaki Feliks Małdziński, przytrzymany przez studentów Akademii medycznej, pełniących obowiązki konstabli narodowych, za awantury uliczne.

wanie swych delegatów. Rząd, który niepodobna, by o tem nie wiedział, gdyby był rozumny i pewny siebie, w obec tego bezwarunkowo powinien był zgodzić się na ogłaszanie rzeczonych protokółów, na wyjawianie istotnej prawdy, która nieraz w ustnych podaniach wychodziła mocno skażona i rzucała na władzę bardzo niekorzystne światło. Niestety! sztuka rządzenia na długo jeszcze będzie niedoścignionym ideałem dla jenerałów rosyjskich, przemienionych nagle w wielkorządców Polski [1]). Publikowanie protokółów z wielu względów przyczyniałoby się do uspokojenia umysłów, to jest do tego, czego tak gorąco pragnął Gorczakow; przeciwnie zaś ukrywanie tego, co robiono na sesyach Delegacyi, nadawanie tym czynnościom cechy tajemnicy stanu, budziło w wielu głowach podejrzliwych i rozdrażnionych poważne wątpliwości, czy Delegacya spełnia jak należy swe zadanie.

Rozdrażnienie opinii było zresztą tak wielkie, że nie pozostawało bez wpływu nawet na urzędników, na przedstawicieli władzy. Cenzura, złożona w większej części z Polaków, w obawie przed tą opinią niezmiernie złagodniała. Autorowie poczęli pisywać śmielej, cenzorowie zaś nie mieli odwagi przekreślać artykułów, częstokroć stanowczo sprzecznych z paragrafami przepisów cenzuralnych. Tym sposobem w dzień pogrzebu pięciu poległych pozwolono

---

[1]) Mikołaj Berg w tylokrotnie tutaj cytowanych „Zapiskach o polskich wozstaniach“, powiada, że słyszał, jakoby delegaci wszystkie swoje protokóły posyłali do Poznania, do Władysława Niegolewskiego i pewnego dnia „razem z protokółem wysłali jakiś papier (bumagu), otrzymany od namiestnika. Ponieważ Gorczakow lubiał wszystkie swoje papiery przerabiać po kilka razy, zażądał więc zwrotu i tego dla przejrzenia i przeróbki. Odpowiedziano mu, że gdzieś się zapodział. On się nie zapodział, tylko leciał do Niegolewskiego“. W innem znowu miejscu tenże autor zapewnia, że delegaci, zeszedłszy się wieczorem w resursie kupieckiej, pisali nowy protokół i posyłali koleją żelazną do Niegolewskiego. Wiadomość o komunikowaniu wzmiankowanych protokółów Niegolewskiemu, oparta na pogłosce, nie potwierdzona przez żadne inne źródło, wydaje nam się fałszywą.

gazetom wyjść w czarnych obwódkach, mających oznaczać żałobę; pozwolono wspominać o wypadkach świeżo zaszłych, ogłaszać składki na pogrzeb i wsparcie rodzin po zabitych; publikować licytacye na przedmioty ofiarowane w naturze, jak np. na zegarek po Rejtanie; dozwolono nakoniec na przeprowadzenie ważnej reformy w dziennikarstwie, reformy nadającej mu charakter europejski. Dnia 7 Marca, J. I. Kraszewski, jako redaktor „Gazety codziennej“ i Józef Kenig, jako redaktor „Gazety warszawskiej“, udali się razem do Muchanowa i wyjednali pozwolenie na pomieszczanie w swych pismach t. z. artykułów wstępnych. Muchanow, który bacznie przypatrywał się całemu ruchowi, widząc chwiejność Gorczakowa, niepewny o samego siebie, począł kokietować ulicę, przybywał na posiedzenia Towarzystwa rolniczego, żeby „dzielić z niem niebezpieczeństwo“, z deputatami do namiestnika d. 27 Lutego rozmawiał grzecznie i kłaniał im się nizko; w ogóle przybierał postawę człowieka szczerze miłującego Polskę i jej dobro, przyjął obu redaktorów bardzo łaskawie i zgodził się na ich żądanie. Zaraz też nazajutrz wzmiankowane gazety pomieściły takie artykuły. Za ich przykładem poszły niezwłocznie inne pisma warszawskie.

Ale nie ograniczono się na artykułach wstępnych. Jakkolwiek cenzura była łagodna, na wiele rzeczy patrzała przez palce i udawała, że wielu innych nie rozumie, bądź co bądź jednak istniała i nie powinna była nigdy zezwolić na to, by gazety warszawskie stały się jednem z zarzewi, podsycających ducha rewolucyjnego w kraju. Pod przejrzystemi osłonami, ze zręcznością, jakiej nabyć tylko mogli dziennikarze w ciężkiej szkole Muchanowa, wyuczeni rozmaitych sztuczek pisarskich, niedomówień, określeń, napomknień dwuznacznych, rozwijali oni agitacyą powstańczą tem niebezpieczniejszą, że publiczną, głośną i do tego ubraną w drukowane słowo, do którego wiara w społeczeństwie polskiem nie została jeszcze zachwianą przez późniejsze smutne doświadczenia. Zwłaszcza „Gazeta warszawska“, której redaktor Kenig, wytrawny, zdolny i zręczny szer-

mierz dziennikarski, w artykułach wstępnych starał się zawsze podnosić taką kwestyą zagraniczną, taką sprawę, z której można było przeprowadzić analogią ze sprawami Polski. To mówił o Irlandyi i jej nieszczęsnem położeniu i piorunował na jej ciemiężców i przepowiadał świetną jeszcze kartę w dziejach narodowi, który nie wątpi o przyszłości swojej; to przenosił się do Japonii lub Chin i ciskał gromy na despotyzm i tyranią rządową. Czytelnicy rozumieli to dobrze i częstokroć tam nawet szukali i znajdowali analogią, gdzie jej wcale nie było i gdzie autor zupełnie o niej nie myślał.

Wszystko to przyczyniało się do wzrostu agitacyi, która wprawdzie nie manifestowała się wielkiemi i uroczystemi procesyami, jak w dniach lutowych, ale niemniej istniała i ciągle dawała znać o sobie. Tysiące, setki tysięcy fotografii poległych w najrozmaitszych formatach rozbiegało się po kraju, kupowanych skwapliwie, rozbudzając wszędzie widokiem ran odkrytych żal, nienawiść i chęć pomsty na barbarzyńcy, który takiej zbrodni się dopuścił. Przyszło do tego, że wiele zakładów naukowych, szkół rządowych zakupywało od Bayera odpowiednią do liczby swych wychowańców ilość tych fotografii z ustępstwem 50%. Obok fotografii bayerowskich obiegały po kraju medale, wybite na pamiątkę krwawych dni lutowych. Na jednej stronie tych medali, dziś bardzo rzadkich, znajdowało się wyobrażenie Matki Boskiej Częstochowskiej, a na drugiej złamany krzyż i napis w otoku: „ratuj Ojcze!“ oraz cyfry 25 i 27. Daty te zresztą, tak pamiętne w dziejach tego nieszczęsnego ruchu, wszędzie się powtarzały. Cichy, ciepły niezwykle Marzec, zapowiadający blizkie pojawienie się wiosny, sprzyjał wszelkiego rodzaju spacerom, wycieczkom tak ulubionym przez ludność warszawską, do ogrodów publicznych, do parku Łazienkowskiego i Belwederu. Tam na ławkach, na drzewach, wszędzie, gdzie można było, wyrzynano te daty, jakby je chciano uwiecznić wszelkimi możliwymi sposobami. Komuś przyszła myśl, która wywołała ogólne naśladownictwo w całym kraju, stawiania

na pamiątkę tych dni krzyżów przy drogach, z wypisanemi na nich datami lutowemi, sypania kopców starym obyczajem słowiańskim. Wszystko to znajdowało żywy odgłos w kraju, pobudzało ducha rewolucyjnego, rozszerzało agitacyą, która nakoniec znalazła jeszcze raz swój wyraz w wielkiej powszechnej w całej Polsce manifestacyi, jaka w dniu 9 Marca się odbyła pod pozorem nabożeństw żałobnych za dusze pięciu poległych.

Ponieważ w dniu rzeczonym przypadła oktawa pogrzebu pięciu ofiar, postanowiono więc obchodzić ją uroczystem nabożeństwem żałobnem. Rząd o tem wiedział dobrze, gdyż w wigilią tego dnia Delegacya obywatelska przedstawiła Paulucciemu projekt ogłoszenia o mającem się odbyć jutro nabożeństwie. W ogłoszeniu tem, a raczej odezwie, Delegacya, określiwszy swe stanowisko jako strażnicy bezpieczeństwa publicznego, odwoływała się znowu do świętego uczucia miłości kraju i błagała mieszkańców o dopomożenie jej w spełnieniu tak trudnego zadania i zachowanie tej samej, jak w d. 2 Marca, godności przy nabożeństwie jutrzejszem. Delegacya chciała, żeby Paulucci wyjednał u namiestnika pozwolenie na wydrukowanie jeszcze dzisiaj we wszystkich gazetach tego szumnego, pełnego bombastycznych frazesów ogłoszenia; utrzymywała, że w razie przeciwnym działalność Delegacyi będzie bardzo utrudniona, a co zatem idzie, nie odpowiadająca celowi, dla którego ciało to zostało powołane do życia. Domagała się, żeby Paulucci natychmiast udał się z tym projektem do namiestnika i że Delegacya w całym swoim składzie oczekiwać będzie na rezultat misyi swego prezesa. Paulucci zgodził się na to, pojechał do Zamku, zkąd wkrótce wrócił z odpowiedzią stanowczo odmowną. Delegaci obrażeni tem oznajmili protokólarnie, że, „mając sobie zatamowaną tym sposobem możność odezwania się do publiczności zapomocą druku, Delegacya pozbawioną jest normalnych środków działania na umysły. Z tego powodu uważa Delegacya swój wpływ zewnętrzny za najzupełniej nadwerężony i niepodobny“. Gorczakow, przerażony tą postawą

Delegacyi, jak zwykle tak i teraz ustąpił. Pozwolił na wydrukowanie powyższej odezwy z małemi bardzo zmianami, zgodził się, by jutro w mieście wyłącznie służbę pełniła straż obywatelska, że policya i żandarmi wcale pokazywać się nie będą na ulicach i przy kościołach, co najwyżej strzedz będą porządku przy powozach, zajeżdżających przed kościoły.

Otrzymawszy to nowe ustępstwo, wzięto się z zapałem do urządzenia nabożeństw żałobnych. Od rana d. 9 Marca sklepy wszystkie były pozamykane, nawet w najbardziej oddalonych zaułkach; cisza uroczysta zaległa miasto, ludność ubrana w grubą żałobę tłumnie ciągnęła do kościołów, w których poustawiano katafalki ozdobione wieńcami cierniowymi, palmami, wyobrażeniem krzyża złamanego, tego „symbolicznego wyrażenia narodowego ruchu“. U św. Jana odprawił nabożeństwo prałat archidyakon Białobrzeski, w obecności arcybiskupa Fijałkowskiego i biskupa Dekerta, którzy w szatach pontyfikalnych zasiedli na swych tronach biskupich. U św. Krzyża, kościoła modnego w tej epoce, instytut muzyczny pod dyrekcyą Kontskiego wykonał nowe *requiem* i *salve regina* Stefaniego. U Reformatów cała opera polska, pod dyrekcyą Moniuszki, śpiewała. Pierwszy tenor tej opery, Dobrski, swym głosem prześlicznym wykonał wspaniały hymn Stradelli, a potem jeszcze jeden hymn, ułożony umyślnie na ten dzień, błagający Boga gorąco o męztwo dla młodzieży i o zwycięztwo dla sprawy ojczystej [1]). Wzruszenie powszechne

[1]) Autor tego hymnu jest nam nieznany. Tytuł brzmi: „Hymn Polaków, śpiewany przez Dobrskiego u Reformatów dnia 9 Marca w czasie nabożeństwa za poległych“ — a tekst jest następujący:

„Wszechmocny Boże! ojców naszych Panie,
W Tobie nadzieja nasza i odwaga;
O Twoje wsparcie; — a swe zmartwychwstanie
Twój lud Cię błaga.
„Zbaw nas o Panie! przyjm żebrzące głosy,
Wzmóż siły nasze, daj nam zgody męztwo,
W Twem świętem ręku składamy swe losy
Daj nam zwycięztwo.

było tak silne, że cały kościół jęczał, kobiety spazmatycznie łkały pod wpływem tego głosu cudownego, który zdawał się płakać wszystkiemi łzami i wszystkimi bólami Polski. Wszędzie zbierały składki na ranionych damy wielkiego świata; u św. Krzyża Róża z hr. Zamoyskich księżna Lubomirska i Stanisławowa z Potockich Zamoyska; u św. Jana z Chodkiewiczów hr. Kosakowska; u Dominikanów znana poetka Deotyma; u Reformatów najpiękniejsze artystki teatralne. Pieniądze sypały się szczodrze, w poczuciu serdecznej ofiary, na ołtarz ojczyzny. U Reformatów na stole przed aktorkami leżały całe stosy banknotów, góry miedziaków, widoczny grosz ubogich, nieco sztuk pamiątkowych złota, cygarnice, pierścionki, kolczyki, naramienniki. Jakaś biedna dziewczyna, cała zalana łzami, zdjęła ze szyi i rzuciła na tacę maleńki krzyżyk srebrny na czarnej tasiemce, wart złotówkę zaledwie, pamiątka z Częstochowy, jedyne może bogactwo ofiarodawczyni. Jakieś uniesienie entuzyastyczne ogarniało wszystkich, serdeczne rozpłakanie się nad dolą tej polskiej ojczyzny, ofiarność niewidziana nigdy przedtem.

Takież nabożeństwa odbyły się w kirchach luterskich i w bóżnicach żydowskich. W synagodze na Nalewkach

---

Dawno o Panie! jak nas przemoc ciśnie,
Dziedzinę naszą wrogi rozszarpały,
Niech po dniach skargi dzień łaski zabłyśnie,
Wiedź nas do chwały.
Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy,
Do mściwych mordów, do łupieztw niezdolni,
Tylko ojczyznę odzyskać pragniemy,
Tylko być wolni.
Ty, coś przed laty żył z ojcy naszemi (?!)
O! powróć wnukom dziadów ich puściznę;
O Boże! polskiej pobłogosław ziemi,
Zbaw nam ojczyznę!
Niech przed Twym ludem wrogi się ustraszą,
W młodzieńców serca tchnij rycerzy męztwo,
Za chwałę Twoją i za wolność naszą
Daj nam zwycięztwo".

rabin Izaak Kramsztyk, potomek starej rodziny żydowskiej warszawskiej, kaznodzieja, który pierwszy w r. 1852 począł miewać kazania polskie, wystąpił z mową na tekst: „szukaliśmy braci naszych i nie znaleźliśmy, a oto są“. Mowa z wielu względów była wybitna i odznaczająca się; nacisk główny kładła na potrzebę ścisłego braterstwa i zjednoczenia się żydów z Polakami. „Tam, wołał Kramsztyk, gdzie nam, jako nowonarodzonym dzieciom, pierwszy promień słońca przyświecał, gdzie niemowlęcej niewinności pierwsze dni naszego życia w czułych objęciach macierzyńskich upłynęły, tam, bracia, tam jest ten kraj, który my miłować winniśmy. Tam, gdzie młodzieńcze siły nasze się rozwinęły, gdzie nasze czynności i działania dojrzewają, gdzie nadzieja w młodzieńczym wieku się uśmiecha, gdzie nasz umysł pojmować, nasze serca czuć się nauczyły — tam, bracia, jest ten kraj, który miłować jesteśmy obowiązani“.... „Łączmyż się więc w miłości dla kraju z resztą naszych współbraci innowierców, postępujmy za nimi na drodze oświaty i cywilizacyi, na drodze nauki i tolerancyi. Nieśmy cześć Bogu w świętej mowie praojców naszych, ale w życiu obywatelskiem przywłaszczmy sobie mowę krajową. Starajmy się o usuwanie wszelkiej zapory, która rozdzielała przez tyle wieków mieszkańców jednego kraju, dzieci jednej ziemi“. „Starajmy się o dobro kraju, do którego nas Bóg zaprowadził, a przy jego szczęściu i my szczęśliwi będziemy“. Po mowie tej odczytano w języku polskim modlitwy za pięciu poległych, z wymienieniem nazwiska każdego z nich [1]).

Za przykładem Warszawy, a w wielu miejscach wcześniej od niej, wszędzie, w granicach całej Polski dawnej, oraz na obczyźnie, gdzie tylko znajdowali się Polacy, odbywały się także nabożeństwa, które przez swą wystawność

[1]) Mowę tę można czytać w całości w książce p. t. „Kazania Izaaka Kramsztyka. Kraków 1892“. Kramsztyk za Lüdersa wysłany do Bobrujska, zkąd zwrócony, znów w r. 1863 zesłany został do gubernii Saratowskiej.

i uroczystość nabierały cechy olbrzymiej manifestacyi politycznej. W Krakowie jeszcze d. 2 Marca, w dzień pogrzebu poległych, odprawiono w samo południe w starym kościele Maryackim takie nabożeństwo. Ogromna ta świątynia tak była napełniona modlącymi się, że, kiedy zadzwoniono na podniesienie, od ołtarza wielkiego aż ku drzwiom głównym, lud jak fala cofał się, żeby uklęknąć. Sklepy w mieście były pozamykane, domy puste, bo każdy, kto żył i kto się ruszyć mógł, podążył do kościoła.

W twierdzy związkowej niemieckiej, Rastadzie, gdzie stały garnizonem wojska pruskie i austryjackie, oficerowie Polacy, służący w tych ostatnich, wyprawili także nabożeństwo uroczyste za poległych w Warszawie. Sam jenerał Dobrzański, Polak, był na tem nabożeństwie obecny. W Paryżu odbyły się dwa nabożeństwa, pierwsze u Zmartwychwstańców w kościele Wniebowzięcia, gdzie sławny mówca, ks. Kajsiewicz, miał kazanie i drugie w kościele św. Magdaleny. Tu zbiegła się cała emigracya, cała szkoła Batiniolska w krakuskach czerwonych i wysłuchano mszy żałobnej klęcząc. Mężczyzni mieli krepę na kapeluszach, kobiety w grubej żałobie płakały rzewnemi łzami. Mowę miał ksiądz francuzki Duguerry. Oprócz Polaków, którzy stawili się wszyscy bez różnicy stronnictw, było także bardzo wielu Francuzów. Kościół był kirem obity; na całunach, na ścianach, bielały litery początkowe nazwisk poległych, a pod każdą z cyfr wyszyty był wieniec cierniowy. Nabożeństwo zakończono zawsze wspaniałem „Boże coś Polskę“, po którem w egzaltacyi patryotycznej rzucano się sobie w ramiona i przyrzekano w obec cierpiącej, „umęczonej“ Polski zapomnienie wszelkich uraz i wszelkich sporów.

W Rzymie takież nabożeństwo odbyło się d. 14 Marca w kościele Bazyliańskim, Santa Maria del Pascolo. Wszyscy Polacy obecni wówczas w wiecznem mieście, nawet wędrowna arystokracya polska, znajdowała się na tej uroczystości smutnej. W dwa dni potem sam papież Pius IX odprawił w kaplicy swej prywatnej mszę za dusze pięciu ofiar. Nie miano wcale za złe tego, że głowa Kościoła

katolickiego modliła się za kalwina, za heretyka, jakim w oczach katolików był Karczewski. Namiętności polityczne doprowadzają niekiedy do takich osobliwszych kompromisów.

Jeżeli atoli zagranicą nikt nie przeszkadzał urządzaniu takich nabożeństw, takich uroczystych kościelnych protestacyi przeciw gwałtowi, dokonanemu w dniach lutowych na ludności warszawskiej, to inna rzecz była w Petersburgu, w stolicy Rosyi, pod bokiem władz najwyższych. Tam d. 12 Marca (28 Lutego v. s.) odbywał się pogrzeb głośnego ukraińskiego poety, Tarasa Szewczenki, na który zebrał się ogromny tłum ludności wszelkich stanów, a nad grobem wygłoszono mowy w trzech językach: rosyjskim, ruskim i polskim. Po pogrzebie jakiś nieznany student zapowiedział, że nazajutrz, d. $^{13}/_{1}$ Marca, odbędzie się żałobne nabożeństwo w kościele katolickim za poległych w Warszawie. Jakoż, zdaje się, ten sam student zamówił u OO. Dominikanów, mających pod swym zarządem kościół parafialny św. Katarzyny, takie nabożeństwo za swego jakoby kolegę. Księża oczywiście przyjęli je, a tymczasem do kościoła zeszedł się tłum ogromny, mnóstwo kobiet w żałobie i bardzo wielu Moskali, między którymi zauważono słynnego historyka, Kostomarowa, zawziętego później wroga Polaków i Polski. To niezwykłe, tłumne zebranie się w kościele, zwłaszcza młodzieży, przestraszyło Dominikanów, ale pomimo ich oporu odśpiewano pierwsze głośne i publiczne „Boże coś Polskę“ w stolicy caratu [1]). Skoro władza policyjna dowiedziała się o tem wszystkiem, przyaresztowano kilkunastu studentów Polaków i wyznaczono do śledztwa komisyą specyalną. Wówczas studenci Rosyanie zredagowali deklaracyą, że i oni byli na nabożeństwie za

[1]) Obiegała pogłoska, że zjawił się w kościele pułkownik R. inspektor konstantynowskiego korpusu kadetów, których mnóstwo było na nabożeństwie i począł ich spisywać. Miano go jednak bardzo zręcznie i nieznacznie wypchnąć za drzwi, a na ulicy wygwizdano.

poległych w Warszawie, śpiewali hymn narodowy, że zatem winni odpowiadać tak samo jak Polacy. Deklaracya ta leżała w bibliotece studenckiej i podpisało ją przeszło 300 młodzieży [1]). W rezultacie, w tych czasach miękkich i liberalnych stało się to, co stać się musiało. Studentów wypuszczono z więzienia i o całej tej historyi zapomniano.

W Moskwie manifestacya ta, miała nieco inny charakter. Nabożeństwo zamówili studenci Polacy, uczący się w tamtejszym uniwersytecie. Znalazło się tu także wielu rosyjskich ich kolegów, z których jeden, po ukończeniu mszy śtej, stanął na schodach, prowadzących do kościoła, i miał mowę, w której twierdził, że Polacy i Rosyanie są braćmi, że powinni się trzymać za ręce i t. p. Młodzież polska jednak nie chciała tego słuchać i tłumnie mówcę opuściła.

Jeszcze bardziej polityczną cechę przybrała ta kościelna manifestacya w Kijowie. Tutaj od samego rana d. 13 Marca, księża czytali msze w żałobnych ornatach. Trumna, stojąca na środku kościoła, przybrana była w wieńce cierniowe, a w każdym cierniu tkwił liść zielony, „jako symbol nadziei, ożywiającej serca wszystkich“. Egzekwie i sumę celebrował ks. kanonik Brynk, do której akademicy służyli. Odśpiewano w starym, niegdyś polskim grodzie „Boże coś Polskę“, wśród tych samych łez i tego samego wzruszenia, jakie ten hymn majestatyczny wszędzie wywoływał. Po nabożeństwie, na które tłumnie zeszła się młodzież uniwersytecka polska, ruska i rosyjska nawet, zdjęto z trumny wieńce cierniowe i rozdzielono je między siebie na pamiątkę. Przy wyjściu z kościoła studenci rosyjscy i ruscy, prawosławni, zaprosili swych katolickich kolegów na takież nabożeństwo, jakie zamówili w cerkwi

---

[1]) Tekst tej deklaracyi w dosłownym przekładzie brzmi jak następuje: „My, niżej podpisani, znajdowaliśmy się w d. $^{1}/_{13}$ Marca, na nabożeństwie żałobnem za poległych w Warszawie, braliśmy udział w śpiewaniu hymnu narodowego polskiego i dla tego prosimy, by nas uważano za równie winnych, jak i studentów Polaków“.

św. Michała. Zgodzono się na to chętnie i wszyscy tłumnie tam ruszyli, ale cerkiew zastano zamkniętą. Gdy pertraktacye z popem miejscowym nie doprowadziły do niczego, zaśpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i ruszono do domów.

W Żytomierzu nabożeństwo za poległych było na wskróś manifestacyjne. Odbyło się ono d. 22 Marca. Ubrano w kiry, kwiaty i drzewa cały cmentarz kościoła katedralnego. Biskup Borowski jednak, dla przeszkodzenia nabożeństwu, kazał o godzinie 3-ciej rano kwiaty i drzewa z cmentarza powynosić, a katafalk rozebrać [1]). Choć jednak katafalka nie było, nabożeństwo mimo to odprawiono, zastępując ten żałobny sprzęt całunem, który trzymało rozsunięty dwóch obywateli. Na całunie leżał wieniec laurowy. Podczas czytania Ewangielii wieniec ten, niewiadomo dlaczego, ktoś podniósł i trzymał tak w górze obiema rękami. Przy drzwiach kościoła urządzono stoliki, przy których siedziała żona marszałka gubernialnego Mikulicza, a obok niej, na znak demokratycznej równości stanów, krawcowa żytomierska Okienczycowa, oraz pani Niemierzycka, żona byłego marszałka gubernialnego, i zbierały składkę na rodziny poległych. W ciągu trzech godzin zebrano poważną sumę 2.240 rubli. Każden wchodzący otrzymywał z rąk tych pań świecę z żałobną przepaską i kokardę czarną, którą przypinano sobie na piersiach lub prawem ramieniu. Kokardy te otrzymywali nawet lokaje, chłopi, żołnierze i policyanci. Wszystko to miało charakter teatralny, pozbawiony powagi, przynależnej miejscu i wspomnieniu tych, za których się modlono. Po odśpiewaniu „Boże coś Polskę“, gdy wszyscy wyszli z kościoła, wystąpił jakiś mężczyzna, ubrany po chłopsku w sukmanę białą, czerwonem suknem podbitą, z czerwonemi i niebieskiemi potrzebami, i podniesiony nieco w górę przez otaczających, zawołał: „proszę odkryć głowy, jeszcze nabożeństwo nieskończone“. To rzekłszy, ukazał jakąś płachtę

[1]) „Przegląd rzeczy polskich“ surowo za to zganił biskupa.

i kawał całunu i mówił, że to Warszawa przysłała Żytomierzowi skrwawioną szatę, że należy ją rozdzielić na pamiątkę. Rozdzielono ją więc, kończąc tę manifestacyą, w najwyższym stopniu niesmaczną.

Na Litwie okazywały się także oznaki niemniej silnego wzburzenia umysłów, jakkolwiek wzburzenie to dotąd ani razu jeszcze na zewnątrz się nie objawiło. Spostrzedz się ono dopiero dało z powodu rzeczonych nabożeństw. Dnia 14 Marca w Wilnie odbyło się takie nabożeństwo za poległych w Warszawie, w kościele św. Jana (niegdyś uniwersyteckim), na które zjechała się cała wyższa szlachecka i urzędnicza sfera wileńska. Kobiety były w głębokiej żałobie. Władze miejscowe dowiedziały się o zamierzonej manifestacyi na dzień przedtem i zażądały od biskupa Krasińskiego, żeby zabronił podwładnemu sobie duchowieństwu wygłoszenia na tem nabożeństwie kazania i nazwisk pięciu poległych [1]). Rozkaz ten w rzeczy samej został wykonany. Agitatorzy usilnie się starali, żeby w kościele była licznie reprezentowaną klasa rzemieślnicza i chłopi, ale to się nie powiodło. Rzemieślników było zaledwie kilku, chłopów zaś ani jednego.

W Grodzieńskiem, zwłaszcza na pograniczu Królestwa, tego rodzaju nabożeństwa odbyły się nieco wcześniej; naprzód jednak, bo d. 9 Marca, to jest współcześnie z Warszawą, w Brześciu Litewskim, przyczem zaszło charakterystyczne starcie między władzami miejscowemi. Stronnictwo agitacyjne chciało nadać tej demonstracyi charakter uroczysty i wspaniały; zamierzano ją urządzić na przedmieściu Kobryńskiem z procesyą, z chorągwiami kościelnemi i cechowemi. Na samo nabożeństwo poczęto nawet zbierać składki, a sprawą całą zajmował się bardzo

[1]) Sam biskup nie był na nabożeństwie i tłómaczył się później dość niezręcznie, że nie był zawiadomiony. I jego spotkała nagana ze strony „Przeglądu“.

energicznie miejscowy marszałek szlachty Garzycz [1]). Komendantem brzeskiej twierdzy był wówczas jenerał Bartolomey, który, dowiedziawszy się o tem wszystkiem, odniósł się drogą urzędową do horodniczego, ażeby starał się nabożeństwu zapobiedz. Horodniczy, który nie podlegał rozkazom komendanta twierdzy, poskarżył się na niego u jenerał-gubernatora Nazimowa, przyczem pisał: „w ogóle nie należy zwracać jakiejś szczególnej uwagi na nabożeństwo, tem więcej, że, jak to może potwierdzić sam jenerał-lejtnant Bartolomey, odbyło się ono bez żadnych demonstracyi publicznych. Co się zaś tyczy wzburzenia umysłów, to niewiadomo na czem pan komendant swe twierdzenie opiera“. Wszystko więc, według opinii władz brzeskich, było jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Nabożeństwo się odbyło uroczyście, przyczem zauważono, że marszałek Garzycz przez cały czas mszy ściej klęczał nabożnie przed wielkim ołtarzem.

W Grodnie nabożeństwo odprawiono spokojnie i cicho. W Słonimie, d. 14 Marca, odprawiono je pod pozorem nabożeństwa za duszę pewnego miejscowego obywatela. Zjazd szlachty okolicznej był tutaj bardzo znaczny [2]). W Białymstoku, w kościele znajdowali się prawie wszyscy urzędnicy miejscowi, oczywiście Polacy, rzemieślnicy, drobna szlachta mazurska, chłopi nawet, dzięki zabiegom marszałka szlachty. Kobiety, jak wszędzie, tak i tu, zjawiły

---

[1]) W artykułach pomieszczonych w „Russkim Wiestniku“ w r. 1869, p. t. „Polskaja mołodzież zapadnago kraja w miateże 1861—1863 godow“, pióra niejakiego S. Rajkowskiego, znajdujemy wiadomość, z wielu względów bardzo wątpliwą, że wzmiankowany w tekście marszałek Garzycz, na jakiś czas przed tą manifestacyą, przeszedł wraz z córkami z prawosławia na katolicyzm.

[2]) Ciekawe bardzo są raporta ówczesnych władz o tych nabożeństwach na Litwie. Wspomnieliśmy już wyżej o starciu, jakie demonstracya ta wywołała między horodniczym i komendantem twierdzy w Brześciu Litewskim. Coś podobnego przytrafiło się i w Słonimie. Miejscowy horodniczy Bożanow zdał raport o tem do gubernatora grodzieńskiego, przyczem główny nacisk położył na „bardzo znaczny zjazd szlachty“ i na wzburzenie powszechne umy-

się w grubej żałobie. Starano się usilnie za pośrednictwem burmistrza (gorodskij gołowa), który był żydem, ażeby jego współwyznawcy licznie zjawili się w kościele. Zamiar ten wszelako się nie udał; na nabożeństwo przybyło tylko sześciu żydów; między nimi zauważono dwóch Rabinowiczów, miejscowych księgarzy, co zresztą rojnej i fanatycznej rzeszy żydowstwa się nie podobało.

W Kownie odprawiono d. 14 Marca, w kościele Augustyańskim, podobneż nabożeństwo pod pozorem modlitwy za dusze zmarłych niedawno obywateli[1]). Składka, zbierana przytem przez damy i przesłana następnie pocztą do „Gazety codziennej“, wyniosła 500 rs. W całej gubernii Kowieńskiej odbywały się tego rodzaju demonstracye kościelne z wyjątkiem dwóch tylko miasteczek: Szawel i Nowoaleksandryi. W Poniewieżu zjazd był ogromny; samo nabożeństwo, w którem wzięło udział dziesięciu księży, miało cechę bardzo uroczystą. Chłopów żmudzkich było mnóstwo, a składka dosięgła 2000 rs.

Nabożeństwa te na Litwie wywołały wśród władz rosyjskich, niespodziewających się niczego podobnego, pewien niepokój. Raporta liczne biegły do Wilna, a ztąd do Petersburga, gdzie surowo zganiono bezczynność zwierzchności miejscowej. Wskutek tego marszałkowie szlachty, dziekani, sprawnicy i horodniczowie otrzymali cyrkularze, pełne surowych napomnień i poleceń. Było to jednak zapóźno. Nabożeństwa odbyły się prawie wszędzie i faktu spełnionego nikt już cofnąć nie mógł.

---

słów. Raport ten z Grodna przesłano do Wilna, z taką jednak charakterystyczną uwagą: „nie należy zbyt wielkiej wagi przywiązywać do rzeczonego nabożeństwa, gdyż odbyło się ono cicho i nie wywołało żadnych nieporządków. Co się zaś tyczy, zaznaczonego w raporcie horodniczego Bożanowa, jakiegoś naprężonego stanu umysłów mieszkańców Słonima, to stan ten da się wytłomaczyć współczuciem, jakie w rzeczy samej istnieje wśród szlachty gubernii Grodzieńskiej dla ofiar nieporządków warszawskich“.

[1]) Biskup Wołonczewski umyślnie w tym dniu wyjechał z Kowna, żeby nie być na nabożeństwie.

W Królestwie nabożeństwa te obchodzono daleko poważniej, nosiły tu one znamię raczej uroczystości kościelnej, niż manifestacyi politycznej. Wprawdzie tu i owdzie widoczną była chęć nadania obchodowi charakteru politycznego, ale w ogromnej większości zachowano się poważnie i spokojnie. W Płocku, w czasie nabożeństwa, w wielu domach pozawieszano w oknach i na balkonach kiry; sklepy zamknięto. W Kaliszu, w którym odbyło się nabożeństwo d. 8 Marca, zebrało się w kościele św. Józefa około 12,000 osób. Uczniowie szkoły realnej, cechy rzemieślnicze, bractwa kościelne przybywały procesyonalnie w żałobie, ze światłem. Na trumnie umieszczono pięć koron cierniowych. Około godziny 1-ej wyruszyła procesya na cmentarz, w której brał udział i pastor luterski i rabin miejscowy. Młodzież niosła w wyprężonych ku niebu rękach olbrzymią koronę cierniową z palmą, którą przybito na najwyższym krzyżu cmentarza, „jako godło naszych tryumfów“. W Lublinie już poprzednio odbywały się takie nabożeństwa za poległych po wszystkich kościołach, a głównie u Kapucynów, na którem tak mężczyźni, jak i kobiety ukazały się ubrane w żałobę. Solenne jednak, uroczyste nabożeństwo odbyło się d. 9 Marca w katedrze. Celebrował biskup Pieńkowski; odśpiewano: „Boże, coś Polskę“. Natłok ludzi wszelkich stanów był ogromny; zjawił się nawet rabin żydowski z całym kahałem i w bardzo licznem otoczeniu żydów i nieżydów zasiadł w fotelu w kruchcie kościelnej. Tu wysłuchał całego nabożeństwa, nie wchodząc do środka świątyni. Takie uroczystości odbywały się wszędzie, w całym kraju, z mniejszą lub większą ostentacyą, z widocznym lub zamaskowanym charakterem politycznym. W Poznaniu, z powodu oporu arcybiskupa Leona Przyłuskiego, nabożeństwa nie było, ale za to w całem księstwie nie było wsi i miasteczka, gdzieby nie modlono się za „pomordowanych w Warszawie braci“. Wszędzie wpływały składki, których suma z całego kraju, wraz z tem, co poprzednio zebrano do d. 19 Marca, miała wynosić złp. 138,248 gr. 22. Była ona jednak o wiele większą, i jako zebrana

w ciągu paru zaledwie tygodni, stanowiła na owe czasy grosz poważny i wymownie świadczyła o tym entuzyazmie patryotycznym, jaki ogarnął cały naród [1]).

Manifestacya d. 9 Marca odbyła się więc i odbyła na wielką, imponującą skalę w całym kraju, we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, wszędzie, gdzie tylko Polacy się znajdowali. Inicyatywę tego nowego objawu rewolucyjnego, o ile Warszawy dotyczy, bezwarunkowo należy przypisać Delegacyi obywatelskiej. Ona się nim zajmowała, ona go organizowała, ona wyjednała ogłoszenie o nabożeństwach, ona całą rzecz wykonała, i tym sposobem, sama nie wiedząc o tem, weszła na drogę rewolucyjną, na tę drogę, po której stąpali Czerwieńcy. Wprawdzie nie stało się to bez pewnego oporu, wynikłego w łonie samej Delegacyi. Powoli, poczęły się tam wytwarzać dwa stronnictwa, nie tyle może polityczne, ile będące owocem charakteru osobistego członków tego ciała dziwnego, jedynego w swo-

[1]) Trudnym jest niezmiernie dokładny wykaz składek. Kasyer komitetu pogrzebowego, Jakób Piotrowski, powiada, że do d. 5 Marca składki przyniosły złp. 74,421 gr. 17. Podczas nabożeństwa żałobnego w całym kraju, w d. 9 Marca, zebrano złp. 24,401 gr. 25; nakoniec po d. 19 Marca wpłynęło w gotówce i rozmaitych klejnotach złp. 39,425 gr. 10, czyli razem złp. 138,248 gr. 22. Do d. 6 Kwietnia złożono złp. 38,429 gr. 29; więc ogólna suma składek ówczesnych, podług rachunku Piotrowskiego, wynosiła złp. 176,678 gr. 21. Do gazet wpływały znaczne stosunkowo summy. „Gazeta Warszawska“ w ogóle zebrała rs. 5,319 kp. 15; „Gazeta codzienna“ rs. 4,340 kp. 51, czyli obie razem rs. 9,659 kop. 66, t. j. złp. 64,397 gr. 22. Reszta oczywiście wpłynęła na ręce kasyera Piotrowskiego. (Pochodzenie niektórych składek jest bardzo interesujące. Chłopi z Omlęcina w Stanisławowskiem przysyłają rs. 4; chłopi z Ciekszyna aż rs. 114 kop. $5^1/_2$; studenci z Moskwy rs. 6. „Pewien Rosyanin“ daje w Warszawie w redakcyi „Gazety Polskiej“ rubla na ranionych; z Dynaburga nadchodzi rs. 30. Najznaczniejsze jednak sumy pochodzą z prowincyi zabranych, zwłaszcza Podola, Wołynia, Mińszczyzny. Z Ukrainy bardzo mało wpłynęło; Galicya i Poznańskie, o ile wiemy, nie dały ani grosza). Z ogólnej sumy złp. 176,678 gr. 22, wykazanej przez Piotrowskiego, wydano po dzień 19 Marca na pogrzeb i wsparcie złp. złp. 24,768 gr. 16; pozostało zatem w kasie złp. 151,910 gr. 6, a we-

im rodzaju, bez władzy, bez sił, a mimo to rządzącego wielkiem miastem tylko mocą wpływu moralnego. Stronnictwa te możnaby nazwać: jedno, radykalnem, drugie, konserwatywnem. Radykalizm pierwszego zasadzał się nie na przekonaniach, które tem mianem określamy, ale na osobistej śmiałości, na ustawicznem domaganiu się od rządu nowych ustępstw. Takim był Szlenkier, Trzetrzewiński, Bayer, Kuszkowski, Krajewski, Wrotnowski. Oni to podnieśli sprawę więźniów politycznych, nieustannie popychali resztę członków starszych, spokojniejszych do nowych domagań się i czynów. Ci ostatni liczniejsi, gdyż do nich przymykali bezbarwni, to jest wszyscy żydzi i szewc Hiszpański, opierali się temu, ile mogli. Namiestnik, mówili oni, jest jak najlepiej usposobiony dla ludności warszawskiej; trzeba takie usposobienie wyzyskać, to prawda, ale nie należy zrażać, nie trzeba obrażać i nudzić starego wielkorządcy, w którego rękach losy nasze spoczywają. Czyż nie dość już uzyskaliśmy? Czyż nie oddano nam miasta? Cze-

---

dług korespondencyi do „Czasu“ znacznie więcej. (Pismo to utrzymuje, że ogólny wpływ ze składek miał wynosić złp. 259,583 gr. 12. Z tego wydać miano na wsparcie ranionych i pogrzeb poległych złp. 38,333 gr. 20). W Towarzystwie Dobroczynności w Warszawie miało się znajdować złp. 30,000. Było więc razem złp. 181,910 gr. 6. Pieniądze te z rozporządzenia margrabiego Wielopolskiego, jako dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia publicznego, przez reskrypt z d. 6 Maja do Piotrowskiego i ks. Wyszyńskiego, miały być złożone w Banku Polskim i oddane pod zarząd Towarzystwa Dobroczynności z przeznaczeniem na stypendya szkolne. Poszukiwania jednak nasze przekonały nas, że ani pod datą 6 Maja, ani później, takiej sumy nie złożono wcale w Banku; w kasie zaś Towarzystwa Dobroczynności złożono tylko 100,000 złp. z przeznaczeniem ich na stypendya. Suma ta do dziś dnia tam istnieje pod nazwą „kapitału 15,000 rs.“, ale odsetkami od niej zarządza Kurator Okręgu naukowego. Obiegająca w 1861 r. po gazetach angielskich pogłoska, jakoby pieniądze te z Towarzystwa Dobroczynności miał zabrać Andrzej hr. Zamoyski i przesłać papieżowi, jest oczywiście kłamliwą. To tylko pewna, że rachunki nie zgadzają się ze sobą. Wielopolski we wspomnianym reskrypcie mówi o 191,250 złp. a Towarzystwo otrzymało tylko 100,000 złp. Gdzie reszta?

góż wy więcej chcecie? Zresztą drogą powolną, ostrożną, rozumnie obmyślaną, daleko więcej da się uzyskać niż nieustannem nagabywaniem władzy, umyślnem jej drażnieniem ciągłemi żądaniami i prośbami o lada głupstwo.

Zdania te brały nieraz górę; zdradzały one ten episyerski egoizm, jaki był przymiotem większej części delegatów, zamożnych filistrów, lub starców, pędzących resztki swego życia w spokoju i nie chcących, by ten spokój im zakłócano. Ci bogaci kupcy, rzemieślnicy, przemysłowcy, właściciele domów, pysznili się z tego, że są naczelnikami niejako miasta, że mogą spierać się i układać z władzą. Dla nich to wystarczało. Przybrani w odrębną żałobę, różniącą ich od grona zwykłych śmiertelników, zasadzającą się na trzech obszywkach białych na rękawie, kazali Bayerowi porobić setki swych fotografii, aby dać się poznać całemu narodowi, ba! całemu światu i potomności. To usposobienie przeważnej części członków Delegacyi, to ich słodkie rozkoszowanie się władzą, ta ich obawa, by przez jaki „krok waryacki“, jak mówili, nie narazić się rządowi i nie stracić swych godności, tak ciężko i tylko przypadkiem nabytych, nie było tajne Czerwieńcom warszawskim. Wśród nich wytwarzała się powoli niechęć do Delegacyi, budziła się potrzeba koniecznej zmiany tego ciała, rozpędzenia ciężkiej, ospałej i drobiazgami zajętej burżoazyi, a natomiast osadzenia na jej stanowisku żywiołów ruchliwych, czynnych, rewolucyjnie usposobionych. Była to zresztą dla Czerwieńców jedyna sposobność dostania się do władzy, wyzyskania na korzyść rewolucyi i powstania chwili, jaka może już nigdy się nie powtórzy. W ich bujnej, młodzieńczej wyobraźni słabość chwilowa i gotowość do ustępstw ze strony rządu zmieniała się w zupełną bezsilność caratu, tego kolosu na glinianych, jak mówili, nogach, które dość trącić, by się rozleciały i sam kolos runął i rozpadł się na szczątki. Uważali więc za powinność, za święty obowiązek względem ojczyzny i narodu ogarnięcie Delegacyi. To przekonanie rozszerzało się, rosło i trzeba było tylko okoliczności, tylko śmielszego człowieka, by zamach na Delega-

cyą doszedł do skutku. Taka okoliczność i taki człowiek się znalazł, jak zwykle bywa, gdy w łonie czasu tkwi jaka myśl, jaka idea, a pomocną rękę ku temu podała sama Delegacya, jak to zaraz zobaczymy [1]).

Ta bowiem ciągle zajmowała się więźniami politycznymi, z łona których miał właśnie wyjść zakłóciciel słodkiej drzemki większości delegatów; domagała się, by wolno ich było odwiedzać, by im dawano książki do czytania i t. p.; skarżyła się przytem na wojsko; że szeregowcy swem zacho-

[1]) Jako wyraz niezadowolenia z czynności i zachowania się Delegacyi, może służyć, bardzo rozpowszechnione w swoim czasie, oczywiście apokryficzne pismo, czyli odezwa cechów: bronzowniczego, ślusarskiego, kotlarskiego i innych do tejże Delegacyi z datą 8 Marca. Mówimy, apokryficzne, gdyż jego ton, stylizacya, usiłująca wyrażać się z prostotą i językiem ludzi niewykształconych, zdradza to wyraźnie. Cechy rzemieślnicze warszawskie, posiadające już w tej porze w swem łonie ludzi obytych ze światem i mających pewne wykształcenie, nigdyby nie przemawiały do władzy tonem pełnym prostaczych pojęć i wyrażeń. Oto ten dokument:

„Zszedłszy się niektórzy, co do sprawy naszej zdawało się, a tymbardziej dla bezpieczeństwa i porządku, postanowili wysokiej Delegacyi do swojej rozwagi wystawić: że najprzód my sobie tak tłómaczymy, że kiedy po wojnie sewastopolskiej cesarz Napoleon powiedział do naszego cesarza, że powinieneś Polakom dać wojsko narodowe, nasz powiedział do Napoleona: że ja dla Polaków więcej jeszcze zrobię, czego się sami nie spodziewają. Więc kiedy znowu Napoleon spytał się: cóżeś dla Polaków uczynił? nasz posłał mu wszystkie gazety, gdzie opisano jak z radością cesarza przyjmują, i wszystkie iluminacye, mówiąc, że Polacy tak są kontenci, że niczego nie pragną. Więc to widząc, tudzież, że konsul francuzki jest przekupiony i prawdy nie napisze, więc choćby kto miał zginąć, wszystkim jedna śmierć, nie żałując osoby swojej iść na stracenie i pokazać światu, czego chcemy. Dlatego my chodzili z procesyami i śpiewali za konstytucyą i znowu będziemy, jak będzie potrzeba. A że były ofiary, to tak, widać, trzeba było Boskiej Opatrzności, a nawet my gotowi, jeżeli więcej trzeba, losem wyciągać, kto ma iść na ofiarę, choćby prosto na zarżnięcie, albo zginąć pod batami, jak to trzech woda wyrzuciła zawiniętych w słomę pod Zakroczymem, co ich z Zamku do Wisły wrzucili, tylko jeżeli dla ojczyzny nie będzie zmiłowania, to będzie źle. Powtóre, że dlaczego nam nie dają podpisywać adresu za konstytucyą, kiedy inni podpisali, a do

waniem się drażnią ludność i chciano, by został wydany odpowiedni rozkaz do wojska. W tym celu Delegacya poleciła swym członkom: Szlenkierowi i Jakóbowi Piotrowskiemu, by uchwałę tę przedstawili w jak najkrótszym czasie Paulucciemu.

Następne posiedzenie d. 11 Marca (d. 10 przypadała Niedziela) poświęcono wyłącznie sprawie więźniów. Rozpatrywaną była, dostarczona przed paru dniami przez Paulucciego, lista zamkniętych w cytadeli. Ogółem było ich dwudziestu pięciu [1]). Przy przeglądaniu tej listy członkowie Delegacyi oświadczyli, że otrzymali mnóstwo próśb ustnych i piśmiennych, błagających o wystaranie się u władzy, by ulżono losowi lub uwolniono więźniów. Prośby te postanowiono później rozpatrzyć, tymczasem, pod naciskiem rady-

resursy nie puszczają, a zwłaszcza z twardego rzemiosła, to już trzeba w świątecznem ubraniu, a jeden chodził po to do komisarza cyrkułowego, to ten go ofuknął i jeszcze zagroził, mówiąc: to nie wasza rzecz. Więc powiadają niektórzy, że jak będzie konstytucya, to kto się za konstytucyą nie podpisał, tego nie przypuszczą do żadnego wybierania, czy to na sejmy, czy na inne starszeństwa, a co byłoby niesłuszne, gdyż my za konstytucyą gotowi życie położyć, dlatego wszyscy chcemy podpisywać, kto umie pisać, a kto nie umie, to znakiem krzyża świętego. O co wysoką Delegacyą usilnie upraszamy. Co jeszcze powiadają: czy wiecie, co jest konstytucya? to my deklarujemy, że wiemy, jak nas ojcowie nauczyli, jak było za królów polskich, żeby niesprawiedliwie nie wojować, tylko swojego bronić; a który kraj chce się przyłączyć, to dobrze, a nie, to wolna droga; jeszcze żeby była pobożność, uczciwość i dla każdego człowieka ludzkość, tudzież wojsko polskie koniecznie. Jeszcze my tak myśleli: jak będzie konstytucya, żeby z respektem dla naszego cesarza trzymać się w sprzymierzeństwie z Napoleonem, nie oglądając się na Austryaka i Prusaka, dla ich niecnoty, co nasze kraje niespawiedliwie trzymają. Nie podpisujemy swych nazwisk dla niepewności, jak wysoka Delegacya naradza się, z sekretem czy bez sekretu; a jak będzie potrzeba, to Delegacya łatwo do nas trafi, a my na rozkaz możemy się stawić; przyjdzie jeden albo pięciu, a co powiedzą, tak jakby powiedziało pięciuset. Zatem deklarujemy dla miłości ojczyzny, widząc godne osoby, słuchać Delegacyi we wszystkiem, co rozkaże".

[1]) Spis ich znajduje się w protokółach delegacyi, które pomieszczamy w całości na końcu tego tomu w zbiorze dokumentów pod № III.

kałów, Delegacya oznajmiła: z uwagi, iż w zakres jej obowiązków wchodzi wszystko, co może wpłynąć na uspokojenie umysłów i że działalność jej wówczas tylko może być skuteczną, gdy Delegacya będzie organem pośredniczącym między ludnością i rządem, uznała za stosowne porobić niektóre uwagi co do osób uwięzionych, gdyż los tych ostatnich może mieć znaczny wpływ na obecny stan umysłów. Uwagi jej ze wszech miar są ciekawe i cechują one wybornie ówczesne usposobienie delegatów, oraz ich zręczną dyalektykę. Według nich bowiem ani jeden z uwięzionych nie był winnym, a jeżeli był winien, to tak nie wiele, że dotychczasowe zamknięcie go w cytadeli było dostateczną zupełnie karą.[1]) Żądali zakomunikowania tych uwag namiestnikowi, dodając, że w obecnych czasach łagodność ze strony rządu najlepiej wpłynie na uspokojenie umysłów. W końcu tego posiedzenia członkowie Delegacyi: Ksawery Szlenkier i Ignacy Piotrowski zdali sprawę ze swej misyi, jaką Delegacya na nich włożyła przed paru dniami. Z powodu choroby jenerała Paulucci udali się oni do Kotzebuego i prosili, by zechciał tegoż jeszcze dnia przedstawić namiestnikowi potrzebę złagodzenia przepisów, obowiązujących w cytadeli odnośnie do więźniów politycznych. Na skutek tego pułkownik Demoncal zawiadomił, że namiestnik rozkazał jenerałowi Jermołowowi, ażeby pozwolił odwiedzać więźniów nie tylko krewnym ale i znajomym bez ukazywania świadectw policyjnych o tożsamości osób, pod warunkiem atoli, że odwiedzający nie będą przychodzili tłumnie. Co się zaś tyczy kwestyi zachowywania się nieprzyzwoitego żołnierzy względem publiczności, jenerał Kotzebue oświadczył, że jakkolwiek w tym przedmiocie parokrotnie już wydawano rozkazy, i niezależnie od tego on sam osobiście zalecał oficerom, by ściśle ich przestrzegali, niemniej przeto, na skutek prośby Delegacyi, jeszcze raz przyrzekł o tem wspomnieć w rozkazie dziennym.

[1]) Uwagi powyższe Delegacyi znajdują się w jej protokółach i tam odsyłamy czytelnika po szczegóły.

Rezultatem tych wszystkich starań i zabiegów Delegacyi o ulżenie losu więźniom w cytadeli było to, że Gorczakow osobiście zajął się tą sprawą i zaraz nazajutrz kazał uwolnić Stanisława Szachowskiego, a w parę dni później jeszcze dziesięciu innych, między którymi znalazł się taki gorący i wytrawny agitator, jak Cielecki [1]). Tym więc sposobem było jeszcze w cytadeli tylko trzech: Karol Nowakowski, Narcyz Jankowski i Ludwik Balcer, z których pierwszy, jak to zobaczymy, miał być także wkrótce uwolniony, z dwóch zaś pozostałych po odwiedzeniu ich osobistem przez namiestnika, pierwszego odesłano do Kijowa a drugiego do Kronsztadu [2]). Uwolnienie tak znacznej liczby agitatorów miało wzmocnić Czerwieńców, którzy ani na chwilę nie przestali działać; teraz agitacya miała przybrać

---

[1]) Uwolniono d. 13 Marca 1861 r.: Józefa Turowskiego, Adama Trąbczyńskiego, Aleksandra Bącewicza, Andrzeja Sikorskiego, Antoniego Załuszewskiego, Leopolda Cieleckiego, Henryka Sikłowskiego, Adama Rzeszotarskiego, Ignacego Starzyńskiego i Konstantego Szyszkowskiego.

[2]) Prócz nich, pozostał także w cytadeli niejaki Władysław Krzyżanowski, aresztowany przez konstabli narodowych w d. 6 Marca. Bliższe jednak szczegóły powodów jego uwięzienia nie są nam znane. Według Jeziorańskiego (Pamiętnik I, 51), był to szpieg, „który wkradł się w zaufanie patryotów i gorętszej młodzieży i zaczął zawiązywać organizacyą rewolucyjną pod nazwą „Karbonarów“. Nazwiska przystępujących do niej podawał do wiadomości władzom moskiewskim. Po kilku dniach aresztu w ratuszu puszczono go na wolność, a w kilkanaście dni potem ujęła go znowu władza bezpieczeństwa za namawianie rzemieślników do wybuchu, na który to cel obiecywał im dostarczyć potrzebnej broni. Delegacya wymogła, że go oddano do sądu kryminalnego, lecz rozpoczęte przeciw niemu śledztwo wstrzymane zostało rozkazem ks. Gorczakowa. A gdy d. 8 Kwietnia (!?) więźniowie z cytadeli i aresztu uwolnieni zostali za staraniem Delegacyi, niegodziwca tego do ich liczby zaliczono i wypuszczono na wolność. Używała go później policya moskiewska do szpiegowania i wybadywania więźniów, zamykając go wraz z nimi w kaźniach cytadeli, a gdy i tam został odkryty, wysłano go do Kijowa“. Relacyi tej, widocznie mętnej, nie mieliśmy możności sprawdzić, to tylko pewna, że Krzyżanowski siedział jeszcze w Lipcu 1862 r. w cytadeli warszawskiej.

szersze rozmiary, gdyż partya rewolucyjna nie wierzyła w koncesye, które nazywała złudzeniem i chęcią oszukania narodu polskiego.

Zresztą wszystko się składało na to, by ogólne wzburzenie umysłów utrzymać, a nawet je podnieść. Właśnie w tej porze, d. 11 Marca, rozpoczęła swe posiedzenia w pałacu namiestnikowskim Komisya śledcza, ustanowiona zgodnie z danem miastu przyrzeczeniem przez Gorczakowa, dla zbadania wypadków d. 27 Lutego i postępowania jenerała Zabołockiego. Prezydującym w tej Komisyi był jenerał Liprandi, dowódca 2-go korpusu piechoty; członkami zaś: komendant placu Mielnikow, i dwaj Polacy: Wieczorkowski, prezes sądu kryminalnego i radca prawny Komisyi skarbu, oraz Kojsiewicz, obrońca przy senacie. Z góry było do przewidzenia, że Komisya stanowczo potępi Zabołockiego, gdyż rosyjscy jej członkowie patrzyli na całą sprawę oczami namiestnika, polscy zaś, do pewnego stopnia słusznie, chcieli, by morderca pięciu ludzi został ukarany. Najważniejszą rzeczą w całej tej nieszczęśliwej sprawie był ten fakt, że Zabołockij wyprowadził wojsko z koszar bez żadnego rozkazu i że bez rozkazu strzelał. Nie zapierał on się tego; otwarcie mówił i pisał: „nie miałem rozkazu na to, by wyprowadzić kompanią siódmą pułku Nizowskiego piechoty z koszar pałacu Prymasowskiego“. Pierwszy więc punkt samowoli Zabołockiego nie ulegał żadnej wątpliwości; tłomaczenie się jego rozdrażnieniem, nerwowym rozstrojem, szeregiem strasznych pogłosek, które jakoby miały do jego uszów dochodzić, nie zostało przez fakta potwierdzone [1]). Utrzymywał on, co potwierdzali dwaj jego adju-

[1]) Mikołaj Berg stara się także z tego punktu, że tak powiemy, psychologicznego, usprawiedliwić Zabołockiego. „Komisya, mówi on, widziała literę wypadku, ale nie widziała jego prawdziwego znaczenia. O względności dla człowieka, który w tę fatalną chwilę stracił władzę nad sobą, jak zresztą wszyscy, który był raniony (?) a ztąd wzburzony a co najważniejsza, przekonany, że działa prawidłowo, nie mogło być nawet mowy. Dla komisyi nie istniało ogólno-europejskie prawo, mówiące, że bywają niekiedy omamienia, które zmie-

tanci: podpułkownik Griszyn i kapitan Rotkirch, że „około poczty podjechał do kompanii kozak kubański, który powiedział to i to“. Otóż wezwany do komisyi Zawarow, który wówczas dowodził kozakami, zaprzeczył temu stanowczo. „Żadnego kozaka, mówił, jenerał nie mógł spotkać w pobliżu poczty, gdyż kozacy znajdowali się przed kościołem Bernardynów i na placu Zamkowym, w inne zaś miejsca on (Zawarow) ich nie posyłał“. Fakt ten należało wyjaśnić. Komisya poleciła więc Zawarowowi, ażeby ustawił na placu Zamkowym wszystkich kozaków, pomiędzy którymi Zabołockij miał wyszukać tego, który przy poczcie zjawił się z doniesieniem. Oczywiście Zabołockij posła tego nie znalazł.

Wieść o tem, bo wtedy nic przed argusowem okiem agitatorów ukryć się nie mogło, rozeszła się po mieście i wystawiając władzę na śmieszność, w żadnym razie nie mogła się przyczynić do uspokojenia umysłów. Komisya wlokła śledztwo; posiedzenia swe potem przeniosła do prywatnego mieszkania prezesa, gdzie więcej gawędzono niż robiono, aż w końcu d. 26 Maja, na kilka dni przed śmiercią Gorczakowa, gdy ten już o niczem nie wiedział, niewiadomo z czyjego rozkazu, została zniesioną, zapisawszy niepotrzebnie mnóstwo papieru (aż 329 arkuszy) [1]).

Wśród takich to faktów ludzie rozumniejsi, spokojniejsi z dręczącą niepewnością oczekiwali odpowiedzi na

---

niają wszystko, przedstawiają wypadki opacznie. Wystarczyło, że namiestnik i Warszawa była przekonana, że Zabołockij był winien, a zatem istotnie był on winien. Po cóż tu rozprawiać i powoływać się na mądre i tajemnicze procesy duszy ludzkiej!“ W rzeczy samej, w tej sprawie wyraźnej samowoli, niema wcale potrzeby powoływać się na tajemnicze procesy duszy ludzkiej.

Dodać tu wypada, że powszechnie zwano teraz w Warszawie Zabołockiego *duc d' Orgelbrand*, bo strzelał przed domem księgarza Orgelbranda, ztąd tytuł, jaki dawano wielkim wodzom za ich zwycięztwa.

[1]) Berg utrzymuje, że komisya nie była od tego, by zupełnie Zabołockiego od oskarżenia uwolnić, gdyby była znalazła jaki odpowiedni punkt oporu, n. p. jeżeliby było udowodnionem, że ludność

adres, która już powinna była nadejść, a która wcale nie nadchodziła. Wprawdzie głuche wieści obiegały po mieście o mających nastąpić reformach i koncesyach, w dziennikach zagranicznych pojawiła się nawet wiadomość, że wielki książe Konstanty ma przybyć do Warszawy w charakterze wicekróla, ale poczęto się lękać i słusznie, by ludność w razie surowej odpowiedzi na adres, ludność, ciągle minowana przez agitatorów, nie wywołała nowego zaburzenia, które teraz, przy rozgorączkowanym nastroju umysłów, Bóg wie, do jakich rezultatów mogło doprowadzić. W grupie Zamoyskiego, w gronie otaczających go Klemensowczyków, nie mniejsze były obawy. Zaglądali tam teraz często, do pałacyku na Nowym Świecie, liczni dygnitarze polscy ze świata sądowego i administracyjnego, którzy, w obec powszechnego wzburzenia umysłów, pragnęli wiedzieć, co też myśli pan Andrzej i jego stronnictwo i odpowiednio do tego samym się kierować. Zachodził tam dyrektor Komisyi skarbu, Łęski, prokurator naczelny senatu, Wołowski, zachodził Enoch i wielu innych. Zamoyski w ogólności czarno patrzał się na wypadki i ich przyszłość, nie wierzył w dobre skutki tych zaburzeń, które, niszcząc spokój publiczny, niszczyły zarazem program Klemensowczyków, tak mozolnie od lat dwudziestu blizko przeprowadzany, kosztem tylu wysileń i tylu ofiar. Nie wierzył w skuteczność rewolucyi czerwonej, której krwawe widmo ukazywało mu się od czasu do czasu na chmurnem niebie polskiem, jak duch Hamletowego ojca na krużgankach starego zamku duńskiego i przerażało go swą żądzą zburzenia istniejącego porządku społecznego. Zresztą nie wierzył on, by Polskę mogła wywalczyć rewolucya; pogrąży ona tylko kraj w większą niedolę; nie wierzył nakoniec rządowi rosyjskiemu. Przekonany był, że rząd nie

---

strzelała do wojska. Żołnierze jednak, którzy zeznawali, że strzelano do nich, nie byli wzywani do przysięgi. Co do nas, mniemamy, że Zabołockij gorzej by na tem wyszedł, gdyż pogłoska o strzelaniu do wojska przez ludność jest zupełnie fałszywą.

zrobi żadnych ustępstw, że przeciwnie w odpowiedzi na adres podwoi surowość, ucisk i gwałty. Jeżeli jednak tak się stanie, to cóż należy robić? Czy rzucić drogę opozycyi i pozwolić się dalej gnębić? Czy to wreszcie jest możliwe, by rozbujałe fale narodowego patryotyzmu ułożyły się nagle i ścięły mrozem ciszy sennej? Oczywiście tego niepodobna było przypuszczać; cóż więc robić, gdy odpowiedzi na adres albo nie będzie wcale, albo też taka, która do głębi obrazi naród? Zamoyski i Klemensowczycy postanowili na taki wypadek nie porzucać drogi opozycyi legalnej ale wytrwałej i niezachwianej niczem; naśladować w tym względzie Anglików XVII wieku, lub Wenecyan w czasach niedawnych; chcieli więc nie płacić podatków, chcieli, by wszyscy urzędnicy polscy jednocześnie podali się do dymisyi i t. p. Jakoż postanowienie to przyjęte zostało przez całe stronnictwo; dygnitarze polscy, którzy odwiedzali Zamoyskiego, gotowi byli w razie istotnej potrzeby podać się do uwolnienia. Wszyscy więc w niepokoju serca i umysłu oczekiwali na odpowiedź z Petersburga, odpowiedź, która pod wielu względami miała stanowić o tem, jaką drogą potoczą się koleje narodu.

Nakoniec odpowiedź ta przyszła do Warszawy. Cesarz jeszcze d. 8 Marca, a więc w wilią nabożeństw żałobnych za pięciu poległych, telegrafował do Gorczakowa, że jutro wieczorem wysyła odpowiedź przez adjutanta swego, barona Meyendorfa. Jakoż nazajutrz, dnia 9, donosił Aleksander depeszą, że Meyendorf został już wysłany z „urzędowym odpowiednim reskryptem“ i nakazywał namiestnikowi, ażeby po zakomunikowaniu tego reskryptu komu należy, ogłosił go zaraz w gazetach warszawskich, gdyż adres został wydrukowany we wszystkich dziennikach zagranicznych [1]). Meyendorf przyjechał do Warszawy we

[1]) Dosłownie depesza ta brzmi: „25 Lutego (9 Marca) Meyendorf wysłany został z mym listem i urzędowym odpowiednim reskryptem na podany adres. Po zakomunikowaniu go, komu należy, możesz go pan ogłosić w gazetach, gdyż adres wydrukowany został we wszystkich gazetach zagranicznych. Aleksander“.

Wtorek, d. 12 Marca, rano i w Petersburgu tak byli o niego niespokojni, że na rozkaz cesarza minister wojny Suchozanet telegrafował do Gorczakowa z zapytaniem: czy poseł przybył i czemu o tem namiestnik nie donosi?

Tegoż dnia w samo południe Gorczakow wezwał do Zamku arcybiskupa Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego, Leopolda Kronenberga i Ksawerego Szlenkiera, to jest tych samych, którzy adres podali. Do przybyłych wyszedł namiestnik i uwiadomił ich, że otrzymał odpowiedź na adres i tę odpowiedź zaraz odczytał. Była ona wystosowana do namiestnika w formie reskryptu i brzmiała, jak następuje:

„Książę Michale Dmitryewiczu. Przeczytałem petycyą, którą mi nadesłałeś. Powinienbym ją uważać za żadną i niebyłą; pewna bowiem liczba osób pod pozorem nieporządków, wywołanych na ulicy, przywłaszcza sobie samowolnie prawo potępiania wszelkich działań rządu. Chcę jednak widzieć w tem tylko uniesienie Poświęcam wszelkie starania moje ważnym reformom, jakich bieg czasu i rozwinięcie potrzeb w państwie mojem wymagają. Poddani moi Królestwa są przedmiotem równejże mojej troskliwości. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym. Dałem już im dowody, że pragnę, aby brali udział w dobrodziejstwach z ulepszeń użytecznych, istotnych, postępowych. Pozostaję przy tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo liczyć na to, że uczucia te znajdą uznanie i nie będą zwichnięte przez żądania niewczesne lub przesadzone, których nie mógłbym pogodzić z dobrem moich poddanych. Dopełnię wszystkich moich obowiązków. W żadnym razie nieporządkom faktycznym pobłażać nie będę. Na takim gruncie nic się nie buduje. Pragnienia, któreby na nim szukały oparcia, już tem samem z góry sameby się potępiły. Zniweczyłyby one wszelkie zaufanie i spotkałyby z mojej strony surowe zganienie, bo cofnęłyby kraj na drodze regularnego postępu, na której utrzymać go niezmiennem jest mojem życzeniem“.

Reskrypt ten na obecnych wywarł bardzo przykre wrażenie, które widocznem było na ich twarzach. Stali w głuchem milczeniu, sprawiając tą swoją postawą nie mały ambaras namiestnikowi, który nie wiedział, co ze sobą i z gośćmi swoimi zrobić. Pokłonił się i cofnął do swego gabinetu, do którego zaprosił Zamoyskiego, Szlenkiera i Kronenberga i zakomunikował im poufnie wiadomość „o łaskach, jakie cesarz udzielić raczył“, t. j., że ma być utworzona Rada Stanu, Rady municypalne, że ma nastąpić reforma wychowania publicznego i że obywatele, posiadający zaufanie, wezwani będą do naradzania się nad potrzebami kraju. Mówił, że wiadomości tych udziela konfidencyonalnie, że same reformy nie będą wcześniej jak za dwanaście dni ogłoszone; że trzeba więc, by o zamierzonych łaskach cesarskich starali się wezwani zawiadomić swych współobywateli drogą prywatną, gdyż to wpłynie zapewne na uspokojenie umysłów. Rozmowa przybrała charakter pogawędki, jakkolwiek Zamoyski ani na chwilę nie stracił swego sztywnego chłodu. Twierdził on, że o uspokojeniu umysłów mowy nawet być nie może, w obec odpowiedzi cesarskiej. Jej ton pogardliwy, wyrażenie „quelques individus“ (pewna liczba osób) [1]), kiedy właściwie w podpisywaniu adresu wziął udział cały naród, wzburzy jeszcze bardziej wszystkich. Zakłopotany Gorczakow starał się wytłómaczyć cesarza; twierdził, że słowa te były skutkiem konieczności zachowania powagi władzy, która jest nieprzyzwyczajona do krytyki swych rządów przez poddanych; zapewniał, że obietnice co do reform są z dobrą wiarą uczynione, że cesarz zamierza jak najszerzej przeprowadzić te reformy, ale wymaga, jako niezbędnego warunku, uspokojenia się ludności. Zamoyski zauważył, że po ogłoszeniu odpowiedzi cesarskiej, uspokojenie ludności

[1]) Przekład urzędowy, w ogóle dość niedokładny, francuzkie „quelques individus“ złagodził mocno przez wyrażenie „pewna liczba osób“. Właściwie w oryginale ton jest mocniejszy, obraźliwszy i należałoby przetłumaczyć „kilka, lub garść indywiduów“.

trudnem a może i niepodobnem będzie do osiągnięcia, radził więc, żeby namiestnik wstrzymał się z opublikowaniem reskryptu, a tymczasem żeby przesłał do Petersburga tysiące podpisów, pod adresem położonych, dla przekonania cesarza, że dokument ten nie jest wyrazem „kilku indywiduów“, ale całego narodu. Rady te zdawały się trafiać do przekonania Gorczakowa; uznał niewłaściwość słów cesarskich i przyobiecał, że reskryptu nie ogłosi.

Obietnicy tej jednak dotrzymać nie mógł i przez to postawił się w położeniu bardzo przykrem. Nazajutrz doniósł cesarzowi o odczytaniu pięciu notablom reskryptu, i prosił o pozwolenie wstrzymania się z drukiem jego choć na kilka dni. Żądanie to tłómaczył tem, że publiczność nie wie jeszcze o reformach zamierzonych, że zatem reskrypt sam mógłby wywrzeć wrażenie niekorzystne [1]). W odpowiedzi na to cesarz rozkazał krótką i stanowczą depeszą, d. 14 Marca, ażeby reskrypt jego natychmiast został opublikowany w dziennikach [2]). Nie było rady, trzeba było ustąpić wyraźnej woli cesarskiej i nie dotrzymać słowa, danego Zamoyskiemu i dwóm jego towarzyszom. Gorczakow więc reskrypt posłał do gazet, a cesarzowi telegrafował: „reskrypt drukuje się we wszystkich gazetach. Jeszcze wczoraj, po mej depeszy, postanowiłem go dziś wydrukować“. Cesarz, gdy otrzymał ten telegram, świadczący o słabości charakteru, usiłującej się wytłómaczyć i kłamiącej wyraźnie, gdyż namiestnik takiej decyzyi wczoraj po danem słowie deputatom polskim powziąć nie mógł, miał zawołać z gniewem:

[1]) Oto treść tej depeszy: „1 (13) Marca. Reskrypt został odczytany pięciu osobom, które podały petycyą i przyjęty był przez nie bez żadnych uwag. Na tem skończyła się ta sprawa. Proszę o pozwolenie niedrukowania reskryptu choć przez kilka dni. W obec tego, że publiczność nie zna jeszcze konfidencyonalnego uwiadomienia o przyszłych reformach, mógłby on w pierwszej chwili wywrzeć wrażenie niekorzystne, które potem byłoby trudno zatrzeć.

Ks. Gorczakow“.

[2]) „Żądam (trebuju), pisał cesarz, żeby reskrypt natychmiast był wydrukowany w gazetach“.

„te wykręty są opłakane“. (Ces tergiversation sont deplorables [1]).

Wrażenie, wywołane przez reskrypt, było istotnie takie, jakiego spodziewał się Zamoyski. Oburzenie było powszechne, mianowicie na owe słowa „garść indywiduów“. Reskrypt wydrukowany w gazetach przemazywano, rozdzierano, walano błotem i wyrzucano na ulicę. W Delegacyi, na posiedzeniu jej (dziewiątem z kolei) d. 13 Marca, gdy Szlenkier uwiadomił ją, po co był wzywany do Zamku, niezadowolenie, zwłaszcza wśród członków radykalnych, wybuchło głośno. Delegacya, wołali oni, nie ma teraz co robić, powinna się rozwiązać, bo mandat swój wpływania na uspokojenie umysłów przyjęła tylko do czasu otrzymania odpowiedzi od cesarza na adres. Mandat więc ten powinna teraz złożyć. Jakoż pod wpływem tych słów, spisano protokół swego rozwiązania i w protokóle tym dodano kilka życzeń, mających objaśniać „potrzeby narodu“. W życzeniach tych Delegacya twierdziła, że pierwszym istotnym warunkiem porządku jest powierzenie zarządu miastem i jego dochodami osobom wybranym z pośrodka obywateli bez różnicy wyznań i stanów; i że jak najprędsze rozporządzenie o dopełnieniu wyborów do przyszłej Rady municypalnej jest koniecznością w obecnem położeniu.

Wieczorem, jak zwykle, zeszli się wszyscy członkowie Delegacyi do resursy, do której w dniu tym napływ publiczności był większy niż kiedyindziej, i zadali sobie pytanie: co czynić należy w obec odpowiedzi cesarskiej? Jej ton pogardliwy, lekceważący najchłodniejszych nawet oburzał. Wyrażenie „garść indywiduów“ było na ustach wszystkich i wszyscy czuli potrzebę zaprotestowania przeciw tej, jak mówiono, obeldze. Zjawiło się także kilku członków

[1]) Bądź co bądź jednak, zarzut czyniony przez naszych pisarzy (zwłaszcza przez A. Gillera) Gorczakowowi, że nie dotrzymał słowa danego deputatom, w obec faktów powyższych, nie jest słuszny. Wyraźny rozkaz cesarski zmusił go do złamania słowa; wina namiestnika leży w tem tylko, że lekkomyślnie dał przyrzeczenie, którego nie wiedział, czy będzie w stanie dotrzymać.

Towarzystwa rolniczego, rozprawiano wiele, jeszcze więcej się spierano. Na rozwiązanie Delegacyi nikt się zgodzić nie chciał. Postanowiono jednak wysłać nazajutrz deputacyą do namiestnika z Zamoyskim na czele, któraby zdecydowała ostatecznie, czy Delegacya ma dalej istnieć czy nie, oraz rozstrzygnęła kwestyą odpowiedzi cesarskiej.

Jakoż na drugi dzień, 14 Marca, Zamoyski (któremu właśnie deputacya rzemieślników w dowód uznania ofiarowała tabakierkę Kilińskiego i pierścień księcia Józefa), oraz kilku innych obywateli udało się znowu do Gorczakowa dla wyrażenia swego ubolewania, że reskrypt cesarski, wbrew przyrzeczeniu danemu wczoraj, został ogłoszony, i że wywarł jak najgorsze na miasto wrażenie. Gorczakow tłómaczył się i, jak wiemy, zgodnie z prawdą, że otrzymał polecenie z Petersburga i reskrypt ogłosić musiał. W rozmowie był mocno podrażniony, miotał się, wybuchał groźbami, odrzucał z uporem wszelkie przedstawienia i o protestacyi przeciw wyrażeniu „garść indywiduów“, nawet wspomnieć sobie nie dał. Na uwagę Zamoyskiego, że adres podpisała nie garść indywiduów, ale kilkanaście tysięcy najwybitniejszych w kraju obywateli, które to podpisy, oprócz tych jakie już oddał poprzednio namiestnikowi, gotów jest zaraz złożyć, Gorczakow odrzekł, że na to nie pozwoli, że zbieranie nowych podpisów uważać będzie jako akt nieposłuszeństwa rządowi, jako bunt. W obec takiej postawy namiestnika, przypominającej najgorsze paskiewiczowskie czasy, delegaci uciekli się do radykalnego, jak sądzili, środka, którego używali w razach ostatecznych i zawsze z powodzeniem, to jest do groźby, że w mieście mogą wybuchnąć wskutek tego wszystkiego nowe zaburzenia, których następstwa będą straszne i nieobliczone. Ale na wielkie zdziwienie delegatów, Gorczakow słowa te przyjął obojętnie i odparł szorstko, że się tego nie lęka, że ma wojsko, które potrafi porządek przywrócić [1]). Tę groźną, Jowiszową

[1]) Do tej nagłej zmiany w usposobieniu Gorczakowa bezwątpienia przyczyniła się bardzo wiele znana nam już depesza cesarska

postawę zmienił jednak wkrótce chwiejny i w gruncie serca bardzo dobry i miękki Gorczakow. Nazajutrz bowiem, dnia 15 Marca, zjawił się znowu w Zamku hr. Zamoyski i przyniósł ze sobą kilkanaście tysięcy podpisów, będących wymownym dowodem, że nie „garść indywiduów“ podała adres i wymowniejszym jeszcze protestem przeciw obraźliwemu wyrażeniu cesarskiemu. Między tymi podpisami znajdowały się imiona wszystkich prawie Polaków, bawiących w tym czasie w Paryżu, imiona nawet wielu emigrantów, którzy nadesłali na ręce Zamoyskiego swe przystąpienie do adresu. Brakowało tam tylko jednego podpisu, Polaka, będącego także w Paryżu, hr. Uruskiego, b. marszałka szlachty gubernii warszawskiej, za co go też publicznie piętnowano mianem zdrajcy, jak gdyby zdradą było odmówienie swego podpisu na dokumencie tak nierozumnym, tak niejasnym, jakim był adres Stawiskiego.

Gorczakow z widocznym niepokojem i wahaniem się przyjął podpisy, przytknął je do swych maleńkich ocząt

z d. 14 Marca, nakazująca tonem surowym opublikowanie reskryptu; prócz tego jednak odbywała się w tych dniach jakaś akcya, której szczegóły i motywa są do tej chwili tajemnicą, a która mogła rozdrażnić namiestnika, albo zmusić go do groźnej postawy. Ślad tej akcyi mamy w depeszy z d. 13 Marca (wydrukowanej w zbiorze korespondencyi telegraficznej między Aleksandrem II-gim i Gorczakowem w czasopiśmie „Ruskaja Starina“ z r. 1882), od jenerała Giecewicza, który wówczas był w Warszawie i należał do wybitniejszych osobistości otaczających namiestnika, do hr. Adlerberga I-go, tej treści: „proszę natychmiast wysłać mi drogą telegraficzną rozkaz pojechania do Petersburga dla wyjaśnienia Najjaśniejszemu panu sprawy wielkiej dla państwa wagi (gosudarstwiennoj ważnosti)“. Działo się to zapewne bez wiedzy Gorczakowa, gdyż inaczej byłby on sam od siebie posłał do Petersburga Giecewicza. Rozkaz, zgodny z domaganiem się tego ostatniego, nadszedł prawdopodobnie zaraz i wówczas dopiero namiestnik o wszystkiem się dowiedział, gdyż d. 15 Marca, t. j. nazajutrz po ostrem przyjęciu Zamoyskiego i deputacyi, donosi ministrowi wojny, że „Giecewicz wyjechał wczoraj wieczorem“. Po co jednak pojechał i z czem, niewiadomo. Stanął on w Petersburgu d. 18 Marca rano. Cesarz o nim pisze do Gorczakowa: „listy pańskie i osobiste objaśnienia Giecewicza utwierdzają mnie jeszcze bardziej w moich przekonaniach“. To i wszystko. Ce-

i przeglądał ciekawie z wyciągniętą jak u żórawia szyją. Zamoyski żądał pokwitowania, że podpisy namiestnikowi wręczył, ale ten zrazu stanowczo, jak się zdawało, odmówił. Jego słabość charakteru zapewne taki wynalazła punkt wyjścia z dość śliskiego i przykrego, według jego mniemania, położenia. Nie chciał bowiem odmawiać Zamoyskiemu przyjęcia podpisów, a z drugiej strony za nic w świecie nie byłby ich teraz posłał do Petersburga. Wręczony mu więc dokument przyjął z ukrytym zamiarem rzucenia go do kosza i dlatego pokwitowania dać nie chciał. Po długich nakoniec sporach, gdy już Zamoyski zamierzał wyjść i zażądał zwrotu podpisów, namiestnik uległ i żądane pokwitowanie udzielił. Podpisy te jednak nigdy do Petersburga nie poszły i cesarz o nich nie wiedział wcale.

Dzięki więc w części swej słabości charakteru, w części pragnieniu łagodzenia konfliktu między rządem i rządzonymi, nawet taki uczciwy człowiek, jak Gorczakow, zmuszony był kłamać i oszukiwać. Na tej drodze szedł coraz

sarz d. 20 Marca odesłał z powrotem Giecewicza do Warszawy, „z listem, którego treść jest mu nieznana i na który zwracam pańską (t. j. namiestnika) uwagę“, pisze Aleksander. Giecewicz, którego Gorczakow, jak się dowiadujemy z depeszy z d. 24 Marca, chciał nominować na jednę z posad po Muchanowie, przybył do Warszawy tegoż dnia wieczorem, zatrzymany przez 26 godzin przeprawą przez Bug pod Janowem Podlaskim. Taką jest tajemnicza historya Giecewicza. Zdaje się, że podróż jego przyczyniła się także do dymisyi Muchanowa, jaka wkrótce potem nastąpiła, gdyż Giecewicz objął po upadłym wielkorządcy dyrektorstwo w Komisyi spraw wewnętrznych. Prócz tego odbywała się jeszcze inna akcya, której ślad znajdujemy we wzmiankowanych wyżej depeszech, ale której bliższe szczegóły całkiem są nam nieznane i pozostaną takimi dopóty, dopóki archiwa kancelaryi namiestnika w Królestwie nie będą zbadane. W depeszy z d. 15 Marca cesarz między innemi pisze co następuje: „na przemarsz (peredwiżenie) wojsk, zgadzam się“. Jaki to był przemarsz, nie wiemy. Do Królestwa szły znaczne posiłki, jakeśmy to we właściwem miejscu wspomnieli i czoła tych posiłków już się ukazywały w granicach kraju, wlokąc się z powodu roztopów i wezbrania rzek bardzo wolno. Ale to stało się nie z inicyatywy Gorczakowa, lecz samego cesarza. Jakież więc przemarsze proponował namiestnik i dlaczego?

dalej, bałamucąc siebie, Polaków i rząd, choć bezwątpienia robił tak w najlepszej woli. Już nazajutrz po ogłoszeniu reskryptu cesarskiego, dnia 15 Marca, niczem do tego nie zmuszony, telegrafował do Petersburga, że reskrypt ten na ludzi umiarkowanych wywarł dobre wrażenie, że starają się oni rozszerzać o nim uspakajające zdania. D. 16 Marca powtarza to samo: „umiarkowani nie przestają oddziaływać na umysły i można mieć nadzieję powodzenia“. Cesarz oczywiście rad był temu i pisał: „cieszę się, że umiarkowani nie przestają oddziaływać na umysły“. Tymczasem wszystko to było kłamstwem, którem chciał Gorczakow może własne, a może Petersburga zatumanić oczy. Wiemy dobrze, jakie oburzenie w ogólności we wszystkich sferach społecznych wywarła odpowiedź cesarska i nie było może w Polsce człowieka, który się nią nie czuł obrażony. W obec tego zapewniania cesarza, że reskrypt sprawił dobre wrażenie, było najoczywistszem kłamstwem, niczem nie dającem się wytłómaczyć, chyba jedną tylko słabością charakteru namiestnika. Oburzenie to, widzieliśmy, znalazło swój wyraz w chęci rozwiązania się Delegacyi obywatelskiej, która teraz nie mogła ręczyć za spokój w mieście, w ogólnem wreszcie wrzeniu umysłów, jakie się spostrzegać dało.

Delegacya jednak nie rozwiązała się, owszem po jednodniowej przerwie, d. 15 Marca, rozpoczęła znowu swoje posiedzenia, oznajmiając w protokóle, że czyni to na skutek „ogólnego objawu opinii publicznej“. Dlatego też „z powodu silnego wzburzenia umysłów, jakie obecnie na nowo się objawiło, Delegacya uważa za konieczne, aby zapowiedziane reformy jak najprędzej ogłoszonemi były i w wykonanie wprowadzone zostały. Delegacya uprasza jenerała Paulucci, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. ks. namiestnika ponieść raczył“. Napróżno Paulucci zaręczał, że reformy w jak najkrótszym czasie będą wprowadzone, że zatem niema potrzeby przypominać o tem namiestnikowi; musiał ustąpić i pojechał do Zamku.

Tymczasem w rzeczy samej reformy te nie nadcho-

dziły i nic nie zdawało się zapowiadać ich prędkiego urzeczywistnienia. W Petersburgu, przy ociężałym biegu maszyny rządowej, przy przyjętych sposobach prowadzenia wszelkich spraw państwowych, rzecz sama przewlekała się długo, rozkładano ją może na miesiące, a tymczasem w Warszawie agitacya się wzmagała, burza pełna gromów huczała już blizko. Przyczyniło się do tego bardzo wiele wystąpienie na widownią nowej osoby, która całą sprawę reform skomplikowała niezwykle i ogłoszenie ich przez to opóźniła.

Osobistością tą był margrabia Wielopolski. Zostawiliśmy go, gdy po nieudanych usiłowaniach przeprowadzenia swego projektu adresu do cesarza, wyjechał z Warszawy z zamiarem, głośno wypowiadanym, nie mięszania się do niczego [1]). Zdaje się jednak, że byli tacy w Warszawie, którzy tu za niego i dla niego działali, a mianowicie wspomniany już tylokrotnie Enoch.

Dnia 3 Marca bowiem Gorczakow zwołał do siebie,

[1]) Są pewne, acz bardzo niedokładne ślady a raczej podejrzenia, że margrabia wcale nie wyjeżdżał z Warszawy. K. Gregorowicz w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861, 62 i 63 r." napomyka o tem, wprawdzie nieco niejasno, ale daleko większe ma pod tym względem znaczenie zestawienie dat, które podaje w swem dziele Lisicki („Le marquis". II, 141 i 157). Według niego margrabia wyjechał z Warszawy dnia 2 Marca („le surlendemain" — na trzeci dzień po podpisywaniu adresu, a ten podpisywano d. 28 Lutego), który to dzień przypadł w r. 1861 w Sobotę, udając się do Chrobrza. W owe czasy, przy braku kolei, podróż taka przy najlepszych warunkach musiała trwać najmniej 30 godzin. Rada u namiestnika, na której zdecydowano powołać do rządu Wielopolskiego i Enoch otrzymał upoważnienie wezwania go do Warszawy, odbyła się, zawsze według Lisickiego (II. 156), d. 3 Marca, t. j. w Niedzielę. Wezwanie to margrabia otrzymał d. 5 Marca, a d. 6, we Środę już był w Warszawie. Takie jest zestawienie dat. Przypuścićby tu należało niezmierną, prawie niepodobną fizycznie szybkość w działaniu i w ruchach, gwałtowne przebieganie drogi liczącej przeszło 30 mil, z których część wlokła się po słynnych piaskach pińczowskich, po roztopach i błotach wiosennych. Podejrzywać więc można, że albo Lisicki myli się co do dat, albo margrabia wcale nie wyjeżdżał z Warszawy.

do Zamku, radę, złożoną z kilku osób, między którymi znajdował się Muchanow i Enoch [1]). Jeden z wojskowych wy-

[1]) Lisicki („Le marquis". II, 156) utrzymuje, że rada ta była zwołana na skutek t. z. *memoryału Enocha*. Historya tego memoryału, podana naprzód i jedynie przez Lisickiego, jest następująca: w chwili, gdy ciała poległych zwożono do hotelu Europejskiego, gdy z resursy kupieckiej rozgorączkowana deputacya mieszczańska wybierała się do Zamku, a w pałacu Zamoyskich debatowano nad adresem, t. j. d. 27 Lutego wieczorem, Enoch, nie radząc się nikogo, z nikim nie rozprawiając, postanowił rozpocząć akcyą na własną rękę. W tym celu przygotował memoryał, w którym, odmalowawszy stan kraju, położył nacisk na potrzebę reform i reformy te zawarł: w przywróceniu Rady stanu, rad miejskich i prowincyonalnych, zniesieniu Komisyi kodyfikacyjnej, reformie wychowania publicznego i usunięciu Muchanowa. Memoryał we Czwartek dnia 28 Lutego był gotów, następnego dnia przepisany i d. 2 Marca Gorczakowowi podany. Wskutek tego memoryału namiestnik miał uznać potrzebę reform i wysłał Karnickiego do Petersburga. Tak opowiada Lisicki i sam memoryał w całości, między dokumentami, dołączonymi do swego dzieła polskiego o Wielopolskim, wydrukował (II, 39). Pismo to, dotąd całkiem nieznane i nie przeczuwane nawet przez nikogo, zrobiło na czytelnikach wielkie wrażenie swym rozumem, bystrością poglądów i świetnością formy. Jednem słowem Enoch urósł nagle do wyżyn niepospolitego polityka i pisarza, do czego zdaje się nigdy nie żywił pretensyi, a nadewszystko począł uchodzić za jedynego i wyłącznego inicyatora reform, które ostatecznie wyjednał Wielopolski.

Tymczasem tego samego roku, w którym ukazało się dzieło Lisickiego, wyszła maleńka broszurka, wydana w Dreznie p. t. „Suum cuique. Kilka słów z powodu niektórych ustępów dzieła p. t. Aleksander Wielopolski". W książce tej, pióra Karnickiego, nie mówiąc nic o samym memoryale, autor zaprzecza stanowczo, by inicyatywa reform wyszła od Enocha a ich wyjednania dokonał Wielopolski. Przedstawiwszy rzecz we właściwem świetle, może za mało mówi o namiestniku, od którego właściwie i jedynie wyszedł pomysł reform, a za wiele sobie przypisuje. Pominąwszy tę niedokładność, którą włożyć należy na karb słabości ludzkiej, relacya ta jest ze wszech miar dokumentem wiarogodnym i ściśle historycznym. Zostawiając jednak na boku kwestyą memoryału Enocha, Karnicki nie podał go wcale w wątpliwość i Enoch był ciągle tem, czem go zrobił Lisicki, to jest człowiekiem wielkiego rozumu i śmiałej inicyatywy. Nawet W. Spasowicz w swem znakomitem zkądinąd dziele p. t. „Żizń i polityka markiza Wielopolskago" (Petersburg 1882), nie wątpiąc o autentyczności memoryału, stara się przekonać czytelnika, że autorem

soko postawionych, zdaje się Kotzebue, który przypatrywał się wszystkiemu pilnie, któremu nie podobał się sposób

jego jest Wielopolski (p. 173). Sam Enoch, lubo żył jeszcze i mieszkał w Paryżu, na uwagi Karnickiego nic nie odpowiedział, choć, jak zapewnia relacya, umieszczona na końcu tego dzieła (Dokumenta Nr. 1), nosił się z myślą odpowiedzi; ale zamiary te przerwała śmierć Karnickiego, i „Enoch, uważając, że prowadzenie polemiki z przeciwnikiem, któremu śmierć dopiero co usta zamknęła, byłoby niewłaściwem, odłożył urzeczywistnienie zamiaru swego na później".

Tak stały rzeczy do r. 1882, w którym ukazało się w Krakowie dzieło p. t. „Porozbiorowe aspiracye polityczne narodu polskiego". W dziele tem (edycya druga, str. 245) autor, pan Stanisław Z., pierwszy podał memoryał w wątpliwość, nazywając go poprostu „mistyfikacyą lub blagą". „Kto bowiem, pisze dalej, w d. 2 Marca byłby umiał zaprojektować reformy, nie odbiegające ani na jotę, ani *in plus* ani *in minus* od tego, co 28 Marca w Petersburgu postanowiono, ten byłby musiał być prorokiem". Twierdzi więc stanowczo, że „w d. 2 Marca Enoch żadnego memoryału nie był w stanie napisać, nie napisał i namiestnikowi nie podał. Żyjący do dziś Kretkowski (obecnie notaryusz w Warszawie) opowiada *à qui veut l'entendre,* że gdy, wróciwszy z Petersburga w końcu marca, przywiózł wiadomość o tem, co na wzmiankowanej radzie ministrów w d. 25 zostało zdecydowanem, Enoch, któremu o zakresie udzielonych reform zdał sprawę, rzekł doń: „wypada, iżby w aktach został ślad, że inicyatywa tych reform wyszła od nas, urzędników polskich; zredaguj więc odpowiedni memoryał" — że wskutek tego zlecenia on (Kretkowski) przygotował redakcyą tego właśnie pisma, które Lisicki wydrukował. Enoch, uznawszy je za odpowiednie, położył na niem datę 2 marca i swój podpis, poczem złożył je do akt".

Przeciw tym twierdzeniom wystąpił w „Czasie" krakowskim niejaki W. Dołęga, pod którym to pseudonimem należy przypuszczać, że ukrywa się sam Kretkowski. „...Wymyślony frazes Enocha, pisze Dołęga, nigdy nie był i nie mógł być wyrzeczonym, gdyż Enoch, przysławszy po Kretkowskiego d. 27 Lutego wieczorem i rozmówiwszy się z nim co do zasad memoryału, polecił mu wygotować go; że redakcya była gotową nazajutrz wieczór, przez Enocha przyjętą bez żadnej zmiany, następnie oddaną do przepisania i d. 2 marca przez niego podpisaną oraz księciu namiestnikowi przedstawioną. A zatem... pozostaje jedynie fakt, że on (Kretkowski), a nie Enoch był redaktorem memoryału, z czego zresztą i sam Enoch żadnej tajemnicy nie robił". Nie poprzestając na tem, gdy się w r. 1883 ukazała druga edycya „Porozbiorowych aspiracyi", jeszcze raz tenże sam W. Dołęga jak najuroczyściej zaprotestował przeciw wnioskom

postępowania, przyjęty przez namiestnika, który wprost chciał, ażeby ruch stłumiono siłą i przywrócono surowe rządy militarne, pierwszy przemówił: „mości książę, rzekł, przedewszystkiem trzeba usunąć ztąd dwie osoby, mnie i pana Muchanowa“ (mon prince, tout d'abord il faut

autora co do memoryału Enocha. „Z najlepszego źródła, pisał, i z zupełną świadomością rzeczy mogę zapewnić, że memoryał przez Kretkowskiego z polecenia Enocha napisany, był przez tego ostatniego namiestnikowi Królestwa w d. 2 marca 1861 rzeczywiście podanym“.

Te uroczyste afirmacye, jakby na potwierdzenie starej prawdy, że nie wszystkiemu trzeba wierzyć, co jest wydrukowane, znajdują zaprzeczenie w relacyi rękopiśmiennej, skreślonej ręką tegoż, jak się zdaje, W. Dołęgi, którą na końcu tego dzieła umieszczamy w całości. Według niej, memoryał nie powstał d. 2 Marca, jak poprzednio w „Czasie“ autor utrzymywał, ale dopiero d. 15 Marca („jeżeli się nie mylę, w Piątek, na dziesięć dni przed rozpoczęciem Wielkiego Tygodnia“), że celem jego było rozszerzenie reform, jakie wyjednywał Karnicki. Twierdzenie to tak oczywiście jest fałszywem, że ktokolwiek zna choć trochę historyą tych czasów, przyzna nam słuszność. Całem rozszerzeniem reform w memoryale było żądanie, by na czele wychowania publicznego stał Polak i katolik, ale w tej porze, d. 15 Marca, i to już nie było nowością, gdyż Wielopolski od tygodnia był w Warszawie i prowadził rokowania z namiestnikiem, a jego żądania o wiele przekraczały granice memoryału.

W obec tego cała ta sprawa z memoryałem Enocha wygląda istotnie na „mistyfikacyą i blagę“. Skoro nie mógł powstać on dnia 2 Marca, to zupełnie niepodobna sobie wytłómaczyć, po co i na co pisano go d. 15 Marca? Jeżeli jednak memoryał w rzeczy samej był napisany nie dlatego tylko, „by ślad w aktach pozostał, że inicyatywa reform wyszła od urzędników polskich“, jeżeli był rzeczywiście podany namiestnikowi, to chyba tylko w tym celu, by agitującej się właśnie w tej porze intrydze przeciw Muchanowowi dodać siły. Zdanie o konieczności postawienia na czele wychowania publicznego Polaka jest wyraźnie wymierzone przeciw „znienawidzonemu Wezyrowi“. Szło więc o to, by dokumentem wyrozumowanym, napisanym przepyszną francuzczyzną, zachęcić Gorczakowa do zrzucenia jarzma Muchanowa. Tem da się tylko wytłómaczyć powstanie memoryału d. 15 Marca.

Takim jest przebieg tej do dziś dnia niejasnej i zagmatwanej historyi. Sam memoryał, jakeśmy to już zaznaczyli, można czytać w dziele Lisickiego: „Aleksander Wielopolski“, II, 39 i nast., gdzie ciekawych odsyłamy.

renvoyer d'ici deux personnes: moi et monsieur Muchanow). Znaczyło to, że tam, gdzie ma być radzone o ustępstwach dla Polaków, oni, jako dobrzy Rosyanie, znajdować się nie powinni, gdyż ustępstwa te szkodzą Rosyi. Ale namiestnik inne miał poglądy, kazał tym gorliwym Rosyanom (Kotzebue był Niemiec) pozostać i wzięto pod obrady kwestyą reform. Zgodzono się na to, że koniecznie trzeba utworzyć osobną Komisyą wyznań i oświecenia publicznego i że na jej czele winien stanąć Polak. Gorczakow jednakże wątpił w możność doprowadzenia tego projektu do skutku, nie dlatego, by on był temu przeciwny, lub żeby w Petersburgu się opierano, ale że w obecnych okolicznościach, przy rozdrażnieniu, jakie panuje przeciw władzy, trudno będzie wynaleść człowieka, któryby się chciał podjąć urzędu, ofiarowanego mu przez Rosyą i mającego na celu ostateczną pacyfikacyą kraju. W odpowiedzi na to Enoch twierdził, że tacy ludzie się znajdą, i wymienił Tomasza hr. Potockiego i Aleksandra margrabiego Wielopolskiego. Przedstawiwszy wartość pierwszego, zaznaczywszy jednak, że z powodu kalectwa i opłakanego swego zdrowia jest prawie niemożliwy, główny i silny nacisk położył na rozum wysoki, inteligencyą niezwykłą i odwagę osobistą ordynata pińczowskiego. Znał go dobrze, przepędził z nim parę sezonów u wód Maryenbadzkich, słyszał nieraz z jego ust słowa, że Polsce przedewszystkiem potrzeba innego wychowania publicznego. Bądź co bądź Enoch gorąco i w barwach jasnych i przyjaźnych mówił o margrabi namiestnikowi. Opowiedział mu całą przeszłość tego magnata, począwszy od misyi londyńskiej aż po czasy ostatnie. Przesłał do Zamku egzemplarz „Listu szlachcica polskiego do ks. Metternicha“ i tłómaczenie, przez siebie dokonane, ustępów odnoszących się do tej broszury z „Biblioteki ordynacyi Myszkowskich“. W umyśle Gorczakowa nagle postać margrabiego zarysowała się jako port zbawczy, jako dąb niewzruszony, o którego konary rozbić się muszą wszelkie burze i wszelkie zawieje. To, co dotąd wiedział o Wielopolskim, że jest bardzo uczony i bardzo ambitny, że nie

cieszy się wielką popularnością i że go się wszyscy potrosze boją, przyczyniło się zapewne nie mało do tego, że ostatecznie zdecydował się na powołanie prostego szlachcica wiejskiego, który nie zajmował w hierarchii urzędniczej żadnego stanowiska, do objęcia wysokiej władzy. Upoważnił więc Enocha do wybadania margrabiego, czyby nie był skłonny przyjąć urzędu dyrektora głównego w mającej powstać Komisyi wyznań i oświecenia publicznego [1]).

Jakoż Enoch wysłał uwiadomienie odpowiednie do Wielopolskiego, który je otrzymał d. 5 Marca, wraz z zaproszeniem przybycia do Warszawy, w którem korespondent mówił, że czyni to na skutek wyraźnej woli namiestnika. Margrabia natychmiast wyjechał do Warszawy, gdzie stanął nazajutrz, d. 6 Marca, i oczywiście najprzód zobaczył się z Enochem. Tegoż samego jeszcze dnia Enoch zawiózł margrabiego do Zamku, do namiestnika, który się go zapytał, czyby nie przyjął stanowiska dyrektora mającej

[1]) A. Giller, w swej „Historyi powstania narodu polskiego“ (II, 25), powtarza pogłoskę, obiegającą wówczas po kraju, że do wyniesienia Wielopolskiego miał się przyczynić król pruski, z którym margrabia pozostawał podobno w korespondencyi i któremu po wypadkach lutowych pisał o reformach, jakie były potrzebne. List ten miał być powodem wezwania Wielopolskiego do urzędowania. Prócz tego w zbiorach naszych posiadamy krótką relacyą pewnego (nieznanego nam zresztą z imienia) Włocha, który był w ścisłych stosunkach z Ignatiewem, niegdyś posłem rosyjskim w Konstantynopolu. Włoch ów miał z tym ostatnim o sprawach politycznych częste rozmowy i po powrocie do domu skrzętnie je zawsze notował. Otóż między innemi Ignatiew miał oświadczyć, że do wyniesienia Wielopolskiego przyczynił się głównie król pruski. Monarcha ten bowiem, przewidując prawdopodobieństwo koniecznych ustępstw dla Polski, z którą sympatyzowała Francya, podsunąć miał Rosyi myśl, dotrzymania tylko w części zobowiązań, jakoby na kongresie paryzkim zaciągniętych i na pertraktacye w tym kierunku radził użyć Wielopolskiego. Z tego wszystkiego da się tylko taki wyciągnąć wniosek, że ówczesny rząd pruski brał udział w nominacyi Wielopolskiego; ponieważ jednak kwestya ta dotąd nie jest należycie wyjaśnioną i długo nią zapewne nie będzie, więc trzymamy się relacyi Lisickiego, który o królu pruskim wcale nie wspomina („La marquis“, II, 156).

się utworzyć Komisyi wyznań i oświecenia publicznego. Wielopolski objawił chęć służenia krajowi, ale pod pewnymi warunkami W ogóle zachowanie się jego, jego postać olbrzymia, olimpijskiego Jowisza twarz, jego mowa pełna niewzruszonej logiki, barwna, niepozbawiona sarkazmu i ironii, a przytem pewnego rodzaju poezyi, wygłaszanej zawsze w przepysznej francuzczyznie, wywarła silne wrażenie na Gorczakowa. Nazywał go „mężem stanu w całem znaczeniu tego słowa“ (l'homme d'êtat par excellence). Pertraktacye toczyły się dość długo, a dla wygodniejszego i szybszego ich prowadzenia margrabia zamieszkał stale w Zamku, i powiadają, że stosunek swój z namiestnikiem przywiódł do takiej zażyłości, że przyjmował go w szlafroku i pantoflach.

Bądź co bądź sytuacya Wielopolskiego była wyjątkowa i ze zwykłą sobie energią i rozumem postanowił on z niej wyciągnąć wszystkie możliwe korzyści. Wszak nie on przyszedł do rządu, ale sam rząd go wezwał; nie on prosił się o stanowisko, ale mu je ofiarowano z wyraźną obawą, czy przyjmie, i z gotowością zgodzenia się jeżeli nie na wszystkie, to przynajmniej na pewną część warunków, jakie kładł. Powtarzamy, sytuacya była bardzo korzystna, jedyna w swoim rodzaju; to też Wielopolski rozumiał to dobrze, zachowywał się chłodno i dumnie, nie narzucał się, nie kłaniał, ale brał się do rzeczy śmiało i stanowczo. Wszystko to musiało oddziaływać na miękki umysł chorego, steranego życiem starca, jakim był Gorczakow. Warunki, jakie stawiał margrabia, były dla rządu rosyjskiego dość ciężkie i wyraźnie mówiły nie już o Statucie organicznym, na którym się opierał Karnicki w Petersburgu, ale o konstytucyi 1815 r. Domagał on się senatu dożywotniego z władzą prawodawczą i prawem inicyatywy; przywrócenia nazwy ministeryum dla wydziału wyznań i oświecenia publicznego; założenia uniwersytetu z pięciu fakultetami; przywrócenia języka polskiego jako urzędowego w kraju, a używania francuzkiego w stosunkach z władzami w Petersburgu; sejmików prowincyonalnych

z prawem petycyi do senatu; sądu najwyższego w miejsce dziewiątego i dziesiątego departamentu senatu; zaprowadzenia rady stanu w miejsce ogólnego zebrania tychże departamentów senatu; oddzielenia zarządu komunikacyi lądowych i wodnych od władzy centralnej w Petersburgu; zniesienia Komisyi kodyfikacyjnej w Petersburgu; zniesienia urzędu marszałków szlachty; usunięcia sądów wyjątkowych; uzupełnienia kodeksu kryminalnego przepisami, zabezpieczającymi porządek publiczny; oczynszowania włościan z urzędu; równouprawnienia żydów; rady municypalnej w Warszawie i nakoniec rozwiązania Towarzystwa rolniczego, a natomiast ustanowienia Komisyi rolniczych. Wszystkie te żądania były do pewnego stopnia powtórzeniem karty konstytucyjnej z r. 1815, prócz armii, króla koronującego się w Warszawie i sejmu.

Oczywiście na te warunki żaden namiestnik cesarski w Królestwie zgodzićby się nie chciał i nie mógł w ówczesnem położeniu rzeczy. Rząd istotnie pragnął zrobić coś dla Polski, której skargi od tylu lat rozbrzmiewały po Europie, dochodziły do Rosyi i budziły nawet w Rosyanach współczucie dla tego kraju nieszczęśliwego, tak bezlitośnie gnębionego. O skargach tych rząd wiedział, a choć nie wątpił, że są przesadzone, przecież je odczuwał dotkliwie. Ich ciągłość, podobnie jak kropla wody, spadając nieustannie na kamień, wyżłabia go w końcu, tak i tu wywarła swój skutek. Z drugiej strony, dawna tradycya mikołajowska rządzenia Polską, nieufność do Polaków, stan zapalny umysłów, jaki teraz panował, wprawiał rząd w wahanie: czy zgnieść budzącą się hydrę rewolucyi siłą wojskową? czy położyć jej tamę za pomocą koncesyi? Widzieliśmy, że w końcu, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, dzięki uczciwej inicyatywie namiestnika, dzięki temu wreszcie, że rozpoczynająca się właśnie reforma stosunków włościańskich w Rosyi, wyczerpując w danej chwili wszystkie siły państwowe, kazała jej pod każdym innym względem zachować spokój — jednem słowem, dzięki powyższym okolicznościom, przeważyło drugie zdanie i postanowiono Pol-

skę uspokoić szeregiem reform w administracyi krajowej. Ale od tego rodzaju reform do przywrócenia karty konstytucyjnej z r. 1815 jeszcze było daleko i Gorczakow zgodzić się na to nie mógł, Wielopolski znów ustąpić nie chciał i była chwila, że układy znajdowały się w stadyum zerwania. Namiestnik, przyznając potrzebę autonomii administracyjnej dla Królestwa, przeciwny był wszystkiemu, co tchnęło odrębnością polityczną. A taką odrębność nadawałby krajowi senat z władzą prawodawczą, sejmiki prowincyonalne, tytuł ministra. Ale ponieważ z obu stron była gorąca chęć doprowadzenia układów tych do końca, ze strony Gorczakowa dlatego, że widział w nich środek uspokojenia kraju, któremu szczerze życzył jak najlepiej; ze strony Wielopolskiego dlatego, że wyprowadzały one kraj z toni, z niewoli wojskowej, dawały mu podstawę do rozwoju narodowego, że wreszcie osobista jego duma i pycha była tem połechtana, ambicya zadowolona — więc w końcu musiano się porozumieć. Mimo to walka była długa i uparta. Wielopolski ustępował, ale nie bez silnego oporu, nie bez użycia ostatnich rezerw swego umysłu, zawsze pełnego argumentów. Ilekroć na jakim punkcie przyszło nakoniec do porozumienia i ugody, tylekroć z otoczenia Gorczakowa jenerałowie rosyjscy, którzy teraz jak prawdziwi dworacy szli za zdaniem namiestnika, zacierali ręce z radości i mówili o Wielopolskim do niewtajemniczonych w bieg sprawy: „dzięki Bogu zgodził się, ale powiedział, że ani na włos nie odstąpi od swej zasady, t. j. że Polska powinna otrzymać zupełną autonomią“. Słowa te świadczyły wymownie, jak gorącem było pragnienie w Zamku doprowadzenia układów do skutku.

Nakoniec po całotygodniowych sporach, d. 14 Marca, Gorczakow i Wielopolski ostatecznie się porozumieli. Program, skreślony przez margrabiego, zawierał następujące koncesye:

1) ustanowienie Komisyi wyznań i oświecenia publicznego z powierzeniem jej dyrektorstwa Wielopolskiemu;

2) przywrócenie uniwersytetu Aleksandryjskiego;

3) zniesienie Komisyi kodyfikacyjnej w Petersburgu;

4) zniesienie urzędu marszałków szlachty (urzędu niecierpianego przez demokratycznie usposobiony kraj);

5) utworzenie „jako organu potrzeb i życzeń kraju“, ciał następujących: a) rady senatorskiej, b) rady walnej, c) rad obywatelskich wojewódzkich, d) zgromadzeń okręgowych i gminnych, e) rady municypalnej w Warszawie. Wszystkie te ciała miały być zwołane w ciągu 1861 roku.

6) przywrócenie podziału kraju na osiem województw;

7) rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i ustanowienie na jego miejsce Komicyów rolniczych po województwach;

8) zniesienie departamentów warszawskich senatu, i ustanowienie w ich miejsce dwóch izb: cywilnej i kryminalnej sądu najwyższego z prezesem, mającym tytuł podkanclerza;

9) ustanowienie, w miejsce ogólnego zebrania departamentów senatu, Rady stanu, jako wyższej instancyi administracyjnej, której podlegli by byli dyrektorowie Komisyi;

10) nadanie nowym instytucyom pieczęci z herbem Królestwa i mundurów w kolorach narodowych.

W dalszym rozwoju tych reform, na drugim planie, przyobiecywał Gorczakow zniesienie Komisyi wojennych, sądzących przestępstwa polityczne i ułożenie nowego kodeksu karnego w miejsce drakońskich praw i przepisów, zawartych w kodeksie z r. 1847, ułożonym według rosyjskich wzorów przez Romualda Hubego.

Namiestnik bacznie przejrzał te projekta i porobił na nich własnoręczne przypiski. Przy paragrafie o wszechnicy, którą Wielopolski chciał nazwać uniwersytetem Cesarsko-Aleksandryjskim, napisał Gorczakow: „nie trzeba przyjmować dawnej nazwy“ (ne pas adopter l'ancien nom); zjawiła się więc nazwa Szkoły Głównej, nazwa o wiele lepsza, poczciwa i staropolska[1]). Przy projekcie dwóch rad: sena-

[1] Opinia w kraju przez dziwnie pojęty patryotyzm, a raczej przez niechęć ku Wielopolskiemu, wyrzucała mu tę nazwę. „Czas“ krakowski nazwał przyszłą Szkołę Główną blichtrem. „Nie będzie to

torskiej i walnej namiestnik zrobił słuszną uwagę: „zlać to w jedną radę, albo w zebranie ogólne senatu“; a przy żądaniu Wielopolskiego zniesienia Towarzystwa rolniczego, napisał: „nie mówić o tem teraz“ (ne pas parler de cela maintenant). Zresztą na wszystko się zgodził, gdyż, powtarzamy, szło mu koniecznie o zatrzymanie w rządzie „męża stanu w całem znaczeniu tego wyrazu“. Zgodzenie się jednak namiestnika na ustępstwa nie było ostatecznem załatwieniem tej sprawy. Decyzya w tej mierze zależała od Petersburga i w tym celu trzeba było projekt tam wysłać. Wielopolski, w oczekiwaniu takiej decyzyi, wyjechał d. 16 Marca do Krakowa, może dla ponownego porozumienia się z tamtejszymi znakomitościami i dla zyskania ich wpływu i poparcia, oraz dla powołania do przyszłego, zreformowanego rządu polskiego zdolniejszych ztamtąd mężów.

Tymczasem Gorczakow, odkładając, swoim zwyczajem, wszystko na jutro, w tydzień dopiero potem, d. 21 Marca, wysłał projekta margrabiego nad Newę. Powiózł je znany mu i lubiany przezeń, Włodzimierz Kretkowski, autor mniemanego memoryału Enocha.

Kretkowski wyjechał z Zamku w rzeczonym dniu, około godziny 5-tej wieczorem, z dwoma zapieczętowanymi pakietami, z których jeden był pod adresem księcia Gorczakowa, ministra spraw zagranicznych i brata stryjecznego namiestnika; drugi dla Tymowskiego, ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego. Do tego namiestnik dołączył instrukcyą ustną, żeby: Kretkowski ile możności jak najprędzej starał się stanąć w Petersburgu, żeby czynił wszystko, co będzie mógł, celem uzyskania monarszej sankcyi

(pisał jakiś uczony mąż w redakcyi tego dziennika) oddawna upragniony i potrzebny uniwersytet, lecz tylko jakiś wyższy zakład naukowy, zwany Szkołą Główną“. Pseudo-uczony dziennikarz nie wiedział, że tej nazwy bardzo często używała wszechnica Jagiellońska; że wreszcie źródło jej nie leżało w Wielopolskim, który chciał nowo powstającej instytucyi dać tytuł z przed r. 1831, ale w nieusprawiedliwionym oporze Gorczakowa.

dla żądanych reform przed Wielką Środą, który to dzień, według doniesień policyi, był wyznaczony na nową, wielką manifestacyą; Gorczakow więc chciał przez ogłoszenie koncesyi sparaliżować ten zamiar agitatorów. Zalecał dalej namiestnik Kretkowskiemu, ażeby, z chwilą położenia podpisu cesarskiego na udzielonych koncesyach, doniósł o tem natychmiast do Warszawy drogą telegraficzną; i nakoniec, żeby we wszelkich objaśnieniach i rozmowach trzymał się urzędowych zasad projektu.

Drogę do Dynaburga odbył Kretkowski wózkiem pocztowym, na t. z. „perekładny“, bez chwili odpoczynku, przeprawiwszy się nocą przez Dźwinę, gęstą krą pokrytą, a ztąd koleją do stolicy Rosyi, gdzie stanął d. 23 Marca.

Wprost z dworca kolei, na który przybył o rannej godzinie, Kretkowski udał się do ministeryum spraw zagranicznych, a następnie do Sekretaryatu stanu, gdzie oddał ministrom przeznaczone dla nich pisma, przyczem starał się opisać jak najwierniej wzburzenie umysłów w Warszawie, przedstawił potrzebę jak najprędszej decyzyi co do przedsięwziętych reform, aby nie przyszły poniewczasie. Kanclerz państwa, ks. Gorczakow, przeczytawszy zaadresowane do niego pismo, rzekł: „zdaje mi się, że mój kochany kuzyn stracił nieco głowę“ (je crois, que mon cher cousin a un peu perdu la tramontane). Kretkowski usiłował usprawiedliwić dotychczasowe postępowanie namiestnika i postawione przezeń żądania, które, w przekonaniu władz warszawskich, miały uspokoić wzburzenie. Usiłowania te udały mu się w części, gdyż cesarz, dowiedziawszy się o wszystkiem, żałował i ganił namiestnika, że tak długo trzymał projekt Wielopolskiego, z powodu, że czas był drogi, i że roboty w Sekretaryacie stanu przez to opóźniały się znacznie [1]).

Tymczasem raport wygotowywany przez Tymowskiego,

[1]) Cesarz telegrafował d. 21 Marca do Gorczakowa: „ubolewam (sożaleju), żeś pan projekt Wielopolskiego zatrzymał, gdyż przez to tylko drogi czas się traci“.

Płatonowa i Karnickiego, posuwał się naprzód, gdy przybycie Kretkowskiego z nowymi projektami groziło tej pracy gruntowną zmianą. Raport ministra sekretarza stanu, bo pod tą nazwą ukryło się dzieło Płatonowa i Karnickiego, był dość obszerny, ale w swej osnowie i formie nadzwyczaj lękliwy i skromny. Podczas gdy Wielopolski mówi o reformach, o autonomii kraju, raport domaga się pokornie tylko wprowadzenia w życie przyznanego w roku 1832 Statutu organicznego, tego „zasadniczego, jak się wyraża, prawa dla Królestwa, które powinnoby mieć dla mieszkańców tego kraju moc obowiązującą“. W obec zmienionych jednak okoliczności, pragnie, by niektóre przepisy Statutu uległy zmianie, albo wcale nie były wprowadzone, „jako nie odpowiadające widokom rządu, ani istotnym potrzebom i życzeniom kraju“. Cóż więc zmienić, a co zatrzymać należało? Ponieważ przedewszystkiem szło o przypuszczenie mieszkańców do udziału w zarządzie spraw miejscowych i „otworzenia im tym sposobem drogi do działalności legalnej, którąby pociągnęła za sobą te ważne następstwa, że dałaby im sposobność do pożytecznych zajęć i zmniejszyłaby wpływ, jakiby na nich występne poduszczenia wywierać mogły“, raport więc proponuje, jakeśmy już wspomnieli, utworzenie Rad miejskich, któreby się zajmowały interesami i gospodarstwem miast; Rad powiatowych, gubernialnych i Rady stanu. W Radach powiatowych, oprócz wybieranych do nich właścicieli ziemskich, zasiadać miał prezydent miasta powiatowego i prezydenci dwóch główniejszych miast w powiecie. Rady te miały się zajmować rozbiorem kontraktów czynszowych i pośredniczeniem między szlachtą i chłopami; interesami dotyczącymi ubezpieczeń od ognia i gradobicia, środkami zaradczymi przeciw zarazie na bydło; przeprowadzaniem dróg bocznych; nadzorem nad zakładami dobroczynnymi, udziałem w przepisach o poborze do wojska; nadzorem nad ścisłem wykonywaniem ustawy co do wyrobu i sprzedaży trunków; rozdziałem powinności w naturze, jak: szarwarki, dostawa podwód, podatek gruntowy w produktach na potrzeby wojska;

rozdziałem podatków, jeżeli rząd to uzna za potrzebne. Nakoniec do atrybutów Rad powiatowych należeć miało prawo czynienia przedstawień za pośrednictwem Rad gubernialnych co do tak zwanych „dodatkowych kopiejek“ na potrzeby powiatu. Do Rady mogli być wybrani ci wszyscy, którzy posiadają pewną przestrzeń gruntu.

Rady gubernialne miały się składać z osób wybranych przez Rady powiatowe i prezydenta magistratu miasta gubernialnego. Zajmować się one miały: zatwierdzeniem kontraktów czynszowych pod prezydencyą w tym wypadku gubernatora cywilnego i z przybraniem prezesów trybunałów i prokuratorów; nadzorem nad zakładami dobroczynnymi i więźniami; rozbiorem uwag Rad powiatowych co do „dodatkowych kopiejek“. Miały przytem Rady gubernialne prawo czynienia przedstawień do rządu względem dobra gubernii. W obu Radach prezydować miały osoby wyznaczone przez namiestnika z pomiędzy członków tychże Rad.

Rada stanu nakoniec miałaby kontrolę wszystkich czynności administracyjnych, pieczę nad ścisłem wykonywaniem praw, oraz prawo petycyi do tronu. Zasiadać w niej winni wszyscy dyrektorowie Komisyi rządowych, wyżsi urzędnicy, odznaczający się zdolnościami, co najmniej po jednym z każdej Komisyi, prezesi Dyrekcyi głównej i szczegółowych Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, prezydent Warszawy i innych większych miast, prezesowie Rad gubernialnych, szczególnie się odznaczający. W Radzie stanu prezydować miał namiestnik.

Takiemi były koncesye, jakich się domagał raport Tymowskiego, jeżeli włączymy do tego jeszcze projekt wybieralności sędziów pokoju. Jak widzimy, było to bardzo wiele w obec dotychczasowego sposobu rządzenia krajem, i bardzo mało w obec żądań Wielopolskiego. Co do Stanów prowincyonalnych, zapewnionych Statutem organicznym, raport twierdzi, że zaprowadzenia ich „niema zdaje się potrzeby, przynajmniej w obecnym czasie. Jeden tylko przykład Austryi mógłby w tym kierunku pobudzić do

pewnych nadziei, ale można z pewnością wyrzec, że nadziei tych nie żywi ogół, lecz tylko szczególne indywidua". W tem błogiem przekonaniu, niestety! zupełnie błędnem, raport sądzi, że powyżej przytoczonemi koncesyami kraj się zadowolni i uspokoi, wszelako woła: „zwrócić jednak należy uwagę, że rezultaty takie zależą głównie od wykonania w dobrej wierze przedsięwziętych środków i że kraj przeniknięty jest głęboko uczuciem legalności i ma silne poczucie położonego w nim zaufania. Pod względem politycznym starać się należy energicznie o wykorzenienie wszelkich manifestacyi, mających charakter rewolucyjny, lecz zarazem starannie unikać należy wszystkiego, co pogwałca uczucie religii i narodowości".

W słowach tych, oraz w zakresie proponowanych reform, w porównaniu z żądaniami Wielopolskiego, odbija się wyraźnie wpływ miejsca i otoczenia, w którem projekta te powstały. Na projekcie margrabiego znać, że położyła swą palącą dłoń nerwowa gorączka, obejmująca kraj cały; z raportu wieje chłód lodów petersburskich, wygląda lękliwość, obawa przed tą straszną władzą, jaką był carat moskiewski, a od której domagano się ustępstw i biurokratyczny, zimny charakter tych, którzy pisali ten dokument. Byli oni zapewne dobrymi Polakami, gorąco pragnęli polepszenia doli kraju, ale przesiąkli na wskróś poglądem biurokratycznym na rządy, tem ciasnem policyjno-wojskowem widzeniem rzeczy, jakie, pomimo reform Aleksandra, ciągle panowało i długo jeszcze panować miało w Petersburgu — lękali się zanadto popuścić cugli rządzonym. W projekcie margrabiego występuje obywatel kraju, chcący jego autonomii; tu, urzędnik, dopuszczający mieszkańców do udziału w rządzie, ale z obawą i chęcią ograniczenia tego udziału jak można najwięcej.

W ten chłód, wiejący z raportu ministra sekretarza stanu, przyjazd Kretkowskiego rzucił jakby zarzewie gorączki warszawskiej. Przywiózł on ze sobą doniesienie namiestnika, że, ponieważ wiadomość o koncesyach nie uspokoiła umysłów, bo źli ludzie rozsiewają wieści, że rzeczone

koncesye nie będą nigdy wprowadzone, należy więc je przyśpieszyć, a przynajmniej o nich ogłosić. Projekt Wielopolskiego zawarty był w liście namiestnika do cesarza. Wskutek tego trzeba było na nowo nieomal wszystko rozpoczynać, prząść nić, która przy lada nieprzyjaznym wietrze, a tych wiatrów nam nieprzyjaznych zawsze tyle jest w Petersburgu, mogła być zerwana. Cesarz na dzień 25 Marca zwołał walną radę pod swoją osobistą prezydencyą, radę ze wszystkich ministrów złożoną dla rozbioru i rozpatrzenia projektów Wielopolskiego. Dowiedziawszy się o tem Karnicki, wiedząc od Kretkowskiego, że projekta margrabiego o wiele są śmielsze i o wiele dalej sięgają od tych, jakie on wywalczył, z godnym zaznaczenia patryotyzmem poświęcił swą osobistą ambicyą i zabrał się jeszcze raz do powtórzenia tej samej roli, jaką odegrał przed tajną radą d. 8 Marca. Objechał znowu większą część ministrów, przedstawiając im, że propozycye margrabiego, jako pochodzące od człowieka światłego, dobrze obeznanego z potrzebami kraju, zasługują na pierwszeństwo przed temi, jakie na skutek przedstawienia Karnickiego przyjęte zostały, i łatwiej zapewne posłużą do osiągnięcia zamierzonego celu, t. j. uspokojenia kraju bez środków gwałtownych. Ministrowie prawie wszyscy dobrze przyjęli te uwagi. Chwila była bardzo szczęśliwa. Stolica Rosyi i cała społeczność rosyjska, a przynajmniej jej inteligencya, była w upojeniu, nieco sztucznem, afektowanem, nieco mającem charakter przypodobania się rządowi, ale bądź co bądź nastrój był wysoki, liberalne idee owładnęły wszystkiemi głowami w obec wielkiego faktu usamowolnienia włościan. Przez olbrzymie przestrzenie caratu gnał wicher odrodzenia i łamał wszystko stare, wszystkie dawne porządki i dawne wierzenia. Wszyscy wierzyli, a przynajmniej udawali, że wierzą w moc zapładniającą swobody i wolności, w odrodzenie świata za pomocą tych czynników. Powszechnie potępiano dawny system rządowy, kajdany mikołajowskie; potępiano więc i dotychczasowe zachowanie się względem Polski. Przy takiem usposobieniu, przy takich prądach ożyw-

czych, upajających serca i głowy jak stare wino, ustępstwa robiły się łatwo i szybko i nie szło już o same koncesye, ale tylko o ich rozciągłość.

Rada ministrów zebrała się dnia 25 Marca i trwała siedem godzin. Dyskusya była bardzo ożywiona, niekiedy burzliwa. Tu i owdzie, pomimo wszystkiego, jak przysłowiowe szydło z worka, ukazywała się dawna, zakorzeniona nieufność do Polaków, obawa przed ich nigdy niezaspokojonemi pretensyami, ciasnota poglądów biurokratycznych, oburzenie na śmiałka, jakim się wydawał Wielopolski. Ostatecznie prawie cały projekt margrabiego przepadł, a postanowiono przeprowadzić tylko te reformy, o jakich mówi raport Tymowskiego, z małemi zmianami, wziętemi z nowego projektu. Zmiany te dotyczyły mianowicie Rady stanu, do której zdecydowano się powołać także, jak to chciał Wielopolski, i biskupów, oraz nadano jej przywilej robienia wniosków do praw, oraz prawo rozbioru skarg i zanoszenia do tronu petycyi. Utrzymała się Komisya wyznań i oświecenia publicznego, a na Dyrektora głównego tej Komisyi postanowiono powołać margrabiego Wielopolskiego, jeżeli się zgodzi na przyjęcie reform w tym kształcie i zakresie, jak zadecydowano. Uradzono założyć uniwersytet w Warszawie z nazwą Szkoły Głównej, co świadczy, jak się patrzano na rzeczy. Lękano się wyrazów, przywiązywano do nich jakieś znaczenie mistyczne; nie chciano tytułu ministra i tytułu uniwersytetu.

Na tem kończyły się właściwe reformy i zmiany, jakie poczyniono w raporcie Tymowskiego. Rady gubernialne, powiatowe i miejskie postanowiono zaprowadzić zgodnie z rzeczonym raportem. Komisyą kodyfikacyjną w Petersburgu zniesiono. Co się zaś tyczy innych projektów Wielopolskiego, jak: oczynszowanie włościan z urzędu, równouprawnienie żydów, uzupełnienie prawodawstwa kryminalnego, zniesienie Towarzystwa rolniczego, organizacyą nowo powstającej Komisyi wyznań i oświecenia publicznego, wydanie przepisów edukacyjnych — przyznano w zasadzie i powierzono władzom miejscowym Królestwa i Wielopol-

skiemu. W obec wieści alarmujących, dochodzących z Warszawy, postanowiono wydać niezwłocznie i ogłosić ukaz cesarski o tych koncesyach, spodziewając się, że one dodatnio wpłyną na stan umysłów w Królestwie.

Nadzieje te jednak były zwodnicze. Już teraz umysłów w kraju tak łatwo, monetą zdawkową reform administracyjnych, ukoić nie można było. W Warszawie wrażenie odpowiedzi cesarskiej było jak najgorsze, i Gorczakow, życząc Polsce jak najlepiej, mocno się tem zaniepokoił. Właśnie w tym czasie, dnia 14 Marca, ogłoszono w Rosyi ukaz o usamowolnieniu włościan i przez kilka dni z rzędu w Petersburgu w dręczącym niepokoju oczekiwano jego skutków, lękano się wprost zaburzeń, buntów, jak się to mówi w języku urzędowym rosyjskim. Dlatego też wieść o nowych niepokojach w Polsce, i to w chwili, gdy dla tej Polski przygotowywano szereg reform nader liberalnych, mogła jak najgorzej oddziałać na cesarza i na sfery rządowe rosyjskie, zawsze nam nieprzyjazne i zawsze mające nas w podejrzeniu. Trzeba więc było dla dobra samych Polaków coś zrobić, coś takiego, coby uspakajająco, dodatnio wpłynęło na umysły, i Gorczakow widział aż nadto potrzebę takiego kroku. Położenie było takie, że ktoś zręczny i dobrze życzący krajowi mógł dużo dla tego kraju skorzystać, wyeksploatować sytuacyą. Jakoż był taki człowiek, który widział wszystko i zdawał sobie sprawę z położenia i z chwili tej postanowił zrobić użytek może nie w takim zakresie, w jakim to można było uczynić, ale bądź co bądź bardzo zręcznie i umiejętnie. Znany nam prokurator przy senacie, Enoch, uzyskawszy sobie do pomocy zawsze intrygującego Kutzebuego, osobistego nieprzyjaciela Muchanowa, postanowił tego ostatniego obalić. Chwila potemu była bardzo dobra; jednakże Muchanow obu spiskowcom, że ich tak nazwiemy, wydawał się taką siłą i takim kolosem, że zadecydowali brać się do niego bardzo wolno i ostrożnie. W poradzie więc danej Gorczakowowi mówili, że należy Muchanowa usunąć tylko od kuratorstwa Okręgu naukowego, że to zupełnie wystarczy

dla zrobienia dobrego wrażenia i uspokojenia umysłów. Kwestya wychowania publicznego, mówił Enoch, jest jedną z najdrażliwszych kwestyi dla Polaków i nic dokuczliwszem im się nie wydaje, jak kiedy sprawami temi zarządza cudzoziemiec. Dymisya więc z kuratorstwa dla Muchanowa, to zyskanie za sobą opinii kraju; dla rządu zaś, który przecież zamierza znieść kuratoryą a stworzyć osobne polskie ministeryum oświecenia, dymisya ta będzie uproszczeniem zadania, usunięciem jednej więcej trudności. Krok ten nakoniec na umysły rozgorączkowane, rozdrażnione reskryptem cesarskim, musi wywrzeć dobre wrażenie; będzie niejako gwarancyą, że zapowiedziane reformy przyjdą do skutku, że będą wprowadzone w wykonanie.

Gorczakow przedstawieniom tym uległ i postanowił usunąć Muchanowa z kuratorstwa Okręgu naukowego, a na to miejsce mianować Polaka, Łaszczyńskiego, gubernatora warszawskiego. W tym celu, tegoż samego dnia, 15 Marca, telegrafował do cesarza, żądając upoważnienia do takiego postąpienia [1]). Cesarz natychmiast mu odpowiedział i żądane pozwolenie udzielił. Wieść o tem piorunem rozbiegła się po mieście, zwłaszcza, że rząd nie chciał jej trzymać pod korcem i w jego interesie leżało, by ona jak najprędzej doszła do wiadomości ogólnej. W resursie, na zwykłem posiedzeniu wieczornem, przyjęto ją z nieopisaną radością. Podrzucano kapelusze, bito oklaski i wydawano okrzyki, których echo rozchodziło się aż po ulicach sąsiednich. Wrzawa ta i to uniesienie trwało przeszło kwadrans, świadcząc o niesłychanej niepopularności Muchanowa, tego dokuczliwego tyrana Polski i młodzieży, tego człowieka złego, podejrzliwego, robiącego przez tyle lat próby wynarodowienia Polski i obchodzącego się po kozacku z literaturą polską. Wielu zrazu sądziło, że Mucha-

[1]) Telegram brzmi jak następuje: „3 (15) Marca. Koniecznie trzeba powierzyć czasowo Okrąg naukowy warszawski radcy tajnemu, Łaszczyńskiemu. Upraszam o decyzyą co do tego. Ks. Gorczakow".

now dostał dymisyą ze wszystkich swych urzędów, a zatem i z dyrektorstwa Komisyi spraw wewnętrznych, gdy się jednak dowiedziano o pomyłce, wołano głośno: „szkoda! wielka szkoda!“ Bądź co bądź jednak było to ustępstwo bardzo ważne, bo odbierało z rąk tyrana i rusyfikatora wychowanie publiczne, wyswobadzało biedną młodzież polską z pod nieznośnego, długiego ucisku i wynarodowienia, systematycznie przeprowadzanego. Dowodziło to wymownie, że poczną się lepsze, jaśniejsze, swobodniejsze czasy.

Jakoż nowomianowany kurator, Łaszczyński, nazajutrz, d. 16 Marca, wyraźnie zaznaczył tę cechę dymisyi Muchanowa i swej nominacyi. Obejmując kuratoryą, oświadczył przedstawiającym mu się urzędnikom w auli Akademii medycznej, że postawienie Polaka na czele edukacyi krajowej, gdy od lat trzydziestu podobnego przykładu nie było, nie jest bez znaczenia; prosił, aby mu zaufano nadal i wyraził nadzieję śpiesznej pod względem naukowym poprawy. Do urzędników znienawidzonej powszechnie cenzury odezwał się, że nie może stanowczo wskazać kierunku, w jakim instytucya ta ma postępować, ale musi powiedzieć, że droga dotychczasowa była całkiem niewłaściwą.

Te słowa tak nowe, słowa, których niesłyszano od lat trzydziestu, wygłoszone przez wysokiego urzędnika, zapowiadające nową erę w życiu społecznem, przebrzmiały jednak bez echa. Miasto więcej się zajmowało postępem ruchu rewolucyjnego, niż najważniejszymi objawami, które mówiły, że rząd szczerze chce robić ustępstwa. Odezwanie się Łaszczyńskiego, zwłaszcza do cenzury, jakkolwiek do pewnego stopnia można je uważać za jego pogląd osobisty, było dowodem aż nadto wymownym tego usposobienia rządu, gdyż bądź co bądź przed kilku jeszcze dniami niktby się nie ośmielił powiedzieć, że dotychczasowa droga, którą ta wstrętna instytucya postępowała, jest niewłaściwą.

Mimo to wszystko jednak, jakkolwiek uwolnienie Muchanowa z kuratorstwa Okręgu naukowego było dobrze przyjęte, gasło ono w obec wrażenia, jakie wywarł reskrypt

cesarski. Młodzież, wszyscy znani nam agitatorzy z akademii, szkoły sztuk pięknych, Marymontu, kanceliści i dependenci różnych dykasteryi, nie przestawali podburzać miasta i zachęcać do nowej, wielkiej manifestacyi. Nikt już nie był w stanie oddziaływać na tworzące się rozmaite koła i kółka, agitujące na własną rękę i nikogo słuchać nie chcące. Zapanował prawdziwy chaos; w mieście wrzało, jak w garnku. Co dzień wieczorem zbierały się gromady ludu obojej płci przed posągiem Matki Boskiej, stojącym na Krakowskiem Przedmieściu i śpiewały „Boże coś Polskę“, lub inne pieśni nabożne, patryotyczne. Za tym przykładem takie zbiegowiska powtarzały się i po innych miejscach w mieście.

Oczywiście wszystko to wiadomem było policyi i Gorczakow postanowił jeszcze raz odwołać się do rozumu mieszkańców. W tym celu, w tym samym dniu, w którym Łaszczyński objął urząd kuratora, d. 16 Marca, ukazała się „odezwa namiestnika Królestwa do mieszkańców miasta Warszawy“. „W celu położenia tamy, pisał Gorczakow, poduszczaniom ludzi źle myślących do manifestacyi ulicznych, jakiegokolwiek bądź rodzaju, niniejszem podaje się ponownie do wiadomości powszechnej, że wszelkie podobne manifestacye są niewłaściwe i dla ogólnego porządku niebezpieczne; dlatego więc zabrania się najmocniej zbierania się tłumnie na placach i ulicach w zamiarze jakichbądź manifestacyi lub procesyi, przez zwierzchność duchowną nie nakazanych. Mieszkańcy Warszawy! usłuchajcie mojej przestrogi, nie zmuszajcie mnie do użycia środków bolesnych, w celu zniweczenia nieporządków siłą zbrojną. Jednocześnie władza policyjna otrzymuje polecenie w przedmiocie oznajmienia wszystkim właścicielom domów o powyższem mojem ostrzeżeniu, dla zakomunikowania takowego lokatorom, ażeby nikt niewiadomością nie mógł się tłomaczyć“.

Odezwa ta wywarła jak najgorsze wrażenie, które odbiło się wyraźnie i w sposób dosadny na jedenastem z kolei posiedzeniu Delegacyi obywatelskiej, która się ze-

brała jak zwykle w ratuszu o godz. 7-mej wieczorem. Z początku nic nie zapowiadało burzy, jaka się gotowała. Jenerał Paulucci otworzył sesyą, dając objaśnienia co do postępowania sądów wojennych w sprawach o przestępstwa polityczne, poczem wyszła na stół sprawa odezwy Gorczakowa, którą Delegacya uważała za wprost skierowaną przeciw sobie, za pośredni cios wymierzony na jej egzystencyą. W obec wzburzenia umysłów w mieście, mówiono, w obec rozmaitych wieści, wywołujących niepokój, dzisiejsze ogłoszenie, w którem jest mowa o środkach nadzwyczajnych, jakie ma przedsięwziąć policya, jest sprzeczne z przyrzeczeniem, jakie dał d. 6 Marca jenerał Paulucci, że Delegacya będzie zawsze uprzedzona o tego rodzaju krokach. Jeżeli więc przyrzeczenia tego nie dotrzymano, to znaczy, że rząd zamierza zastąpić moralne oddziaływanie Delegacyi działalnością policyi. Delegacya w skutek tego sądzi, że jej wpływ przez to byłby unicestwiony i dalsza jej egzystencya niema żadnego celu; prosi zatem jenerała, by raczył o tem uwiadomić księcia namiestnika. Paulucci, jak zwykle, przyrzekł to uczynić i, starając się ułagodzić wzburzoną Delegacyą, zwłaszcza jej radykalnych, najgłośniej manifestujących swe uczucia członków, zawiadomił ich, że przedstawił namiestnikowi prośbę o uwolnienie z cytadeli pozostałych więźniów politycznych i ma nadzieję, że prośba ta wysłuchaną zostanie, zwłaszcza, że ks. Gorczakow bardzo łaskawie przyjął dziś petycyą o wrócenie z Syberyi wygnańca, Stefana Dobrycza [1]). Wiadomość ta jednak nie uspokoiła delegatów. Obiegała wówczas po mieście pogłoska o aresztowaniach nowych osób; pytano się więc, czy to prawda, na co Paulucci odrzekł, że nic o tem nie wie. Podniesiono nakoniec sprawę wypadków

[1]) Zesłany był na Sybir za udział w spisku 1846 r. Skazany na śmierć, został ułaskawiony i posłany do ciężkich robót w kopalniach. Otrzymawszy pozwolenie do powrotu w Marcu 1861 r. znalazł się w końcu tegoż roku w Warszawie i w ciszy i odosobnieniu spędził resztę swego życia męczeńskiego.

lubelskich i aresztowania tam niejakiego Antoniego Mysłowskiego, aplikanta miejscowego sądu poprawczego. Oczywiście Paulucci oświadczył, że o tem nie wie, i w rzeczy samej wiedzieć nie mógł, gdyż naprzód to do niego nie należało, a potem wieść o tych wypadkach, przy ówczesnym stanie komunikacyi w kraju i roztopach wiosennych, rozchodziła się bardzo wolno. Przypatrzmy się z kolei rzeczy położeniu, jakie po dniach lutowych wytworzyło się na prowincyi.

Za przykładem Warszawy, w całym kraju zapanowało silne wzburzenie umysłów i, przybierając charakter propagandy rewolucyjnej, stroiło się zarazem w cechę mistycznych uniesień i objawów miłości braterskiej. W Mławskiem szlachta postanowiła zaniechać dochodzenia wszelkich spraw i sporów na drodze sądowej, ale oddawać je pod rozpoznanie sądów obywatelskich, co jednak w obec nieubłaganej praktyki życiowej niedługo trwało, bo trwać nie mogło; świadczy wszelako, jakie marzenia i jakie idealne aspiracye owładały ludźmi ówczesnymi. W Płońsku założono w tej dobie kasę pożyczkową dla biednych i w myśl braterstwa z żydami zadecydowano wydawać i im pożyczki. Naśladując stolicę, wszystkie znaczniejsze miasta Królestwa korzystały z pierwszej nadarzającej się sposobności, by tworzyć u siebie delegacye obywatelskie.

Jednem z najpierwszych pod tym względem był Lublin, miasto duże, najludniejsze w tej porze po Warszawie, ruchliwe i pełne żywiołów gorących, odznaczających się skrajnym patryotyzmem. Wypadki zaszłe w Warszawie odbiły się w starym grodzie trybunalskim bardzo żywo; pojawienie się wreszcie kilku wysłańców Delegacyi warszawskiej i rewolucyjnych kółek podniosło temperaturę miasta do wysokiego stopnia. Kilku młodych księży poczęło podsycać ten ogień, nie potrzebujący zresztą podsycania, przez głoszenie z ambon kazań, przesiąkniętych patryotyzmem mistycznym, tak pospolitym w tej epoce, wzywając naród, aby w tych straszliwych, jak mówili, próbach, zesłanych przez Opatrzność, okazał wytrwałość, wierność

kościołowi i tradycyom narodowym. Odbywano więc nabożeństwa za „pomordowanych braci w Warszawie“, śpiewano „Boże coś Polskę“, strojono się w żałobę, zbierano składki i całe miasto z małymi bardzo wyjątkami, chyba ostatniego motłochu, przybrało tę cechę gorączki nieustającej, jaką widzieliśmy w Warszawie i jaka jest znamieniem tych czasów dziwnych i jedynych w swoim rodzaju. Podobnie jak w Warszawie, tak i w Lublinie pewien kierunek naczelny, pewien impuls, ton, że tak powiemy, nadawała temu ruchowi umysłów i serc resursa miejscowa. Przez sam swój skład stanowiła ona wyraz inteligencyi lubelskiej, miejsce zbierania się wszystkiego, co było najlepszem w mieście i tym sposobem wywierała znaczny, większy daleko wpływ, niż resursa kupiecka w Warszawie, w której wielkość miasta, różnorodność żywiołów w niem mieszkających, nie pozwoliła nigdy rzeczonemu klubowi nabrać stanowiska wybitnego, i jeżeli je zajął w ostatnich wypadkach, to tylko dzięki szczególnemu i wyjątkowemu zbiegowi okoliczności. W Lublinie było inaczej. Do składu resursy należeli wszyscy wyżsi urzędnicy administracyjni i sądowi, patronowie trybunału, rejenci, nauczyciele, bogatsi kupcy, obywatele miejscy i wiejscy[1]), sama śmietanka miasta, a że ta śmietanka była jedyną i na oczach wszystkich, wywierać więc musiała znaczny i z nikim nie dzielony wpływ. Ta, że ją tak nazwiemy, i za taką się uważająca arystokracya miejscowa dotychczas trzymała się bardzo zdaleka od warstw niższych, zwłaszcza rzemieślniczych i wszelkich z niemi stosunków unikała. Teraz jednak pod wpływem wypadków warszawskich i głoszonej powszechnie zasady braterstwa, równości w obec ogólnej niedoli, na wieczorne posiedzenia resursy poczęli się zjawiać rzemieślnicy, wyrobnicy, nawet żydzi, przyjmowani bardzo gościnnie i uprzejmie. Oczywiście głównym przedmiotem zajęcia tych zebrań były debaty nad ostatnimi wypadkami warszawskimi. Znaczenie Delegacyi stołecznej, jak

[1]) Resursa lubelska w tej porze liczyła 360 członków.

zwykle bywa w takich razach, wzrastało w miarę odległości, uważano ją za ciało polityczne, bardzo mądrze i zręcznie utworzone, które, pod pozorem utrzymania porządku w mieście, miało cele i zamiary daleko sięgające. Mówiono sobie na owych zebraniach wieczornych resursy lubelskiej, że ludzie wchodzący w skład Delegacyi warszawskiej, znani z prawego charakteru, nigdyby się nie ośmielili wydawać odezwy, w której na miłość ojczyzny zaklinają swych współrodaków, prosząc ich o uspokojenie, gdyby jednocześnie nie robili wszystkiego, co należy, by ojczyznę tę wyswobodzić z niewoli. Że jednak ojczyzna nie zamyka się tylko w murach Warszawy, należy więc, żeby kraj przyszedł z pomocą Delegacyi, żeby wszędzie, gdzie można, potworzyły się takież same ciała, wysłały do Warszawy posłów i otrzymały ztamtąd instrukcye, co i jak czynić należy. Zdanie to aprobowano powszechnie w Lublinie; przy takiem usposobieniu umysłów pierwsza lepsza nadarzona okoliczność mogła wywołać utworzenie się takiego samego ciała obywatelskiego, jak w stolicy. Okoliczności takie zwykle na siebie czekać nie dają, zwłaszcza, że usposobienie ogólne było bardzo gorączkowe. Do resursy zbiegało się nieraz po tysiąc i więcej osób, na co władze miejscowe obojętnie patrzały, tem więcej, że te zgromadzenia koło godziny 10-tej wieczorem spokojnie się rozchodziły. Nie obeszło się jednak bez pogłosek, jak to zwykle w takim stanie umysłów bywa, że Moskale tego długo nie ścierpią; powtarzano sobie ich pogróżki, że podczas zbliżającej się Wielkiejnocy, gdy lud zbierze się na nabożeństwo rezurekcyjne, rzeź zrobią; że zbiegowiska w resursie kulami i bagnetami rozpędzą. Wielu chłodniejszych nie wierzyło temu, ale byli tacy i to w przeważnej liczbie, którzy na zebrania wieczorne przychodzili z bronią, ukrytą pod sukniami, z nożami i rewolwerami.

W takim stanie umysłów, pewnego wieczoru, rozeszła się w resursie śród zgromadzonych wieść, że jeden z oficerów garnizonu miejscowego, upiwszy się groził, że za lada

nieporządkiem miasto oddane zostanie wojsku na rzeź i rabunek [1]).

Nierozsądna ta wieść, oparta na słowach oficera pijanego, znalazła powszechną wiarę. Wrażenie było tem silniejsze, że właśnie w tej chwili ukazało się wojsko koło gmachu magistratu, w którym resursa się mieściła. Ktoś stojący przy oknie, wyjrzawszy, krzyknął: „wojsko nas otacza!“ Na sali powstał straszny zamęt, kilka kobiet (bo i te na zebraniach bywały) zemdlało. Naprożno kilku ludzi chłodniejszych, którzy nie stracili głowy w powszechnej gorączce, uspokajało zebranych, że to tylko warta się zmienia; krzyczano, tłoczono się, wielu wybiegało na ulicę. Uspokojono się przecież i na wniosek niejakiego Miklaszewskiego, za przykładem Warszawy, wysyłającej deputacyą do namiestnika w pamiętne dni Lutowe, postanowiono wysłać takąż deputacyą do gubernatora, celem powiadomienia go o niebezpieczeństwie, jakoby grożącem miastu, i o koniecznej potrzebie ustanowienia Delegacyi obywatelskiej, mogącej jedynie uspokoić wzburzone umysły przez rozciągnięcie opieki nad mieszkańcami. Do deputacyi tej wybrano sześć osób, między którymi znajdował się wzmiankowany Miklaszewski, asesor leśny i obywatel lubelski; Wieniawski, były pułkownik; Konstanty Jezierski, nauczyciel szkół miejscowych i t. d. Deputacya ta wyruszyła do gubernatora natychmiast.

Podczas jej nieobecności w sali resursy zaszedł epi-

[1]) Wiadomość tę przyniósł do resursy weterynarz Babicki, który wpadł ogromnie wzruszony i siadłszy na krześle opowiadał, że biegnie prosto z naprzeciw będącej cukierni Semadeniego, że tam kilku oficerów, najadłszy się ciastek, zapłacić za nie nie chciało, a kiedy cukiernik natarczywie się o pieniądze upominał, jeden z rycerzy rosyjskich, dobrze pijany, miał wołać: „co ty sobie myślisz, *padlec*, to wszystko jutro będzie nasze, my ci tu jutro ani jednej flaszeczki, ani szkiełka nie zostawimy, my tu dziś zaraz z wami taniec rozpoczniemy! Widzisz go, on tu śmie dziś się upominać, a nie wie, że jutro już go nie będzie“. Do tej opowieści swojej dodał Babicki, że, biegnąc do resursy, aby dać znać o tem, co słyszał, zauważył na ulicy jakiś ruch wojska.

zod, świadczący, że władze lubelskie, podobnie jak w Warszawie, nie wiedziały dobrze, jakiej drogi należy się w obec rewolucyi trzymać. Wśród wrzawy i rozpraw jednych, a niespokojnego oczekiwania drugich na rezultat misyi do gubernatora zjawił się nagle w resursie pułkownik Kalikst Witkowski, Polak, szef sztabu jenerała Chruszczowa, komendanta wojsk, konsystujących w Lublinie. Witkowski, który właśnie rozpoczynał swą rolę historyczną w wypadkach polskich, przecisnął się przez tłum, skłonił grzecznie i oświadczył, że jenerał Chruszczow pozdrawia zebranych, że bardzo im dziękuje za spokojne zachowanie się, że przeciwko zgromadzeniom w resursie nic nie ma, że na nie zezwala i przeszkadzać im nie myśli, byleby się tylko zawsze w tym samym tonie zachowywały i t. p. Wygłosiwszy jeszcze kilka grzeczności, skłonił się i wyszedł, wprawiając obecnych w zdumienie, a gdy to minęło, w lekceważenie władzy, która wyraźnie umizga się do rewolucyi, a zatem jej się boi.

Tymczasem w gmachu gubernii rozgrywała się inna scena. Gubernatorem lubelskim w owe czasy był znany nam już Mackiewicz, Litwin rodem, który miał nieosobliwszą opinią i uważany był za urządnika gorliwego i wykonawcę systemu muchanowskiego ucisku. Gdy się więc deputacya z resursy zjawiła u niego, przyjął ją bardzo grzecznie i, na wzór greckiej Pityi, wygłosił taką dwuznaczną odpowiedź, że „obawa przed wojskiem jest niczem nieuzasadnioną, że miastu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, że gubernator nie może upoważniać mieszkańców do ustanowienia władz obywatelskich, wdzięczny jednak będzie mieszkańcom, jeżeli ci przyczynią się do utrzymania porządku w mieście“. Odpowiedź tę wytłomaczono sobie jako przychylną dla życzenia ogólnego, wrócono do resursy i zaraz wybrano Delegacyą, z 32 osób złożoną, która niby miała czuwać nad bezpieczeństwem mieszkańców i ich zachowaniem się spokojnem. W skład Delegacyi weszli adwokaci, kupcy, właściciele domów, rzemieślnicy, paru księży wpływowych i kilku żydów, oraz

jeden czy dwóch urzędników, którzy zresztą, z obawy narażenia się władzy, unikali tego zaszczytu. Tak więc w Delegacyi znaleźli się i piekarz Dziewulski i szewc Czajkowski i kominiarz Szelągowski. Spokoju jednak w mieście nie było i jednym z najgłówniejszych prowokatorów różnych nabożeństw i śpiewów był wspomniany wyżej Antoni Mysłowski, aplikant sądu poprawczego. Ubrany teatralnie w czamarkę, konfederatkę amarantową i buty wysokie, wszędzie był, wszędzie kierował wszystkiem. Aresztowany nakoniec, wywołał interpelacyą w Delegacyi warszawskiej, a później miał być powodem jedynych w swoim rodzaju rozpraw sądowych.

Najpierwszą czynnością nowej Delegacyi było wysłanie dwóch członków do Warszawy, w celu porozumienia się z Delegacyą tamtejszą [1]). Do porozumienia jednak tego nie przyszło. Delegacya warszawska w obec tego znalazła się w dość przykrem położeniu; z odwagą wszelako i szczerością, godną zaiste pochwały, odrzekła posłom, że ona jest władzą narodową, ale tylko na Warszawę, że prowincya do niej nie należy, że nie chce wkraczać w zakres władzy komitetu Towarzystwa rolniczego, że właściwie posłowie powinni się udać do tego ostatniego, a tam otrzymają odpowiednie wskazówki postępowania. Odpowiedź była rozumna, chłodna, ale zdradzała, że ludzie, którzy zasiadali w „komunie warszawskiej“, jak nazywano Delega-

[1]) W pamiętniku (manuskrypt) p. t. „Notaty do lat 1860—1861, wspomnienia z pamięci“, który, podczas pisania niniejszego dzieła, mieliśmy łaskawie nam do użytku udzielony, powiedzianem jest, że Delegacya lubelska wysłała posłów do Warszawy dopiero po d. 8 Kwietnia. Wiadomość ta jest błędną, choćby dlatego, że po d. 8 Kwietnia Delegacya warszawska już nie istniała, a w kołach rewolucyjnych i nierewolucyjnych panował taki chaos, że naprawdę nie było z kim mówić i z kim się porozumiewać. Gregorowicz wreszcie, prezydujący w Delegacyi lubelskiej, a więc najlepiej świadom jej spraw, w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861—1863 r.“ drukowanym w odcinku „Gazety narodowej“ we Lwowie, powiada, że wysłanie deputatów do Warszawy było jedną z najpierwszych czynności Delegacyi lubelskiej.

cyą, byli sobie zwykłymi filistrami, bez szerszych pragnień i ambitnych dążności, wykrojeni na miarę krawca, nie Fidyasza. Była chwila, że na obradujących w ratuszu delegatów patrzano jako na symbol władzy narodowej, jako na twórców „polskich czasów“, jako na przedstawicieli kraju, którym ten kraj dobrowolnie i chętnie się poddawał. Delegacya jednak nie dorosła do tych wyżyn i do tych dyktatorskich aspiracyi; odtrącała ofiarowane jej berło królowania nad Polską, odtrącała z przestrachem, usiłując się utrzymać bądź co bądź na śliskiem swojem stanowisku, naciskana z dwóch stron, z jednej przez rząd podejrzliwy i który zrzekł się z niechęcią swej władzy z zamiarem odebrania jej przy lada sposobności, z drugiej przez rewolucyą, przez tę gorącą i nieopatrzną młodzież, która marzyła o wzięciu rękami cytadeli i wyrzuceniu Moskali za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę. Dotąd wszelako rewolucyoniści warszawscy, choć sarkali na Delegacyą, oskarżali ją o paktowanie z wrogiem, nie śmieli jednak atakować ciała, które w pojęciu większości było wyrazem pragnień narodowych. Teraz atoli miarka się przebrała. Odpowiedź, dana posłom lubelskim, rozeszła się po mieście i uważana była przez zapaleńców za wyraźną zdradę i odstępstwo sprawy narodowej. Jakto? wołano, kraj się organizuje i przychodzi oddać się w ręce swej starszej braci, żąda, by nim kierowano, by go poprowadzono ku upragnionej niepodległości, a ci mieszczuchy, ci „zjadacze chleba“ odpowiadają z epizyerską ciasnotą pojęć: nam nic do was, dajcie nam pokój, róbcie sobie co chcecie! Kraj mówi: „będziesz królem Makbecie!“, a filisterski Makbet warszawski odtrąca ze strachem koronę, Jagiellońską koronę! Oburzenie śród kół rewolucyjnych młodzieży było tak wielkie, że jeżeli nie zaraz skończono z Delegacyą, to dla tego, że nie miano wodza, nie miano nikogo, coby to oburzenie słowne w czyn zamienił. Ale teraz znalazł się taki wódz, dzięki Delegacyi, która ze szczególnem zaślepieniem sama na siebie miecz ukuła.

W kilka dni po uwolnieniu z cytadeli dziesięciu agi-

tatorów wypuszczono także Karola Nowakowskiego, znanego nam już ucznia szkoły sztuk pięknych, głowę słabą, ale pełną wrzącego, wszystko porywającego za sobą, entuzyazmu. Odpowiedź cesarska na adres, tak ubliżająca, jak mówiono, narodowi, odpowiedź Delegacyi posłom lubelskim, jej kunktatorstwo i „umizgi do Moskali“ były tematem nieustannych rozpraw między tą młodzieżą gorącą, niewykształconą, szydzącą sobie teraz z cytadeli, z której tak łatwo i tak tanim kosztem się wydostano. Liczni agitatorzy zjawiali się na posiedzeniach wieczornych w resursie i pytali głośno: kto wybrał Delegacyą? zkąd ona śmie przybierać sobie tytuł władzy narodowej? kto jej dał do tego prawo? do czego ona dąży? czego chce? Jeżeli, powiadano, Delegacya ma ostatecznie na celu powstanie, to po co to dziwne targowanie się z rządem, to odpychanie delegacyi prowincyonalnych, ci konstable narodowi, którzy niekiedy dopomagają Moskalom, chwytając agitatorów, „tych prawdziwych sług sprawy i ojczyzny“? Napróżno delegaci, dowiedziawszy się o tych krzykach, wysyłali jednego z pomiędzy siebie, żeby przed zgromadzoną i łatwo zapalającą się publicznością tłomaczył i usprawiedliwiał swych kolegów. Używano wszelkich środków dla uspokojenia krzykaczy. Raz mówiono, że część Delegacyi znajduje się w tej chwili u namiestnika i naradza się z nim nad przedmiotami pierwszorzędnej wagi; innym razem starano się przekonać zgromadzenie, iż rzeczy idą jak najlepiej, że niema powodu do niepokoju, że Delegacya w cichości kuje Jowiszowe pioruny na wroga, zawiązuje stosunki z Europą, przygotowuje środki, zapasy, pieniądze, że konstytucya się pisze, że redakcyą jej powierzono adwokatowi Augustowi Trzetrzewińskiemu....

Wszystko to jednak były półśrodki, wyżebrywanie, że, tak powiemy, porządku publicznego u ulicy. Ta szybko się przekonywała o nieprawdzie zapewnień Delegacyi i jeszcze bardziej się oburzała. Młodzież czerwona, mając śród siebie Nowakowskiego, znając jego odwagę straceńca, bez niewielkiego zachodu zdołała go przekonać, że Delegacya nic

nie robi i jest przeszkodą do rewolucyi, do powstania, które bez tych „mastodontów“, jak nazywano członków Delegacyi, byłoby już dawno wybuchło i Moskali wygnało. Dla dobra kraju, wołano, dla zbawienia ojczyzny, trzeba Delegacyą rozpędzić; poczem rewolucya sama się złoży, powstanie zerwie się na ulicach miasta, jak mickiewiczowski huragan na pustyniach Arabii, i zmiecie wszystko przed sobą.

Jakoż Nowakowski, nie wiele myśląc, w parę dni po swem uwolnieniu, d. 17 Marca, korzystając z Niedzieli, a ztąd z możności zgromadzenia większej liczby młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, niezajętej niczem w tym dniu, przy pomocy kolegi swego Szachowskiego, zebrał znaczny tłum krzykaczy wszelkiego rodzaju, uzbrojonych w kije, i wyruszył do resursy w zamiarze rozpędzenia siłą Delegacyi i ustanowienia na jej gruzach nowego ciała rewolucyjnego. Niesforna ta gromada, niewpuszczona zrazu, przez gwałt wtargnęła do sali resursy, krzycząc: „precz ze zdrajcami! bij zdrajców!“ Delegacya przestraszyła się tem najściem; jej członkowie, dalecy od naśladowania rzymskich senatorów, gotowych umrzeć na swych krzesłach kurulnych, nie wiedzieli co czynić, i w milczeniu, z oznakami widocznej obawy, słuchali wrzaskliwych wymyślań, obelg i wyrzutów. Na szczęście w sąsiedniej sali obradowała t. z. dyrekcya straży obywatelskiej przy dość znacznej liczbie konstabli narodowych. Ci pospieszyli na pomoc zagrożonej Delegacyi. Jakób Piotrowski, oburzony do najwyższego stopnia, pytał napastników: „kto jesteście? kto was upoważnił do targnięcia się na Delegacyą?“ Znany całemu miastu adwokat Trzetrzewiński, domyślny autor przyszłej konstytucyi polskiej, usiłował uspokoić napastników. Naprożno! głos jego przebrzmiał niesłuchany i zakrzyczany. Swoim stentorowym, olbrzymim głosem, wołał Nowakowski: „wy tu sejmikujecie, obradujecie, nic nie robicie, a tam w cytadeli dźwigają nasi bracia kajdany i naprożno oczekują oswobodzenia. Nie uwalniacie więźniów, więc niepotrzebni jesteście“. Jakkolwiek zarzut był niesłuszny, czego

najlepszym dowodem był sam Nowakowski, który z pewnością byłby siedział dotąd w dziesiątym pawilonie, gdyby nie Delegacya, przecież ta ostatnia usiłowała się tłomaczyć dość niefortunnie przez usta Karola Ruprechta, który był członkiem dyrekcyi straży bezpieczeństwa i nadbiegł na pomoc zagrożonej Delegacyi. „Czem więźniów oswobodzić, pytał, z czem pójdziemy na cytadelę, gdzie broń?“ — „Z pięściami uderzymy na cytadelę!“ rzekł na to Jeske, znany wśród kół młodzieży zwolennik Mierosławskiego i jeden z najgorliwszych promotorów zamachu na Delegacyą. Na taką odpowiedź nic nie pozostawało jak ruszyć ramionami i delegaci milczeli, słuchając z pokorą wymyślań i zarzutów zdrady. Hałas się wzmagał; scena stawała się niemożliwą do wytrzymania i trzeba jej było bądź co bądź położyć koniec. Za namową Szlenkiera podjął się tego Ruprecht. Wszedł na stół i pojawienie się tej postaci, źle oświeconej przez parę lamp wielkiej sali resursy, na pół ukrytej w mocnych, rembrantowskich cieniach, tej twarzy bladej, wysoce charakterystycznej, na której zdawały się odbijać wszystkie cierpienia i wszystkie męki polskie w kopalniach i tajgach sybirskich, zrobiło silne wrażenie. Uciszyło się nagle i wszyscy zwrócili oczy na szczupłą, w długi, czarny surdut ubraną postać Ruprechta, a Nowakowski wołał: „ciebie będziemy słuchali i tobie wierzę, boś ty był pod szubienicą i w kopalni na Sybirze!“ Wśród ciszy, stanowiącej dziwny kontrast z wrzawą przed chwilą panującą, Ruprecht począł mówić głosem miękkim, łagodnym, sympatycznym, że wysoce niewłaściwą jest rzeczą stawianie całej sprawy na kartę dla oswobodzenia kilku więźniów, którzy i tak będą uwolnieni. „Nie uwolniliśmy kilku więźniów, wołał, ale pracujemy nad uwolnieniem milionów niewolników, którzy dotąd praw nie posiadali“. Twierdził, że zarzuty czynione Delegacyi, jakoby nic nie robiła, są niesłuszne, gdyż zajęta jest ona tworzeniem projektu urządzenia miast na zasadzie równouprawnienia żydów; zbrataniem z tymi ostatnimi i z wyznawcami innych religii; społeczną reformą całego kraju. „Ale

wam Moskale nie pozwolą tego wykonać", przerwał Nowakowski. „Być może, odrzekł Ruprecht, ale przez nasze usiłowania pozyskamy dla kraju obcych nam dotąd żydów i inne wyznania i wzmocnimy przez to siły polskie", a zwracając się wprost do Nowakowskiego zapytał: „gdyby o uwolnienie twoje chodziło, czyż zgodziłbyś się, ażeby dla ciebie tak ważnych spraw zaniechano?" Łzy zajaśniały w oczach czerwonego rewolucyonisty, poczciwej w gruncie duszy polskiej, ale wypaczonej przez źle pojmowany patryotyzm. „O nie!" zawołał, i skruszony, nawrócony słowami Ruprechta, rzucił mu się w ramiona. Tą sceną rozrzewnienia, tym płaczem zakończył się zamach na „moralny rząd polski". Podczas gdy wystraszona Delegacya i liczni żydzi ściskali i całowali Ruprechta, Nowakowski wśród okrzyków: „niech żyje Delegacya! niech żyją konstable!" opuścił resursę i Delegacya ocalała.

Wieść o napadzie na resursę szybko rozbiegła się po Warszawie, wywołując rozmaite wrażenia. Ludzie spokojniejsi, zamożne mieszczaństwo warszawskie widziało w Delegacyi reprezentacyą własną, ztąd oburzone było na ludzi, „nie mających nic do stracenia", jak nazywało czerwieńców; młodzież zato, rewolucyoniści i agitatorzy ucieszeni byli, że napędzili trochę strachu „mastodontom". Oczywiście fakt napadu doszedł do uszów władzy i Gorczakow zgorszony nim, uważając go i słusznie za objaw rewolucyjny, wydał zaraz nazajutrz rozporządzenie, ażeby odtąd do resursy wpuszczani byli tylko jej członkowie i to za biletami, jak chciała ustawa tego klubu [1]). Oprócz tego zamach Nowakowskiego miał wydać jeszcze inny skutek, bezporównania większej doniosłości, świadczący wymownie o tym dziwnym nastroju umysłów, jaki panował w tych

[1]) W telegramie z d. 19 Marca namiestnik donosi o tem cesarzowi: „wielkie zgromadzenia bywały w resursie warszawskiej. Dnia wczorajszego wydano rozporządzenie, ażeby wpuszczono tam tylko członków za biletami, według ustawy. Względem innych zbiegowisk użyję odpowiednich środków".

czasach gorących. Skutek ten dał znać o sobie zaraz na dwunastem z kolei posiedzeniu Delegacyi, które się odbyło dnia 18 Marca, nazajutrz po napadzie czerwieńców na resursę.

Przedewszystkiem na posiedzeniu tem jenerał Jakób Lewiński złożył swym kolegom list, jaki otrzymał w dniu wczorajszym od jenerała Paulucci, w sprawie odezwy namiestnika z d. 16 Marca. W liście tym naczelnik policyi warszawskiej donosił, że ks. Gorczakow dlatego opublikował rzeczoną odezwę, iż dowiedział się, że w mieście znajdują się ajenci i prowokatorzy, pragnący wywołać zaburzenia; a oprócz tego trzeba było taką odezwę ogłosić, bo wiele osób aresztowanych w d. 25 i 27 Lutego broniło się tem, że jakoby nie wiedzieli o prawie zabraniającem manifestacyi. Co się zaś tyczy rady municypalnej, to namiestnik projekt odnośny kazał już przygotować [1]). Delegacya, wysłuchawszy tego listu, jeszcze raz zrobiła uwagę, że, z powodu wzmiankowanych w nim prowokatorów, konieczność utrzymania dalszego straży obywatelskiej okazuje się widoczną i dlatego prosi o upoważnienie użycia straży rzeczonej w razie potrzeby. Jakkolwiek oznaki zewnętrzne, dla rozpoznawania osób należących do straży obywatelskiej, byłyby bardzo pożyteczne, wszelako Delegacya, w skutek żądania władzy, zrzeka się tego warunku i w zamian zaopatrzy każdego, do tej służby należącego obywatela, w bilet, dla okazania w razie potrzeby. Na to wszystko Paulucci się zgodził.

Gdy się ukończyła ta sprawa, wystąpił Ksawery Szlenkier i oświadczył, że: z uwagi, iż Delegacya powinna o wszystkiem co się dotyczy dobra i spokoju miasta wiedzieć, oznajmił, że wczoraj na zebraniu kupieckiem w resursie, na którem było przeszło dwieście osób, zapadła uchwała, ażeby istniejące od r. 1817 dwie oddzielne listy kupieckie, chrześcijańską i żydowską połączyć w jedną, „a to dla dania jawnego i głośnego objawu tolerancyi dla

[1]) Tekst listu znajduje się w protokółach Delegacyi.

wyznawców religii mojżeszowej, którzy okazali żywe sympatye dla sprawy ogólnej w ostatnich wydarzeniach kraju [1]). Domagał się więc Szlenkier, ażeby za staraniem Delegacyi protokół ten był ogłoszony w gazetach, gdyż może on posłużyć za przykład dla innych stanów w kraju. Wniosek ten Delegacya przyjęła z entuzyazmem, z widocznym akcentem, że czuje olbrzymią jego doniosłość, że wszystko zrobi, co będzie można. Dziękowano Szlenkierowi, mówiono mu, że dobrze zasłużył się ojczyźnie, że to, co dotąd było tylko w teoryach, w pragnieniach i aspiracyach narodowych, on urzeczywistnił i doprowadził do skutku. Gdy się wiadomość o tem ukazała w dziennikach, entuzyazm nie był mniejszy, admiracya dla Szlenkiera, który potrafił odczuć potrzebę chwili, powszechna. „Gazeta warszawska“ wołała: „dziwne są koleje losów ludzkości i narodów! to, nad czem od Czackiego, Kołłątaja, Niemcewicza, tylu najznakomitszych obywateli pracowało, w jednym dniu posunęło się dalej naprzód, niż w normalnych stosunkach posunąćby się mogło w lat pięćdziesiąt“.

Za przykładem kupców poszły wkrótce i cechy rzemieślnicze. Dnia 20 Marca, a więc w dwa dni po uchwale, łączącej dwie listy kupieckie w jedną, zebrali się w resursie przemysłowcy, fabrykanci i rzemieślnicy i postanowili przypuścić żydów do cechów i zgromadzeń na tych samych warunkach, co i chrześcian. Uchwała ta zapadła z gorącą, krzykliwą nieco jednomyślnością, możliwą tylko w takich czasach [2]). Bratano się z żydami, nazywano ich

[1]) Uchwała ta pomieszczoną jest w protokółach Delegacyi miejskiej.

[2]) Na tem zebraniu postanowiono także na wniosek ks. Steckiego założyć resursę rzemieślniczą. Myśl tę powziął ks. Stecki jeszcze w Sierpniu 1858 r.; w r. 1860 zrobił odpowiednie przedstawienie do Komisyi spraw wewnętrznych. Komisya w zasadzie zgodziła się na to i odniosła się do prezydenta miasta, który d. 28 Lutego zwołał znakomitszych fabrykantów i starszych zgromadzeń cechowych na szereg sesyi, mających się zająć tą sprawą. Na sesyach tych uradzono: „ażeby w przedmiocie organizacyi nowej resursy i obmyślenia koniecznych na to funduszów porozumieć się jeszcze

dziećmi jednej ziemi, Polakami, wyznającymi religią mojżeszową. Weszło w modę chodzenie do synagog na nabożeństwa żydowskie, zapraszanie nawzajem żydów do kościołów katolickich, co miało być oznaką zlania się dwóch narodów. Po miastach i miasteczkach, na ogromne zdziwienie ludu prostego, oburzenie wielu chłodniejszych, pojawiali się po kościołach żydzi, nieraz obszarpani, brudni, należący do warstw najniższych, w czapkach na głowach, sami wystraszeni nieco i nie bardzo pojmujący, po co tu przyszli i czego od nich chcą. W ogólności przesada, tak właściwa tej epoce, wywoływała mnóstwo tego rodzaju scen niesmacznych [1]).

---

ze wszystkiemi zgromadzeniami rzemieślniczemi i żądać od nich wiadomości, o ile by w tej mierze mogli i byli w pogotowiu przyjść z pomocą". Na skutek tego zredagowany przez ks. Steckiego projekt przesłano rzemieślnikom i fabrykantom w Kwietniu 1860 r. wraz z listą, w której proszono o deklaracyą, ile kto dać może na założenie resursy. Projekt ten jednak nie znalazł śród rzemieślników zbyt chętnego przyjęcia.

Sprawa ta poruszona jeszcze raz w r. 1861 do niczego nie doprowadziła. Ks. Stecki biegał za tem, zachęcał. Wystąpiono w d. 12 Lipca 1861 r. do Rady administracyjnej Królestwa o przyspieszenie zatwierdzenia resursy, ale na wniosek ówczesnego jenerał-gubernatora Gerstenzweiga projekt Rada odrzuciła i zatwierdzenia stanowczo odmówiła.

[1]) Żywo przeciw manifestacyom takim i innym, przeciw nadużywaniu nabożeństw i kościoła, powstał w d. 20 Marca „Kuryer warszawski". „W ogólnem zespoleniu się w jedno kółko bratnie, pisze on, daliśmy już dowody i tej siły moralnej i tej dojrzałości, jaka zaprawdę przynosi chlubę każdemu. Ale nie dosyć raz się zjednoczyć i na tem poprzestać; trzeba i nadal jedną zespolić się myślą, jedną oddychać dążnością. Odtrąciwszy od siebie podszepty mniejszości, usłuchać trzeba głosu rozumu i postępować w ślad za tą wskazówką, która miłość kraju nad wszelkie obowiązki przekłada. Spokój zatem i tylko spokój powinien być hasłem każdego uczciwego człowieka, każdego dobrze myślącego Polaka. Głuche ciągle wieści, które nakształt wody nurtują nieustannie, by brzegi i lądy poderwać, nie przestają dochodzić i do nas także, przejmując nas obawą najsmutniejszych następstw. Tymi zaś wichrami są to owe obchody, jakie pod maską religijnej procesyi, okrywają miano zgro-

Objawem tego zbratania się „wszystkich dzieci jednej matki-ojczyzny“ był krzyż, jaki ofiarowali żydzi warszawscy do kościoła OO. Bernardynów w miejsce złamanego podczas demonstracyi przed Zamkiem. W zamian za to, ktoś powziął myśl zakupienia drogą składki publicznej świecznika pamiątkowego do synagogi żydowskiej. Po mieście krążyła w tym celu lista, na której każdy się podpisywał ze swoją, choćby najskromniejszą ofiarą. Gdy sprawa ta jednak zbyt długo się wlokła i nie zdawała się budzić w społeczeństwie takiej ofiarności na jaką liczono, „Gazeta warszawska“, ta sama, która przed paru laty była zaciętą nieprzyjaciółką żydów, wołała: „pewni jesteśmy, że na lekko nie przedsięwzięto tej pięknej zamiany pamiątek; że raz ją postanowiwszy nie cofniemy się. Byłoby to nadto smutnym symptomatem, że nie umiemy wytrwać tam, gdzie powinniśmy“.

Przybierało to niekiedy cechę śmieszną dziś dla nas. Ktoś zaproponował w „Kuryerze warszawskim“, ażeby nazwiska żydowskie zakończone na „berg, feind, sohn“ i t. p. zamienić na polskie, żeby zepsuty ich żargon zastąpić językiem krajowym, znieść różnicę ubiorów „boć, kończy

madzeń, czyli tak zwanych manifestacyi. Zastanówmy się przeto z całą sumiennością, do czego nas doprowadzić mogą tego rodzaju objawy. Chwalmy Boga w świątyni, gdzie ku czci Jego wzniesione są ołtarze, chwalmy Go myślą i całem sarcem. Ale nie nadużywajmy imienia Jego na ulicach miasta, nie zasłaniajmy się obrazami Jego jak tarczą przeciw takim pociskom, których uniknąć możemy, zwłaszcza gdy Kościół, ta matka nasza nie uznaje owych pochodów. Nie jest to, zacni czytelnicy a spółbracia nasi, głos z jakiejkolwiek bądź strony poddany, jest to głos serca, głos sumienia naszego, który gwałtownie wydziera się do was, ilekroć owe głuche wieści obijają się o nas“.

„Wyryjmy sobie głęboko w duszy naszej, wyryjmy sobie na czołach naszych owe święte godło, że każdy nieprzyjaciel porządku, a przedewszystkiem spokoju, jest zarazem nieprzyjacielem i własnego kraju, a możecie być pewni, że żadna siła podszeptów i nienawiści nie zdoła nas strącić z tej drogi, na jakiej raz okupem ofiar stanęliśmy“.

projektodawca, jesteśmy dziećmi jednej matki". Oczywiście były to pobożne życzenia, które w praktyce, zwłaszcza wobec ciemnych mas żydowstwa, urzeczywistnić się nigdy nie miały.

To gwałtowne wciąganie żydów w ruch rewolucyjny, bratanie się z nimi, zbyt manifestacyjne, by mogło ujść czyjej uwagi, sprowadzanie ich na nabożeństwa do kościołów, silne wrażenie robiło na ludzie prostym, na licznej rzeszy chłopskiej, która nie rozumiejąc, co się koło niej robi, patrzała na wszystko nieufnie i podejrzliwie. „Panowie znów coś knują", mówili sobie chłopi, widząc żałobę, w jaką się dwory i miasta przybierały; nabożeństwa, krzyże, maskaradę w strojach; pieśni, jakich dotąd nie słyszano. Od tego wszystkiego chłop trzymał się zdaleka i widocznie przybierał postawę niechętną. Układy o czynsze wlokły się leniwie, gdyż obie strony brały się do nich z wahaniem. Wśród mas ludowych przebiegał jakiś tajemniczy prąd wielkich nadziei, dochodziły skażone i przesadzone odgłosy reformy włościańskiej w Rosyi, budząc żądze i nadzieje ogromne. Chłop polski z natury podejrzliwy, co było owocem długowiecznej niewoli i ucisku, nie chciał się wiązać układami czynszowymi, gdyż powszechnie sądził i, jak czas pokazał, nie mylił się, że ziemię otrzyma na własność. W Skalbmierskiem trzydzieści przeszło wsi wprost odmówiło układów o czynsze, a nawet w oczekiwaniu uwłaszczenia odmawiali pańszczyzny, a głuche wieści, obiegające po kraju, nastrój nerwowy całego społeczeństwa utwierdzał ich w tem postanowieniu. We wzmiankowanem Skalbmierskiem, na pograniczu z Galicyą, gdzie zdawała się żyć jeszcze krwawa tradycya „rabacyi", ta odmowa pańszczyzny wywołała śród szlachty żywą i przesadzoną obawę [1]). Wielu z pomiędzy nich, zapominając o dobru sprawy ogólnej, o potrzebie zyskania na swą stronę ludu, mając jedynie na względzie całość swych głów i kieszeni, żądało od

[1]) Obawa ta sięgała tak daleko, że synowa Wielopolskiego, bawiąca w tym czasie w Chrobrzu, śpiesznie go opuściła.

władz miejscowych pomocy do zmuszenia chłopów, by wypełniali, jak mówili, swe powinności względem dworu. Władze oczywiście, z mocy obowiązującego prawa, nie mogły odmawiać takim żądaniom i zwykle w nieposłusznej wsi zjawiali się kozacy i szeregiem surowych, bolesnych egzekucyi zmuszali chłopów do uległości. Postępowanie takie nie mogło w żadnym razie przyczynić się do załagodzenia mocno naprężonych stosunków między dworem i chatą, a z drugiej strony nie kładło całkiem tamy owym wieściom, których źródła nikt nie znał, a które umysły ludu trzymały w stanie ciągłej gorączki. Liczna sfera oficyalistów dworskich, niechętna tym, którym służyli; podrzędni urzędnicy, pisarze w magistratach, kanceliści, pokątni doradcy, politycy małomiasteczkowi, cały ów proletaryat pseudointeligencyi, który żył po miastach w nędzy i patrzał na dostatek szlachty, ztąd nienawidzący jej, usprawiedliwiający swą nienawiść teoryami z kilku źle przeczytanych książek zaczerpniętemi, podsycali ten niepokój, rzucając tu i owdzie niebaczne słówko do ucha chłopskiego. Wszyscy oni, cała ta klasa ludzi naprawdę nie wiedziała, jakie może być wyjście z zawiłej kwestyi chłopskiej, a usłyszawszy coś o wykupie czynszów, sądziła, że to jest ze szkodą ludu. Zadość czyniąc nurtującej ich nienawiści i niezadowoleniu, przelewali to niezadowolenie przy każdej sposobności w chłopów. Prócz tego pojawiali się tu i owdzie ajenci, włóczący się po kraju z widocznymi zamiarami prowokowania ludu i rzucenia go na szlachtę. Trudno dziś dociec, czy rzeczeni ajenci wysyłani byli przez rząd, mianowicie przez Muchanowa, czy też działali na własną rękę. To pewna, że widziano takich ajentów w Gostyńskiem, w Krakowskiem, Lubelskiem, na Podlasiu i w Augustowskiem. W tej ostatniej gubernii mówiono, że rolę ajentów wzięło na siebie kilku junkrów wojskowych, poprzebieranych za studentów; być może wreszcie, iż to byli prawdziwi studenci, wysłańcy Czerwieńców, różnych komitetów warszawskich, które po wypadkach Lutowych rozpuściły ajentów, by kraj organizowali. Młodzież ta, czerwoni de-

mokraci, Mierosławczycy, zacietrzewieni wrogowie szlachty, z pewnością nie szczędzili tej ostatniej w swych pogawędkach z chłopami, malując ją w kolorach jak najczarniejszych. Jeżeli atoli tutaj ajenci, podburzający lud, mieli dwuznaczny, niezdecydowany charakter, to gdzieindziej występują oni wyraźnie, jako działający z ciężkiej ręki Muchanowa. Obiegała pogłoska, że w Lubelskiem włóczy się po wsiach mnóstwo kryminalistów, uwolnionych z Zamościa, którym polecono spełnianie niecnej roli podburzycieli chłopów. Niejaki Smokowski, przebrany za żebraka, obiegał Radomskie i Kieleckie i siał ziarna wichrów i burzy ludowej. Złapany w okolicach Miechowa, odesłany został do gubernii, do Radomia, w drodze jednak zdołał zbiedz z pod straży. Zjawił się w jakiś czas potem w Suchedniowie pod Kielcami i w karczmie, gdzie znajdowało się wielu górników i robotników z miejscowych fabryk, ludzi więcej oświeconych, gdy rozpoczął wygłaszać swe zdania, został schwytany, nielitościwie zbity i odstawiony do Radomia. Co się z nim stało, nie wiemy. W temże Miechowskiem, major żandarmeryi, noszący historyczne i arystokratyczne nazwisko Osten-Sacken, w towarzystwie kilku podejrzanych ludzi (niejakiego Wagnera, Krzyżanowskiego i Malinowskiego), jeździł po powiatach: miechowskim, olkuskim i stopnickim, i zachęcał chłopów do nieposłuszeństwa szlachcie [1]). W Płońskiem, we wsi Siekluki przytrzymano niejakiego Marcina Jabłońskiego, dymisyonowanego żołnierza z pułku Muromskiego piechoty, który, zaszedłszy do karczmy, zapewne po pijanemu, prawił, że „cesarz płaci za każdego szlachcica zabitego lub przebitego *sztykiem* (bagnetem), po 25 rs. chłopu, który to uczyni“.

Wszystkiemu temu włościanie chętnie wierzyli; w upowszechniającej się coraz bardziej pieśni „Boże, coś Polskę“, słyszeli nie słowa „ojczyznę“, ale „pańszczyznę racz nam

[1]) Obiegała pogłoska, której sprawdzić nie mogliśmy, że Malinowskiego chłopi gdzieś w Stopnickiem zabili. Przy zabitym miano znaleźć bardzo kompromitujące rząd rosyjski papiery.

wrócić, Panie". Wzburzenie było widoczne i wyraźne, obawy ogromne, choć w gruncie rzeczy z ciężkim i nie łatwym do poruszenia chłopem polskim niebezpieczeństwo nie było ani zbyt groźne, ani blizkie. Niepokój jednak był powszechny i wzmógł się jeszcze bardziej i doszedł do wysokiego stopnia gorączki na skutek wieści o tajnym okólniku, wydanym przez Muchanowa. Dokument ten był najwymowniejszym dowodem, że wielki wezyr warszawski, jak nazywano Muchanowa, wyznawca starej, Meternichowskiej metody rządzenia narodem, gotów jest do wszystkiego i nie cofnie się przed niczem, że z jego ręki, która tyle już szkód i ciosów narodowi zadała, jak z puszki mitycznej Pandory, spaść mogą na kraj nowe klęski, nowe plagi i nowe nieszczęścia. Cyrkularz, o którym mowa, wysłany został przez Muchanowa, jako dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych, do wszystkich gubernatorów, a ci zaś mieli o nim uwiadomić naczelników powiatowych, burmistrzów i sołtysów wiejskich, z pominięciem atoli wójtów gmin, gdyż ci składali się po większej części ze szlachty [1]). Nakazywał on rozwinięcie nadzwyczajnej baczności policyjnej i nadzoru nad wszelkiego rodzaju osobami, które władzom miejscowym mogą się wydać podejrzanemi, jako to: nad podróżnymi, nad cudzoziemcami, nad przybywającymi z zagranicy i t. p. Najważniejszym jednak był paragraf czwarty, w którym polecano władzom administracyjnym i policyjnym Królestwa, ażeby wpajały w chłopów, iż: „rząd, starając się szczególnie o ich dobro, oczekuje, że oni nietylko nie będą słuchali poduszczeń do nieporządków, ale nawet,

[1]) Autentycznego tekstu cyrkularza nie udało nam się odszukać, pomimo usilnych starań. Mieliśmy więc przed sobą tekst wydrukowany przez Lisickiego w dziele „Aleksander Wielopolski", oraz ten, jaki rozprzestrzeniła w tysiącach litografowanych egzemplarzy Delegacya warszawska, i parę przekładów rosyjskich. Otóż oba teksty polskie różnią się między sobą. Uważamy cyrkularz, jaki miała w swym ręku Delegacya, za autentyczny, choćby dlatego tylko, że otrzymała go z pierwszej niejako ręki, bo od gubernatora warszawskiego, Łaszczyńskiego.

dla zachowania ogólnego porządku, każdego, któryby się pojawił między nimi, poduszczającego burzyciela, będą zatrzymywali i odstawiali do najbliższej władzy". Było to wyraźne i jasne oddanie władzy w ręce zaniepokojonego mocno i niechętnie na dwory patrzącego chłopa, ale nie było wcale czemś nowem w rządzie rosyjskim. Sam cyrkularz był starym pomysłem. Powstał on pierwotnie w czasie ruchów rewolucyjnych w r. 1846, i teraz wydobyto go po raz piąty z pyłu archiwów kancelaryi przybocznej namiestnika i przesłano d. 17 Marca Komisyi spraw wewnętrznych, bez wiedzy Rady Administracyjnej. Gorczakow prawdopodobnie uwagi nań nie zwrócił, jako na akt dawny i co jakiś czas peryodycznie się powtarzający, nie zastanowił się zresztą nad tem, że bądź co bądź jest to krok zdrożny, a nadewszystko w obecnych okolicznościach nader niebezpieczny i niezręczny. Sam cyrkularz ukazał się d. 19 Marca i tegoż jeszcze dnia gubernator warszawski, Łaszczyński, dokument ten, jakkolwiek był tajny, zakomunikował Delegacyi warszawskiej, sam zaś odmówił jego wykonania i zagroził, że w razie przeciwnym zażąda dymisyi [1]).

W Warszawie wieść o pojawieniu się okólnika Muchanowa, rzec można, piorunem się rozeszła i wywołała niesłychane oburzenie, które Czerwieńcy starali się rozdmuchiwać i sztucznie podtrzymywać. Oto, mówili, macie przyrzeczenia i obietnice, jakiemi was łudzą w Petersburgu i w Zamku; oto koncesye. Podczas kiedy zapowiadają wam reformy, najwierniejszy sługa carski pracuje nad planem wojny domowej, nad rzezią. Czyż w obec tego można w czem-

[1]) Wiadomość, podana przez Gillera w „Dziejach Delegacyi warszawskiej", a zaczerpnięta z plotkarskiej korespondencyi do „Czasu" (którą podobno sam pisał), jakoby o cyrkularzu Muchanowa dowiedzieli się najpierwsi żydzi i swoją pantoflową pocztą uwiadomili wójtów i szlachtę, by się miała na baczności, nie wytrzymuje krytyki. Okólnik, po dostaniu się do rąk Delegacyi, w tysiącznych odpisach począł obiegać po kraju i pantoflowa poczta żydowska nic tu nie miała do czynienia.

kolwiek polegać na rządzie, ufać jego przyrzeczeniom i łaskom? Słowa te, jakkolwiek w gruncie rzeczy niesprawiedliwe, znajdowały jednak wszędzie chętne ucho, wszędzie oburzano się na Muchanowa. Członkowie Rady Administracyjnej, jak: Łęski, dyrektor Komisyi skarbu, Drzewiecki, dyrektor Komisyi sprawiedliwości, Funduklej, senator, i inni, oświadczyli namiestnikowi, iż postępowanie Muchanowa jest ubliżające innym członkom rządu, iż za akt, który był sporządzony bez ich wiadomości, nie biorą na siebie odpowiedzialności, że zmuszeni będą podać się do dymisyi, jeżeli samowola Muchanowa nie będzie powstrzymaną. Od gubernatorów też nadchodziły protestacye. Wspomnieliśmy już, że Łaszczyński wprost odmówił publikacyi okólnika i zdradził nawet tajemnicę rządową, komunikując go Delegacyi. Opperman, gubernator radomski, i Mackiewicz, lubelski, zażądali objaśnień i bliższych instrukcyi, gdyż nie wiedzą, jak sobie cyrkularz tłómaczyć.

Delegacya warszawska, „ów moralny rząd polski“, nie zasypiała ze swej strony sprawy. Zrozumiała ona, że jest to jedyna chwila, w której będzie można uderzyć skutecznie w znienawidzonego „wezyra“, i obalić go pod brzemieniem oburzenia powszechnego. Przedewszystkiem więc dla zaprotestowania przeciw mniemaniom, jakoby ona nie szła ręka w rękę ze szlachtą, tegoż samego dnia jeszcze, 19 Marca, udała się deputacya z siedmiu członków Delegacyi złożona, z księdzem Wyszyńskim na czele, do Zamoyskiego, jako prezesa, i do Ostrowskiego, jako wiceprezesa Towarzystwa rolniczego, by w imieniu miast polskich i stanu mieszczańskiego w ogólności wyrazić im, jako reprezentantom obywateli wiejskich, wdzięczność i uznanie za inicyatywę w sprawie uwłaszczenia, tyle ważnej dla kraju i za uczucia pojednania i równości, jakie dla chłopów szlachta polska okazała. Przyjęto ich radośnie, Zamoyski z pewnem zakłopotaniem, że mu dziękowano za to, czego on nie zrobił, czemu był zawsze i stanowczo przeciwny. Trzeba było jednak oświadczenia burżoazyi przyjmować za dobrą monetę i cieszyć się niemi na chłodno.

Do wzburzenia i niepokoju ogólnego przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Od kilku dni poczęła obiegać po mieście lista osób „złej wiary“, to jest złych Polaków, Bóg wie przez kogo sporządzona i podająca częstokroć najszanowniejszych i najuczciwszych ludzi pogardzie publicznej. Mówiono, że pierwotnie lista rzeczona wydrukowana była w „Kołokole“ Hercenowskim w Londynie. Bądź co bądź, znajdowała się ona we wszystkich rękach i rosła bardzo szybko, dzięki temu, że częstokroć prywatna zemsta lub nienawiść osobista pomieszczała nazwiska ludzi, którym nawet ze stanowiska czerwonego patryotyzmu nic zarzucić nie można było. Okoliczność ta wywołała powszechne zaniepokojenie. Każdy, choćby był niewinny jak nowonarodzone dziecię, mógł się znaleźć w tym spisie i uchodzić w oczach tłumów za zdrajcę kraju. Trzeba było temu koniecznie zapobiedz. Pod wpływem Delegacyi gazety miejscowe wystąpiły przeciw takiemu pomiataniu dobrem imieniem najszanowniejszych nieraz ludzi. W „Kuryerze warszawskim“ ukazał się tak zwany „artykuł z krzyżem“ dla tego, że na jego początku pomieszczony był znak krzyża, potępiający ową listę. Inne gazety to samo zrobiły; nakoniec Delegacya na swem trzynastem z kolei posiedzeniu, które przypadło d. 20 Marca, zaznaczyła w protokóle swój pogląd na tę sprawę. „Doszło do wiadomości Delegacyi, brzmi wzmiankowany ustęp w litografowanym protokóle, że cyrkulują po mieście listy, jakoby to z pism zagranicznych wypisane, szarpiące honor różnych, a nawet i nader poważnych osób. Nie mogąc być obojętną w tak ważnej okoliczności, Delegacya przedsięwzięła wszelkie, od niej zawisłe, środki dla sprawdzenia tej przynajmniej okoliczności, czyli była istotnie lista jaka w pismach zagranicznych ogłoszoną, ale przekonania tego bynajmniej nie nabrała. Gdy zatem wszelkie jest prawdopodobieństwo, że listy te, na których coraz to nowe wymienione są nazwiska, są poprostu dziełem nierozwagi i złośliwej swawoli, Delegacya czuje się w obowiązku przestrzedz publiczność i uprasza, aby mniemanym listom, żadnej cechy autentycz-

ności nie mającym, wiara dawaną nie była. Honoru cudzego szarpać i mieszkańców jednych przeciw drugim podburzać wcale nie wypada. Każdy przeto dobrze myślący obywatel powinien wpływem swoim dalszemu rozprzestrzenianiu nieuzasadnionych paszkwilów zapobiegać".

Ukończywszy sprawę z listą „ludzi złej wiary", brzydkim płodem powszechnej gorączki i nikczemności ludzkiej, Delegacya zajęła się zaraz inną, niemniej ciekawą i niemniej charakterystyczną sprawą studentów uniwersytetu petersburskiego. Znaczna bowiem ilość tej młodzieży, pomimo, że w początkach Lutego policya wielu zmusiła do wyjazdu, przebywała ciągle w Warszawie, brała udział we wszystkiem i gorączkę ogólną podniecała. W obec tego policya warszawska, właśnie w tym czasie, zawiadomiła pozostałych jeszcze w stolicy, że powinni z niej wyjechać, i termin tego wyjazdu naznaczyła najpóźniej na dzień 22 Marca. Delegacya, dowiedziawszy się o tem od samych studentów, którym nie chciało się w takich czasach opuszczać miasta, a z niem roli zbawców i sterników losami ojczyzny, postanowiła się w tę sprawę, która w żadnym razie do niej nie należała, całkiem niepotrzebnie wmięszać. Uderzyła więc ostro na Paulucciego, dlaczego nie uwiadomił ją wprzódy o takim środku niezwykłym; że rozkaz ten powinien być niezwłocznie odwołany, bo nie ma on żadnych prawnych i usprawiedliwionych podstaw. „Moralny rząd polski", osiwiali ojcowie rodzin, zasiadający w Delegacyi, zapomnieli o tem, że zadaniem młodzieży uniwersyteckiej jest pilnowanie książki, oddanie się nauce, a nie mięszanie się do spraw politycznych. Paulucci, który nie przestawał kokietować z rewolucyą, odrzekł, że policya nie będzie przynaglała studentów do wyjazdu. Rezultatem tej karygodnej słabości było to, że żaden z nich z Warszawy nie wyjechał, a ufni w obronę Delegacyi, tem śmielej rzucili się we wszystko pochłaniający wir rewolucyi.

Na owej trzynastej sesyi swojej Delegacya zachowała najważniejszą, najdonioślejszą w tej chwili sprawę, sprawę okólnika Muchanowa na sam koniec. W tonie chłodnym

niezwykle spokojnym i ostrożnym, z widoczną obawą przed strasznym „wezyrem“, który dotąd rządził samowładnie krajem, Delegacya wniosła do swego protokółu następujące słowa: „z powodu wydanego okólnika do gubernatorów cywilnych, rozporządzającego różne środki nadzwyczajne, mające być zaleconymi niższym władzom administracyjnym i policyjnym, Delegacya uczyniła do J. O. ks. namiestnika przedstawienie, oparte na jednomyślnem wyrażeniu się opinii publicznej i prosiła Jego ks. Mość o przedsięwzięcie właściwych środków w celu uspokojenia i przywrócenia zaufania, powyższem rozporządzeniem wstrząśnionego“. Prócz tego delegaci zwrócili się do Paulucciego z gorącą i nieraz namiętnie wypowiadaną prośbą, ażeby im dopomógł w tym wypadku, by zapobiegł strasznym skutkom cyrkularza. Paulucci oczywiście, jak zawsze, chętnie się na to zgodził.

Tymczasem w mieście oburzenie wzrastało. W miarę, gdy wieść o okólniku i sam ten dokument rozpowszechniał się coraz bardziej, powszechna nienawiść do Muchanowa dochodziła do swego apogeum, do gorączki nieomal. W resursie kupieckiej, wieczorem tegoż dnia, gdzie zgromadziło się właśnie mnóstwo rzemieślników i przemysłowców i obradowało pod przewodnictwem Szlenkiera nad przypuszczeniem żydów do cechów, nienawiść ta wybuchła, jak długo powstrzymywany wulkan, obelgami i okrzykiem: „precz z Muchanowem! precz z Muchanowem!“ To jednak było tylko dowodem szczerej i niczem nieukrywanej nienawiści ogólnej do „wezyra“, ale nie zapobiegało złym skutkom, jakie mógł wywrzeć na chłopów okólnik. Rzeczą pierwszorzędnej wagi było zapobiedz temu i osłabić wrażenie cyrkularza. Wydawało się wszystkim, że obowiązek ten leżał przedewszystkiem na Towarzystwie rolniczem, a raczej na jego Komitecie, który po ostatniem swem posiedzeniu, na którem uchwalono uwłaszczenie, zapadł w drzemkę, a raczej, zapominając o ludzie, zajął się wielką polityką: odsunąwszy na drugi plan sprawę chłopską, jakoby mniejszego znaczenia, poświęcił się cały sprawie niepodległości,

która w jego oczach była najważniejszą i najpierwszą. Gdy się więc w Komitecie dowiedziano o wysyłce Karnickiego do Petersburga, postanowiono także wyprawić tam kogoś od siebie, któryby przypatrywał się działalności rządowego posła i donosił zaraz o tem Komitetowi. Misya taka wydawała się członkom Komitetu tem potrzebniejszą, że Polacy w Petersburgu zamieszkali, a mający stosunki z Klemensowczykami, pragnęli mieć dla dobra sprawy polskiej, która weszła wtedy na porządek dzienny w stolicy caratu, dokładne nocye o znaczeniu i rozciągłości ruchu warszawskiego. Misyi tej podjął się mecenas, Wincenty Majewski, brat Karola, człowiek rozumny, zręczny i niepospolitą obdarzony inteligencyą. Pod pozorem jakiejś sprawy sądowej hrabiów Potockich, Majewski wyjechał do Petersburga, a w ślad za nim, Gorczakow, dowiedziawszy się o tem i przerażony tym wyjazdem, któremu przypisywał widocznie większe niż miał w istocie znaczenie, wysłał telegram do ministra wojny tej treści: „do ministra wojny, d. 28 Lutego (10 Marca). Doszło do mej wiadomości, że adwokat warszawski Majewski wyjechał do Petersburga. Jest on członkiem tutejszego Towarzystwa rolniczego i bardzo niebezpiecznym człowiekiem (opasnyj czełowiek). Należy baczną na niego zwrócić uwagę. (Nado za nim strogo nabliudat)“. Jakoż ówczesny szef żandarmów Dołgorukow kilkakrotnie wzywał do siebie Majewskiego, wypytywał go, co robi w Petersburgu, prosił, by mu objaśnił źródło wypadków warszawskich i ostateczne żądania Polaków. Majewski z rozmów tych z Dołgorukowem i innymi dygnitarzami nabył przekonania, że byle Polacy nie wspominali o t. z. prowincyach zabranych, byle się trzymali ściśle w granicach Królestwa kongresowego, to mogą się spodziewać bardzo szerokiej autonomii. Umiał on się nader zręcznie wszędzie dostać, była nawet chwila, że miał nadzieję być wezwanym do cesarza dla objaśnień. Bądź co bądź Komitet Towarzystwa rolniczego miał przez niego najdokładniejsze wiadomości o tem, co się robi i mówi w Petersburgu, i dlatego zapewne wolał uprawiać szeroką politykę, niż myśleć o ma-

łej, domowej, ale — podług nas — stokroć ważniejszej i zasadniczej.

Dzięki tym przyczynom, uchwała o uwłaszczeniu bardzo powoli dochodziła do wiadomości ogółu, a chłopi o niej mieli nocye bardzo słabe, mętne i niepewne. Wprawdzie wina tego stanu rzeczy leży po części na samym rządzie, na jego poglądach policyjnych i krótkowidztwie. Dzienniki bowiem, które najszybciej i najlepiej mogły poinformować kraj o tem, co się stało, zaraz po skończonych posiedzeniach Towarzystwa odebrały rozkaz cenzury, ażeby nie rozpisywały się o postanowieniu uwłaszczenia, które nie było na rękę Muchanowowi, który zgodnie ze swą polityką nie chciał, by Królestwo uprzedzało w czemkolwiek cesarstwo, żeby chłop nakoniec nabierał przekonania, iż wszelka poprawa w jego losie pochodzi nie od rządu, ale od szlachty. To też dzienniki milczały, albo całą rzecz omawiały takimi frazesami, jak np., że „myśl uwłaszczenia włościan, przyjęta przez obywateli naszych, jest faktem potężnego historycznego znaczenia“, lub — jak się wyraziła „Gazeta warszawska“ — myśl ta „jest zgodna z duchem naszego wieku“. Frazesa takie nic nie objaśniały i niczego nie uczyły, a Komitet, który mógł coś zrobić przy pomocy silnej i obszernej organizacyi Towarzystwa, brał się do rzeczy bardzo powoli. Dnia 3 Marca dopiero osobną odezwą zawiadomił wszystkich właścicieli o zapadłych uchwałach [1]),

[1]) Odezwa ta brzmi: „Komitet Towarzystwa rolniczego. W celu dokładnego powiadomienia kraju o uchwałach tegorocznego Ogólnego Zebrania, dotyczących urządzenia stosunków włościańskich, podaje uchwały te do wiadomości publicznej, zanim w Rocznikach Towarzystwa wraz z wywodami ogłoszone zostaną. 1) Zebranie Ogólne uznaje, że pośpiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju. 2) Uznaje, że w dobrowolności umów widzi Zebranie Ogólne najwłaściwszą podstawę działania w przemianie stosunków włościańskich, dopóki nie będą wyczerpane wszelkie środki w zakresie tej zasady będące, a obmyślanie i stosowanie tych środków za obowiązek obywatelski poczytuje. 3) Objawia życzenie, aby przez właściwie obmyślaną operacyą kredytową, skup czynszu na celu mającą, włościanie doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów. 4) Objawia życzenie,

a d. 12 Marca zaledwie rozesłał instrukcyą do członków korespondentów, w której wykazał „sposób postępowania i obowiązki, jakie z tych uchwał w obec teraźniejszego położenia rzeczy dla nich, jako obywateli kraju, wynikały“. Instrukcya ta wszakże, skreślona w chwili, gdy Komitet oswobodzony był od nacisku gorętszych swych członków, a zatem ulegał wpływowi Zamoyskiego i Klemensowczyków, zapominała zupełnie o uwłaszczeniu, a natomiast polecała szlachcie okazywać „postępowaniem swojem wydatną tylko dążność do oczynszowania;“ przestrzegała przed zgubną agitacyą, przed nierozważnemi słowami, „zbyt głośnemi obietnicami;“ radziła „roztropność, spokojny umysł, wstrzemięźliwość w zapędach, uległość dla przyjętego hasła;“ zapewniała, że Komitet nie ma „myśli jednorazowego, albo nagłego załatwienia tak ważnej sprawy;“ oświadczała, że Komitet chce, „ażeby w obec ludu wiejskiego zamierzone przekształcenie utrzymać w granicach ekonomicznej reformy, wszelkie inne szlachetne pobudki śpiesznego działania w łonie grona obywatelskiego zachować;“ polecała ukrywanie przed chłopem decyzyi o skupie czynszów. Jednem słowem sprawę uwłaszczenia odsunięto na drugi plan, wprost go nie chciano i wyraźnie zamierzano przewlec jak najdłużej.

---

aby utworzenie funduszu gromadzkiego było stałe i stanowczo z wykupem złączone. 5) Uznaje nadto, że zanim w powyższy sposób fundusz gromadzki będzie mógł być sformowanym, powinnością jest każdego, dobro miłującego obywatela wytworzyć fundusz ten równocześnie z oczynszowaniem, chociażby własną ofiarą. 6) Aby zebranie ogólne Towarzystwa rolniczego wybrało z pomiędzy siebie Delegacyą, z dziewięciu osób złożoną, któraby, na podstawie skapitalizowania czynszów w stosunku sta do sześciu, bezzwłocznie zajęła się ułożeniem stosownego projektu oraz dalszem jego poparciem. Skutkiem dopełnionego balotowania wybrane zostały do Delegacyi, mającej się bezzwłocznie zająć ułożeniem projektu, o którym mówi konkluzya szósta, następujące osoby: Tomasz Potocki, Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, August Cieszkowski, Franciszek Węgleński, Aleksander Bryndza, Klemens Krzysztoporski, Antoni Wrotnowski, Leopold Kronenberg.

Warszawa, d. 3 Marca 1861 r.“

Taki był stan rzeczy w Komitecie Towarzystwa, gdy ukazał się okólnik Muchanowa i wśród ogólnego oburzenia najbardziej oczywiście oburzył i zaniepokoił szlachtę, boć bezpośrednio był przeciw niej wymierzony. Komuś przyszła nieszczęśliwa myśl, żeby w obec agitacyi rządowej postawić agitacyą Towarzystwa rolniczego, a nie zastanowiono się nad tem, że ostateczny rezultat takiego postępowania będzie obałamucenie chłopa, wzbudzenie w nim większej niewiary i nieufności, a nadewszystko tego przekonania, że tak rząd, jak i szlachta ubiega się o jego względy, a on, podobny do pięknej Kurtyzany, potrzebuje temu sprzedać swe wdzięki, kto da więcej. Zapomniano, że rząd, posiadając w ręku tysiączne środki, z łatwością tę agitacyą może skierować na szkodę samej szlachty; że przez to zachwiany być może porządek społeczny i spokój kraju. Nie myślano o tem wszystkiem, ale w gorączce, ogarniającej każdego, w łatwo zapalnym polskim charakterze, postanowiono wystąpić z okólnikiem, który, jakkolwiek nieco spóźniony, miał uwiadomić lud o tem, co szlachta postanowiła na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

Okólnik pisany jest językiem prostym, jasno i wyraźnie, z usilnem staraniem, żeby chłop mógł wszystko w nim zrozumieć i niczego się nie domyślać. Powiada on, że zgromadzeni na doroczne posiedzenie, w miesiącu Lutym r. b., członkowie Towarzystwa rolniczego, właściciele ziemscy, w liczbie półtora tysiąca, naradzali się głównie nad tem, „jakby sprawiedliwie i sumiennie porachować się z gospodarzami pańszczyźnianymi, na gruntach ich siedzącymi, żeby ich od pańszczyzny prędzej uwolnić, to jest oczynszować i na czas przyszły jak najlepiej opatrzyć“. Uradzili więc, żeby sprawy tej na później nie odkładać, czyli zaraz czynszować; powtóre, że czynszowanie ma się opierać na dobrowolnych umowach między dziedzicem i chłopem; że nakoniec Towarzystwo chce, by przez właściwie obmyślaną operacyą kredytową chłopi mogli czynsze skupić i stać się właścicielami posiadanych gruntów. Odezwa ta kończy się

takiemi, ze wszech miar niebezpiecznemi, słowami: „Towarzystwo rolnicze ogłasza dla wiadomości wszystkich, że takie były rzetelnie tegoroczne narady obywatelskie i na to się obecni na tych naradach podpisali. Niech każdy człowiek dobrej woli, kraj swój miłujący, poczciwie i rozważnie to zrozumie; a ktoby inaczej mu opowiadał, niech temu wiary nie daje“.

Okólnik ten, odlitografowany w bardzo znacznej ilości egzemplarzy, z niezwykłym pośpiechem rozesłano po całym kraju do korespondentów okręgowych, którym polecono, aby zwrócili się do proboszczów z żądaniem odczytania tego dokumentu z ambon ludowi. Wszędzie się też tak stało; duchowieństwo, z małym bardzo wyjątkiem, ochotnie zadość uczyniło temu żądaniu; gdzie zaś proboszcz się zawahał, tam użyto nacisku opinii publicznej i groźby o zrywanie jedności narodowej. Chłopi wszędzie wysłuchali w milczeniu treści okólnika, ale w niczem to nie wpłynęło na ich uspokojenie lub na polepszenie stosunków między chatą i dworem. Chłop był zanadto rozumny i bystry, by nie wiedział, nie czuł wreszcie, że uchwały Towarzystwa rolniczego nie są aktem prawodawczym, że są to pobożne życzenia szlacheckie, które się mogą urzeczywistnić, ale mogą także, co jest prawdopodobniejszem, pozostać martwą literą. Jeżeli wreszcie w większości wypadków lud tak nie rozumował, to w każdym razie pojawienie się okólnika Towarzystwa nie mogło wpłynąć uspokajająco na chłopa, który widział, że toczy się obecnie gra o jego najżywotniejsze interesa i o jego przyszłość. Głuche, często niepodobne do prawdy, wieści wciąż obiegały senne, drzemiące wioski polskie i wprawiały je w stan chorobliwych oczekiwań i nadziei, które wzmagać się musiały w skutek pojawienia się, w ślad za okólnikiem Towarzystwa, nowych odezw i pism.

W kilka dni bowiem po rzeczonym okólniku poczęło obiegać po kraju „pismo od jednego chłopa natchnionego do wszystkich chłopów“, datowane w dzień św. Józefa, a właściwie rozesłane dopiero d. 26 Marca. Tym „chłopem

natchnionym“ był, znany nam już ze swego udziału w posiedzeniach lutowych Towarzystwa rolniczego, Jan Długoszek, kmieć z Suchowoli w powiecie Radzyńskim. Oczywiście podszyto się pod nazwisko Bogu duszę winnego chłopa i rozpowszechniono odezwę, nacechowaną na wskróś rewolucyjną dążnością. „Jakem teraz był w Warszawie (pisze chłopskim językiem Długoszek) i słyszałem na własne uszy, jak szlachta życzyła nam dobrze, i żeby pokazać wam, że nas miłują, za tanie pieniądze chcą skupu, to małom ich nie wydusił z uciechy. Cała gromada panów przystała na jedno, a siaki taki szlachcic, co się tam z tem nie śpieszył, podrapał się tylko w głowę i przystał; pismo poszło do cesarza, a panowie mówią, że cesarz powinien prędko odpisać do rządu, żeby kazać na gwałt skupować, bo go o to panowie prosili. Ale rząd, słucham teraz, że gada, że on to wszystko zrobił, a szlachta, że nic; nieprawda, bom słyszał sam, jak skup uradzili i że szlachta wszyscy klaskali w ręce. Tylko te niecnoty znowu wściubiają się między nas, żeby panów objeść, okpić, a nam kazać się składać na stemple przez kilka lat i zapisowe; zagada, zacygani i odjedzie; i wychodzi na taką ugodę, jak pan chciał oddawna, i żeby nie panowie, toby już z nas skóry pościągali“. „Oj! przed wieki było nam lepiej z panami, jak dziś z tymi obrońcami. O! niech ręka Boska każdego z was broni, żeby miał krzywo patrzeć na panów i nie podać im ręki zgody. Czy szlachcic, czy chłop, to zawsze Polak, to tak, jak brat starszy i młodszy, niech jeno młodszy słucha starszego“. W końcu Długoszek powiada: „teraz i mieszczanie trzymają z nimi (t. j. ze szlachtą) i żydzi przystali do katolików, bo panowie powiedzieli tak, że wszyscy, cośmy się na polskiej ziemi rodzili, żeśmy bracia i podali ręce żydom. Kiedy już braterstwo, to braterstwo! Czy w ogień, czy w wodę, niech jeden za drugiego leci. Oj, trzymajmy się, bracia chłopi, gromady z panami, bo jakbyśmy ten w jedną, a drugi w drugą stronę ciągnęli, to nas po jednemu zjedzą. Pomyślcie przecież, że swój swego chociażby i skrzywdził, to nigdy tak, jak cudzy. W imię Boga Prze-

najświętszego to pismo do was wszystkich chłopów piszę i pieczętuję na świętym ołtarzu. Każdy, co umie pisać, niech go przepisze siedem razy i rozda....“

Odezwa ta, wyszła z kuźni szlacheckiej, rozbiegła się w niezliczonej ilości egzemplarzy po kraju, a niektórzy gorliwsi i zapaleńsi księża odczytywali ją, podobnie jak okólnik Towarzystwa, nawet z ambon zgromadzonemu w kościele na nabożeństwo ludowi. Największy jednak wpływ wywarł i najniebezpieczniejszy z wielu względów był okólnik Administratora dyecezyi płockiej, ks. Myślińskiego, do wszystkich proboszczów, przełożonych klasztorów i w ogóle całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego wzmiankowanej dyecezyi. Powód do tej odezwy, zdradzającej wyraźnie, jak nieprzyjazne rządowi stanowisko zamierza zająć duchowieństwo katolickie w Polsce, był taki: w d. 12 Marca, ks. Myśliński, bez wiedzy Komisyi spraw wewnętrznych, czyli Muchanowa, wydał był odezwę do duchowieństwa, zalecając wpływać na uspokojenie umysłów ludu i wzbudzać zaufanie w sprawiedliwość władz krajowych. Odezwa ta, napisana tonem oficyalnym i z pokornym szacunkiem dla rzeczonych władz, w zasadzie nieprawdziwa, bo rząd rosyjski w stosunku do nas nigdy sprawiedliwym nie był, wywołała wielki krzyk na jej autora, którego wprost poczęto posądzać o „ducha moskiewskiego“ i o zdradę kraju. Chcąc się oczyścić z tego zarzutu, który najzupełniej niepotrzebnie ściągnął na siebie ks. Myśliński, mięszając się do rzeczy, które do niego nie należały, postanowił jeszcze raz zabawić się w politykę i, wpadając z deszczu pod rynnę, wydał d. 26 Marca wzmiankowaną powyżej odezwę do duchowieństwa podległej sobie dyecezyi. Odezwę tę dziekani obowiązani byli bez straty czasu, umyślnym konnym posłańcem, od kościoła do kościoła przesłać. Wytłómaczywszy się najprzód z zarzutów sobie czynionych [1]), przechodzi do sprawy interesującej te-

[1]) Obrona ta, z uwagi na stan broniącego się, jest, tak pod względem formy, jak i tonu, bardzo niewłaściwa. „Stając w obronie

raz cały kraj, t. j. do kwestyi włościańskiej. Ostrzega chłopów, by nie wierzyli podszeptom nieprzyjaciół kraju, starających się przez rozdwojenie rzucić kość niezgody“, zapewnia, że szlachta pragnie ich uwłaszczyć, że taki projekt powzięła na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

Do odezwy tej dołączony był drukowany wzór do nauki religijnej, jaką każdy proboszcz obowiązany był odczytać swym parafianom. W nauce tej główny nacisk jest położony na „złych ludzi, mających złe serce i zbrodnicze zamiary“, którzy starają się poróżnić między sobą „braci jednej ziemi“, rozsiewając śród ludu kłamliwe wieści tak o wypadkach, zaszłych w Warszawie, jak i o „zamiarach panów względem włościan“. „I tak słyszałem — brzmi dalej

---

mojego honoru, pisze ks. Myśliński, winienem przedewszystkiem najuroczyściej niniejszem zaprzeczyć, że przypisywane znaczenie słowom wzmiankowanego okólnika nie było moją myślą, a tem samem mam zasadę twierdzić, iż ono zostało wykręcone i naciągnięte, jak częstokroć i najobojętniejsze myśli mogą być opacznie tłómaczone, niïcowane i o złą podejrzywane stronę. Lecz, w obec tak wielkich faktów, jakie się w ostatnich czasach dla naszej sprawy narodowej, jakoby niewidomą ręką Opatrzności dokonywają, milknąć powinna wszelka prywata, milknąć wszelki inny głos, chociażby tak ciężkiej boleści, jak moja; aby zespoleni jednym duchem i jednem sercem złączyć wspólnie braterskie dłonie przy odbudowaniu najświętszej sprawy i celu życia naszego. Bezwątpienia, zanim obraliśmy specyalny zawód w rodzinie społecznej, byliśmy wprzód Polakami, obowiązani kochać tę ziemię, na której dzienne ujrzeliśmy światło, a dla której z tego samego tytułu winniśmy bezustannie pracować, czuwać i poświęcać się. Tego uczucia, stającego się krwią życia, ogniskiem cnót chrześcijańskich, świętą wiarą naszą uświęconego, dziś i nigdy zapierać się nie mamy prawa; jak również lekkomyślnie toż uczucie o złą wiarę oskarżać lub dwójznacznie je sobie tłómaczyć jest to samo, co zadać ciężką ranę naszemu honorowi. W pierwszym razie byłoby podłością i zaparciem się własnej godności, w drugim jest nieprzyjaznym zamachem na starganie jedności narodowej, a przeto równą tamtej zbrodnią“. To ciągłe wspominanie o honorze swoim w ustach księdza jest nieprzystojnem. Samą odezwę można czytać w Lisickiego dziele „Aleksander Wielopolski“, w tomie drugim, gdzie ciekawych odsyłamy.

nauka, — że powiadają wam, że panowie względem waszego dobra nie mają dobrych, czyli szczerych chęci, że się opierają dobrym zamiarom króla, jakie on ma względem was i że za to kazał do nich w Warszawie strzelać, skutkiem czego pięć osób zostało zabitych. Wierzcie mi, że to est wierutne kłamstwo, a, co ja wam teraz mówię, jest prawdą, jak święta Ewangielia. Oto, widzicie, tak się rzecz ma. Rząd chciał was oczynszować, to jest, abyście z gruntów, jakie dziś uprawiacie i z nich odrabiacie pańszczyznę, opłacali czynsz, wasze dzieci i ich następcy. Panowie, tego roku zebrani w Warszawie na posiedzeniu rolniczem, o którem zapewne wiecie, postanowili jednozgodnie, w imieniu wszystkich obywateli z całego kraju, zamiast, cobyście z gruntów wiecznie czynsz opłacali, gruntami tymi was uwłaszczyć, t. j. te same grunta sposobem skupu, rozdzielonego na pewną liczbę lat, np. na czterdzieści, na zawsze wam odprzedać".

Wszystkie te okólniki, odezwy, nauki, dostając się do chłopa, bałamuciły go tylko i, zamiast uspokajać, niepokoiły jeszcze bardziej. W wielu miejscach kraju niepokój ten przybrał charakter wyraźnego rokoszu; przestano pańszczyznę odrabiać, a tu i owdzie, gdy ich chciano do tego zmusić, czynny opór stawiano. Był to konieczny i trujący owoc tej agitacyi nierozważnej, zdrożnej i nieobmyślanej, jaką z jednej strony rząd, z drugiej szlachta i duchowieństwo rozpoczęło. W senne, martwe dotąd morze chłopskie rzucano kamień po kamieniu i od uderzeń tych tworzyły się zrazu małe, potem coraz większe fale, które, na szczęście dla Polski i jej historyi, skonały u brzegu z głuchym pluskiem tylko.

Gdy się to wszystko działo w kraju, gdy nań, jak deszcz, spadały przeróżne okólniki i odezwy, w Warszawie tymczasem oburzenie na Muchanowa nie ukoiło się ani na chwilę. Jeżeli wśród ludności oburzenie to przybierało formę niczem nie ułagodzonej nienawiści, zupełnie zresztą usprawiedliwionej, to w sferach, otaczających Gorczakowa, śród Enochów i Kotzebuów, nacisk na starego namiestnika

był coraz silniejszy, by skończyć z nienawistnym „wezyrem“. Kotzebue twierdził, że Muchanow w Polsce całkiem nie jest potrzebny, ale raczej szkodliwy. Dwie bowiem, mówił, zajść mogą okoliczności: albo w Petersburgu zdecydują się na wystąpienie silne i stanowcze, na przywrócenie dyktatury wojennej i w takim razie rząd cywilny nie będzie miał znaczenia, o tyle oczywiście, o ile na jego czele nie będzie stał taki człowiek, jak Muchanow, który przez swą pychę, szorstkość i zuchwalstwo będzie tylko przeszkadzał władzy wojskowej; albo też rząd wejdzie na drogę ustępstw i w tym wypadku usunięcie Muchanowa stać się musi koniecznością nieuniknioną. Lepiej więc zaraz to zrobić, gdyż przez to, tę przynajmniej zyska się korzyść, iż zadość uczyni się uczuciu nienawiści powszechnej, jaką żywią Polacy do Muchanowa i tym sposobem może się umysły uspokoją. Gorczakow jednak wahał się, nie dlatego, żeby nie widział potrzeby usunięcia swego wezyra, ale dlatego, że był to krok stanowczy, krok zbyt śmiały, by niedołężny starzec mógł się nań odrazu zdecydować. Usiłował bronić Muchanowa i naturalnie bronił go bardzo słabo i nieudolnie. Przez Paulucciego przysłał zebranej w d. 21 Marca na sesyą (czternastą z rzędu) Delegacyi odpowiedź, że ogół źle sobie tłómaczy okólnik, że wójtów gmin tylko przez pomyłkę w nim pominięto, że jednak zaraz to poprawiono i wójci zostali włączeni do cyrkularza, że „zresztą, oprócz zapowiedzianych reform, których ogłoszenie lada dzień może być spodziewanem, zajdą wkrótce zmiany, które zadowolnią opinią publiczną, okólnikiem niepokojoną“.

W słowach tych była niejako zapowiedź, że Muchanow prawdopodobnie zostanie poświęcony. Mimo to jednak Gorczakow wahał się jeszcze przez dwa dni, i bardzo być może, iż sprawa ta wlokłaby się dłużej przy znanym, niezdecydowanym charakterze namiestnika, gdyby w d. 22 Marca (w Piątek) nie nadszedł od cesarza telegram tej treści: „dymisyą Muchanowa uważam za konieczną, nie w charakterze ustępstwa, ale dla własnego pańskiego pożytku“. Telegram ten prawdopodobnie wywołany był przez

nacisk z Warszawy, może Kotzebuego, może innych, którzy, widząc wahanie się Gorczakowa, uciekli się do heroicznego środka i wprost całą sprawę przedstawili cesarzowi. Wystąpienie cesarskie rozstrzygnęło kwestyą odrazu. Aleksander, zostawiając namiestnikowi wolność nominowania kogo chce na miejsce Muchanowa, proponował tymczasowo Łaszczyńskiego, życzył jednak sobie, by stanowisko tak ważne zajmował Rosyanin. Na kuratorstwie Okręgu naukowego pragnął widzieć jenerała artyleryi, Krzyżanowskiego [1]). W obec tak kategorycznego oświadczenia cesarskiego, wahać się już nie można było. Nazajutrz, dnia 23 Marca, w Sobotę, o godzinie 3-ej po południu, Gorczakow wezwał do siebie nienawistnego „wezyra“ i zakomunikował mu rezolucyą cesarską. Wiadomość ta spadła na długoletniego tyrana Polski, na jej dokuczliwego kata, jak piorun. Nie spodziewał on jej się wcale; czuł się tak silnym, tak potrzebnym, tak koniecznym w tej Polsce, którą deptał, uciskał, okuwał w kajdany, że był przekonany, iż umrze spokojnie na swem krześle dyrektorskiem. Wprawdzie odjęto mu kuratorstwo szkolne, wiedział, że odbiorą mu zarząd spraw duchownych, ale ani na chwilę nie wątpił, że przy Komisyi spraw wewnętrznych pozostanie i że po dawnemu będzie ciężką swą ręką rwał nici odrodzenia się kraju, minował go potajemnie i szkodził mu na każdym kroku. Inaczej się jednak stało; upadł i upadł nagle, niespodziewanie

[1]) Przytaczamy w dosłownym przekładzie ten ważny telegram: „10 (22) Marca. Dymisyą Muchanowa uważam za konieczną, nie w charakterze ustępstwa, ale dla własnego pańskiego pożytku. Zostawiam panu swobodę w obsadzeniu tego stanowiska. Proponuję tymczasowo Łaszczyńskiego, ale pożądany jest Rosyanin, oddzieliwszy kuratorstwo naukowe, na które proponuję jenerała majora Krzyżanowskiego, człowieka wykształconego i zupełnie godnego zaufania (sowierszenno nadieżnago)“. Myli się zatem Spasowicz, twierdząc, że jeszcze w Sobotę, d. 23 Marca, dymisya Muchanowa nie była postanowiona i że dopiero w południe tego dnia telegrafowano do Petersburga i około godziny drugiej otrzymano odpowiedź. Telegram cesarski, decydujący całą sprawę, nosi datę 10/22 Marca, a zatem w wigilią Soboty.

i, jak to zaraz zobaczymy, haniebnie. W gabinecie namiestnika, w czasie rozmowy, zrobiło mu się niedobrze; wrócił do domu, nie myśląc jeszcze o wyjeździe z Warszawy, oddał tylko tymczasowo władzę nad Komisyą w ręce Biernackiego, naczelnika jednego z wydziałów.

Gdy się to działo w Zamku, w mieście stronnictwo czerwonych, a raczej młodzież szkolna i rzemieślnicza, widząc, że Muchanow pomimo wszystkiego pozostaje zawsze na urzędzie, postanowili po swojemu zemścić się na nim za okólnik z 19 Marca. Tego samego dnia, w którym „wezyr“ wrócił od namiestnika chory, zdenerwowany, z bólem głowy do swego mieszkania w pałacu Mostowskich, zebrał się nad wieczorem ogromny tłum, zbiegowisko wszelkiego rodzaju ludzi, przed tymże pałacem, i wśród krzyków i łajań ogłuszających rozpoczęło upadłemu tyranowi wygrywać t. z. kocią muzykę. Nadbiegła przecież straż obywatelska zmusiła piszczących grajków i publiczność do rozejścia się, ocalając od wybicia okna w mieszkaniu dyrektorskiem. Fakt ten zdawał się dowodzić, że pobyt tego ostatniego w Warszawie nie jest bardzo bezpieczny, i wskutek tego w Zamku zdecydowano się zrobić mu prawdziwie niedźwiedzią przysługę. Wysłano niezwłocznie rozkaz do zarządu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, żeby przygotowano dla upadłego ministra nadzwyczajny pociąg na godzinę 9-tą wieczorem, z Warszawy do granicy austryjackiej. Wieść o tem natychmiast rozbiegła się po mieście; zresztą w Zamku nieprzyjaciele Muchanowa, których ten szorstki, źle wychowany i nadzwyczaj nietaktowny człowiek miał bardzo wielu, nie ukrywali tego wcale, że dostał on dymisyą; owszem teraz, ze zwykłą duszom małym i nikczemnym mściwością, nie szczędzili upadłej wielkości drobnych i dokuczliwych ukłóć. Rozgłosili więc jego dymisyą, posłali dlań zamówić osobny pociąg w tym jedynie celu, by mu na dworcu kolei wyprawiono kocią muzykę; wytłómaczyli nakoniec namiestnikowi, że dłuższy pobyt w Warszawie Muchanowa, może być nietylko dla niego samego niebezpieczny, ale co ważniejsza, wywołać poważne w mieście zaburzenia. Na skutek

tego Gorczakow, jak zawsze ulegający wpływom tych, którzy umieli się doń wziąć, wezwał jeszcze raz do siebie „wezyra“, posławszy po niego własną karetę, o godz. 7-ej wieczorem. Nastąpiło ostatnie widzenie się tych dwóch ludzi, którzy przez kilka lat z kolei rządzili Polską. Co między sobą mówili, niewiadomo, dość, że Muchanow wrócił do siebie strasznie zirytowany, naprędce zaopatrzył się w pieniądze, zapakował nieco rzeczy, i ruszył w powozie najętym z żoną, młodą Polką [1]), drżącą z obawy i przerażenia, przez nikogo nie żegnany, wymykając się potajemnie, wszechwładny przed chwilą pan Polski. Nie pojechał jednak na dworzec kolei w Warszawie, ale drogami bocznemi, wśród roztopów i błota, wśród ciemnej nocy marcowej, na pierwszą stacyą od Warszawy, do Pruszkowa. Straszny i pouczający przykład dla wszystkich małych tyranów!

Ucieczka ta była konieczną. Wiadomość o dymisyi Muchanowa rozpowszechniła się z niezmierną szybkością po mieście. Do resursy kupieckiej przyniósł ją pierwszy Kraszewski. Tam przyjęto ją hucznemi oznakami radości; na ulicach zaś młodzież gotowała się pożegnać upadłego wielkorządcę kocią muzyką. Na dworcu kolei, o godz. 9-tej, zebrał się bardzo liczny tłum [2]) ludu wszelkich stanów, płci i wieku, przeważnie jednak uczniowie szkół i rzemieślnicy i powitano wyruszający pociąg kamieniami, świstem, przeraźliwą grą piszczałek i katarynek. Trwało to dość długo, aż dopiero wychylił się z jednego z wagonów konduktor i zawołał: „ależ na miłość Boską, panowie, tu niema Muchanowa, ja tylko jestem!“ Oświadczenie to przyjęto ogólnym śmiechem i z odgłosem tego śmiechu, wśród brutalnych wymyślań i obelg na Muchanowa, tłum się rozszedł spokojnie. Ale nie miała ominąć tyrana gorzka dola wszystkich upadłych i znienawidzonych wielkości. Wiadomość

[1]) Była to druga jego żona, z domu Jarmundówna, wdowa po senatorze Łubieńskim.

[2]) P. P. Karcew, autor rosyjskich wspomnień p. t. „Warszawa w 1860—61 r.“, drukowanych w „Ruskiej Starinie“ z r. 1882, oblicza tłum na dwa do trzech tysięcy.

o jego podróży rozniosła się z nadzwyczajną szybkością na całej linii kolei warszawsko-wiedeńskiej, do czego zapewne przyczyniła się służba kolejowa i już w Pruszkowie powitano przybywającego eksdygnitarza kocią muzyką, co się powtarzało na każdej prawie stacyi. W Skierniewicach obrzucono wagon, w którym jechał, takim gradem kamieni, że wybito w nim wszystkie okna. W Dąbrowie górniczej, gdzie pociąg zatrzymał się przeszło godzinę, musiał Muchanow przez cały ten, dla niego nieskończenie długi czas, wsłuchiwać się w przeraźliwy gwizd dwóch lokomotyw, umyślnie w tym celu sprowadzonych i patrzeć, jak ponuro i nieprzyjaźnie na niego spogląda i szydzi tłum robotników, tłoczący się koło pociągu. Tak mścił się naród na tyranie, który przez sześć lat z rzędu usiłował wydrzeć mu to, co stanowi naturalny i nieodłączny atrybut każdego życia społecznego, jego narodowość i religią. Zemsta może nieszlachetna, ale zupełnie zasłużona.

Namiestnik, dowiedziawszy się o tem wszystkiem, nakazał śledztwo, które jak wszystkie śledztwa w tej porze, do niczego nie doprowadziło i winnych nie znalazło [1]). Kogóż tu zresztą trzeba było karać? chyba wszystkich, cały z małym wyjątkiem naród, który w ten sposób mścił się na długoletnim swoim dręczycielu. Nakoniec w Zamku pocieszano się tem, że opinia przyjęła dymisyą Muchanowa z niesłychaną radością, jak również szereg innych dymisyi, które zaraz potem nastąpiły. Łaszczyński mianowicie, jako

[1]) Gorczakow, doniósłszy cesarzowi w d. 23 Marca o dymisyi Muchanowa, pisał w dwa dni potem co następuje: „13 (25) Marca. Dnia 23 b. m. uwolniłem Muchanowa zagranicę. Pierwszą ztąd stacyą przejechał w karecie, a dalsze koleją żelazną, nadzwyczajnym pociągiem, o godzinie dziewiątej wieczorem. Na stacyi warszawskiej nagle zbiegło się bardzo dużo ludzi. Nie znalazłszy go, wiele krzyczeli, rozbili kilka okien w pociągu i zaraz potem się rozeszli. Prawie na wszystkich innych stacyach powitano go gwizdaniem. Z tego powodu zarządziłem śledztwo. Czy rozkaże W. C. Mość przyjechać teraz Muchanowowi do Petersburga? O nominacyi na stanowisko Dyrektora Komisyi Spraw Wewnętrznych wkrótce doniosę. Będę działał w myśl listu z d. 8 (20) Marca". Ks. Gorczakow.

kurator Okręgu naukowego, uwolnił znienawidzonego powszechnie Adama Plewego, naczelnika wydziału oświecenia. Był to człowiek zły, płaszczący się, karyerowicz, Żmudzin rodem, który, przybywszy do Warszawy, jako nauczyciel języka rosyjskiego, stał się z czasem prawą ręką Muchanowa. Na jego miejsce powołał nowy kurator zaszczytnie znanego w naszej literaturze krytyka i tłómacza tragików greckich, uczonego Kazimierza Kaszewskiego. Dostał również dymisyą, jako członek senatu, głośny Pawliszczew, autor fałszywej historyi polskiej, nieprzejednany wróg Polaków i Polski. Wszystkie te dymisye przyjęto bardzo dobrze i, gdyby na oczy ogółu polskiego nie padła była w tę porę straszna mgła fantasmagoryi, byłby w nich widział zadatek i zapowiedź lepszych czasów. Tegoż samego dnia nakoniec, w którym Muchanow wśród świstu, gwizdań i wrzawy kocich muzyk, ścigających jak furye tego nowego moskiewskiego Oresta, opuszczał kraj, z kancelaryi namiestnika rozesłano nowy okólnik do gubernatorów (za Nr. 212 z dnia $^{11}/_{23}$ Marca 1861 r.), w którym zmienione zostały rozporządzenia muchanowowskie. Odsunięto mianowicie chłopów od pełnienia po wsiach służby policyjnej i polecano, „ażeby wszelkie środki, zmierzające ku zachowaniu publicznego porządku i bezpieczeństwa, były tylko przez zwykłe organa policyjne, t. j. burmistrzów, wójtów gmin i sołtysów wykonywane“; zabraniano zatrzymywania przejeżdżających i nakazywano, „aby władze policyjne w stosunkach swoich z włościanami nie przedsiębrały żadnych środków, któreby mogły tamować dobrowolne ich układy z właścicielami dóbr o oczynszowanie na zasadach postanowienia Rady administracyjnej z r. 1858“. Tym więc sposobem zapobieżono stanowczo złym skutkom, jakie mógł wywołać cyrkularz Muchanowa [1]).

[1]) A. Giller w kilkakrotnie już cytowanych „Dziejach Delegacyi“ utrzymuje, że Muchanowa obalili członkowie Komitetu Tow. rol., Delegacya i opinia publiczna. „Wspólnym kilkudniowym usiłowaniom ich (członków Tow. rol.) i członków Delegacyi udało się wreszcie

Radość, jaką czuł każdy, kto dobrze krajowi życzył, z upadku znienawidzonego satrapy, zmniejszyła się znacznie wskutek wiadomości, że Delegacya obywatelska została przez rząd rozwiązaną. Tego nieuniknionego końca „polskich czasów“ wszyscy ludzie rozsądni, wszyscy, którzy znali rząd rosyjski, oddawna się już spodziewali. Widzieliśmy, z jaką niechęcią patrzał Gorczakow i otaczająca go klika wojskowa na istnienie Delegacyi, i jeżeli pozwalali jej zbierać się w ratuszu, pisać protokóły, ganić postępowanie rządowe, wywierać nakoniec pewien wpływ na miasto, być jego władzą moralną, to tylko dlatego, że widziano w niej hamulec, tarczę przeciw strasznemu powstaniu ludowemu i krwawej walce ulicznej. W każdym jednak razie rozwiązanie z wielu względów niewygodnej i kompromitującej Delegacyi obywatelskiej leżało w najbliższym programie rządowym i czekano tylko, albo na sposobność jaką, albo wprost na chwilę, w której dałoby się to spokojnie i bez wstrząśnień uskutecznić. W Petersburgu zwłaszcza nie rozumiano, nie umiano sobie w ogólności wytłómaczyć stanowiska Delegacyi i nalegano bardzo wcześnie, bo już w pierwszej połowie Marca, o jej rozwiązanie. Gorczakow wszelako, drżący przed widmem powstania i barykad, bronił jej jak mógł, pisał, że „Delegacya nie ma żadnej władzy urzędowej, że patroli na miasto nie wysyła, że tylko przyczynia się do uspokojenia miasta przez osobisty wpływ na obywateli“ i t. p. Wycieczka atoli Giecewicza do Petersburga, zdaje się, bardzo źle wpłynęła na

---

wysadzić z Warszawy Muchanowa“. W innem miejscu znowu powiada: „był to niemały tryumf opinii i sprawiedliwości“. Twierdzenie takie jednak niczem nie jest uzasadnione. Muchanowa nie Komitet Tow. rol., nie Delegacya, ani opinia publiczna obaliła, bo kto zna rząd rosyjski, ten wie dobrze, że nigdy on się nie liczył z opinią polską. Towarzystwo rolnicze i Delegacya były zanadto nic nie znaczące w oczach rządu instytucye, by im miał kłaść na ofiarę takiego sługę swego, jak Muchanow. Wielkiego wezyra warszawskiego obalił Enoch i Kotzebue i ze sprawą tą, zdaje się, jest w pewnym związku podróż Giecewicza do Petersburga.

losy Delegacyi. Zaraz po jego przybyciu nad Newę cesarz d. 18 Marca pytał się telegrafem: „czy Delegacya została rozwiązana? Uważam ten krok za konieczny, jak również zakazanie wszelkich klubów i tym podobnych zgromadzeń". Na to Gorczakow odpowiedział prośbą utrzymania jeszcze na jakiś czas tego ciała, gdyż ono, pisał, „w obecnej chwili jest bardzo pożyteczne, niedopuszczając demonstracyi". Na nic się to jednak nie zdało; już w parę dni potem, 21 Marca, cesarz zażądał rozwiązania Delegacyi. „Dalsze istnienie Delegacyi, pisał, uważam stanowczo za szkodliwe i dlatego żądam, żeby ona niezwłocznie została rozwiązaną". Był to oczywiście wyrok nieodwołalny, któremu Gorczakow oprzeć się nie mógł bez narażenia siebie samego. Odrzekł więc cesarzowi, że nazajutrz rozwiąże Delegacyą.

Nazajutrz atoli, d. 22 Marca, w chwili, gdy się losy Muchanowa ważyły, namiestnik, swoim zwyczajem odkładania kroków decydujących na jutro, Delegacyi nie rozwiązał, ale oznaki blizkiego końca już się okazywać zaczęły. O godzinie 12-ej w południe, namiestnik wezwał do siebie prezesa Delegacyi Paulucciego, oraz członków Lewińskiego, Kronenberga, Rosena i Szlenkiera, i wyraził im podziękowanie i wdzięczność za utrzymanie spokojności publicznej, że jednak dalsza działalność Delegacyi odtąd ustać musi i jest całkiem niepotrzebną. Namiestnik wszelako nie wątpi, że członkowie, którzy to ciało składali, używać będą i nadal swego znaczenia i wpływu w duchu uspokojenia ludności. Oświadczenia tego delegaci wysłuchali kwaśno i chmurno i, trzymając się raz na zawsze przyjętej taktyki, odpowiedzieli, że wpływ każdego z nich, pojedynczo wzięty, niewiele znaczy, a prywatne zabiegi, z natury swojej mając bardzo ograniczone pole działania, rozbić się muszą o gwałtowność i energią ruchu. Gorczakow, czując aż nadto dobrze prawdę tych słów, w gruncie rzeczy przeciwny zniesieniu Delegacyi, pod której skrzydłami zdawało mu się, że spać przynajmniej spokojnie może, wszelako nie mogąc sprzeciwiać się wyraźnemu roz-

kazowi cesarskiemu, wpadł na pomysł istotnie oryginalny. Chciał on utrzymać Delegacyą w zmienionej formie i nazwie i w tym celu przedstawił jej członkom kilka projektów, które ci jednak odrzucili, uważając je za niezgodne ze swą powagą i krępujące mocno ich samodzielność. Nakoniec zgodzono się na to, by Delegacya, w liczbie członków znacznie zmniejszonej, bo tylko ośmiu, zasiadała dalej w magistracie pod nazwą Wydziału tymczasowego obywatelskiego. Wydział ten miał zachować wszystkie dotychczasowe prawa Delegacyi, namiestnik zastrzegł sobie tylko, by protokóły posiedzeń nie były komunikowane publiczności w resursie. Ta forma wydała się Gorczakowowi najodpowiedniejszą; zdawało mu się, że i wilk będzie syty i koza cała. Przed cesarzem łatwo wytłómaczyć tę nową Delegacyą jako formę przejściową do przyszłej Rady municypalnej, dla miasta zaś zawsze to będzie ta sama Delegacya, tylko nieco szczuplejsza, co zresztą rzeczy nie zmienia.

Wiadomość o tem wszystkiem zanieśli wezwani do namiestnika, swoim kolegom i wieczornemu zebraniu w resursie. Odczytano tu protokół rozwiązania i uchwalono, ażeby dołączyć do niego projekt ustawy municypalnej, jaki w głównych zarysach zaznaczony już był na jej dziewiątem posiedzeniu d. 13 Marca. Projekt ten, ułożony przez prawników: Henryka Krajewskiego, Dominika Zielińskiego, Leona Trzetrzewińskiego, oraz dwóch jeszcze osób zaproszonych, a mianowicie: Norberta Jeski i Jana Kantego Wołowskiego, był wyłącznie na to obmyślany, by policya w mieście nie stanowiła osobnej instytucyi, ale podlegała Radzie municypalnej i prezydentowi. Jakoż nazajutrz, na ostatniem swem posiedzeniu (piętnastem z rzędu), projekt ten dołączono do protokółu. Wejść on oczywiście w wykonanie nie mógł, gdyż rady municypalne, objęte szeregiem reform, wyjednanych w Petersburgu, na innych były oparte podstawach.

Na sesyi tej (d. 23 Marca), Delegacya wybrała z pomiędzy siebie ośmiu członków, którzy zasiadać mieli w nowo

utworzonym Wydziale obywatelskim, a mianowicie: Jakóba Lewińskiego, ks. Józefa Wyszyńskiego, Henryka hr. Potockiego, Ksawerego Szlenkiera, Dra Tytusa Chałubińskiego, Stanisława Hiszpańskiego, Henryka Krajewskiego i Bera Mayzelsa. W końcu rozwiązująca się Delegacya jeszcze raz uroczyście w protokóle prosić poczęła namiestnika, żeby zadecydował o losie tych wszystkich osób, które dotąd więzione są w cytadeli i dziękowała, że pozwolił jej przez parę z rzędu tygodni działać wśród tak ważnych dla kraju wypadków; zapewniała, że i dalej, o ile to w mocy będzie jej pojedynczych członków, nie przestanie ona oddziaływać na współobywateli, żeby zachowali zawsze tę samą godność i umiarkowanie, jakiem dotąd się odznaczali.

Współcześnie ze zniesieniem Delegacyi, z Petersburga domagano się od Gorczakowa, by władzę policyjną odebrał od Paulucciego, kokietującego z rewolucyą, a powierzył ją nowo mającemu się zamianować oberpolicmajstrowi. Cesarz zostawiał namiestnikowi co do tego zupełną swobodę i proponował jego adjutanta Mezencowa. „Ja sam chciałem Mezencowa, pisał Gorczakow, naznaczyć na miejsce Trepowa, ale przez wszystkie dni demonstracyi posyłałem go wszędzie tam, gdzie zachodziły nieporządki i odtąd nienawidzą go wszyscy, nazywając katem“. Chciał dozór nad policyą powierzyć jakiemuś Kroińskiemu, którego bliżej nie znamy; wahał się jak zawsze, jak wszędzie. Cesarz tymczasem d. 20 Marca stanowczo zażądał, przy pomocy swego zwykłego „trebuju“, by oberpolicmajster został mianowany. Z właściwą sobie pogardą i lekceważeniem uczuć i opinii publicznej polskiej, pisał, że nazywanie Mezencowa katem, wcale nie powinno być przeszkodą do zrobienia go naczelnikiem policyi warszawskiej. Domagał się także, by z posady jenerał-gubernatora został usunięty Paniutyn i na jego miejsce proponował niejakiego kniazia Urusowa, człowieka z energią i znanego namiestnikowi. W rezultacie, d. 21 Marca, Gorczakow mianował oberpolicmajstrem pułkownika Rozwadowskiego, Polaka, wcale nieznanego miastu, dowódcę pułku symbirskiego piechoty.

Starał on się o uzyskanie popularności i w parę dni po swej nominacyi opublikował przez gazety rozkaz do policyi, ażeby grzecznie obchodziła się z publicznością i prosił tę ostatnią, by mu donosiła o każdem brutalstwie policyi.

Wiadomość o zniesieniu Delegacyi w ogólności nie podobała się i jak najgorzej została przyjętą. Wzburzenie widocznie z każdą chwilą wzrastało. Rozpoczynające się ferye świąteczne wielkanocne pozwoliły młodzieży szkolnej oddać się całkowicie ruchowi rewolucyjnemu; przybywający studenci z Petersburga, Moskwy i Kijowa rzucili się z zapałem w wir awantur wszelkiego rodzaju, starali się ożywić usypiające, jak mówili, miasto. Jakoż zaraz dało się to poznać. Dnia 25 Marca, w Poniedziałek, t. j. w tym samym dniu, w którym w Petersburgu odbywała się u cesarza walna rada i decydowały się losy reform, staraniem „smarkaczy“ i młodzieży uczącej się, udało się zebrać w Ogrodzie Saskim znaczny tłum, około tysiąca osób, które ruszyły przed gmach teatru, gdzie mieszkał osławiony jenerał Abramowicz, za czasów Paskiewicza oberpolicmajster miasta, a obecnie prezes teatrów rządowych. Niegdyś oficer wojsk polskich, ułan, który znalazł w r. 1812 bród na Berezynie i ocalił szczątki wielkiej armii Napoleona, niecny później donosiciel ks. Konstantemu, tyran, dziki zwierz, grubijanin w obejściu, policzkujący własnoręcznie więźniów, plujący w twarz kobietom, napastujący ludzi na ulicach, wymyślający brutalnie baletnicom i aktorkom, bijący je szpicrutą, dusza mała i nikczemna, był osobistością powszechnie znienawidzoną i powszechnie wzgardzoną. Teraz chciano mu za wszystko zapłacić, zemścić się za długoletni terroryzm policyjny, jakim gnębił ten zły i zdemoralizowany do gruntu człowiek przez kilkanaście lat miasto. Zagrano mu kocią muzykę, obrzucono okna kamieniami, wybito wszystkie szyby. Jak każdy człowiek okrutny i zły, Abramowicz był tchórzem. Słysząc krzyki, obelgi, świst kamieni, brzęk tłuczonych szyb, schował się trzęsąc ze strachu w najskrytszy kąt sypialni, gdy zaś tłum się oddalił, posłał po wojsko, napełnił niem sale teatralne dla

swej obrony i pobiegł do Gorczakowa na skargę. Tłum tymczasem nacieszywszy się kocią muzyką u Abramowicza, pociągnął do mieszkania Enocha i także wyprawił mu taką samą serenadę, co już miało charakter wyraźnej swawoli i nadużycia. Jeżeli bowiem nikczemny z gruntu, zły, rozpustny drobny tyran, jakim był Abramowicz, zasłużył na wszelkiego rodzaju objawy pogardy publicznej, to nigdy Enoch, który zapewne nie był w znaczeniu rewolucyjnem dobrym Polakiem, ale był za to, co jest stokroć ważniejszem i niezmiernie u nas rzadkiem, rozumnym obywatelem kraju. I takiego człowieka garść smarkaczy, uliczników, studentów uciekających od książki, oddawała na wzgardę publiczną! Złe i smutne to czasy, w których się takie niesprawiedliwości dzieją, w których dzieci i ulica rządzi i kieruje nawą narodową.

Tymczasem gdy się to dzieje, w Zamku przerażony Abramowicz wytacza przed namiestnika swą skargę. Tam już oczywiście wiedziano o kocich muzykach i niepokoju w mieście, i Gorczakow zawsze widząc jedyny ratunek w Delegacyi, przekonany, że jej rozwiązanie wywołało to co się dziś dzieje, posłał co prędzej po Lewińskiego, Kronenberga i Zielińskiego, żeby radzili co czynić należy. Nadmienić tu wypada, że poprzednio, tego samego dnia, Wydział obywatelski odbył w ratuszu o godz. 2-giej po południu pierwsze swe posiedzenie pod prezydencyą jenerała Lewińskiego. Sesya ta była jednym długim protestem przeciw rozwiązaniu Delegacyi. W protokóle wyraźnie zaznaczono, że Wydział zebrał się tylko w tem przekonaniu, iż będzie czuwał nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście, że nie później jak w 24 godziny uwiadomiony zostanie o aresztowaniu kogokolwiek w mieście, przyczem winny być wyjaśnione powody tego aresztowania; że policya uprzedzi Wydział zawsze, ilekroć przedsięweźmie jakie niezwykłe środki, że straż obywatelska pełnić będzie dalej swe funkcye policyjne. Zaznaczono dalej, że zmiany zaszłe w składzie Delegacyi i jej formie wywarły bardzo złe wrażenie w mieście, że chcąc temu zapobiedz, należy przy-

wrócić Delegacyą w całej jej rozciągłości. „Ze swej strony Wydział obywatelski, brzmi w końcu protokół, zgadzając się z opinią publiczną, mniema także, iż przywrócenie Delegacyi w jej składzie poprzednim, najkorzystniejby oddziałało teraz na uspokojenie się umysłów. Jeżeli zaś w widokach rządu jest koniecznem ograniczenie liczby członków Delegacyi, to przynajmniej pożądanemby było, żeby ci ostatni zasiadali w Wydziale obywatelskim kolejno, w komplecie ośmiu osób, z zupełną jawnością swych czynów, gdyż w razie przeciwnym, moralny wpływ Wydziału obywatelskiego napotka nieprzełamane przeszkody“. Było to więc wyraźne domaganie się, by Delegacya została przywróconą i opinia ta stanowczo była przyjętą przez wszystkich członków tego ciała, których rola tak dotąd piękna, już się skończyła, i której, w swej ambicyi filisterskiej, szczerze żałowali. Przekonani oni zresztą byli, że wcześniej czy później, rząd znowu do nich będzie się musiał uciec, i kto wie czy dzisiejsze kocie muzyki nie były umyślnem niejako tej chwili przyśpieszeniem.

Jakoż, wezwanie do Zamku trzech członków dawnej Delegacyi przekonywało, że nadzieje delegatów ziściły się w zupełności, i daleko prędzej, niż się tego spodziewać można było. Oprócz namiestnika, trzej wezwani zastali nieuniknionego jenerała Kotzebuego, oberpolicmajstra Rozwadowskiego, Abramowicza, a później Enocha, który wysłuchawszy kociej muzyki, przybył także do Zamku widocznie wzruszony i zgniewany. Dyskusya wywiązała się bardzo żywa, nieraz nawet gorzka i namiętna. Kotzebue i Abramowicz domagali się natychmiastowego zniesienia Delegacyi, rozwinięcia sił wojskowych, ogłoszenia stanu oblężenia, jednem słowem represyi militarnej, która sama jedna, według nich, mogła utrzymać zachwiany mocno porządek w mieście i kraju. W ten sposób postawiona kwestya stawała się daleko ważniejszą i o wiele niebezpieczniejszą. Trzej członkowie mieli teraz do obrony nietylko egzystencyą samej Delegacyi, a raczej Wydziału, ile całego kraju przed rządami wojskowymi, wszędzie strasznymi, a cóż do-

piero śród jenerałów rosyjskich, małych prokonsulów z tatarską zaprawą, dzikich i okrutnych w gruncie rzeczy, pomimo pokostu cywilizacyjnego. Delegaci bronili się dzielnie. Na zarzut Gorczakowa, że nie powstrzymali ulicznych awantur w sobotę na dworcu kolei, a dziś przed teatrem, odpowiedzieli, że od dwóch dni już nie urzędują, że właśnie nie co innego, tylko rozwiązanie Delegacyi i ograniczenie liczby osób, mających składać wydział, jest jedną z przyczyn niepokojów. Gdyby Delegacya istniała w dawniejszej formie i składzie, Muchanow mógłby był spokojnie siąść do wagonu na stacyi warszawskiej, jenerał Abramowicz spać słodko w gmachu teatralnym i marzyć o baletnicach. Argumentacya ta zdawała się przekonywać Gorczakowa i w rezultacie, po nader ożywionej dyskusyi, zgodził się na to, by Wydział obywatelski użył wszelkich środków, jakie uzna za stosowne, dla uspokojenia miasta [1]).

Tryumfujących ze swego nowego zwycięztwa, które niestety! nie miało już być długotrwałem, delegatów, w chwili gdy opuszczali Gorczakowa, dogonił na schodach Abramowicz i nie mogąc pohamować uniesienia i złych przyzwyczajeń małego tyrana, począł im czynić gwałtowne wyrzuty i wprost oskarżał ich, że nie kto inny tylko oni są przyczyną despektu, jaki go spotkał. „Mam w teatrze, wołał, stu sześćdziesięciu żołnierzy i gdy kanalia przyjdzie znowu przed moje mieszkanie, każę strzelać pomimo zakazu namiestnika“. Delegaci wysłuchali tego w milczeniu,

[1]) Zdaje się, że w tym czasie, jeżeli nie dniu, Gorczakow pod wpływem Kotzebuego i Zabołockiego, o mało nie ogłosił w Warszawie stanu oblężenia. Pewnego wieczoru nawet, jak zapewnia N. Berg w „Russkiej Starinie“ z r. 1881, który tę wiadomość miał od samego Kotzebuego, Gorczakow kazał wydrukować taką ilość egzemplarzy obwieszczenia o stanie wojennym, ilu było właścicieli domów w mieście, żeby nikt nie mógł się tłomaczyć niewiadomością nowych przepisów. Gdy atoli nazajutrz zebrali się w Zamku różni dygnitarze i jenerałowie dla otrzymania instrukcyi, namiestnik oznajmił, że po zastanowieniu się przyszedł do przekonania, że ogłoszenie stanu wojennego wcale nie jest potrzebne. Na to wszyscy zebrani w milczeniu się skłonili i wyszli.

z uczuciem pogardy dla tchórza, który pokrywał gniewem i uniesieniem strach, jakim go przejmowały wypadki[1]) i wróciwszy do resursy kupieckiej, zwołali tam wszystkich członków dawnej Delegacyi i uchwalili, że odtąd sesye mają się odbywać w dawnej formie i przy dawnym składzie, że straż obywatelska ma dalej pełnić swe obowiązki, że każden z jej członków ma być zaopatrzony w bilet z napisem „straż obywatelska“ i nakoniec, że ma być wydana odezwa do mieszkańców Warszawy, wzywająca ich w imię miłości kraju do zachowania spokoju. O tych uchwałach Delegacya tegoż jeszcze dnia zawiadomiła przez swych członków J. Keniga i M. Rozena, oberpolicmajstra Rozwadowskiego, który oczywiście, po tem co mówiono w Zamku, zgodzić się na wszystko musiał.

Tymczasem usiłowania te, o których zresztą najliczniejsza sfera ludności warszawskiej, dostawiająca główny kontynges wichrzycieli, gotowych do zaburzeń ulicznych, nic nie wiedziała, nie miały przynieść żadnego pożytku. Studenci, uczniowie gimnazyum, czeladnicy i terminatorzy rzemieślniczy, mnóstwo nakoniec ludzi nieokreślonych zajęć, próżniacy i szlifibruki, którymi każde wielkie miasto jest przepełnione, zbyt zasmakowali w awanturach ulicznych, w kocich muzykach i wybijaniu szyb, by mieli za jednym razem pozbyć się tej przyjemności. Pomimo więc, że po wczorajszych nieporządkach przed teatrem i mieszkaniem Enocha, wszyscy ludzie rozumniejsi potępili je bezwzględnie, nazajutrz, we Wtorek, miały się powtórzyć takie same sceny. Już od rana pojawiały się tłumy najróżnorodniejszej zbieraniny, kierowane przez nieznajomych dowódców, przebiegały ulice z krzykami i narzędziami przeznaczonemi do odgrywania kociej muzyki. Na cmentarz Powązkowski ni ztąd ni zowąd rozpoczęła się formalna pielgrzymka. Zebrało się mnóstwo ludzi koło grobu pole-

[1]) Abramowicz wkrótce potem musiał opuścić stanowisko prezesa teatrów i wyniósł się do Łazienek, gdzie zamieszkał jako zarządzający pałacami cesarskiemi.

głych, osypało go kwiatami i wieńcami, wśród łez kobiet, zaklęć i wymyślań na Moskali. Po południu przed mieszkaniem znienawidzonego cenzora ksiąg żydowskich a zarazem dyrektora szkoły rabinów, Tugendholda, mnóstwo żydów, podburzonych przez nieznaną rękę, zebrało się, odegrało piskliwą kocią muzykę i wybiło wszystkie szyby w oknach. Tegoż dnia miały nastąpić inne tego rodzaju objawy „pogardy publicznej“, jak mówiono, ale przecież straż obywatelska wzięła się do rzeczy czynnie, rozpędzała zbiegowiska i nie dopuściła dalszego ciągu zamierzonych awantur. Nazajutrz we Środę wprawdzie kocich muzyk już nie było, ale zato bardzo liczny tłum zebrał się przed kościołem Bernardynów i śpiewał jakąś nowo utworzoną litanią, na wzór suplikacyi, w której każda zwrotka kończyła się słowami: „od Moskali wybaw nas Panie!“

Gorczakow przerażony tem, widząc, że nawet przywrócenie Delegacyi nie wpływa na uspokojenie miasta, w obec zbliżającej się Wielkiej Środy, na którą jakoby zapowiadano nową manifestacyą, postanowił uciec się jeszcze do jednego środka, który, zdawało mu się zgodnie z twierdzeniem Enocha, powinien oddziałać na mieszkańców. Otrzymawszy dnia 25 Marca depeszę telegraficzną od cesarza, że koncesye zostały zatwierdzone i że ukaz o nich wysłany będzie nazajutrz wraz z Płatonowem i Karnickim [1]), zażądał d. 26, by mu cesarz pozwolił ogłosić treść koncesyi [2]). Gdy przyszła odpowiedź tegoż dnia zgadzająca się na to żądanie, zaraz nazajutrz ukazało się w gazetach streszczenie koncesyi, a mianowicie: że w miejsce Okręgu naukowego warszawskiego i wydziału duchownego w Ko-

[1]) Cesarz pisał: „Projektu Wielopolskiego nie mogę przyjąć w jego całości. Na podstawie przyjętych uchwał będzie wydany ukaz, który podpiszę i wyślę do pana jutro lub we Środę z Płatonowem i Karnickim“.

[2]) „Koniecznie trzeba jutro, pisał, ogłosić o utworzeniu Komisyi rządowej spraw duchownych i oświecenia publicznego i o naznaczeniu jej dyrektorem Wielopolskiego, jak również streszczony program łask. Proszę o decyzyą w tej mierze“.

misyi spraw wewnętrznych, ustanowiona zostaje Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Dyrektorem głównym prezydującym w tej Komisyi mianowany Aleksander hr. Wielopolski, margrabia Myszkowski z miejscem w Radzie administracyjnej Królestwa. Postanowiona ogólna reforma szkół i utworzenie wyższych zakładów naukowych a między niemi i szkoły prawa; ustanowienie Rady stanu Królestwa, do składu której wchodzą dygnitarze duchowni i znakomici obywatele kraju; ustanowione zostają po guberniach Rady z wyborów, oraz takież rady po powiatach i urzędy municypalne w mieście Warszawie i w główniejszych miastach Królestwa.

Wkrótce potem ogłoszony został sam ukaz cesarski. Zaczyna się on od zwykłej formuły, mówiącej o „ciągłej troskliwości o dobro poddanych naszych Królestwa Polskiego“ i określa bliżej reformy stanowiąc, że w Radzie stanu oprócz dyrektorów Komisyi rządowych, zasiadać ma także jako członek z urzędu prezes Najwyższej izby obrachunkowej. Celem przedstawienia objaśnień co do wniesionych pod rozbiór Rady stanu projektów prawa, rząd wyznaczać będzie delegatów. Co do Rad gubernialnych ukaz powiada, że zwoływane one będą raz do roku, i że dzień zebrania i czas trwania obrad, oznaczone będą w akcie zwołania. Do rad municypalnych należeć ma zarząd gospodarczy miasta, ułożenie i przedstawienie do zatwierdzenia przez rząd etatu dochodów i wydatków miasta, zewnętrzne upiększanie miasta, dozór nad miejskiemi instytutami publicznemi i t. p.

Współcześnie z ogłoszeniem tych reform, namiestnik wystąpił ze swej strony z odezwą do „mieszkańców Królestwa“, w której mówi o instytucyach nadanych przez monarchę i „nadających nowy rozwój pomyślności narodu“. „Mieszkańcy Królestwa, powiada dalej, ocenią należycie te wszystkie łaski swego monarchy, którego wspaniałomyślnych dążeń nie powstrzymały nieporządki wydarzone w Warszawie. Znając wierność poddanych swych Królestwa, odróżnił on ich od garści szkodliwych ludzi, którzy

nieporządki te wywołali. Wszystkie stany odpowiedzą zaufaniu temu Jego C. K. Mości szczerą wdzięcznością, zachowaniem zupełnej spokojności i porządku. I niechaj ten dzień uroczysty stanie się nowym zadatkiem pomyślności kraju pod mądrymi i wspaniałomyślnymi rządami cesarza i króla Aleksandra II-go".

Odezwa ta pozbawiona wszelkiej podnioślejszej myśli, usiłująca odróżnić „szkodliwych ludzi", którzy wywołali nieporządki, od reszty kraju, w chwili gdy ten kraj jedność myśli i dążeń swoich starał się na każdym kroku zaznaczyć; nazywająca Polaków „mieszkańcami Królestwa", jak gdyby lękała się wymówić przyrodzone nazwisko narodowe — w ogóle wywarła złe wrażenie. Członkowie zniesionej Delegacyi i komitetu Tow. rolniczego wpłynęli przez pośrednictwo Enocha, Karnickiego i Płatonowa na namiestnika, że ten uznał błąd w ogłoszeniu tej odezwy i postanowił wydać inną, która ukazała się d. 2 Kwietnia. Wydrukowano ją we wszystkich dziennikach i rozpowszechniono przez plakaty porozlepiane na rogach ulic. Tu już Gorczakow ośmiela się nazywać dotychczasowych „mieszkańców Królestwa" imieniem Polaków i tonem poważnym a zarazem groźnym, wzywa ich do spokoju w imię najdroższych interesów religii i narodowości. „Polacy! woła, ważne okoliczności teraźniejszej chwili, skłaniają mnie do przemówienia do was raz jeszcze, słowami pokoju i rozsądku. Instytucye najłaskawiej nadane Królestwu Polskiemu przez najjaśniejszego cesarza i króla, są rękojmią dla interesu waszego kraju, dla interesów najdroższych sercom waszym, religii i narodowości waszej. Wolą jest najj. pana, aby instytucye te wprowadzone były w życie jak najrychlej i szczerze. Dla urzeczywistnienia tego, okażcie jednozgodną chęć zachowania porządku i spokojności i chrońcie się od rozruchów, których rząd tolerować nie będzie i które każdy rząd ma obowiązek powściągnąć".

I któżby uwierzył, czytając tę odezwę urzędową, wzywającą Polaków do spokoju dla dobra ich własnego kraju i ich narodowości, że stało się to wszystko w tak

krótkim czasie, po niedawnych, strasznych rządach Paskiewiczowskich, po tem, gdy zdawało się, że nawet imię polskie zostało nazawsze wymazane z kart historyi i życia? A jednak stało się to wszystko jakby na dowód tej prawdy, że takie narody jak polski nie umierają i umrzeć nie mogą. Wypadki warszawskie przybrały zresztą tak wielki odgłos, rozbrzmiały tak szeroko po Europie, obudziły tak ogólne współczucie dla tego nieszczęśliwego narodu, który, jak powszechnie w stylu patetycznym epoki mówiono, nie mogąc się inaczej upomnieć o swe prawa, upomina się o nie krwią swoją serdeczną, — że gabinet petersburski postanowił wystąpić z aktem publicznym, któryby z jednej strony wyświetlając istotną prawdę, mocno zaćmioną przez przesadzone opisy gazeciarskie, z drugiej zawiadamiał świat o ustępstwach, jakie rząd poczynił dla Polaków. W tym celu rosyjski minister spraw zagranicznych, ks. Gorczakow, rozesłał okólnik do ambasad i misyi rosyjskich, w którym omawiając te fakta powiada, że cesarz „w zupełnem przekonaniu o swej sile i z uczuciem miłości dla swych poddanych, raczył przypisać to co się zdarzyło tylko uniesieniu, chociaż w obec ulicznych rozruchów można było wydać surowszy wyrok. Tylko z uwagi na to uniesienie i żeby dać czas uspokoić się wzburzonym umysłom, władze miejscowe nie użyły do przytłumienia środków, których miały prawo i możność użycia w obecnym wypadku“. Mówiąc następnie o reformach poczynionych w administracyi Królestwa, okólnik twierdzi, że „pomyślny skutek nowych instytucyi zależeć będzie w równym stopniu od zaufania Królestwa Polskiego w błogich zamiarach najjaśniejszego pana i od sposobu, w jaki ono usprawiedliwi okazywane mu teraz zaufanie. Wolą najj. pana jest, ażeby wszystko przez niego nadane było prawdą; przekonaniem jego jest, że sumiennie spełnił obowiązek swój, otwierając poddanym swoim Królestwa Polskiego drogę prawnego postępu; szczerem jego życzeniem jest, aby ci prosto tą drogą postępowali. Najjaśniejszy pan silnie jest przekonany, że cel ten zostanie osią-

gnięty, jeżeli zamiary jego spotkają uznanie i spółdziałanie w rozsądku poddanych jego Królestwa Polskiego".

Wszystko to jednak nie tylko nie uspokoiło miasta, ale owszem wywołało powszechne niezadowolenie. Stronnictwo rewolucyjne, kółka Akademików i uczniów szkoły sztuk pięknych, rozpowszechniły po mieści kartki litografowane, w których żądały, ażeby żałobę podwojono, aby wyrzucano na ulicę gazety zawierające ogłoszenie o koncesyach, poprzemazywane i podarte; aby wychodzono z kościoła tłumnie, gdy duchowieństwo z ambony pocznie odczytywać koncesye, aby nakoniec powstrzymano się zupełnie od uczęszczania do teatru. Kartki te w mnóstwie egzemplarzy rozbiegły się po mieście i jakkolwiek we wszystkich ludziach rozumniejszych, w Delegacyi i w resursie wywołały niezadowolenie, nazywano je głupstwem, przecież tu i owdzie nie pozostały bez wpływu. Na ulicach, na chodnikach walało się mnóstwo gazet ze wzmiankowanem ogłoszeniem, pomazanych i podartych. Agitatorzy zresztą nie szczędzili w tym celu zabiegów i kosztów. We wszystkich redakcyach zamówili tysiące egzemplarzy tego numeru dziennika, w których było obwieszczenie o koncesyach i jeżeli publiczność nie bardzo chętnie zadość czyniła rozkazowi „smarkaczy", to oni sami gorliwie go wykonywali.

Wzburzenie więc rosło, a ruch przedświąteczny, zawsze znaczny w Warszawie, jeszcze bardziej się przyczyniał do nadania miastu szczególnej, pełnej niepokoju fizyognomii. Ale już na scenę dziejową występowała olbrzymia, tragiczna postać Wielopolskiego i szybko zbliżała się chwila, w której mąż ten miał stać się osią główną wypadków, wielkiem słońcem historycznem, w promieniach którego gasły wszystkie inne postacie, wszystkie gwiazdy polskiego nieba. Rozpoczynał się po przydługim nieco, burzliwym prologu, pierwszy akt posępnej, wstrząsającej do głębi tragedyi polskiej. Przypatrzmyż się więc działalności tej atletycznej, niedźwiedziej postaci o Jowiszowej fizyognomii,

o olimpijskiego boga spojrzeniu, o nachmurzonych brwiach, z pod których pioruny zdawały się błyskać; spojrzyjmy na te sceny straszne, które z Wielopolskiego robią nowożytnego Lira polskiego, tłukącego się wśród ciemności puszczy dziejowej, wśród dmących wichrów i wyjącej burzy.

ROZDZIAŁ VII.

Margrabia. Krwawe starcie.

Wielopolski u władzy i jego przemowa w Komisyi oświecenia. Wrażenie tej mowy. Drobne manifestacye. Święta wielkanocne. Dymisye. Odezwa Wielopolskiego do chłopów i jego domagania się u namiestnika. Podział miasta na cztery okręgi wojenne. Trzecie posiedzenie Wydziału obywatelskiego i jego rozwiązanie. Zaburzenia na prowincyi. Kocie muzyki i Delegacya w Radomiu. Wypadki w Puławach, Kielcach, Kaliszu i innych miastach. Ucieczka Mackiewicza z Lublina i nominacya Boduszyńskiego na gubernatora. Wypadki w gimnazyum żytomierskiem. Bebutow. Sprawa Międzyrzecka. Mowa Wielopolskiego do duchowieństwa i żydów. Protestacya duchowieństwa. Ks. Dekert. Zniesienie Towarzystwa rolniczego. Oznajmienie Wielopolskiego. Wrażenie dekretu. Początek manifestacyi na Powązkach. Zbiegowisko przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego i przed pałacem Zamoyskiego. Zbiegowisko przed Zamkiem. Gorczakow i lud. Noc z 7-go na 8-y Kwietnia. Nowe prawo o zbiegowiskach. Pogrzeb Stobnickiego. Lud gromadzi się na Placu zamkowym. Wystąpienia wojska i Ojrzyński. Atak żandarmów. Żyd Landau. Strzały i Nowakowski. Pięć salw. Straszne sceny. Chrulew i Wielopolski w Zamku. Telegram Gorczakowa do cesarza. Dymisya Wołowskiego. Mowa Wielopolskiego. Wypadki w Płocku. Komunikat Wielopolskiego. Okólnik Giecewicza i Gorczakowa. Zakończenie.

Opowiedzieliśmy już, w jaki sposób Wielopolski dostał się do władzy, do tej upragnionej, tak długo oczekiwanej władzy, którą w samotnych rozmyślaniach ucisku trzydziestoletniego, uważał za jedyny cel swego życia. Widzieliśmy również w jaki sposób w Warszawie przyjęte zo-

stało ogłoszenie namiestnika o koncesyach. Wprawdzie ludzie rozumniejsi sarkali na nierozsądną manifestacyą z wyrzucanymi na ulicę gazetami, w których było to ogłoszenie, ale przeszkodzić jej nie mogli. Zamoyski, który jeden z najpierwszych został uwiadomiony o treści telegramu z Petersburga, wyraził się o nowych nadaniach z wielką niechęcią, dlatego jakoby, że one nie obejmowały wszystkich dawnych prowincyi polskich, i oświadczył, że żadnego stanowiska w nowym rządzie autonomicznym nie przyjmie [1]).

Komitet Towarzystwa rolniczego inaczej niż jego prezes patrzał na tę sprawę i Gorczakow, widząc to, pocieszał się jak mógł i donosił cesarzowi, że „wiadomość o nade-

---

[1]) Lisicki (Le marquis Wielopolski, II, 173) inaczej utrzymuje. Twierdzi on, że Zamoyski zrazu bardzo przychylnie wyraził się o koncesyach, nie spodziewał się bowiem więcej, jak Rady stanu i uniwersytetu. „Będziemy więc mogli, miał mówić, pracować w szerszym niż dotąd zakresie i z większym niż dotąd pożytkiem dla sprawy narodowej". W parę dni dopiero potem, pod wpływem członków Komitetu Towarzystwa rolniczego zmienił zdanie.

Myśmy poszli za relacyą, zawartą w rękopiśmie jednego z członków rzeczonego Komitetu, zatytułowanym „Urywkowe zapisy". Autor manuskryptu był obecny, kiedy Zamoyski otrzymał po raz pierwszy wiadomość o koncesyach i oto, jak o tem opowiada: „Kilku członków Komitetu zgromadziło się u prezesa Zamoyskiego, gdzieśmy się zeszli na rozmowę o bieżących wypadkach. Najstarszy syn p. Andrzeja, Władysław, przyszedł z wiadomością, że telegram z Petersburga przyniósł doniesienie o nadanych koncesyach. Wówczas p. Andrzej, wskazując na nas, powiedział: „jeżeli was zrobią policyantami, burmistrzami i t. p., powinniście przyjąć do czegokolwiek was powołają". Na to jeden z nas odezwał się w te słowa: „ja urodziłem się na prostego żołnierza i jako prosty żołnierz pragnę służyć krajowi. Jeżeli mię zrobią policyantem, to nim będę, ale pozwól mi prezes, że go się zapytam, jakie w obec rozwijających się wypadków zajmiesz stanowisko?" Na to pan Andrzej odpowiedział: „ja zostaję w innych warunkach. Wy jesteście ludźmi prowincyi, Kongresówki, i w granicach tej prowincyi pracować winniście. Ale nie możemy być egoistami. Nie tylko o tej jednej naszej prowincyi myśleć powinniśmy; nie zapominajmy, że są dawne kraje polskie zabrane, które równie dążą do odzyskania bytu narodowego. Pamiętacie, że przybyły do nas niedawno dwie deputacye: jedna przysłana

słanych łaskach dobre wrażenie wywarła na umiarkowanych". Niestety! miał się wkrótce przekonać, jak zwodnicze były te nadzieje, jak pod wpływem gorączki rewolucyjnej ludzie najrozumniejsi tracili swój zdrowy, spokojny sąd o rzeczach. Zamoyski w parę dni potem oświadczył wyraźnie namiestnikowi, że koncesye nie są dostateczne i nie zadawalniają kraju. „Bierzcie, wołał Gorczakow, bierzcie, co wam dają, zobaczymy później, co będzie można zrobić, by was zadowolnić".

Te rozumne, prawie że szczerym patryotyzmem polskim brzmiące słowa, nie znalazły nigdzie oddźwięku. Wydział obywatelski, otrzymawszy po zniesionej Delegacyi fikcyjną władzę moralną, nie przestawał działać w dawnym, rewolucyjnym sensie. Owszem, zamiast dopomagać władzy w chwili, gdy stosunki się wyjaśniły, gdy kraj wszedł na drogę ulepszenia swej doli smutnej, gdy wszystkich trzeba było użyć sił, gdy nakoniec było świętym obowiązkiem każdego Polaka, miłującego swą ojczyznę naprawdę, stłumienie rewolucyi, uspokojenie ruchu, owi radcowie, radzący na ratuszu warszawskim, żądają, by, z powodu zbliżających się świąt wielkanocnych, policya i żandarmi nie znajdowali się przed kościołami, jak to zwykle bywa w Warszawie, w czasie nabożnej wędrówki w Wielki Piątek do t. z. grobów; domagali się dalej, żeby uwięzionym w cytadeli dozwolone było czytanie książek. Na to wszystko Rozwadowski, kokietujący, podobnie jak Paulucci, ulicę, zapewnił Wydział o szczerości swych uczuć, oznajmiając, że już nie słowami, ale czynem będzie się starał o tem Delegatów przekonać.

Tymczasem Wielopolski, oczekujący na rezultat swych

---

przez obywateli litewskich, i druga składająca się z uczniów uniwersytetu kijowskiego. Obie te deputacye wypowiedziały żądanie, ażeby przy rozwijających się wypadkach, nie pominięto dawnych polskich prowincyi: Litwy, Ukrainy, Podola i Wołynia. Otóż musi być ktoś, ktoby reprezentował dawną Polskę w jej historycznych granicach. Tym człowiekiem będę ja; w tym celu się zarezerwuję i żadnego urzędu przyjąć nie mogę".

projektów w Krakowie, uwiadomiony o koncesyach i o swej nominacyi na Dyrektora Komisyi oświecenia, pośpieszył do Warszawy i stanął tu dnia 24 Marca. W trzy dni potem, dnia 27, w Wielką Środę, został instalowany w Komisyi wyznań i oświecenia. Rano tego dnia zebrali się wszyscy urzędnicy dotychczasowej Kuratoryi, z dyrektorem swoim Leopoldem Sumińskim na czele, w pałacu Kazimierowskim, dla przedstawienia się nowemu swemu zwierzchnikowi. Koło godziny 11-tej ukazał się on nakoniec ze swą postawą ciężką, z włosami niedbale na czoło nasuniętymi, starannie wygolony prócz siwiejących już faworytów, poważny, surowy, z wyrazem dumnego skrzywienia ust, piękny w swej rozumnej twarzy, silny i potężny w swej rozrosłej, otyłej figurze. W ręku trzymał karteczkę z konceptem tego, co miał mówić. Jakoż, głosem pełnym nizkiego, męzkiego dźwięku, odezwał się, jak następuje:

„Panowie! witam w was współpracowników, witam urzędników nie Okręgu naukowego warszawskiego, lecz przywróconej Komisyi wyznań i oświecenia. Zmiana ta nazwy głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę wiary jego i oświaty, znowu jak dawniej na łono kraju zwraca.

„Obecne zejście się nasze jako kolegów, jest pierwszem ziszczeniem reform łaskawie nam zapewnionych, a tu w nas i przez nas dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń, bo na cóż one wszystkie przydałyby się, gdybyśmy nie pracowali nad ukształceniem młodego pokolenia na obywateli zdolnych do udziału w tych poprawach?

„Praca nasza jest ważna i trudna. Reorganizacya zupełna szkół, uzupełnienie Wydziałów Szkoły głównej po latach tylu, nie małem jest zadaniem. Aby mu z pomocą Bożą podołać, podajmy sobie ręce!“

Ta mowa, budząca tyle nadziei, mowa na wskróś i szczerze polska, na ogóle nie zrobiła wrażenia. Ogłoszona w dziennikach, przyjętą została obojętnie. Głowy i serca czem innem były zajęte, w gorączce je trawiącej za nic

miano pracę wolną, trudną, pracę nad odrodzeniem kraju, nad ukształceniem młodego pokolenia. W Wielopolskim widziano Polaka solidaryzującego się z rządem rosyjskim i z ukosa na niego poglądano. Owszem zaraz znalazły się dusze tak poziome i małe, które przesłały mu kilka anonimów z pogróżkami, a „Dziennik Poznański“ odzywał się o nim z przekąsem, że jest włoskim margrabią a moskiewskim hrabią, że zatem nic polskiego w sobie niema. Wprawdzie, z drugiej strony pocieszyć się mógł tem, że między ludźmi rozsądnymi znalazł słowa uznania. Biskup podlaski, głośny ks. Benjamin, kapucyn, napisał do niego list pełen szczerej przychylności. „Jest to dzieło Boga, pisał biskup, że nam w osobie JW. Pana dał naczelnika. Wszystkie duchowieństwo tego kraju, jak się spodziewam, dzieli moją radość i nadzieję, iż kościół święty katolicki w tem Królestwie znajdzie teraz opiekę i swobodę, której tak dawno pragnął“. Obaczymy wkrótce, jak ciężko się Benjamin mylił.

Oprócz biskupa podlaskiego winszował swemu dawnemu przyjacielowi, Zygmunt Helcel z Krakowa; administrator unickiej dyecezyi Chełmskiej prosił o zwrócenie uwagi na potrzeby tego kościoła, nakoniec „Czas“ krakowski pisał, że „wybór margrabiego Wielopolskiego na dyrektora głównego Komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego, może nam służyć za rękojmię, że reformy będą w życie wprowadzone, a z nich dla kraju prawdziwy wyniknie pożytek. Aczkolwiek dotychczas nie wiemy na jaką drogę wstąpi margrabia, sądzimy jednak, że gdyby o szczerości zamiarów rządowych nie był przekonanym, nigdyby urzędu tego nie był przyjmował“. Czytając te słodko kwaskowate ostrzeżenia, że je tak nazwiemy, Gorczakow cieszył się, że kraj dobrze przyjmie Wielopolskiego, że nakoniec skończą się burze i niepokoje, które mu ostatnie dni jego starości zatruwają i zapewniał cesarza, że „wstąpienie Wielopolskiego do urzędu, wywiera bardzo dobre wrażenie“.

Tymczasem działo się zupełnie przeciwnie. Ruch wzra-

stał i przybierał coraz szersze, coraz niebezpieczniejsze rozmiary. O koncesyach po mieście obiegały pogłoski najróżnorodniejsze; mówiono, że je dano tylko na chwilę, że je odbiorą, że nie można wierzyć Moskalom i ich rządowi zdradzieckiemu. Matyas Rosen, znany nam już bankier i członek Delegacyi wypowiedział prawdziwie kupiecki dowcip o koncesyach, że „należy wszystko brać, ale z niczego nie kwitować". Powtarzano sobie to zdanie, śmiano się z niego, uważano je za głęboko rozumne i dowcipne. Najrozmaitsze pojawiały się koncepta, częstokroć bardzo nierozsądne, bardzo śmieszne w swej drobiazgowości, a mimo to uważane były przez ogół, przez ulicę rozpróżniaczoną i rozwydrzoną, za rzeczy ogromnego znaczenia i pierwszorzędnej doniosłości pod względem patryotycznym.

Komuś przyszła myśl zarzucenia fraków jako ubioru „niewygodnego i nieprzyzwoitego"; zaraz przyjęto ten projekt z uznaniem i redakcye pism zasypane zostały frakami, które przeznaczano na kurtki dla instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie. Rozpoczęła się prawdziwa maskarada strojów, przywdziewano kontusze, czamarki, konfederatki, ubierano się dziwacznie, częstokroć nie mając najmniejszego pojęcia o charakterze i sposobie noszenia stroju polskiego. Ulice miasta, ożywione z powodu zbliżających się świąt, z powodu pięknej pogody wiosennej, z właściwej zresztą Warszawiakom manii spacerowania, roiły się pstrocizną dziwaczną, jaskrawemi konfederatkami, ułankami, batorówkami, Bóg wie czem zresztą. Po kościołach, w czasie tłumnego odwiedzania t. z. „grobów" przesadzano się w tych strojach; wieczorami śpiewano pieśni patryotyczne na ulicy przed kościołami, jak w Wielki Czwartek przed Bernardynami i przed kościołem św. Aleksandra; w Wielki Piątek pod figurą przed Reformatami. Po mieście obiegało tysiące pogłosek, plotek, listów bezimiennych, odezw, wierszy piętnujących mianem łotrów i zdrajców bardzo szanownych nieraz ludzi[1]).

[1]) Do rzędu takich wierszy, które w tym czasie cieszyły się

Na szczęście, na tem się wszystko kończyło. Zapowiadana na Wielką Środę czy Czwartek manifestacya publiczna, której tak się obawiał książę namiestnik, nie przyszła do skutku; rozrzucane po mieście kartki prowokacyjne, wzywające do uroczystego, demonstracyjnego obchodu rocznicy powstania 1794 r. czytano obojętnie. Zato same święta, w których tradycya dawnej gościnności polskiej niejako się odżywia, dawały tysiące sposobności do urządzenia mnóstwa drobnych, ale wysoce charakterystycznych manifestacyi. Już we Wtorek, d. 26 Marca, ukazała się w dziennikach odezwa, podpisana przez żydów: Bernarda Kohna, Hermana Meyera i Maksymiliana Fajansa, tej treści: że „Polacy wyznania mojżeszowego“, dowiedziawszy się, iż wielu z czeladzi i robotników, oczywiście chrześcijan, nie ma sobie za co sprawić świąt wielkanocnych, zebrali między sobą złp. 19.200 i tę sumę złożyli na ręce ks. kanonika Steckiego i starszych zgromadzeń cechowych, ażeby ją rozdzielili między potrzebujących. Odezwa kończy się temi słowy, które powszechny entuzyazm wywołały: „upraszamy szanownych starszych o łaskawe wyrażenie czeladzi i robotnikom naszego życzenia, aby ta mała zapomoga tak serdecznie przez nich została przyjętą, jak serdecznie jest

---

wielką popularnością, należy wiersz p. t. „Recepta na ocet czterech złodziei“. Przytaczamy go tu w całości:

„Wrzuć w kociół Muchanowa, podnieś żar od spodu,
Nalej nań łez pełno biednego narodu,
Gotuj przez trzy godziny, choćby trochę dłużej;
Tu dodaj Karnickiego, co wrócił z podróży;
Znów gotuj i zbieraj brudne szumowiny,
A będą dobrą paszą dla chlewnej drużyny.
Dla tęgości koloru i dobrego smaku,
Dorzuć Abramowicza, nim zwiśnie na haku;
Jeszcze zamąć, a chceszli mieć czysty wydatek
Przydaj oświeconego gnębiciela dziatek,
Czcigodnego Gorczakowa, męża wielkiej sławy,
Bohatera z nad Czarnej i ulic Warszawy.
A gdy się płyn ustoi, ostygnie z kolei,
Będzie wyborny ocet z tych czterech złodziei“.

ofiarowaną". Uważano tę ofiarę żydowską za objaw zbratania się dwóch ludów, za fakt wielkiej doniosłości społecznej; zato dość chłodno przyjęto wiadomość, że Gorczakow kazał z funduszów kwaterunkowych Warszawy, wydać 10.000 rs. i wręczyć je Towarzystwu dobroczynności na zapomogi dla biednych, pozbawionych zarobku.

W ogólności użyto teraz wszelkich sposobów, żeby manifestacyjnie okazywać braterstwo, jedność i miłość wzajemną wszystkich stanów w Polsce. Dwaj studenci Akademii medycznej zaprosili jednego z zecerów „Gazety warszawskiej" na święcone do jednej z dam, imieniem, majątkiem i znaczeniem wysoko postawionej. Do d. 28 t. j. do Wielkiego Czwartku takich zaproszeń przeszło półtora tysiąca rozesłano. „Niech ten fakt osądzi, chociażby najzaciętszy wróg nasz, pisała rzeczona gazeta, może wówczas przyzna, żeśmy zachowali w sercu nie jedną dawną cnotę ojców, że tylko trzeba było chwili szczęśliwej, aby te cnoty znowu na jaw wyszły i zadały kłamstwo oszczercom naszym". Jakoż ta, pewnego rodzaju osobliwsza manifestacya, zapowiadała się, że przyjmie rozmiary ogromne. Wszystkie domy zamożniejsze zapraszały do siebie rzemieślników, robotników, lud ubogi. Akademicy biegali po mieście, po warsztatach, fabrykach, ulicach zamieszkałych przez ludność ubogą [1]).

Do Towarzystwa dobroczynności znoszono całe kosze święconego dla ranionych w d. 25 i 27 Lutego. Gdy nadeszła Wielka Niedziela, przedewszystkiem rano odbyło się wspólne święcone akademików, marymontczyków, rzemieślników i t. d. w restauracyi Łaszkiewicza na ulicy Miodowej i w „Tiwoli" na Królewskiej; potem ruszono tłumnie do magnackich pałaców i mieszkań. Przyjmowali hrabstwo Stadniccy, Potoccy, Pusłowscy, Zawiszowie, Zamoyscy. Wszędzie młodzież akademicka pełniła rolę wice-

[1]) Najgorliwsi pod tym względem byli akademicy, a między nimi Paweł Landowski, który później w powstaniu zbrojnem, miał odegrać rolę historyczną.

gospodarzy, a panie domu i ich córki posługiwały. Ale najświetniejsze przyjęcie, które przybrało istotnie kolosalne rozmiary, było u Hermana Epsteina, prezesa kolei warszawsko-wiedeńskiej, gdzie przez ciąg czterech godzin przewinęło się przeszło 2.000 osób, jeżeli wierzyć można obliczeniom konstabli narodowych, stojących przy bramie domu dla utrzymania porządku. Głównie byli tam robotnicy fabryczni i rzemieślnicy; znalazło się nawet kilku chłopów z okolicy. Służba ugalonowana posługiwała zdziwionym takiem przyjęciem i zbytkiem, jaki przy tem roztoczono, biedakom. Jeżeli się gdzie zdarzyło, że który z nich dał się słyszeć, że jego żona i dzieci nie pożywają tak wspaniałej uczty, to zmuszano go do zabierania ze stołu czego chce i zaniesienia swej rodzinie.

Wśród tych przyjęć, tego ruchu tysięcy ubogiej ludności, dążącej do pałaców magnackich i nadającego miastu niezwykły, uroczysty widok, powszechną na siebie uwagę zwróciło zbliżenie się do siebie dwóch ludzi, na których wszyscy podówczas patrzyli, którzy stanowili jakoby dwa obozy, byli podobni do „stojących na swych słońcach bogów“ poety: Andrzeja Zamoyskiego i Wielopolskiego. Już na nabożeństwie rezurekcyjnem w kościele archikatedralnym św. Jana, zauważono, że baldachim nad arcybiskupem nieśli obaj ci panowie. W pierwszy dzień Wielkiejnocy przybył do Zamoyskiego na święcone margrabia. „Jest zwyczajem, rzekł do gospodarza, że cała Warszawa w tym dniu do pana hrabiego z życzeniami spieszy, przychodzę więc i ja, a spodziewam się, że odtąd będziemy wspólnie dla kraju pracowali. Alleluja!“ — „Alleluja!“ odrzekł chłodno Zamoyski. Wybitniejsze osobistości, będące na tem zebraniu, przeszły z Wielopolskim do sąsiedniego salonu, gdzie wszyscy mówili, tylko jeden margrabia milczał. To oczywiście podobać się nie mogło, a o wizycie jego i oświadczeniu, ulica, czerwieńcy, którym to nie było na rękę, którzy lękali się zbliżenia tych dwóch ludzi, rozpuścili tysiące plotek, włożyli w usta Zamoyskiego słowa, których on nie powiedział, nie mógł powiedzieć, ale

które dochodząc do uszów Wielopolskiego drażnić go koniecznie musiały. W rzeczy zaś samej postąpienie margrabiego bardzo się podobało Zamoyskiemu, połechtało może jego dumę i próżność. Odzywał się głośno: „nic nie chcę robić bez niego, a tym więcej przeciw niemu“. Niestety! ten zamiar zbawienny i rozumny, w obec nacisku otoczenia, w obec wypadków następnych, nie miał długiej trwałości.

Na nabożeństwach po kościołach, księża w kazaniach swoich mówili o miłości bratniej, o poświęceniu, o walce moralnej i przez dziwne w ustach księdza katolickiego zapomnienie, porównywali Polskę do ukrzyżowanego Chrystusa, a pięciu poległych do pięciu Jego ran. W Poniedziałek wielkanocny, na kazaniu znanego nam już ks. Mikulskiego, w kościołku na Powązkach znalazło się mnóstwo lutrów i żydów. Ksiądz mówił, jak wszyscy teraz, o miłości wszelkich stanów, o braterstwie i t. p. a znany nam już kaznodzieja żydowski Izaak Kramsztyk, nawoływał do odpłacania „braterstwa braterstwem, miłości miłością“. Na ulicach pełnili służbę konstable narodowi, dla których w tydzień potem, ich naczelnik, kupiec Józef Kwiatkowski, wyprawił u siebie święcone wspaniałe i zbytkowne. Było tam, jak zwykle w takich razach, mnóstwo mówek, toastów, uścisków i całowań się co niemiara. Na Powązki, na grób poległych, tłumnie przez święta chodzono, strojono go w wieńce, kwiaty, modlono się i płakano.

Za przykładem Warszawy poszła i prowincya. Prawie wszędzie domy zamożniejsze przyjmowały u siebie ubogich; po wsiach dziedzice zapraszali całe gromady na „jajko święcone“. W Piotrkowie, niejaki Erazm Malinowski, urzędnik sądowy, zaproponował w resursie miejscowej, ażeby urządzono w gmachu popijarskim, wielkie święcone na 6000 osób. Wniosek się przyjął; wezwani na radę wybitniejsi obywatele miasta, postanowili wyznaczyć na ten cel 200 rs. z funduszów propinacyjnych; szlachta okoliczna zaś zadeklarowała, że przyśle znaczną ilość okowity, piwa, wędlin, mąki i t. p. Wydelegowano z resursy przeszło dwu-

dziestu członków, którzy podzieliwszy między siebie miasto, przebiegali je w ostatnim tygodniu i oznajmiali mieszkańcom o przyszłem wspólnem święconem, zapraszali ich na nie w imieniu ogółu i dodawali zarazem, żeby każden z zaproszonych, jeżeli może, część swego święconego przysyłał do gmachu popijarskiego. Przysłano jednak tak mało, że musiano się uciec do pomocy funduszu wyznaczonego przez miasto. Owym dwudziestu członkom polecono przyjmować gości; uproszono takąż ilość dam. Z ambony, zaraz po rezurekcyi księża zawiadomili nabożnych o owej uczcie wspólnej, mającej przypominać „uczty miłości“ pierwszych chrześcijan i wzywali, by licznie na nie przybyli. Oczywiście mnożnej rzeszy różnych biedaków i straceńców, wieszających się po zaułkach miejskich, nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Gdy sala na pierwszem piętrze w gmachu popijarskim, odpowiednio została ozdobioną, a stoły w niej i na dziedzieńcu nakryte, zbiegło się tysiące ludzi, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i wyrobniczych. Przybywających powitał odpowiednią mową ksiądz Wojciechowski, prefekt gimnazyum miejscowego. Damy piotrkowskie usługiwały gościom; dzielono się jajkiem, mówiono o braterstwie. Lud rzucił się ku stołom i prawie w jednej chwili wszystko z nich znikło. Szczęściem, że miano zapasy, tak że można było ciągle zastawiać stoły. Uczta ta trwała od godziny 8-mej rano do zmroku. Cechy rzemieślnicze przybyły z chorągwiami; zjawiła się nieodzowna gmina żydowska z rabinem na czele, którą częstowano koszernym miodem i wódką, a nawet sprowadzono trzech kozaków, których „ugoszczono ze staropolską gościnnością i miłością odradzającego się narodu“. Za tymi kozakami przybyli i inni, tak że podobno całą ich setkę, konsystującą wtedy w Piotrkowie, nakarmiono [1]). Następnego dnia

[1]) A. Giller w „Dziejach delegacyi warszawskiej“ opowiada przytem, że „ajenci moskiewscy rozszerzyli wiadomość, że święcone będzie zatrute“. Nie zważano widać na to, a nadewszystko nie musiano bardzo wierzyć tej pogłosce, kiedy tak uroczyście ucztowano.

t. j. w Poniedziałek przyjmowano żebraków i żebraczki z miasta i okolicy.

W Wilnie, Jan hr. Tyszkiewicz, marszałek powiatowy wileński, zarządził u siebie przyjęcie na święcone na 1500 osób. W tym celu osobiście jeździł po rzemieślnikach, w towarzystwie krawca Korowaja i zapraszał ich do siebie. Jenerał-gubernator Nazimow, dowiedziawszy się o tem, nakazał policyi, żeby nie pozwoliła na to. Jakoż przyjęcie to, które powszechną na siebie zwracało uwagę w mieście, nie przyszło do skutku.

Wśród takich to warunków, Wielopolski rozpoczynał swoje rządy. Rozwinął on zaraz ogromną, gorączkową czynność, z wyraźnym charakterem polskim, którego mimo to, nie chciano widzieć, przyjmowano obojętnie, chłodno, a częstokroć umyślnie fałszowano jego doniosłość i znaczenie. Przeniósłszy się w Wielki Czwartek, d. 28 Marca, na mieszkanie do pałacu namiestnikowskiego, zajął się przedewszystkiem utworzeniem biura, w celu szybkiego zorganizowania nowo powstającej Komisyi wyznań i oświecenia publicznego, oraz oczyszczeniem urzędów, tej prawdziwej stajni augiaszowej, z różnych karyerowiczów cudzoziemskich i rosyjskich, którzy zajmowali nieraz najlepsze, najpopłatniejsze stanowiska i przyczyniali się w wielu wypadkach do utrwalenia tej nienawiści, jaką społeczeństwo polskie czuło do rządu. Przedstawicieli cenzury przyjął surowo i wypowiedział do nich te zjadliwe słowa: „widzę, że w naszym kraju więcej mażących niż piszących“ i zaraz potem, d. 30 Marca, ukazało się w dziennikach o ogłoszenie, że Juliusz Hignet, starszy cenzor, który pomimo, że służył w Polsce, języka jej nie znał, „dla dobra służby“ został uwolniony od zajmowanych obowiązków. Pisywał on korespondencye do „Norda“ brukselskiego, organu półoficyalnego rosyjskiego, w których malował społeczeństwo polskie, w jak najgorszych barwach i zawsze z niczem nieusprawiedliwioną nienawiścią się o niem odzywał. Słusznie więc należała mu się dymisya, była ona niejako hasłem, że „skończyły się piękne dni Aran-

juesu“ dla wstrętnych karyerowiczów i straceńców wszelkiego rodzaju, którzy ciągnęli do Polski jak sępy na żer. Silniejsze wrażenie zrobiła dymisya, udzielona niejakiemu Sztenderowi, Kurlandczykowi rodem, który pełnił mnóstwo dobrze płatnych urzędów. Był on członkiem Rady wychowania, wizytatorem szkół i prezesem komitetu egzaminacyjnego, a pomimo tego nie umiał ani słówka po polsku. Gdy się przedstawił Wielopolskiemu, zaczął po francuzku, a spostrzegłszy, iż margrabia udaje jakoby nie rozumiał, przemówił po niemiecku. Zapytany wreszcie, czemu nie mówi po polsku, przyznał się, że tego języka nie rozumie. „Ile pan lat służysz w Polsce?“ spytał w końcu Wielopolski, a usłyszawszy, że 29 lat, rzekł: „to bardzo smutno, być tak długo wizytatorem szkół polskich i nie umieć po polsku. Odtąd inaczej być musi i dlatego rzeczą jest słuszną, byś pan wziął dymisyą“.

Wszystko to oczywiście dochodziło do wiadomości ogółu; cieszono się, że karyerowicze moskiewsko-niemieccy, jak mówiono, „wylatują“, ale swoją drogą Wielopolski sympatyi nie zyskiwał. Napróżno rozwijał ogromną czynność, konferował z urzędnikami, przyjmował różne osoby i ciała. W Wielki Piątek przedstawili mu się urzędnicy byłego wydziału wyznań w Komisyi spraw wewnętrznych, który teraz przechodził pod zarząd Komisyi oświecenia, dyrektorowie i profesorowie Szkoły sztuk pięknych, oraz redaktorowie pism. Przypatrywano mu się ciekawie, słuchano go jeszcze ciekawiej; dramat zaiste był niezmiernie interesujący; widzieć nagle, w kraju w ten sposób rządzonym, jak Królestwo, człowieka prywatnego, zajmującego tak wysokie, tak pierwszorzędne stanowisko u władzy, wchodzącego, jak mówi Aligier, w łono tych, w których przyszłość się wypracowuje. Ale poza pozorną pokorą i gorliwością urzędników, którzy mu się przedstawiali, taki umysł bystry jak Wielopolskiego, widział zapewne w twarzach nieufność, w oczach blask podejrzeń i niewiary. Nie zważał on jednak na to, miał nadzieję, że czynami mówiącymi głośno o jego patryotyzmie, zdoła zwyciężyć nieuf-

ność, pociągnąć ku sobie opinią; że znajdzie w sercach ten instynkt zachowawczy, który wskazuje zagrożonemu śmiercią, gdzie jest jego zbawienie i ratunek.

Teraz jednak margrabia był pełen najlepszych nadziei; były to miodowe miesiące jego władzy, tej władzy tak upragnionej, tak gorąco przez tyle lat pożądanej. Rwał się do pracy, do czynu z energią zdumiewającą i siłą. Odrazu jego potężna postać stanęła na pierwszym planie: jak soczewka skupiła wszystkie promienie. On właściwie był rządem, był wszystkiem, przez swą wyższość umysłową, przez rzeźkość i wolę niezłomną. Tysiące projektów snuł po głowie, by dopomódz do odrodzenia się nieszczęśliwemu krajowi, by skrępowane jego ciało ożywić, przywrócić mu cyrkulacyę swobodną krwi. Najważniejszą nateraz kwestyą było załatwienie sprawy włościańskiej i uspokojenie kraju. Co do pierwszego, wierny swym tradycyom szlacheckim, czując wstręt, nawet do wyrazu „uwłaszczenie“, chciał cały ten węzeł, zadzierzgnięty przez wieki, rozwiązywać wolno i bądź co bądź rękami szlacheckiemi. W tym celu umyślił utworzyć przy Komisyi spraw wewnętrznych komitet obywatelski z głosem doradczym. Do komitetu tego zawezwał najwybitniejszych członków komitetu Towarzystwa rolniczego, jak: Aleksander Jackowski, Tytus Wojciechowski, Aleksander Ostrowski, Franciszek Węgleński, Aleksander Kurtz, Klemens Krzyżtoporski i Antoni Wrotnowski. Oprócz tego powołał tam swego przyjaciela i szwagra Tomasza hr. Potockiego, Leopolda Kronenberga i nakoniec Zygmunta Wielopolskiego swego syna. Nim jednak ten komitet został uorganizowany i nim w ogóle na tem polu mogła się rozpocząć jakakolwiek działalność polityczna, należało koniecznie uspokoić chłopa, do którego zewsząd, jakeśmy to już powiedzieli, dochodziły różne odezwy, mąciły mu głowę i budziły w nim przesadzone nadzieje. W tym celu pod datą 31 Marca, margrabia zawezwał władzę duchowną, ażeby z ambon ogłosiła ludowi, że: „.... działając zgodnie z rządem, obywatele kraju właściciele dóbr, zajęli się szczerze oczynszo-

waniem, dotychczasową pańszczyznę zastąpić mającem. Oprócz tego wielu właścicieli oświadczyło życzenie, aby po ustanowieniu czynszów przez dobrowolną umowę między nimi a ich rolnikami, czynsze takowe mogły być raz na zawsze wykupione, które to życzenie, pod rozwagę rządu o dobro wasze troskliwego, jest teraz poddane. Skoro rząd do życzenia tego przychyli się, wtedy będą mogły co do skupu być zawierane dobrowolne umowy między wami a właścicielami dóbr, z których to umów wy, za upływem lat pewnych, do własności gruntów gromadzkich przyjdziecie".

„Co z polecenia Dyrektora głównego prezydującego w Komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, do waszej wiadomości podaje się, wzywając was, abyście z troskliwości rządu i z dobrych chęci właścicieli ziemskich korzystali i do zawarcia dobrowolnych umów naprzód o czynsze, a w swym czasie o wykup zdążali, zachowując się spokojnie i mając ufność tak w rządzie jako i w właścicielach, wspólnie z nim waszego dobra pragnących".

Oprócz tego Wielopolski nalegał usilnie na Gorczakowa, aby szeregiem środków energicznych starał się kraj uspokoić. W tym celu domagał się, ażeby w Warszawie i na prowincyi, gdzie się samowolnie potworzyły, rozwiązał wszędzie straże bezpieczeństwa i Delegacye; żeby zamknięto w Warszawie na sześć tygodni resursy, które wyraźnie przybrały charakter klubów politycznych; żeby gorliwie się wzięto do wyśledzenia i ujęcia przewódców ruchu; żeby zniesiono Towarzystwo rolnicze, które w sprawie włościańskiej występowało jako rząd i nakoniec, gdyby to wszystko nie pomogło, radził ogłosić stan oblężenia na dni ośm i przez zdecydowaną i stanowczą postawę zapobiedz wszelkim niepokojom. Rady bez zaprzeczenia były dobre i zbawienne, ale trzeba było, żeby na Zamku warszawskim panował żołnierz surowy, a nie łagodny, miękki, Gorczakow. Jak zwykle wahał się on czy pójść za tą radą, czy nie; tłomaczył, że nie ma dość wojska na to, by stan

wojenny mógł być ściśle wykonany, obawiał się złego wrażenia, jednem słowem nie mógł się zdecydować. Zresztą ówczesna policya warszawska, nie przedstawiała gwarancyi, że rozporządzenia władzy wyższej będą należycie spełnione. Jakkolwiek w końcu Marca zwiększono ją znacznie, bo o 400 przeszło ludzi (11 oficerów, 33 podoficerów i 367 szeregowców) odkomenderowanych z wojska [1]), mimo to była ona jak zawsze nieradna i nieczynna. Podwysocki, jeden z jej naczelników tajnych, późniejszy autor opisu wypadków warszawskich, był niezręczny i niesumienny. Doniesienia jego były albo fałszywe, albo dotyczyły drobiazgów. Czyż takie narzędzie, mogło przedstawiać jakie szanse powodzenia?

Ulegając jednakże domaganiom się Wielopolskiego, których zbawienność sama się w oczy rzucała, Gorczakow zgodził się na pewne kroki. Dla lepszego dozoru podzielono miasto na cztery okręgi wojenne, pod ogólnem dowództwem jenerała Liprandi. W każdym z tych okręgów był osobny naczelnik wojenny, który miał pod swą władzą także cyrkuły policyjne, mieszczące się w jego obwodzie. Przeznaczono pewne oddziały wojska, które w razie manifestacyi lub rozruchów winny się koncentrować w oznaczonych miejscach i przechodzić pod dowództwo odnośnego naczelnika wojennego. Później, na żądanie Wielopolskiego, przy każdym z naczelników pomieszczono urzędnika sądowego, który miał odczytywać ludowi w czasie zbiegowiska, odpowiednie przepisy prawa.

Pierwszy okrąg wojenny obejmował cyrkuły 1-szy i 2-gi do granic cytadeli i jedenasty do ulicy Trembackiej i Bednarskiej, z włączeniem pałacu Prymasowskiego, placu Teatralnego i ratusza. Dowództwo tego okręgu miało być powierzone jenerałowi Chrulewowi, staremu sewastopol-

[1]) Zwiększenie to policyi kosztowało kasę miejską przeszło 2.700 rs. miesięcznie. Oficerowie pobierali po rublu na dzień, a żołnierze po 20 kop. oprócz oczywiście życia, mieszkania, opału, światła i t. p.

skiemu oficerowi, żyjącemu bezczynnie w Petersburgu, kwaśnemu, niezadowolonemu żołdakowi, który pragnął działalności i którego przybycia spodziewano się lada dzień ze stolicy Rosyi.

Drugi okrąg, oddany jenerałowi Wiesielickiemu, obejmował cyrkuły trzeci, czwarty, piąty i szósty, oraz gmachy Banku Polskiego i plac Bankowy. Jenerał Mielnikow został naczelnikiem trzeciego okręgu, w skład którego wchodził cyrkuł siódmy, dziesiąty i część jednastego. Nakoniec czwarty oddział, powierzony jenerałowi Merchelewiczowi, obejmował cyrkuły ósmy i dziewiąty.

Podział ten, którego tajemnica nie mogła być długo zachowaną, wywołał niezadowolenie ogólne, znamionował bowiem jakieś zamiary niebezpieczne dla agitatorów. Niezadowolenie to znalazło wyraz w Wydziale obywatelskim, który dnia 29 Marca, w Wielki Piątek, zebrał się na swoją sesyą i zapytał oberpolicmajstra, co znaczy ten podział miasta? Rozwadowski odrzekł wymijająco, że w każdym cyrkule stoją wojska w różnych miejscach pod komendą oficerów sztabowych, ludzi doświadczonych i rozumnych, którym komisarze cyrkułowi obowiązani są donosić o wszelkich zbiegowiskach. Usłyszawszy to członkowie wydziału, zażądali, żeby i im komisarze cyrkułowi donosili także o zbiegowiskach, gdyż tylko tym sposobem można będzie uniknąć niepotrzebnych i zawsze niebezpiecznych starć z wojskiem. Rozwadowski, który wiedział, że bądź co bądź dni wydziału są policzone, zgodził się na to chętnie.

Jakoż Gorczakow ulegając radom Wielopolskiego zdecydował się nakoniec na rozwiązanie tego ciała dziwnego, które nie będąc rządem, przez jakiś czas miało wszystkie jego atrybucye. Wśród wzrastającego przez święta Wielkanocne wzburzenia i drobnych manifestacyi, straż obywatelska, owi konstable narodowi, którzy dotąd nie przestali pełnić swych czynności, aresztowali znowu dwóch podejrzanych prowokatorów, znanego nam, raz już uwięzionego i potem wypuszczonego Władysława Krzyżanowskiego i Salisa Rozengolda, zwanego wśród pewnych

sfer motłochu warszawskiego „śpiewakiem“ i oddała w ręce policyi.

Śpiewy przed kościołami wciąż się odbywały; trzebaż było temu wszystkiemu raz koniec położyć. Pierwszy zatem z kolei cios padł na wydział obywatelski. Dnia 4 Kwietnia został on uwiadomiony, że czynności jego od tej chwili ustają, że może wszelako wybrać z pomiędzy siebie dwunastu członków, którzy, wprzód nim zostanie uorganizowana Rada miejska, przyrzeczona przez ukaz z d. 26 Marca, mają pełnić obowiązki tej rady pod przewodnictwem prezydenta miasta Andraulta. Nie było co robić; przystąpiono zaraz do wyborów. Do nowej rady weszli: Dominik Zieliński, Henryk Krajewski, Tytus Chałubiński, August Trzetrzewiński, Jakób Lewiński, Ksawery Szlenkier, Jakób Piotrowski, Józef Kraszewski, ks. Wyszyński, Stanisław Hiszpański, Jakób Natansohn i Beer Mayzels, czyli te same osobistości, które dotąd wchodziły w skład wszelkiego rodzaju ciał obywatelskich. Gdy jednak przedstawiono namiestnikowi listę wybranych do zatwierdzenia, ten zwrócił uwagę wydziałowi naprzód na to, że duchowieństwo katolickie w radzie jest słabo reprezentowane, bo tylko przez ks. Wyszyńskiego; a następnie, że Henryk Krajewski, jako świeżo amnestyowany z Sybiru, według istniejących przepisów, przez namiestnika nie może być powoływany do pełnienia obowiązków urzędowych. W skutek tego, włączono do listy na miejsce Krajewskiego, księdza Steckiego, mimo to jednak Gorczakow dozwolił na to, by na posiedzenia rady był zapraszany Krajewski, „gdyż, jak się wyraża protokół, przepisy o amnestyowanych nie mogą zabraniać zapraszania tego rodzaju osób przez współobywateli, czego dowodem jest, że Henryk Krajewski z wiadomością władzy, należał do składu delegacyi i wydziału obywatelskiego“.

Taki miała koniec delegacya i czterdzieści dni owych „czasów polskich“, słodkie wspomnienie których długo żyło wśród ludu warszawskiego. Rozstając się ze swą władzą moralną, delegaci poraz ostatni odezwali się publicznie

do „obywateli“, w tym tonie sentymentalnego patosu, który brzmi we wszystkich nieomal dokumentach tej epoki: „Przestając wypełniać swe czynności, piszą delegaci, pod względem utrzymania bezpieczeństwa publicznego, członkowie delegacyi miasta Warszawy, wzywają obywateli, aby idąc ciągle raz obraną drogą, godnością swej postawy okazywali dojrzałość polityczną, do jakiej naród polski, pomimo nieprzyjaznych okoliczności dojść zdołał; aby stale trzymali się zbawiennego kierunku, który tak wybitnie się objawił w pojęciu równości obywatelskich obowiązków i równości praw obywatelskich wszystkich mieszkańców bez różnicy stanu i wyznania. Godność i jedność są najlepszą dla przyszłości narodu naszego rękojmią“.

Pierwsze posiedzenie nowo powstałej rady miejskiej odbyło się zaraz nazajutrz d. 5 Kwietnia w ratuszu, pod przewodnictwem prezydenta Andraulta. Był to człowiek bez charakteru, syn nieprawy jenerała francuzkiego Longereau, urodzony w Rosyi, ale przez długi pobyt nad Wisłą zupełnie spolszczony; że jednak był zawsze pokornem narzędziem w ręku rządu, że pędził życie rozpustne i nieporządne, więc go nie lubiano. Znalazłszy się nagle na czele rady obywatelskiej, która miała prawo wglądać we wszystkie prawie interesa miejskie, był w położeniu dość kłopotliwem. Mowę, którą rozpoczął posiedzenie, czytał głosem drżącym, niepewnym, oddawał się w niej, jak i magistrat cały na usługi radzie tymczasowej. Zgodził się na to, by rada odbywała swe posiedzenia przy drzwiach otwartych, gdy jednak chciano by na blankietach wydrukowany był tytuł: „Tymczasowa rada municypalna stołecznego miasta Warszawy“, zawahał się co do owego przymiotnika „stołeczny“ i przyzwolenie swoje uczynił zależnem od woli namiestnika [1]). Ten zgodził się na przy-

[1]) Warszawa do r. 1837 używała tytułu miasta stołecznego. W tym roku dopiero tytuł ten usunął Szypow, dyrektor Komisyi spraw wewnętrznych, wielki przeciwnik autonomii Królestwa.

wrócenie Warszawie nazwy stolicy, ale o posiedzeniach przy otwartych drzwiach słyszeć nie chciał: „czyż nie widzisz pan, wołał do Andraulta, że chcą klub zrobić, tak jak w resursie?“ Uwaga była słuszną i sprawiedliwą; trzeba było bowiem wszystkiego unikać w tych czasach nieszczęśliwych, coby dać mogło powód do jakichkolwiek zaburzeń.

Tak urządziwszy się z Warszawą, trzeba się było z kolei rzeczy zająć prowincyą, gdzie położenie było niemniej groźne, gdzie stan wzburzenia wzrastał i przybierał rozmiary bardzo niebezpieczne. Co chwila do Warszawy przychodziły wieści niepokojące. Wszędzie prawie tworzyły się samowolnie delegacye i obejmowały w swe ręce rządy nad miastami. W Radomiu, po długich próbach, udało się agitatorom zgromadzić d. 28 Marca w Wielki Czwartek tłum, złożony z uczniów szkolnych, młodzieży rzemieślniczej, motłochu nakoniec wszelkiego rodzaju, który z nastaniem zmroku, około godziny 8-mej wieczorem, rozpoczął szereg kocich muzyk przed mieszkaniami osobistości nielubionych w mieście. Los ten spotkał naprzód niejakiego Flisa, radcę policyjnego w rządzie gubernialnym, potem komendanta żandarmów Wiernikowskiego, naczelnika powiatu Skirskiego, który miał smutną sławę, że przez swą gorliwość przyczynił się do schwytania w r. 1846 księdza Ściegiennego. Oprócz nich ulegli „sprawiedliwości ludowej“, jak mówiono wtedy, Leśkiewicz, naczelnik kancelaryi w gubernii i nakoniec Koźmiński, naczelnik urzędu pocztowego. Zaraz też, korzystając z nieładu i popłochu w mieście, utworzyła się na ratuszu samowolna delegacya obywatelska, na czele której stanął zamożny kupiec Hirosz.

W Puławach, w miejscowym instytucie panien, nie cieszącym się dobrą opinią kraju, wychowanice urządziły nabożeństwo żałobne za poległych i zaprosiły na nie nawet publiczność lubelską, a gdy temu sprzeciwiła się przełożona, pani Grothe, podniosły przeciw niej rokosz, wymówiły posłuszeństwo i robiły co chciały.

W Kielcach, spokojnem, cichem, na pół sielskiem

miasteczku, wrzała oddawna stłumiona agitacya podziemna, żeby pójść za przykładem Warszawy i innych miejsc i czekała tylko na sposobność przyjazną do wystąpienia czynnego. Jakoż d. 4 Kwietnia sposobność się taka znalazła. Zdarzyło się, że ksiądz miejscowy Zajdler, jadąc z wijatykiem do chorego, przez nieostrożność woźnicy najechał na dwóch pisarzy wojskowych, jak się zdaje pijanych, z których jeden rozgniewany, rzucił butelką z atramentem, nie trafiwszy zresztą księdza. Działo się to za miastem, na drodze ku Czarnowu, wsi leżącej niedaleko Kielc. Tego też trzeba było agitatorom. Zawiadamiają natychmiast mieszkańców przez plakaty drukowane i rozlepione na rogach ulic, o „zbeszczeszczeniu świętości przez żołdaków“. Oburzenie w mieście było ogromne, choć w gruncie rzeczy po większej części sztuczne; przed wikaryatem zebrały się tłumy liczne, czemu sprzyjał tydzień świąteczny i piękna pogoda wiosenna. Na wniosek księdza Domagalskiego, znanego ze swej gorliwości religijnej i wymowy, postanowiono w kolegiacie miejscowej odprawić solenne nabożeństwo ekspijacyjne, a potem ruszyć gromadnie do magistratu i tam utworzyć „komitet bezpieczeństwa“, któryby czuwał nad miastem. Jakoż tak się stało. Uderzono we wszystkie dzwony, odprawiono nabożeństwo, ks. Domagalski wygłosił kazanie zachęcające do spokoju i porządku, poczem zebrano się tłumnie przed magistratem, gdzie zasiadły osobistości wybitniejsze w mieście i rozpoczęły wybory do owego komitetu. Posiedzenie było burzliwe; żądano ustąpienia wojska z miasta; wreszcie utworzono komitet wzmiankowany pod przewodnictwem miejscowego naczelnika powiatu Michała Tańskiego. Adwokat Łuniewski wystąpił na balkon i uwiadomił lud o rezultacie wyborów. Współcześnie wygotowano dwa raporta, w których jak najczarniejszemi kolorami odmalowano postępek pijanych pisarzy wojskowych, którzy zresztą mogli nie wiedzieć i zapewne nie wiedzieli, że najeżdżający na nich ksiądz, wiezie wijatyk. Raporta te sztafetą przesłano do namiestnika i do.... Andrzeja Zamoyskiego. Co ten ostatni miał robić z tym

raportem, domyśleć się trudno. Prócz tego komitet bezpieczeństwa wydał nazajutrz odezwę drukowaną do mieszkańców miasta, zapowiadając, że bierze porządek publiczny w swe ręce, że straż na ulicach pełnić będą delegowani komitetu, opatrzeni na kapeluszach białą kartką z napisem: „służba obywatelska“ [1]). Jakoż zaraz, policya rządowa, bar-

[1]) Treść tej odezwy jest następująca: „Komitet bezpieczeństwa miasta Kielc i okolicy. Ciężka zniewaga, jaka na dniu 4 Kwietnia b. r. spotkała tu kapłana, jadącego z Najświętszym Sakramentem, niepokojące wieści po okolicznych i oddalonych nawet włościach, a zapowiadające burzę krajowi, dojmujące wreszcie zaczepki w samem mieście słyszane, do głębi zraniły najtkliwsze uczucia wiary tutejszych mieszkańców i w umysłach powszechną obudziły trwogę. Spokojność stała się niepewną, poręczenie bezpieczeństwa okazało się koniecznem. Z tych powodów, za zezwoleniem władzy, zawiązano Komitet bezpieczeństwa, przez obywateli obrany, w skład którego wchodzić ma także po kilku włościan z przyległych wiosek. Celem Komitetu jest uspokoić wzburzenie umysłów, strzedz bezpieczeństwa, śledzić zaczepki i podszepty, wstrzymać niewłaściwe objawy niezadowolenia, na wypadek zażaleń skłaniać do przebaczenia i chrześcijańską serca wiązać miłością. Zadanie takie, jak ze strony naszej wymaga szczerej i ciągłej działalności, tak znowu ze strony mieszkańców konieczną jest powolność, zaufanie w Komitecie, cierpliwość i spokój. Delegowani przez Komitet pełnić będą dniem i nocą straż na ulicach miasta, opatrzeni na kapeluszach kartą z napisem; „służba obywatelska“. Służbie tej należy się poszanowanie i posłuszeństwo wszelkie. Obywatele i mieszkańcy miasta! okazaliście już podziwu godne usposobienie naówczas, gdy po zadraśnięciu najdroższych uczuć waszych poprzestaliście na modłach w świątyni, a w porządku i milczeniu do domów wróciliście waszych. Nie odmienicie pewnie postępowania swego, zwłaszcza, iż świeżo nadane krajowi ustawy, każą się spodziewać coraz pomyślniejszych odmian, zaręczenia pokoju i bezpieczeństwa w sposób odpowiedni życzeniom i potrzebom ogółu. Pojmujecie dobrze wspólny nasz obowiązek unikania drażliwych objawów, zachowania się w poważnej cichości, zacności uczuć i bratniej jedności. Prosim was o to, my bracia wasi, w imię ştej wiary naszej, w imię ştej miłości ojczystej ziemi i kraj cały pragnie pokoju i bezpieczeństwa. Miejmy nadzieję w Bogu, On prawicą swoją złe skutki rozsiewanych wieści powstrzyma. Wspólnie błagaliśmy Go o to, błagajmy i dalej. Bóg wysłucha prośby wiernych Swoich. W Kielcach d. 8 Kwietnia 1861 r. (podpisy) Michał Tański, Smoleński, ks. Ćwikliński, Ludwik Krzyszkowski, ks. Do-

dzo zresztą nieliczna, została usunięta, a po drzemiących ulicach miasteczka przechadzać się poczęli konstable narodowi.

O wiele burzliwszy charakter miały rozruchy w Kaliszu. Wybuchły one d. 30 Marca, w Wielką Sobotę. Tłum, tak samo jak wszędzie, złożony z młodzieży i motłochu, udał się przedewszystkiem przed mieszkanie niepopularnego naczelnika powiatu, Jedlińskiego, byłego oficera wojsk rosyjskich, którego oskarżano głośno w mieście, że osławiony okólnik Muchanowa jak najśpieszniej rozesłał. Zagrano mu kocią muzykę, wybito wszystkie szyby i domagano się głośno, żeby się z miasta i powiatu wyniósł. Biedak przestraszony uciekł potajemnie z mieszkania i schronił się w gmachu kadetów. Rozochocony tłum udał się teraz do innych przedstawicieli władz z kocią muzyką i nieodłącznem od niej wybijaniem szyb. Los ten spotkał kapitana żandarmeryi, Bergmana; jenerała komory celnej Armstronga, inspektora szkół Sawina, dyrektora komory celnej w Szczypiornie, Statkowskiego i wreszcie prezesa miejscowego trybunału. Że oczywiście ta „sprawiedliwość ludowa“ miała po większej części źródło w urazach prywatnych różnych osobistości, przekonywuje o tem spis osób, którym odegrano kocią muzykę. Zaraz też nazajutrz utworzyła się Delegacya miejska, której członków sam lud wybrał, złożona z 24 osób, pod prezydencyą miejscowego proboszcza, ks. Kobylińskiego. Utworzono policyą narodową, złożoną z kilkudziesięciu osób, która zdołała porządek we wzburzonem mieście przywrócić, do czego przyczyniła się patetyczna odezwa, jaką Delegacya do mieszkańców wydała [1]).

magalski, Ant. Maicki, A. Bronikowski, Jan Henigman, ks. Brudzyński, Formiński, Igelberg, Perkowski, K. Holewiński, P. Jakubowski, Antoni Szwarc, Kajetan Hołdakowski“.

[1]) Odezwa ta brzmi: „Mieszkańcy Kalisza! Delegacya jest przekonaną, że wypełnianie jej obowiązków trudne nie będzie, bo wszyscy czujecie potrzebę porządku i spokojności, wszyscy pojmujecie, że w dzisiejszym czasie przyszłość nasza zależy od zgody, jedności i poważnego spokoju, któryby świat cały o naszej dojrzałości przekonał. Kalisz d. 1 Kwietnia 1861 r.“.

Odtąd ciągle odbywały się nabożeństwa i śpiewy patryotyczne. Dowódca garnizonu miejscowego, jenerał Wronow, w obec tego wszystkiego zachowywał się z niepojętym dziś dla nas spokojem i obojętnością. Delegacya kaliska umiała sobie wyrobić wpływ szeroki, kiedy bowiem burmistrzom miasteczek okolicznych, jak: Chocz, Błaszki, Iwanowice, Opatówek, Turek i Uniejów, sprawiono kocie muzyki i powybijano szyby, ci przerażeni grożącem im niejako niebezpieczeństwem, udali się pod opiekę Delegacyi kaliskiej, ta nakazała potworzenie wszędzie Delegacyi obywatelskich, które przywróciły porządek.

W Kole d. 6 Kwietnia pojawiły się także kocie muzyki, wyprawiane różnym urzędnikom. Energiczny miejscowy kapitan żandarmeryi, wystąpił jednak czynnie i aresztował kilku wichrzycieli. Były zaburzenia w Koninie, Brudzewie; w Kłodawie burmistrzowi wybito okna przy odgłosie piszczącej muzyki; z Kutna naczelnik powiatu musiał uciekać. W Łowiczu, Rawie, Szadku, Sieradzu, w Zduńskiej Woli nawet potworzyły się delegacye lub komitety bezpieczeństwa publicznego i zagarniały władzę nad miastem. W ostatniem z wymienionych miast, nawet Niemcy, których tam mnóstwo mieszka, ogarnięci patryotyzmem polskim, wzięli w delegacyi udział. W Włocławku, Piotrkowie, Radomsku powtarza się to samo. W Częstochowie rozeszła się pogłoska, że stał się cud, że Matka Boska miała przemówić do Syna swego, Jezusa Chrystusa: „synu mój, dopokądże krew narodu polskiego niewinnie przelewać się będzie?“ Cud ten umiejętnie rozgłaszany i wyzyskany, dał powód do zwykłych kocich muzyk i koniecznej delegacyi.

W ogóle cały zachodni pas kraju przybrał charakter na wskróś rewolucyjny, i agitacya tam na wielką skalę się rozwijała, obejmując sobą najdrobniejsze, najuboższe nawet miasteczka, których mieszkańcy w trosce mozolnej o byt, nie myśleli nigdy o polityce i ojczyznie. W innych częściach kraju, zaburzenia nie przybrały rozmiarów tak wielkich i szerokich, jak w Kaliskiem i Kutnowskiem. W Mszczonowie, Mławie, Garwolinie, Maciejowicach i w wielu za-

pewne innych miejscach, powstawały delegacye samowolne, przy mniej lub więcej jednakowych okolicznościach.

W Lublinie, gdzie jak wiemy, najprzód po Warszawie utworzyła się, Delegacya obywatelska istniała ciągle i rozporządzała się jak władza samoistna i niezależna. Zbierała się ona codziennie w jednej z mniejszych sal resursy miejscowej na swe posiedzenia, na które znoszono wszelkie plotki i nieplotki miejskie, oraz wiadomości, otrzymane z Warszawy. Drobne jej rozporządzenia były zawsze wypełniane z największą punktualnością [1]). Jakkolwiek miała ona wielką przewagę nad miastem, wszelako z pewną obawą oczekiwała na zbliżające się święta wielkanocne. Ludność codzień gromadziła się po kościołach, pod figurami, na cmentarzu, gdzie duży krzyż na pamiątkę wypadków warszawskich lutowych wystawiono, urządzała procesye i śpiewała „Boże, coś Polskę“ i inne pieśni. Obiegały pogłoski, że przygotowuje się kilka wielkich kocich muzyk, że nawet młodzież wychodzi w tym celu codziennie za miasto, do poblizkich krzaków i wąwozów na próby z różnymi instrumentami i prosiakami żywymi, i taką wrzawę dziką tam sprawia, że na całą okolicę ją słychać. Mówiono głośno,

[1]) Delegacya lubelska protokółów z posiedzeń swych nie sporządzała, dlatego trudno jest powiedzieć co właściwie, przez parę tygodni swego istnienia, robiła. Według rękopiśmiennych „Notat do lat 1860—61“, prezydujący w Delegacyi, którym najczęściej bywał adwokat Gregorowicz, zapytywał zwykle kto chce z członków przemawiać lub czytać, prosząc aby się zbytecznie nie zapalano i w ogóle uspokajająco na masy wpływano. Ponieważ dnie już były coraz dłuższe, posiedzenia więc około godziny 4-tej lub 5-tej się rozpoczynały i to najczęściej w dni świąteczne, aby rzemieślników od pracy nie odrywać. Na zebrania te i kobiety licznie przybywać zaczęły. „Położenie delegatów, powiada wzmiankowany rękopism, którzy na środku sali na podwyższeniu, w czamarkach, zasiadali, trudnem bardzo się stawało, czem tę publiczność zaspokoić, która zawsze żądna była jakichś pocieszających wieści“. Z tego pokazaje się, że Delegacya lubelska nic nie robiła, bo i robić co nie miała, że utworzyła się nie z istotnej potrzeby, ale przez naśladownictwo Warszawy, że posiedzenia jej nakoniec były rodzajem polityczno-literackich zebrań, na których wygłaszano mowy i odczytywano różne referaty.

że zamierzają zagrać kocią muzykę wojsku, jego naczelnikom, kilku wybitniejszym w mieście osobistościom, a nawet gubernatorowi Mackiewiczowi. Ten oczywiście o wszystkiem wiedział, i rad był, że Delegacya awantury uliczne powstrzymuje i bezpieczeństwa osób naruszać nie daje. Pewnego dnia atoli doszło do wiadomości Delegacyi, że Mackiewicz jest trochę zaniepokojony temi gotującemi się kociemi muzykami i wprost obawia się, aby jego ten los nie spotkał, ta wpadła na pomysł niefortunny i wysoce nietaktowny, wybrania z pomiędzy swych członków deputacyi, złożonej z osób lepiej gubernatorowi znanych, której polecono się do niego udać z zapewnieniem, że niech się niczego nie obawia, że Delegacya czuwa i nie dopuści do żadnej awantury, mogącej zagrażać jego osobie. Oczywiście Mackiewicz rozgniewał się na ten krok nieprzyzwoity, i odpowiedział z pychą, że: „on opieki nie potrzebuje, że na żądanie może mieć 5,000 wojska, które go od zniewag, szykan i swawoli uliczników zabezpieczy“. Odpowiedź ta rozeszła się po mieście i wzbudziła szczerą chęć w agitatorach pokazania gubernatorowi, że go nawet 5,000 wojska nie obroni, tak że delegaci bardzo pilnie czuwać musieli, żeby Mackiewiczowi nie wyprawiono kociej muzyki, a nawet parokrotnie wieczorem zwrócono biegnących przed gmach rządu gubernialnego różnych chłopców z handlów, warsztatów, aptek, uczniów szkolnych i t. p. zaopatrzonych w rozmaite instrumenta piszczące.

Taki był stan rzeczy w Lublinie, stan istotnie pełen niepokoju, gdy nadeszły święta Wielkanocne. W czasie rezurekcyi baldachim nad biskupem Baranowskim niosło czterech obywateli miejskich, ubranych w kontusze i przy karabelach, co wielką sensacyą na obecnych sprawiało. Święta jednak przeszły spokojnie, ale d. 2 Kwietnia gubernator Mackiewicz kategorycznie zażądał, by się Delegacya rozwiązała. Wieść o tem błyskawicznie rozeszła się po mieście i gdy o godz. 4-tej po południu delegaci udawali się do resursy, ogromny tłum, obliczany w przybliżeniu na pięć do sześciu tysięcy osób, zaległ ulicę Królewską i Kra-

kowskie Przedmieście. Delegatów stosunkowo bardzo się niewielu zebrało, i gdy nakoniec, ogłosiwszy publicznie na sali, że Delegacya się rozwiązuje, poczęli schodzić na ulicę i stanęli na schodach przedsionka magistratu, awantury uliczne już przybrały szerokie rozmiary. Kocia muzyka, wymierzona przeciw Mackiewiczowi, narobiła piekielnego wrzasku przed gmachem rządu gubernialnego; następnie grajkowie pobiegli tłumnie przed pocztę dla wymierzenia „sprawiedliwości ludowej“ nielubianemu powszechnie pocztmistrzowi Lipińskiemu, uważanemu za „ducha moskiewskiego“. Lipiński rozgniewany tą napaścią, wybiegł przed dom i począł lżyć muzykantów; kilku z nich przyskoczyło do niego i wypoliczkowało, tak że pobity ratował się tylko szybką ucieczką. Teraz dopiero pojawiło się wojsko u rogatki warszawskiej, z jenerałem Chruszczowem na czele. Obaczywszy to orkiestra kocia pobiegła przez ulicę Szpitalną na ulicę Panny Maryi, czyli Namiestnikowską, i spotkawszy tutaj spokojnie idącego radcę administracyi rządu gubernialnego, Hermanowicza, człowieka uczciwego i prawego, najniesłuszniej wyprawiła mu swą serenadę i boczną uliczką wybiegła ku Bramie Krakowskiej, poszukując koniecznie innego radcy wojskowo-policyjnego tegoż rządu, także Lipińskiego. Była to osobistość mająca jak najgorszą opinią w mieście, choć był niegdyś pułkownikiem w wojsku polskiem; oskarżano go, że przykładał czynną rękę do chwytania w r. 1833 emisaryuszów, którzy z Francyi przedarli się do Polski, dla wywołania powstania. Lipiński widząc grożące mu niebezpieczeństwo, zdążył ukryć się u kupca Knolla, naprzeciw magistratu.

Tymczasem nadciągnął Chruszczow z wojskiem i uszykował je w długim szeregu wzdłuż ulicy Królewskiej i naprzeciw magistratu, frontem zwrócony ku Bramie Krakowskiej, pod którą zbite tłumy z orkiestrą kocią na czele stanęły wprost wojska. Część byłej Delegacyi stała na stopniach przed magistratem, część rozpierzchła się między tłumem, zaklinając go do rozejścia się, gdyż może nastąpić krwawe starcie. Zabiegi te na nic się nie zdały; pod wo-

dzą swych menerów orkiestra się uszykowała, i zagrała potężny, niesłychanie wrzaskliwy hymn koci wojsku, które w milczeniu wysłuchało tej muzyki. Gdy nakoniec ucichły wrzaski piskliwe, cały tłum, łącząc awanturę uliczną z modlitwą, padł na kolana przed obrazem Matki Boskiej, na Bramie Krakowskiej umieszczonym, i począł śpiewać „Boże, coś Polskę“. Chruszczow stał, stał i patrzał; w końcu zakomenderował zwrot i pomaszerował przez Krakowskie Przedmieście do koszar, sam zapewne nie wiedząc po co z nich wyszedł i dlaczego teraz powraca, naraziwszy niepotrzebnie siebie i wojsko na zniewagę uliczną.

Po ustąpieniu wojska nic już powstrzymać nie mogło rozpasanego tłumu, wzrastającego ciągle w liczbę. Otoczono sklep i dom kupca Knolla, domagając się wydania Lipińskiego; śmielsi i zuchwalsi wdzierali się nawet do środka w zamiarze poszukiwania znienawidzonego, jak mówili, „zdrajcy“. Rozdrażnienie w tłumie było tak wielkie, że gdyby wtedy istotnie znaleziono Lipińskiego, zamordowanoby go wśród dnia i na ulicy miasta. Na szczęście, wikaryusz katedralny, ks. Mleczko, powszechnie znany i lubiany, wyszedł z tego domu i uroczyście, zaklinając się na słowo kapłańskie, zaręczył, iż „tego, kogo szukają, w domu tym niema“. Wystąpienie to uspokoiło tłumy, które jednak nie rozchodziły się. Wśród krzyków: wiwat! poczęto obnosić na rękach jakiegoś rządcę ze wsi, który przywiózł do Lublina ajenta związanego, podejrzanego o podburzanie w karczmie chłopów do rzezi szlachty; obnoszono niektórych członków byłej Delegacyi, których bardziej lubiano; wybijano szyby w oknach ludzi podejrzanych, lub mających nieszczęście niepodobania się któremu z członków orkiestry kociej; w końcu nie mając już kogo obnosić, bo niektórzy ścigani tą owacyą, aż w kościele św. Ducha się chronić musieli, tłum rozbiegł się na wsze strony i do późnej nocy płatał różne figle. Wieczorem pojedyncze gromady zebrały się w kilku miejscach, jak na placu Bernardyńskim przed figurą Matki Boskiej, przed Bramą Kra-

kowską, przed Kapucynami i na cmentarzu, i tam pieśni patryotyczne śpiewały.

Taki miała epilog Delegacya lubelska [1]); ale prócz niego, rozegrała się jeszcze jedna scena, prawie niepojęta, możliwa tylko w tych czasach, i świadcząca na jak słabych podstawach opierał się rząd rosyjski w kraju. Gubernator lubelski Mackiewicz, rozgniewany i przerażony kocią muzyką, jakiej musiał wysłuchać, nie zważając na żadne rady swych urzędników najbliższych, rzucił wszystko i do Warszawy wyjechał. Tu, pojawienie się jego w Zamku wywołało najprzód zdziwienie, a następnie gniew w Gorczakowie. Namiestnik począł mu wyrzucać, że śmiał wśród takiego wzburzenia Lublin opuścić, rozkazał mu powracać natychmiast, grożąc w razie przeciwnym dymisyą. Gdy jednakże Mackiewicz za nic w świecie wracać nie chciał do Lublina, namiestnik d. 7 Kwietnia, doniósł o tem cesarzowi, domagając się „dla przykładu“ dymisyi dla nieposłusznego a nadewszystko tchórzliwego urzędnika. Cesarz się na to zgodził i Mackiewicz został „oddalonym ze służby za samowolne opuszczenie miejsca swego urzędowania“, jak się w tonie surowym odzywa urzędowe ogłoszenie [2]). Na jego miejsce, zaraz nazajutrz, d. 8 Kwietnia, Gorczakow mianował tymczasowo gubernatorem Boduszyńskiego, prokuratora przy trybunale lubelskim [3]).

[1]) Zebrania jednak w resursie, zawsze tłumne i licznie nawiedzane, wciąż jednak trwały, a z niemi mówki i odczyty. Po wypadkach warszawskich d. 8 i 9 Kwietnia dopiero, zebrania te stały się mniej częste, mniej głośne i mniej gorące.

[2]) Telegram brzmi: „d. 26 Marca (7 Kwietnia). Gubernator lubelski Mackiewicz, wyjechał bez pozwolenia do Warszawy. W obecnych okolicznościach przykład jest konieczny. Upraszam o pozwolenie udzielenia mu dymisyi. Ks. Gorczakow“. Cesarz tegoż dnia odpowiedział na to: „gubernatora Mackiewicza dla przykładu wydalić z urzędu“.

[3]) Zdaje się, że wprzódy sondowano opinią w Lublinie, kogoby mieć chciała swym gubernatorem. Były nawet w pewnych kołach narady i przedstawiono kilku kandydatów, najwięcej jednak za sobą głosów miał Boduszyński. Był to człowiek poważny, prawy, zasłu-

W Żytomierzu, w tymże mniej więcej czasie, zaszły wypadki innego rodzaju, niemniej przeto uderzające przez swój charakter niezwykły i rewolucyjny. Jeden z uczniów gimnazyum żytomierskiego, za opuszczanie samowolne lekcyi, został uchwałą rady pedagogicznej ukarany trzechdniowym aresztem. Koledzy jego, dowiedziawszy się o tem, wydelegowali z pomiędzy siebie sześciu do dyrektora gimnazyum, żądając uwolnienia więźnia, gdyż, jak mówili, „fakt ten obraża ich wszystkich“. Dyrektor oczywiście odmówił temu żądaniu, czego rezultatem było to, że klasa piąta i szósta postanowiła wcale nie uczęszczać na lekcye. Na skutek tego, dyrektor ogłosił, że jeżeli d. 8 Kwietnia uczniowie nie przybędą do klas, będzie zmuszony złożyć o tem raport władzy wyższej. Groźba ta nie przyniosła pożądanego owocu. W klasie piątej z 77 uczniów, stawiło się tylko 9; w szóstej z 48, sześciu. Nie było co robić, dyrektor zdał raport o wszystkiem do Kijowa [1]), zkąd przy-

żony i zamożny. Posiadał pod Lublinem piękny majątek Pliszczyn. Ci co go bliżej znali, zapewniali, że to człowiek zacny, trochę pedant, ale dobry Polak. Gdy dla niego nadeszła z Warszawy nominacya na gubernatora, obywatele miejscy i wybitniejsi urzędnicy sądowi poprowadzili go w tryumfie z trybunału (w rynku), przez całe miasto do rządu gubernialnego. Był przystępny, otworzył niejako na rozcież drzwi dla wszystkich interesantów, uprzejmy. Zaraz potem mianował nowego prezydenta w osobie byłego urzędnika Leopolda Wronckiego. Ten wymawiał się od posady tak drażliwej w obec niesforności ulicy i obowiązku składania codzień raportu naczelnikowi wojennemu Chruszczowowi, ale Boduszyński potrafił go nakłonić twierdząc, że jako stary urzędnik, mogący się rozmówić po rosyjsku i francuzku, gładki i dobrze obznajmiony z administracyą, mając przy sobie szwagra, świeżo powróconego z Syberyi i posiadającego przez to w mieście sympatyą, da sobie radę. Mieszkańcy obowiązali się złożyć za Wronckiego wymaganą kaucyą 1000 rubli.

[1]) W raporcie tym, skreślonym stylem kancelaryjnej nieudolności, pisał między innemi co następuje: „postępowanie uczniów wychodzi z granic dozwolonych i nie może pozostać bez skutków, jakkolwiek przy usposobieniu obecnem umysłów tutejszego społeczeństwa polskiego, nie można ich (t. j. uczniów), jako dzieci, sądzić zbyt surowo. Znajdują się oni bowiem pod wpływem fanatyzmu Polaków tutejszych, mieszkają nie na stancyach, które zamknięto, ale wśród

szła rada, ażeby wpłynąć na rodziców za pośrednictwem miejscowych marszałków szlachty. Środek ten oczywiście na nic się nie przydał i sprawa gimnazyalna poczęła interesować całe miasto i okolicę bardzo żywo. Nikt się nie znalazł, coby miał odwagę powiedzieć szalejącym młokosom, że ich zadaniem jest nie polityka, ale nauka. Ówczesnym kuratorem honorowym szkół w Żytomierzu, był hrabia Broel-Plater, który zdając o tej sprawie raport gubernatorowi miejscowemu, między innemi powiedział, że „w krajach ucywilizowanych, w Niemczech, Francyi i Anglii, uczniowie inaczej nie postępują“. Nie dość na tem, udał on się w połowie Kwietnia do gimnazyum i witając uczniów jako „swych braci, przyjaciół, kolegów i współpracowników“, głośno mówił, że uczniowie powinni wprawdzie słuchać władzy, a jeżeli ta czasem ich obrazi, to należy to znieść w milczeniu, „gdyż w takim razie władza sama sobie ubliża“ [1]). Oczywiście tego rodzaju słowa nie mogły wpłynąć na uspokojenie umysłów młodzieży; zaburzenia się wzmagały, tak że w rezultacie w połowie Maja zamknięto dwie ostatnie klasy gimnazyum [2]).

---

rodzin prywatnych polskich, gdzie ciągle słyszą rozmowy i wyrzuty, skierowane przeciw władzy i rozporządzeniom rządowym, widzą postępowanie i działalność takich osób, które ze swego stanowiska w społeczeństwie, zdawałoby się, nie powinnyby prowadzić opinii publicznej na drogę fałszywą, jak np. urządzania demonstracyi politycznych pod pozorem nabożeństw kościelnych, do których wciągnięci zostali także uczniowie; dotąd mężczyźni i kobiety noszą tu żałobę i t. d. Czyż więc może być inaczej, że przy takim kierunku Polaków i dzieci ich dają się pociągać“.

[1]) Kurator mówił po polsku, co niesłychanie oburzało miejscowych nauczycieli Moskali. W raportach, których kopie w zbiorach naszych posiadamy, i sprawozdaniach o tej sprawie drobnej, ale będącej niejako „signum temporis“, oburzenie to występuje nieomal w każdem słowie.

[2]) Zakończenie tej sprawy jest niemniej charakterystyczne. W końcu Maja był zjazd w Żytomierzu marszałków szlachty, na którym to zjeździe postanowili oni prosić władzę, ażeby „w celach pożytku ogólnego, oraz z uwagi, ażeby na społeczeństwie nie ciążyli ludzie bez zajęcia, zwłaszcza gdy od nich można z czasem spo-

Taki w ogólności był stan prowincyi; bardzo zły, bardzo niebezpieczny i świadczący o szeroko rozgałęzionej agitacyi rewolucyjnej, która jak rzeka ciągle wzbierająca, coraz większe zalewała przestrzenie i podmywała wszelki porządek w kraju. W Królestwie zwłaszcza trzeba było koniecznie temu zapobiedz, jeżeli chciano szczerze wprowadzić w wykonanie instytucye przyrzeczone. Widzieliśmy, że odnośnie do prowincyi, Wielopolski radził zniesienie natychmiastowe wszędzie delegacyi i straży bezpieczeństwa powstałych samowolnie. Gorczakow na to się zgodził, i w tym celu wysłał jenerał-majora Bebutowa, Ormianina rodem, byłego dowódcę pułku czerkiesów, człowieka zręcznego, ażeby jeździł po miastach i delegacye znosił. Jakoż zjawiał on się wszędzie, uśmiechał, kłaniał, dziękował za utrzymanie porządku, ściskał ręce delegatów, wzdychał melancholijnie, ale delegacye i straże bezpieczeństwa rozwiązywał.

Prócz tego Gorczakow nosił się z myślą utworzenia wszędzie na prowincyi naczelników wojennych, ze stosunkowo rozległą władzą. Już w końcu Marca telegrafował o to do cesarza, i chciał nawet sprowadzić z Petersburga na jedno z takich stanowisk jenerała Wagnera, starego swego znajomego. Na teraz jednak rzecz ta nie przyszła do skutku; później dopiero pojawią się osławieni naczelnicy wojenni, rodzaj małych prokonsulów z tatarską domieszką i głęboko wyżłobią się w pamięci narodowej.

Wszystkie jednak te zaburzenia prowincyonalne, jakkolwiek z wielu względów bardzo niebezpieczne, były jednak niczem w obec objawów ponurego ruchu między chłopstwem, ruchu cuchnącego krwią i dziką rzezią. Widzieliśmy już sporadyczne fakta tego ruchu; w Lublinie zjawił się rządca jakiejś wsi i przywiózł związanego ajenta,

dziewać się usług pierwszorzędnych dla kraju", otwarto znowu klasy zamknięte. Decyzya ta przedstawioną została radzie pedagogicznej, która ją prawie jednogłośnie przyjęła. W rezultacie sprawa przedstawiona do Kijowa, została rozstrzygnięta w myśl tej uchwały i w Lipcu obie klasy zostały znów otwarte.

który chłopów po karczmach do rzezi namawiał. Że tacy ajenci wszędzie się znajdowali, to nie ulega kwestyi; że wyszli oni z muchanowskiej puszki Pandory, to także jest pewne; mimo to, chłop chętnie dając ucha ich słowom, sam rozwodził się nieraz w żalach i skargach, lecz siedział spokojnie i cicho. W tym atoli czasie, w chwili gdy Wielopolski przyszedł do władzy i zamierzał rozesłać swój okólnik, zapowiadający rychłe oczynszowanie, oprócz owego wypadku lubelskiego, były jeszcze inne, zwłaszcza na Podlasiu, mające charakter o wiele poważniejszy i groźniejszy. We wsi Krasówce, leżącej na drodze od miasteczka Łomaz do Międzyrzeca, przejeżdżający kozak spędził włościan, orzących na łanie dworskim, grożąc im karami surowemi ze strony władzy, jeżeli nie przestaną robić pańszczyzny. Mimo to, gdy we dworze wytłómaczono chłopom, że pogróżki kozaka nie mają podstawy, odrabiali pańszczyznę jak przedtem. Na skargę dziedzica Szamowskiego kozak podobno został ukarany.

We wsi Sfory, w tejże okolicy, żołnierz urlopowany namawiał chłopów w karczmie, by nie robili pańszczyzny. Właściciel Sforów, książę Mirski, udał się ze skargą do naczelnika powiatu, Buczyńskiego, a gdy to nie miało skutku, odniósł się do Wielopolskiego i niebawem naczelnik powiatu dostał dymisyą. Takich faktów w różnych stronach kraju było mnóstwo; świadczyły one o tej podziemnej, głuchej agitacyi, jaka wśród ludu nurtowała i jaka nakoniec przybrała szerokie rozmiary, w głośnej na kraj cały, mającej swój wpływ na wypadki najważniejsze tej chwili, sprawie Międzyrzeckiej.

W mieście tem, proboszcz miejscowy, ks. Kazimierz Dobrowolski, naczytawszy się zapewne różnych odezw, czy to Towarzystwa rolniczego, czy księdza administratora płockiego, Myślińskiego, na kazaniu w czasie świąt Wielkanocnych, składając swym parafianom życzenie wesołego alleluja, wspomniał zarazem o projekcie oczynszowania przez obywateli włościan, a co za tem idzie i zniesienia pańszczyzny. Słowa te padły na grunt urodzajny; wśród

chłopów rozeszło się przekonanie, że pańszczyzna zniesioną została i to natychmiast. Wszystkie wsie unickie, wchodzące w skład dóbr Międzyrzeckich, w ogólnej liczbie dwudziestu siedmiu, przestały wychodzić na pańszczyznę [1]). Godną uwagi rzeczą jest, że dwie wsie, zamieszkałe przez ludność katolicką, mianowicie Grabowiec i Ostrówek, nie wzięły udziału w tym, że tak powiemy, rokoszu. Oczywiście natychmiast władza miejscowa się w to wmięszała, wszelkie jednak jej tłómaczenia, groźby, oraz przemowy samego proboszcza Dobrowolskiego, głównego niejako źródła tych zaburzeń, nie odniosły skutku. Chłopi z uporem zaciętym zostali przy swojem i robić pańszczyzny nie chcieli.

Sprawa wlokła się dość długo; kilku przywódców, oskarżonych o opór władzy, uwięziono, ale w Warszawie zrobiła ona najprzykrzejsze wrażenie. Wielopolski widział źródło tych zaburzeń w odezwie Towarzystwa rolniczego i księdza Myślińskiego, w mięszaniu się nakoniec niepotrzebnem do kwestyi chłopskiej duchowieństwa, czego najlepszym przykładem było wystąpienie niefortunne proboszcza międzyrzeckiego, i zdecydował się z właściwą sobie stanowczością koniec temu położyć, uderzając w Towarzystwo i w duchowieństwo. Co do pierwszego, wiemy, że jednym z warunków, pod którymi przyjął władzę, było rozwiązanie tej instytucyi, rozporządzającej się w kraju samoistnie; co do drugiego postanowił mu dać surowe napomnienie. Jak straszne skutki miały za sobą pociągnąć te dwa postanowienia Wielopolskiego, zaraz to obaczymy.

Upomnienie to miało się stać tem przykrzejszem, tem ostrzejszych i jaskrawszych nabrać barw, że wygłaszał je Polak, katolik, człowiek uważany bądź co bądź za swego. W dniu 2 Kwietnia, zaraz po świętach Wielkanocnych, no-

[1]) Wsie te są następujące: Krzewica, Żabce, Tłuściec, Wólka Krzymoska, Zasiadki, Koszeliki, Rogoźnica, Wysokie, Suliłów, Sawki. Turów, Worsy, Bereza, Zahajki, Drelów, Kwasówka, Pereszczówka, Witoróż, Strzyżówka, Leszczanka, Danówka, Surmacze, Szachy, Dołha, Puchacze, Sitno, Żerocin.

wemu swemu dyrektorowi, w gmachu Komisyi wyznań i oświecenia, przedstawił się biskup sufragan Dekert, umyślnie wezwany przez Wielopolskiego do stolicy administrator dyecezyi unickiej chełmskiej, kapituła warszawska, akademia duchowna i przełożeni zakonów warszawskich. Margrabia wyszedł do nich ze zwykłą sobie kartką w ręku i wygłosił mowę następującą:

„Dostojny księże biskupie, szanowni prałaci i ojcowie! W duchowieństwie tutaj obecnem rzymsko-katolickiem i unickiem, pozdrawiam dzisiaj zwiastunów pokoju. Otworzoną w społeczeństwie przed oczyma naszemi przepaść, silne ramię Opatrzności zamykać poczyna i po dniach żałości nastaje pociecha, a oby! i wesele. I gdzież teraz mniej jest powodów żalu, jak w łonie duchowieństwa? Czujecie to z nami, a po długich doświadczeniach lepiej od nas, czem was obdarzył monarcha ustanawiając osobną w kraju władzę dla spraw duchownych, i zwyczajem dawnym powołując pasterzy kraju do rady krajowej.

„Kościołowi rzymsko-katolickiemu należy się szczególna moja względność; pamiętać o tem przyjdzie mi tem łatwiej, gdy wiara katolicka jest także moją i ojców moich wiarą. Lecz tę moją życzliwość dla kościoła utrzymam na wodzy. Tak jest dostojny księże biskupie, szanowni prałaci i ojcowie! Jestem dyrektorem władzy opiekującej się wszystkiemi wyznaniami, a wyznaniami w połączeniu z oświeceniem; nie zboczę więc z toru prawdziwej tolerancyi, jednego z wielkich nabytków wieku. Jestem członkiem rządu najjaśniejszego pana; nigdzie, o ile to we mnie będzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznam. Z pod ustaw postanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam; wszakże chętnem słuchać będę uchem zażaleń na ścieśnienia, a gdy je uważać będę za słuszne, wedle mocy albo im zaradzę, albo wyżej do łaskawego zaradzenia poniosę. Potrzeby kościołów i osób duchownych będę miał na pieczy. Ufam waszej mądrości i umiarkowaniu, wy, szanowni panowie, dobrym moim chęciom zaufajcie“.

Wrażenie tej mowy, bądź co bądź niezręcznej, było niesłychane. Mówimy: niezręcznej, bo dla Polaka, przychodzącego do władzy pod rządem rosyjskim, dla Polaka zawsze przez ogół nielubianego i podejrzywanego, wreszcie dla Polaka, chcącego istotnie poprawić los ojczyzny, nie należało drażnić duchowieństwa, siły w kraju religijnym bardzo potężnej. Czegoż bowiem pragnął Wielopolski, a z nim wszyscy ludzie rozumni, przerażeni roztwierającą się pod nogami Polski przepaścią? przedewszystkiem uspokojenia się kraju, przerwania agitacyi rewolucyjnej, ciszy, któraby dozwoliła na rozwój instytucyi nadanych. Tymczasem sam Wielopolski przez wystąpienie niezręczne psuł te zamiary; stojące dotąd nieco na uboczu od agitacyi duchowieństwo, rzucał w ramiona tej agitacyi, wyzywał je do walki, groził nawet. W obec tego tonu surowego, traktującego duchowieństwo z wysoka, tych słów lapidarnych, nikły i zatracały się niektóre wysoce donośne i pocieszające dla duszy polskiej ustępy mowy. Ustępy te dotyczyły unii, którą, dotąd poniżaną i urzędownie zawsze rozdzielaną od obrządku łacińskiego, stawiał z tym ostatnim na równi; dawał niejako poznać, że weźmie ją pod opiekę swoją. Przez wyrażenie tolerancyi religijnej zapobiegał niepokojowi podnoszącemu się śród protestantów i żydów, lękających się rządów polskich i szlacheckich. Wszystko to jednak gasło w obec groźby rzuconej w twarz duchowieństwu, w obec owych słów, że „rządów w rządzie nie uzna". Słowa te skierowane były głównie ku Towarzystwu rolniczemu, ale właśnie dlatego, były tu, w mowie do duchowieństwa, nie na miejscu i nieodpowiednie. Gdzieindziej mierzył a gdzieindziej uderzył, że użyjemy wyrażenia trywialnego; inne znów miejsca mowy odnosiły się specyalnie do ks. Myślińskiego i jego odezwy niefortunnej [1]). Przypo-

[1]) Sam to Wielopolski powiada w liście do żony, cytowanym u Lisickiego: „do czego odnosiły się pewne miejsca mojej mowy, mianej do duchowieństwa, widzieliście już z urzędowego oznajmienia mego, pomieszczonego poniżej ustawy, znoszącej Towarzystwo rolnicze, Pasterz, którego tam wymienić nie chciałem, jest ks. Myśliń-

mina to bajkę o niedźwiedziu, który, chcąc muchę spędzić z czoła przyjaciela, uderzył go kamieniem i zabił. Tak samo zrobił Wielopolski; chcąc dać napomnienie jednemu księdzu, dał je całej klasie ludzi pewnych swej władzy, noszących w sobie wszystkie pretensye wyższości Kościoła i jego niezależności. Narażanie się więc takiej sile, wyzywanie jej do walki, było błędem i ciężko miało zaważyć nietylko na losach Wielopolskiego, co mniejsza, ale na losach nieszczęśliwej ojczyzny polskiej, co już jest rzeczą o wiele ważniejszą. Margrabia był zanadto dobrym Polakiem i zanadto rozumnym człowiekiem, by nie miał wiedzieć, że wygłaszając taką mowę obrazi duchowieństwo i zaszkodzi sprawie, której obronę wziął na siebie, ale pchnęła go do tego duma, pycha, pewność siebie, że rewolucyą zgniecie, i nieszczęsna wreszcie mania wygłaszania mów. W tej chwili stokroćby lepiej był zrobił Wielopolski, gdyby nic nie mówił, a natomiast tylko działał. Winien był na tyle znać siebie, że przy swej żyłce dziennikarskiej i adwokackiej, w mowach swych zawsze kogoś zadraśnie, zwłaszcza, jeżeli ten ktoś ośmieli się stanąć mu w poprzek. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem, mówi mędrzec arabski; czemuż o tej maksymie dla dobra swego i Polski margrabia pamiętać nie chciał! [1].

---

ski, administrator płocki, który położenie i duchowieństwa i moje względem rządu wielce utrudnił, jak je utrudnia uporczywa, mimo starań moich, żałoba duchowieństwa, za którą idą i uczniowie szkół. Zatamowało to, co od początku dla ulżenia położenia duchowieństwa, gdzie wypada, przedsięwziąć zamierzyłem".

[1]) Spasowicz w swem dziele „Żizń i polityka Wielopolskago", zastanawiając się nad tą mową, powiada: „jeżeliby margrabia odniósł się do duchowieństwa zupełnie bezbarwnie, to nie byłoby powodów do narzekań, lecz mimo to spokój nie byłby się utrwalił, dlatego, że cele obu stron były różne i że duchowieństwo, poczynając od proboszczów aż do biskupów, było ze wszech stron otoczone przez rewolucyonistów i płynęło szybko, całą siłą pary w przyszłość fatalną". Zapewne, że mogło tak być i tak nawet było, ale w każdym razie obowiązkiem patryotycznym Wielopolskiego było: nie drażnić duchowieństwa. Historya wtedy winę z jego głowy przeniosłaby na głowę

Jeżeli słowa nowego dyrektora wyznań i oświecenia wywarły wśród duchowieństwa silne oburzenie, niemniej uczuła się niemi obrażona cała ta rojna rzesza agitatorów i polityków, którzy baczną mieli zwróconą uwagę na wypadki, rozwijające się w kraju. Tego samego dnia jeszcze, choć sam tekst autentyczny mowy ogłoszony został dopiero nazajutrz w gazetach, wszyscy w Warszawie o niej wiedzieli, wszyscy ją sobie powtarzali. Klasa rzemieślnicza, która obyczajem niemieckim przepędzała wieczory po licznych piwiarniach, t. z. w Warszawie „bawaryach“, komentowała słowa margrabiego, oburzała się niemi, obrzucała go wprost mianem zdrajcy, zaprzańca, „ducha moskiewskiego“, a, przekręcając jego nazwisko, zwała go „Wieloruskim“. „Co za duma, jaka pycha! wołano — on tylko dlatego pamięta o wierze katolickiej, że jest jego i jego ojców wiarą. A cóżby dopiero było, gdyby ona nie była jego ojców wiarą?“ Takimi frazesami rozdrażniano się wzajemnie i pomiatano bądź co bądź wielkim, choć wysoce niezręcznym mężem.

Rozdrażnienie to przybrało rozmiary tem szersze, że w parę dni potem, 4 Kwietnia, margrabia, przyjmując dozór bożniczy, Komitet synagogi i deputacyą żydów z Pińczowa, znalazł dla nich same słówka miodowe, choć przecie wiedział dobrze, iż żydzi w ruchu rewolucyjnym warszawskim bardzo żywy brali udział. Ale umieli oni wziąć się, że tak powiemy, do niego. W chwili, gdy został dyrektorem wyznań i oświecenia, żydzi z Pińczowa przysłali mu adres pełen czołobitności i zachwytów, a d. 2 Kwietnia, w chwili, gdy gromił duchowieństwo katolickie, żydzi warszawscy odprawili w znaczniejszych swych synagogach nabożeństwo solenne o błogosławieństwo (Miszeberach) dla margrabiego. Dziwna rzecz! ten człowiek tak rozumny, obdarzony inteligencyą tak niepospolitą, a nadewszystko charakterem tak

duchowieństwa, a on sam, w swem własnem sumieniu byłby spokojny i mógłby sobie rzec: nie przyczyniłem się w niczem do tego, że kler polski rzucił się w objęcia rewolucyi.

silnym, jaki rzadko w Polsce się rodzi, został ujęty tem zbyt grubem pochlebstwem. Gdy się u niego pojawili, podał rękę nadrabinowi Mayzelsowi i, zawsze trzymając nieodłączną karteczkę przed sobą, przemówił:

„Panowie! Wdzięczny wam jestem za okazywaną mi ufność, której nowy, zaszczytny dla mnie dowód w pismach publicznych wczoraj wyczytałem.

„Dążenia wasze ku usunięciu, na drodze zawsze ściśle legalnej, rozmaitych względem was wyłączeń, życzę szczerze, aby skutek odniosły, a życzę jako zwierzchnik nad wyznaniami, którego zasadą jest zdrowa tolerancya — i jako prawnik.

„Wiadomo panom, iż jestem zwolennikiem prawodawstwa cywilnego, które od pół wieku stanowi ogniwo, naszą narodowość z cywilizacyą europejską spajające. Duchowi tego kodeksu obce są ustawy wyjątkowe, obce wyłączenia przed prawem cywilnem. Nie miejcie panowie obawy, iżbym ja podzielał dzisiejszego utworu zdanie tych, którzy wam tam jakoś radzą i za warunek kładą, abyście przestali być tem, czem głównie jesteście i z drogi przemysłu handlowego, oraz z nim połączonych zajęć schodząc, zaprzęgli się do pługa. Szanowne jest powołanie rolnicze, w którem i wy, abyście udział mieli, pragnę; ja sam z rzemiosła mego jestem rolnikiem, lecz rolników, moi panowie, mieliśmy zawsze podostatkiem; zbywało naszemu krajowi na poważnym, tak zwanym trzecim stanie, którego zaród przez Opatrzność w was włożony, nieuznaniem marnieje.

„Wspólnych starań dołóżmy, ażeby ten zaród ożywił się i rozwinął. W tem jest społeczna wasza godność.

„Będzie to znacznie zależało od roztropności waszej i przezorności; przymioty te oddawna was cechujące, oby się stały nas wszystkich udziałem“.

Mowa taka, takie słowa miękkie, słodkie, przyjazne, uderzyć każdego musiały w obec tego, co przed paru dniami do duchowieństwa katolickiego zostało powiedziane, i tem więcej oburzyć. Zdarzyło się przytem, czy przez

umyślną złośliwość dziennikarską, czy też z woli margrabiego, który w takiem zestawieniu przez kontrast chciał podnieść siłę tego, co powiedział, obie mowy ukazały się jednocześnie w gazetach, i każdy, choćby najprostszy umysł musiała uderzyć ich nadzwyczajna, jaskrawa różnica[1]). Jeżeli to stało się z wiedzą i wolą Wielopolskiego, a prawdopodobnie tak jest, bo dzienniki drukowały jego komunikaty w miarę ich nadsyłania, to był to drugi błąd, było to wyraźne zamanifestowanie się, rzucenie rękawicy duchowieństwu, lekceważenie go zupełne.

Jakoż duchowieństwo nie pozostało dłużnem. Tego samego dnia, w którym słówkami miodowemi margrabia przemawiał do żydów i marzył o wytworzeniu z nich stanu trzeciego, ukazała się odpowiedź duchowieństwa na jego mowę, niepodpisana przez nikogo specyalnie, tylko w ogólności przez „duchowieństwo katolickie Królestwa Polskiego“ [2]). Pamflet ten, napisany, jak się zdaje, przez księży: Steckiego, Wyszyńskiego i Piotra Męcińskiego, wikaryusza przy kościele św. Karola Boromeusza, w tysiącznych odpisach rozbiegł się po kraju, znajdując wszędzie poklask i admiracyą. Tylko w czasach tak ogólnej gorączki, takiego zaślepienia, jakie padło na oczy i na umysły wszystkich, szkodliwa ta z wielu względów protestacya mogła się powszechnie podobać. Obrzucając błotem urzęd-

[1]) Opowiadano sobie przytem, że po przyjęciu urzędowem, margrabia wdał się w pogawędkę z Mayzelsem w języku niemieckim. Gdy przy pożegnaniu rabin podał mu lewą rękę, Wielopolski zapytał go się: „Powiedz pan, kochany panie Mayzelsie, dlaczego mi podajesz lewą rękę. — „Wir können nicht anders machen, odrzekł rabin, wir haben doch keine rechte“ (Nie możemy inaczej, bo nie mamy prawej). Gra słowa „rechte“, oznaczającego rękę prawą i prawo, a zatem znacząca, „że nie mamy żadnych praw“, podobała się powszechnie Warszawie, lubującej się w takich dwuznacznikach.

[2]) Nie trzeba brać za jedno tej protestacyi, datowanej 4 Kwietnia i bezimiennej, z protestacyą niejako urzędową, podpisaną przez arcybiskupa Fijałkowskiego, która przesłaną została Wielopolskiemu w kilka tygodni później, bo dopiero d. 10 Maja.

nika Polaka, który przypominał swą postawą lepsze, dawniejsze czasy, który swą głową przewyższał wszystkich, który właściwie był teraz rządem, czyniono zadość interesom rewolucyjnym, ale nigdy interesom ojczyzny. Zato, że urzędnik ten, może zbyt szorstko, zbyt otwarcie i w niewłaściwej chwili wypowiedział kilka prawd w oczy klerowi polskiemu, protestacya głosiła rokosz otwarty, zapowiadała wprost opór.

„Wszyscy kapłani katoliccy w Polsce, mówi protestacya, uważają mowę jako groźbę niewywołaną niczem, jako zniewagę niesłusznie sobie wyrządzoną i poczytują za konieczny i święty obowiązek zaprotestować głośno przeciw temu wszystkiemu, co w niej zapoznaje (?) nasze stosunki krajowe, obraża nasze sumienia i poniża godność naszą. A najprzód cały charakter tej mowy odznacza się niezwykłą surowością, tonem stanowczym i rozkazującym, do którego nie przywykliśmy dotąd, na który nie zasłużyliśmy wcale i którego w przemowie do przedstawicieli innych wyznań religijnych w kraju nie znajdujemy zupełnie“.

Komentując ten ustęp mowy, w którym Wielopolski zapowiada, że nikomu nie dozwoli wyłamywać się z pod ustaw postanowionych, pomijając milczeniem następne zdanie, że „chętnem słuchać będzie uchem zażaleń na ścieśnienia“, protest woła:

„Treść jej (mowy) wyrzuca nam jakieś wyłamywanie się z pod ustaw postanowionych, naprowadza na domysł jakichś niesnasek i nieporozumień między nami i rządem, który poprzedził pana dyrektora i takowe groźnie potępia. Tak, panie dyrektorze, tak było, niestety! ale to wyłamywanie się z pod ustaw postanowionych, to była ciężka i bolesna praca nad zniweczeniem nieszczęsnych skutków wydawanych przepisów, mających na celu demoralizacyą i znikczemnienie naszego narodu, a których ślady, znajdziesz, panie dyrektorze, w archiwach rządowych. Te nieporozumienia i niesnaski, to była trzydziestoletnia, krwawa walka z przemocą i usiłowaniami potęgi fizycznej, chcącej pozbawić kraj świętej wiary naszej i narodowości; aby go

zlać w jedną całość z narodem obcym nam religią, przeszłością, oświatą i uczuciem. Podobne zajścia są dla nas źródłem chluby i szlachetnej dumy, a zarazem zachętą do wytrwania na podobnie zagrożonem stanowisku; a wątpimy, czy masz prawo, panie dyrektorze, jako Polak i katolik, powołujący się na przodków polskich i katolickich, wyrzucać nam tę walkę i wyłamywanie się z pod ustaw ustanowionych i rzucać na nas kamieniem potępienia". „Ustępu mowy, który nam zapowiada, że pan dyrektor nie uznasz żadnych rządów w rządzie, nie rozumiemy dobrze. Czyżby to miało znaczyć, że pan dyrektor jesteś nieprzyjacielem tych szczątków samodzielności naszej, która broni nasz kraj od zupełnej zagłady, która jedynie stawia nas w możności podjęcia i prowadzenia tej ustawicznej walki przeciw zamachom na religią i narodowość naszą? że pan dyrektor, wypełniając widoki rządu, chciałbyś zamienić duchowną naszą zwierzchność w urzędników swojej kancelaryi, a nas w ślepe narzędzia, uległe wszechwładnej woli rządu w jakimkolwiekbądź kierunku? Panie dyrektorze! człowiek, który przed panem dzisiejsze jego stanowisko zajmował, miał względem nas te same zamiary, ale brakowało mu odwagi do głośnego ich objawienia w obec całego kraju, w obec całego ucywilizowanego świata. Pan dyrektor dopełniasz go w tym względzie; jako Polak, katolik, w obec zmartwychwstającej naszej ojczyzny, w obec niewyschłych łez, ciekącej krwi i niezagojonych ran po trzydziestoletniej walce w obronie wszystkiego, co nam najdroższe na ziemi, przyrzekasz nam imieniem członka rządu najjaśniejszego pana, że spełnisz to, czego tamten dokonać nie mógł. Postanowienie to, jakkolwiek zgodne z widokami rządu, sprzeciwia się jednak najświętszym interesom kraju naszego, starożytnym i ukochanym tradycyom naszego rozwoju dziejowego, a czego niepodobna, abyś sam w głębi duszy swej nie uznał. Na tej drodze spotkasz, panie dyrektorze, równą walkę, równą chęć wyłamywania się z pod ustaw postanowionych, jak jego poprzednik".

W końcu protestacya wypowiada wojnę margrabiemu:

„Z jednej strony pan, panie dyrektorze, jako potomek starożytnej rodziny polskiej, jako katolik i Polak staniesz w obronie zamiarów rządowych i centralizacyi, tak błogie wydającej owoce w ościennem państwie; z drugiej strony całe duchowieństwo polskie stanie w imię Boże do dawnej wytrwałej, choć niemej i przemocą tłumionej walki w obronie wiary, sumienia, praw i wolności naszego narodu. Zwycięstwo w ręku Boga; Jego miłosierdziu ufamy z pokorą".

Taką była ta protestacya z wielu względów najzgubniej mająca wpłynąć na losy kraju. Ze śmiałością naganną fałszowała ona zasadnicze myśli mowy Wielopolskiego i stawiała go na równi z Muchanowem i innymi Moskalami, którzy przychodzili do Polski po to tylko, by pełnić w niej niezaszczytną rolę kata i gnębiciela wiary, języka, wszystkiego jednem słowem, co stanowi odrębność narodową.

Protestacya duchowieństwa znalazła się wkrótce w dziennikach zagranicznych, zwłaszcza polskich. „Czas" krakowski przedrukował ją w całości, zowiąc protestacyą wszystkiego duchowieństwa katolickiego w Polsce, a „Głos", dziennik wychodzący we Lwowie pod redakcyą głośnego powieściopisarza Zygmunta Kaczkowskiego, publikując sam protest, przez niepojęte nadużycie, pomieścił pod nim nazwisko ks. Dekerta, sufragana warszawskiego, podpisującego się jakoby „w imieniu całego duchowieństwa". W obec tego Wielopolski, przez osobny reskrypt z d. 4 Maja, przesyłając Dekertowi odnośny numer „Głosu", zażądał od niego wyjaśnienia. Dekert oczywiście zaprzeczył temu jak najuroczyściej [1]).

[1]) Oto jak o tym fakcie mówi komunikat urzędowy Wielopolskiego, pomieszczony w dziennikach warszawskich współczesnych, przytaczając zarazem dosłownie treść odpowiedzi biskupa Dekerta:

„Warszawa dnia 10 Maja 1861 r. Dyrektor główny prezydujący w Komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, margrabia Wielopolski pomiędzy anonimami, jakie po objęciu

Wielopolski więc miał tę satysfakcyą, że w sposób nieodparty wykazywał kłamstwa, jakich się na wielką skalę dopuszczała w opisie wypadków warszawskich prasa zakordonowa polska, ale na tem się wszystko kończyło. Pożytku mu to żadnego nie przyniosło, owszem przycichłą na chwilę sprawę protestacyi duchowieństwa na nowo ożywiło, i w kraju, właśnie w skutek tego zaprzeczenia, wszyscy byli przekonani, że Dekert protestacyą podpisał, i że ona jest zbiorowym aktem kleru polskiego. Owszem, zobaczymy wkrótce, jak złe skutki wywarło to zaprzeczenie urzędowe, ogłoszone po dziennikach.

Dzienniki te, jakkolwiek będące pod niezmiernie ostrą cenzurą, zajęły wyraźnie nieprzyjazne i opozycyjne względem rządu i Wielopolskiego stanowisko. „Gazeta codzienna“, zmieniwszy w dniu 3 Kwietnia tytuł swój dotychczasowy

---

urzędowania odbierał, otrzymał pismo w kształcie listu, datowane dnia 4 Kwietnia 1861 r. mające być odpowiedzią na przemowę dyrektora do duchowieństwa warszawskiego, mieniące się dziełem całego duchowieństwa, a niczyim podpisem nie opatrzone, margrabia nie zwracał na nie większej uwagi, jak na liczne inne bezimienne utwory takiej samej wartości. Pismo to, przez ludzi złej woli po różnych miejscach kraju roznoszone, dostawszy się do zagranicznych dzienników, nazwane jest w „Czasie“ krakowskim protestacyą duchowieństwa katolickiego w Polsce, a w „Głosie“ lwowskim № 93 z r. b. ogłoszone z podpisem „ks. Dekert w imieniu całego duchowieństwa“. W takim stanie rzeczy, lubo niepodobnem było do wiary, aby pismo takie mogło być dziełem kapłana, uczynione zostało do J. W. J. X. biskupa Dekerta urzędowe w tej mierze zapytanie. Własnoręczną jego odpowiedź dosłownie tutaj zamieszcza się;

Biskup sufragan archi-dyecezyi warszawskiej. W Warszawie d. 6 Maja 1861 r. W odpowiedzi na odezwę J. W. Dyrektora głównego reskryptem z d. 22 Kwietnia (4 Maja) r. b. za № 565, łącznie z wyciągiem z dziennika peryodycznego lwowskiego „Głos“ mi wręczoną, oświadczam, iż żadnego bezimiennego listu do J. W. Dyrektora głównego nie pisałem, pisma w rzeczonej kopii mi udzielonego nie jestem autorem, żadnej jego kopii jakoby mojego utworu nie podpisałem, a tem samem bynajmniej na to nie wpłynąłem, ażeby z udanym moim podpisem, jakoby w imieniu całego duchowieństwa w dziennikach krajowych lub zagranicznych ogłoszonem było. Z głębokiem uszanowaniem X. Jan Dekert B. S. A. W“.

na „Gazetę polską“, co zwłaszcza na prowincyi przyjęto z wielkim aplauzem [1]), usiłowała od czasu do czasu popierać margrabiego, ale brała się do rzeczy lękliwie, nieśmiało, ostrożnie, kołując zdaleka i gubiąc się w mglistych teoryach filozoficznych, przyczem, stawiając i Panu Bogu i dyablu świeczkę, dawała surowe napomnienia Wielopolskiemu. W jednym ze swych numerów (z d. 6 Kwietnia) powiada, że „wypada podziwiać wpływ wielkich indywidualności“ na kierunek spraw ludzkich, ale, że rola kierownika rzadko jest komu dana, częściej „porywa się za mały człowiek do zbyt wielkiego zadania i zgnieciony pod niem upada“. „Można wiele dokazać, pisze dalej, gdy się nie zbyt olbrzymich rzeczy pragnie i działa w sferze właściwej, gdy się dba o czyn tylko, a nie żąda samemu, czy przez miłość kraju, czy przez miłość siebie, wszystkiego dokonać; można być wielkim w swoim zakresie, a małym, gdy się za jego szranki wychyla. Dyktatura moralna w wielkich chwilach przesilenia nie daje się, lecz bierze potęgą ducha; nadana lub narzucona zawodzi, uzurpowana częściej prowadzi do celu, bo jest dowodem prawdziwej energii lub siły. Wielcy ludzie nie tworzą się *a priori;* muszą zapracować na swą wielkość i dobić się jej w pocie czoła“. Te napomnienia, wygłaszane tonem nauczycielskim, nie podobały się jednak czytelnikom. Redaktor gazety, Kraszewski, musiał się więc bronić, tłomaczyć i wołał, że go „źle zrozumiano, że jeżeli powiedział, iż śmiałość i zuchwalstwo są dowodami jeniuszu, to dodać należy, że charaktery podobne muszą czerpać swą siłę w miłości kraju, w związku z pragnieniami i potrzebami narodu; muszą się opierać na opinii i, zachowując swą niezależność w środkach, cel mieć jeden z ogółem“. Z tego oczywisty wniosek, że, ponieważ Wielopolski nie opiera się na opinii, działalność jego zatem nie może mieć znaczenia dodatniego. Kraszewski więc

[1]) Przyczem obiegała pogłoska, która się sprawdzić nie miała, że „Gazeta Warszawska“ zwać się będzie Gazetą narodową. W połowie Maja zwiększyła ona tylko swój format.

nie okazał odwagi, jaką winien mieć każdy dziennikarz w Polsce, choć z tego co pisał widać, że rozumiał doskonale położenie kraju i jego potrzeby.

Wśród tego młodzież szkolna i rzemieślnicza, dzięki pięknej porze i dzięki świątecznym tygodniom, tłumnie snuła się po ulicach i szukała tylko sposobności do wypłatania jakiegokolwiek figla Moskalom. Taka sposobność niestety! znaleść się wkrótce miała, a na nieszczęście swoje i kraju, podał ją sam Wielopolski. Mówimy tu o rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. Wiemy już, że jednym z warunków, pod którymi margrabia przyjął udział w rządzie, było zniesienie tej instytucyi, w rzeczy samej z wielu względów niebezpiecznej; że w Warszawie i w Petersburgu się na to zgodzono, bo rząd rosyjski zawsze jest gotów zgodzić się na to, co w jakikolwiek sposób może zaszkodzić lub dokuczyć Polakom. Gorczakow jednak, człowiek uczciwy i pragnący przedewszystkiem uspokojenia kraju, jakkolwiek w zasadzie zgadzał się na rozwiązanie Towarzystwa, uznawał nawet konieczność tego kroku, z obawy jednak przed następstwami, ze zwyczaju swego odkładania ważniejszych i bardziej stanowczych zamiarów do jutra, pragnął sprawę zniesienia Towarzystwa odwlec jak najdłużej. Do nalegającego o to Wielopolskiego odzywał się: „nie mówmy o tem teraz“; mimo to jednak w końcu uległ, choć przewidywał, jakby w przeczuciu proroczem, krwawe następstwa tego kroku, które miały do reszty wstrząsnąć jego schorowanem ciałem i zawieść go do grobu.

Dlaczego jednak Wielopolski tak usilnie i tak stanowczo domagał się zniesienia Towarzystwa? czy ono w rzeczy samej szkodę jaką przynosiło w tej chwili i w przyszłości przynieść mogło tak krajowi, jak i instytucyom świeżo mu nadanym? czy obok niego istotnie rząd wszelki w Polsce był niemożliwy? Wielopolski, a raczej jego stronnicy utrzymywali, że tak było, że Towarzystwo przez swą organizacyą, swe cyrkularze, swe pretensye wreszcie odgrywało rolę jedynej legalnej władzy polskiej, było rządem w rządzie, uniemożliwiało wszelkie działanie.

Utrzymywano, i Wielopolski sam miał mieć takie przekonanie, że, w skutek różnych odezw do ludu, lud ten był do głębi wzburzony; że nie było ani dnia ani godziny do stracenia, jeżeli chciano uniknąć nowej rzezi galicyjskiej [1]). Jeżeliby jednak tak było, a wiemy, że tak źle rzeczy nie stały, bo najpoważniejsze zaburzenia międzyrzeckie poza odmowę robienia pańszczyzny nie sięgały, to czyż dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, był w stanie temu zapobiedz? czy chłop od powziętego zamiaru, chwycenia za nóż Szeli, dałby się tym dekretem powstrzymać? czy wiedział nawet o nim, czy rozumiał go? Zaiste, nie! Większość ludu naszego, zapracowana ciężko, ogłupiona uciskiem długowiecznym, nie wiedziała nawet o istnieniu Towarzystwa, a jeżeli wiedziała, to nie zdawała sobie z tego sprawy, nic ją ono nie obchodziło. Dla zapobieżenia zaś złemu wpływowi, jaki Towarzystwo wywierać mogło na przebieg sprawy włościańskiej, w rządzie autokratycznym, jakim był rząd w Polsce, dość było jednym prostym de-

[1]) Tak twierdzi syn margrabiego, Zygmunt, w „Liście otwartym do hr. Stanisława Tarnowskiego“, „W obec szerzącego się, pisze on, usposobienia po kraju, w skutek postanowień i okólników różnych, które burzyły ludność wiejską, nie było ani dnia ani godziny do stracenia, a to tak dalece, że Wielopolski truchlał na myśl, że pod rządem, którego jest członkiem, chociaż z innych przyczyn, rzeź galicyjska ponowić się może. Nie był wówczas margrabia bezpośrednim zwierzchnikiem służby cywilnej w kraju, nie miał władzy nad Towarzystwem rolniczem, które podlegało Komisyi spraw wewnętrznych, nie był więc panem tyle niebezpiecznego i z grubszego obrabiania ludu wiejskiego. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego czyniło zbytecznem okólniki o okólnikach, tłomaczenia tłomaczeń, i odrazu umysły po wsiach uspokoiło. W przeciwnym razie, czyżby rząd mógł egzekwować tabele prestacyjne na chłopie, którego pan prawi o uwłaszczeniu? Zawieszenie de facto robocizny przymusowej byłoby wystawiło większą własność na przewrót gospodarczy. Jeszcze tydzień istnienia Towarzystwa rolniczego przy pomocy powiatowej jego organizacyi byłby w owej chwili wystarczył do ubezwładnienia na długi czas surdutowej opozycyi, lecz cały bieg sprawy włościańskiej, której rozwiązanie margrabia zamierzał przeprowadzić bez wstrząśnień ekonomicznych, byłby był zwichnięty“.

kretem zakazać Towarzystwu wydawania okólników i odezw, wepchnąć je napowrót w ciasne koryto swych zajęć rolniczych, z którego nigdy nie powinno było wyjść. Zniesienie wreszcie Towarzystwa zapobiegało wprawdzie wydawaniu publicznych okólników, ale nie niszczyło jego organizacyi wewnętrznej, która pomimo wszystko trwała dalej i stawała się tem niebezpieczniejszą, że, nie mogąc działać otwarcie, pod kontrolą władz, działała skrycie i bez żadnej kontroli. Lekarstwo więc stało się gorszem od samej choroby; rozwiązanie Towarzystwa było błędem, strasznym w swych następstwach błędem, z wielu jeszcze innych względów. Towarzystwo bowiem od czasu wypadków Lutowych, od chwili, gdy w obec tych wypadków zajęło postawę odporną, gdy z mozołem i z widoczną niechęcią uchwalało uwłaszczenie, nie cieszyło się dobrą opinią w kraju. Naprożno wydawało okólniki, umizgało się do tej opinii, pisało adresy, podawało nawet dłoń rewolucyi, rewolucya ta krzywo na nie patrzała, i widocznem było, że szlachtę wysadza z siodła. Położenie jego było takie w tej porze, że mądry polityk byłby zostawił rzeczy swemu biegowi, byłby nawet głaskał Towarzystwo dla ostatecznego zepsucia mu opinii i byłby się powoli, bez żadnych wstrząśnień, doczekał tej chwili, kiedy Towarzystwo samo przez się byłoby rozchwiało się pod ciężarem niepopularności. Członkowie tej instytucyi, jej komitet, po dekrecie zniesienia odetchnęli swobodniej i szeptali na ucho o swej wdzięczności dla Wielopolskiego, bo ich wydobył z nieznośnego położenia, za jednym zamachem zdobył im popularność, odzyskał dobrą opinią, której oni sami nigdy nie byliby w stanie odzyskać [1]).

[1]) Lisicki (Aleksander Wielopolski, I, 198), jakkolwiek broni postanowienia Wielopolskiego, sam jednak przyznaje, że zniesienie Towarzystwa największą przysługę wyrządziło jego komitetowi: „Krok ten pisze, przedsięwzięty w interesie porządku publicznego, w interesie kraju i szlachty, oddawał największą przysługę prezesowi i komitetowi, znajdującemu się w położeniu bez wyjścia, co w cztery oczy nie jeden z tych panów przyznawał“. Sądzimy wszelako, że

Nie podobna przypuszczać, by tak rozumny człowiek jak Wielopolski tego wszystkiego nie widział i nie pojmował. Dlaczego jednak inaczej postąpił? Odpowiedź na to pytanie znaleść tylko możemy w jego charakterze, w jego mściwości, w chęci dokuczenia, „dania się we znaki“ tym, których nie lubiał. Wszystkie, powyżej przytoczone względy, miały dla niego drugorzędne znaczenie w obec żądzy pomszczenia się na tych, którzy go nie przyjęli za członka, którzy wszelkie jego usiłowania odrzucali, którzy mu na każdym kroku dawali uczuwać swą wyższość mniemaną. Wielopolski był to człowiek, który bądźcobądź w wielu razach kierował się namiętnościami i dla namiętności gotów był wiele, nieomal wszystko poświęcić. Te namiętności, gniew i rozdrażnienie, wzrastać w nim musiało z każdą prawie chwilą, wśród tej burzy, która koło niego szalała i szarpała go bezlitośnie. Istotnie trzeba było posiadać wielką siłę ducha, by zachować sąd spokojny o rzeczach wpośród gorączki powszechnej, jaka najzimniejsze nawet ogarniała głowy. Człowiek tak wrażliwy, jak Wielopolski, spokoju takiego nie miał i zachować go nie potrafił. W gorączce tej, drobne nieraz rzeczy nabywały rozmiarów olbrzymich, dawne urazy podnosiły głowę i domagały się pomsty, i ta pomsta, osobista uraza do Towarzystwa, niechęć do jego prezesa, pragnienie pokazania temu ostatniemu swej przewagi i znaczenia, było głównym, zasadniczym powodem zniesienia instytucyi rzeczonej. Ale człowiek, który najświętsze interesa kraju stawia na szwank dla zadośćuczynienia swej namiętności i swym prywatnym uniesieniom, nie jest ani patryotą, ani obywatelem prawdziwym i Wielopolski obywatelem w podniosłym znaczeniu tego wyrazu nie był. Szedł on wszędzie przebojem, lubiał

---

interesem kraju i jego przyszłości nie było wydobywanie tych panów z położenia kłopotliwego, ale owszem mocniejsze jeszcze pogrążenie w niem, zmuszenie do wypicia piwa, którego nawarzyli. Wielopolski, rozwiązując Towarzystwo, wydobywał za nich gorące kasztany z ognia.

okazywać swą siłę i znaczenie, zwłaszcza w początkach swej władzy. Wiedział on, że zniesienie Towarzystwa wywołać musi zaburzenia i w duszy oczekiwał z upragnieniem takiego skutku, co niechże mu porachowanem będzie jako usprawiedliwienie tego zgubnego kroku. Liczył bowiem na to, że, ścinając hydrze jednę głowę w osobie Towarzystwa, zetnie zarazem i drugą w osobie rewolucyi czerwonej. Pragnął więc tego, bo przekonany był, że, dawszy naukę krwawą ulicy, kraj odrazu uspokoi i rządzić w nim będzie mógł swobodnie. Obaczymy zaraz, że się mylił, jak ciągle się mylił ten umysł namiętny, szorstki, doktrynerski, zaślepiony przez dumę i Nabuchodonozorową pychę [1]). Chcąc jednak choć trochę przygotować kraj do aktu zniesienia Towarzystwa i podburzenia przeciw niemu opinii publicznej, umówił się z Kronenbergiem, właścicielem „Gazety polskiej“, że ten wydrukuje w niej artykuł przeciw Towarzystwu. Pretekst łatwo się znalazł. W tym czasie bowiem komitet Towarzystwa rozesłał był okólnik do wszystkich swych korespondentów, ażeby przyjmowali do nauki gospodarstwa rolnego żydów, gdyż ci, według komitetu, tą jedynie drogą mogą zostać prawdziwymi obywatelami kraju [2]). Kronenberg z łatwością przekonał Kraszewskiego, człowieka niezwykle wrażliwego i entuzyastę, prócz tego nie bardzo chętnego Towarzystwu za to, że go niegdyś przebalotowało, że taki okólnik komitetu jest obrazą wymierzoną wszystkim żydom, jest zamachem na

[1]) Spasowicz (p. 154) powiada, że przed zniesieniem Towarzystwa Wielopolski co do tego przedmiotu z każdym pojedynczo członkiem komitetu miał narady, i że każden z nich zgadzał się na konieczność rozwiązania instytucyi, do której należał. Że z tym i owym mógł Wielopolski o tem mówić, sprzeczać się nie będziemy, ale o tem, by z całym komitetem się naradzał, nie znajdujemy wiadomości w żadnem ze źródeł drukowanych i niedrukowanych, jakie posiadamy.

[2]) Okólnik ten, jak zapewnia A. Giller (Historya powstania, I, 73) został wydany pod wpływem Zamoyskiego, który przez to utracić miał swe znaczenie w stronnictwie umiarkowanem.

pięknie rozwijające się początki jedności narodowej. Czyż bowiem żydzi nie są już obywatelami kraju? nie daliż tego dowodów? czyż, żeby zostać obywatelem polskim, trzeba koniecznie na wsi siedzieć, wąsy długie nosić i buraki sadzić? Okólnik Towarzystwa jest niczem innem jak szlachecką fanaberyą i zasługuje na surowe skarcenie. Kraszewski dał się przekonać, zapalił się i przygotował w tym duchu ognisty artykuł, który miał się ukazać w wilią dekretu o zniesieniu Towarzystwa, t. j. w Piątek, dnia 5 Kwietnia. Jakoż artykuł ten już był złożony, gdy jeden z członków redakcyi, niejaki Tadeusz Wolski, szlachcic podupadły, który zawiesił się przy dzienniku dla chleba, ale zachował wszystkie swe dawne znajomości i stosunki, doniósł o przygotowującym się zamachu na dobrą sławę Towarzystwa i nawet odbitkę samego artykułu komitetowi jego złożył. Przestraszony tem komitet, co prędzej wydelegował trzech swoich członków, między którymi byli: Stawiski, autor adresu do cesarza i Adam Goltz, piszący od czasu do czasu różne, małej zresztą wartości rzeczy, ażeby udali się do Kraszewskiego i wyjednali u niego powstrzymanie druku tego artykułu. Redaktor gazety bronił się słabo, twierdził, że źle zrozumiano treść artykułu, ale w rezultacie zgodził się na żądanie delegatów i artykuł inkryminowany rozebrać kazał, unicestwiając zarazem dobry lubo małego znaczenia zamiar Wielopolskiego, który, wątpliwą jest rzeczą, czy jakikolwiek wpływ mógłby mieć na wypadki następne [1]).

Tymczasem, gdy się to dzieje, margrabia zredagował dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, nie na posiedzeniu całej Rady administracyjnej, jak chciało prawo, ale sam, i gotowy już protokół, pojedynczo zwoływani do Zamku członkowie Rady, podpisywać musieli; przekonał się jednak

[1]) Kraszewski tak dalece czuł, że źle robi, iż nie chcąc się już tego dnia widzieć z Kronenbergiem, przed którym musiałby oczywiście wytłomaczyć swe postępowanie, skrył się i nie pokazywał mu się wcale. Kronenberg napróżno artykułu i jego autora szukał.

zaraz, jak w samym rządzie niektóre osoby temu postanowieniu są przeciwne. Gorczakow wahał się z położeniem swego podpisu na odnośnej uchwale Rady administracyjnej; jak gdyby w przeczuciu widział przed oczami swej duszy nowe zaburzenia, może nową krew, która miała zatruć mu ostatki jego życia. Drzewiecki, dyrektor Komisyi sprawiedliwości, wprost i stanowczo odmówił swego podpisu, raz dla tego, że dekret nie był legalnie sporządzony, a potem, że nie chciał przyjmować solidarności z aktem, który uważał za zły i zgubny dla rządu i kraju. Ten opór niespodziewany rozdrażnił i tak już mocno podrażnionego Wielopolskiego. Potrafił przekonać namiestnika, że Drzewiecki przez to stał się niemożliwym na swem wysokiem stanowisku, że jest za słaby, że szuka popularności u ulicy. Rezultatem tego było to, że Gorczakow zażądał w d. 4 Kwietnia od cesarza dymisyi dla Drzewieckiego [1]); jakoż nazajutrz, d. 5 Kwietnia, dymisya ta została ogłoszona w gazetach, że Drzewiecki „na własną prośbę uwolniony został od obowiązków Dyrektora, a na jego miejsce powołany został naczelny prokurator 9-go departamentu Rządzącego senatu, rzeczywisty radca stanu Jan Kanty Wołowski“. Ten ostatni pochodził ze znanej w kraju ze swych zdolności rodziny frankistów, która wydała kilku znakomitych prawników i ekonomistów.

W takich warunkach, zapowiadających coraz gwałtowniejsze zawikłania i coraz silniejszy opór wszelkim zamiarom Wielopolskiego, został nakoniec ogłoszony w d. 6 Kwietnia sam dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze. Jako motyw tego aktu, dekret powiada, że „Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez położenie, jakie w ostatnich

[1]) W depeszy pisał: „23 Marca (4 Kwietnia). Drzewiecki w obecnych okolicznościach jest za słaby. Potrzebnym jest energiczny dyrektor sprawiedliwości. Proszę o pozwolenie nominowania na to stanowisko Wołowskiego, naczelnego prokuratora 9-o departamentu. Adresu on nie podpisał. Ks. Gorczakow“.

czasach pomimo ustawy swej przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie". Na miejsce rozwiązującego się Towarzystwa dekret zapowiadał, że urządzane będą w różnych miejscach Królestwa zebrania (komicye) rolnicze. Remanent kasy Towarzystwa polecał przenieść jako depozyt do Banku polskiego, dla zwrotu z prawa komu należy. Współcześnie z tym dekretem ukazało się w gazetach, jak sam Wielopolski to nazywał, „oznajmienie" jego, wymierzone głównie przeciw ks. Myślińskiemu, administratorowi dyecezyi płockiej i przeciw Towarzystwu rolniczemu. W oznajmieniu tem dyrektor Komisyi wyznań i oświecenia podawał do wiadomości, że „jeden z pasterzów dyecezyi" uczynił do podwładnego sobie duchowieństwa odezwę, ażeby księża, jako przewodnicy ludu, w naukach religijnych, mianowicie przy trybunale pokuty, starali się wpływać na uspokojenie umysłów, oraz na obudzenie zaufania w sprawiedliwość władz krajowych"; że odezwę tę zarządzający dyecezyą przesłał, jak wypadało, Komisyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych. Ten sam pasterz, w kilkanaście dni później, odezwą powtórną, „dotąd przez niego rządowi na drodze właściwej nie nadesłaną", oznajmił duchowieństwu swojemu, że szlachta na walnem swem zebraniu rolniczem w Warszawie, jednozgodnie uchwaliła świetny akt uwłaszczenia, i wezwał toż duchowieństwo, aby „odpierało krzywdę, jaką obywatelom ziemskim czynią nasi nieprzyjaciele, wmawiając, że nie szlachta, lecz rząd gruntami szlacheckimi włościan udarował".

„W tym samym duchu (powiada dalej oznajmienie), postępując, niektórzy plebani, pod wpływem niektórych korespondentów i członków Towarzystwa rolniczego, odczytali z ambon ludowi wiejskiemu przygotowane przez Towarzystwo rolnicze ogłoszenie, po którego już rozpoznaniu i usunięciu przez rząd jako niewłaściwe, dyrektor główny rozesłał duchowieństwu całemu do śpiesznej publikacyi z ambon obwieszczenie swe z d. 19/31 Marca, stan rzeczy co do oczynszowania i stopniowego skupu czynszu ludowi wiejskiemu wedle prawdy i słuszności objaśniając. Tym-

czasem przez odczytywanie z ambon nieupoważnionego ogłoszenia wynikły nieporządki w niektórych gminach kraju, a mianowicie w dobrach Międzyrzec, gdzie, wedle otrzymanych urzędowych raportów, niespokojności te wszczęły się skutkiem mylnie zrozumianej odezwy Towarzystwa rolniczego, odczytanej rolnikom w pierwszy dzień Wielkiejnocy w kościele parafialnym przez miejscowego proboszcza. Od pomienionego zarządcy dyecezyi bliższe wyjaśnienia są teraz oczekiwane. Zachowując należną duchowieństwu swobodę co do spraw kościoła, oraz odróżniając postępowanie jednego zwierzchnika dyecezyi od poważnego zachowania się znacznej większości naszego duchowieństwa, władza nie będzie obojętną na niczyje przywłaszczenia w sprawach krajowych".

Tak dekret o rozwiązaniu Towarzystwa, jak i to oznajmienie, będące ponownem i surowem napomnieniem, udzielonem ponad głową Myślińskiego duchowieństwu polskiemu, zostało opublikowane w gazetach w d. 6 Kwietnia, t. j. w Sobotę. Było to błędem, jeżeli działano bez rozmysłu i jeżeli istotnie nie chciano wywołać nowych z tego powodu zaburzeń i manifestacyi. Po Sobocie tej bowiem następowały dwa dni z rzędu świąt, to jest Niedziela i uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, co przy pięknej porze wiosennej, jaka stale panowała, wyprowadzało na ulice tłumy ludności i dawało agitatorom możność urządzenia wielkiej demonstracyi. Zdaje się jednak, że tak Wielopolski, jak i wszyscy ci, którzy pragnęli ukrócenia rozruchów, tego właśnie chcieli, by raz na zawsze przemocą i krwawą nauką, stłumić w ludzie warszawskim ochotę do nieporządków ulicznych. W zarządzie wojskowym gotowano się do tego oddawna; jenerał Chrulew już od kilku dni bawił w Warszawie (przybył z Petersburga dnia 2 Kwietnia) i gorliwie zajmował się wszystkiem, co potrzeba dla energicznego przeciw rozruchom wystąpienia. Oprócz podziału całego miasta na części, oddane pod zawiadywanie osobnych jenerałów, pod ogólną komendą jenerała Liprandi, starego żołnierza, który należał jeszcze

do szturmu do Warszawy w r. 1831 — wydano rozporządzenia co do tego, jakie punkta na wypadek alarmu mają wojska zajmować w mieście. Hasłem do alarmu miały być trzy wystrzały działowe z cytadeli i 12 rakiet wypuszczonych z Zamku; na to hasło każdy oddział wojsk, z możliwą szybkością biegnąc ulicami, oznaczonemi ściśle, żeby nie nastąpiło spotkanie jednego oddziału z drugim, winien zajmować przeznaczony dlań punkt. W samym Zamku znajdowały się stale cztery kompanie piechoty, czyli cały batalion. Oficerów pomieszczono w Sali tronowej; dwie kompanie w bibliotece i sali nad nią; jedną w oranżeryi; nakoniec czwarta nie miała kwatery wyznaczonej, lecz mieściła się, gdzie mogła. Przez jakiś czas np. zajętą była na ten cel wielka sala balowa z kolumnadą. Żołnierze w pysznych tych mieszkaniach dawnych królów polskich spali pokotem na słomie obficie rozesłanej. Służbę tę w Zamku pełniły kolejno batalion pierwszy i trzeci pułku Kostromskiego piechoty i jeden batalion pułku Symbirskiego. Tak przygotowawszy się, oczekiwano, nie bez pewnego wewnętrznego niepokoju, dalszych, strasznych niestety! następstw.

Jakoż zbliżały się one szybko. Jakkolwiek o zamiarach Wielopolskiego zniesienia Towarzystwa rolniczego wiedziano prawie powszechnie, jakkolwiek to i owo o tem przedostało się do mas, większość jednak nie chciała temu wierzyć, nie przypuszczała, by Polak mógł się targnąć na instytucyą, z takim mozołem na rządzie zdobytą, by nakoniec mogło to tak prędko, tak nagle nastąpić. Jednem słowem dekret Rady administracyjnej wywarł ogromne, piorunujące rzec można na miasto wrażenie. Wszystkich, przez szczególną niewiarę w możność takiego kroku, dekret ten uderzał jak prawie coś niespodziewanego, nagłego, jak piorun spadający z jasnego nieba. „A więc się ośmielił!“ mówiono sobie, „więc zrobił to jednak!“ Zamoyskiego rozwiązanie Towarzystwa najbardziej, najboleśniej dotknęło, bo instytucyę tę uważał za swoję dziecię, za podstawę reorganizacyi przyszłej kraju. Niechęć, jaką miano do To-

warzystwa, podejrzenia, jakie na nie rzucano, odrazu, jak za dotknięciem laski czarodziejskiej, znikły. Wszyscy tylko teraz mówili o Towarzystwie, wszyscy się niem zajmowali, wszyscy podnosili do niezwykłych wyżyn doniosłość ciosu, jaki poniósł kraj i zbrodni, jakiej się dopuścił Wielopolski. Głośny i bardzo czytany poeta tej doby, Władysław Syrokomla, napisał wiersz na rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, który podłożony pod łatwą i melodyjną muzykę na tempo mazura, cieszył się wielką popularnością, śpiewany był powszechnie i Towarzystwo czynił instytucyą na wskróś patryotyczną, przyczyniając się w znacznej mierze do nadania zgromadzeniu szlacheckiemu tej popularności, jakiej nigdy za życia nie miało [1]). Ludzie najspokojniejsi, najchłodniejsi unosili się, nawet przyjaciele serdeczni i wielbiciele margrabiego z pewnem oburzeniem wewnętrznem i bólem patrzyli na ten krok jego, którego pojąć ani wytłomaczyć sobie nie mogli, nie przypuszczali bowiem, by Wielopolski był zdolny swe urazy prywatne mścić publicznie i ze szkodą interesów najdroższych kraju. Zygmunt Helcel, stary przyjaciel margrabiego, którego ten ostatni wezwał do Warszawy i ofiarował mu albo stanowisko rek-

[1]) Wiersz ten przytaczamy tu w całości:

„Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
Więc rozwiązał swym ukazem
Legion rolniczy.

Przypomina twoje długi
Rycerski człowiecze!
Że żelazne twoje pługi
Czas przekuć na miecze.

Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnie nie zgniją,
Żąć i młócić wrogów karki
Jest agronomiją!

Gospodarka trzypolowa
Wrogom się podoba,
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy oba,

tora mającej powstać Szkoły głównej, albo dyrektorstwo Komisyi sprawiedliwości, jadąc do stolicy polskiej, w drodze, w Piotrkowie, dowiedział się o rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. Wiadomość ta tak nim wstrząsła, że, rezygnując ze wszelkich godności, ofiarowanych mu przez margrabiego, chciał wracać do Krakowa, „stracił bowiem wiarę nie w jego (Wielopolskiego) dobre chęci, ale w zdolność praktycznego zastosowania głębokiej, teoretycznej znajomości sztuki rządzenia“. „Polityki rozwiązania Towarzystwa rolniczego, pisał sam w parę tygodni później, zrozumieć nie mogliśmy“.

Tak więc wszyscy ludzie w kraju, jakichkolwiek bądź odcieni, stanowczo i bezwzględnie krok ten potępili, krok zdrożny, nierozumny, bo mający swe źródło w osobistem pragnieniu pomsty i w uniesieniu gniewu. Dla rewolucyonistów zaś, dla czerwieńców, dla tej licznej rzeszy agitatorów, którzy włóczyli się po palącym bruku Warszawy i oczekiwali na sposobność urządzenia wielkiej manifestacyi, pragnęli jej, jak kania deszczu, była to gratka jedyna. Już tego samego dnia, w którym ukazał się dekret, skazujący na śmierć Towarzystwo, wśród Nowakowskich, Szachowskich, Frankowskich i t. p. objawił się ruch ogromny.

Moskwa wzięła resztę łanów
Polski, Litwy, Rusi.
Więc reforma płodozmianów
Kłuć ich w oczy musi.
Czyż już pól tych nie odbierzem?
Czyż już rady nie ma?
Złącz Łokietka z Kazimierzem.
To polskie systema.
Miecz i lemiesz w swoją kolej,
Wyborne narzędzie,
Łan zasiewaj, krwią go polej,
A pszenica będzie.
Gdy trzy łany wyrwiesz dziczy,
Gdy się kąkol wytnie
Nasz odwieczny *Dom rolniczy*
Znowu nam zakwitnie“.

Kowno, 10 Kwietnia 1861 r.

Wszyscy „smarkacze“ i niesmarkacze wołali, że trzeba publicznie cześć oddać i wdzięczność okazać zniesionemu Towarzystwu rolniczemu; że należy prezesowi jego Andrzejowi Zamoyskiemu podnieść wieniec zasługi obywatelskiej, że nakoniec trzeba uroczyście objawić zlanie się dwóch wyznań katolickiego i żydowskiego i publicznie podać rękę żydom na znak zgody, braterstwa i jedności; jednem słowem trzeba urządzić nową wielką manifestacyą, nowy „koncert nad koncertami“. Układano cały program postępowania i układano tak głośno, że policya o wszystkiem wiedziała; nie przedsięwzięła jednak żadnych kroków w celu zapobieżenia manifestacyi, która się miała niestety! zamienić w formalną rzeź uliczną, rzeź, którą w sferach rządowych uważano za złe, ale złe konieczne, za rozcięcie ostateczne wrzodu, który się od lat tylu zbiera, wprawia w gorączkę i w stan zapalny cały organizm polski. Policya więc nie przedsięwzięła żadnych zaradczych środków, ani też niedawno mianowani komendanci różnych okręgów miejskich, choć manifestacya przygotowywała się jawnie i głośno. Wszystkie jej szczegóły obmyślano i opracowano w ciągu nocy z 6 na 7 Kwietnia, z Soboty na Niedzielę.

Już od samego rana, 7 Kwietnia, niezwykły ruch zapanował na ulicach Warszawy, pomimo że dzień był chmurny i deszcz rzęsisty padał. Bardzo liczne tłumy, przeważnie złożone z rzemieślników i uczącej się młodzieży, ciągnęły na cmentarz Powązkowski, gdzie, jak się zdaje, według zamiaru agitatorów, miał być początek manifestacyi. W kościółku miejscowym wysłuchano nabożeństwa i wyruszono na grób pięciu poległych, ustrojony tymczasem wspaniale w rozmaite emblemata, w które ta epoka tak obfitowała, w połamane krzyże, orły i pogonie, palmy i wieńce cierniowe, kajdany i łańcuchy. Grób był literalnie zarzucony kwiatami i sztucznymi wieńcami. Odśpiewawszy „Święty Boże“ i nieuniknione „Boże coś Polskę“, poczęto powoli rozchodzić się, zwiedzać cmentarz, lub przypatrywać się stojącemu batalionowi piechoty w szyku bojowym, z czterema działami po skrzydłach, na drodze ku Bielanom,

co świadczy, że władza była o wszystkiem jak najdokładniej uwiadomiona i rozwijała znaczne siły wojskowe, dla dania przy pierwszej lepszej sposobności krwawej nauki ludności warszawskiej. Już było koło godziny dziesiątej, i tłum nie wiedząc co robić, byłby prawdopodobnie rozszedł się zupełnie, gdyby nie ukazała się idąca z miasta, z głośnymi śpiewami, dość liczna procesya. Na jej czele postępował Nowakowski, dominując głową nad tłumem, intonując głosem donośnym pieśni i dźwigając krzyż, który według wieści, rozpowszechnionej między tłumem, miał być tym samym, jaki kozacy w d. 27 Lutego „znieważyli i złamali“. Procesya ta wyszła z kościoła Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu i prowadzona przez Nowakowskiego, wśród pieśni patryotycznych przeciągnęła około Zamku przez całe miasto. W drodze miano spotkać trzech bernardynów, idących za interesami i zabrano ich ze sobą. „Ubrania żałobne, opowiada świadek naoczny, głowy obnażone, pomimo że deszcz ulewny padał przez całą drogę, donośny rozgłos pieśni nabożnych i litanii, nadawały tej procesyi charakter uroczysty i niezwykle wzruszający“. W takim poważnym pochodzie wkroczono na Powązki, połączono się z błądzącym tu już od paru godzin tłumem, odśpiewano „Witaj królowo nieba“, ozdobiono krzyż na mogile poległych białym orłem i samą mogiłę zasypano kwiatami, poczem jeden z Bernardynów począł mówić. Dziękował za to, że się tak licznie zebrano, jakkolwiek zebranie to nazwał prywatnem (sic), kazał odmówić wieczne odpocznienie „za braci naszych poległych“. Tu w tłumie rozległy się głosy: „i za kijowskich braci“. Bernardyn powtórzył to żądanie niczem nieusprawiedliwione i zachęcał do rozejścia się.

Jakoż zanosiło się na to. Tłum, który obliczają na kilka tysięcy ludzi [1]), nie wiedział co robić, nudził się i po-

[1]) Manuskrypt „Kronika wypadków warszawskich przez Mieszkańca Warszawy“ twierdzi, że liczba obecnych na cmentarzu dochodziła do 20.000 osób.

woli rozchodził. Komuś przyszła do głowy myśl urwać gałązkę zieloną z mnóstwa wieńcy, leżących na grobie pięciu ofiar, i zatknąć ją sobie za kapelusz. Zaraz wszyscy poczęli to naśladować i wnet czapki i kapelusze ustrojone były w gałęzie zielone i kwiaty. Czyn ten, nie wiadomo co mający znaczyć, nie mógł jednak powstrzymać od powolnego, ale stałego rozchodzenia się zebranych. Na szczęście dla agitatorów, pojawiła się nowa procesya, postępująca od Warszawy. Mogła być wtedy godzina 11-sta rano. Procesya ta wystąpiła z kościoła OO. Kapucynów na ulicy Miodowej i, podobnie jak pierwsza, przeszła całe prawie miasto ze śpiewami patryotycznymi, niosąc obraz Matki Boskiej, „zelżony pałaszami i nahajkami w d. 27 Lutego“ jak sobie opowiadano wśród tłumów. Odbyły się więc nowe śpiewy i wśród przyrzeczeń, że zejdą się wszyscy o godz. 4-tej po południu przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego na ulicy Erywańskiej, gdzie się mieściło biuro Towarzystwa rolniczego i gdzie chciano temu ostatniemu „cześć oddać“, jak mówiono, poczęto się rozchodzić. W większej części wracano tłumnie, niosąc w rękach gałązki zielone i kwiaty. Wielu poszło do domów, ale większość, zwłaszcza czeladzi rzemieślniczej i różnego motłochu bezimiennego, wprost z cmentarza podążyła przed gmach Towarzystwa kredytowego.

Koło godziny 4-tej po południu przed rzeczonym gmachem poczęło gromadzić się znaczne zbiegowisko ludzi, wynoszące około dziesięciu tysięcy głów. Najwięcej nadciągnęło od strony ulicy Marszałkowskiej. Cały plac Ewangielicki, ulica Mazowiecka, Erywańska, plac Zielony i Saski, roił się od mnóstwa osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Drugi, niemniej liczny tłum, gromadził się przed pałacem Zamoyskich na Nowym Świecie i sięgał od ulicy Świętokrzyzkiej do Saskiego placu, przez który łączył się ze zbiegowiskiem przed gmachem Towarzystwa kredytowego. Usposobienie tłumu było po większej części wesołe, twarze uśmiechnięte, jak gdyby radowano się z tego co robiono. W zbiegowisku przeważały klasy rzemieślnicze i wyrobni-

cze, wśród których rozlegały się głośne, rubaszne śmiechy i żarty, nieraz cuchnące zgnilizną zaułków przedmiejskich. Całość miała charakter motłochu, który, wypełznąwszy ze swych nor ponurych na jasność dzienną, okazywał w całej brzydocie swe prostackie instynkta. Wiele osób miało ze sobą kwiaty, gałęzie zielone, girlandy i wieńce [1]).

Drzwi wchodowe do gmachu Towarzystwa ustrojono tymi wieńcami, pozawieszano girlandy z kwiatów i zieleni, gdzie tylko można było. Na balkonie, mieszczącym się nad drzwiami, zjawiło się kilka dam, między któremi pierwsze miejsce zajmowała Rawiczowa, żona bankiera, oraz paru młodych ludzi, ze wzięcia się i ubrania należących do wyższych sfer towarzyskich i zakryli orła rosyjskiego, zawieszonego na tymże balkonie, naprzód obrazem Matki Boskiej, a potem czarną krepą, na której wyszyty był krzyż biały. Widok ten przyjęto wśród tłumu oklaskami i okrzykami i poczęto wołać: „orła białego! orła białego!“ Jakoż z balkonu spuszczono na sznurku wyciętego z papieru orła, chcąc go na herbie państwa zawiesić. Czy niezręcznie się do tego wzięto, czy źle przywiązano tę parodyą orła, dość, że spadł on na ziemię wśród ogólnego niezadowolenia. Między tłumem odzywały się głosy, że to zły znak dla kraju, że wszystko przepadnie, że czarny orzeł pochłonie białego. W tem komuś ze stojących na dole pod balkonem przyszła myśl, by spuszczono sznurek; jakoż tak uczyniono. Orzeł, przywiązany dobrze, wzniósł się znów w górę wśród powszechnej radości, krzyków, wiwatów i głosów: „górą Polska! niech żyje Polska! wiwat!“ wśród rzucania w powietrze kapeluszy i czapek, które potem przy oklaskach tłumów zręcznie chwytano na kije.

Gdy się to dzieje tutaj, gdy rozpasany motłoch głuszącymi krzykami napełnia pół miasta, w Zamku niepokój był wielki. Gorczakow po długiej niepewności i wahaniu

[1]) A. Giller (Aleksander hr. Wielopolski p. 59) oblicza tłum, zebrany przed gmachem Towarzystwa kredytowego, na sto tysięcy głów.

się, w obec potrzeby chwycenia się kroku stanowczego i wykonania planu od kilku dni powziętego, zdecydował się nakoniec na półśrodek. Kazał Paniutynowi, jenerał-gubernatorowi warszawskiemu, jechać na miejsce zbiegowiska i zobaczyć własnemi oczami, co się tam dzieje. Ponieważ jenerał ten cieszył się sympatyą Warszawian, był powszechnie lubiany, Gorczakow więc liczył na to, że może mu się uda namówić do rozejścia się spokojnego. Paniutyn nie bez obawy dosiadł konia i w towarzystwie jednego tylko kozaka puścił się w drogę. Przybywszy na miejsce, odpiął pałasz, oddał go kozakowi i począł wolno przeciskać się przez tłum. Na widok tak wysokiego dygnitarza, tłum utworzył szpaler, przez który przepuszczono Paniutyna, ale kozaka zatrzymano, mówiąc: „pan jenerał eskorty nie potrzebuje, bo my wszyscy pana jenerała kochamy, szanujemy jego wiek i nic mu się tu nie stanie“. Tu i owdzie rozlegały się głosy: „wiwat pan jenerał! wiwat!“ Kozak blady jak płótno i dygoczący ze strachu został więc wśród tłumu, z którego wysunęło się dwóch chłopców, wzięło konia za cugle i na pół nieprzytomnego jeźdźca wyprowadziło ze zbiegowiska i puściło swobodnie.

Tymczasem Paniutyn dostał się przed sam gmach Towarzystwa, przypatrzył się kwiatom, wieńcom i orłowi polskiemu. Widział on, że jego misya nie ma żadnych szans powodzenia. Żartobliwy, poufały ton, z jakim go przyjmowano, nie zapowiadał nic dobrego. Widocznem było, że władza i jej przedstawiciele nie wywierają już żadnego uroku, nie mają żadnej powagi, w obec tych mas, wyszłych ze wszelkich karbów społecznego ordynku, zuchwałych i gotowych szydzić ze wszystkiego. Mimo to stary, siwy jenerał postanowił spełnić dany mu rozkaz. „Co wy tu robicie moje dzieci?“ zapytał nakoniec głosem miękkim, słodkim, drżącym lekko — „czego chcecie?“ — „Chcemy przywrócenia Towarzystwa rolniczego“. — „A te wieńce co znaczą, zkąd je macie?“ — „A to nam, panie jenerale, wszystkie prowincye polskie, Litwa, Białoruś, Wołyń, Podole i Ukraina te kwiaty przysłały, jako pamiątkę na mo-

giłę, według zwyczaju ojców". — „A ten orzeł?" — „To orzeł polski, myśmy nim pokryli waszego". — „Wszystko to moje dzieci nazywa się nieporządkiem, począł mówić Paniutyn, przeciągając lekko, z wyraźnym akcentem obcym — proszę was, jako wasz przyjaciel, życzący wam jak najlepiej, rozejdźcie się do domów, gdyż w przeciwnym razie możecie mieć mnóstwo nieprzyjemności". Dobrze, dobrze, my się rozejdziemy, wiwat jenerał!" poczęto znów krzyczeć, rzucać czapki i kapelusze do góry.

W tejże chwili, gdy Paniutyn, skończywszy swą przemowę, zabierał się do odwrotu, od strony placu Wareckiego ukazał się na ulicy Mazowieckiej nowy tłum, na czele którego paru młodych ludzi niosło ogromny transparent, na którym był umieszczony duży wieniec mirtowy z drukowanym we środku napisem: „Towarzystwu rolniczemu". Transparent ten otaczały inne mniejsze i wszystkie skierowały się w ulicę Świętokrzyzką, a za nimi ruszył tłum, zrazu śpiewając „Pod Twoją obronę uciekamy się", a potem zagrzmiało potężne, wstrząsające: „Jeszcze Polska nie zginęła!" Z ulicy Świętokrzyzkiej skręcono na lewo i zatrzymano się przed pałacem Zamoyskiego, w którym on mieszkał, a gdzie już od godziny przeszło znaczny tłum się znajdował. Cała, dość w tem miejscu wązka ulica, była tak napełniona ludźmi, że głowy kołysały się jak fale; część tego tłumu z wieńcami i transparentami weszła do środka, na dziedziniec pałacu, i poczęła się głośno domagać, by „pan Andrzej" wyszedł do ludu. Zamoyski, jakkolwiek był w domu, nie chciał zadość uczynić temu wezwaniu; gdy jednak krzyki się wzmagały, wysłał na ganek sekretarza Towarzystwa rolniczego, Garbińskiego, ażeby wieniec odebrał i podziękował za niego ludowi. Ale tłum się tem nie zadowolnił; domagał on się koniecznie, by sam Zamoyski się pokazał. Z niechęcią widoczną, ze zmarszczoną brwią, wyszedł nakoniec na balkon, witany grzmiącym okrzykiem: wiwat! — a gdy się uciszono, Zamoyski przemówił kilka słów, zaklinając, by się rozchodzono i zachowano spokojnie, dziękował za wyrażone jemu i Towa-

rzystwu rolniczemu uczucia i miał zakończyć słowami: „mieliśmy już pięć ofiar, nasze Towarzystwo jest szóstą; nie róbmy więcej żadnej manifestacyi i czekajmy z nadzieją w Bogu!“ [1]). Wyrzekłszy to, Zamoyski skłonił się i odszedł. Teraz dopiero rozległy się znowu oklaski i krzyki: „wiwat Towarzystwo rolnicze! wiwat Zamoyski! niech żyje król polski, Andrzej Zamoyski!“ Ktoś wołał, żeby poprowadzić pana Andrzeja w tryumfie do biura Towarzystwa, ale na szczęście nie usłuchano tej propozycyi. Cały dziedzieniec, cały balkon i schody zarzucono kwiatami, wieńcami i zielenią.

Gdy się te osobliwsze i jedyne w swoim rodzaju sceny odbywały na Nowym Świecie, Paniutyn po wyprawie niefortunnej na ulicę Erywańską, powrócił do Zamku dla zdania sprawy namiestnikowi ze swej misyi. Tutaj w obec ożywionego niezmiernie na ulicach ruchu, w obec najrozmaitszych wieści, dochodzących z miasta, postanowiono

[1]) Słowa te cytuje Fryderyk hr. Skarbek w swych „Dziejach Polski“ (III, 206). Czy one są autentyczne, trudno wiedzieć. Wszystkie źródła, jakie mamy pod ręką, różnią się ze sobą pod tym względem. Rękopism „Mieszkańca Warszawy“ wkłada w usta Zamoyskiego takie wyrazy: „na miłość Boską, panowie, zaprzestańcie tych zbiegowisk: one nietylko w niczem nie pomogą naszej sprawie, ale owszem mogą jej tylko zaszkodzić. Takiem postępowaniem nie oswobodzimy ojczyzny. Europa admiruje naszą postawę, jaką od niejakiego czasu przybraliśmy. Umiejmyż to szanować i nie psujmy sami dobrej o nas opinii. Dziękuję, serdecznie dziękuję za współczucie, jakie okazujecie Towarzystwu rolniczemu, i za pochlebną o mnie pamięć: ale jeszcze raz proszę was, panowie, rozejdźcie się spokojnie i zachowajcie się na przyszłość tak, jak winni zachowywać się ci, którzy troszczą się o oswobodzenie wspólnej naszej ojczyzny“. Według innych, współczesnych źródeł, Zamoyski miał powiedzieć: „Dziękuję wam, mili bracia, za współczucie dla mego smutku. Cieszy nas to, żeśmy zasłużyli na waszą przychylność. Niczem waszych trosków ukoić nie mogę, pozostawiając przyszłości chwałę dla nas (?!) i zacnego narodu. Miejcie nadzieję w Bogu, zachowajcie się spokojnie. Dziękuję, dziękuję, dziękuję!“ Według Gillera (Aleksander Wielopolski p. 60) Zamoyski przemawiał tylko do deputacyi, wysłanej doń z pośród ludu, wewnątrz mieszkania, z balkonu zaś jedynie podziękował zbiegowisku „za zaszczyt sobie wyrządzony“.

nakoniec wystąpić ze siłą zbrojną. Ponieważ komenda nad okręgiem wojennym, w którego obrębie leżał Zamek, należała do jenerała Chrulewa, namiestnik rozkazał mu wystąpić z wojskiem na plac Zygmuntowski. Chrulew wziął dwie kompanie pułku Kostromskiego, pełniące w ów dzień służbę w Zamku i ustawił je rozwiniętym frontem, tak, że lewe ich skrzydło opierało się o kościół Bernardynów, a prawe o trzecią bramę zamkową na rogu ulicy Świętojańskiej. Na ten widok ludność, przechadzająca się dotąd gromadnie, ale nie tworząca zbiegowiska, poczęła się skupiać, zwłaszcza na ulicy Senatorskiej. W obec tego Chrulew wyprowadził z Zamku jeszcze jedną kompanią i kazał jej oczyścić ulicę rzeczoną. Usiłowania wojska były jednak próżnemi. Lud ustępował na chodniki na chwilę, by zaraz potem znowu zająć środek ulicy. Kompania wróciła znużona, nie spełniwszy swego zadania.

W tym czasie właśnie przybył Paniutyn i zaraportował namiestnikowi o tem, co się dzieje przed gmachem Towarzystwa kredytowego, co mocno Gorczakowa rozgniewało, zwłaszcza historya z orłem białym oburzyła go silnie. W skutek tego rozkazał Chrulewowi iść na ulicę Erywańską, zbiegowisko rozpędzić i owego orła zdjąć. Chrulew wziął jedną kompanią piechoty i ruszył Krakowskiem Przedmieściem, poprzedzany przez kozaków, zwanych Czerkiesami i żandarmów. Jazda posuwała się długim frontem, zajmującym całą szerokość ulicy, za nią z doboszem, bębniącym głośno, i Chrulewem na czele, postępowała piechota. Lud, jak wszędzie, usuwał się na chodniki i przepuszczał wojsko, witając je gwizdaniem, świstem, śmiechem i szyderstwami. Na wązkiem Krakowskiem Przedmieściu oczom tłumów przedstawiło się osobliwsze i możliwe tylko w tych czasach powszechnego rozpasania motłochu, widowisko. Za wojskiem, środkiem pustej ulicy, biegł jakiś garbus obdarty, typ ostatniego urwisa i hultaja, podskakując jak najpocieszniej w takt muzyki, wykrzywiając się szkaradnie, robiąc bezecne miny i szydząc wyraźnie z wojska, które przed nim postępowało. Wszystkie jego koncepta,

tłum przyjmował grzmiącym śmiechem, oklaskami i okrzykami: brawo! brawo!

Chrulew przeszedł Krakowskie Przedmieście, plac Saski, ulicę Mazowiecką i znalazł się w końcu przed Towarzystwem Kredytowem, ale tu, okrom pojedynczych i spokojnych gromadek, nie zastał już manifestatorów. Orła białego także nie było. Dowiedziawszy się nakoniec od snujących się ludzi, że tłum ruszył przez ulicę Mazowiecką i Świętokrzyzką do pałacu Zamoyskiego, Chrulew pociągnął tam, ale i tutaj także już nikogo nie zastał. Wszystko bowiem teraz dążyło ku Zamkowi, gdzie przed wojskiem, stojącem tam nieruchomie, poczęły się gromadzić coraz większe masy ludności. Większość oczywiście nie wiedziała wcale, po co tu przyszła; pomiędzy motłochem spostrzegano teraz mnóstwo osób widocznie należących do wyższych sfer towarzyskich, widać było nawet kobiety strojnie przybrane. Ciągnąc od pałacu Zamoyskiego, tłum przechodził koło t. z. koszar kadeckich, gdzie mieszkał Wielopolski, i chciano się tu zatrzymać, by sprawić mu kocią muzykę. Znaleźli się przecież rozumniejsi, którzy poczęli wołać: „jeszcze nie znamy margrabiego, poczekajmy co zrobi“, i ruszono dalej. W pałacu Namiestnikowskim spostrzeżono na dziedzieńcu stojącą w szyku bojowym kompanią piechoty. Powitano ją krzykami, obelgami i gwizdaniem. Koło statuy Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu część się zatrzymała i zaśpiewała „Bożę coś Polskę“, część poszła przed mieszkanie konsula angielskiego, który wszelako nie uczynił zadość domaganiom się ludu i na balkonie się nie ukazał; część wreszcie puściła się dalej ku Zamkowi, gdzie miały się zaraz potem rozegrać ostatnie sceny tego dramatu całodziennego.

Zbiegowisko na placu przed Zamkiem przybierało ogromne rozmiary i z każdą chwilą się zwiększało. Naprożno żandarmi chcieli odepchnąć tłum, który kołysał się, falował, cofał trochę, ale ostatecznie pozycyi swej nie opuszczał. Z tyłu zbiegowiska, na Krakowskiem Przedmieściu, w pobliżu domu Malcza i stojącej tam figury Matki

Boskiej, młodzież i niemłodzież utworzyła łańcuch, żeby nikogo nie przepuszczać i żeby nikt nie mógł uciec. Wśród tłumów rozlegały się głosy: „nie uciekać! mamy ginąć, to gińmy wszyscy jako niewinni i bezbronni“. Tymczasem Chrulew wrócił ze swej wyprawy bezpłodnej na ulicę Erywańską i objął znowu komendę nad wojskiem, stojącem przed Zamkiem. Książę Gorczakow, który przyrzekł był, w dniach Lutowych, delegatom miasta, że przy pierwszem zbiegowisku sam wyjdzie na ulicę, postanowił teraz zamiaru swego dokonać. Siadł więc na konia, ubrany w płaszcz wojskowy, ze szpicrutą w ręku i w towarzystwie jenerała Kotzebue, oberpolicmajstra Rozwadowskiego i jenerał-gubernatora Paniutyna, otoczony kilku czerkiesami, wyjechał na plac od strony Zjazdu. Jego postać wysoka, chuda, szczupła, w okularach na oczach, jego szyja długa, głowa naprzód pochylona nie budziła sympatyi, nie miała w sobie nic wojskowego. Siedział na koniu źle, niecierpliwie ściągał cugle, szpicrutą zabawnie poruszał lub wąsy szczecinowate gładził i całem swem zjawiskiem robił wrażenie wysoce komiczne. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze znacznie, gdy głosem silnym, któremu usiłował nadać ton surowy, począł wołać po polsku, przeciągając szkaradnie, z wyraźnym obcym akcentem: „rozchodźcie się! rozchodźcie! idźcie spać! Do domu! do domu!“ powtarzał uparcie, nerwowo poruszając szpicrutą, kręcąc się na koniu zabawnie i wyciągając swą szyję, jak żóraw. W tłumie rozległy się śmiechy i głosy: „niech książę idzie do domu, my jesteśmy w domu!“ Inni wołali: „spaliśmy przez trzydzieści lat, teraz się obudziliśmy!“ Zaraz też posypały się brutalne dowcipy uliczne rozkiełznanego motłochu: „wy rozchodźcie się kapuśniaki! idź stary do domu, bo zimno, kataru dostaniesz!“ Każden z takich dowcipów witany był śmiechem powszechnym i oznakami uznania. „Czego chcecie?“ pytał Gorczakow. „Wolności, konstytucyi, towarzystwa rolniczego, delegacyi“, odzywały się w różnych miejscach tłumu pojedyncze głosy. „Każę strzelać!“ zawołał nakoniec Gorczakow. „Strzelajcie do bezbronnych,

jeżeli chcecie, polegniemy chętnie jako ofiary za ojczyznę". Byli i tacy, którzy wysuwali się naprzód, rozrywali na piersiach ubranie i wołali: „strzelajcie, mordujcie, jesteśmy gotowi!" Grzmiały dokoła śmiechy, przeciągłe gwizdanie, wrzawa wreszcie niezdecydowana, świadcząca, że przedstawiciel władzy najwyższej w kraju nie ma żadnej powagi, owszem tę powagę całkiem niepotrzebnie na szwank naraził. Do zmięszanego trochę Gorczakowa zbliżył się ks. Wyszyński i Szlenkier i chcieli mu coś przedłożyć, ale on ich słuchać nawet nie chciał.

Nie było tu co robić i Gorczakow cofnął się za szeregi wojska. Zdawałoby się, że już teraz nic innego nie pozostawało do czynienia, jak rozpędzenie zbiegowiska siłą. Dobre jednak serce namiestnika nie mogło się na ten krok zdecydować; co chwila przed jego oczami podnosiło się ponure widmo krwi przed kilku tygodniami rozlanej. Widocznie wahając się, rozkazał wreszcie Kotzebuemu i innym otaczającym go jenerałom, ażeby jeszcze raz starali się namówić lud do rozejścia. Kotzebue pojechał. Ale wszelkie jego usiłowania, przemowy, zaklęcia okazały się bezowocnemi. Śmiano się, szydzono, wymyślano, nazywano ich „kapuśniakami", a od czasu do czasu ktoś wołał żartobliwie: „niech żyje jenerał!", co tłum przyjmował śmiechem i oklaskami. W obec tego jenerałowie cofnęli się, a Gorczakow zsiadł z konia, poszedł do siebie milczący i tu stanąwszy w oknie, przypatrywał się przez binokle całemu widowisku.

Widowisko to tymczasem przybierało charakter nieznośny, nie do wytrzymania. Wielu młodych ludzi, stojąc przed wojskiem w odległości paru zaledwie kroków, odzywali się do oficerów: „powiedzcie panowie, z łaski swej, czego wy tu stoicie? — „Zdaje się, że myśmy się was powinni o to zapytać — odpowiadali oficerowie, my byśmy tu nie stali, gdybyście nie byli wyprawiali Bóg wie jakich historyi przed Towarzystwem kredytowem". — „Ustąpcie, to i my ustąpimy". — „Nie możemy", mówili na to oficerowie. — „No, to i my nie możemy". Niektórzy znowu

częstowali żołnierzy papierosami, a gdy ci odmawiali, twierdząc, że nie wolno im palić w szeregu, zwracano się do oficerów ze słowami: „panie jenerale lub kapitanie, pozwól pan biednemu *sołdatowi* zapalić papierosa“. Na twarzach żołnierzy znać było widoczne wzburzenie, i w głębi ich szeregów podnosił się głuchy szmer, źle wróżący w razie, jeżeli temu wojsku władza dozwoli działać orężem. Wśród tłumów uwijali się niektórzy delegaci dawniejsi, jak Szlenkier, dr Chałubiński, ks. Stecki i Karol Ruprecht, i zaklinali na wszystkie świętości, by się rozchodzono. Próżne usiłowania! Większość zebranych składała się z czeladzi rzemieślniczej, z robotników, z motłochu nakoniec, który nie znał wcale delegatów, nie wiedział nic o nich, który wreszcie żadnemi prośbami wzruszyć się nie dał, gdyż to, co się robiło na placu, było dlań zabawką, wyborną zabawką, uciechą, jakiej drugi raz w życiu żaden z nich doznać nie może. Szydzić z wojska, obrzucać wymysłami i konceptami ulicznymi władzę, wielkich tego świata, na których dotąd patrzano zdaleka i przed którymi drżano — czyż może być coś zabawniejszego? Na prośby delegatów odpowiadano śmiechem, żartami i krzykami. Słowo ojczyzna dla tych ludzi nie istniało; żadna myśl, żadne zaklęcie oddziałać na nich nie mogło. Napróżno delegaci wysilali się; tłum stał nieruchomy i podawnemu obrzucał obelgami wojsko.

W Zamku tymczasem, koło Gorczakowa, siedzącego nieruchomie pod oknem i przypatrującego się całemu temu widowisku, w świcie otaczających go jenerałów oburzenie na to, co się działo, wzrastało z każdą chwilą. Zrazu lękliwie, szeptem, potem coraz głośniej i coraz natarczywiej nalegano na starego namiestnika, żeby rozkazał Chrulewowi rozpędzić zbiegowisko siłą, a gdyby ta nie pomogła, to kulami. Gorczakow jak zwykle wahał się długo, bił z myślami, mruczał coś pod nosem, wreszcie wysłał adjutanta swego Meyendorfa z rozkazem do Chrulewa, żeby użył siły, a w razie konieczności rozpoczął ogień do tłumu. Chrulew miał na to odrzec Meyendorfowi: „ja i bez tego dam so-

bie radę“ (ja i tak sprawlius) i ruszył konno w środek zbiegowiska i rozpoczął pertraktacye, domagając się usilnie, by się rozchodzono. Na to odpowiedziano mu: „nie ustąpimy, aż wojsko ustąpi“. — „Dobrze, odrzekł Chrulew, ja się cofnę o dziesięć kroków, zróbcież i wy to samo“. Jakoż zakomenderował na wojsko i cofnął się wstecz. Lud, zwłaszcza pierwsze jego rzędy, chciały to samo uczynić, ale w obec nacisku z tyłu zbitej masy, która zapewne nie wiedziała o umowie, a choćby nawet wiedziała, to wykonać jej nie chciała, stało się to niemożebnem. Owszem, na widok cofającego się wojska rozległy się w tłumie nowe śmiechy i oklaski. Chrulew kazał żołnierzom zająć poprzednie stanowisko.

Na szczęście poczęło się robić ciemno. W chwili, gdy wojska wracały na pierwotną swoją pozycyą, z tłumu wysunęło się kilkunastu młodych ludzi w konfederatkach na głowach, zbliżyło się do Chrulewa i salutując go po wojskowemu, poczęło prosić o zupełne ustąpienie wojska i dawali słowo honoru, że lud się wtedy spokojnie rozejdzie. Chrulew wysłuchał tego i korzystając zapewne z ciemności, powoli, częściowo, wycofywał wojsko do Zamku. Tłum także się rozchodził, gęsta jego dotąd masa stawała się coraz luźniejszą. Wreszcie na placu pozostały tylko pojedyncze gromadki młodzieży i chłopaków rzemieślniczych, którzy krzyczeli, że póty nie ustąpią, póki kozacy, stojący jeszcze ciągle, nie zostaną odwołani. Gdy nakoniec nawet kozaków cofnięto, reszta zbiegowiska poczęła się rozchodzić po ulicach, krzycząc: „wiwat książę, że naszych dzieci usłuchał! wygrana! wygrana!“ Młodzież w konfederatkach amarantowych, niebieskich i białych z piórkami żałobnemi, wziąwszy się pod ręce, parami przeszła przez Krakowskie Przedmieście, Saski plac, wołając: „wygrana! wygrana!“ i weszła do ogrodu Saskiego, gdzie przeparadowała po alei głównej tam i z powrotem, kilka razy. Na mieście do późnej nocy był ruch ogromny, krzyki, śpiewy; zrzucano przechodniom z głowy kapelusze cylindrowe, tak, że od tej chwili przestano je nosić w Warszawie.

Tak się skończyła wielka manifestacya w d. 7 Kwietnia. Nikt nie wątpił, że jest ona dopiero wstępem do tragedyi, której najgłówniejsze akta miały się nazajutrz rozegrać. Jakoż przez całą noc po szynkach, piwiarniach i garkuchniach, tłoczyły się tłumy motłochu, a wśród nich uwijali się agitatorowie, zachęcając, by się znowu zebrano nazajutrz po południu przed Zamkiem. „Nie trzeba dawać pokoju Moskalom, mówiono — strzelać nie będą, bo im Napoleon tego zakazał. Wszak dziś nie strzelano, wszak Zabołockij oddany został pod sąd za to, że ośmielił się dać ognia. Wreszcie jeżeli będą strzelali, to ślepymi ładunkami, a gdyby nawet kto wypadkiem poległ, to miłą będzie taka śmierć za ojczyznę, i pochowany zostanie tak samo uroczyście, jak pochowano pięć ofiar“. Takiemi to słowami, takiemi nierozumnemi mowami zachęcano tłum do nowej manifestacyi, która niestety! nie tak się miała skończyć, jak dzisiejsza, która z komedyi ulicznej miała się zmienić w krwawą tragedyą. Szynki przez całą noc były otwarte; w mieście panował wyraźny nieład i nieporządek. Tysiące wieści obiegało o wypadkach 7 Kwietnia. Zdarzyło się, że tego dnia podpułkownik sztabu jeneralnego, Jan Peicker, Kurlandczyk rodem, zastrzelił się, dręczony melancholią, w jednym z pokoi zamkowych. Stało się to o godzinie 11-tej i pół rano, to jest w chwili, gdy na placu Zygmuntowskim jeszcze żadnego zbiegowiska nie było. Wieść o tej śmierci przedostała się do publiczności, a uderzając wyobraźnią swą niezwyczajnością, kazała szukać jej źródła w wypadkach dnia. Opowiadano więc sobie, że kiedy przed Zamkiem tłum się zebrał, namiestnik rozkazał Peickerowi rozpędzić go strzałami. Honor wojskowy jednak, mówiono, nie pozwolił dzielnemu Kurlandczykowi zabijać bezbronnych; nie spełnił więc rozkazu, za co zagrożony sądem i nazwany tchórzem, oddaliwszy się do odosobnionego pokoju, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Przykry ten wypadek tak dalece miał oddziałać na namiestnika, że nie wiedząc co robić, nie ufając już nikomu, kazał wojskom cofnąć się z placu.

Wszystko to oczywiście było plotką, choćby dla tego, że kiedy przed Zamkiem odbywała się manifestacya, Peicker od kilku godzin już nie żył [1]). Mimo to w związek jego śmierci z wypadkami dnia tak silnie wierzono, że pewna dama, której nazwiska nie znamy, kazała wybić medal na jego cześć i na pamiątkę jego mniemanego czynu [2]). Wszystkie te wieści, ten ruch niezwykły w mieście, te przygotowania do ponownej manifestacyi napełniały serca ludzi rozumnych bólem głębokim i trwogą. Napróżno tu i owdzie usiłowano zapobiedz zamiarom agitatorów; napróżno ostrzegano, że w znacznej części te namowy pochodzą od ajentów rządowych, do czego zresztą usprawiedliwione miano powody; wierzono temu i niewierzono, a nadewszystko nie chciano odstąpić od pierwotnych swoich zamiarów.

Podczas gdy się to w mieście działo, gdy wszystkie umysły wrzały, gdy do późnej nocy po różnych ulicach rozlegały się ochrypłe, pijackie krzyki: „wygrana! wygrana!“, w Zamku także nie spano i przygotowano się do strasznego jutrzejszego dnia. Wśród zebranych koło namiestnika jenerałów panowało oburzenie; wszyscy czuli, że honor wojskowy został obrażony i upokorzony. Stronnictwo Kotzebuego i tych, którzy od początku ruchu domagali się surowego stłumienia manifestacyi, rządów militarnych, podnieśli teraz głowę i żądali od namiestnika, by pomścił się dzisiejszej zniewagi, by zadość uczynił obrażonemu honorowi wojskowemu. Rozdrażniony, rozgorączkowany namiestnik przedewszystkiem surowe dał napomnienie (wygowor) Chrulewowi, że nie wykonał rozkazu, przy-

[1]) Akt zejścia Peickera, spisany w parafii luterskiej w Warszawie, pod № 133, wyraźnie powiada, że umarł o godz. $11^1/_2$ w południe. Był to młody człowiek, lat 36 liczący, bezżenny. Pochowany na cmentarzu luterskim, gdzie ma pomnik i wielki głaz polny z odpowiednim napisem.

[2]) Medal ten ma napis z jednej strony: „za cnotliwy czyn“, z drugiej: „Jan Peyker podpułk. wojsk ross. d. 7 Kwietnia 1861, w 32 ro. życia w Warszawie“. Prócz tego mieści się na nim zwykłe tej doby godło, wieniec cierniowy, krzyż złamany i palma.

słanego mu przez Meyendorfa, że nie rozpędził siłą zbiegowiska. Chrulew miał się tłomaczyć instrukcyami specyalnemi, jakie niby otrzymał w Petersburgu, jadąc do Warszawy; sądził, że powinnością jego było wyczerpać wszelkie środki, nimby się miał uciec do broni; że ostatecznie zrobił swoje, bo tłum się rozszedł. Bądź co bądź należało się na dzień jutrzejszy przygotować; należało zmyć krwią polską plamę na honorze wojskowym Moskali [1]). Nacisk

[1]) Są ślady bardzo poważne, wskazujące, że ajenci rządowi namawiali lud do zebrania się nazajutrz przed Zamkiem; że po szynkach poili rzemieślników. Wielu przypuszcza, że stało się to za inicyatywą tej partyi, która chciała przywrócenia rządów militarnych, która głośno owej nocy w Zamku wołała o obrażonym honorze, i która lękając się, że manifestacya nazajutrz może nie przyjść do skutku, postanowiła ją sama wywołać. To, co tu mówimy, jest tylko przypuszczeniem, opartem na niejasnych, niepewnych danych. Na wielu faktach strasznego d. 8 Kwietnia dotąd leży tajemnica. Kiedyś może, gdy akta kancelaryi namiestnika w Warszawie zostaną opublikowane, tajemnice niektóre odsłonią się, ale wątpliwem jest bardzo, czy kiedykolwiek wyjdzie na jaw podziemne i wysoce nieuczciwe działanie niektórych jenerałów rosyjskich, chcących, by manifestacya d. 8 Kwietnia koniecznie przyszła do skutku. Takie działanie pozostawia tylko nikłe, niepewne ślady. Giller w życiorysie Wielopolskiego wprost powiada (str. 61), że „Gorczakow zatelegrafował o tem zajściu (t. j. o zbiegowisku na placu Zamkowym) do Petersburga i odebrał od cara telegraficzną odpowiedź, ażeby siłą złamał opór. Wskutek carskiego rozkazu wywołano nazajutrz rozmyślnie starcie pod kolumną Zygmunta, na tymże samym placu Zamkowym“. Twierdzenie to znajduje do pewnego stopnia poparcie w zbiorze depesz, jakie wydrukowała „Russkaja Starina“. Pod datą 8 Kwietnia (27 Marca v. s.) Gorczakow pisze do cesarza: „wczoraj była wielka manifestacya z powodu rozwiązania Towarzystwa rolniczego. Wyprowadziłem wojska. Tłum długo stał na ulicach i rozszedł się. Sprawa obeszła się bez rozlewu krwi. Szczegóły wyszlę jutro wieczorem przez kuryera. Ks. Gorczakow“. I to wszystko. Na depeszę tę niema żadnej odpowiedzi z Petersburga. Można więc przypuszczać, że odpowiedź, o której Giller wspomina, w rzeczy samej była, ale jej ton jest tak ostry i tak kompromitujący rząd rosyjski, że wydawcy nie ośmielili się jej pomieścić w opublikowanym zbiorze. Korespondent niemieckiej „National Ztng“, którym był jeden z rabinów żydowskich w Warszawie i pomieszczający opisy wy-

był wielki i silny na starego namiestnika; Chrulew głośno domagał się, by mu daną została dokładna instrukcya, kiedy właściwie ma działać bronią. Pod tym względem trzeba było istotnie coś postanowić i, jak się zdaje, tejże nocy jeszcze wezwano do Zamku Wielopolskiego, z którym Gorczakow chciał przedyskutować wzmiankowaną instrukcyą, a raczej nowe prawo o zbiegowiskach [1]). Jakoż w nocy tej, w której podobnie, jak w mitach greckich, gdzieś w ciem-

padków w fejletonie rzeczonej gazety, które potem wydał w osobnej książce, p. t. „Die Vorläufer des polnischen Aufstandes“ (Leipzig 1864), jeden zatem ze świadków naocznych, świadków bardzo bystrych i przenikliwych, powiada na str. 108 w tej kwestyi co następuje: „śledztwo sądowe w sprawie przeciw osobom, schwytanym w tem starciu i inne fakta, o ile doszły do wiadomości ogólnej, wykazują, że większość zgromadzonych przed Zamkiem ludzi nie miała żadnego wyobrażenia o celu swego zebrania się przed rezydencyą namiestnika, że byli oni przez osobistości nieznane w ciągu dnia karmieni i pojeni, i że ich w stanie na pół nieprzytomnym na plac Zamkowy przyprowadzono i tu pozostawiono. Każdy widział w tem agitującą rękę policyi i żandarmeryi tajnej, gdyż fanatyzm patryotyczny Polaków nie potrzebował jeszcze w onych czasach takich sztuczek. Bądź co bądź na wypadkach krwawych d. 8 Kwietnia, jak również na liczbie poległych ofiar leży zasłona, która zapewne nigdy zerwaną nie będzie“. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że ci z pomiędzy agitatorów polskich, którzy przygotowywali na d. 8 Kwietnia manifestacyą, mieli zupełnie inne cele przed sobą i o wystąpieniu tłumnem przed Zamkiem nie myśleli wcale. Odsyłamy w tym względzie czytelnika do tekstu.

[1]) Mówimy „zdaje się“, gdyż co do tego nie posiadamy żadnych danych. Berg utrzymuje, że prawo o zbiegowiskach powstało z inicyatywy Chrulewa i bez współudziału Wielopolskiego, w czem się oczywiście myli, gdyż takiego prawa, które wyrokowanie o przestępstwach politycznych wyrywało z rąk tajnych sądów wojennych a oddawało sądom cywilnym, nie napisałby w Polsce żaden Rosyanin, żaden jenerał rosyjski. Zresztą co do tego niema żadnej wątpliwości. Wszystkie źródła jednozgodnie mówią, że właściwym i jedynym autorem tych przepisów jest Wielopolski, co wyraźnie widać z całej ich redakcyi. Niemniej powszechnem jest u piszących o tej epoce twierdzenie, że przepisy te powstały w nocy z 7 na 8 Kwietnia, nie wcześniej i nie później. Musiał zatem Zamek komunikować się tej nocy z Wielopolskim.

nościach kuto pioruny, mające w dzień jasny spaść na głowę zbuntowanych nie Tytanów, ale ludu warszawskiego, powstało owe sławne prawo o zbiegowiskach, będące dowodem wysokiego rozumu i głębokiego poczucia polskiego w Wielopolskim. Jak wiadomo, dotąd wszelkiego rodzaju przestępstwa polityczne sądziły u nas sądy wojskowe, według swych przepisów specyalnych, nikomu w kraju nieznanych, bo nigdy nieogłoszonych. Było to jedno z tych nadużyć, wołających o pomstę do nieba, jakich się rząd rosyjski u nas dopuszczał. Wielopolski, prawnik z powołania, mający to głębokie i cywilizowane poczucie, że w każdem państwie jasne i wyraźne prawo powinno być wszystkiem, a nie samowola lub widzimisię ludzi, przez ustawę o zbiegowiskach kładł temu koniec, zasłaniał mieszkańców przed pochopnością na pół dzikiego żołnierstwa.

Według nowego prawa, gdy nastąpi zbiegowisko, „lub jakiebądź nieupoważnione zebranie na ulicy lub drodze publicznej“, prezydent, burmistrz, wójt gminy lub ich zastępcy, komisarz policyi lub inny urzędnik uda się na miejsce zbiegowiska i przy odgłosie uderzeń w bęben wezwie zgromadzone osoby, ażeby się rozeszły. Gdyby wezwanie to nie odniosło skutku, powtórzy je jeszcze dwa razy, rozkazując przed każdem wezwaniem uderzyć w bęben. „Po ostatniem wezwaniu, gdyby zbiegowisko dalej trwało, użyta będzie siła zbrojna“. Było to wyraźne i jasne. Użycie siły nie zależało teraz od widzimisię Chrulewa lub od wahania się namiestnika; każden wiedział, co ma czynić.

W dalszym ciągu nowe prawo na nieposłusznych naznaczało kary. Kto pomimo wezwania nie ustąpi, będzie niezwłocznie zatrzymany i do jednej z fortec w Królestwie odesłany, celem oddania go pod zawyrokowanie sądu właściwego. Przebijał się w tem szczery, polski patryota, że wbrew sądom wojennym, które skazywały przestępców politycznych na Sybir, nowe prawo za nieposłuszeństwo pierwszemu wezwaniu groziło zamknięciem w areszcie od dni ośmiu do dwudziestu; za nieposłuszeństwo drugiemu wez-

waniu zamknięciem w domu poprawy od trzech do sześciu miesięcy; trzeciemu zaś od sześciu miesięcy do lat dwóch. Za opór sile zbrojnej karać miało więzieniem w jednej z fortec Królestwa od lat trzech do pięciu; tym, którzyby namawiali do nieposłuszeństwa lub oporu, groziła w dwójnasób większa kara. Wszelkie pobudzanie do zebrania się, czy to ustne, czy przez pisma lub druki przylepione albo rozdawane, ukarane będzie zamknięciem w domu poprawy od miesięcy sześciu do lat dwóch. Tej samej karze ulegnie autor pisma, litografii, druku. Roznoszący lub rozlepiający podpadnie karze od dni ośmiu do dwudziestu aresztu. Gdyby przy zbiegowisku inne przestępstwa były spełnione, to oddzielnie, w drodze prawa będą dochodzone. W czasie często ponawiających się zbiegowisk lub zaburzeń w miejscu jakiem podżegacze takowych będą ujęci dla osadzenia w jednej z fortec Królestwa, celem poszukiwania na właściwej drodze prawa.

Taką była ta nowa ustawa o zbiegowiskach, którą oprócz namiestnika podpisał Wołowski, jako dyrektor Komisyi sprawiedliwości i Karnicki, jako sekretarz stanu. Była ona istotnem dobrodziejstwem dla kraju, wyrywała z rąk samowoli żołnierskiej los przestępców i poddawała ich pod juryzdykcyą sądów krajowych, zapowiadała erę rządów prawa, erę od trzydziestu lat nieznaną w Polsce. Z drugiej strony, grożąc karami stosunkowo dość lekkiemi, nadewszystko usuwając straszne zawsze dla Polaka widmo Sybiru i tajnych sądów wojskowych, ośmielała do zaburzeń. Dla motłochu, dla mnóstwa próżniaków, włóczących się po bruku wielkiego miasta, nie wiedzących, co jutro będą jedli i gdzie głowę złożą, groźba zamknięcia w fortecy na czas dłuższy lub krótszy była niczem, była owszem zapewnieniem im egzystencyi spokojnej i pewnej. Jakkolwiek ludzkość i patryotyzm dyktowały Wielopolskiemu artykuły nowego prawa, wszelako kary w niem zapowiedziane były jego słabą stroną, wielu rozzuchwalały. Chcąc dobry z niego mieć skutek, należało te kary obostrzyć. Byłoby to zapewne przeciwne ideałom humanitarnym, ale czasy były

wyjątkowe i wyjątkowe też do nich stosować należało środki; zwłaszcza, że szło tu o kraj, o przyszość jego całą. W obec takiego zadania i takiego celu, wszelkie inne względy mają i powinny mieć znaczenie drugorzędne.

Prawo to w Zamku nie przeszło bez żwawej dyskusyi i pewnego oporu ze strony jenerałów, którzy czuli to dobrze, że pomimo wszystkiego nowa ustawa o zbiegowiskach ujmuje ich władzę w silne karby i nie dopuszcza żadnej samowoli. Chrulew domagał się, ażeby w artykule drugim, zakończonym słowami: „po ostatniem wezwaniu, gdyby zbiegowisko dłużej trwało, użyta będzie siła zbrojna“, w miejsce tego ostatniego wyrażenia napisano: „siła zbrojna będzie strzelała“. Ale oparto się temu, mówiąc i słusznie, że wyrażenie „użycie siły zbrojnej“ zawiera w sobie wszelkie ewentualne jej zastosowanie, że może się zdarzyć, iż prosty nacisk kawaleryi lub białej broni wystarczy do rozproszenia zbiegowiska; pocóż w takim razie strzelać i zabijać niepotrzebnie ludzi? Pierwotne więc wyrażenie zostało [1]). Prócz tego zredagowano krótkie wezwanie do narodu, które natychmiast wraz z ustawą o zbiegowiskach kazano wydrukować. Chrulew tejże nocy jeszcze zawołał do siebie adjunkta policyjnego, niejakiego Ojrzyńskiego, Polaka, pełniącego od lat 30 służbę w Zamku [2]) i, wręczywszy mu wydrukowane na wązkim pasku papieru to wezwanie, dał instrukcyą, jak się ma nazajutrz zachowywać, jeżeli nastąpi zbiegowisko, jak i kiedy wyjść z Zamku,

[1]) Berg powiada, że Chrulew później nieco, mianowicie d. 11 Lipca 1861, wręczył nowemu namiestnikowi Suchozanetowi podanie, domagające się jeszcze raz tej zmiany. Suchozanet wszelako także się na to nie zgodził.

[2]) Ojrzyński żył jeszcze w r. 1890. Autorowi tej pracy pokazywano w tym czasie tego staruszka, zgarbionego mocno, o fizyognomii marsowej. Pełnił on wciąż swą służbę. Bez jego wiedzy nikt nie mógł wejść do Zamku. W tym celu obok bramy od strony Zjazdu miał on osobny pokoik, gdzie stale przez cały dzień siedział. Wypadki 8 Kwietnia takie na nim niezatarte wywarły wrażenie, że, jak powiada Berg, zapamiętał dosłownie wezwanie, o którem jest mowa w tekście.

w jakiej odległości stanąć od tłumu i kiedy odczytać mu wzmiankowane wezwanie. Tym sposobem przez całą noc zajmowano się w Zamku królewskim przygotowaniami do strasznego dnia jutrzejszego. Pewność, że nastąpi rozlew krwi obfity, była tak wielką i tak zupełną, że przysposabiano szarpie i w braku innego materyału cięto obrusy stołowe na bandaże.

Nastąpił nakoniec ten dzień, tak pamiętny w ostatnich dziejach naszych, dzień chmurny, chłodny, posępny. Rano upadł śnieg, a chociaż później stopniał, zimno jednak było przenikliwe. Miasto ożywione było niezwykle. Policya od wczesnej godziny biegała, rozpowszechniając nową ustawę o zbiegowiskach; wydrukowane o niej plakaty przylepiano na wszystkich rogach i widoczniejszych miejscach, rozdawano przechodniom. Nikt ich jednak nie czytał, a jeśli czytał, to nie zwracał uwagi. W miarę posuwania się dnia po ulicach błądziły coraz większe tłumy, mnóstwo kobiet w grubej żałobie. Większość oczywiście wychodziła na miasto przez ciekawość, przez chęć dowiedzenia się, co słychać nowego; włóczono się bez celu po ulicach, zgromadzano przy pierwszem lepszem zdarzeniu, ale ostatecznie żadne wielkie zbiegowisko się nie tworzyło, i miasto pomimo wszystkiego miało wygląd spokojny, choć ruchliwy, co wreszcie można było przypisać dniowi świątecznemu. Dopiero koło godziny 11-tej zebrał się przed figurą Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu nieco znaczniejszy tłum i, zaśpiewawszy kilka pieśni patryotycznych, rozszedł się w końcu spokojnie.

Jakiż właściwie na ten dzień był program agitatorów? czy istotnie chcieli oni wielkiej manifestacyi przed Zamkiem? Nie! w program dnia dzisiejszego wchodziło tylko uroczyste i publiczne zbratanie się z żydami, „podanie im ręki pokoju, braterstwa i przyjaźni“. Miało się to odbyć na cmentarzu Powązkowskim i na kierkucie żydowskim. Była to, rzecz prosta, manifestacya tak dobra, jak każda inna, ale w swej zasadzie nie miała charakteru antirządowego; miała się zresztą odbyć za miastem, zdala od

niego, wśród mogił i krzyżów. Że policya o tem była uwiadomiona, świadczy ta okoliczność, iż przed rogatkami, na drodze wiodącej na cmentarz ustawiono oddział piechoty. Agitatorzy ze swej strony dołożyli wszelkich starań, żeby tej manifestacyi nadać charakter uroczysty i głośny, żeby o niej całe miasto wiedziało, bo inaczej cel jej byłby chybiony. Wypadek, jak zwykle w takich razach bywa, posłużył im pod tym względem wybornie.

W tym bowiem czasie umarł w Warszawie niejaki Ksawery Stobnicki, obywatel ziemski, który niedawno wrócił z Syberyi. Była to osobistość całkiem nieznana, niczem niegłośna; mimo to jednak agitatorzy postanowili skorzystać z pogrzebu, naznaczonego na godzinę 3-cią po południu, wzywając do tłumnego odprowadzenia na cmentarz „męczennika za ojczyznę“. Po rogach ulic przylepiono zwykłe ogłoszenia o pogrzebie, przyczem dodano, że nieboszczyk był zesłany na Sybir i wrócił z niego za amnestyą. Jakoż o godz. 3-ej po południu, przed kościołem Reformatów na ulicy Senatorskiej zebrał się ogromny, kilkunastotysięczny tłum wszelkiego rodzaju próżniaków świątecznych. Przed orszakiem pogrzebowym postępowało kilkuset młodych ludzi, trzymających się za ręce, ustrojonych w konfederatki amarantowe, niebieskie i białe z piórkami, których w żargonie warszawskim nazywano „konfederatami“ [1]). Trumnę, obsypaną wieńcami, kwiatami i ozdobioną wstęgą trójkolorową, niesiono na rękach. Cały ten ogromny tłum ruszył na cmentarz Powązkowski, przeszedł spokojnie obok oddziału wojska przed rogatkami i, gdy nakoniec ciało oddano ziemi, odśpiewano niezbędne „Boże coś Polskę“ i ruszono gromadnie na kierkut żydowski dla mani-

[1]) Rękopism „Kronika wypadków warszawskich“ oblicza tych „konfederatów“ na tysiąc blizko głów, przyczem taką daje ich charakterystykę: „analizując według systemu Lavatera rysy twarzy tych bohaterów, nie można było powziąć dodatniego przekonania o ich inteligencyi“. Orszak pogrzebowy, według tegoż rękopismu, miał dosięgać 40.000.

festacyjnego podania żydom ręki „braterstwa i przyjaźni“.

Tam, dzięki staraniom agitatorów, było już znaczne zbiegowisko żydów pod pozorem oddania czci zmarłemu przed paru laty dyrektorowi szkoły rabinów, Eisenbaumowi, który już w owych czasach miał głosić jedność wszech plemion i przepowiadał żydom, że zlanie się ich z Polakami będzie przypieczętowane krwią. Proroctwo to, prawdziwe czy wymyślone, teraz zostało rozgłoszone umyślnie, a ztąd niby powstała konieczność uroczystego uczczenia grobowca proroka. Idących z Powązek chrześcijan powitały ogromne tłumy ruchliwego, krzykliwego, żądnego widowisk żydowstwa, a rabin Kramsztyk, stojąc na niewielkiem podwyższeniu, mając nad sobą zawieszony portret Eisenbauma, miał mowę, pełną oczywiście zwykłych w tej dobie frazesów patetycznych, o braterstwie dwóch ludów i o miłości ojczyzny. Wśród rozrzewnienia sztucznego rzucano się sobie w ramiona, całowano się, zaprzysięgano miłość braterską i gotowość do wszelkich ofiar. Odśpiewano jeszcze raz wspólnie „Boże coś Polskę“ i ruszono zbitą masą z powrotem do miasta, ku Zamkowi.

Tutaj tymczasem rozpoczynały się już pierwsze sceny dramatu, który się miał, niestety! tragicznie, krwawo zakończyć. Dzięki zabiegom agitatorów swojskich i nieswojskich, powoli, koło godziny $5^1/_2$, poczęły się tłumy gromadzić na placu Zamkowym, w większości swej nie wiedząc, po co i dla czego. Zrazu nie było więcej jak kilkaset osób, których część przechadzała się po Krakowskiem Przedmieściu i widocznie rozejść się miała ochotę. Widząc to Nowakowski, który się tu znalazł, zebrał gromadę takich jak sam straceńców u figury Matki Boskiej przed domem Malcza i uklęknąwszy, począł swym głosem grzmiącym śpiewać hymny patryotyczne. Koło niego skupiła się znaczna liczba ludzi, reszta jak dotąd snuła się po placu Zamkowym, gromadząc się wolno, gwarząc i śmiejąc się głośno. Od strony Zjazdu, a zwłaszcza od wylotu uliczki Marienstadt, skupiło się kilkudziesięciu żebraków, ciekawe

zbiegowisko kulawych i ślepych obdartusów, gdyż puszczona między nimi została, niewiadomo przez kogo, pogłoska, że rząd pieniądze zebrane na rannych d. 27 Lutego skonfiskował i że będzie je sam ks. Gorczakow ubogim rozdawał. Wśród dziadów kręciło się też mnóstwo kobiet w łachmanach, oczekując owego rozdawania pieniędzy. Agitatorzy więc obu stron nie przebierali w środkach, by zgromadzić jak najliczniejsze tłumy, mniejsza z kogo złożone, byle znaczne.

Była godzina szósta popołudniu, gdy wśród tych przechadzek, śpiewów przed Matką Boską, niecierpliwego oczekiwania dziadów na mannę złotą, zdarzył się nagle i niespodziewanie nowy wypadek, który miał wstrząsnąć do głębi nerwy i uczucia tłumów. Od poczty, która wówczas mieściła aię w obszernym gmachu na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, wysunęła się karetka pocztowa, tak zwana kuryerka, jadąca do Lublina. Zrównawszy się z rozmodlonem zgromadzeniem przed figurą, pocztylion, czy z własnego, czy z cudzego natchnienia, zagrał nagle na swej trąbce: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Gdy się te dźwięki donośne i przenikliwe rozległy po ulicy, wywołały wstrząśnienie ogólne, jakby dreszcz przeszedł po tłumie. Wśród krzyków, wśród uniesienia niezwykłego, wrzawy nieopisanej, wszystko rzuciło się za karetką, bijąc oklaski pocztylionowi, dziękując mu, obdarzając go przymiotnikami najpochlebniejszymi. Wśród takiego entuzyazmu powszechnego odprowadzono karetkę aż do Zjazdu, ale tu zatrzymano się, gdyż właśnie w tej chwili poczęły z Zamku występować wojska i zagradzać drogę [1]). Wojska te uszy-

[1]) Berg (str. 293) powiada, że wojska stały przed Zamkiem od rana, piechota we środku, jazda po skrzydłach. Wiadomość ta nie zgadza się ze wszystkiemi innemi relacyami, jakie posiadamy. Utrzymują one jednogłośnie, że wojska ukazały się w chwili, gdy karetka pocztowa z trąbiącym starego mazurka pocztylionem skręcała na Zjazd. Wysuwanie wojsk od samego rana, gdy nic jeszcze nadzwyczajnego na ulicach się nie działo, wyglądałoby na prowokacyą zbyt wyraźną, niczem nie byłoby usprawiedliwionem.

festacyjnego podania żydom ręki „braterstwa i przyjaźni“.

Tam, dzięki staraniom agitatorów, było już znaczne zbiegowisko żydów pod pozorem oddania czci zmarłemu przed paru laty dyrektorowi szkoły rabinów, Eisenbaumowi, który już w owych czasach miał głosić jedność wszech plemion i przepowiadał żydom, że zlanie się ich z Polakami będzie przypieczętowane krwią. Proroctwo to, prawdziwe czy wymyślone, teraz zostało rozgłoszone umyślnie, a ztąd niby powstała konieczność uroczystego uczczenia grobowca proroka. Idących z Powązek chrześcijan powitały ogromne tłumy ruchliwego, krzykliwego, żądnego widowisk żydowstwa, a rabin Kramsztyk, stojąc na niewielkiem podwyższeniu, mając nad sobą zawieszony portret Eisenbauma, miał mowę, pełną oczywiście zwykłych w tej dobie frazesów patetycznych, o braterstwie dwóch ludów i o miłości ojczyzny. Wśród rozrzewnienia sztucznego rzucano się sobie w ramiona, całowano się, zaprzysięgano miłość braterską i gotowość do wszelkich ofiar. Odśpiewano jeszcze raz wspólnie „Boże coś Polskę“ i ruszono zbitą masą z powrotem do miasta, ku Zamkowi.

Tutaj tymczasem rozpoczynały się już pierwsze sceny dramatu, który się miał, niestety! tragicznie, krwawo zakończyć. Dzięki zabiegom agitatorów swojskich i nieswojskich, powoli, koło godziny $5^1/_2$, poczęły się tłumy gromadzić na placu Zamkowym, w większości swej nie wiedząc, po co i dla czego. Zrazu nie było więcej jak kilkaset osób, których część przechadzała się po Krakowskiem Przedmieściu i widocznie rozejść się miała ochotę. Widząc to Nowakowski, który się tu znalazł, zebrał gromadę takich jak sam straceńców u figury Matki Boskiej przed domem Malcza i uklęknąwszy, począł swym głosem grzmiącym śpiewać hymny patryotyczne. Koło niego skupiła się znaczna liczba ludzi, reszta jak dotąd snuła się po placu Zamkowym, gromadząc się wolno, gwarząc i śmiejąc się głośno. Od strony Zjazdu, a zwłaszcza od wylotu uliczki Marienstadt, skupiło się kilkudziesięciu żebraków, ciekawe

zbiegowisko kulawych i ślepych obdartusów, gdyż puszczona między nimi została, niewiadomo przez kogo, pogłoska, że rząd pieniądze zebrane na rannych d. 27 Lutego skonfiskował i że będzie je sam ks. Gorczakow ubogim rozdawał. Wśród dziadów kręciło się też mnóstwo kobiet w łachmanach, oczekując owego rozdawania pieniędzy. Agitatorzy więc obu stron nie przebierali w środkach, by zgromadzić jak najliczniejsze tłumy, mniejsza z kogo złożone, byle znaczne.

Była godzina szósta popołudniu, gdy wśród tych przechadzek, śpiewów przed Matką Boską, niecierpliwego oczekiwania dziadów na mannę złotą, zdarzył się nagle i niespodziewanie nowy wypadek, który miał wstrząsnąć do głębi nerwy i uczucia tłumów. Od poczty, która wówczas mieściła aię w obszernym gmachu na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, wysunęła się karetka pocztowa, tak zwana kuryerka, jadąca do Lublina. Zrównawszy się z rozmodlonem zgromadzeniem przed figurą, pocztylion, czy z własnego, czy z cudzego natchnienia, zagrał nagle na swej trąbce: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Gdy się te dźwięki donośne i przenikliwe rozległy po ulicy, wywołały wstrząśnienie ogólne, jakby dreszcz przeszedł po tłumie. Wśród krzyków, wśród uniesienia niezwykłego, wrzawy nieopisanej, wszystko rzuciło się za karetką, bijąc oklaski pocztylionowi, dziękując mu, obdarzając go przymiotnikami najpochlebniejszymi. Wśród takiego entuzyazmu powszechnego odprowadzono karetkę aż do Zjazdu, ale tu zatrzymano się, gdyż właśnie w tej chwili poczęły z Zamku występować wojska i zagradzać drogę [1]). Wojska te uszy-

[1]) Berg (str. 293) powiada, że wojska stały przed Zamkiem od rana, piechota we środku, jazda po skrzydłach. Wiadomość ta nie zgadza się ze wszystkiemi innemi relacyami, jakie posiadamy. Utrzymują one jednogłośnie, że wojska ukazały się w chwili, gdy karetka pocztowa z trąbiącym starego mazurka pocztylionem skręcała na Zjazd. Wysuwanie wojsk od samego rana, gdy nic jeszcze nadzwyczajnego na ulicach się nie działo, wyglądałoby na prowokacyą zbyt wyraźną, niczem nie byłoby usprawiedliwionem.

kowały się w porządku, jak zawsze i przedstawiały co do swej liczebności siłę znaczną. Piechota, złożona z 1-ej i 2-ej kompanii strzeleckiej pułku Symbirskiego [1]), oraz trzech kompanii liniowych (10-ej, 11 i 12-ej) pułku Kostromskiego, ogółem około tysiąca ludzi, zajęła środek. Na skrzydłach uszykowała się jazda, składająca się z szwadronu żandarmów i stu koni kozaków kubańskich, zwanych w Warszawie czerkiesami. Zsumowawszy to razem, można śmiało rzec, że na placu Zamkowym stało wtedy około 1300 ludzi. Tak znaczne rozwinięcie sił wojennych świadczyło o stanowczych i zdecydowanych zamiarach rządu stłumienia ruchu przemocą. Lud, widząc szykujące się w milczeniu wojska, zatrzymał się w odległości niewielkiej od żołnierzy, tak samo, jak wczoraj. Liczba jego z każdą chwilą się zwiększała; zbiegowisko stawało się coraz gęstszem. Osób porządnie ubranych było stosunkowo bardzo mało; przeważnie był to motłoch, twarze odrażające, wielu było pijanych. Kobiet prawie wcale nie zauważono, gdyż kilkanaście nierządnic lub starych Megier nie mogło mieć pretensyi do reprezentowania płci pięknej. Tak w tłumie, jak i w wojsku panowało poważne, zupełne milczenie, przypominające ten groźny stan przyrody, gdy skupia niejako swe siły przed mającą wkrótce wybuchnąć burzą. W posępnem tem milczeniu, unoszącem się nad placem Zamkowym, kryły się pioruny.

Ciszę tę przerwał rozkaz Gorczakowa, poniesiony przez jego adjutanta Meyendorfa do adjunkta Ojrzyńskiego, by wystąpił na plac i odczytał przygotowane w nocy wezwanie. Ojrzyński, wzruszony do głębi, w towarzystwie dwóch doboszów i oficera, stanął przed ludem w takiej odległości, żeby jego słowa mogły być słyszane, kazał uderzyć w bębny, a potem głosem silnym, nieco drżącym, zawołał: „z mocy prawa i rozporządzeń władzy wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznem, trzechkrotnem wezwaniu,

[1]) Relacye polskie zowią ten pułk Muromskim. Idziemy za Bergiem, który pod tym względem jest najlepiej poinformowany.

rozpędzeni zostaniecie siłą zbrojną“. Wysłuchano go zrazu w ciszy, potem rozległy się dzikie wrzaski, śmiech, pisk, gwizdanie, brutalne wymysły uliczne i przekleństwa. Jakkolwiek większość nie dosłyszała słów wezwania, lub ich nie zrozumiała, jednakże zdawały się one budzić w tłumie gniew niepohamowany. Wielu potrząsało kijami i z uniesieniem gorączkowem groziło nimi wojsku. Tu i owdzie podnosiły się pięście, w oczach błyskały pioruny; przekleństwa i obelgi sypały się, jak grad. Wojsko w milczeniu patrzało na to wszystko, a po upływie dziesięciu minut zahuczały znowu bębny i Ojrzyński, przeszedłszy na inne miejsce, powtórnie wygłosił swe wezwanie do tłumu. Skutek był taki sam, jak poprzednio. Z tłumu rozszalałego, pozbawionego wszelkiego hamulca, rozległy się podawnemu dzikie wrzaski, śmiechy, gwizdanie przeraźliwe, obelgi. Upłynęło wśród wrzawy niesłychanej jeszcze dziesięć minut i trzecie, a zatem ostatnie wezwanie Ojrzyńskiego przebrzmiało bez skutku. Po tym prologu miały się teraz rozpocząć pierwsze sceny krwawej tragedyi.

Ojrzyński cofnął się do Zamku, spełniwszy swe zadanie, a Chrulew rozkazał dwom plutonom żandarmów, sformowanym w linię półszwadronową, ruszyć naprzód kłusem i naciskiem koni rozpędzić zbiegowisko. Ciężka ta jazda, w błyszczących hełmach na głowie, z brzękiem i chrzęstem zerwała się ze swego miejsca na komendę dowodzącego nią oficera i puściła się naprzód. Lud w popłochu począł się cofać na ulice: Senatorską i Podwale, oczyścił środek placu, ale zatrzymał się wzbitych masach na trotoarach. Żandarmi, przegrodzeni od zbiegowiska rynsztokami, stanęli; konie rwały się pod nimi. Wielu z tłumów kijami je odpędzało; niektórzy chwytali je szybko i silnie za cugle i, pociągnąwszy na dół, zmuszali wystraszone zwierzęta do padnięcia na przednie nogi, co wśród motłochu wywoływało oznaki uznania i śmiechu bezmyślnego. Taka walka bezowocna jazdy z tłumem trwała z pół godziny; zbiegowisko nieustannie się zwiększało tak, że wkrótce całe Krakowskie

Przedmieście, Podwale, ulica Senatorska, Piwna, Świętojańska roiła się od olbrzymich mas skupiającej się ludności. W takiem położeniu Chrulew dał rozkaz żandarmom, żeby uderzyli na tłum szablami, starając się jednak bić płazem. Ale to ostatnie zastrzeżenie było bezowocnem. Wojsko było rozdrażnione do najwyższego stopnia; obudziły się w niem wszystkie dzikie, nieucywilizowane instynkta żołdaka moskiewskiego. Żandarmi szarżując, rąbali z wściekłością, kogo tylko dosięgnąć mogli, i krew się polała. Ile osób w tem pierwszem starciu zginęło, trudno wiedzieć. Obie strony ogarnął szał jakiś; na twarzach osób, w zbiegowisku się znajdujących, malował się gniew, uniesienie ślepe. Rozlegały się głosy: „stać! nie uciekać! jeżeli ginąć mamy, to gińmy wszyscy razem“. Wielu padło na kolana, i wśród grzmiącego po bruku tententu koni, świstu szabel, jęków, zabrzmiał majestatyczny śpiew: „święty Boże!“ Ale Bóg nie miał się ulitować nad zaślepieniem jednej i drugiej strony, bo Bóg nigdy się nad Polską nie litował. Lud, przemieniając się teraz z motłochu bezwstydnego, który w obec niebezpieczeństwa zniknął nagle, powoli przybierać począł postawę heroiczną; w masie budziło się przekonanie, że zginąć w tej chwili na bruku jest to spełnić dobrą służbę ojczyznie.

Scena zmieniła się; tragedya nabierała cechy grozy uroczystej. Jeden pluton żandarmów po czterykroć atakował zbiegowisko na ulicy Senatorskiej i Podwalu; drugi na Krakowskiem Przedmieściu dwa razy dosięgał aż przechodniego wówczas domu Roeslera [1]), ale choć tu i owdzie ludzie padali pod strasznymi ciosami, skutku stanowczego te szarże nie miały. W tym czasie zbiegowisko zwiększyło się przez przybycie na miejsce starcia procesyi, powracającej z pogrzebu Stobnickiego. Tłum ten, idąc z Powązek, gdy doszedł do ulicy Bielańskiej, wahał się, dokąd mu

[1]) Dom oznaczony № 451. Od czasu przedłużenia ulicy Miodowej do Krakowskiego Przedmieścia dom ten przestał być przechodnim.

udać się należy. Rozlegać się poczęły głosy: „pod cytadelę! pod cytadelę!“ Ale większość nie zgodziła się na to i ruszono pod Zamek. Na czele tej procesyi szło kilku księży z krzyżem; za nimi posuwał się lud, ugrupowany na oddziały, według koloru konfederatek. Oczywiście żandarmi na nich uderzyli; jeden z księży, niosący krzyż, zdaje się reformat czy bernardyn, uderzony szablą, upadł i krzyż ów upuścił. Widząc to młody żyd, z pomiędzy tych, którzy na kierkucie przyłączyli się do procesyi, nazwiskiem Landau, schwycił ten krzyż i podniósł go, ale cięty pałaszem, zaraz także upadł. Fakt ten, rozgłoszony przez liczne opowieści, stał się w ustach agitatorów jednym więcej dowodem braterstwa obu narodów (Polaków i żydów), „zapieczętowanego teraz, jak mówiono, krwią“. Starano się wypadkowi temu nadać jakiś osobliwszy, mistyczny charakter. „Historya świata, mówiono i pisano później, od czasu Jezusa Chrystusa nie ma równego temu wypadkowi, który pomimo całej swej rzeczywistości odrazu otoczył się urokiem jakby jakiej cudownej, średniowiecznej legendy“. „Godło męki Chrystusowej, godło odkupienia i zbawienia w ręku żyda, woła inne pismo z tej epoki, to najwznioślejszy wyraz tej idei braterstwa, łączącej pod sztandarem narodowym wszystkie wyznania i klasy społeczeństwa“.

Tymczasem lud zmienił swą dotychczasową postawę bierną. Broniąc się przeciw atakowi żandarmów, bił ich kijami; kamienie wyrwane z bruku, jak grad, poczęły się sypać na napastników. — Na Podwalu dorożki i kibitka rosyjska, która się tu przypadkiem zjawiła, wywrócona, utworzyła pewien rodzaj barykady. Jakiś kozak, uderzony kamieniem, padł na miejscu trupem przed domem Bluma (№ 527) na Podwalu; na ulicy Bednarskiej lud schwycił innego kozaka, Małachowa nazwiskiem, i żołnierza Fiedorowa i niemiłosiernie ich pobił. Kozak tego dnia jeszcze umarł. Z pomiędzy żandarmów raniono dwóch oficerów i dziesięciu szeregowców. Lud cofał się, by natychmiast, po ustąpieniu żandarmów, zająć dawne swe stanowisko. Była to formalna bójka, przybierająca powoli charakter

bezlitośnej zaciekłości i okrucieństwa, zwłaszcza ze strony Moskali. Żandarmi gubili się w tłumie i widocznie ulegali przeważnej masie zbiegowiska.

W takiem położeniu Chrulew cofnął żandarmów, a natomiast kazał się wysunąć piechocie, mianowicie jednej kompanii pułku Kostromskiego i jednej Symbirskiego. Gdy obie kompanie wyszły przed kolumnę Zygmunta, kazał im się zatrzymać i rozwinąć frontem, jednej do Podwala, drugiej do Krakowskiego Przedmieścia, i zaraz potem rozległa się komenda: „nabij broń!“ W oczach tłumu żołnierze głośno, z chrzęstem stempli i odwodzonych zamków, nabijali karabiny, ale lud się nie ruszał. Ciągle dawały się słyszeć nawoływania: „stać, nie uciekać! gińmy za ojczyznę!“ Kilku oficerów wysunęło się z szeregów i poczęło głośno nalegać na zgromadzonych, by się rozeszli. „Tu niema żartów, mówili do ludu, karabiny są nabite ostrymi ładunkami“. — „Strzelajcie, odpowiadano im, mordujcie bezbronnych!“ Ze swej strony Chrulew wahał się; zrobił jeszcze jedną próbę, rozkazał piechocie uderzyć na zbiegowisko kolbami. Żołnierze z wybuchającą, dziką wściekłością rzucili się naprzód; bili, kaleczyli stłoczone masy i zdołali je odeprzeć na znaczną przestrzeń; ulicę Senatorską np. oczyścili aż do Miodowej, ale zaledwie się zwrócili, gdy tłum, jak fala naprzód rwąca, zajął dawne swe miejsce, krzycząc, wyjąc, rzucając kamieniami, polanami, czem kto mógł i miał, na żołnierzy.

Całemu temu strasznemu widowisku przypatrywał się z okna zamkowego przez binokle Gorczakow, otoczony mnóstwem jenerałów, milczący i chmurny. Chrulew podjechał do tego okna i rzekł: „każę strzelać!“ Namiestnik w milczeniu skinął głową.... Wśród chwilowej, grobowej ciszy, która nagle, jak gdyby przed burzą, zapanowała na placu, Chrulew dopadł do dwóch kompanii w szczupakach i rozkazał wystąpić dwom plutonom naprzód. Pluton kompanii pułku Symbirskiego rozwinął się wprost Podwala, Kostromskiego przeciw Krakowskiemu Przedmieściu. Rozległa się komenda: „pal!“ (pli!) i zagrzmiały przeciągłe

strzały. Kule ze świstem, rykoszetując po bruku, padły w zbitą masę ludu. Na Podwalu wszystek tłum rzucił się na kolana, i z tysiąca piersi zabrzmiało: „święty Boże!“ Zrobiło się zamięszanie nie do opisania; wielu poczęło uciekać w uliczki boczne, w bramy i na dziedzińce domów. Ciała w drganiach konwulsyjnych zaległy ulice, jęki rannych brzmiały dokoła. Rzucono się podnosić i zbierać trupy. Jakiś mężczyzna padł na rogu Podwala i ulicy Senatorskiej, podniósł się i zaczął iść, opierając się rękami o ścianę. Wyglądał straszliwie, jak bryła krwi ciekącej, a każde dotknięcie jego ręki zostawiało na murze okropne, krwawe ślady. Krzyki, wrzawa olbrzymia zapanowała dokoła; przekleństwa: „zbóje, mordercy, kaci, Moskale!“ unosiły się w powietrzu, po którem wiatr zwijał i rozwijał chmury białego dymu prochowego.

Przeciwko zbiegowisku na ulicy Senatorskiej Chrulew kazał wystąpić kompanii 12-ej pułku Kostromskiego i przeciw ulicy Piwnej i Świętojańskiej, kompanii 11-ej tegoż pułku. W chwili gdy te oddziały nabijały broń, dał się słyszeć śpiew potężny od strony kościoła Bernardynów, i oczom zdziwionych widzów tego dramatu strasznego ukazał się znaczny tłum ludzi, na czele których postępował wysoki młody człowiek z długim krzyżem w ręku. Był to Karol Nowakowski, znany nam już uczeń szkoły sztuk pięknych, który, zebrawszy koło siebie gromadę takich, jak sam, straceńców, wpadł do klasztoru Bernardynów, schwycił tam krzyż i postanowił na czele procesyi przedostać się do Zamku. W jakim celu? zapewne sam nie wiedział; był on w pewnego rodzaju ekstazie, w gorączce, która owładnęła całym tym kilkunastotysięcznym tłumem, gorączce zaprawdę niepojętej dla tych, co na to nie patrzeli. Na całym tym obszernym placu, po grzmocie strzałów, wrzawie, jękach i przekleństwach, znowu zaległa cisza ponura i złowroga, wśród której wyraźnie, donośnie rozbrzmiewał śpiew procesyi nabożnej. W Zamku, przy oknie, z którego Gorczakow i mnóstwo otaczających go jenerałów patrzało na to

dziwne, jedyne, niewidziane w historyi widowisko, ktoś rzekł: „istni Hugonoci!“ Namiestnik mruknął: „tak!...“

Tymczasem Nowakowski z procesyą posuwał się nanaprzód. Chrulew spostrzegł to, a pułkownik żandarmeryi Tałajewski, poznawszy Nowakowskiego, którego znał z cytadeli, zabiegł mu drogę z żandarmami i kazał go żołnierzom schwycić. Żołnierze rzucili się na Nowakowskiego, śpiewającego wciąż „święty Boże“, ale młody człowiek bronił się rozpaczliwie i doszczętnie połamał krzyż o głowy moskiewskie, zwłaszcza szeregowiec Wasil Mielnikow uległ ciężkim obrażeniom. Ledwo pięciu ludzi mogło pokonać rozgrzanego przewódcę procesyi; odnieśli go na rękach do Zamku wśród rzucań się i szarpań. Nie przestał on ani na chwilę śpiewać swej pieśni: „od ognia, głodu i Moskali, zachowaj nas Panie!“ Procesya, straciwszy swego przewodnika, złączyła się z tłumem, który zalegał wciąż ulice i obrzucał wojsko kamieniami. Chrulew po tym krótkim epizodzie z procesyą rozkazał znowu strzelać. Pierwsza kompania strzelców pułku Symbirskiego i dziesiąta liniowa Kostromskiego po dwakroć dały ognia w Krakowskie Przedmieście i na ulicę Podwale, gdzie lud ciągle klęczał i śpiewał pieśni. W tym czasie na ulicy Senatorskiej ukazała się nowa procesya, na czele której postępowali Kapucyni. Dowiedziawszy się o tem, co się dzieje na placu Zamkowym, klasztor zakonników zagotował się cały. Co gorętsi klerycy i braciszkowie postanowili ruszyć procesyonalnie na miejsce rozlewu krwi. Braciszek wysokiego wzrostu, tęgo zbudowany, jasny blondyn, Cypryanem zwany, postępował na czele. Gdy weszli na ulicę Senatorską, ksiądz Wacław Nowakowski (rodzony brat Karola), który z bibliotekarza zbiorów Świdzińskiego został kapucynem, padł na kolana i zaintonował: „święty Boże“. Ale gdy znowu, na rozkaz Chrulewa, dwunasta kompania liniowa pułku Kostromskiego poczęła strzelać w ulicę Senatorską, procesya się rozbiegła [1]). Salwy te, w ogólnej liczbie pięciu,

[1]) Braciszek Cypryan tak się przeraził widokiem strasznych

powtarzały się co każdy kwadrans czasu. Po pierwszych strzałach dowódca tej kompanii, kapitan Kulczycki, Polak, wyszedł z frontu i zaraportował, że jest chorym i że nie może brać udziału w okopnej akcyi, która zapewne do głębi jego duszę polską wstrząsała. Komendę po nim objął następny z rangi oficer [1]).

Z innej strony placu druga kompania strzelców pułku Symbirskiego strzelała w ulicę Maryensztad, gdzie zgromadziło się mnóstwo żydów, wrzeszczących przeraźliwie, i gdzie dziady oczekiwały złotego deszczu od namiestnika, a powitał ich ołowiany. Jedenasta kompania pułku Kostromskiego dała ognia w ulicę Piwną. I to była ostatnia salwa tego dnia. W ogólności więc było jedenaście salw, które trwały przeszło godzinę, albowiem gdy się skończyły, to jest, gdy Chrulew nie miał do kogo strzelać, noc już była, noc ciemna i ponura, gdyż latarni nie zapalono, bo nie było ich komu zapalać, a zamknięte sklepy nie rzucały blasku na ulice. Według obrachunku urzędowego dano w ogóle 484 strzały [2]). Jeżeli atoli tak niewielka stosunkowo ilość kul była wystrzelona, to przecież czynić one musiały spustoszenia straszne ze względu na to, że padały w gęste, zbite masy ludzi i z odległości bardzo blizkiej. Działy się przytem sceny, rozdzierające nieraz duszę do głębi; postępowanie wojska przypominało hordy barbarzyńskie, szalejące wśród wielkiego i ucywilizowanego miasta.

---

scen, których był świadkiem, że powróciwszy do klasztoru, dostał tejże nocy pomięszania zmysłów.

[1]) Kulczyckiemu na drugi dzień kazano podać się do dymisyi.

[2]) Strzały te, podług podania Berga, który je zaczerpnął z akt Chrulewa, jako naczelnika 1-go okręgu wojennego, tak się na kompanie pojedyncze rozkładają:

	strzałów	salw
1) Kompania pierwsza strzelców pułku Symbirskiego	93	2
2) Kompania druga strzelców pułku Symbirskiego . .	18	1
3) Kompania dziesiąta liniowa pułku Kostromskiego .	188	2
4) Kompania jedenasta liniowa tegoż pułku	35	1
5) Kompania dwunasta liniowa tegoż pułku	150	5
Razem	484	11

Żołnierz wprawdzie był do najwyższego stopnia rozdrażniony obelgami, jakich od dwóch dni słuchać musiał, i gradem pocisków, które mu na głowę spadały; mimo to jednak zachowanie się jego było nieludzkie i dzikie, którego wina i groza cała spada tak na Gorczakowa, który na to patrzał z Zamku, jak i na Chrulewa i oficerów, którzy zezwalali na sceny wyuzdanego okrucieństwa i barbarzyństwa. Widziano, jak jeńców, schwytanych żywcem, żołnierze uprowadzali do Zamku, bijąc bezlitośnie kolbami i pięściami; jak rannych wleczono za nogi, przyczem głowy nieszczęśliwych głucho stukały o bruk; jak wielu dobijano bagnetami. Straszne obrazy, jeżeli sobie przypomnimy, że działo się to wśród wielkiego miasta, na łonie wysoko posuniętej cywilizacyi i wykwintu życia [1]).

Jeżeli atoli wojsko, uniesione gniewem i pomstą za doznane obelgi, w sposób nieludzki dawało poznać swą przewagę brutalną, to lud warszawski zachowywał się heroicznie, owszem przez szczególny wpływ idei mistycznych, tak pospolitych w tej dobie, prawdziwie męczeńską miał postawę. Był on podobnym do ojca Bonifacego w Anhellim, „który chciał zbawić ojczyznę modlitwą i na oca-

[1]) O okrucieństwach wojska potworzyły się oczywiście całe legendy, które częstokroć zmieniły prawdę, lub też przesadnie ją ubarwiły. Do dziśdnia wśród ludu warszawskiego obiega mnóstwo opowiadań mniej lub więcej prawdziwych. Przy kolumnie Zygmunta, między wojsko i tłum klęczący na Podwalu wbiegł drżący chłopczyna w żałobie, z długimi, jasnymi włosami, najwyżej pięcioletni i z płaczem przeraźliwym wołał matki, którą zgubił w zbiegowisku. „Dzicz, opowiada naoczny świadek (Przegląd rzeczy polskich — Lipiec 1862 str. 28), byłaby go niezawodnie zakłuła, już jeden zbójca potrącił go nogą; na szczęście wysunął się ktoś z tłumu, podobno urzędnik z sądownictwa, uchwycił dziecko, i widząc, że znów broń nabijają, padł z niem na ziemię. Strzały przeszły górą. Korzystając z chwilowej przerwy, w tłum je (dziecko) uprowadził; przy następnym strzale ten sam manewr powtórzył i szczęśliwie zaniósł dziecinę do jednej kawiarni na Podwalu. W parę dni dopiero wyszukano matkę, która już rozpaczała nad stratą jedynaka“. — „Koło Śto-Jańskiej ulicy, opowiada tenże sam świadek, dwóch oficerów nie wsty-

lenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy". Szli też i ginęli, istotnie jak męczennicy. Tłumy, padające na kolana na Podwalu i śpiewające starą pieśń kościelną pod gradem kul, mają wszystkie cechy heroicznego męczeństwa, ale niestety! tą drogą nie zdobywa się niepodległości, nie zdobyła jej i Polska. Bóg polski oddawna, od stu lat głuchym jest na głos bijący doń „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" z nizin polskich. Śmierć taka, jak ta, którą umierał na ulicach lud warszawski, była bez zaprzeczenia bohaterstwem, ale bohaterstwem bezpłodnem, ofiarnością krwi bezskuteczną. W przerwach pomiędzy strzałami występowali z pomiędzy klęczących mas ludzie i zaklinali je gorąco, by się rozchodzili. Próżne jednak były ich usiłowania, próżna wymowa i błaganie; nikt się nie ruszał. Śród tłumu uwijali się niedorostki, uczniowie szkolni, młodzież nikomu nieznana, i wołali: „stać! nie uciekać!" Stano więc, a gdy zagrzmiały nowe strzały, gdy pociski czyniły szczerby krwawe wśród rozmodlonych, gdy ten i ów słabszej natury zrywał się i począł uciekać, to ci, co przedtem radzili rozejść się, wołali: „teraz stać panowie, kiedyście się wprzódy

.dziło się pastwić, Bóg wie za co, nad niedorostkiem szewczykiem; jeden trzymał go za nogi w powietrzu, głową na dół, i czasem nią o bruk uderzał; drugi niemiłosiernie go płazem okładał. Szewczyk darł się oczywiście w niebogłosy; żołnierze uśmiechali się zdaleka na tę nową ofiarkę (sic), może mniemali, że im się z prawa należy dobić ją. Nagle z okna pierwszego czy drugiego piętra, w jednym poblizkim domu, kobiety jakieś, co okrucieństwa tego znieść nie mogły, otworzywszy lufcik, zaczęły energicznie oburzać się na oprawców. Kobiety były przystojne, dobrze ubrane, z pomiędzy bogatych firanek i kształtnych doniczek z kwiatami wychylały się do nich (oficerów). Słowa ich wywarły niejakie wrażenie na niedźwiedziach i puścili dzieciaka. Pokrwawiony, zapłakany, ledwo mogąc wstać z ziemi, skoro tylko kilka kroków uszedł, zaraz zaczął śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła", grozić i wymyślać, a dopadłszy pod ręką kamienia, trafnie zdzielił nim jednego z oficerów. Dalejże w pogoń za nim, nie dognali. Kobiety na chwilę z poza łez rozśmiały się w oknie". Takich lub tym podobnych epizodów możnaby bardzo wiele przytoczyć.

nie chcieli rozejść". Gdy znów kto, zdjęty strachem i grozą, krzyczał: „uciekajcie!", to chwytano go i pięścią zmuszano do pozostania i milczenia. Rannych i zabitych lud, o ile mógł, zbierał, jakkolwiek większość ich w przerwach pomiędzy strzałami wojsko porywało i ciągnęło do Zamku. Mimo to wiele trupów i ranionych lud składał w cukierni Beelego na rogu Podwala i Senatorskiej, w hotelu Europejskim, gdzie samych ranionych znalazło się szesnastu, w resursie, w szpitalu Marcinkanek na ulicy Piwnej, w szpitalu św. Rocha i Dzieciątka Jezus. Wielu tam pomimo natychmiast podawanej im pomocy lekarskiej umarło; u Marcinkanek np. skonał ów akademik, żyd Landau, który schwycił krzyż z rąk upadającego księdza. Młodzież w swych konfederatkach rozwoziła rannych w dorożkach, wywołując widokiem ciekącej krwi na ulicach dalszych zgrozę i oburzenie [1]).

Zgroza i oburzenie nie zawsze, nie we wszystkich

---

[1]) O zachowaniu się ranionych jeden ze świadków naocznych opowiada kilka interesujących anegdot, w tonie nieco sentymentalno-romantycznym, tak ulubionym w tym okresie: wieziono ślusarza, lat czterdziestu kilku, koło hotelu europejskiego; kula od sztucera bok mu (ślusarzowi) przeszyła. Zoczywszy gromadkę osób, co mu przed cukiernią Contiego ze czcią się kłaniała, poczciwiec wytężył ostatek sił, zdjął konfederatkę i konającym głosem zawoławszy: niech żyje Polska! zemdlał. Nazajutrz już nie żył. Do resursy przyniesiono rannego chłopczyka dwunastoletniego i złożono w przysionku na dole, gdzie stoi biust Mickiewicza. — „Boli, oj boli, ale własną ręką dwóch Moskali zabiłem", wołało biedactwo na wpół w gorączce, na wpół przekonane, że się na Krakowskiem Przedmieściu bić zaczęli naprawdę. — „Jednego w głowę, drugiego w piersi, ani drgnęli" — szeptał ciszej. Zaledwie doktór przyszedł i zaczęli go rozbierać (chłopca), energiczny zrobił giest skrwawioną rączką, zawołał: mamo! i, przechyliwszy główkę, usnął na zawsze. Wkrótce potem złożony tamże rzemieślnik, Niwiński, czując, że wkrótce skona, pożegnał się z największą przytomnością i zażądał podyktować testament. Chrapliwym, lecz wyraźnym głosem wymienił swoje nazwisko, mieszkanie matki; żałował, że choć jednego zbója na tamten świat nie wyprawił. Dwie kule w piersiach mu tkwiły. W dalszej sali na dole, obok jadalni, leżała na sofie młoda, przystojna kobieta. Przy bolesnej

znajdowało ujście w modlitwie pod gradem kul, w rezygnacyi męczeńskiej. Było wielu takich, co drogo sprzedali swe życie. Oprócz nieustannych pocisków, spadających na szeregi rosyjskie, niektórzy, rzemieślnicy zwłaszcza, formalne staczali bójki z wojskiem. Widziano rzeźnika, atletycznie zbudowanego, jak, w chwili gdy go żołnierze chwytali, wyrwał jednemu z nich karabin i tak dobrze kolbą sobie radził, że nietylko sam się oswobodził, ale jeszcze

operacyi sondowania rany i wydobywaniu kuli z łopatki przymknęła nieco oczu i żywsze rumieńce gorączkowe wystąpiły jej na twarz. Ani syknięcia, łzy i skargi, łagodny tylko uśmiech błąkał się po ustach. Po opatrzeniu rany podnieśli ją i mieli zanieść na górę. W żaden sposób nie chciała na to zezwolić, wstała sama, wstydliwie zakrywając piersi, obiegła przytomnych rzewnem spojrzeniem i skromnie ukłoniła się. W sali tej, słabo oświeconej, wyglądała zdaleka w bieliźnie swojej, jak dziewczę w białej sukience, idące poraz pierwszy do komunii lub na odpust. Zaledwie parę kroków uszła, siły jej nie starczyły; trzeba ją było wziąć na ręce, znów się żywiej zarumieniła i, otulając na sobie ubranie, przepraszała z cicha, że się tak panowie trudzą dla niej, kiedy tylu innych potrzebuje pomocy. Poczciwy doktór, co ją opatrywał i wszyscy obecni, po największej części ludzie już starsi, z niejednem wrażeniem w życiu otrzaskani, zapłakali serdecznie. Boleśnie, kiedy mężczyzna nad pokrzywdzoną, bezbronną kobietą, tylko zapłakać może. Tyle mocy nad sobą i godności w znoszeniu cierpień, szlachetności w spojrzeniu i uśmiechu anielskim, tyle mimowolnie rozdzierającego wdzięku boleści, z jakim konać musiały męczenniczki chrześcijaństwa, tylko Polka teraz pokazać może. A była to prosta, biedna dziewczyna z ludu, córka ubogiego mieszczanina z małego miasteczka, która dawniej zostawała w służbie, a potem utrzymywała się z pracy rąk własnych, z szycia. Przeniesiono ją do szpitala, niebezpieczna rana w łopatce rozjątrzyła się, dla uniknięcia gangreny trzeba było jedną pierś odjąć. Osłabiona, schorowana, nie mogła wytrzymać operacyi.... W nocy wyprowadzono jej zwłoki tak, jak nieodżałowanego Zarzyckiego, Dulskiego i tylu innych ofiar rzezi, których nie pochowano w cytadeli, lub do Wisły nie wrzucono. Na nowej części cmentarza na Powązkach stoi krzyż kamienny na jej grobie z napisem: Eleonora Sieczkowska. Warszawianie nie zapominali o zamordowanych braciach i siostrach, prawie codzień licznie odwiedzając cmentarz, na ramionach krzyża tego zawieszali wieńce nieśmiertelników i klękali przy mogile męczenniczki....“

wydarł dwom kozakom szamocącego się z nimi chłopca jakiegoś i zbrojną ręką zrejterował koło Dobroczynności na ulicę Bednarską. Byli i tacy, co w szale jakimś, z kijem lub gołemi rękami rzucali się na szeregi moskiewskie i oczywiście marnie tam ginęli, skłóci bagnetami. Jeżeli więc jedni się modlili, to drudzy chcieli walczyć, chcieli się bronić. Na ulicach, zwłaszcza dalszych, oburzenie, zgroza, gniew wzrastał w miarę odległości i tylko miękkiej, słowiańskiej naturze, nastrojowi mistycznemu umysłów zawdzięczać należy, że w mieście nie wybuchło w ów dzień powstanie [1]). Sporadyczny ten, indywidualny opór na placu Zamkowym, jakkolwiek nie miał żadnego znaczenia donioślejszego, wyrwał jednak z szeregów rosyjskich kilkudziesięciu rannych i zabitych [2]).

Co się zaś tyczy strat z pomiędzy ludności polskiej,

---

[1]) Wspomniany przez nas korespondent „National Ztng“ daje pod tym względem parę uwag bardzo ciekawych. „Gdy autor niniejszego, pisze on, słyszał przez pół godziny huk ognia karabinowego, gdy ujrzał twarze pełne wzburzenia i wściekłości uciekających ze sceny krwawej, mężczyzn i kobiet, gdy rozległ się grzmot dział i sygnały rakiet, które zwoływały wojska obozujące około Warszawy, sądził, że ten lud, który uważano zawsze jako posiadający krew gorącą, w rozpaczy szalonej chwyci za broń i za noże i miasto przemieni w pole bitwy; ale przyszło mu (autorowi) zaraz na myśl, że ucisk długoletni i mistyka katolicka z dawnych Polaków zrobiła naród, pragnący męczeństwa. Fanatycznie usposobieni mężczyzni i kobiety, zrzeszeni koło krzyża, stawiali czoło bezbronne morderczym kulom, dopóki nie ulegli“.

[2]) Co do tego relacye rosyjskie są ze sobą niezgodne. Berg, o ile sądzić można z opowiadania dość niejasnego, stratę rosyjską oblicza na 41 ranionych lub zabitych żołnierzy i dwóch oficerów, którzy ponieśli mniej lub więcej ciężkie uszkodzenia. Podwysocki podaje tę stratę na dwóch żołnierzy zabitych i dziesięciu ranionych. Karcew w swoich pamiętnikach p. t. „Warszawa w r. 1860 i 1861“ („Ruskaja Starina“ z r. 1882) twierdzi, że z wojska zabito dwóch a raniono dwunastu. Gorczakow w odezwie do mieszkańców, ogłoszonej nazajutrz, mówi, że zabito dwóch żołnierzy a raniono dziesięciu; w raporcie zaś do cesarza nie zgadza się ze sobą i z Bergiem. W pierwszej depeszy, wysłanej nazajutrz, dnia 9 Kwietnia, donosi, że „naszych zabito pięciu ludzi“. Na zapytanie cesarza,

istotna ich cyfra jest niewiadomą. Bądź co bądź musiała ona być bardzo znaczną, ze względu na liczbę strzałów, wymienionych z blizka, kulami stożkowemi, które z karabinów gwintowanych padały z wielką siłą w gęste, zbite masy, rykoszetowały na bruku, lub przenosząc, zabijały nawet ludzi, stojących zdala od zbiegowiska. W przybliżeniu liczbę poległych można oznaczyć na dwieście przeszło osób; ranionych zaś w dwójnasób [1]). W samym Zamku znajdowało się 108 zabitych, których tejże nocy jeszcze wywieziono furgonami wojskowymi do cytadeli. Straszna rzeź, dokona w stolicy kraju, na ludności bezbronnej, mię-

tegoż samego dnia wystosowane: „czy kto z pomiędzy oficerów poległ?“ odpowiedział, że nikt. W tydzień zaś potem, w depeszy: dnia 15 Kwietnia, namiestnik donosi, że „jeden kozak zabity kamieniami (jest to ten kozak, który poległ na Podwalu przed domem Bluma); jeden żołnierz, o którym mniemano, że zginął, został znaleziony w szpitalu, ciężko poraniony kamieniami. Czternastu żołnierzy skaleczono kamieniami i laskami zaopatrzonemi w gałki ołowiane; 19 żołnierzy lekko kontuzyowano kamieniami“. Według więc tej depeszy zabity był jeden, raniono ogółem 34 szeregowców.

[1]) Taką cyfrę podaje Berg (dwiesti czełowiek sliszkom). Gorczakow w odezwie, ogłoszonej nazajutrz, powiada, że mieszkańców poległo dziesięciu, raniono stu ośmiu. W pierwszej depeszy, wysłanej do cesarza w tymże samym dniu co i odezwa, twierdzi, że „mieszkańców zabito koło dziesięciu, tyluż raniono“ (Żitielej ubito około diesiati, ranienych stolko że). Widocznie więc starał się ukryć prawdę i ohyda rzezi budziła w nim zgrozę tajemną. Z tych jego dziesięciu zabitych szydzi też Berg w jednym ze swoich artykułów polemicznych z powodu „Zapisek“. „Kilka batalionów, pisze on, strzelało w zbite masy narodu na pięciu ulicach: Krakowskiem Przedmieściu, Podwalu, Piwnej, Senatorskiej i Maryensztadzie. W aktach naczelnika 1-go albo Zamkowego okręgu Warszawy zaznaczono dokładnie ilość wystrzelonych wtedy naboi; były ich setki i, rozumie się, poległy także setki. Gorczakow jednak doniósł, że „zabito wszystkiego dziesięciu ludzi i tyluż raniono“. Czy to było dobrze? W autorach polskich, piszących o tych wypadkach, nie spotkaliśmy się nigdzie z cyfrą dokładną, której zresztą mieć nie mogli, gdyż wojsko trupów i rannych zabierało natychmiast do Zamku. Lisicki, z zadziwiającą w takim pisarzu lekkomyślnością, poszedł za cyfrą, oznaczoną w odezwie Gorczakowa i twierdzi, że poległo dziesięć osób. Gdyby był zajrzał choćby tylko do spisu zabitych w d. 8

dzy którą było wiele kobiet i dzieci. Polegli przeważnie pochodzili ze sfer rzemieślniczych i klas niższych [1]).

Zmrok już zapadał, ostatnie strzały, wymierzone w ulicę Piwną, przebrzmiały; lud powoli się rozchodził, błądząc tu i owdzie gromadkami pojedynczemi, kupiąc się w oddali od placu Zamkowego; w mieście panował szmer stłumiony, a przed Matką Boską na Krakowskiem Przedmieściu garść kobiet klęcząc, śpiewała jakąś pieśń i śpiew ten co chwila się urywał [2]), gdy Chrulew, obliczywszy w przybliżeniu cyfrę zabitych, których zebrano i zniesiono na dziedzieniec zamkowy, udał się do namiestnika dla zdania mu sprawy ze wszystkiego. Opowiedziawszy więc Gorczakowi, ile naboi wystrzelono i ile osób zabito, usłyszał nagle dziwne zapytanie: „alboż strzelano nie ślepymi ładunkami? Kto kazał?“ Chrulew na te słowa wybuchnął i rzekł ostro: „nie, *wasze siatelstwo*, teraz zapóźno wyma-

Kwietnia, spisu oczywiście arcy niedokładnego, pomieszczonego w „Pamiątce dla rodzin polskich“ (I, 3), byłby się przekonał, jak kłamliwą, jak umyślnie sfałszowaną została przez namiestnika istotna liczba ofiar. Można mieć różne poglądy na historyą, można na jednych rzucać cień, drugich oblewać sztucznem światłem, ale prawdy dla chwilowych tendencyi nigdy i pod żadnym pozorem poświęcać nie wolno. Spasowicz, który zresztą bliżej tym przedmiotem się nie zajmował, inaczej jednak straty polskie oblicza. Utrzymuje on, nie wiemy na jakiej podstawie, że było „jedenastu zabitych na miejscu, 36 zmarło z ran, 240 ranionych“. W opisie dnia 8 Kwietnia, pomieszczonym w lwowskim „Ruchu literackim“ (r. 1878), którego autor, Zygmunt Gawarecki, znajdował się wówczas na placu Zamkowym, znajdujemy wiadomość, że było około 200 zabitych a do 400 rannych, i ta cyfra wydaje nam się najprawdopodobniejszą.

[1]) „Pamiątka dla rodzin polskich“ podaje 84 nazwiska osób poległych dnia 8 Kwietnia, z których czterdzieści sześć, a więc przeszło połowa należy do najniższych sfer społecznych. Są to czeladnicy rzemieślniczy, oficyaliści prywatni, lokaje, stróże, kucharze, dorożkarze, szwaczki, służące i t. p., z których oczywiście ogromna większość nie wiedziała, po co przyszła na plac Zamkowy i za co zginęła.

[2]) „Kobiety z ludu, pisał korespondent do „Journal de St. Petersburg“, okazywały największą zawziętość. Niektóre pozostały na placu aż do ostatniej chwili. Żołnierze z największą trudnością zdołali je rozpędzić“.

wiać się i wykręcać (wiliat). Mogę się odwołać do wielu tu obecnych.... A przytem strzelać w takiej chwili ślepymi nabojami mogą tylko dzieci!“ Gorczakow nic na to nie odpowiedział. Chrulew był niesłychanie wzburzony, z oczów iskry mu się sypały, a wargi trzęsły, jak w febrze, i w tem wzburzeniu zawołał, że dla ostatecznego uspokojenia miasta należałoby dać sygnał na alarm. Gorczakow chmurny mruknął: „a cóż, każ pan dać sygnał!“ [1]). Nim jednak do tego przyszło, w Zamku zjawił się Wielopolski.

Bolesna zaprawdę i tragiczna głęboko rola wypadła w ów dzień dla margrabiego. Wieczorem miał on u siebie Helcla, który na usilne nalegania Zygmunta Wielopolskiego z wielką niechęcią poszedł do jego ojca [2]). Siedzieli właśnie przy herbacie, na której, jak się zdaje, znajdował się także Enoch, gdy doktór Chałubiński, znany nam już entuzyasta, wzburzony strasznemi scenami na placu Zamkowym, szukając ratunku wszędzie, gdzie można było, wpadł jak szalony i opowiedziawszy w krótkich słowach, co się dzieje, błagał i zaklinał margrabiego na wszystko, by jechał do Zamku dla powstrzymania dalszego krwi rozlewu. Margrabia kazał natychmiast zaprzęgać i szukać swego syna Zygmunta. Wyjeżdżając, rzekł do Helcla:

[1]) Opis tego zdarzenia, malującego w jaskrawych barwach charakter niezdecydowany i chwiejny Gorczakowa, opieramy wyłącznie na relacyi Berga, który je miał opowiedziane przez samego Chrulewa i inne obecne temu osoby.

[2]) Lisicki (Le marquis Wielopolski II, 176) powiada, że Helcel przyjechał do Warszawy „dla złożenia margrabiemu życzeń, by mu się jego zamiary powiodły“ (pour le feliciter du succès de son entreprise). W istocie zaś było całkiem inaczej. Helcel, jak wiemy, jechał do Warszawy, wezwany tam przez margrabiego, który chciał staremu przyjacielowi ofiarować albo tekę sprawiedliwości, albo rektorat Szkoły głównej. Helcel jadąc, dowiedział się w Piotrkowie o zniesieniu Towarzystwa rolniczego, co tak go oburzyło, że chciał wracać do Krakowa, ale że jego rzeczy poszły już do Warszawy, musiał więc za niemi tam podążyć. Znalazł się więc w stolicy wbrew swej woli i do margrabiego iść nie chciał, uległ dopiero naleganiom Zygmunta Wielopolskiego (C. Haller: „A. Z. Helcel w Warszawie“. Przegląd Polski z r. 1883).

„jeżeli nie wrócę, powiesz pan mojej żonie, żem spełnił moją powinność“ (Si je ne reviens pas, vous direz à ma femme, que j'ai fait mon devoir). Pomieszczono się w karecie w ten sposób, że we wnętrzu siadł margrabia, jego syn i Enoch, na koźle zaś dr. Chałubiński, w tym celu, żeby, jako osobistość popularna w mieście, zapobiedz mógł wszelkiej napaści. Sam margrabia uzbroił się w dwa rewolwery. Niebezpieczeństwo w rzeczy samej, w obec rozdrażnienia powszechnego, było wielkie, podróż do Zamku bardzo ryzykowna, i trzeba było liczyć tylko na szczęście, na to, że Wielopolskiego lud jeszcze nie znał i nie wiedział, jak wygląda. Mrok już padał, sklepy wszystkie pozamykane, latarnie niezapalone i tłumy ludności przerażonej, rozgorączkowanej snuło się tam i z powrotem, gdy kareta z Wielopolskim ukazała się na wązkiem Krakowskiem Przedmieściu. Ponieważ dorożki nie jeździły, więc turkot zbliżającej się karety słychać było zdaleka. Nagle rozległ się donośny, ochrypły, zadyszany głos: „trzymaj! trzymaj!“ Za karetą, jadącą cwałem, biegł jakiś człowiek, rękami i kapeluszem machał. Był to niejaki Piotr Umiński, urzędnik Komisyi spraw wewnętrznych, jeden z najczerwieńszych patryotów tej doby, który, spostrzegłszy wyjeżdżającą karetę z pałacu Kazimierowskiego, domyślił się, że wiezie ona Wielopolskiego, więc biegł za nią krzycząc w niebogłosy. Usiłowania jego prawdopodobnie pozostałyby bezowocnemi, gdyż, jak powiadamy, kareta pędziła cwałem, gdyby na wązkiem Krakowskiem Przedmieściu nie była zmuszona zwolnić biegu z powodu gęstej masy ludności, zalegającej całą ulicę. Na krzyk Umińskiego w jednej chwili rzucono się do koni, zatrzymano je, pytając: „kto jedzie?“ Ktoś otworzył drzwiczki i zajrzał do wnętrza, a ztamtąd dał się słyszeć głos, że jedzie delegacya do namiestnika, aby zaprzestano strzałów [1]). „Nie wierzcie pa-

[1]) Gawarecki, świadek naoczny tej sceny, powiada, że zajrzał także do wnętrza karety, i „o ile to w zmroku i przez tłumy rozeznać można było, spostrzegłem jakąś wielką gębę na bryle grubych rozmiarów ciała, jak się wgniatała w kąt karety“.

nowie, zawołał dobiegający Umiński, to Wielopolski jedzie". Przedarł się przez tłum i zajrzawszy do środka, spostrzegł Enocha, któremu był znany osobiście i który mu jeszcze raz oświadczył, że jedzie do Zamku dla powstrzymania rozlewu krwi. Chałubiński ze swej strony, dając się poznać napastnikom, zaklinał się, że jak ojczyznę kocha, tak Wielopolskiego tu niema, że to jest delegacya do Gorczakowa, aby rzezi zaprzestał. Uwierzono tak popularnej osobistości, jaką był wyż rzeczony lekarz, i karetę puszczono, która ruszyła dalej pędem. Zbliżając się jednak do Zamku, musiano znów zwolnić biegu, kamienie ze wszystkich stron padały, szyby na szczątki prysły, a Chałubiński miał kapelusz na głowie całkiem połamany. Zamknięci w karecie, margrabia i jego towarzysze, zostali lekko pokaleczeni odłamkami szkła i kamieniami, obryzgani błotem, które także obficie rzucano. W dodatku wojsko nie chciało przepuścić karety, zatrzymano ją, otoczono piechotą i dopiero wtedy pozwolono dalej jechać, gdy strzały zupełnie ucichły [1]). Starała się też dostać do Zamku deputacya miejska, ze Szlenkerem na czele, ale jej nie puszczono.

Tymczasem Chrulew, otrzymawszy od namiestnika pozwolenie na zaalarmowanie wojska, wśród ciemności co-

[1]) Tak utrzymuje Berg; Lisicki zaś powiada, że Gorczakow na prośbę margrabiego kazał natychmiast zaprzestać ognia. Szczegóły, podane przez Berga, mają za sobą cechę autentyczności. Inne źródła polskie twierdzą, że Wielopolski, przybywszy do Zamku, nie mówił nic, co bardzo oburzyło Chałubińskiego tak, że wyszedł z Zamku i ratował rannych na placu. Prawdopodobnie margrabia nie mówił dla tego, że ogień już ustał i właściwie nie było o co prosić namiestnika. Giller (Aleksander Wielopolski p. 62) utrzymuje, że gdy wkrótce potem przybył Szlenker do namiestnika, i gdy nie mógł go skłonić do wydania rozkazu, ażeby strzelać wojsko przestało, zwrócił się do margrabiego, znajdującego się w orszaku Gorczakowa i prosił w imię ludzkości o wstawienie się do księcia za ludem, Wielopolski ponury i chmurny, na prośbę jego (Szlenkera) nie raczył odpowiedzieć. Relacya ta atoli nie jest prawdziwą, choćby z tego względu, że deputacya obywatelska, ze Szlenkerem na czele (według innych podań miał się w niej znajdować także Kronenberg), nie była wcale dopuszczona do Gorczakowa.

raz bardziej zalegających miasto, ciemności znacznych, bo sklepy pozamykane nie oświecały ulic, a latarnie wciąż jeszcze nie były zapalone, przytem noc była pochmurna, kazał z Zamku puścić dwanaście rakiet. Z szumem, sypiąc iskrami i pękając w górze z łoskotem, błysnęły one, jak ogniste węże i popłoch straszliwy rzuciły na te tłumy, które jeszcze uparcie snuły się po placu Zamkowym i po ulicach przyległych. Co to znaczy? pytano — co to za znak? czyżby z cytadeli miano bombardować miasto? Popłoch wzmógł się jeszcze bardziej, gdy nagle, ledwie zgasły rakiety, z cytadeli, z fortu Włodzimierskiego zagrzmiały strzały działowe, ponurym echem brzmiąc w mieście i w duszach jego mieszkańców. Sześć strzałów było, a potem na ulicach, gwałtownie i szybko opuszczanych przez zbiegowisko, wśród trzasku zamykanych bram, zadudniały kopyta jazdy, pędzącej po bruku całą siłą koni. Race bowiem i strzały działowe były hasłem dla wojsk, stojących po koszarach, by zajmowały różne, przeznaczone im w mieście stanowiska. Wojska oczywiście wiedziały, co się dzieje; do zamkniętych w koszarach dochodziły głuche, zawsze przesadzone wieści. Oczekiwano też alarmu z każdą chwilą, i gdy nakoniec usłyszano grzmot dział i syczenie rakiet, wszystko zerwało się, jak huragan i pognało do nieszczęśliwego, przerażonego i wstrząśnionego do głębi miasta. Ogólna liczba wojsk, znajdujących się wówczas w biednej, krwią zlanej stolicy polskiej, dochodziła do 15.000 — i cała ta masa koni i ludzi, z małym wyjątkiem, wpadła teraz w opustoszałe, jakby martwe i ciche ulice. Jaka żądza pomsty ogarniała to wojsko, jaką umiano w nich wzbudzić nienawiść do Polaków, świadczy niezwykła szybkość ich ruchów po daniu hasła alarmowego. Szwadron żandarmów, stojący w Łazienkach, zjawił się na placu Zamkowym w kwadrans po wypuszczeniu pierwszej rakiety. Siadł więc na koń, sformował się i przebiegł blizko czterowiorstową przestrzeń w stosunkowo niezmiernie krótkim czasie. Batalion pułku Ołonieckiego piechoty, zajmujący pałac namiestnikowski, stanął na Saskim placu wprzódy, nim ostat-

nia rakieta zgasła nad Zamkiem. W czasie tego ruchu szalonego nakazano zapalić latarnie i płomień ich znacznie zwiększyć. Przy tym blasku niezwykłym widok pędzącej cwałem po ulicach jazdy, tętent koni, brzęk szabel, migotanie się hełmów i chorągiewek u lanc ułańskich wywierało straszne, imponujące wrażenie. Wszystko się kryło, uciekało. Świadkowie naoczni opowiadają, że najtęższe nerwy drżały. Miasto zamilkło, jak gdyby ludzie i rzeczy w nim skamieniały.

Jak tylko wojska zajęły przeznaczone dla nich miejsca, natychmiast zaczęły od siebie rozsyłać gęste i silne patrole. Kozacy, czerkiesi, ułani, żandarmi przebiegali ulice, jak szaleni, bijąc batami, tratując i mordując czasem, kogo tylko napotkali. Sześć dział, przy których kanonierzy postępowali z lontami zapalonymi, w asekuracyi dwóch kompanii piechoty, przebiegło krokiem gimnastycznym Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, Marszałkowską i Królewską ulicę. Na placu Zamkowym, Krasińskim, Saskim, Bankowym, na Nalewkach, na placu Zielonym, Trzech Krzyży, w Alei Jerozolimskiej wojsko biwakowało, rozłożywszy ognie, nadając wygląd miastu, jakgdyby szturmem wzięte zostało. Noc ponura i chmurna, domy ciemne i zrzadka tylko oświetlone, pozamykane szczelnie, łuna krwawa padająca od tych ognisk tworzyła kontrasty silne, malownicze, ale pełne grozy.

Oprócz patroli, przebiegających nieustannie miasto w różnych kierunkach, liczne oddziały policyi i wojska rewidować poczęły późną nocą domy, sklepy i klasztory, dla zabierania ranionych i zabitych. Ludność wydawała ich bez najmniejszego oporu, z posłuszeństwem gorączkowem, świadczącem o postrachu, jaki padł na mieszkańców. W domu Andrzeja hr. Zamoyskiego policya znalazła pięć trupów, takąż mniej więcej cyfrę w klasztorze Sakramentek, w cukierni Bellego, w domu przechodnim Roeslera, w resursie i w wielu innych miejscach. Zabierano także ranionych i wywożono do szpitali. Wielu z tego powodu zmarło, w skutek przestrachu nagłego i zimnej nocy. Rozporzą-

dzenie to było barbarzyńskiem pod każdym względem, a nadewszystko całkiem niepotrzebnem, gdyż policya zawsze miała możność zapobieżenia manifestacyi, w razie jeżeliby ranny umarł. Zresztą nikt teraz nie myślał o tem; miasto było strwożone straszliwie. Rewizye po domach i zabieranie trupów i ranionych trwało przez cały następny dzień. W Zamku dla rannych, ściągniętych tam w d. 8 Kwietnia przez wojsko, urządzono szpital tymczasowy, zwłoki zaś poległych pokładziono do furgonów krytych i wywieziono, jakeśmy już powiedzieli, do cytadeli.

Wśród takich wypadków przeszła noc z 8 na 9 Kwietnia, noc pełna widm i trwogi dla obu stron. Jeżeli mieszkańcy ogarnięci byli grozą i przestrachem na widok okropnych gwałtów, jakich się na nich dopuszczano, gdyż policya i wojsko przybrało względem nich dawną zuchwałą postawę i traktowało ludzi najpoważniejszych, jak hultajów ostatnich, to niemniej Moskale przez całą ową noc trwożeni byli przez różne widma i przestrachy, które Makbetowej wyobraźni oficerów i żołnierzy pojawiały się, niby mara krwawa Banka polskiego. Co chwila do tego lub owego oddziału, drzemiącego przy ogniskach, przybiegał żołnierz albo patrol i donosił oficerowi, że Polacy budują na Starem mieście barykady, że tu lub tam odkryto ogromne składy broni i prochu, że przez jakieś oddalone ulice ciągnie na wojsko wielka masa ludzi uzbrojonych. Zwiększano więc patrole, wysyłano zwiady i oczywiście nic podobnego nie znajdowano. Miasto było ciche, głuche i ponure.

Nazajutrz, dnia 9 Kwietnia, fizyognomia Warszawy nie wiele się zmieniła. Warsztaty, biura, sklepy przez cały dzień pozostały zamknięte, jak gdyby lękano się rabunku, i ulice z wojskiem na nich biwakującem miały osobliwszy, jedyny w swoim rodzaju wygląd. Od samego wczesnego rana tłumy ciekawych snuć się poczęły po Krakowskiem Przedmieściu, placu Zamkowym, Senatorskiej i Podwalu, oglądając miejsce katastrofy wczorajszej, przypatrując się biwakom żołnierskim, działom wymierzonym

w ulice i gorejącym przy nich lontom. Patrole konne i piesze bezustanku przebiegały miasto. Ludność zachowywała się poważnie i spokojnie. Przechodzono procesyonalnie chodnikami, przypatrywano się, wzdychano, płakano czasem na widok licznych śladów rzezi wczorajszej. Tu i owdzie na bruku czerwieniała krew zaschła; cały dół domu na rogu Podwala i Senatorskiej był zbryzgany krwią, ściany zryte kulami. Inny dom na Podwalu, wystający nieco na jego środek, w którym mieściła się podówczas cerkiew grecka, a dziś prawosławna, był nadziany kulami i podziurawiony jak rzeszoto, podobnież dom, kończący od Dunaju ulicę Piwną, dom przy Bernardynach i inne. Policya ślady te zacierała, kazała tynkować mury, krew na bruku zmywać i piaskiem lub popiołem zasypywać. Wielu, patrząc na to, ściskało w cichości pięście, kobiety głośno płakały. Ludność była smutna, posępna i mroczna. Opowiadano sobie okropne sceny wczorajsze, tysiące wieści najfantastyczniejszych obiegało. Mówiono, że między poległymi reprezentowane są wszystkie stany kraju, że zginął żołnierz ze straży ogniowej i góral druciarz [1]), że wszystkie prowincye dawnej Polski złożyły swą ofiarę ze krwi, że między zabitymi są Polacy z Królestwa, z Litwy, z Poznańskiego, Galicyi, Białorusi, Ukrainy, Prus i Kurlandyi; że są katolicy, unici, lutrzy i żydzi, że nawet poległ jakiś mahometanin z Litwy. O obchodzeniu się z rannymi powtarzano sobie straszliwe wieści, które, jakkolwiek w większej części nieprawdziwe, znajdowały jednak usprawiedliwienie w okropnych scenach wczorajszych i w brutalnem obchodzeniu się z publicznością patroli, przebiegających

[1]) Ze spisu poległych lub zmarłych z ran, pomieszczonego w „Pamiątce dla rodzin polskich“, przekonywujemy się, że na ogólną cyfrę 84 osób jest 10 akademików, studentów lub uczniów gimnazyalnych, 4 urzędników, 3 obywateli ziemskich, reszta rzemieślnicy lub ludzie nieokreślonych zajęć. Z Litwy znajdujemy zaledwie dwóch zabitych. Żołnierz straży ogniowej, o którym jest mowa w tekście, zmarły z ran w szpitalu św. Rocha i pochowany na Powązkach d. 18 Kwietnia, nazywał się Wilker Władysław.

ulice. Żołnierze byli poprostu rozbestwieni; bili przechodniów, zdzierali im konfederatki z głów lub oznaki żałoby. Koło południa nagromadziło się na Krakowskiem Przedmieściu takie mnóstwo ludzi, że zapełnili ulicę aż pod sam Zamek. Wtedy wystąpiła kompania piechoty i, utworzywszy szeroki front, przeszła aż do domu Malcza ulicę i oczyściła ją tym sposobem z tłumów. Jak w każdem wielkiem mieście, tak i w Warszawie znaleźli się dowcipnisie, którzy, korzystając z podatnego potemu nazwiska Chrulewa, przemieniali pierwszą głoskę na „s“, i tak go odtąd powszechnie nazywano.

Tymczasem w Zamku zajmowano się redakcyą odezwy namiestnika o wczorajszych wypadkach i ułożeniem niektórych nowych przepisów, a sam Gorczakow kreślił telegramy do cesarza. Cesarz odpowiedział, że „rozruchy wczorajsze nie dziwią go wcale, gdyż ich oczekiwał; że spodziewa się, iż porządek będzie przywrócony przy pomocy środków energicznych bez żadnych ustępstw; że jeżeli coś podobnego się powtórzy, należy w mieście ogłosić stan wojenny“. Pytał, czy między aresztowanymi znajdują się główni inicyatorowie i domagał się, by resursa była zamknięta. Na to namiestnik odpowiedział tegoż dnia co następuje: „dotąd w mieście spokojnie. Lud jest bardzo rozdrażniony, a więcej jeszcze przerażony. Obwieszczam nową ustawę przeciw zbiegowiskom. Stanu wojennego nie ogłaszam, trzymam go jako groźbę ostatnią, tem więcej, że faktycznie on istnieje. Między aresztowanymi nie ma głównych inicyatorów, ale są zuchwalcy (niet gławnych zaczinszczikow, no jest nahały). Resursa sama się zamknęła i pozostanie zamkniętą“.

Wszystkich aresztowanych dnia poprzedniego, których liczba dochodziła do siedmdziesięciu osób [1]), wysłano zaraz do Modlina, gdzie mieli być oddani pod sąd i sądzeni na

---

[1]) Gorczakow, zmniejszając wszystko, zmniejszył i tę liczbę w telegramie do cesarza na 45 osób (wziato upornych do 45 czełowiek).

podstawie prawa o zbiegowiskach. Ponieważ prawo to mogło być dopiero d. 9 Kwietnia ogłoszone przez gazety, które w dniu poprzednim z powodu święta nie wyszły, więc nowy dyrektor sprawiedliwości, Wołowski, słuszną pozornie zrobił uwagę, że prawem tem nie mogą być sądzeni aresztowani, gdyż pierwszą zasadą każdego prawa jest to, że ono wstecz nie obowiązuje. Była to opozycya dla opozycyi, boć rzeczą widoczną było dla umysłu najbardziej uprzedzonego, że nowe prawo, wydzierając burzycieli z rąk wojskowych wyrokowań tajnych i oddając ich pod juryzdykcyą sądów cywilnych, wyrządzało im dobrodziejstwo prawdziwe. Ze stanowiska zaś polskiego miało ono jeszcze to wielkie i nieocenione znaczenie, że na miejsce bezprawia i widzimisię pierwszego lepszego kacyka wojskowego kładło prawo. Wołowski zapewne doskonale to rozumiał, ale był rozdrażniony strasznymi wypadkami wczorajszymi, ogarniał go i upajał niezdrowy, trujący dym nienawiści do władzy, która takich czynów się dopuszczała, i w tem rozdrażnieniu, w tej gorączce, usiłował wynaleść jakikolwiek pretekst do usunięcia się z urzędu [1]). Domagał się prócz tego natarczywie, by z mocy prawa obowiązującego były spisane w księgach stanu cywilnego akta zejścia wszystkich osób poległych wczoraj. Domaganie się to zupełnie prawne i usprawiedliwione zaszczyt przynosi Wołowskiemu, ale z góry należało się tego spodziewać, że Gorczakow się na to nie zgodzi. On przeraził się okropnego wczorajszego krwi rozlewu i chciał jego rozmiary ukryć przed wszystkimi. Spisywanie zaś aktów zejścia wykazałoby jak najdokładniej olbrzymią stosunkowo cyfrę poległych. W obec tego Wołowski, na stanowisku Dyrektora Komisyi sprawiedliwości, stawał się niewygodnym i żenującym, i Gorczakow postanowił go usunąć, a dyrektor-

[1]) Lisicki (Le marquis Wielopolski I, 177) powiada, że Wołowski odmówił podpisania ustawy o zbiegowiskach. Jest to pomyłka, gdyż ustawę tę podpisał, domagał się tylko, by wstecz nie obowiązywała.

stwo powierzyć tymczasem Wielopolskiemu, który tym sposobem łączyłby w swej osobie dwie wysokie godności w rządzie, ministra oświecenia i sprawiedliwości. Po pięciu dniach swego dyrektorstwa Wołowski został uwolniony, a jak brzmi ogłoszenie o tem urzędowe: „do innych czynności przeznaczony“ [1]).

Wieczorem tego dnia, gdy się gazety ukazały, publiczność dowiedziała się o tem, odczytywała samą ustawę o zbiegowiskach i odezwę namiestnika do „mieszkańców Warszawy“. Odezwa ta, jak wszystkie tego rodzaju dokumenty, wychodzące z kancelaryi rosyjskich, nie odznacza się ani pięknością formy, ani podniosłością myśli. „Tylokrotne do was odezwy moje, pisze namiestnik, nie odniosły skutku. Dzień wczorajszy was i mnie następującymi wypadkami zasmucił. W dniu onegdajszym już przez dzień cały powtarzały się tłumne manifestacye, które nawet na mój głos głuchemi pozostały“. Opisawszy następnie treściwie przebieg wypadków wczorajszych, tak kończy: „....takimi to czynami ludzie zaślepieni i niepoprawni zaprzątają nas w uroczystych chwilach, poświęconych pracom nad rozwinięciem instytucyi, przez Najjaśniejszego cesarza i króla krajowi temu nadanych. Rada administracyjna uchwaliła względem zaburzeń postanowienie, które wam ogłaszam. Schwytanych wczoraj na gorącym uczynku nie pod surowsze prawa wojenne, lecz pod skutki dzisiejszego postanowienia oddaję, a dochodzenia przeciwko nim według całej ścisłości tego postanowienia prowadzone będą. W Imię Boga, w imię uszanowania dla monarchy, dla porządku towarzyskiego, dla prawa, dla szczęścia i honoru kraju, zaklinam was, upamiętajcie się, a jeżeli i to nowe prawo nie powstrzyma zapamiętałości tych, co was do zguby wiodą, wtedy przymuszonym się ujrzę, po zbyt długiej cierpli-

[1]) Odtąd rząd, a raczej partya wojskowa źle patrzała na Wołowskiego. Skorzystano w jakiś czas potem z tego, że przejęto jego korespondencyą z bratem, sławnym ekonomistą, zamieszkałym w Paryżu i zesłano go w głąb Rosyi, gdzie wkrótce umarł.

wości, ogłosić stan oblężenia, a wtedy dalsze nieszczęścia spadną na głowy zapamiętałych".

Słowa te, nieudolnie wypowiedziane, nie mogły wpłynąć na umysły i nie wpłynęły też na nie wcale; owszem w ówczesnym stanie podrażnienia powszechnego, kiedy nawet ludzie najchłodniejsi wrzeli na myśl gwałtów, jakich rozbestwione żołdactwo dopuszczało się w mieście w dzień biały, mówienie o „uszanowaniu dla monarchy", którego oskarżano o to wszystko, było pomysłem niefortunnym i irytującym.

Oprócz tych wszystkich odezw i doniesień ukazało się jeszcze w gazetach rozporządzenie oberpolicmajstra Rozwadowskiego, zabraniające jak najsurowiej noszenia lasek okutych, znajdowania się po godzinie 10-ej wieczorem na ulicach bez latarki zapalonej i nakoniec pokazywania się rannym na mieście. Rozporządzenie to, w którem tylko ostatni zakaz ma jakąkolwiek racyą usprawiedliwioną, stało się powodem licznych ze strony policyi nadużyć, a ze strony publiczności, zwłaszcza młodzieży, żartów i szyderstw. Aresztowano zaraz nazajutrz mnóstwo osób za laski okute, częstokroć starców zgrzybiałych[1]); latarki zaś dały pretekst różnym dowcipnisiom miejskim do urządzania najrozmaitszego rodzaju żartów. Pewnego dnia np. zjawili się na ulicach pryncypalnych młodzi ludzie, niosący w dzień biały w jednej ręce ogromne latarnie z parasolem zamiast laski, a w drugiej rozkaz drukowany oberpolicmajstra. Zwykle za nimi tłumy ciekawych uliczników biegły. Żartownisie tacy dostawali się do kozy, ale karać ich surowo nie było za co, zwłaszcza, że zawsze znaleźli sposób wytłomaczenia się, więc ich po paru dniach więzienia wypuszczano.

[1]) Dostali się np. do cyrkułu policyjnego za nieposłuszeństwo rozporządzeniu schwytani na ulicy z kijami okutymi: Łaszczyński, gubernator warszawski; Niepokojczycki, prezes Banku polskiego i Enoch. Oczywiście wypuszczono ich zaraz i przeproszono, ale mieli tę przyjemność, że ich policyant prowadził przez ulicę i zapewne zbyt grzecznie się z nimi nie obchodził.

Nazajutrz, d. 10 Kwietnia, miasto przybrało o wiele spokojniejszą postać. Wojsko ciągle biwakowało na ulicach, powznosiło nawet na placach namioty, ale patrole zachowywały się nieco grzeczniej, to jest o tyle grzeczniej, że nie biły batami i kolbami przechodniów. Sklepy pootwierano, i Warszawa powoli przybierała swą fizyognomią dawną i ruchliwą. Tegoż dnia Wielopolski, jako nowo mianowany dyrektor Komisyi sprawiedliwości, wezwał przez cyrkularz urzędników podwładnych, by mu się przedstawili.

Do przybyłych wyszedł z nieodłączną karteczką w ręku i wygłosił sławną swą mowę, jedną z najpiękniejszych i najwspanialszych, jakie kiedykolwiek powiedział. „Ocalony w krwawem niestety! starciu, teraz w nowe prawo uzbrojony porządek publiczny, mówił — w ręce wasze oddać przychodzę; waszą teraz jest rzeczą, abyśmy to dobro społeczne dzierżyli odtąd w pokoju. Porządek publiczny nie może być z dnia na dzień wyżebrywany; ma on być na sobie samym oparty, niepożyty, co chwila samego siebie pewny. Kiedy porządek jest u samowolności, płochości i nieładu na łaskawym chlebie, wtedy wszystko w narodzie nikczemnieje; źródło odwagi obywatelskiej wysycha, znika wszędzie niepodległość zdania, znika swoboda myśli“.

Zaznaczywszy następnie szereg prac, jakich dokonanie na podstawie nadanych reform leżało przed sądownictwem polskiem [1]), zakończył temi słowy, zdradzającemi, że miał pewne dane do obawy o swe życie: „życie moje jest w ręku Bożem. Chociażbym z waszą pomocą tego tylko dokonał, iżbym na podstawie nowo zapadłego prawa porządek publiczny, ten pierwszy warunek wszelkiego na

[1]) „Skutkiem łaskawych nadań Najjaśniejszego Pana, mówił, ważne czekają nas prace; przez usunięcie Komisyi kodyfikacyjnej, reformą i uzupełnieniem prawodawstwa u siebie już zajmować się będziemy; potrzebuje jej zwłaszcza prawo kryminalne. W nowej ustawie o zbiegowiskach znać już w tem ulepszenie, iż postanowione w niej kary mają być w kraju samym, a nie indziej odsiadywane. Prac tych w całej obszerności nie będę mógł z panami dokonać; powołują mnie obowiązki stałego mojego wydziału, którego ogniwem

drodze prawnej postępu narodowego, ubezpieczył i utrwalił, mniemam, iż dobrą o sobie dla dzieci moich pozostawiłbym pamięć".

Słowa te, przepyszne jako utwór najwznioślejszego krasomówstwa, wywołały w publiczności prawdziwą burzę gniewu i nienawiści przeciw ich autorowi. Jakto, wołano, czyż on może się nazywać Polakiem, patryotą? czyż nie rozwiązał Towarzystwa rolniczego? czyż nie zapowiedział duchowieństwu, że rządzić niem będzie surowo? czyż wreszcie nie bierze strony niecnych morderców, którzy napadali i zabijali bezbronnych? Czyż to nie hańba, publicznie się odzywać, że „porządek ocalony został w krwawem starciu?" jaki porządek? więc rząd rosyjski u nas, jego gwałty, ucisk, bezprawia, despotyzm porządkiem się nazywa, a rzeź kobiet i dzieci nosi miano „krwawego starcia?"

Jednem słowem mowa ta, świetna jako dzieło krasomówcze, zaszkodziła niezmiernie wiele margrabiemu. Nawet ludzie zimni, spokojni (wprawdzie takich już teraz nie było wielu, niestety!) dziwili się i oburzali, że margrabia brał na siebie odpowiedzialność za krew przed Zamkiem rozlaną; boleli nad tem, że mąż tak wielkiego rozumu sam podkopuje sobie grunt pod nogami, sam grzebie przepaść, grożącą pochłonięciem i jego osoby i ojczyzny.

W rzeczy zaś samej Wielopolski prawdopodobnie o tem nie myślał, i przyczyna tej postawy, jaką przybrał w obec wypadków 8 Kwietnia, leży wyłącznie w jego charakterze i w jego ambicyi nienasyconej, w chęci pokazania krajowi, że on jest w rządzie wszystkiem, że on jest właściwie rządem. Podjąwszy z radością rzuconą przez Wołow-

połączenia z waszym jest wspólne zadanie utworzenia fakultetu prawnego. Zdołam jednak może przez czas naszego koleżeństwa rozpatrzeć dotychczasowe przygotowania do popraw prawodawczych i uzupełnić te przygotowania. Ku temu liczę na waszą pomoc, na udział doświadczenia sędziów, prokuratorów, obrońców, z których wielu światło i naukę poznać miałem już sposobność. Dzieła całego dopełni zapewne stały mój następca; spodziewam się, iż mieści go w sobie własne wasze grono".

skiego tekę sprawiedliwości, koncentrował teraz w swem ręku dwa wydziały rządu, stawał się istotnie jego osią, i jeżeli nie był wszystkiem, bo o to zawsze w takiej władzy, jak rosyjska, gdzie pierwszy lepszy jenerał ma głos decydujący, jest trudno, to przynajmniej chciał uchodzić za takiego w obliczu Polski i świata. Jego moc duszy niezwykła, upór niepokonany, ambicya nienasycona, dodawały mu zachęty do brania na swe barki potężne odpowiedzialności za wszelkie kroki rządu, choćby te kroki krwią polską były znaczone. W głębi duszy może miał odrazę do tej krwi, plamiącej bruk warszawski, do tych gwałtów, jakie się na ulicach miasta rozgrywały, do tych poruczników, poprzemienianych nagle w kacyków i prokonsulów na manier tatarski, ale ambicya kazała mu zamykać na to oczy, brać za wszystko na siebie odpowiedzialność, bo to, że uchodził za rząd przed krajem, za jedyne słońce władzy, łechtało mile jego dumę. Nieszczęśliwy człowiek, rozum potężny, inteligencya niezwykła i płodna, będąca jednak na służbie instynktów poziomych! nieszczęsny kraj, którym taki człowiek kierować postanowił!

Za mowę w Komisyi sprawiedliwości, za zniesienie Towarzystwa rolniczego, za dzień 8 Kwietnia, posypał się też na margrabiego istny grad listów bezimiennych, przepełnionych groźbami i wymyślaniem brutalnem. Wszystkie dusze małe i nizkie znajdowały pewną rozkosz w tem bezkarnem obrzucaniu błotem olbrzyma, który miał swe słabości, bardzo nawet brzydkie, ale który głową swoją przerastał wszystkich ludzi ówczesnych w kraju, całą tężyznę szlachecką i nieszlachecką. Anonimy te dokuczyły mu tak, że przedstawił namiestnikowi konieczność zamknięcia poczty miejskiej; poparli go w tym względzie inni dygnitarze, którzy nie cieszyli się dobrą opinią ulicy, i którzy także odbierali mnóstwo listów z obelgami. Jakoż w d. 11 Kwietnia poczta miejska „aż do dalszego rozporządzenia“ zamkniętą została. Współcześnie policya wydała nakaz, ażeby wszystkie szynki, kawiarnie i piwiarnie, zwane „bawaryami“, były punktualnie o godzinie 8-ej wieczorem

zamykane; w razie niewykonania tego rozkazu, grożono właścicielowi opieczętowaniem szynku i odebraniem konsensu, czyli prawa na utrzymywanie tego rodzaju zakładów. Wszystko to znamionowało, że rząd energicznie bierze się do rzeczy, ale tylko powierzchownie i z pozoru. Do głębi, do wnętrza tego kotła, który wrzał ciągle i kipiał, nie sięgano, i nikomu naprawdę na myśl to nawet nie przyszło.

Po mieście nie przestało tysiące obiegać wieści, w większej części kłamliwych, ale którym wówczas wierzono, powtarzano je sobie, unoszono się na myśl strasznych nadużyć i barbarzyństw, jakich dopuszczali się Moskale w dniu rzezi. Właśnie w tym czasie, d. 10 Kwietnia, o godz. 9-ej wieczorem, pochowano w cytadeli „na miejscu poświęconem“, jak się wyraża doniesienie urzędowe, koło bramy Michajłowskiej, dziewięciu mężczyzn i jednę kobietę, zabitych na placu Zamkowym. Obrzędu religijnego nad nimi dopełnił ks. Kaczanowski, kapelan naczelny wojska. Niektórzy krewni zabitych byli obecni na tym pogrzebie osobliwszym. Wszystkie trupy wrzucono do jednego dołu, oprócz niejakiego Ringa, syna bankiera, zdaje się żyda, którego pochowano oddzielnie już naprzód dla tego, a potem, że matka jego usilnie błagała, by jej pozwolono choć później przenieść zwłoki do grobu familijnego. Krótką wiadomość o tym pogrzebie podały gazety; i w obec tego słuszne obudziło się pytanie, co się stało z resztą zabitych, gdzie ich pogrzebano i czy ich pogrzebano?[1]). Od d. 8

[1]) Poszukiwania nasze, bardzo staranne, przekonały nas, że w Zamku, jakeśmy to już powiedzieli, złożono 108 trupów, zabitych, lub zaraz po przyniesieniu tam zmarłych. Między nimi było wiele kobiet, z których jedna, wdowa po kupcu, zwracała uwagę straszną swą raną. Miała ona cały tył czaszki zerwany kulą tak, że mózg było widać. Wszystkie te ciała złożone były na odwachu, pod daszkiem, jaki się tam znajduje, i w nocy wywieziono je w furgonach wojskowych i pochowano potajemnie w rowie cytadeli. Urzędowy zaś pogrzeb 9 osób odbył się w parę dni później, widocznie dla potwierdzenia relacyi namiestnika o takiej ilości zabitych.

Kwietnia bowiem rozchodziły się głuche pogłoski, ścinające krew w żyłach słuchaczy, że większą część poległych i ranionych żołdactwo rozwścieczone wrzucało do Wisły, obdarłszy ich wprzódy doszczętnie. Powtarzano sobie jako fakt niezbity, że rybacy i właściciele berlinek, znajdujących się wtedy na rzece, widzieli to na własne oczy; że po kilka trupów wiązano razem, że nie zważano, czy kto jeszcze żyje lub nie, tylko wleczono i wrzucano do wody. Opowiadano sobie o jakimś rzeźniku z prowincyi, który, odzyskawszy w zimnej kąpieli przytomność, zdołał się ocalić; dostał on się naprzód na berlinkę, a ztąd czółnem odwieziono go na Pragę. Mówiono, że w Młocinach, pod Bielanami, w Zakroczymiu i Płocku Wisła wyrzucała na ląd trupy strasznie pokaleczone [1]).

Wieści te, bardzo naturalny wynik powszechnego wzburzenia umysłów, znajdowały wszędzie chętne i wierzące ucho, a w miarę oddalenia od Warszawy przybierały rozmiary coraz szersze i coraz nieprawdopodobniejsze. Cały kraj z chciwością chwytał wszelkie pogłoski, i groza, oburzenie przechodziło wszelkie granice. Tu i owdzie przybrało ono nawet formę czynu. W Płocku, nazajutrz po „krwawem starciu“ warszawskiem, przez jeden z tych dziwnych objawów, jakie zawsze spostrzegać się dają, ilekroć stanie się fakt interesujący wszystkich, wiedziano już w za-

[1]) Według wieści, dość rozpowszechnionej w Warszawie, trupów topić miano nie z Zamku, ale z cytadeli. Autor znał pewnego stolarza, który opowiadał, że zdjęty ciekawością, późną nocą udał się z Solca, gdzie mieszkał, ponad Wisłą ku Zamkowi. Przybywszy koło godz. 1-ej w okolice Maryensztadu, usłyszał liczne głosy moskiewskie, jęki, krzyki i głuchy, nieustannie powtarzający się plusk wody. Z powodu ciemnej nocy i bardzo naturalnego przestrachu Borzęcki nie dotarł do miejsca, z którego te jęki się rozlegały, ale przekonany był i jest (jeśli dotąd żyje), że topiono w Wiśle trupów i rannych. Przekonanie to zresztą powszechnem jest do dziśdnia wśród ludności warszawskiej. W Zakroczymiu, w jakiś czas po 8 Kwietnia, Wisła w rzeczy samej wyrzuciła trupa obnażonego mężczyzny, ze złotym pierścieniem na palcu. Trup był zepsuty i uważano go ogólnie za ofiarę rzezi kwietniowej.

rysach niejasnych i mocno przesadzonych o wypadkach na placu Zamkowym. Na statek parowy, mający przybyć ze stolicy, tłumy oczekiwały na brzegu Wisły, pragnąc zasięgnąć bliższych wiadomości od przybywających. Wśród tych tłumów, w powszechnem wzruszeniu i przerażeniu, urodziła się nagle pogłoska, że wojsko lada chwila się zjawi i rzeź wśród zebranych zrobi. Pogłoska ta tak się rozeszła, tak ogólną znalazła wiarę, że kilku obywateli najznaczniejszych udało się do gubernatora cywilnego Bońkowskiego i wyjednało od niego pozwolenie na utworzenie Delegacyi obywatelskiej, mającej na celu utrzymanie porządku w mieście. Przy tej sposobności wybito okna u jednego z patronów miejscowego Trybunału, który żył w wielkiej przyjaźni z jenerałem Poźniakiem, dowodzącym garnizonem płockim, i tego dnia wyprawiał u siebie wieczór. Krótkie jednak było istnienie tej improwizowanej i spóźnionej nieco Delegacyi; teraz nie były już takie czasy, by pozwolono na egzystencyą podobnego ciała. W parę dni potem zjawił się przysłany z Warszawy jenerał Szepielow i Delegacyą rozwiązał, resursę zamknął i zakazał procesyi publicznych.

Do rozpowszechniania się tych wieści, tych jaskrawych, w większej części nieprawdziwych lub przesadzonych mocno pogłosek, przyczyniały się bardzo wiele gazety zagraniczne, tak polskie jak i obce, które, posiadając w Warszawie niekompetentnych, albo też ze złą wolą piszących korespondentów, Bóg wie jakie historye rozpuszczały. „Dziennik poznański“ np. z najlepszą wiarą utrzymywał, że dnia 9 Kwietnia Warszawa wystawioną była na rabunek, który dopiero o godzinie 5-ej wieczorem ustał na odgłos bębna; „Czas“ donosił, że wyszło rozporządzenie, nie dozwalające więcej jak stu osobom naraz wchodzić i modlić się po kościołach; inne gazety twierdziły, że na miasto nałożona została wysoka kontrybucya na utrzymanie wojska; „Breslauer Ztng“ zapewniała, że z Modlina wypuszczono czterech ludzi, najbardziej skompromitowanych w manifestacyi d. 8 Kwietnia, a wypuszczono dla-

tego, że byli ajentami partyi nieprzyjaznej Polakom; coby to była za partya, gazeta nie objaśniała. „Journal des Debats“ utrzymywał, że rano d. 8 Kwietnia wyrobnicy i rzemieślnicy warszawscy ciągnęli pomiędzy sobą losy, który z nich ma iść na śmierć. Tego rodzaju wieściami przepełnione były gazety zagraniczne, które, dostając się kontrabandą do kraju, czytane były chciwie, wierzono im zupełnie i w skutek tego przyczyniały się mocno do wzburzenia umysłów. Najniedorzeczniejsze podanie znajdowało wiarę, tak że w końcu rząd w Warszawie zmuszony został do zaprzeczania im publicznego. Ponieważ jednak nie posiadał w kraju ani organu własnego, ani też takiego, któryby gotów go był popierać, musiano z potrzeby, w braku czego lepszego, uciec się do „Gazety policyjnej“, świstka, wydawanego przez zarząd policyi warszawskiej, trzymanego z obowiązku przez wszystkich właścicieli domów, mieszczącego w sobie rozporządzenia wzmiankowanej władzy i inseraty, nie czytanego wreszcie, nie mającego żadnego znaczenia politycznego i literackiego. Śmieszną więc była do pewnego stopnia polemika z najpoważniejszymi dziennikami zagranicznymi takiej „Gazety policyjnej“, ale na to nie było już rady. Poczęto więc tam pomieszczać sprostowania wieści, podawanych przez pisma zakordonowe, ale brano się do tego nie bardzo zręcznie i nie zawsze z dobrą wiarą [1]). „Ludność miejscowa, pisała gazetka, wie dobrze, czego się trzymać pod tym względem, lecz ponieważ opisy takowe mogą się dostać na prowincyą i tam niepokoić umysły, obowiązkiem przeto jest sprostować ich mylność“. Sprostowania te jednak, powtarzamy, nie były zawsze czynione z dobrą wiarą. Gazetka uparcie zaprzeczała temu, żeby d. 8 Kwietnia miało poledz więcej, jak dziesięć osób. „Cyfra poległych w tym dniu, powiada, nie wynosi więcej nad dziesięć osób, jak to w ogłoszeniu urzędowem podanem zostało. Wszyscy pogrzebani zostali według

[1]) Według „Czasu“ sprostowania te i zaprzeczenia miał redagować Karnicki. Podania tego sprawdzić nie mogliśmy.

obrządku swej religii. Nie potrzebujemy dodawać, że żaden trup do Wisły wrzucony nie został. Co do rannych w tym dniu, wbrew twierdzeniu „Czasu“, wszyscy są pielęgnowani w szpitalach albo na łonie rodzin, za tem idzie, że pierwsi mogą być odwiedzani przez swych krewnych i przyjaciół i że nie zbywa im na pomocy lekarskiej“. Sprostowania takie chybiały więc celu; dopuszczając się kłamstwa o takim fakcie niezaprzeczonym, jak liczba poległych d. 8 Kwietnia, „Gazeta policyjna“ i co do innych zaprzeczeń, choćby opartych na prawdzie, nie wzbudzała już w nikim wiary. Nie czytano więc jej, śmiano się i szydzono z jej zaprzeczeń, a dzienniki zagraniczne, chwytając ją na gorącym uczynku kłamstwa w sprawie poległych, pytały z tryumfem: „czyż w obec tego można wierzyć zapewnieniom Gazety policyjnej?“ [1]). Środek ten, po którym można było, i słusznie, spodziewać się skutków jak najlepszych, chybił, dzięki stale przez rząd rosyjski praktykowanemu zwyczajowi ukrywania prawdy, wszystkim zresztą wiadomej.

Poza tą polemiką, bezcelową zupełnie i drażniącą tylko, gazety zagraniczne, zwłaszcza poważniejsze, nie przestały domagać się, by mocarstwa zachodnie wmięszały się w sprawy polskie. „Daily News“, organ lorda Russel, pisał,

[1]) Przyszło do tego, że dziennik „Głos“, wychodzący we Lwowie pod redakcyą znakomitego powieściopisarza Kaczkowskiego, wezwał rząd rosyjski w Warszawie, ażeby zaprzeczył następującym okolicznościom: 1) że dnia 8 Kwietnia krzyż został połamany: 2) że księdza, który go niósł, zrąbano; 3) że zabroniono pieśni religijnych po kościołach; 4) że zakazano wiernym odwiedzać w znacznej liczbie świątynie Boże. „Wszystkim tym kłamstwom, odpowiada „Gazeta policyjna“, jak najkategoryczniej zaprzeczamy. Co do wiadomości pod № 4, poprzednio już fałsz jej wykazaliśmy. Co się zaś tyczy krzyża, ten nie był niesiony przez księdza, ale przez znanego demagoga, który go połamał sam o głowę jednego z żołnierzy. Demagog ten został przytrzymanym i jest w Nowogieorgiewsku osadzony. Ponieważ zaś krzyż nie był niesiony przez księdza, nie potrzebujemy dodawać, że żaden ksiądz nie został zrąbany. Rząd nie zabrania po kościołach śpiewów religijnych, lecz śpiewów buntowniczych, i bez wątpienia, żaden rząd w Europie nie mógłby takowych dozwolić“.

że „reformy, jakie przed kilkoma tygodniami przyrzekł Aleksander II-gi nieszczęśliwym Polakom, w obec ostatnich wypadków, są poprostu złudzeniem; chciano tylko zyskać na czasie i nic więcej, a dziś maska już zrzucona, i od tej chwili zaliczamy Aleksandra II-go do rzędu tyranów i ciemiężców rodu ludzkiego. Obowiązkiem zaś każdego oświeconego narodu w Europie, każdego rządu liberalnego, będzie przeszkadzać jego okrutnym, niesprawiedliwym i barbarzyńskim zamiarom. Śmiało rzec można, że przez ostatnie wypadki rozmyślnie zrobił rozbrat z opinią publiczną w Europie, zburzył do szczętu sympatyą, jaka się objawiła przy jego wstąpieniu na tron i towarzyszyła jego działaniom dalszym. Nie dosyć na tem, oderwał on się stanowczo od państw zachodnich, a to w chwili, w której tak on, jak każdy inny despota, nie powinien się ważyć na utratę sympatyi i przyjaźni tych państw. Długo Anglia i Francya przyglądały się w milczeniu wszelkim zbrodniom politycznym, dokonywanym na narodzie polskim. Ale już minął czas postępowania karygodnego; Rosya niech będzie przekonaną, że mocarstwa zachodnie nie ścierpią, aby zbrodnie podobne się powtarzały“.

Te puste słowa, te frazesy pięknie brzmiące, ale czcze, którymi przesycono nas od stu lat, które były monetą zdawkową Europy, płaconą niedoli i łzom polskim, czytano chciwie, tłomaczono je, przepisywano i rozpowszechniano po kraju całym wszelkimi możliwymi sposobami i drogami. Bawiąca w tym czasie w Paryżu księżniczka Janina Czetwertyńska, słynna piękność i słynna fortepianistka, entuzyastka, natura romantyczna, zarzucała kraj listami, w których opowiadała słowami pełnemi przesady i kobiecej gadatliwości o wrażeniu, jakie wypadki warszawskie robią na Francyą, na Paryż, a nadewszystko na dwór Tujleryjski, budziła nadzieje, słodkie złudzenia, tak zgubne niestety! dla kraju [1]).

[1]) Właśnie w tym czasie począł obiegać po kraju jeden z takich listów Czetwertyńskiej, opowiadający w tonie czułostkowym

Największe jednak, najpotężniejsze wrażenie wywarł Hercen, pomieściwszy w swym „Kołokole“ opis wypadków 8 Kwietnia p. t. „Mater dolorosa“, którem to imieniem oznaczał Polskę. „Hańba! hańba! — woła — co za wzniosłość, co za poezya! te kobiety w żałobie, ten pocztylion grający „Jeszcze Polska nie zginęła!“; ten widok prawdzi-

---

i niezdrowym o przyjęciu, jakiego doznała na dworze cesarskim. „W zeszły piątek — pisze księżniczka — wezwano nas do dworu. Wczoraj stawiłyśmy się na to zaproszenie, gromadzące niezliczone grono, do mniejszych apartamentów cesarzowej, gdzie grano komedyą. W tem wybranem towarzystwie dworskiem znajdowali się ministrowie, ambasadorowie, naczelnicy główni wojska, marszałkowie, dyplomaci i wielkie damy. U drzwi powitała nas cesarzowa, a serdecznie uścisnąwszy obie ręce moje, dziękowała mi za książkę „Miesiąc Maryi“, którą jej imieniem księży emigrantów ofiarowałam. Przy tej książce był list, skreślony pod wrażeniem smutku ciężkiego, z prośbą o współczucie dla nas. Na ten list mój w jej oczach czytałam odpowiedź. Serdeczne słowa cesarzowej podobały mi się, okazując, ile zajmuje ją nasze nieszczęście. Książę Baciochi usadowił nas w pierwszym rzędzie za cesarską familią, która zajęła niebawem swe miejsca. Księżna Klotylda serdeczne uśmiechy posłała ku mnie, gdyż córka Emanuela jest wylaną dla nas opiekunką. Wszedł i cesarz. Ukłon jego ku mnie był pełen poważnego smutku. Oczy Kisielewa obejrzały strój mój żałobny; czułam zwróconą na siebie uwagę, a w głębi ducha nie przestawałam się myślą odnosić do Boga. Po komedyi przeszliśmy do innej sali; rozmawiałam z osobami, należącemi do różnych ministerstw i krajów; każdy miał dla mnie jakieś dobre, dodające otuchy słowo. Wtem rozstąpił się tłum, zalegający mały salon cesarzowej, i wszedł cesarz. Koło ogromne roztoczyło się przed nim, rzucił okiem na moją stronę i, zamieniwszy słów kilka z poważną jakąś damą, wziął szklankę ponczu z tacy, niesionej przez służącego, a wzniósłszy ją, z boku uśmiechnął się do mnie, skinął powoli głową i wychylił. Ten niemy toast pełen powagi zdawał się być ofiarowanym ku spełnieniu życzeń moich. Takie toasta są w zwyczajach angielskich. Spojrzano na mnie, czy widzę tę łaskę cesarza; jam tylko skinieniem głowy zdaleka na nią odpowiedziała. Zbliżył się wtedy, a wyciągnąwszy rękę, uścisnął moją z ojcowskiem, że tak powiem, współczuciem. Ja byłam wzruszona jako kobieta; w obec kraju, w obec uczuć polskich, zamarły inne we mnie. Stałam uzbrojona w całą powagę ojczyzny, i jako Polka drżałam z natężenia umysłu ku temu, co mogło poprzeć sprawę narodową. Ponieważ cesarz z damami rzadko mówi, z dziewczętami nigdy, oczy

wie średniowiecznych tłumów, klęczących u stóp Madonny, w obec dzikich zwierząt, w obec rozkiełznanych żywiołów ludowych. Czytaliście to Aleksandrze Mikołajewiczu? Takich okropności nie znajdziesz nawet w balladach Żukowskiego. Jeżeli to wszystko stało się mimo twej woli, to wykryj winnych, ukarz złoczyńców, oddaj ich pod pręgierz,

---

wszystkich zwróciły się na mnie. Ciekawi czytali na mojem czole. To też dla tego nie chciałam, aby myślano, że uginam to czoło. O! wcale czułam się dumną i zdawało mi się, że najszczęśliwsze narodowości są niczem w porównaniu z narodowością polską, ukoronowaną klejnotami łez męczeńskich. Łaska cesarska zawsze przyciąga dworaków: jest magnesem do osoby, na którą się zlewa. Otoczono mnie, starano się wybadać, ale ja mówiłam tylko, że zawsze uprzejmym jest dla mnie cesarz i t. d. Niebawem znalazł się koło mnie pan de Persigny; po zwykłych kadzidłach pochlebstwa, których niecierpliwie końca czekałam, rzekł mi z cicha: „pani mówiłaś do cesarza o Polsce, wszak prawda? ja to na twarzy pani wyczytałem“. — „Mówiłam, odpowiedziałam na to, i mówiłam śmiało“. — „Dobrześ pani zrobiła i nie mogę tego dość pochwalić; słowa prawdy i uczucia wielką mają moc w sobie“. — „Pan hrabia nie masz mi nic pocieszającego do powiedzenia, nie widzisz w swojej głęboko dyplomatycznej głowie końca świetnego sprawy polskiej?“ Zamyślił się Persigny i spojrzał mi w oczy; w oczach moich była łza, świeżo wywołana słowami cesarza, i którą wewnętrzne wzruszenie zrodziło. Łzę widząc, łzę polską, nie mógł minister odmówić odkrycia ważnej, nader ważnej tajemnicy żądanej, i takową w zaufaniu powierzył mi. Strach, aby ten list nie był przejęty, wstrzymuje serdeczną chęć moją podzielenia z wami, bracia, tego co wiem, i rozdania między was każdego listka z mojej gałązki nadziei; przyjaźń Rosyi i Francyi już mnie nie przerażą. Niebawem bowiem Europa cała wstrząśnie się z letargu i my obudzim się dla szczęścia. I z wielkiej burzy świata wypadnie grom. Ten grom będzie wolność słowiańska od Baltyku do morza Czarnego. Co do pism publicznych, oddają one nam największe przysługi. Pan de la Sire pisze historyą Warszawy. Sławny to i wielce szanowany autor. Między senatorami tutejszymi panuje pewność o naszem przyszłem istnieniu; proroctw wiele, a wszystkie niosą nam w darze obietnice radości. Co do mnie, wierzę najmocniej i najniezachwianiej, przez dyplomacyą serca, iż Polska być musi. Dochodzą mnie tu czasami listy bezimienne, rzewnie pisane, które radują mnie niepomału. Bogu codziennie dziękuję, iż raczył mi dać miłość ludzką; prawda, że jeszcze niczem ojczyźnie się nie przysłużyłam, ale chęci są gorące i Bóg je widzi i t. d.“.

albo.... zdejm koronę i idź do monastyru na pokutę; dla ciebie niema już czystej sławy, ani spokojnego sumienia! Wystarczyło ci czterdzieści dni, żeby z największego cara Rosyi i oswobodziciela ludu zostać prostym katem, mordercą. Przez promienie sławy przeświecają nieraz oskarżające plamy krwi, ale sława, pokryta krwią podle przelaną, cuchnie wiecznie. Tak, podle przelaną, nie przemówiłem się wcale. Cóż innego znaczą owe ustępstwa? Kiedy Gorczakow, jak słowik, kochanek róży, nucił czule i zawodził tryle o łaskawości cara i jego miłości dla narodu polskiego, to car, uśmiechając się i przyklaskując dobrodusznie narodowi, w tym samym czasie skrycie wyprawiał Chrulewa. Kto to Chrulew? czem on jest? Chrulew! dlaczego wybór padł na niego? czy on był znany ze swej biegłości w prawach polskich? czy jako dzielny administrator? czy jako mąż stanu? Nie, on znany był tylko jako jenerał sewastopolski. Na cóż był potrzebny znakomity wojownik do reform krajowych i miłości carskiej? I wam się zdaje tam nad Newą, że to krętactwo ciągłe jest rozumem dyplomatycznym (die hohe diplomatische Kunst), wyście radzi może z tego zręcznego oszukaństwa?... Za taki rozum dyplomatyczny w życiu prywatnem w Anglii wieszają, a we Francyi łby ścinają. I tylko czterdzieści dni! Czemu ten człowiek nie umarł w dniu, w którym był ogłoszony ludowi rosyjskiemu manifest oswobodzenia?“ [1]).

Słowa bez zaprzeczenia silne i piętnujące rząd rosyjski jak rozpalonem żelazem, ale tak one, jak i im podobne najgorszą przysługę wyrządzały Polsce. Budząc przekonanie fałszywe, że świat cały zajmuje się Polską, że wcześniej czy później mocarstwa zachodnie wmięszają się w jej sprawy, zachęcały one do wytrwania na drodze opozycyi

[1]) W innem miejscu woła do cara: „Sire, pas des réveries! pas des réveries! straciłeś Polskę. Mogłeś stanąć na czele ruchu słowiańskiego, mogłeś wskrzesić Polskę bez kropli krwi, wolałeś austryjackie dragonady. Pas de réveries, sire! straciłeś Polskę t. j. żywą, zarżnięta może pozostać trofeem zwycięzkiego wojska waszej cesarskiej mości“.

i manifestacyi. Jeżeli atoli ogół polski takie miał przekonanie i odpowiednio do niego postępować zamierzył, to starszyzna narodu, za jaką miała się grupa, otaczająca Zamoyskiego, jednem słowem Komitet Towarzystwa rolniczego, nie przestawała za rozwiązanie tego Towarzystwa potępiać Wielopolskiego. Ich nie wiele w gruncie rzeczy obchodziły wypadki 8 Kwietnia; że tam „kanalii“ dali Moskale nauczkę, to dobrze zrobili, ale gniewało ich porwanie się na taką instytucyą, jak Towarzystwo. Nie zapominając ani na chwilę o tem, że zniesienie tegoż im samym korzyść największą przyniosło, właśnie dla tego jak najgłośniej wyrażali swe oburzenie, pozowali na ofiary, żeby ukryć prawdę i wewnętrzną swą radość. W obec takiego położenia rzeczy Wielopolski, usiłując prywatnie tego i owego przekonać o konieczności swego postąpienia, mówiąc do swych blizkich: „nie śpieszcie się z sądem“ (ne hâtez pas vôtre jugement), uznał wszelako za stosowne wytłomaczyć się przed krajem i opinią, dlaczego rozwiązał Towarzystwo rolnicze. W tym celu, w dniu 12 Kwietnia, przesłał dziennikom warszawskim komunikat, na pół urzędowy, pełen zaiste ciekawych motywów i, właściwej prawie zawsze Wielopolskiemu, sofistyki.

„Czyn ważny rozwiązania Towarzystwa rolniczego, pisze, rozmaicie jest uważany; najzdrowiej może przez samych członków byłego Towarzystwa, bliższych jego ogniska, zapewne skutkiem wyrobienia zmysłu politycznego, jaki u nich widzieć się daje; inaczej zaś przez osoby, dalej od ogniska, lub za obrębem działań Towarzystwa stojące“. Zaznacza, że Towarzystwo, skutkiem nadanego mu kierunku („przez wrażony mu kierunek“), oraz skutkiem okoliczności, zajmowało się w czasach ostatnich jak najmniej rolnictwem, a natomiast stało się zgromadzeniem, popierającem cele polityczne i prawodawcze i „ztąd uważało się coraz więcej, a *de facto* słusznie poniekąd, za rodzaj reprezentacyi kraju“. — „Lecz im bardziej ono podnosiło się i wyrabiało do tego *quasi* reprezentacyjnego przymiotu, tem bardziej gotowało sobie losy, jakim zgro-

madzenia reprezentacyjne z istoty swojej ulegają. Uwaga na zgromadzenia reprezentacyjne w krajach, gdzie instytucye publiczne najbardziej są wyrobione, okazuje nam, że rozwiązanie zgromadzeń reprezentacyjnych jest od ich istoty nieodłączne, a nawet, że doskonałość i godność ich okazuje się właśnie w ich rozwiązaniu, to jest w zrównoważeniu się z każdą nową sytuacyą ciała towarzyskiego, którego są organem".

Była to sofistyka w gruncie rzeczy kłamliwa i mająca pozór szyderstwa z upadłego Towarzystwa. Towarzystwo bowiem nie było faktyczną reprezentacyą kraju, a jeżeli nią zostało, zawdzięczało to tylko swej powadze moralnej; nie było parlamentem, bo jeżeli rozprawiało o kwestyi włościańskiej, to naprzód ta kwestya ściśle z rolnictwem była złączona, a potem sam rząd kazał mu się nią zajmować; nakoniec zajmowanie się to miało charakter czysto platoniczny i uchwały Towarzystwa, wyrażając tylko opinią jego większości, nie miały dla rządu mocy obowiązującej. Wszystko to wiedział Wielopolski, i porównywanie Towarzystwa do parlamentu było rodzajem żartu dotkliwego i zjadliwego. Zresztą, wołano, każden parlament można rozwiązać, to prawda, ale zarazem trzeba nowy zwołać, a gdzież jest to zwołanie? Obietnica jakichś komicyów rolniczych, wygłoszona niejasno i niestanowczo, nie budziła żadnego zaufania i w rzeczy samej została próżną tylko obietnicą, uchwałą na papierze, jak tyle praw i przepisów w państwie rosyjskiem.

„Towarzystwo rolnicze, pisze dalej Wielopolski, w ostatniej swej postaci było olbrzymim, chaotycznym utworem zmięszanych żywiołów, rolniczego i prawodawczo politycznego. Zdrowa organizacya instytucyi kraju każe roztworzyć zamęt przez rozdział żywiołów. Element rolniczy Towarzystwa oddzielony teraz zostaje od politycznego, w liczbie mnogiej występuje w zebraniach rolniczych. W krajach zachodnich znane są takie lokalne zebrania z celem wyłącznie rolniczo-naukowym. We Francyi pod nazwą *Comices Agricoles* istnieją one po departamentach,

lecz każde z nich ma miejscowy swój obręb czynności, nie dopuszczone jest między niemi kojarzenie się w jedno centrum ogólne. Starannie przestrzegają prefekci, aby nie przekraczały swych atrybucyi. Rząd tamtejszy nie zniósłby towarzystwa prywatnego w takim rozmiarze, iżby przewagą masy i siły, mniej albo więcej rozważnie, według woli tamowało swobodę ruchu ciał konstytuowanych, czy to administracyjnych, czy politycznych. Pierwiastek polityczny, przez Towarzystwo przybrany, odtwarza się w organizacyi Rad gubernialnych i powiatowych, i w tej dopiero postaci staje się prawdziwie reprezentacyjnym, bo z wyborów idącym, co nie miało miejsca w Towarzystwie; lecz do tych Rad wchodzący, czyż nie będą po większej części byli członkowie Towarzystwa rolniczego, już nie jako tacy, lecz jako wybrani przez współobywateli z pomiędzy najczęściej członków byłego Towarzystwa?“

„Nakoniec dawne ognisko całego utworu, zawarte w byłym komitecie i w ogólnych zebraniach w Warszawie, odnawia się uzacnione w nadanej Radzie stanu“.

„Teraz o jednym jeszcze zarzucie: mówią, że należało naprzód te wszystkie nowe instytucye w wykonanie wprowadzić, a potem dopiero Towarzystwo rolnicze rozwiązać. Wychodzi to na to samo, jak gdyby kto pod rozwiniętemi instytucyami politycznemi przezornie twierdził, iż naprzód trzeba zwołać nową izbę lub ciało prawodawcze, a potem dopiero dawne rozwiązać. Towarzystwo rolnicze nierozwiązane byłoby tamą i przeszkodą do wprowadzenia nowych instytucyi; byłoby nią właśnie przez to, co w sobie wyrobiło najlepszego, przez ową silną subordynacyą członków pod zwierzchni kierunek komitetu, co Towarzystwu zaraz na sam zawiązek i tworzenie się nowych instytucyi zbyteczny wpływ nadawało. Towarzystwo rozwiązane staje się w tylu znakomitych swoich członkach żywotną skarbnicą dla nowych instytucyi. Że tak uważa je władza, okazało się już w powołaniu mężów zaufania do kwestyi włościańskiej przy Komisyi spraw wewnętrznych, okaże się niebawnie w powołaniu mężów do udziału zdania

nad organizacyą Rady stanu, prawdopodobnie okaże się w składzie nowej Rady wychowania narodowego, nakoniec w składzie samej Rady stanu".

Na tem kończył się komunikat Wielopolskiego. Napisany zwykłym margrabiemu stylem ciężkim i zawiłym, jest, jakeśmy to zauważyli, jednym sofizmatem, usiłowaniem obronienia czynu, który przekonanie wewnętrzne autora potępiało. Sama ta obrona wreszcie świadczy, że Wielopolski w głębi swego sumienia czuł, że źle postąpił i usiłował szeregiem rozumowań naciągniętych obronić swój krok, nie tyle może przed ogółem, ile przed sobą samym. Że Towarzystwo stanowiło ze swą organizacyą, ze swą siecią korespondentów i członków, instytucyą, mogącą sparaliżować wszelkie rządy w kraju, to nie ulegało kwestyi; ale dla odjęcia mu mocy szkodzenia były inne środki, a nadewszystko samo rozwiązanie było zawczesne. Rezultat zresztą tego postępku pokazał najlepiej, że się Wielopolski omylił, że przez rozwiązanie Towarzystwa zamiast osłabić ruch rewolucyjny w kraju, o co pozornie szło mu niby głównie, owszem wzmocnił go jeszcze bardziej, jak tego dowodzą wypadki późniejsze.

Kiedy Wielopolski usiłował drogami pozornie legalnemi, w gruncie jednak rzeczy budzącemi większy tylko niepokój i rozdrażnienie, złamać ruch rewolucyjny, rząd rozwijał w dalszym ciągu system surowości i zakazów. Cesarz, który nakoniec otrzymał koło 13 Kwietnia, a więc w pięć blizko dni, raport szczegółowy od Gorczakowa o wypadkach warszawskich, pisał: „oby Bóg dał, żeby lekcya wymierzona ludności warszawskiej d. 27 Marca (8 Kwietnia) odjęła jej ochotę do podobnych zbiegowisk. Żądam, ażeby przy pierwszem ich powtórzeniu stan oblężenia był ogłoszony tak w Warszawie, jak i na prowincyi". Gorczakow zapewniał, że w razie najmniejszych rozruchów ogłosi stan wojenny, jakkolwiek sądził, że to nie nastąpi prędko, „gdyż tutaj wszystko widocznie się uspokaja". Policya oprócz wydanych już rozporządzeń, zabraniała nosze-

nia przy ubiorach oznak odznaczających [1]), wszelkich ubiorów niezwykłych i żałoby, noszenia kijów już nie tylko okutych, ale i z ołowianemi gałkami; kupcom jak najsurowiej polecono pochowanie z wystaw materyi żałobnych, kobietom publicznym nakazano ubierać się jaskrawo; nakoniec dyrektor Komisyi spraw wewnętrznych Giecewicz rozesłał pod d. 11 Kwietnia okólnik (za № 11,921/6570) do wszystkich gubernatorów. W okólniku tym poleca im usilnie, aby starali się o przywrócenie porządku, bo tylko wtedy instytucye świeżo nadane, zapewnić mogą pomyślność kraju. Nakazuje, aby gubernatorzy wpajali w urzędników przekonanie o potrzebie wykonywania ścisłego swych obowiązków; żeby ludzie nieudolni i bez energii byli z urzędów wydaleni, tym zaś, coby sprzyjali „szkodliwym zamiarom“, dawać dymisyą i karać; delegacye miejskie, gdzieby jeszcze były, natychmiast rozwiązać, „porządek bowiem polegać winien na władzach rządowych, przy współdziałaniu w razie potrzeby siły zbrojnej“; że należy zamknąć resursy; wszelkie zgromadzenia przybierające charakter polityczny nie powinny być cierpiane; ludzi szkodliwych i podejrzanych należy aresztować; że wreszcie namiestnik życzy sobie, ażeby urzędnicy wpływali na mieszkańców, by ci z wojskiem w pośród nich kwaterującem żyli w zgodzie, zapewniając, że wojsko zachowa się spokojnie.

Okólnik ten, jak wszystkie okólniki rządowe w tym czasie, nie miał przynieść żadnego pożytku. Odwoływanie się do urzędników, którzy stanowili klasę najbardziej zrewolucyonizowaną, może nie tyle w skutek przekonania wewnętrznego, ile w skutek rzetelnie polskiej uległości swym żonom, córkom i synom, było bezpłodnem. W tej porze zwłaszcza, na skutek muzyk kocich i przestrachu, jaki one

[1]) We Lwowie, jeszcze dnia 5 Kwietnia, policya zabroniła: „kokard żałobnych, polskich orłów, wstążek trójkolorowych do zegarków, krawatek, kokard, fontaziów, lasek z siekierkami, buzdyganów i wszelkich oznak politycznych“.

wywierały i stanowiły pewnego rodzaju terroryzm, wielu urzędników, a mianowicie wyższych, zaczęło się podawać do dymisyi. Przybierało to formy tak szerokie, wyglądało na pewien rodzaj spisku, że cesarz, uwiadomiony o tem, rozkazywał d. 16 Kwietnia, ażeby ogłoszono w charakterze ostrzeżenia, że „urzędnikom w Królestwie, którzyby w skutek teraźniejszych okoliczności żądali uwolnienia ze służby, lub uwolnieni z niej zostali, jako na zaufanie nie zasługujący, nie udzielać pensyi emerytalnej“ [1]).

Podczas kiedy Giecewicz, jako dyrektor Komisyi spraw wewnętrznych, wzywał władze cywilne w kraju, by wszelkiemi siłami przykładały się do przywrócenia spokojności i porządku, ze swej strony Gorczakow rozesłał do wszystkich naczelników wojennych pod d. 18 Kwietnia cyrkularz tajny, mocą którego nadawał im władzę nieomal nieograniczoną, czynił z nich małych kacyków. „Uważam za stosowne wyjaśnić *Waszemu Prewoschoditelstwu*, pisał, obecny stan rzeczy i ten kierunek, którego władze rządowe winny się trzymać dla przywrócenia porządku. Główne żywioły nieporządków są następujące: b. Towarzystwo rolnicze w Królestwie, które dzieliło się na trzy odcienia. Do pierwszego i najmniejszego należą ludzie, nie pragnący w duszy przewrotów, ale popchnięci do działalności przeciwrządowej przez wpływ swych kolegów, przez ducha czasu i przez wypadki ostatnich sześciu tygodni, z których wnioskowali błędnie, że rząd jest bezsilny. Do drugiej kategoryi należy nieco więcej członków, t. z. umiarkowanych, którzy, chociaż w sercu są wrogami rządu, wszelako obawiają się zaburzeń ulicznych, i lubo im się nie sprzeciwiają, to przynajmniej nie biorą w nich udziału. Nakoniec do trzeciej i najliczniejszej kategoryi należą przeważnie młodzi ludzie, którzy w nienawiści przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, nie tylko marzą o przywróceniu

[1]) W skutek tego obiegała po mieście pogłoska, że żydzi ofiarowali się złożyć pięć milionów złotych polskich dla urzędników, którzy dostaną za swój patryotyzm dymisyą.

Polski samoistnej w dawnych granicach (w połnom jej sostawie), ale sądzą, że nadszedł czas wzięcia się do tego, przez wywoływanie i podtrzymywanie wszelkiego rodzaju zaburzeń".

„Drugi żywioł burzliwy istnieje w szkołach; w ogólności młodzież ucząca się jest zupełnie rozpuszczona i, korzystając z bezkarności, podnieca lud do wszelkiego rodzaju nieporządków. Prawie wszędzie działa ona pod natchnieniem ajentów Mierosławskiego, którym nakazano wywoływać jak najwięcej zamieszek, w celu zmuszenia rządu do powstrzymywania tychże siłą. Myślą Mierosławskiego jest, że im więcej będzie ofiar, tem bardziej wzrośnie nienawiść przeciw rządowi i tem pewniejszy będzie ostateczny skutek jego zamiarów".

„Trzecim żywiołem szkodliwym jest duchowieństwo katolickie, które w ogólności z powodów religijnych jest nam wrogie, a wielu jego członków działa w duchu zwolenników Mierosławskiego. Nakoniec większa część urzędników jest albo obojętną dla rządu, albo żywi dlań uczucia nieprzyjazne. Zadanie więc teraz polega na zatarciu szkodliwych rezultatów wypadków ostatnich sześciu tygodni. Dla jego rozwiązania najsposobniejsi są naczelnicy wojenni. Działalność władz wyższych ułatwia wykonanie. Zniesienie Towarzystwa rolniczego pozbawiło jego członków tego na pół oficyalnego charakteru, jakiego używali w kraju; zwiększenie liczby wojsk w Królestwie daje możność naczelnikom wojennym powstrzymywania lub niedozwalania na nieporządki; nakoniec stłumienie siłą demonstracyi w Warszawie d. 8 Kwietnia, przyaresztowanie po niej mnóstwa osób szkodliwych i ogłoszenie nowych przepisów policyjnych, wywołało popłoch śród inicyatorów zamieszek".

„Lecz wszystko to na nic się nie przyda, jeżeli my nie skorzystamy z chwili i nie wytępimy o ile można wszystkiego tego, co powoduje naruszenie porządku publicznego. W tym celu winni naczelnicy wojenni działać, jakkolwiek ostrożnie ale energicznie, nie obawiając się nawet w razie potrzeby uciekania się do użycia broni dla

wypełnienia dokładnego domagań się rządu. Wszelkie zebrania w domach, mające charakter polityczny, winny być natychmiast rozpędzane. Wszelkie delegacye obywatelskie, dla zabezpieczenia porządku powstałe, winny być (a to jest stanowczą wolą cesarza) zaraz rozwiązane. Porządek w mieście ma wyłącznie utrzymywać władza policyjna przy pomocy wojska".

„W każdem prawie miejscu jest jedna lub kilka osób, kierujących zaburzeniami; osoby te należy niezwłocznie aresztować i z papierami odsyłać do cytadeli Aleksandrowskiej, przy załączeniu powodów ich aresztowania. Co się tyczy szkół, wiadome panu są już moje życzenia i odezwy za № 1951 [1]). W obec mogących powstać zaburzeń, winieneś pan wiedzieć koniecznie, którzy pomiędzy młodzieżą szkolną są kierownikami głównymi, aresztować ich i mnie o tem donieść. Oczywiście, że na całej przestrzeni kraju są drobne miejscowości, nie zajęte przez wojska, gdzie niepodobna zapobiegać zaburzeniom, ale w miastach głównych, w których znajduje się liczba dostateczna wojska (zwłaszcza w gubernialnych), żadne nieporządki nie powinny być odtąd cierpiane pod osobistą pańską odpowiedzialnością".

„Proszę *Wasze Prewoschoditelstwo* wziąć pod baczną uwagę wszystko wyżej powiedziane. Nastał teraz czas i jest zupełna możność działania jakkolwiek ostrożnego, ale stanowczego. Proszę mi donieść gdzie i kiedy zostaną rozwiązane delegacye. Od gubernatorów cywilnych nie mogę oczekiwać tej energii jak od pana, i dla tego z odezwą tą zwracam się tylko do pana; zachowaj ją i *nie pokazuj nikomu;* odpowiednio do niej domagaj się od władz cywilnych należytego współdziałania. Co się tyczy duchowieństwa, otrzymasz pan wkrótce instrukcye specyalne".

Okólnik ten jest bijącym w oczy dowodem, jak wszelka praca organizacyjna z takim rządem, jak rosyjski, jest wprost niemożliwą. Działalność Wielopolskiego w obec

[1]) Odezwy tej wcale nie znamy.

tego było to snucie przędzy Penelopy, było to Syzyfowe toczenie kamienia na stromą górę legalności, z której brutalna noga pierwszego lepszego podporucznika, przemienionego nagle w prokonsula, strącała go na nowo w przepaść. Jak zwykle w rządzie rosyjskim, to, co się robiło głośno, było w zupełnej sprzeczności z tem, co nakazywano tajemnie. Kiedy bowiem z jednej strony Gorczakow zdawał się popierać Wielopolskiego, zdawał się sprzyjać jego zamiarom usunięcia rządów wojskowych, to z drugiej strony przez okólniki tajne rządy te pozostawiał przy różnych jenerałach i władze cywilne pozbawiał wszelkiego znaczenia. Cóż te ostatnie w obec naczelników wojennych mogły teraz znaczyć? co one mogły robić? czyż takie okólniki, dochodząc do wiadomości ogólnej (bo żadna tajemnica rządowa w tych czasach ukryć się nie mogła), nie musiały drażnić licznej rzeszy urzędniczej i nie rzucać jej w objęcia rewolucyi? Każdy sobie mówił, że z takim rządem podstępnym, złym, zdradzieckim, któremu nigdy i w niczem ufać nie należy, nic zdziałać nie podobna, ani jego przyrzeczeniom wierzyć nie można.

Wszystko to więc wywierało jak najgorsze skutki. Ruch rewolucyjny, zepchnięty z ulicy, stłumiony siłą w swych objawach publicznych, miał się odtąd rozlewać pod ziemią, nurtować potajemnie i toczyć doszczętnie organizm narodowy. Że zresztą w tej chwili nawet, po nauce krwawej i okrutnej, jaką rząd rosyjski dał agitatorom na placu Zamkowym, myślano jeszcze o manifestacyach publicznych, świadczy fakt, jaki się przydarzył w d. 15 Kwietnia. W dniu tym chowano na cmentarzu luterskim niejakiego Edwarda Andrzeja Koelichena, kupca zmarłego przed paru dniami, człowieka znanego i powszechnie szanowanego w mieście. Zebrał się znaczny tłum ludzi, do którego przyłączyli się i agitatorowie, pragnący przy sposobności odwiedzić grób pułkownika Peickera, który, jakeśmy to wspomnieli, zastrzelił się d. 7 Kwietnia w Zamku i którego śmierć koniecznie chciano uważać jako następstwo jego niechęci występowania przeciw ludowi. Gdy więc zna-

leziono się na cmentarzu, tłumnie udano się na grób samobójcy, zasypano go kwiatami i wieńcami. Rezultatem tego było rozporządzenie jenerał-gubernatora warszawskiego Paniutyna, które się ukazało nazajutrz, d. 16 Kwietnia, zabraniające osobom obcym znajdowania się na pogrzebach, i że „odtąd przy pogrzebach tylko rodzina osoby zmarłej znajdować się może, a z każdem liczniejszem zebraniem, według przepisów postanowienia Rady administracyjnej z d. 8 Kwietnia, postąpionem będzie".

Takie było w ogólnych zarysach położenie Warszawy i kraju po strasznych wypadkach d. 8 Kwietnia. Wypadki te do głębi wstrząsnęły chorym i zniszczonym organizmem Gorczakowa. Jego natura miękka i łagodna, z odrazą i wstrętem patrzała na te potoki krwi, wylanej pod jego okiem. Jeżeli krew ta, w d. 27 Lutego o wiele w mniejszej ilości wytoczona, przeraziła go tak, że gotów był do wszelkich ustępstw, że stracił przytomność, ufność i wiarę w siebie, o ileż donioślejszy i zgubniejszy wpływ na niego wywrzeć musiały wypadki kwietniowe, okropne „krwawe starcie", jak się wyraził Wielopolski. Jakoż w rzeczy samej oddziałało to tak silnie na umysł fantastyczny namiestnika, że rozchorował się, kwękał, nikł w oczach i nie miał ochoty niczem się zajmować. Nocami zjawiały mu się widma czarnych kobiet, co świadczy, jak dalece rozstrojony miał umysł [1]). Odtąd gasł powoli....

[1]) „Obiega także pogłoska (opowiada E. P. Karnowicz w „Istoriczeskim Wiestniku" z r. 1886), za autentyczność której oczywiście nie ręczymy, jakoby namiestnika ks. Gorczakowa odwiedziła pewnego razu tajemnicza nieznajoma w jego gabinecie, w którym w nocy słuchał czytania romansu francuskiego. Książę Gorczakow, jak wiadomo, miał wzrok nadzwyczaj krótki, był roztargniony i z początku nie widział, ale niejako odczuł obecność w swym gabinecie zagadkowego gościa. Skoro książę bacznie przez okulary spojrzał na drzwi, spostrzegł, że tam stoi jakaś dama. Książę, odznaczający się zawsze grzecznością dla przedstawicielek płci pięknej, zerwał się śpiesznie z krzesła i z uszanowaniem ukłonił się odwiedzającej go nieco późno pani, która ze swej strony zrobiła dyg głęboki. Przez głowę księcia namiestnika szybko przebiegła myśl, że, w obec ówczesnych burzli-

Dla Wielopolskiego zaś teraz otwierało się obszerne pole działania. Zniósłszy Towarzystwo rolnicze, uspokoiwszy, jak się zdawało, kraj, „ocaliwszy w krwawem starciu porządek publiczny“, należało się wziąć do urzeczywistnienia oddawna zapowiadanych reform. To była najpilniejsza potrzeba chwili, to było konieczne wreszcie, jeżeli już nie dla powstrzymania rwącego potoku ruchu, bo nie wielu było ludzi, którzyby wierzyli w możność czegoś podobnego, ale dla pokazania tym wszystkim, ogółowi nieomal kraju całego, wątpiącemu w urzeczywistnienie reform, że one są, że istnieją i nie pozostaną próżnymi na papierze przepisami. Jakoż Wielopolski wziął się do tego z czynnością gorączkową, czynnością tak olbrzymią, że mógł temu podołać tylko taki jak jego umysł i taka organizacya. W kraju nie znajdował w niczem i nigdzie pomocy i poparcia. Po ostatnich wypadkach widocznem było, jak się wszyscy odeń usuwają [1]); zostawał sam z ogromnym Krzyżtoforowym ciężarem na barkach. Położenie swoje i tak już rozpaczliwe psuł jeszcze co chwila przez wybryki złego hu-

---

wych okoliczności w Warszawie, mogła do niego przedrzeć się jakaś energiczna patryotka polska, jeżeli nie dla dokonania zamachu na jego życie, to dla podania prośby. Książę postąpił parę kroków naprzód ku owej damie dla dowiedzenia się o przyczynach jej niewłaściwego pojawienia się bez uwiadomienia uprzedniego, ale jakże się przeraził, gdy kobieta owa nagle znikła i, według własnych słów księcia, uczuł tylko odurzający zapach grobowy i trupi. W Zamku podniósł się gwałtowny alarm, rozpoczęto poszukiwania, śledztwo, badanie straży, ale wszystko to nie doprowadziło do wyjaśnienia tajemniczego zjawiska. Pokazało się, że nikt nikogo obcego nie widział i nic nadzwyczajnego nie słyszał; wszystkie straże były na swoich miejscach, nie spały i nie drzemały, ale czuwały“. Dotąd Karnowicz. O tych widmach opowiada także Charles de Menade w artykule: „Une année d'agitation en Pologne“ (Revue des deux mondes z r. 1862). Twierdzi on, że Gorczakow w ostatnich chwilach swego życia widział ciągle włóczące się koło niego kobiety w żałobie i miał wołać: „o! kobiety czarne, kobiety czarne! oddalcie je!“

[1]) Lisicki (Le marquis I, 197) opowiada, że w tych czasach Wielopolski poszedł raz na obiad do restauracyi. Gdy go spostrzeżono, wszyscy się wynieśli do innego pokoju. Jeden tylko z jego

moru, przez zjadliwe i dokuczliwe koncepta, które przyjaciele usłużni roznosili po mieście, opatrzone w komentarze złośliwe przez chęć zemszczenia się na tych, którzy czemkolwiek względem niego zawinili, a którzy stali się właśnie teraz od niego zależnymi. Zdarzyło się, że w tym czasie, w chwili nieomal gdy został dyrektorem Komisyi sprawiedliwości, przegrał jakiś proces, których zawsze mnóstwo prowadził w Trybunale kieleckim. Być może, że słuszność była po jego stronie, że sędziowie kieleccy do szal sprawiedliwości dorzucili swe uczucia patryotyczne i niechęć ku margrabiemu; wszystko to być może, nic wszelako nie usprawiedliwi jego kroku, jakiego w odpowiedzi na rezolucyą Trybunału kieleckiego się dopuścił. Jeden z sędziów, nazwiskiem Wojciech Biechoński dostał dymisyą, innych zaś dwóch przetranzlokowano gdzieindziej.

Fakt ten, acz drobny, był zanadto jaskrawym, by tak sami ukarani, jak i liczni agitatorzy i rewolucyoniści nie mieli go wyzyskać na szkodę Wielopolskiego. Rozgłoszono więc karę sędziów kieleckich po całym kraju, podniosły się krzyki i oburzenie powszechne. Oburzenie to zresztą, zarzuty, jakimi obarczano ministra, znajdowały co chwila potwierdzenie w mnóstwie innych postępków margrabiego, dowodzących jego mściwości, jego brzydkich stron charakteru, chęci „dania się we znaki“, dowodzących nakoniec, że i ten potężny umysł poczyna ulegać powszechnej gorączce, że jest rozdrażniony niesłychanie i że w tem rozdrażnieniu gotów się dopuścić czynów zgubnych w wysokim stopniu nie tylko dla siebie, ale i dla kraju.

Jakoż tak było w istocie. Obaczymy wkrótce, jak wśród prac świadczących o niezwykłej inteligencyi margrabiego, wśród prac dokonywanych z cierpliwością mrówczą, benedyktyńską, pełnych szerokiego poglądu na rzeczy,

---

przyjaciół, zbliżył się doń i rzekł: „dziękują panu nasze dzieci, przynajmniej uczyć się będą mogły“. — Tak, odpowiedział margrabia, ale chciałbym także ojców nauczyć pewnych rzeczy, których nie posiadają“. Autentyczność tej anegdoty wydaje nam się wątpliwą.

szczerego patryotyzmu, myśli podniosłych i przenikliwości niepospolitej, od czasu do czasu nagle pojawiają się wybuchy rozdrażnionej ambicyi, małostkowych dąsów, kobiecej, histerycznej drażliwości i gniewu. Zdawaćby się mogło, że w mężu tym były dwie natury; niekiedy brała górę natura szlachetna i wielka; niekiedy znowu pozioma, brzydka, mała... Straszny obraz takiej duszy szarpanej przez wichry namiętności, przypominającej owe jarmarczne, jaskrawe bohomazy, na których anioł i szatan toczą bój o duszę umierającego... Ale tutaj, niestety! nie szło już o duszę margrabiego, ale o życie Polski i rzetelny syn ojczyzny, wiernie pełniący jej służbę, winien był w obec wielkiego celu, który, jak gwiazda magom wschodnim, świecił mu w oddali, zapomnieć o wszystkiem małem, drobnem, poziomem. To wzniesienie się nad drobiazgi życia, nad ukłucia szpilek, niezważanie na piasek dmący w oczy, na kamienie kaleczące nogi w drodze do Betleemu, gdzie spoczywało świata odrodzenie, stanowi właśnie prawdziwą wielkość mężów historycznych. Wielopolski to wiedział, czuł dobrze, ale stworzony na szermierza, na adwokata, nie mógł nigdy i nigdzie zapomnieć o swem ja, o drobnych przeciwnościach, które każdego w życiu spotykają, a niedopiero ludzi stojących na tak wysokiem stanowisku.

Przypatrzmy się więc tym pracom margrabiego i tej jego kobiecej walce z rozlicznymi drobiazgami, walce trawiącej go, jak rdza trawi żelazo i coraz większą, głębszą kopiącej niestety! przepaść między nim i narodem.

ROZDZIAŁ VIII.

Śmierć Gorczakowa.

Pogląd Wielopolskiego i Gorczakowa na położenie kraju. Organizacya czasowa Rady municypalnej w Warszawie. Projekt organizacyi Rady Stanu. Zamoyski odmawia odczytania go. Margrabia broni Zamoyskiego. Sprawa Modlińska i Wieczorkowski. Akta zejścia poległych d. 8 Kwietnia. Rozkaz dzienny Gorczakowa. Chaos w kołach rewolucyjnych. Tworzenie się dziesiątek. Agaton Giller i jego „Posłanie do wszystkich Polaków". Program Millenerów. Poroniona akcya Zamoyskiego. Akt konfederacyi. Mężowie zaufania. Nieporządki szkolne. Zamykanie gimnazyów. Sprawa o sztachety. Wielopolski i „Czas" krakowski. Duchowieństwo i pieśni patryotyczne. Komunikat Wielopolskiego i reskrypt do władz dyecezyalnych. Odpowiedź arcybiskupa i Benjamina. Druga protestacya duchowieństwa. Karanie księży. Manifestacya 3 Maja. Mowa ks. A. Czartoryskiego w Paryżu. Zaburzenia w Łodzi, Częstochowie, Radomiu, Siedlcach, Janowie Ordynackim i Płocku. Litwa i zaburzenia chłopskie na Podolu. Demonstracya w Wilnie d. 20 Maja. Komisya śledcza i wypadki d. 21 i 22 Maja. Prawo o okupie pańszczyzny. Komisarze i instrukcya dla nich. Nowe projekta Wielopolskiego. Choroba Gorczakowa. Kotzebue i jego pismo. Dymisya Paniutyna. Nominacya Merchelewicza i jego odezwa. Wypadki w Boże Ciało. Śmierć Gorczakowa i jego pogrzeb. Zakończenie.

Z całego przebiegu wypadków dotychczasowych widocznem było, że położenie kraju z wiosną 1861 r. stawało się z każdym nieomal dniem rozpaczliwsze. Wśród wzrastającej ciągle nieprzyjaźni i nieufności Wielopolski miał przed sobą zadanie olbrzymie do spełnienia, zadanie reorganizacyi kraju. Do takiej pracy, do takiego przedsięwzięcia trzeba było przedewszystkiem ciszy i spokoju. Zda-

wało mu się na chwilę, ale tylko na chwilę, że represya krwawa 8 Kwietnia tę pożądaną ciszę sprowadzi, hydrę rewolucyi, szalejącej po ulicach, zgniecie i wśród ogólnego przestrachu dozwoli rządowi założyć fundamenta do przyszłej Polski, odbudowanej z gruzów i ruin. Wkrótce jednak margrabia z najrozmaitszych objawów przekonać się miał, że wypadki 8 Kwietnia sprawie ogólnej żadnej korzyści nie przyniosły, owszem szkody wieloliczne. Potoki krwi, wytoczonej w ten dzień straszliwy, nietylko nie zalały żarzącego się ogniska wulkanu, ale owszem podsyciły go niejako i wzmocniły. Położenie to stawało się tem smutniejsze, tem czarniejszą wróżyło przyszłość, że Gorczakow, człowiek w gruncie rzeczy bardzo dobry, bardzo zacny i jak najlepszemi dla kraju ożywiony chęciami, był chory, widocznie gasł i dni jego życia były nieomal policzone. Słusznie też wszyscy ludzie przezorniejsi zapytywali siebie: kto po Gorczakowie siądzie na Zamku warszawskim? i z trwogą patrzyli w przyszłość coraz czarniejszą i chmurniejszą. W rządzie takim jak rosyjski, gdzie niema prawa, tylko są osoby, gdzie wszystko nieraz zależy od indywidualności takiego lub innego jenerała, osadzonego na danem stanowisku, pytanie to nabierało niezmiernej doniosłości i stanowiło nieomal Hamletowskie być albo nie być dla instytucyi, przyrzeczonych przez ukaz 26 Marca, ale dotąd nie wprowadzonych w wykonanie.

To też Wielopolski, który dobrze znał rząd rosyjski, który widział, jak różni Chrulewy i Kotzebuowie krzywo patrzeli na ustępstwa i domagali się nieustannie zaprowadzenia despotyzmu i surowości militarnej, który zresztą świadom był tego, że grunt w Petersburgu zawsze jest chwiejny i śliski, ilekroć idzie o Polskę, który nakoniec przeczuwał, że z chwilą śmierci Gorczakowa wszystko odrazu zmienić się może i cały gmach jego nadziei runąć, jak domek z kart, nalegał ciągle, by reformy przyrzeczone były z możliwą szybkością urzeczywistnione. Liczył przytem na to, że ogólne niezadowolenie w kraju (bo anarchią uliczną, sądził, że krwawa nauka kwietniowa zgniotła na

zawsze), samo przez się ustać musi, jak tylko reformy zaczną być wykonywane; że kraj na tyle ma rozumu i poczucia własnego interesu, iż w obec widocznych realnych korzyści, jakie dają reformy, zapomni o marzeniach, nie mogących być nigdy, a przynajmniej w tej chwili, urzeczywistnionemi. Dlatego też nie przestawał powtarzać: „dajcie mi tylko reformy, niech się rozpoczną wybory, a cały ten nieporządek ustanie. Ci, którzy dziś boczą się na nas, wówczas rzucą nam się w ramiona. Poczekawszy trochę, dacie potem więcej“.

Gorczakow ze swej strony, który w Wielopolskim, pomimo licznych i widocznych błędów, jakie w ciągu swych rządów paru tygodniowych zdołał popełnić, zawsze widział „męża stanu w całem znaczeniu tego wyrazu“, któremu nakoniec wierzył i na wiele rzeczy patrzał jego oczami, tak samo liczył na moc uspokajającą reform, a nadewszystko na wybory do rad powiatowych i miejskich. Do wyborów tych przywiązywał on wyjątkowo wielką wagę i cudów od nich oczekiwał. Zdawało mu się, że żadna inna reforma nie jest zdolną tak silnie odbić się na usposobieniu ogólnem kraju, jak wybory do rzeczonych instytucyi; sądził, że przypomną one Polakom dawne sejmiki, zaprzątną ich umysły wyłącznie, skierują je zupełnie w inne strony, a przedewszystkiem uspokoją. Przekonanie to, kilkakrotnie wygłaszane przez namiestnika, mniejsza już z tem, czy było słuszne lub nie, to jednak miało tę słabą stronę, że do wyborów i w ogóle do organizacyi przyszłych rad było jeszcze bardzo daleko, a tymczasem wypadki nie czekały.

Chcąc temu zapobiedz, chcąc niejako okazać publiczność że rząd poważnie i na seryo myśli o wprowadzeniu w wykonanie przyrzeczonych reform, polecono Komisyi spraw wewnętrznych wydać przepisy dla tymczasowej Rady municypalnej warszawskiej, owego szczątku dawnej Delegacyi, który niby miał czuwać nad miastem. Rada ta powstała z Wydziału obywatelskiego i składająca się z 12 członków, odbywszy d. 4 Kwietnia swe ostatnie posiedzenie, na którem dokonała wyborów, odtąd nie zbierała się

więcej. Kiedy nazajutrz po strasznych wypadkach d. 8 Kwietnia członkowie jej zeszli się na ratusz, nie bez ukrytej myśli sporządzenia jakiego aktu, lub dopełnienia czynu, mającego demonstrować ich przekonania w obec rzezi wczorajszej, to zastali drzwi od sali posiedzeń zamknięte i chcąc nie chcąc musieli się rozejść. Świadczyło to wyraźnie, że rząd stanowczo pragnie skończyć ze wszelkiemi ciałami obywatelskiemi. W parę dni później, d. 11 Kwietnia, Komisya spraw wewnętrznych ogłosiła w pismach organizacyą tymczasowej Rady municypalnej. Według tej organizacyi Rada zbierała się, ilekroć wymaga tego załatwienie należących do jej atrybucyi interesów, wymienionych w art. 13 ukazu z d. 26 Marca [1]), pod przewodnictwem prezydenta miasta lub jego zastępcy. Posiedzenie Rady zwołuje prezydujący, gdy tego uzna potrzebę, to znaczy, że może nigdy tej potrzeby nie uznać. Prezydujący układa porządek dzienny posiedzenia; żaden przedmiot, nie zamieszczony na porządku dziennym, nie może być na posiedzenie wniesionym; do ważności uchwał Rady potrzebną jest obecność więcej niż połowy członków; decyzye zapadają większością głosów obecnych na posiedzeniu członków; w razie równości zdań, głos prezydującego przeważa; posiedzenia odbywać się mają przy drzwiach zamkniętych.

Taką była w głównych zarysach organizacya tymczasowej Rady municypalnej. Prezydujący w niej w ogólności miał za wielką władzę i on był wszystkiem. Mógł zwołać, lub nie, Radę; to też w rezultacie nie zwoływał jej prawie wcale; mógł zawieszać wykonywanie uchwał Rady, o czem tylko potrzebował uwiadomić Komisyą spraw wewnętrznych z usprawiedliwieniem swego kroku. Jednem słowem,

[1]) Artykuł ten brzmi: „do Rady municypalnej należy zarząd gospodarczy miasta, ułożenie i przedstawienie do potwierdzenia rządu etatu dochodów i wydatków miasta, przedsięwzięcie w granicach jej władzy środków do zewnętrznego urządzenia miasta, dozór nad miejskimi instytutami publicznymi, niemniej rozpoznawanie wszelkich interesów, przesłanych do jej wniosków przez władze rządowe“.

z Radą czy bez Rady, był on tak jak dawniej prawie samowładnym panem miasta; na szczęście w tej chwili przynajmniej pocieszano się tem, że prezydentem jest Andrault, człowiek bez charakteru, lubiący dobry stół, dobre wino i ładne kobiety. Do walki i do oporu nie był wcale zdolny, i Rada municypalna, owi Szlenkierowie, Natansony, Piotrowscy, Zielińscy i t. d. mogli sądzić, że po dawnemu, jak za czterdziestodniowych, słodkich „czasów polskich“, rządzić będą miastem. Omylili się, jak wszyscy się zawsze mylą, ilekroć mają do czynienia z rządem rosyjskim. Współcześnie mniejwięcej z ogłoszeniem organizacyi Rady miejskiej zawiadomiono miasto, że prezydent Andrault „z powodu słabości zdrowia“ usuniętym zostaje, nie bez udziału Wielopolskiego, który chciał już teraz, by prezydenturę objął syn jego Zygmunt. Na miejsce Andraulta mianowany był tymczasowo radny magistratu Jeske. Cokolwiek bądź świadczyło to w każdym razie, że rząd pragnie choć pozory zachować, że jeżeli samo wprowadzenie może być nigdy nie spełnionym faktem, to przynajmniej wstęp do nich będzie dokonany.

Obok cienia Rady municypalnej, mającej zasiadać na ratuszu warszawskim, namiestnik pod wpływem i z inicyatywy Wielopolskiego zajął się Radą stanu. Odnośny projekt, przygotowany przez margrabiego, z nadzwyczajnym pośpiechem został przez namiestnika konfidencyonalnie przesłany w pierwszych dniach po rzezi Kwietniowej do rozpatrzenia i udzielenia swoich uwag różnym wybitniejszym osobistościom z dawnego Komitetu Towarzystwa rolniczego. Usiłowano tym sposobem zastąpić brak ciała prawodawczego, organu legalnego, który reprezentował opinią kraju; nie mogąc działać otwarcie, musiano się uciec do dróg pokątnych. Lepszem już było, jak to później w innych sprawach robił Wielopolski, odwołać się do pomocy prasy i, ogłosiwszy przez nią sam projekt, zażądać uwag co do niego od całej oświeceńszej publiczności. Tym razem, w pierwszych chwilach uznania konieczności zasięgnięcia opinii powszechnej, nie postąpiono tak i zaraz też

miano zbierać gorzkie owoce kajdan, jakiemi kraj był skrępowany. Gdy bowiem ów projekt przesłano także Andrzejowi Zamoyskiemn, ten odmówił nietylko swych uwag nad nim, ale nawet odczytania. Świadczyło to, jak Zamoyski jest rozdrażniony od chwili zniesienia Towarzystwa rolniczego i jak stanowczo zdecydowany był nie brać teraz żadnego, choćby nawet pośredniego udziału w sprawach krajowych. Było to niczem innem, jak tylko obrażoną miłością własną, tem, co dawni Polacy nazywali prywatą. Zamoyski, jak wszyscy zresztą ludzie wykształceńsi, nie mógł zaprzeczyć tej oczywistej, bijącej w oczy prawdzie, że udzielone krajowi koncesye stanowiły dlań niezaprzeczoną korzyść, przynosiły mu autonomią i możność rozwoju na podstawach narodowych, że przechodziły nakoniec najśmielsze nadzieje partyi Klemensowczyków. Jeżeli więc działał przeciwnie, jeżeli się usuwał i przybierał postawę dąsającego się dziecka, to dlatego tylko, że uważał się za osobiście dotkniętego i obrażonego przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego. Nie mógł tego darować Wielopolskiemu, gniewał się i zdecydowany był nie brać w niczem udziału.

Gorczakow uczuł się obrażonym i rozgniewanym odmową Zamoyskiego. Gniew ten oddawna podsycali otaczający starego namiestnika; mówili mu, że Zamoyski jest „naczelnikiem opozycyi“ w kraju; przypominali manifestacyą z wieńcami w d. 7 Kwietnia; zachowanie się pana Andrzeja podczas wypadków lutowych, redakcyą adresu w jego mieszkaniu; jednem słowem starali się przedstawić dawnego prezesa Towarzystwa rolniczego w takich kolorach, że obok niego wszelki rząd w Polsce stawał się niemożliwym. Głośno twierdzili oni, że, chcąc pokonać opozycyą szlachty, należy Zamoyskiego usunąć z kraju. Gorczakow tym insynuacyom niegodnym opierał się długo, ale ostatnie zachowanie się hrabiego w obec przesłanego mu projektu organizacyi Rady stanu stało się kroplą, przepełniającą naczynie. Namiestnik postanowił wysłać Zamoy-

skiego drogą administracyjną (administratiwnym poriadkom) do Wiatki.

Byłby to krok z wielu względów zgubny dla kraju i w tym stanie, w jakim znajdowały się wówczas umysły, mogący wywołać następstwa jak najgorsze, dać powód do nowych zaburzeń i manifestacyi; krok zresztą całkiem zbyteczny, gdyż inni członkowie Komitetu, zwłaszcza Tomasz Potocki, głośno oświadczali, że wcale nie myślą naśladować pod tym względem swego dawnego prezesa. Krok ten nakoniec najzgubniejszym byłby dla Wielopolskiego, któremu, rzecz prosta, przypisywanoby wygnanie najpopularniejszego męża w Polsce. Wielopolski zrozumiał to niebezpieczeństwo i wszelkiemi siłami oparł się postanowieniu namiestnika. W wywodzie motywowanym, jaki w tej sprawie przedłożył d. 22 Kwietnia Gorczakowowi, broni on Zamoyskiego, a broni w sposób sobie właściwy, zjadliwie, zręcznie, z subtelną, a drażniącą do żywego ironią, usiłując ze swej strony przybrać postawę wspaniałomyślną, a współcześnie zadając tak dotkliwe ciosy Zamoyskiemu, że ten rysuje się jako zupełne zero w polityce, a ztąd wniosek, że na takie zero nie należy uważać i przez wygnanie nie nadawać mu znaczenia i powagi, której on nie ma. Powiada więc, że Zamoyskiemu wolno było nie brać czynnego udziału w rozwinięciu nowych instytucyi, „gdyż miejsce w rządzie nie odpowiada ani jego usposobieniom, ani też jego przeszłości, że „postawa przezeń przyjęta jest naturalnem następstwem poprzednich jego oświadczeń“. — „Wiadomo przecież, że hr. Zamoyski doznaje pewnej trudności w sformułowaniu swych idei politycznych, gdy jest sam, odosobniony od swego otoczenia“ [1]); że nie ma on zamiaru opierać się rozwojowi nowej instytucyi, gdyż w takim razie „starałby się właśnie obznajmić dokładnie z pro-

[1]) Ten i parę innych ustępów w polskim życiorysie Wielopolskiego, napisanym przez p. Lisickiego, jest opuszczonych. W ogóle przekład pisma margrabiego w dziale tem jest niedokładny i niezupełny.

jektem, ażeby przed jej wprowadzeniem módz ją krytykować i osłabić jej znaczenie". „Zarazy złego przykładu nie należy się, jak sądzę, obawiać. Hr. Zamoyski bowiem zawsze był tylko sztandarem i nigdy nie ściągnął na siebie zarzutu, że on własny swój kierunek swym stronnikom narzuca". — „Odmowa hr. Zamoyskiego nie ma w sobie nic nielegalnego; nie jest on urzędnikiem, wezwanie doń wystosowane nie miało charakteru urzędowego; był on zapytywany poufnie jako jedna ze znakomitości krajowych o opinią, której książę Namiestnik zasięgnąć pragnął. Wszelka surowość z tego powodu hr. Zamoyskiego dotykająca byłaby nadużyciem, wróciłaby mu część znaczenia, dziś nader małego, i otoczyłaby go urokiem męczeństwa politycznego".

Tak obdarłszy z uroku postać Zamoyskiego, odmówiwszy mu wszelkiego znaczenia a nawet rozumu, Wielopolski przechodzi do oceny swego osobistego stanowiska, jakiemby ono było, gdyby Zamoyski został wygnany, dowodząc już przez to samo, wbrew poprzednim swym twierdzeniom, że dawny prezes Towarzystwa rolniczego nie był tak mało znaczącą osobistością, za jaką go poprzednio przedstawił. „Mam wreszcie pobudki osobiste, pisał, nakazujące mi sprzeciwić się podobnego rodzaju zamiarom władzy. Wielka liczba tych, co konieczności położenia nie pojmują, uważają mnie niesłusznie za osobistego nieprzyjaciela hr. Zamoyskiego i tej nieprzyjaźni przypisują powszechnie udział, jaki miałem w rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. W takim składzie rzeczy surowe postąpienie z hr. Zamoyskim uczyniłoby moje położenie w kraju jeszcze trudniejszem. Rząd postąpi najmądrzej, zajmując się jak najmniej osobą hrabiego Zamoyskiego i postawą przezeń przyjętą. Powołując do Rady stanu głównych stronników pana Zamoyskiego, gotowych zresztą do zajęcia tego stanowiska, należy dlań zatrzymać, aż do chwili otwarcia zebrania ogólnego Rady stanu w Listopadzie, miejsce wiceprezesa tego zgromadzenia. Zdaje się, że widząc swych przyjaciół skupionych koło nowych instytucyi, hr. Zamoy-

ski przyjmie, jak zwykle, ich opinie i przyłączy się do nich czynnie. Jeżeliby zaś przeciwnie trwał w swym systemie abstynencyi, należy w tem tylko widzieć odosobnienie się dobrowolne. Wtedy całe sztuczne znaczenie polityczne jego osoby zostanie zneutralizowane przez szczery i czynny rozwój nowych instytucyi".

Gorczakow tym przedstawieniom wymownym dał się przekonać, i Zamoyski ocalał, odgrywając odtąd ciągle swą niemą rolę malkontenta, pozbawioną zresztą powagi i wyglądającą, jakeśmy to już raz powiedzieli, raczej na dąsanie się dziecka lub kobiety, jak na niezadowolenie męża stanu.

Ogół nakoniec, który nie wiedział o zakulisowej sprawie z Zamoyskim, mógł się z organizacyi tymczasowej Rady municypalnej, z projektu organizacyi Rady stanu przekonać, że rząd istotnie zamierza wprowadzić zapowiedziane reformy w wykonanie. Polityka więc najzdrowsza, miłość kraju najprostsza nakazywały zachowanie się spokojne. Na nieszczęście co chwila przytrafiało się coś takiego, że ogólną temperaturę umysłów podnosiło wysoko. Przedewszystkiem interesował kraj i Warszawę los aresztowanych w dniu 8 Kwietnia i wywiezionych do Modlina. Obliczano ich ogółem na 86 osób i z niecierpliwością, z łatwo wytłomaczonym niepokojem oczekiwano na decyzyą rządu w tym względzie. Jakoż w d. 12 Kwietnia ukazało się ogłoszenie w gazetach, że do prowadzenia śledztwa w sprawie wzmiankowanych osób wyznaczony został prezes Sądu kryminalnego gubernii warszawskiej Józef Wieczorkowski. Było to bardzo wymowne; dowodziło, że skończyły się dni sądów tajnych, Wehmy średniowiecznej i wojskowych kodeksów; wszystko teraz zależało od postawienia się odpowiedniego sądów cywilnych, których świętym obowiązkiem było bezwzględne ukaranie winnych. Na nieszczęście kodeks karny, obowiązujący w kraju, obfity we wszelkiego rodzaju przestępstwa i w stosowanie za nie kar drakońskich, prawie że nie znał wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu, zaburzeń z charakterem politycz-

nym, gdyż te zawsze i wszędzie w Rosyi sądzone były przez jenerałów, przez sądy polowe i według praw wojennych. Wszelako sędzia rozumny, odczuwający doniosłość sytuacyi i wagę obowiązków na niego włożonych, obdarzony dobrą wolą i szczerą miłością ojczyzny, byłby z wadliwego prawa wyciągnął to, co się wyciągnąć dało i winnych ukarał. O to bowiem głównie szło; przestępstwo było wyraźne i jasne i należało je pomścić legalnie, należało zamknąć usta kamaryli wojskowej przy namiestniku, która na wieść o wysłaniu Wieczorkowskiego ruszała ramionami, uśmiechała się pogardliwie i głośno wołała, że to do niczego nie doprowadzi, że przestępstwo stanu powinien sąd wojenny i tajny sądzić, że sądy cywilne, złożone z Polaków, z takich samych rewolucyonistów, jak ci, co są zamknięci w Modlinie, z pewnością ich uwolnią i nie znajdą w nich żadnej winy; że namiestnik wcześniej czy później przekona się, iż trzeba wrócić do dawnego, jedynie dobrego i wypróbowanego postępowania.

Jakoż, niestety! ci złowróżbni wieszczkowie nie omylili się wcale; fakta przekonały, że sądownictwo polskie nie jest zdolne do utrzymania porządku w kraju. Wieczorkowski udał się do Modlina, przeprowadził śledztwo i w raporcie złożonym Komisyi sprawiedliwości żądał uwolnienia obwinionych dla niebytu czynu karygodnego. „Jeżeli jest zadaniem dzisiejszego śledztwa, pisał, aby wykryć i ukarać sprawców, tudzież uczestników ostatniego zebrania ludowego, to nie kto inny jak miejscowa władza policyjna winna była onychże sądowi wskazać i poszlaki gruntowne do śledztwa przeciwko nim dostarczyć. Czas albowiem przeszło czteromiesięczny, t. j. od d. $^{17}/_{29}$ Listopada r. z. rozpoczętych zebrań ludowych, a od blizko dwóch miesięcy coraz częściej i następnie codziennie w różnych częściach miasta, już to i w obecności samejże policyi jawnie się ponawiających, nie powinien i nie mógł być dla niej stracony. Jej to głównym obowiązkiem było uprzedzić przedewszystkiem, aby czyny przestępne nie były spełniane, i do niej też należało zapobiegać zbieraniu się

owych tłumów ludowych, a skoro te zostały już dokonane, jej znów atrybucyą jest sprawców takichże zgromadzeń śledzić i sądom po skarcenie, przy wskazaniu stosownych poszlak, oddawać. Przeciwne zaś jej postępowanie stawia w oczach mieszkańców rząd w ujemnem położeniu, jako władzę krajową; wielu zaś mieszkańców Warszawy naraża się na wyrządzenie im krzywdy osobistej przez pozbawienie ich osobistej wolności, oderwanie z łona rodziny i sposobu zarobkowania wówczas, kiedy tylko sam pozór, lub wypadkowy zbieg okoliczności przyaresztowanie ich spowodował".

Jednem słowem, według Wieczorkowskiego wszyscy byli winni, i rząd i policya, tylko nie ci, których schwytano nieomal na gorącym uczynku w d. 8 Kwietnia na placu Zamkowym. Dla uzupełnienia niejako złego i krzywdy, jaką tym krokiem Wieczorkowski wyrządzał krajowi, cały ten raport ukazał się zaraz w „Czasie" krakowskim. Była to najwyraźniejsza zdrada tajemnic rządowych, odtąd przybierająca tak szerokie, prawie epidemiczne rozmiary, że Wielopolski zmuszony był w pierwszych dniach Czerwca zagrozić publicznie pociąganiem do odpowiedzialności karnej tych urzędników, którzy będą rozgłaszali bez upoważnienia wiadomości o czynnościach rządowych, lub udzielali obcym osobom dowody lub pisma z akt sądowych, albo administracyjnych [1]) Do takich to następstw prowadzić koniecznie musiał brak poczucia w większości ówczesnych urzędników prostej uczciwości; dowodził zarazem, jak dalece trzydziestoletnie rządy militarne umiały do gruntu zgangrenować sfery urzędowe, jak nawet wśród nich rządy

[1]) Oto tekst tego ogłoszenia: „Warszawa d. 8 Czerwca 1861 r. Z polecenia p. o. Dyrektora głównego, prezydującego w Komisyi rządowej Sprawiedliwości, z powodu wydarzonych pod tym względem nieporządków, ostrzega się, że urzędnicy, rozgłaszający bez upoważnienia wiadomości o czynnościach rządowych lub udzielający nieprawnie obcym osobom dowody lub pisma z akt sądowych albo administracyjnych, pociągani być mogą do odpowiedzialności według art. 426 i następnych Kodeksu kar głównych i poprawczych".

te nie były zdolne do stworzenia sobie choćby najsłabszego punktu oparcia. Rząd wisiał po prostu w powietrzu i trzymał się tylko siłą pięści i przekonywał się teraz na wielką swoją szkodę, że siła taka nie zawsze wystarcza [1]).

Bądź co bądź, sprawa modlińska, jak ją powszechnie nazywano, zepsuła najlepsze zamiary Wielopolskiego, zadała cios jego słodkim marzeniom, że w Polsce pod rządem rosyjskim może kiedykolwiek przyjść taka chwila, iż prawo, a nie osoby będą wszystkiem; zadała cios dzięki temu, że narzędzie użyte do wykonania tej myśli okazało się całkiem niepodatnem. Oddziałało to także bardzo ujemnie na Gorczakowa. Ulegając naciskowi otaczających go jenerałów, była chwila, że począł skłaniać się do ich żądania, aby przestępstwa polityczne oddać po dawnemu w ręce sądów wojennych, telegrafował nawet w d. 27 Kwietnia do Petersburga, by mu przysłano jakiego biegłego (bojkago) audytora, „gdyż takowego konieczna jest potrzeba“. Jakoż w parę dni później posłano mu nieja-

[1]) Dla niepowracania do sprawy modlińskiej przebiegniemy tu w krótkości jej epilog ostateczny. Sąd kryminalny warszawski, zgodnie z opinią Wieczorkowskiego, uznał niebyt czynu karygodnego i kazał uwięzionych uwolnić. Prokurator królewski odwołał się od tej decyzyi do sądu apelacyjnego, który w pierwszych dniach Lipca „decyzyą kwalifikacyjną ostateczną uznał między innemi, że orzeczenie Sądu kryminalnego warszawskiego nie jest zgodne ze śledztwem dotychczas wyprowadzonem, albowiem istota czynu, obciążającego osoby, jest dostatecznie ustanowioną, gdyż osoby te obwinione są, że w d. 8 Kwietnia r. b. należały do tłumnego zbiegowiska, jakie wieczorem tego dnia przed Zamkiem miało miejsce, oraz, że po wezwaniu przez władzę o rozejście i po trzykrotnem zabębnieniu nie ustąpiły, a tym sposobem do użycia siły zbrojnej dały powód, że nadto niektóre z nich na wojsko kamieniami rzucały; a że zbiegowisko to w dniu zacytowanym miało istotne miejsce i władza przy odgłosie bębna lud o rozejście się wzywała, stwierdzone jest, obok urzędowych dowodów, zeznaniem świadków pod przysięgą badanych i przez zeznanie niektórych obwinionych“. Ogłaszając tę decyzyą, Wielopolski ze swej strony dodaje: „zapadła jak wyżej decyzya Sądu apelacyjnego, uznająca byt przestępnego czynu zbiego-

kiego Achszarumowa, człowieka młodego, kandydata praw uniwersytetu petersburskiego, który odtąd miał być sędzią, prowadzącym śledztwa w przestępstwach stanu.

Przyznać wszelako należy, że i druga strona nie postępowała tak jak trzeba było, że Wielopolski, usiłując pod jednym względem poprawić sposób rządzenia Polską, zniszczyć dawną, opłakaną tradycyą kłamstw i gwałtów, pod drugim atoli rząd ten naśladował i zarażał się jego wadami. Wspomnieliśmy już, że Wołowski, jako dyrektor Komisyi sprawiedliwości, żądał natarczywie, by akta zejścia osób poległych dnia 8 Kwietnia, były koniecznie spisane gdzie należy, jak tego wymagało prawo. Wiemy, że to nie podobało się Gorczakowowi i było jednym z powodów szybkiego usunięcia niewygodnego Wołowskiego ze stanowiska przezeń zajmowanego. Wielopolski, stając na jego miejscu, czuł potrzebę zadość uczynienia prawu, które nie znało pod tym względem żadnych wyjątków, które w każdym innym kraju musiałoby być niezwłocznie spełnione. Jakoż d. 12 Kwietnia, a więc w cztery dni po krwawych wy-

---

wiska w d. 8 Kwietnia, podaje zarazem zasadę prawną niedopuszczenia przez władzę, aby jakiekolwiek pomniki z powodu tych wypadków wznoszone i poświęcane były, o czem już Dyrektor główny, prezydujący w Komisyi rządowej wyznań i oświecenia, Zarządców dyecezyi urzędownie zawiadomił". Nie miało się jednak na tem skończyć. W parę miesięcy później, mianowicie we Wrześniu 1861 r., ukazała się w Poznaniu broszura p. t. „Kilka słów w sprawie modlińskiej", wydana u Żupańskiego, w której nieznany autor broni Sądu apelacyjnego, oskarżonego jakoby przez opinią o to, że zniósł decyzyą Sądu kryminalnego warszawskiego, dozwalającą, by aresztowani w d. 8 Kwietnia odpowiadali z wolnej nogi i t. d. „Ci, którzy puścili pogłoskę o niesprawiedliwem postanowieniu Sądu apel., pisze autor broszury, nie znali aktu sprawy, nie znali postanowień Sądu kryminal. i Sądu apel., nie znali, lub nie chcieli znać prawa. Ze słuchu tylko ułożyli i utworzyli sobie zdanie. Przypisując je Sądowi apel. ściągnęli tym sposobem zemstę publiczną na osoby, do składu tegoż sądu należące". Autor twierdzi i słusznie, że ani Sąd krym., ani apelacyjny kary na więźniów modlińskich nie wyrzekały, ale tylko rozstrzygnęły kwestyą odpowiedzialności obwinionych z wolności lub nie.

padkach na placu Zamkowym, ogłosił w gazetach, że „w celu zadość uczynienia prawu i tem samem zabezpieczenia stosunków cywilnych osób, w d. 8 b. m. poległych, spisywane będą akta zejścia w księgach stanu cywilnego w parafii św. Jana, jako miejscu ich śmierci“. W rzeczy zaś samej było to próżną i kłamliwą obietnicą, której zapewne, pisząc to ogłoszenie, Wielopolski nie myślał dotrzymać. Ani jeden bowiem taki akt nie został sporządzony w wymienionej parafii.

Wśród tych działań rządowych, wśród tych błędów i niepowodzeń, miasto i kraj po strasznej nauce kwietniowej zdawały się być dość spokojne i ciche. Gorczakow, w chęci zapewne utrzymania w Petersburgu dobrego dla kraju usposobienia, donosił ciągle cesarzowi, że „tu spokojnie“, lub, że „wszystko jest dobrze“ (wsio błagopołuczno), i zapewne nie przypuszczał, by kiedykolwiek jeszcze mogły się powtórzyć takie sceny, jak przed kilku dniami na placu Zamkowym. Tymczasem w rzeczywistości inaczej było; stan kraju i miasta stawał się z każdą nieomal chwilą niebezpieczniejszy i groźniejszy. Gorączka, która ogarnęła cały organizm polski, nie ustawała, tylko ukryła się w wewnątrz i tam miała odtąd czynić straszne, nieobliczone spustoszenia. Z pozoru wszelako było cicho; na ulicach Warszawy, wśród biwakujących wojsk, życie, na chwilę wyrzucone ze swej kolei, zdawało się wracać do dawnych, zwykłych karbów. Nie było już manifestacyi ulicznych, nie było zbiegowisk. Ale zato w czterech ścianach domów nienawiść ku ciemiężcom, ku katom i mordercom, jak nazywano Moskali, wzrastała nieustannie. Opowiadano sobie tysiące szczegółów, pełnych dramatyczności, o wypadkach na placu Zamkowym; podniecano w sobie gniew i chęć zemsty wzajemnie. Między ludem, na Starem Mieście, wśród sławnych ze swej gadatliwości przekupek warszawskich, wśród klas rzemieślniczych i drobnego mieszczaństwa, zarysowała się na kanwie tych wypadków pełna fantastyczności i cudowności legenda, przypominająca swą osnową średniowieczne podania kronikarskie. Mówiono

więc, że ciała poległych, pochowane w cytadeli, przewieziono na Powązki potajemnie i tam powtórnie pogrzebano, a uczyniono to dla tego, że wartom wojskowym, rozstawionym na wałach twierdzy, ukazywały się co noc duchy pomordowanych i, podobnie jak w Szekspirowskim dramacie, tak dalece przerażały swem nagłem pojawieniem się straże, że te uciekały. Inni twierdzili, że nie mary pozagrobowe dręczyły co noc warty moskiewskie, pilnujące wałów cytadeli, ale Matka Boska, ukazująca się w światłości nieziemskiej nad kościołkiem praskim i domagająca się swą postawą, by zwłoki poległych wykopano i pochowano w ziemi poświęcanej.

Ale jeżeli lud w swój sposób sądził wypadki, które swą grozą uderzyły jego wyobraźnię, to w sferach wyższych, wśród inteligencyi, wspomnienie o rzezi kwietniowej, budziło stale oburzenie i chęć pomsty. Rząd ze swej strony, zwłaszcza w pierwszych chwilach, czynił wszystko, co tylko mógł, by pamięć tych scen straszliwych utrwalić; przyjmował postawę mówiącą, że dobrze zrobił, mordując setki ludzi na ulicach. Wojsko wciąż biwakowało na placach miasta, a choć nie napadało już na przechodniów, przecież swem zachowaniem się i obejściem brutalnem dawało poznać, że jest gotowe przy pierwszej lepszej sposobności powtórzyć krwawy dramat kwietniowy. W dniu 20 Kwietnia Gorczakow wydał do wojska tego, noszącego miano armii pierwszej, rozkaz dzienny, w którym donosił, że: „Najjaśniejszy Pan raczył rozkazać: objawić najwyższą J. C. Mości wdzięczność jenerał-porucznikowi Chrulewowi i będącym pod jego dowództwem d. 27 Marca (8 Kwietnia) wojskom za uśmierzenie nieporządków, wywołanych przez tłumy wzburzonego ludu na placu Zamkowym w Warszawie“. Rozkaz ten, dzięki temu, że zaraza rewolucyjna powoli przedostawać się poczęła do wojska, zwłaszcza do ciała oficerskiego, w którem było mnóstwo Polaków, doszedł do wiadomości ogółu i oczywiście wzbudził powszechne oburzenie. Nawet ludzie chłodni, wytrawni, nie zapalający się do niczego i nie dziwiący się niczemu, gnie-

wali się i surowo potępiali ten rozkaz. Że strzelali do ludu, mówili, nic w tem nadzwyczajnego; byli rozdrażnieni, prowokowano ich i trzeba było raz to zrobić. Było to złe konieczne, ale właśnie dla tego, że jest złem, należy o niem jak najprędzej zapomnieć i uważać je za złe. Tymczasem wyrazy wdzięczności i podziękowania za czyn, bądź co bądź ohydny, świadczą, że rząd uważa rzeź kwietniową za coś dobrego i zaszczytnego. Otóż to jest niemoralne i godne surowego potępienia: jest to rodzaj naigrawania się z pokonanych, przypomina policzek dany przez Małgorzatę Andegaweńską krwawej głowie księcia Jorku.

Wszystkie jednak te zdania, te słowa potępienia i oburzenia, wygłaszano po cichu, tajemnie, w czterech ścianach, oglądając się trwożliwie dokoła. Wzburzenie było wielkie, umysły były wciąż rozgorączkowane, ale straszna groza, która padła na ludność po rzezi, kazała to w sobie tłumić. Ruch widocznie został zepchnięty z ulicy i pod tym względem Wielopolski mógł sądzić, że zwyciężył, że przy pomocy okrutnej, krwawej nauki kraj uspokoił. W istocie jednak rzeczy ruch wcale nie skonał i nie mógł skonać. Zanadto on był młody, zanadto silnego nabył prądu, by mógł się odrazu zatrzymać. Dla młodzieży, dla wszelkiego pokroju rewolucyonistów, cóż znaczyło tę pareset trupów w obec świętej sprawy oswobodzenia ojczyzny od obcego najazdu? Wszak wiedzieli oni dobrze, iż uzyskanie niepodległości dla tej ojczyzny nieszczęśliwej nie obejdzie się, nie może się obejść bez ofiar; byli na nie przygotowani i z heroizmem, zaiste zdumiewającym, gotowi je byli ponosić. Teraz jednak, kiedy cel główny manifestacyi, to jest obudzenie ducha w masach ludności, został osiągnięty, kiedy same manifestacye niepotrzebne już tylko ofiary mogły wywoływać, w tych wszystkich kołach i kółkach, jakie tworzyły się w mieście, powstało pytanie: co robić? Kołami temi nikt teraz nie rządził i nie kierował. Jurgens, przeciwny zawsze ulicznym awanturom, kończącym się katastrofą, oddawna usunął się na stronę, pogrążył się w cieniu i nie mając wpływu na rozmaite stowarzyszenia i nie

starając się o jego uzyskanie, co zresztą wprost było niemożliwem, nie był zdolny do kierowania tym chaosem, jaki powstał w sferach rewolucyjnych po d. 8 Kwietnia. Tryumwirat Majewskiego, nigdy nie uznany, większości młodzieży nawet nieznany, już w dobie rządów Delegacyi rozpadł się i zniknął przez własną niemoc. Nie było więc nikogo, coby mógł chwycić wodze ruchu w ręce. Mnóstwo kół i kółek, tworów efemerycznych, nie znających się wzajemnie, częstokroć nie wiedzących o sobie, roiło się w mieście. Był to, powtarzamy, istny chaos, materya kosmiczna, rzucona w przestrzeń dziejowych przeznaczeń, z której dopiero zczasem przez słowo „stań się!“ jakiego nowożytnego boga rewolucyi mogło utworzyć się ciało, mające porwać za sobą naród polski i powieść go w nieznaną, tajemniczą dziedzinę przyszłości.

Wszelako ten chaos rozrzuconych cząstek przyszłego ciała rewolucyi miał jeden punkt wspólny, punkt grawitacyi, że tak powiemy, około którego powoli mogły się cząstki owe skupiać. Tym punktem było ogólne, powszechne poczucie, że z manifestacyami ulicznemi trzeba skończyć, że są one teraz niemożliwe, że trzeba się organizować. System trójek i dziesiątek leżał, że się tak wyrazimy, w powietrzu i bezwiednie, bez żadnego porozumienia, począł być stosowany w różnych punktach miasta i między różnemi klasami ludności. Pod tym względem działalność agitatorów była tak żywa i tak energiczna, że w parę tygodni po rzezi kwietniowej cała nieomal Warszawa pokrytą została siecią tej organizacyi, luźnej wprawdzie, nie scentralizowanej, ale mającej już wyraźny charakter spisku. Bardzo często zdarzało się, że ogniwa takich dziesiątek spotykały się ze sobą nagle, nie wiedząc dotąd o sobie i dowiadując się, że obok nich są inni przygotowujący konspiracyą; przekonywano się przytem, że choć forma tej konspiracyi była jednakowa, duch jednak ją ożywiający był różny. Jedno koło dążyło gwałtownie i szybko do powstania, gotowe było zaraz wybuchnąć, choć wiedziało, że nie ma potemu żadnych przygotowań i licząc tylko na entu-

zyazm narodowy; inne odrzucało powstanie natychmiastowe, a zato chciało prowadzić długą, wolną, ale przez to samo bardziej ugruntowaną pracę przygotowawczą. Większość jednak tych kół należała do pierwszych, do sfery gorących zapaleńców, gotowych choćby nazajutrz rzucić się na Moskali.

Niektóre z pomiędzy tych podziemnych i bezimiennych stowarzyszeń starały się oddziaływać na prowincyą. W tym celu, pod pozorem, że w miasteczkach i na wsiach łatwiej można znaleść zarobek, którego dzięki rozruchom istotnie w stolicy brakowało [1]), wysłano na prowincyą przeszło dwustu czeladników rzemieślniczych, ażeby wśród drzemiącej trochę i leniwej umysłowo ludności miasteczek, a nadewszystko wśród ludu wiejskiego szerzyli pojęcia patryotyczne i przygotowywali go do powstania. Wszyscy ci czeladnicy, przemienieni nagle w ajentów politycznych, napojeni byli skrajnym, rewolucyjnym patryotyzmem; zaopatrzeni w książki, odezwy, obrazki i medaliki patryotyczne, nieśli ze sobą zarzewia tego ognia, który pożerał stolicę, przynosili w senne życie prowincyonalne tę płomienistą atmosferę bruku warszawskiego, która najchłodniejszych i najobojętniejszych nieraz ludzi zamieniała w gorących,

[1]) W rzeczy samej w klasie wyrobniczej bieda była ogólna. W czasach powszechnego wzburzenia wszelkie przedsiębiorstwa się kurczą, a kapitał się chowa. Brak zarobku powodował, że tłumy robotników i czeladzi rzemieślniczej, nie mając zajęcia, włóczyły się po mieście, stanowiąc element podatny do wszelkich manifestacyi. Rząd starał się temu zapobiedz i w d. 12 Kwietnia namiestnik ogłosił, że dla „dania możności zarobkowania klasie rzemieślniczej i wyrobnikom tutejszego (sic) miasta“ polecił dokonania następujących robót publicznych: 1) ubezpieczenie brzegu Wisły od strony Warszawy przy ulicy Solec, poczynając od zakładów żeglugi parowej aż do ulicy Czerniakowskiej; 2) splantowanie projektowanego ogrodu na Pradze; 3) odbudowanie i reparacya fosy okopowej i okopów, począwszy od ulicy Pańskiej po rogatki Powązkowskie i 4) przygotowanie tysiąca płaszczy i dwóch tysięcy par butów dla komend inwalidnych. Na wykonanie tych robót namiestnik osobny fundusz wyznaczył.

czerwonych patryotów. Ajentom tym z chłopem nie bardzo, a nawet wcale się nie wiodło, ale mieszczaństwo drobne, wiodące mizerny, wegetacyjny żywot po licznych miasteczkach Królestwa, gorąco pochłaniało słowa propagatorów i wieści, zawsze przesadzone, o „strasznych mordach moskiewskich“, i kipiało chęcią pomszczenia się na tyranach.

W obec tego wszystkiego spiskowcy doświadczeńsi, starzy, wytrawni mistrze konspiracyi, widzieli jak na dłoni, że jeżeli ta samodzielnie rozwijająca się po miastach organizacya a raczej spisek, wytryskający z podziemnych czeluści mas tysiącem źródeł ogrzanych do temperatury bardzo wysokiej, nie będzie ujętą w karby, nie będzie objaśnioną o położeniu i siłach kraju, o potrzebie przygotowań, to powstanie wybuchnie, powstanie słabe, nieudolne, płód poroniony, który skona na drugi dzień w potokach krwi własnej i straszną na kraj klęskę sprowadzi. Do takich mistrzów spiskowania, mistrzów doświadczonych, chłodnych i spokojnych, należał Agaton Giller, Sybirak, redagujący w tej chwili „Czytelnię niedzielną“, baczną zwracający uwagę na wszystko, co się dzieje w kraju, trzymający się dotąd nieco na uboczu, ale mający obszerne koło stosunków we wszystkich sferach rewolucyonistów i nierewolucyonistów. Obok niego grupowali się inni, jemu podobni; był on przytem w ciągłem zetknięciu z Ruprechtem i dawną Delegacyą, z żywiołem mieszczańskim, który bardzo by był rad, żeby Moskali licho wzięło, ale który bał się powstania jak zmory, a rewolucyi czerwonej z Mierosławskim jak zarazy. W tych to sferach, pod wpływem namowy Gillera, powstała myśl wydania odezwy do narodu, odezwy objaśniającej położenie obecne i nakreślającej program przyszłego działania. Ponieważ projekt ten wyszedł od Gillera, jemu więc powierzono jego wykonanie. Jakoż Giller, nie zwlekając, wziął się do tego i już w połowie Kwietnia odezwa była gotowa, odczytana tym, którzy o zamiarze całym wiedzieli, i przyjęta przez nich z małemi zmianami. Niejaki Marcin Borelowski, rzemieślnik,

który z czasem w dziejach powstania zbrojnego miał odegrać historyczną rolę pod pseudonimem Lelewela, zabrał się do drukowania odezwy po nocach i rozsyłania po kraju [1]). Odbito jej przeszło sto tysięcy egzemplarzy, czytano chciwie, gdyż bądź co bądź, w obec dotychczasowych najrozmaitszych druków, wychodzących z lekkiej ręki rewolucyonistów warszawskich, ona pierwsza stawiała jasny i wyraźny program działania, nakreślała drogę dla błądzącego samopas ruchu, drogę, której ostatecznym celem było wywalczenie niepodległości polskiej przy pomocy powstania, z bronią w ręku.

Odezwę tę, noszącą tytuł: „posłanie do wszystkich Polaków na ziemi polskiej“, a podpisaną: „mieszkańcy Warszawy“, możnaby nazwać umiarkowanie rewolucyjną. Nie wyrzeka się ona powstania, owszem uważa je za jedyny i wyłączny cel ruchu, ale chce, by ono wtedy wybuchło, gdy będzie miało pewność zwycięztwa za sobą. Ton tego pisma jest spokojny, pełen prostoty i jasności tak, żeby nawet człowiek niewykształcony mógł je zrozumieć, a co ją dodatnio wyróżnia od nadętych i pełnych niesmacznego patosu innych odezw tej epoki. Publikacya ta zaczyna się od opisu zbrodni, jakiej na Polsce dokonały i dokonywują ciągle trzy państwa zaborcze, skreśla w jaskrawych barwach ucisk i gwałty ich rządów. „Nigdzie nie było, powiada, większej niewoli i nigdzie nie ma większego bezprawia! Rządy Rosyi, Prus i Austryi w Polsce są nieu-

[1]) Niektórzy pisarze z tego powodu, że drukiem i rozsyłaniem odezwy tej zajmował się Borelowski, przypisują mu jej autorstwo. Giller stanowczo temu zaprzecza w swej „Historyi powstania narodu polskiego (I, 17). „Borelowski, mówi tam, ani jej pisał, ani też jej napisania nie spowodował. Borelowski był rzemieślnikiem, który prócz rachunków, kilkunastu listów, a w czasie powstania raportów do Rządu narodowego, nic więcej w życiu nie napisał. W Warszawie miał on pod swoją komendą z tysiąc pracujących, którzy go słuchali w zupełności, lecz wykonywał tylko dane mu rozkazy, nigdy naczelnej roli nie odgrywając, ani żadnej do niej nie mając pretensyi“. „Borelowski drukował ją (odezwę) po nocach i rozsyłał, i ztąd urosła wieść, że on był jej autorem“.

stanną zbrodnią, która psuje postęp i wolność nawet innych narodów. Wspólność interesu duszenia nas zbliża ich w wielu razach i jest węzłem koniecznego między nimi związku, w obec którego wolność europejskich narodów rozwinąć się, a ich bezpieczeństwo utrwalić nie może".

Po tym wstępie, gubiącym się w fantastycznej teoryi, że wolność zupełna świata zależną jest od wolności Polski, następuje program, jakiego, według Gillera i jego stronników, naród trzymać się winien: „Jakkolwiek wolność Polski, mówi tedy fantazyujący spiskowiec warszawski, obchodzi całą Europę, przecież na siebie jedynie liczyć możemy i powinniśmy, bo od nas samych pomyślność i wolność nasza zależy. Pod ciężkiem jarzmem, pod czujnym i mściwym nieprzyjacielem pracować musimy na naszą wolność. Dlatego to potrzebna nam jest roztropność i umiejętność korzystania z zaślepienia rządów, które, coraz bardziej gwałcąc prawa, coraz bardziej obrażając potrzeby narodu, same sobie upadek gotują". — „Mordy i bezprawia siły zwyciężyć nie mogły ducha narodowego. Siłą moralną, jaką nam ten duch daje, walczyć musimy i powinniśmy, dopóki sami z sobą nie urządzimy się i przez usiłowania ciche i wytrwałe nie wyrobimy potęgi materyalnej. Demonstracye więc tylko w pewnych razach i okolicznościach są potrzebne, kuszenie się na zbrojne powstanie bez poprzedniego obrachowania się i wyrobienia w sobie siły materyalnej dzisiaj jest przedwczesne. Nadejdzie czas zbrojnego wystąpienia i wtedy, nie mając już kłopotu sami w sobie, mocni i zgodni, a pewni zwycięztwa, wystąpimy. Teraz z inną bronią wychodzimy na bój z wrogami! Oni mają rządy, prawa niesprawiedliwe, armaty i bagnety; my mamy Boga, ducha narodowego, potrzeby słuszne i przez wszystkich uznane i siłę moralną, jaką Bóg obdarza krzywdzonych i prześladowanych. Wielka to i potężna siła! Ona już raz w Lutym r. b. pokonała na jakiś czas wroga. Rządy nie są w stanie pozbawić nas tej siły, lecz broń mogą nam jeszcze dzisiaj z rąk wytrącić".

„Z bliznami niezagojonemi i z krwi jeszcze nieotarci,

mieszkańcy Warszawy, wzywamy wszystkich rodaków, w imię wolności Polski i pomyślności całego narodu, do zgody i miłości wzajemnej. Podniesienie włościan, najliczniejszej klasy ludności, do stanu obywatelstwa rozszerzy podstawy dla idei i pracy narodowej, wzmocni, uorganizuje kraj i da nam niespożytą siłę. Niechaj więc szlachta łączy się z włościanami, jako bracia z braćmi. To, co różniło te dwie klasy ludności: ciemnota i pańszczyzna, wspólnemi siłami wkrótce zniknąć powinny. Szlachta ożywiona dobrą wolą, śpiesznie, choćby z poświęceniem części korzyści materyalnych, niechaj przeprowadzi oczynszowanie tam, gdzie go jeszcze nie ma, a przez nie dąży do uwłaszczenia, niechaj zakłada szkoły i uczy włościan, bo dopóki włościanie nie zostaną obywatelami, dopóty jarzmo ciążyć nam będzie. Wy zaś włościanie z ufnością zbliżajcie się do dziedziców, bo od zgody z nimi wasze i wszystkich szczęście zależy. Pan, który włościanina obije i skrzywdzi, jak i włościanin, który, słuchając podżegaczy, występuje przeciw panu, są występnymi w obec narodu. Sami się uczyć, kształcić młode pokolenie i wzajemnie objaśniać co do naszego położenia powinniśmy". — „Nie wierzcie rządowi, który ani jednej obietnicy nie dotrzymał i zawsze nas oszukuje! Odsuwajcie jego namowy i nie szukajcie pomocy od niego, bo nam ją da zatrutą ręką! Procesa i spory rozstrzygajcie sami pomiędzy sobą, a nie szukajcie zadość uczynienia w sądach i w urzędach. Gdzie się tylko rząd dotknie swoją ręką, niechaj znajduje niechęć i niewiarę. Jego gwałty, strachy puszczane, groźby, trwożyć nas nie powinny. Silni zgodą i miłością, osłabimy rząd nieufnością i wstrętem, jakim powszechnie zostanie obdarzony i sprawimy, że gróźb i bezprawia bez własnej szkody, jakto już i teraz po części ma miejsce, wykonać nie potrafi".

„Żydzi okazali polskie uczucia i są także naszymi braćmi, są takimi jak i my Polakami, chociaż innej wiary. Więc i oni z resztą narodu, a naród z nimi w zgodzie, w braterstwie i wspólnych usiłowaniach dla pomyślności i niepodległości kraju, niechaj pracują! Bracia nasi na

Litwie i Rusi, od wieków z Polską dobrowolnie złączeni, niechaj odsuwają namowy Moskali i Niemców, usiłujące ich poróżnić z rodakami na Mazowszu, w Wielko i Małopolsce mieszkającymi. Wszystkie te ziemie aż do Gdańska są jedną Polską i wszyscy mieszkańcy pomimo różnicy stanu, języka lub wiary są rodakami i Polakami. Zgoda więc powszechna, jedność zupełna niechaj wszystkich ożywia i będzie celem dla wszystkich". „....Porzućmy zbytki, hulankę i niepotrzebną wesołość. Czarno ubrani na znak smutku, w jaki nas rządy wprowadziły, nośmy ubrania polskie, nikogo za inne ubrania nie prześladując. Kto zna obce języki, a mianowicie: niemiecki i moskiewski, niechaj nimi nigdy na polskiej ziemi do żadnego Niemca ani Moskala nie przemawia. Opinia publiczna mocno i silnie wyrobiona zastąpi nam brak władzy narodowej".

„Nikt nie może bezkarnie podlić się, szkodzić narodowi i siebie poniżać. Zamiast szukać sobie chleba w wojsku lub w jakiej podłej służbie, niechaj szukają go w rzemiośle, w roli, w handlu i w innych uczciwych zatrudnieniach. Nie rozrzucajmy grosza napróżno, a chętnie go dawajmy na potrzeby ojczyzny, na wsparcie biednych, na broń, na książkę lub obrazek polski. Pomagajmy sobie wzajem i wspierajmy w każdej potrzebie, a wnet dojdziemy do mocy, którą wrogów wypędzimy z kraju. Nic od rządu spodziewać się, niczego nie oczekiwać, ze wszystkiego korzystać i załatwiać potrzeby kraju wspólnemi i zgodnemi siłami, a nauczymy się wszyscy, gdy czas przyjdzie, stać na polu bitwy i zwyciężyć orężem. Tą drogą, nie szafując zasobów na próżne pokuszenia, dojdziemy do szczęścia ogólnego, do Polski wolnej i niepodległej. Niech żyje Polska! niech nikt dla Polski pracy, grosza i życia nie żałuje!"

Całym zatem programem tej odezwy nie było nic innego, jak przygotowywanie się do powstania, które otwarcie i szczerze zapowiadano; było to nakoniec wyraźne wypowiedzenie wojny Rosyi, spalenie wszystkich za sobą okrętów, potępienie polityki wszelkich, choćby najkorzyst-

niejszych dla kraju kompromisów z rządem obcym. W tych zasadniczych punktach odezwa w niczem nie różniła się od tego, co dotąd wyznawała i głosiła partya rewolucyjna, czerwona; różniła się z nią tylko co do sposobu działania. Sposób ten był prosty, jasny i wydawał się niepozbawionym rozumu; nie było w nim entuzyazmu, ale był pozorny chłodny obrachunek. Mówimy: pozorny, boć przecie rzeczą było oczywistą, że dążenie do powstania, czy to ostatnie ma jutro, czy za rok, czy za dziesięć lat wybuchnąć, było prostem szaleństwem, porywaniem się z motyką na słońce, że użyjemy dosadnego porównania ludowego. Ale na to już nie było rady; dla czerwieńców wszelkich odcieni, dla tych umysłów, spaczonych przez długą niewolę, innego celu ruch mieć nie mógł i mieć nie powinien.

Podczas kiedy stronnictwo mieszczańskie warszawskie, stronnictwo Millenerów, zamieniając się powoli w spisek, w ten sposób nakreślało swój program i zamierzało położyć tamę działalności szaleńców, chcących powstania natychmiastowego, w stronnictwie Białych, w rozbitych szczątkach Towarzystwa rolniczego, budziła się także myśl jakiegoś działania, potrzeba jakiegoś programu. Kiedy Komitet Towarzystwa, kupiąc się koło Zamoyskiego, pozwolił mu się dąsać, a sam z pewnem wahaniem przyjmował reformy Wielopolskiego i gotów był do udziału w nich, ale z wyraźną obawą, kilku energiczniejszych członków Towarzystwa, ludzi młodszych i żywszych, z innymi nosiło się zamiarami. Podobnie, jak Giller i Millenerzy, widzieli oni chaos, panujący wśród kół i kółek konspiracyjnych, i odczuwali potrzebę nadania im kierunku, powstrzymania od „głupstw“, jak mówili. W obec tego, oświadczali, konieczną jest rzeczą stworzenie jakiejś organizacyi.

Pod ich to wpływem zapewne, a może i pod wpływem rozdrażnienia, jakie nim powoli owładało, pan Andrzej zgodził się i pozwolił użyć swego nazwiska do akcyi, całkiem sprzecznej z działalnością jego dotychczasową. Szło wprost o utworzenie organizacyi powstańczej w całym kraju pod egidą i kierownictwem pana Andrzeja. Odlito-

grafowano w końcu Kwietnia odpowiednią odezwę i instrukcyą i rozesłano członkom b. Towarzystwa wraz z nominacyami na różne stanowiska. Odezwa zalecała przygotowania do powstania zbrojnego przeciw najazdowi, zachęcała do uwłaszczenia chłopów bez wynagrodzenia z ich strony, jednem słowem mówiła to samo, co znana nam już odezwa „mieszkańców Warszawy“. Instrukcya nakazywała zbieranie pieniędzy drogą ofiar dobrowolnych, spisywanie ludzi zdatnych do broni, obliczanie broni myśliwskiej, koni pod kawaleryą i t. p. Rozesłano przytem po całym kraju ajentów, którzy głośno mówili, że oba te dokumenty pochodzą od p. Andrzeja i wręczali nominacye odpowiednim ludziom na starostów w każdym powiecie [1]).

Udział jednak Zamoyskiego w tej organizacyi tajnej trwał nie długo. Już w trzy tygodnie potem, w drugiej połowie Maja, uwiadomił starostów, że cofa dane rozporządzenie, gdyż w obec tego, że jest zupełna pewność otrzymania drogą legalną wielu ustępstw dla kraju, nie należy, nie wolno ryzykować w nierównej walce losów całego narodu. Cofnięcie się to przyjęto z niechęcią w ogóle, tu i owdzie z oburzeniem, uważano je za wynik słabości charakteru p. Andrzeja. Nie była to jednak słabość, ale przekonanie, które żywił i w czyn przez całe życie wpro-

[1]) W powiecie włodawskim został takim starostą Bronisław Deskur, właściciel wsi Horostyta. (Czytaj jego Pamiętniki w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania“ II, 135). Że czerwoni warszawscy nic o tem nie wiedzieli, świadczy okoliczność następująca. Zaraz po wypadkach 8 Kwietnia, niejaki Teodor Jasieński, obywatel z Włodawskiego, zdołał się w Warszawie porozumieć z rewolucyonistami i umówił się z nimi, że zebrani zostaną delegaci wojewódzcy z całego kraju i zjadą się z delegatami Warszawy d. 15 Maja we wsi Horostyta, u wzmiankowanego Deskura. Gdy na ten zjazd przybył z Warszawy w terminie oznaczonym Stanisław Szachowski i Wiśniewski, uczeń instytutu rolniczego w Marymoncie, zdziwili się niezmiernie, gdy im Deskur powiedział o akcyi Zamoyskiego i wyjechali „ażeby w Warszawie dojść do źródła tej roboty“, którą widocznie podejrzywali. Zjazd oczywiście w obec wystąpienia Zamoyskiego, jako już całkiem niepotrzebny, nie przyszedł od skutku.

wadzał, że drogą spisków i powstań Polski się nie wywalczy. Jeżeli na chwilę dał się owładnąć uczuciu rozdrażnienia, jeżeli uległ wpływom gorętszych, to rozwaga chłodniejsza kazała mu się natychmiast cofnąć od dzieła, które uważał za zgubę kraju. Dał tem dowód wielkiej siły woli i szczerego patryotyzmu.

Ale w czasach tak burzliwych, kiedy spisek unosił się nieomal w powietrzu, jak pył rodzajny roślin szukający sposobności zapłodnienia kwiatu, cofnięcie się takie nie mogło już naprawić szkody, jaką jego odezwa, instrukcya i urok imienia zrobiły. Jeżeli tu i owdzie przerwano agitacyą, to byli jednak tacy między szlachtą, którzy za nic w świecie ustąpić nie chcieli. W Podlaskiem Deskur oświadczył, że „dalej robić będzie, jak mu sumienie każe“; w Częstochowskiem nie tylko nie ustąpiono, ale wzięto się do rzeczy bardzo systematycznie i powoli.

Niejaki Włodzimierz Trepka, zamożny szlachcic z Kaliskiego i korespondent b. Towarzystwa rolniczego, postanowił także dalej działać i w tym celu zjechał w końcu Maja do Żytna, wsi leżącej niedaleko Pławna w Częstochowskiem, a należącej do Zygmunta Siemieńskiego i poczęli tam radzić, co teraz robić. Do nich przyłączył się wkrótce Józef Kołaczkowski, dziedzic wsi Cielętniki, sąsiadującej z Żytnem, człowiek młody, bogaty, trochę hulaka i utracyusz, oraz Karol Majewski, który ich znał i miał na nich wpływ pewien. Tak we czterech, po kilkudniowej naradzie, postanowili wytworzyć ciało, mające kierować ruchem. Ciało to miało nosić starodawną nazwę polsko-szlachecką „konfederacyi“. Sporządzono odnośny akt na piśmie, na którym wszyscy czterej się podpisali i w którym wyłożone były powody zawiązania „konfederacyi“, jej skład i cele. Powody są nam już znane; była to potrzeba ujęcia w jakieś karby ruchu i poprowadzenia go tam, gdzie należy. Co do składu zaś tego ciała zwierzchniczego, to nie miało ono być samozwańczem, jak wszystkie kółka warszawskie, wyrosłe na bruku, nie wiadomo z kogo złożone, a mające pretensyą do rządzenia, jak wreszcie jacyś mgliści,

nieokreśleni „mieszkańcy Warszawy“, podznaczeni na odezwie Gillera, ale miało powstać z wyborów. W każdem województwie, a raczej w każdej gubernii, szlachta ma wybrać z pomiędzy siebie jednego „męża zaufania“, którzy w ogólnej liczbie pięciu, mają stanowić zwierzchniczą władzę ruchu i, jako wyraz woli narodowej, kierować nim niepodzielnie. W tym celu, dla zarządzenia wyborów na „mężów zaufania“, oraz dla przyjęcia przez wszystkich aktu konfederacyi, czterej radzący w cichej, zabitej deskami od świata, wiosce postanowili puścić się na wędrówkę po kraju, agitować i wybory zarządzać. Uchwalono, że dla porozumiewania się, dla komunikowania sobie wiadomości o postępie tej agitacyi, mają się w lecie zjeżdżać w Busku lub Ojcowie.

Taką była w swych głównych, zasadniczych rysach Konfederacya biała, forma, w której miało się mieścić naczelne ciało, kierujące ruchem. Ale dokądże ono miało go prowadzić, jak kierować i ku jakiemu celowi? Pod tym względem Konfederacya miała te same dążności, stawiała sobie taki sam program ostateczny, jak „Posłanie“ Millenerów. Oba stronnictwa miały wieść naród ku strasznej godzinie powstania. Akt Konfederacyi, spisany w Żytnie, różnił się od „Posłania“ tylko co do tego, że nie nakreślał wcale drogi, ani sposobów, w jakie naród ma być przygotowany do walki o swą niepodległość. Nakreślenie szczegółowego programu działania pozostawiono „mężom zaufania“, którzy jako reprezentanci, jeżeli już nie narodu całego, to przynajmniej pewnej jego wybitniejszej warstwy, powstali z wyborów, sami jedni mogli dawać wskazówki, co robić i jak robić należy. Jednem słowem, przez wytworzenie takiego ciała, którego nikt samozwańczem nie będzie mógł tytułować, chciano ogarnąć wszystko, powściągnąć Millenerów, którzy przez „Posłanie“ dawali poznać wyraźnie, że mają pretensyą do rządzenia i kierowania krajem.

Tym więc sposobem po katastrofie Kwietniowej, która według Wielopolskiego miała kraj uspokoić, „ocalić porzą-

dek publiczny“ — przeciwnie, głośne manifestacye, awantury jawne i na oczach wszystkich odbywające się, zmieniły się w spisek tajemny, nurtujący pod ziemią cicho i zdradliwie. W tej chwili były to tylko zarodki tego spisku, embryon, z którego niewiadomo jeszcze co się wykształci, ale embryon ten niósł w swem łonie posiew burz i huraganów, które miały wstrząsnąć krajem do głębi. To, co dotąd tylko w głowach nie wielu ludzi szalonych lub głupich majaczyło się, zbrojne powstanie, stało się teraz celem dla wszystkich, dla Czerwonych i dla Białych, dla Millenerów i umiarkowanych szlachciców. Tę nową fazę w rozwoju dziejów naszych nieszczęść, fazę, niosącą w zwojach swego płaszcza szereg klęsk i plag, z wielu względów zawdzięczać należy polityce i postępowaniu Wielopolskiego. Agitacya bowiem otwarta, manifestacye uliczne, choćby nie wiem jak wielkich rozmiarów, zawsze łatwe są do pokonania dla tego, kto ma siłę w ręku, i nigdy nie są tak niebezpieczne, jak spisek tajemny, knujący swe zamiary i czyny w ciemnościach, nieuchwytny i trudny do wyśledzenia. Niebezpieczeństwo więc po katastrofie 8 Kwietnia, zamiast zmniejszyć się, owszem bardziej się jeszcze zwiększyło.

Gdy więc tak powoli i nieznacznie tworzyły się zarodki ciał, mających kierować ruchem w celu wywołania powstania zbrojnego, rozmaici agitatorzy uliczni, uczniowie szkół i młodzież rzemieślnicza, przyszedłszy nieco do siebie po krwawej nauce Kwietniowej, poczęli podawnemu urządzać w mieście rozmaite awantury, noszące miano manifestacyi politycznych. Nieporządki i anarchia zapanowała teraz nawet wśród ścian szkolnych, gdzie rozprzęgła się wszelka karność i wszelkie poszanowanie władzy. Wykładów języka rosyjskiego uczniowie nie chcieli słuchać; nauczycieli obrzucali zgniłemi jajami, wypychali za drzwi, porywali się nawet do bicia nielubianych profesorów. Wizytatorowi Papłońskiemu, który nie cieszył się dobrą w kraju opinią i uchodził za wiernego sługę rządu, a który udał się do Płocka dla zwiedzenia szkół tamtejszych, uczniowie

gimnazyum wyprawili kocią muzykę przed hotelem, w którym stanął. W gimnazyum realnem w Warszawie, liczącem blizko tysiąc uczniów i mieszczącem się w pałacu Kazimierowskim, pewnego dnia, we wszystkich klasach podarto na szczątki książki rosyjskie i kartkami z nich zasłano podłogę; rąbano ławki, tablice i t. p. W Radomiu klasa czwarta i piąta tamtejszego gimnazyum gubernialnego tak była niesforna względem swej zwierzchności, że Wielopolski dla ukarania młodzieży wymyślił nowy, całkiem zresztą niefortunny środek, to jest zamknął obie klasy aż do dalszego rozporządzenia przez reskrypt z d. 20 Kwietnia. Powtarzamy, był to środek niefortunny, choćby z tego powodu, że młodzież, pozbawiona teraz wszelkiego zajęcia i wszelkiego dozoru szkolnego, rzuciła się na oślep w wir awantur ulicznych. W gimnazyum gubernialnem warszawskiem dyrektor Kaulbars kazał ocwiczyć rózgami kilku malców z trzeciej klasy za to, że śpiewali pieśni patryotyczne w kościele. Zemszczono się na nim w ten sposób, że mu wyprawiono kocią muzykę i wybito wszystkie szyby, w czem główny udział brali uczniowie klasy trzeciej. Wielopolski przez reskrypt z d. 23 Kwietnia kazał klasę tę zamknąć. W Kaliszu, w miejscowej szkole realnej, uczniowie rzucili się na znienawidzonego przez nich inspektora i wypchnęli go za drzwi. Wielopolski rozkazał całą szkołę zamknąć. Wszędzie zresztą tego rodzaju awantury się powtarzały i rzec można, że nie było szkoły rządowej w kraju, w którejby nie ukazywały się mniejsze lub większe objawy niesubordynacyi i swawoli.

Zamykanie szkół, jako odpowiedź i kara na postępowanie młodzieży, było środkiem niewłaściwym i zgubnym, powszechnie zresztą przez opinią potępianym. „Cóż to za naczelnik oświecenia publicznego! wołał „Czas“ z oburzeniem, oto w jaki sposób szerzy on oświatę. Rujnuje rodziny, niszczy przyszłość kilku pokoleń, pogrąża kraj w ciemnościach nieuctwa!“ W rzeczy zaś samej tak nie było, choć środek, użyty przez Wielopolskiego, był zły i nie prowadzący do celu; chciał on przez niego uniknąć mięszania

się policyi i wojska do spraw szkolnych, ale zdaje się, że lekarstwo było gorszem od choroby [1]).

Wszystkie te awantury szkolne, świadczące jak szerokie rozmiary przybrała agitacya i jak w łonie kraju wszystko było trawione przez gorączkę, miały znaleść swój epilog w głośnej i ze wszech miar fatalnej w swych skutkach historyi sztachet w pałacu Kazimierowskim. Wielopolski w domu obok biblioteki, który zajmował w tym pałacu, kazał dla swego własnego użytku oddzielić sztachetami część ogrodu, mieszczącego się z tyłu zabudowań i spadającego przepysznymi tarasami ku Wiśle. Ogród ten dotąd należał do gimnazyum realnego i szkoły sztuk pięknych. Dnia 13 Maja, właśnie w chwili gdy cieśle zajęci byli robotą, a mularze przygotowywali wapno do podmurowania, o godzinie 10-tej rano, w czasie pauzy, uczniowie gimnazyum realnego, czy z namowy czyjejś, czy z własnego popędu, przeważnie z klas wyższych, zebrali się tłumnie i poczęli wołać: „co to jest? gwałtem nachodzą na nasz ogród? ty nie znosisz rządów w rządzie, a my ogrodów w ogrodzie!“ Z takim okrzykiem, stanowiącym nie bez dowcipu zastosowane szyderstwo z osławionej mowy Wielopolskiego do duchowieństwa, uderzyli na robotników, którzy nie mieli zresztą ani zamiaru, ani chęci się opierać, wyrwali im siekiery, porąbali większą część sztachet, wapno zaś przygotowane w beczkach i cegły zrzucili do stawu, znajdującego się na dole tarasu, zatopili tam i przez to wygubili wszystkie ryby. Nadbiegli stróże pałacu i woźni szkolni zostali rozpędzeni przez rozzuchwaloną młodzież; wezwana policya zachowała się w sposób godzien najsu-

[1]) Lisicki (Aleksander Wielopolski I, 216) powiada: „margrabia zakłady naukowe zamyka, dawne bowiem władze szkolne nie były już w stanie utrzymać ładu, a udział w manifestacyach wystawiał młodzież na zetknięcie z wojskiem i policyą“. Czy jednak zamknięcie szkoły zapobiegało temu? wszak młodzież, nie mając co robić i nie lękając się już nikogo, tem więcej teraz brała udział w manifestacyach i tem bardziej wystawioną była na zetknięcie z policyą i wojskiem.

rowszej nagany, dowodzący, jak dalece anarchia i rewolucyjne idee przeniknęły nawet do szeregów tych mniemanych przedstawicieli porządku publicznego. Policyanci, tłomacząc się tem, że są za słabi liczebnie, by mogli stawić opór skuteczny nadużyciu młodzieży, pokładli się na trawie i z uśmiechem, z pewną aprobacyą niemą, przypatrywali się całej scenie zniszczenia.

Sprawa ta, mająca charakter swawoli szkolnej i jako taka nie zasługująca na to, by z niej robiono fakt doniosłości politycznej, w niepojęty sposób rozdrażniła Wielopolskiego. Zapominając o tem, że kraj znajdował się w położeniu nadzwyczajnem, że umysły były w stanie gorączki, że człowiek wyższy nie powinien uważać na drobne ukłucia, że obowiązkiem nakoniec jego było w ówczesnej sytuacyi łagodzić ludzi i rzeczy, a nie drażnić ich, patrzeć na wiele faktów przez palce, mnóstwa innych nie widzieć wcale, postanowił sprawę załatwić nie na drodze karności szkolnej, ale na drodze sądowej. Zaraz nazajutrz, na wielkie zdziwienie wszystkich, na boleść głęboką jednych, oburzenie innych, ogłosił w dziennikach, że „czyny młodzieży szkolnej rozmyślnego zniszczenia i uszkodzenia własności nieruchomej i ruchomej, oddane zostały na drogę prawną“. Wezwał Sąd policyi prostej wydziału III-go miasta Warszawy, by przeprowadził śledztwo, a czuwanie nad biegiem sprawy polecił prokuratorowi królewskiemu przy sądzie kryminalnym gubernii warszawszej. W rozdrażnieniu niepohamowanem, we właściwej swej naturze chęci pomsty na tych, którzy mu w czemkolwiek dokuczyli, wzywał do siebie sędziów i prokuratorów i, zapominając o legalności, której się głosił obrońcą, całą przewagą swego zwierzchniego stanowiska, tonem surowym i despotycznym, domagał się od nich ukarania winnych i prowadzenia sprawy tak a nie inaczej [1]). Nie poprzestając jednak na tem, w gnie-

[1]) A. Giller (Aleks. hr. Wielopolski, 66) opowiada, że nacisk na sędziów był jednym ze środków dość często przez Wielopolskiego używanych. Pisząc o margrabim, zapewnia, że „ucisk przez obcych

wie, który go zaślepiał, wzywać kazał wszystkich nauczycieli pomienionego gimnazyum do protokółu, a jeśli w którym z nich znalazł choćby najmniejszą winę, karał go odpowiednimi środkami administracyjnymi, jako naczelnik Komisyi oświecenia. Dyrektora szkoły Łyszkowskiego przeniósł „dla dobra służby“ do Łomży, a inspektora Pankiewicza do Szczebrzeszyna. Sam zaś w kilka dni potem opuścił miejsce awantury szkolnej i obrał sobie mieszkanie w pałacu namiestnikowskim.

Gdy wieść o tem wszystkiem rozeszła się po Warszawie i kraju, bo nic się wtedy ukryć nie mogło i publiczność bacznie śledziła każdy krok rządu w ogólności, a Wielopolskiego w szczególności, oburzenie było powszechne. Ogół cieszył się, że uczniowie w sposób tak dotkliwy dokuczyli znienawidzonemu magnatowi; zuchwałych młokosów, którzy dopuścili się tego czynu, uważał za bohaterów, a w sprawie sądowej, wytoczonej im, widział mę-

---

wojskowych wywierany chciał zastąpić uciskiem, dokonywanym przez swoich i administracyą, oraz sądy zamienić na narzędzia policyjnego prześladowania. Kodeks karny nie nastręczał mu jeszcze, pomimo swej surowości, dość sposobów do wywołania grozy, tłomaczył więc dowolnie jego paragrafy i wyprowadzał z nich różne zaostrzenia. Kodeks ten nie zna kary śmierci. Wielopolskiego pojęcie o potrzebie większej represyi posunęło nawet do tego, iż z jednego artykułu tegoż kodeksu wyinterpretował prawność kary śmierci za udział w manifestacyach politycznych. Tłomaczenie to swoje, chcąc narzucić sądownictwu, zebrał u siebie, jako minister sprawiedliwości, sędziów i oznajmiwszy, iż sprawy polityczne będą rozstrzygane przez sądy krajowe, rozkazał im stosować w wyrokach wspomniany paragraf kodeksu według swojej interpretacyi. Sędziowie, zdumieni dowolnością ministra, oświadczyli przez usta jednego z pomiędzy siebie, dzisiaj obecnego we Lwowie (pisane w r. 1878), iż podobne tłomaczenie nie zgadza się z prawem, że rozkaz ten wydany jest samowolą i że do niego stosować się nie mogą, ponieważ kodeks nie zna kary śmierci“. Szkoda wielka, że autor bliżej nie określa ani czasu, ani osób, biorących udział w tych osobliwszych pertraktacyach. Rzecz tak, jak jest podana, ma charakter zbyt mglisty i niejasny, wygląda raczej na umyślne, ostre i nieprzyjazne zabarwienie nienawidzonego człowieka, jak na fakt historyczny.

czeństwo za ojczyznę. Rodzice i krewni uczniów, zagrożonych procesem karnym, podnieśli krzyk zanadto interesowany, by mógł być słusznym, że Wielopolski chce dzieci, które należało rózgą ukarać, wysłać na Sybir, złamać im życie, zmarnować kwiat narodu. Zdania te znajdowały niejako potwierdzenie w groźnem i szorstkiem przyjęciu przez Wielopolskiego deputacyi od rodziców młodzieży, oddanej pod sąd. Na prośby deputatów margrabia odpowiedział surowo, że sprawiedliwość musi iść swoją drogą i kara musi być wymierzoną. Kara ta zresztą nie mogła być i w rzeczy samej nie była wielką. Przy ówczesnem usposobieniu ogólnem w kraju, skład ciała sądowego w ogromnej swej większości sprzyjał ruchowi, przyczem nacisk opinii publicznej był tak silny, że spodziewać się należało łaskawego obejścia się sprawiedliwości z oskarżonymi. Prócz tego obrońca podsądnych, adwokat Ciągliński[1]), zdołał w imię patryotyzmu nakłonić mularzy i cieśli (cieśla Karol Springer, mularz Andrzej Abramski), że zrzekli się aktem rejentalnym w d. 21 Maja swej skargi o pobicie, jakiemu ulegli. Z rozkazu jednak Wielopolskiego śledztwo ciągnęło się dalej na tej zasadzie, że oprócz pobicia, została przez uczniów uszkodzona własność skarbowa. W rezultacie Sąd policyi prostej, wyrokiem z d. 28 Listopada 1861 r. ośmiu oskarżonych, a mianowicie Stanisława Ziembińskiego lat 17, Karola Rychtera lat 15, obu synów urzędników; Marcelego i Stanisława, braci Zebrowskich (pierwszy lat 18, drugi 20), Feliksa Sierpińskiego lat 17, Teodora Gajzlera lat 16, wszyscy czterej synowie właścicieli domów, Leona Sztencla lat 18, syna piwowara i nakoniec znanego nam już członka tryumwiratu, Władysława Gołemberskiego, nauczyciela, lat 24 liczącego, który znalazł się także pośród szalejącej mło-

[1]) Z powodu tego procesu, po ogrodzie Saskim tłumnie biegali uczniowie, szukając śród publiczności adwokatów. — „A na co wam adwokaci potrzebni?“ pytano ich. „Żeby nas bronili“. — „Przed kim?“ — „Przed margrabią Wielopolskim“. Słowa te przyjmowane były przez publiczność głośnymi oklaskami. Sceny takie powtarzały się przez jakiś czas prawie codzień.

dzieży szkolnej — skazał na jeden dzień aresztu i złp. 400 sztrafu, jako wynagrodzenie za szkodę, zrządzoną skarbowi [1]).

Wszelkie więc wieści o wygnaniu na Sybir, grożącem jakoby młodzieży, były przedwczesne, na niczem nie oparte i zostały umyślnie rozpuszczone przez agitatorów dla zaalarmowania umysłów i wzbudzenia w nich większej nienawiści do rządu i Wielopolskiego. Ten ze swej strony niczem nie starał się ukoić oburzenia publicznego, które nakoniec znalazło swój wyraz w „Czasie“ krakowskim. W redaktorach tego pisma, ogromnie wpływowego na kraj, zwłaszcza na szlachtę, tak dalece pod naciskiem idei pseudopatryotycznych zamącone zostało poczucie prostej słuszności, że usprawiedliwiali postępowanie młodzieży i jej napad na sztachety. „Dzieci zrozumiały, pisze ten organ, że ogród, do publicznego użytku należący, z wydziedziczeniem ogółu na użytek prywatny poświęcony być nie powinien; dostrzegłszy, że zabierają im miejsce do spaceru, przeszkodzili ukończeniu roboty, sztachety powyciągali i biednym porozdawali“. Gdy gazetę doszła wiadomość, że margrabia oddaje całą sprawę pod rozpoznanie sądów, wołała ona z oburzeniem: „rzecz niesłychana! sąd kryminalny na dzieci, które rózgą należało ukarać!“

Zresztą „Czas“ nietylko w tej sprawie zajmował nieprzyjazne względem Wielopolskiego stanowisko i tem postępowaniem swojem ciężką istotnie szkodę krajowi przyniósł. Dziennik ten, założony koło r. 1848, pod zręczną redakcyą Maurycego Manna, zdołał sobie wyrobić pozycyą wyjątkową w prasie polskiej i był jedyną gazetą polską, którą czytano zagranicą i którą uważano za organ poważny i wyrażający opinią kraju. Względem Wielopolskiego postawił się odrazu nieprzyjaźnie, nie dla tego, by

---

[1]) Od wyroku tego podsądni apelowali; apelował i prokurator królewski, domagając się surowszej kary. Sprawa wlokła się leniwie i ukończyła dopiero w r. 1863 zupełnem po większej części uwolnieniem oskarżonych od winy.

jego istotnym był nieprzyjacielem, gdyż Mann osobiście znał margrabiego i cenił jego rozum wysoki, ale dla tego, że otrzymywał korespondencye z Królestwa, pochodzące ze sfer biorących jeśli nie czynny, to przynajmniej życzliwy w ruchu udział [1]). Sam Mann nie znał Królestwa, nigdy w niem nie był, ale pod wpływem powszechnej opinii, panującej w Galicyi w owe czasy i długo jeszcze potem, że ucisk i gwałty rządowe w Kongresówce są tak straszne, iż czynią z całego kraju jedno więzienie, jeden plac kaźni, chętnie dawał miejsce wszystkim skargom ztamtąd pochodzącym. Prócz tego korespondenci mieli bardzo dobre, źródłowe informacye, często przysyłali tajne dokumenta urzędowe, wykradane przez urzędników i im udzielane; były to więc rzeczy, które każden dziennik z natury już swojej skwapliwie chwytać był winien i „Czas“ je też natychmiast drukował. Wreszcie w redakcyi miały udział pewne osobistości, które wszelki pakt z rządem rosyjskim, despotyzmem i „schizmą“, uważały za zbrodnię przeciw narodowości i religii, a w ruchu warszawskim widziały „palec Boży“. Nie szczędzono więc Wielopolskiego, jako właśnie człowieka, który taki „cudzołożny“ związek chciał zawrzeć; „Czas“ nigdy go inaczej nie nazywał jak „ta osobistość, to indywiduum“. Korespondencye z Warszawy przekręcały i w fałszywem świetle wystawiały wszystkie jego czyny, a jeśli ich doniosłości korzystnej dla kraju nie mogły zaprzeczyć, starały się obniżyć ich znaczenie. Jednem słowem „Czas“ zajął tak nieprzyjazne stanowisko, że Wielopolski, ulegając rozdrażnieniu, które nim powoli owładało, widząc, że dziennik ten bardzo skwapliwie czytany jest w Królestwie, chwycił się środka gwałtownego, pożałowania godnego i w d. 12 Czerwca zakazał „Czasowi“ wstępu do Królestwa i cesarstwa [2]). Mówimy: pożałowania godnego, gdyż czyn ten największą szkodę przyniósł sa-

[1]) Pisywał je podobno Agaton Giller.

[2]) Lisicki (Aleks. Wielopolski I, 213) myli się mówiąc, że „Czas“ został zakazany pod koniec Kwietnia.

memu Wielopolskiemu. „Czas“ z nieprzyjaciela politycznego, jakim był dotąd, stał się nieprzyjacielem osobistym margrabiego i obrzucać go począł obelgami i kalumniami, wydobywanemi z błota nienawiści i gniewu, zohydzając przez to jeszcze bardziej w opinii kraju postać rządcy Polski, czyniąc zeń jakiegoś nieludzkiego potwora, zaprzańca i zdrajcę.

Do takich to następstw doprowadziły awantury szkolne, swawola dzieci, które zamiast pilnować książki, rzuciły się także do robienia polityki na swoją rękę, a w kraju nie znalazł się ani jeden ojciec, któryby młokosów umiał i chciał za to skarcić jak należy. Znajdowali oni zawsze obronę i podporę w matkach, siostrach, w opinii kraju, a przedewszystkiem kobiet, które dzięki naszemu zdumiewającemu niedołęztwu, zawsze u nas rządziły, a w owych czasach więcej, niż kiedykolwiek. Poza młodzieżą szkolną jednak różne, nieznane koła rewolucyjne w Warszawie, ochłonąwszy ze zgrozy, jaką na nie rzuciła rzeź kwietniowa, poczęły po dawnemu urządzać manifestacye uliczne. Z powodu rocznicy urodzin cesarza, d. 29 Kwietnia przypadającej, ukazały się na rogach ulic poprzylepiane plakaty, oraz obiegały po całem mieście, Bóg wie przez kogo sporządzone, nakazujące tonem surowym i pełnym jak zwykle wykrzykników i frazesów patetycznych, ażeby w dniu tym nikt się na ulicach nie pokazywał, aby sklepów niezamykano i domów nie oświetlano pod grozą wybicia szyb nieposłusznym. Rozkazu tego, wydanego przez jakąś samozwańczą władzę, który zresztą nie do wszystkich doszedł, oczywiście nieposłuchano, choć domy zrzadka i skąpo były oświetlone. Inne znowu koło agitatorów ulicznych, a może to samo, które powyżej przytoczony rozkaz wydało, w d. 2 Maja, w Wielki Czwartek, według starego kalendarza, zamierzało wybić okna w soborze prawosławnym na ulicy Długiej. Policya, dość wcześnie o tem uwiadomiona, przez baczną czujność zdołała zapobiedz tej nierozumnej i nie mającej celu awanturze. Zato w Poniedziałek, d. 6 Maja, w dzień imienin W. księżny Konstantowej,

bratowej cesarza, gdy policya nakazała oświetlenie w oknach pod karą pieniężną, rozkazowi temu po większej części zadość nie uczyniono, a jeżeli kto to zrobił, to miał szyby powybijane.

Gazety zagraniczne ze swej strony nie przestały rozpuszczać pogłosek jak najfałszywszych o tem, co się dzieje w Warszawie, a „Gazeta policyjna“ nie przestawała im zaprzeczać, czyniąc przez to interesom krajowym i rządowym prawdziwie niedźwiedzią przysługę. W końcu Kwietnia, po gazetach francuzkich, zwłaszcza „Patrie“ i „Presse“, ukazała się wiadomość, która od nich przeszła do innych dzienników europejskich, że rząd rosyjski, chcąc jakoby ożywić smutny i ponury widok, jaki przedstawiała Warszawa, nakazał otworzenie teatrów, mieszkańcom zaś rozdawano bilety, z których ci obowiązani byli korzystać. Oczywiście nic podobnego miejsca nie miało; teatry, raz zamknięte w dniach lutowych, dotąd nie były otwarte. Znalazły się i inne wieści, urodzone za granicą, które, przedostawszy się kontrabandą do Królestwa, przenikały powoli do mas i budziły tam popłoch prawdziwy. Mówiono np. powszechnie, że rząd w celu osłabienia ruchu rewolucyjnego, zamierza powołać do wojska wszystkich młodych ludzi, którzy w ciągu czterech ostatnich lat byli w wieku popisowym. A że (nie wiadomo na jakich podstawach), obliczono kontyngens roczny rekruta z Królestwa na 40.000 ludzi, wypadło więc z tego, że rząd zamierza odrazu wziąć 160.000 młodzieży w kwiecie wieku. W istocie zaś rzeczy było to kłamstwem; poboru rekruta nie zamierzano w tym roku robić, jakkolwiek wśród kamarylli wojskowej w Zamku były głosy, które radziły, żeby tym sposobem przeciąć ruch na zawsze. Te to rady, które nie były nawet słuchane, dały zapewne początek pogłosce, jaka, powtarzamy, prawdziwy popłoch rzuciła na kraj [1]).

[1]) Do tych pogłosek przyczyniła się zapewne wiele wiadomość pomieszczona w gazetach, że cesarz na przedstawienie namiestnika, przez decyzyą z d. 4/16 Października 1860 r. umorzył zupełnie nie

Inne znowu pisma zagraniczne, za przykładem „Czasu“ krakowskiego, nie przestawały rzucać światła fałszywego na każdą czynność rządową. Rażący przykład takiego postępowania, daje fakt następujący: z ustanowieniem Komisyi wyznań religijnych i oświecenia, wszelkie sprawy duchowne, dotąd należące do Komisyi spraw wewnętrznych, z natury rzeczy przejść musiały pod zarząd nowo utworzonej dykasteryi. Inaczej być nie mogło i nie powinno. To też Rada administracyjna Królestwa przez reskrypt z d. 14 Maja poleciła, ażeby „wszelkie fundusze na potrzeby duchowieństwa i edukacyi publicznej, czy to budżetem Królestwa oznaczone, czy też z innych jakichbądź źródeł pochodzące, gdziekolwiekbądź manipulowane lub deponowane, oddają się do dyspozycyi Komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego“. Ten prosty i naturalny reskrypt nie podobał się prasie zagranicznej polskiej. Jedna z nich wołała, że postanowienie to jest bardzo uciążliwem dla duchowieństwa katolickiego, że ogranicza autonomią Kościoła, który dotąd rozporządzał znacznymi funduszami bez żadnej kontroli. Widocznem było z tego twierdzenia, że mądry redaktor gazety nie odczytał dobrze samego rozporządzenia, a może go dzięki swej wysokiej inteligencyi nie zrozumiał. Nie szło tu przecież o fundusze, którymi samo duchowieństwo rozporządzało, ale o te, które były dotąd w zawiadywaniu Komisyi spraw wewnętrznych, a które w skutek utworzenia nowej władzy, zawiadującej interesami duchownymi, powinny były przejść pod dyrekcyą tejże władzy. Było to proste i jasne i trzeba było prawdziwej złej woli, by w tym fakcie znaleść szkodę dla interesów duchownych i społecznych [2]).

---

dobór rekrutów, wynikły w skutek tego, że przez pięć lat wcale nie brano do wojska, a wynoszący 61.436 ludzi. Pierwotnie niedobór ten zamierzano pokryć poborem większej niż zwykle liczby rekrutów (o 3327 ludzi rocznie) w następnych latach, ale teraz zaniechano tego zamiaru.

[2]) Wielopolski w komunikacie, przesłanym do gazet warszawskich, bronił się przeciw temu zarzutowi w sposób następujący: „jak

Samo duchowieństwo zresztą, od czasu osławionej mowy Wielopolskiego do przedstawicieli kleru, przyjęło względem nowego swego zwierzchnika postawę wrogą i wyraźnie brało udział w ruchu rewolucyjnym. Duchowieństwo niższe, proboszcze i wikaryusze, zamieszkali po wsiach i miasteczkach, wszystkie prawie zakony, ciemne, niewykształcone, rekrutujące się przeważnie z drobnego mieszczaństwa lub ludu, nienawidzące Moskali jako schizmatyków, przesiąknięte fanatyzmem nietolerancyjnym, lgnęło do ruchu, który budził w nich wszystkie uśpione uczucia zagorzałego i ślepego patryotyzmu. Po kościołach śpiewano więc pieśni patryotyczne, które z każdym dniem nieomal mnożyły się co do liczby; do „Bożę coś Polskę“ dodawano nowe strofy [1]), a bardzo często się zdarzało, że po skoń-

---

dalece przypuszczenie to jest mylne, dosyć przytoczyć, że gdy Wydział wyznań, czyli spraw duchownych, należał poprzednio do składu Komisyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, a z ustanowieniem nowej Komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego przeszedł do tej ostatniej, zarząd przeto i opieka nad funduszami duchownymi nie mogły pozostać przy Komisyi rządowej spraw wewnętrznych, lecz musiały przejść także do Komisyi rząd. wyznań rel. i oświecenia publicz.

W tym celu i znaczeniu wydane zostało postanowienie, o którem mowa, a które nie stanowią ani jakiejbądź nowej kontroli nad funduszami duchownymi, ani też, zmieniając w czemkolwiek wykonywany poprzednio przez Komisyą spraw wew. i duchownych zarząd i opiekę nad tymi funduszami, takowe obowiązki przeniosło jedynie na Komisyą rząd. wyznań i religij. i oświecenia publ. w zamiarze, aby czy to wypłata z kas skarbowych dla duchowieństwa sum, budżetem oznaczonych, czy nakoniec ubezpieczenie legatów lub obrona własności duchownych mogły być na właściwej drodze dokonywane za dyspozycyami Komisyi rząd. wyznań rel. i ośw. publ. bez udawania się o to do Komisyi rządowej spraw wewnętrznych“.

[1]) Liczba tych pieśni już w Kwietniu 1861 r., o ile wiemy, dochodziła do piętnastu. Wkrótce ukazał się nawet zeszyt litografowany p. t. „Śpiewy nabożne polskie“, który publicznie chłopcy sprzedawali po ulicach. Na okładce było wyobrażenie oka Opatrzności, otoczonego gałęziami palmowemi, krzyżem złamanym i włeńcem cierniowym. W zeszycie tym, który posiadamy w naszych zbiorach, znajduje się ośm pieśni, ale wydawca zapowiada, że jeszcze więcej

czonem nabożeństwie sami księża rozpoczynali taką pieśń, nieuznaną przez Kościół i nieznaną ludowi. W Kielcach, w dzień Zielonych Świątek, po nieszporach klerycy miej-

---

zamierza opublikować. 1) Pieśń „Boże coś Polskę“, która w tekście pierwotnym Alojzego Felińskiego, zawierała tylko pięć strof, w zeszycie tym ma ich już dziewięć, nieodpowiadających poważnemu, klasycznemu nastrojowi pierwowzoru i o wiele od niego słabszych. 2) Prócz niej śpiewano w tym czasie „Chorał“ Ujejskiego, zaczynający się od słów: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“. 3) „Pieśń do Matki Boskiej“, utwór słaby, którego pierwsza strofa tak brzmi:

„Królowa polska o Maryo jedyna,
Coś Częstochowę od Szwedów broniła,
Kiedy nam czoła schyla cierpień siła,
Wstaw się za nami do Twojego Syna.
O! Częstochowska przeczysta Panienko.
Zmiłuj się, zmiłuj nad Polaków męką“.

Takich miernych bardzo strof pieśń ta zawiera ośm. 4) Rozpowszechniony był bardzo „Hymn uciśnionych Polaków“, który pierwszy raz śpiewał Dobrski, tenor opery warszawskiej, podczas nabożeństwa za poległych w d. 9 Marca, w kościele Reformatów. Hymn ten przytoczyliśmy we właściwem miejscu w całości. 5) „Pieśń do Boga, na pamiątkę d. 8 Kwietnia 1861 r.“ Pierwsza strofka brzmi:

„Ojcze narodów, królu całej ziemi!
Stwórco, w którego ręku cały świat,
Ty się upomnij za dziećmi Twojemi,
Co tyle bólów, tyle znoszą strat!
Ziemia spłynęła rzekami krwawemi,
Pogańska kosa siecze polski kwiat!“

6) „Ojcze nasz“. Do każdego zdania tej modlitwy dorobiony jest wiersz. Zaczyna się tak:

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Ciebie z pokorą błagamy,
Ratuj ojczyznę w potrzebie,
Wsparcia Twojego czekamy“.

Kończy się zaś jak następuje:

„Ale nas zbaw odezłego,
Od niewolniczej sromoty,
Od zdrajców kraju własnego
Daj bojaźń Bożą i cnoty!“

7) „Modlitwa do św. Stanisława, patrona Polski“. Zaczyna się od słów

Święty, wielki w cudy Pana,
Synu Prawy polskiej ziemi,

scowego seminaryum pierwsi zaintonowali „Bożę, coś Polskę“, zachęcając przez to niejako wiernych do ich naśladowania. Jeżeli nie księża, to uczniowie szkół rozpoczynali śpiew hymnów rewolucyjno-nabożnych. Nie było dnia, żeby Wielopolski nie otrzymał od namiestnika wielkiego arkusza

---

Oto prośba krwią polana,
Tych, co winni być wolnemi“.

Prócz tych były jeszcze następujące pieśni: 8) Pieśń na Boże Ciało. 9) Pieśń do serca Pana Jezusa, z której przytaczamy niektóre charakterystyczniejsze strofki:

„Z tej naszej, nędzą ścieśnionej ziemi,
W Niebo się wznosi błagalny jęk,
O! nie gardź Panie modły naszemi,
Przyjmij łaskawie tej piersi dźwięk“.

albo: „O! my tak długo cierpiemy już,
Niewoli naszej okowy skrusz,
Serce Jezusa błagamy Ciebie
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw“ (sic).
„Panie, my zemsty wcale nie chcemy,
Za wrogów naszych błagamy Cię,
My tylko jarzmo zrucić pragniemy
Pod którym serce zakrwawia się!
O dobry Jezu! błogosław im,
Ale walcz za nas orężem Twym“.

10) Modlitwa do Matki Boskiej. 11) Pieśń do Zbawcy świata. 12) Hymn do Matki Boskiej, którego pierwsza strofka brzmi:

„Matko Chrystusowa, Najświętsza Marya,
Z jękiem przychodzim do Twego ołtarza,
Lud Twój bezbronny dziki wróg zabija,
Rąbie krzyż Pana, Twój obraz znieważa!
Twojej litości błagamy ze łzami,
O! Matko nasza, ujmij się za nami!“

albo: „Choć srogie jarzmo zgięło karki nasze,
W sercach jest miłość, nadzieja i wiara!
Odkryjem piersi na strzały, pałasze,
Niech nam okupi ojczyznę ofiara!“

13) Pieśń do Pana Jezusa. 14) Hymn do Matki Boskiej na 27 Lutego. 15) Druga modlitwa uciśnionych Polaków. Wszystkie te utwory, oprócz dwóch pierwszych, mających na sobie znamię talentu poetyckiego, są bardzo słabe, nieraz częstochowskim rymem pisane, przypominające kantyczki, ale pozbawione ich prostoty i naiwności. Nie wzbogaciły one niczem literatury pieśni kościelnych polskich.

papieru, na którym dużemi, zamaszystemi literami, skreślonemi ołówkiem, Gorczakow pisał po francuzku: „panie margrabio, śpiewano pieśni rewolucyjne w takim a takim kościele, pod przewodnictwem uczniów tego lub owego gigmnazyum“. W Warszawie księża zachowywali się nieco ostrożniej; niekiedy nie brali udziału w śpiewie, niekiedy opuszczali kościół, najczęściej jednak śpiewali za innymi. W ogólności, ten objaw ruchu, kryjący się po kościołach, był najniebezpieczniejszy i najtrudniejszy do powstrzymania i rząd do pewnego stopnia czuł się w obec niego bezsilnym. Bądź co bądź jednak, trzeba było coś robić i Wielopolski w d. 20 Kwietnia pomieścił w gazetach warszawskich komunikat, w którym przedstawił pogląd rządu na śpiewy rzeczone i odwoływał się do uczuć zdrowego patryotyzmu. Twierdził, że „śpiewy te nie tylko przez kościół nie są aprobowane i rytuałem kościelnym objęte, ale nawet nie mają cechy właściwej modłom i pieśniom nabożnym. Śpiewy te, niepokojąc umysły ostatnimi wypadkami rozdrażnione, podniecają lud do naruszania porządku publicznego i to właśnie w tej uroczystej chwili, kiedy uczucie porządku i ufnego oczekiwania zkądinąd szerzy się i ustala. To samowolne wprowadzenie do świątyń Pańskich śpiewów, nieupoważnionych przez władzę duchowną, ubliża tej władzy, do której starodawnym obyczajem ojców naszych inicyatywa w tej mierze zawsze należała i należy“.

Nie odzywa się już teraz surowo do duchowieństwa, nie karci go wcale, lecz owszem stawia go na tem samem co i rząd stanowisku, na stanowisku pragnienia, by pieśni rewolucyjne jak najprędzej po kościołach ustały, „Władza duchowna, równie jakoteż i świecka, pisze, pragną przedewszystkiem, aby ci, którzy są przyczyną ubliżania kościołowi i porządkowi publicznemu przez samowolne śpiewy, uznali błąd swój i zastanowić się chcieli nad ogromną szkodą, jaką całemu społeczeństwu przynoszą“. Odezwę tę tak kończy: „dodamy i to jeszcze, że w razie niezaprzestania tych przywłaszczeń w świątyniach władza, idąc w pomoc usiłowaniom duchowieństwa, użyje służących jej praw-

nych środków do utrzymania porządku jak wszędzie, tak tem bardziej po świątyniach Pańskich".

Jak wszystkie tego rodzaju próby i usiłowania rządowe, tak i ta odezwa nie przyniosła żadnego skutku. Prywatne kroki, czynione u arcybiskupa i władz dyecezyalnych, na nic się nie zdały; biskupi wprost obawiali się, by im niższy kler pod tym względem nie wymówił posłuszeństwa i nie śmieli odezwać się doń ze słowami zakazu, choć byli tacy, co czuli tego potrzebę i w pieśniach, tworzonych przez różnych pokątnych poetów, widzieli profanacyą kościoła. Niemniej na nic się nie przydał reskrypt, wydany w tym celu przez Komisyą wyznań pod d. 22 Kwietnia, do wszystkich władz dyecezyalnych rzymsko-katolickich i do administratora dyecezyi chełmskiej. „Doszło do wiadomości J. O. księcia namiestnika Królestwa, pisał w nim Wielopolski, że od niejakiego czasu niektórzy duchowni katoliccy publicznie w kościołach, podczas spełniania swych obowiązków, dotykają przedmiotów politycznych, jedni, zapominając, że kapłani z powołania swego powinni być rozkrzewicielami pokoju i jedności, otwarcie obudzają w narodzie nienawiść, oddając pochwały zaburzeniom i ganiąc środki przedsiębrane dla powściągnięcia takowych, inni usiłują zaszczepiać w narodzie nieufność względem rządu i podburzać przeciw niemu. Ponieważ podobne czyny przewidziane są prawem i rząd z obowiązku swego nie może zaniechać środków określonych przez prawo dla utrzymania społecznego porządku i bezpieczeństwa, przeto J. K. Mość, reskryptem z d. $^{6}/_{18}$ Kwietnia r. b. № 438, polecił mi zwrócić uwagę władz dyecezyalnych na przeciwne prawu postępowanie niektórych duchownych i na konieczność bezzwłocznego przedsięwzięcia przeciw temu środków, oraz zawiadomić, że gubernatorowie cywilni, oraz naczelnicy wojenni otrzymali polecenie, aby winni wykroczeń tego rodzaju, bez względu na ich stan, byli aresztowani dla pociągnięcia ich do odpowiedzialności według całej surowości praw. Przytem J. K. Mość wyraził, że nie wątpi, iż dostatecznem będzie uwiadomić władze dyecezyalne o takiem

karygodnem postępowaniu niektórych duchownych, w celu, aby też władze z obowiązku prawdziwych zachowawców pokoju i miłości chrześcijańskiej starały się bezzwłocznie zwrócić na drogę prawdy ludzi błądzących, którzy, lekceważąc włożony na nich święty obowiązek, stają się sprawcami nieporządku i narażają ojczyznę swą na działanie siły zbrojnej i wszystkie połączone z takowemi następstwa. O powyższym reskrypcie J. O. księcia namiestnika zawiadamiając J. W. Pana, mam zaszczyt prosić go, abyś wydał do podwładnego duchowieństwa stosowne ostrzegające rozporządzenia i o tem zawiadomić mię raczył".

Arcybiskup i biskupi tymczasem nie wydali do podwładnego sobie duchowieństwa rozporządzeń ostrzegających; rzeczy odbywały się po dawnemu, śpiewy i kazania podburzające wciąż brzmiały po kościołach. Na skutek tego Wielopolski jeszcze raz przez reskrypt z d. 16 Maja (№ 824) doniósł arcybiskupowi, że życzeniem namiestnika jest, aby „dla uspokojenia umysłów wzburzonych ostatnimi wypadkami wydał list pasterski i polecił duchowieństwu archidyecezyi warszawskiej użyć wszelkiego wpływu swojego przez stosowne nauki z ambon, celem położenia tamy nieporządkom, powodowanym przez śpiewanie w kościołach pieśni, nie należących do Mszy św., czyli do obrządków kościelnych, poprzednio w kościołach wykonywanych, a które od pewnego czasu zgromadzony lud z poduszczeń źle myślących śpiewa w kościołach, dodając strofy, których treść wymierzona przeciw rządowi i umysły podburza". Arcybiskup Fijałkowski, w piśmie swem, w miesiąc później (d. 22 Maja) przesłanem do Komisyi Wyznań, pierwszy odmówił wydania listu pasterskiego, mającego położyć tamę śpiewom patryotycznym po kościołach. Starzec ten, nad grobem stojący, ulegając garści fanatycznych i czerwonych księży, a głównie księdzu Dziaszkowskiemu, którzy go otaczali i wpływ przeważny nań wywierali, zwołał pewien rodzaj synodu, na którym znaleźli się wszyscy przełożeni klasztorów i proboszcze parafii warszawskich i przedstawił im następujące pytania:

1) jakiego rodzaju są śpiewy, które lud sam, bez inicyatywy duchowieństwa w kościołach wykonywa?

2) czy jest nadzieja, że lud listu pasterskiego, jakoteż i stosownych nauk z ambon głoszonych usłucha i śpiewów zaprzestanie?

Na pytania te oczywiście zebrani odpowiedzieli w duchu partyi rewolucyjnej, że śpiewy są treści patryotyczno-religijnej, że były dawniej drukowane w książkach do nabożeństwa, aprobowane przez władzę duchowną i przed r. 1830 śpiewane w dni dworskie i galowe przez młodzież szkolną, a w niedzielę i święta przez muzyki wojskowe podczas Mszy św. wykonywane; że obecnie śpiewa je lud z pewnemi zmianami i dodaniem strof, „wyrażając w nich swą boleść i rozdrażnienie“; że kilkakrotnie w niektórych kościołach śpiewano i inne pieśni, „objawiając w nich swoje oburzenie i niechęć co do zaszłych smutnych wypadków“, ale w skutek refleksyi kapłanów śpiewania ich zaprzestano.

Na zapytanie co do skutku listu pasterskiego niemniej odmowna wypadła odpowiedź. Zebrani jednozgodnie oświadczyli, że wydanie takiego listu nie przyniesie wcale spodziewanego przez namiestnika rezultatu, że rozdrażni jeszcze bardziej lud, że go oburzy przeciw osobie arcybiskupa i duchowieństwu, że „lud straci zaufanie do kapłanów, naukami ich wzgardzi i może zaniedbać wykonywania obowiązków religijnych i przystępowania do Sakramentów św. z wielką szkodą religii i dusz swoich“. Obawy swe usprawiedliwiali zebrani tem, że w kilku kościołach kapłani, przemawiając publicznie o zaprzestaniu pieśni, doznali gorzkich wyrzutów już ustnie, już piśmiennie; że cierpliwość będzie tu najskuteczniejszym środkiem i że śpiewy z czasem, przy uspokojeniu się umysłów w skutek łagodzących środków, użytych przez rząd, niezawodnie same przez się ustaną.

„Z tych uwag, pisał w końcu Fijałkowski, raczy J. W. Dyrektor powziąć przekonanie, że pasterska moja władza, oparta jedynie na moralnej i religijnej podstawie, nie może być narażoną na widoczny upadek, lub przynajmniej lekce-

ważenie ludu, że niepodobna wystawiać duchowieństwa na obelgi, zniewagi i nienawiść ludu z nieuchronną szkodą religii i moralności“, że wzbronienie śpiewów z ambon nie doprowadzi do celu, „że tak pożądane uspokojenie umysłów, tylko przez zaufanie do wysokiego rządu nastąpić może, a środki ku temu skuteczne łatwo wysoki rząd obmyśleć zdoła. Mam zupełną ufność w wysokiem świetle i sprawiedliwości ks. namiestnika, że, reprezentując w kraju tutejszym osobę monarchy, nie zechce żądać rozdziału między duchowieństwem a ludem, który przez ogłoszenie listu pasterskiego niezawodnie by nastąpił, że zatem J. W. Dyrektor uwolnić mnie raczy od wydania odezwy, która przez nieusłuchanie ludu skompromitowałaby mój wiek sędziwy i urząd pasterski ze szkodą religii, kościoła i duchowieństwa, a co następnie dla wysokiego rządu stałby się mogło powodem do używania środków przymusowych“.

Odezwa ta zatem była wyraźną aprobatą ruchu rewolucyjnego, udzieloną mu przez najwyższego w kraju dostojnika kościelnego; była otwartem przyznaniem się, że władza duchowna ulega teroryzmowi rewolucyjnemu, że wreszcie za nic w świecie opierać mu się nie chce i nie ma zamiaru. Przyznanie się to wypowiedział także bardzo jasno i kategorycznie biskup podlaski, Benjamin Szymański, niegdyś spowiednik Wielopolskiego, człowiek bardzo rozumny, bardzo zręczny i energiczny, w liście prywatnym do margrabiego, będącym niejako odpowiedzią na jego reskrypt. W liście tym powiada, że już trzeci raz otrzymuje cyrkularz urzędowy Komisyi wyznań i oświecenia w sprawie śpiewów, że dotąd jednak zadość mu nie uczynił z powodów następujących: dotąd duchowieństwo cieszy się jeszcze ufnością wiernych, a „naturalnie nie mówię tu o ludności wiejskiej i chłopach“; jeżeli więc on, biskup, wyda polecenie do duchowieństwa, by nie pozwalało na śpiewy, to nie tylko, że nikt go nie usłucha, ale owszem wywoła jak najgorsze następstwa. „W wielu miejscach mej dyecezyi, pisze dalej, dla ukarania duchownych za najlżejszą nawet opozycyą, wyrysowano im na drzwiach i okienni-

cach ich domów szubienice, wybito okna, a niektórzy musieli wysłuchać hańbiącej kociej muzyki. Ja sam ileż listów anonimowych otrzymałem! Jakże więc można wymagać odemnie, bym narażał siebie, moje duchowieństwo, a nawet religią na pogardę?“

Wszelkie więc usiłowania do wytworzenia spokojności przy pomocy duchowieństwa krajowego stanowczo się nie udały. Jeżeli taki człowiek jak Benjamin, który będąc kapucynem umiał trzymać klasztory swoje żelazną ręką, poprostu drżał przed rysunkiem szubienicy i przed kocią muzyką, to inni, mniej energiczni i mniej godni swego stanowiska, tem bardziej nie chcieli się narażać agitatorom. Duchowieństwo znowu im podwładne nie potrzebowało wcale być zachęcane przez rewolucyonistów do agitacyi, gdyż w głębi duszy sprzyjało ruchowi szczerze. Koło arcybiskupa wieszało się mnóstwo złych księży, ale zato wybornych agitatorów i spiskowców i oni to nakoniec, po długiem wahaniu i oporze, zmusili starego, na pół zniedołężniałego Fijałkowskiego do podpisania protestacyi przeciw mowie margrabiego w d. 2 Kwietnia. Protestacya, akt całkiem różny od tego, jaki się ukazał w parę dni po tej mowie, podpisaną ostatecznie została przez arcybiskupa w dniu 10 Maja; trzeba więc było przeszło pięć tygodni czasu na to, by nawet tak uległego i zdziecinniałego starca, jakim był Fijałkowski, zmusić do tego rodzaju wystąpienia, które mu się nie podobało, które w sumieniu swem i sercu potępiał. Na szczęście, akt ten nie doszedł wówczas do wiadomości publicznej; rozegrał on się między arcybiskupem i margrabią i obaj bardzo rozumnie zrobili, że o nim milczeli. W odezwie urzędowej, do której była dołączona protestacya, czuć przymus, jaki sobie robi Fijałkowski przesyłając ten dokument rewolucyjnych usposobień kleru polskiego. „Przy załączeniu w oryginale podania duchowieństwa do mnie uczynionego, pisze arcybiskup, które dziś rąk moich doszło, wyznaję z boleścią serca, że podzielam słuszny żal jego i doznaną krzywdę, jaką poniosło w przemówieniu J. W. dyrektora do niego. Ta krzywda byłaby znośniejszą,

czują ją bowiem i wszyscy wierni, gdyby przemowa ta w pismach publicznych nie była ogłoszoną". Powiada dalej, „że religia katolicka nie należy do tolerowanych, bo jest panującą, jako wyznawana przez wszystkich prawie mieszkańców Królestwa, inne zaś wyznania nie są i nie będą prześladowane, owszem używają zupełnej swobody; monarcha tylko może mówić o tolerancyi, a nie poddany, tem bardziej, gdy wyznaje religię katolicką; zatem wzmianka o tolerancyi nie była potrzebną". Niemniej uderzające przez swój ton karcący jest zakończenie tego listu, dokumentu świadczącego o rozdrażnieniu arcybiskupa, nie tyle może na Wielopolskiego, ile na tych, którzy zmusili go do takiego wystąpienia. „Idąc, pisze Fijałkowski, za nauką Zbawiciela, „czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą", pragniemy i chcemy zapomnieć doznanego poniżenia, byłoby jednak do życzenia przemówić głośno przy wydarzonej sposobności z przychylnością, dla uspokojenia obawy duchowieństwa. Jestem tego zdania, ażeby J. W. Dyrektor po przeczytaniu kazał mi odesłać powyższy oryginał, a ja go u siebie zniszczyć każę, iżby śladu o nim nie było".

Dyrektor temu żądaniu zadość nie uczynił i protestacyą zachował dla historyi. Protestacya brzmi jak następuje: „Jaśnie wielmożny Arcypasterzu! Jako do głowy i duchownego przewodnika naszego, uciekamy się do ciebie, J. W. Arcypasterzu z wynurzeniem boleści, jaką przejęte zostały serca nasze i wiernych wszystkich z powodu przemówienia J. W. Dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia publicznego do duchowieństwa w d. 2 b. m. i r. Mianowanie na wysoką posadę męża, którego wiara jest wiarą ojców naszych, dobrą obudziło w nas otuchę; przemowa jednak jego przejęła nas obawą, czy nadzieje nasze nie będą zawiedzione. Przemowa ta bowiem wydała nam się groźną dla kościoła, poniżającą dla duchowieństwa. J. W. Dyrektor powiedział, iż jest dyrektorem władzy opiekującej się wszystkiemi wyznaniami, a wyznaniami połączonemi z oświeceniem, że przeto nie zboczy z toru prawdziwej

tolerancyi jednego z wielkich nabytków wieku. J. W. Dyrektor wspomniał o tolerancyi zapewne nie dla zalecania jej duchowieństwu tego wyznania, które jej nie narusza, które dla poparcia zasad swej wiary przymusu materyalnego nie używa, ani używać może, ani używaćby chciało w razie możności; duchowieństwu, które świeży a widoczny dało dowód swej tolerancyi, które pojmuje, że jakkolwiek nie godzi się milczeć w sprawie wiary i kościoła, jednak z prawa miłości i słuszności naturalnej znosić należy inne wyznania religijne. J. W. Dyrektor przeto, sądzić możemy, mówił o tolerancyi, jaką sam względem wyznań wszystkich zachować obiecuje. Ale w takim rzeczy rozumieniu bolejemy tylko, że dla wyznania naszego, któremu szczególną względność łaskawie przyrzeka, w następnym zaraz ustępie robi wyjątek J. W. Dyrektor, zapowiadając duchowieństwu przed sobą zgromadzonemu, że nigdzie, a tem bardziej w zakresie swoim, rządów żadnych w rządzie nie uzna. Znamy w kościele rządy następcy Piotra Śgo i rządy biskupów, następców Apostołów; wiemy, że rządy te dane im są z nieba na kierowanie Kościołem, że rządy te każdy uznać winien, kto członkiem Kościoła jest. Stanowisko Kościoła w kraju naszym nie jest bynajmniej tego rodzaju, aby ze strony jego groziła obawa uszczuplenia i nadwerężenia władzy państwa, więc czyżby J. W. Dyrektor zapowiedzią, że rządów w rządzie nie uzna, rozumieć chciał, że duchowną władzę biskupią ukrócić należy, czyżby jej uznawać nie chciał, czyżby chciał ją uważać jako prostą gałęź ogólnej administracyi krajowej, czyżby Kościół chciał poniżyć do znaczenia instytucyi religijno-policyjnej?

„Pojmujemy Twoją boleść i Twój niepokój J. W. Arcypasterzu, skoro w początkach zaraz nowej drogi takie pytania sobie stawiać musimy z powodu programatu, przemową J. W. Dyrektora zakreślonego, i dlatego z synowską skwapliwością uciekamy się do Ciebie z zapewnieniem, iż zawsze przy Tobie stać będziemy na drodze, jaką wytyka Kościół, a jaka jedynie prowadzić może do szczęścia narody i ludzkość całą; a przytem składamy prośbę, abyś

J. W. Arcypasterzu ten żal nasz objawił wraz z żalem swoim J. W. Dyrektorowi. Nietylko my, ale wszyscy wierni synowie Kościoła, oczekiwać będziemy głośnego uspokojenia obaw z tej strony, z której one poruszone zostały“ [1]).

Wielopolski takiego „głośnego uspokojenia obaw“ nie dał i dać nie mógł, gdyż Kościołowi katolickiemu nie groziło wtedy żadne niebezpieczeństwo; jako wysoki urzędnik nie mógł, nie powinien był ulegać żądaniom nieusprawiedliwionym i dawać przez to dowód godnej nagany słabości. Nie uczynił więc tego, ale z drugiej strony musiał nabyć gorzkiego przeświadczenia, że w duchowieństwie polskiem ma nieprzyjaciela, nieprzyjaciela strasznego i najtrudniejszego do pokonania. W pierwszych krokach, jakie uczynił ku temuż duchowieństwu, został pobity i odrzucony. Mógł wprawdzie działać siłą, ale siła nie zawsze do dobrych prowadzi rezultatów i nie wszędzie da się stosować. Innego środka jednak nie było. Niebawem poczęto karać księży, którzy albo z ambony przyczyniali się swojemi słowami do wzbudzenia ruchu rewolucyjnego, albo też czynny udział w nim brali. Ks. Paweł Kamiński, niegdyś bawiący na emigracyi we Francyi, zkąd wrócił za amnestyą i osiadł u Misyonarzy w Warszawie, osobistość

---

[1]) Pod protestacyą tą dopisane było własną ręką arcybiskupa: „to pismo doszło rąk moich dnia 10 Maja 1861 r. Ks. Fijałkowski Arcybiskup warsz.“ Co się tyczy podpisów, to Lisicki, który miał oryginalny dokument w ręku, w swem dziele o Wielopolskim podpisów tych nie umieścił, ze względów łatwo zrozumiałych. Szkoda jednak, że nie czyni wzmianki, czy wśród ówczesnego duchowieństwa warszawskiego byli tacy, którzy na protestacyi tej nie podpisali się. Z naszych poszukiwań nabyliśmy przekonania, że takich ludzi, śmiało stawiających czoło opinii rewolucyjnej, było kilku, a z pewnością było ich znacznie więcej. Historya winna zanotować te czyny odwagi cywilnej, tak rzadkiej u nas. Dodać tu należy, iż według dość wiarogodnych twierdzeń, których jednak sprawdzić nie mogliśmy, autorem tej protestacyi miał być niefortunny autor adresu lutowego, Edmund Stawiski, co świadczy, że w akcie duchowieństwa czynny brali udział ludzie świeccy i bodaj czy nie pod ich wpływem i naciskiem powstał ten dokument.

powszechnie znana w mieście z tego, że nosił strój księdza francuzkiego, mająca z czasem w powstaniu zbrojnem odegrać pewną rolę historyczną, za gwałtowne kazanie, przepełnione już nie czerwonym, ale purpurowym, rzec można, patryotyzmem, miane w kościele św. Krzyża w Warszawie w Zielone Świątki, został przyaresztowany i wysłany na osiedlenie do Włocławka [1]). Takiż sam los spotkał innych księży za „podburzające przemawiania z ambony“. Wysłano ich na dłuższy lub krótszy pobyt na prowincyą, do miasteczek [2]).

Środki te, ta surowość, która zresztą nikogo nie przestraszała, nie wiele, a nawet nic nie pomagały. Po kościołach śpiewano pieśni patryotyczno-rewolucyjne, brzmiały kazania nawołujące nieomal do chwycenia za broń, na ulicach rozgrywały się ciągle drobne, małe, ale charakterystyczne manifestacye, świadczące o głębokim, niczem już teraz niepowstrzymanym ruchu umysłów. Dzień 3 Maja, jako dzień ustanowienia sławnej konstytucyi, przez sejm czteroletni ułożonej, postanowiono obchodzić uroczyście, jako chwilę wspomnienia radosnego, wśród smutku stale panującego. Kobiety poprzypinały do kapeluszy wstążki

[1]) Myli się A. Giller, twierdząc (Historya powstania I, 34), że Kamińskiego wysłano do Modlina, a według innych do Płocka. Kamiński z Włocławka się wymknął i udał się wprost do Paryża, gdzie wśród emigracyi i młodzieży, skupiającej się tam w „Stowarzyszeniu młodzieży polskiej“, począł się kręcić. Potem otrzymał pozwolenie powrotu do kraju, nawet pasport wziął z ambasady rosyjskiej, ale do Królestwa nie pojechał. Osiadł w Krakowie i tu powstania się doczekał, w którem wziął udział czynny. Był to człowiek niespokojny i charakter burzliwy. Po upadku powstania napisał brzydką broszurę p. t. „Głos wymuszony na ks. Pawle Kamińskim“ (Paryż 1866 r.). Koło r. 1880 był proboszczem starokatolickim w Katowicach na Szląsku.

[2]) Wysłani zostali oprócz Kamińskiego w połowie Czerwca: ks. Ignacy Klimowicz, Dominikanin, do klasztoru w Lublinie; ks. Aleksander Gołembowski, Bernardyn, do Włocławka. Z Radomia, z klasztoru Bernardynów, przeniesiono ks. Hilarego Kozłowskiego do Radecznicy, a ks. Jacentego Lewkowicza do Wielkowoli (Paradyzu).

kolorowe w barwach narodowych; mężczyzni ukazywali się na ulicach w białych krawatach, kamizelkach i rękawiczkach. Miano odbyć uroczystą, tłumną, manifestacyjną przechadzkę do ogrodu Botanicznego, do tego miejsca, gdzie niegdyś po ogłoszeniu rzeczonej konstytucyi miał stanąć kościół Opatrzności. Na szczęście zimno przenikliwe, deszcz połączony ze śniegiem przeszkodził tej, jak ją nazywano, przechadzce, która przy wzburzeniu ogólnem umysłów łatwo się mogła zmienić w katastrofę, zwłaszcza, że wojsko od samego rana rozstawiono we wzmiankowanym ogrodzie. Jeżeli atoli sama manifestacya przy zagrzebanych w ziemi fundamentach kościółka Opatrzności nie udała się, to zato wszystkie prawie świątynie rozbrzmiewały nabożeństwami i modlitwami „za pomyślność ojczyzny“. Po nabożeństwie agitatorzy rozdawali obecnym gałązki zielone, jako symbol „święta i pokoju“. Oczywiście tu i owdzie przydarzały się aresztowania pojedynczych osób przez policyą, ale w ogólności uroczystość ta przeszła spokojnie.

Wszelako jeżeli dzień 3 Maja przeszedł tak spokojnie i cicho w Warszawie, to zato wieści o tem, jak go obchodzono w Paryżu, rozbiegły się szeroko; doroczna mowa, jaką wygłosił książę Adam Czartoryski w Towarzystwie historycznem polskiem, w tysiącznych odpisach obiegała po kraju. Stuletni ten blizko starzec, poważny szczątek krótkiej, ale pełnej chwały epoki Aleksandryjskiej i Napoleońskiej, zachował w obec wypadków warszawskich dziwną postawę. Gdy mu doniesiono o manifestacyach lutowych, zalewał się łzami i wołał z radością: „zapory pękły!“ Ale „biuro“, redaktorzy „Wiadomości polskich“ oszołomieni byli tem, co się stało, nie pojmowali tego zrazu i nie wiedzieli, jak się w obec tych zdarzeń zachować. Później, oczywiście, zmienili tę swoją postawę, ruchowi nieznacznie sprzyjać poczęli, a Klaczko pisywał artykuły do poważnego dziennika „Journal des Débats“ o Polsce i jej losach. Gdy nakoniec w d. 3 Maja, zwyczajem dorocznym, stary książę, siwy, drżący, zgarbiony, powstał, by przemówić nietylko do tej garści członków Towarzystwa

historycznego i emigracyi, zebranej w salach tegoż Towarzystwa, ale do całej Polski i Europy zarazem, mowa jego w niczem nie różniła się od rewolucyjnych mów tej epoki. Mówił, że naród nasz w jednym dniu urósł wysoko i nabył mocy moralnej, jakiej nam inne narody mogą zazdrościć; że nasza sprawa zyskała powszechną sympatyą; że jednak do uwielbienia, jakie świat ma dla nas, miesza się nieco wątpliwości i obaw o przyszłość. Objaw bowiem życia narodowego, którego jesteśmy świadkami, ma w sobie coś nadprzyrodzonego, a taki cud, zdaje się, nie może być trwałym. „Wymówiłem słowo: nadprzyrodzony, wołał swym suchym, drżącym głosem tajny król polski i obstaję przy niem. Można pojąć, że człowiek pojedynczy pod panowaniem idei potężnej spełnia rzeczy wielkie, ale gdy cały naród powstaje, jak jeden mąż, ma w sobie dość światła i siły dla osiągnięcia takich wyżyn i utrzymania się na nich, to w tem wszystkiem należy uznać palec Boży i czyn Opatrzności.... Dziękujmy więc Bogu za pomoc niespodziewaną, jakiej nam udzielić raczył i prośmy go o siły konieczne, byśmy nie upadli i byśmy dalej mogli iść bez osłabienia, drogą boleści i ofiar, która nas zaprowadzi do celu naszych nadziei“. Wygłosiwszy te słowa rewolucyjne, a zarazem pełne tego denerwującego mistycyzmu, jakim odznaczała się owa epoka, nad grobem stojący starzec zwrócił się do narodu polskiego z taką, wzruszającą zaiste! i wysoce patetyczną przemową:

„Nie schodź, o! narodzie mój, z wysokiej strefy, na której cię ludy i mocarze muszą szanować. Na niej się stale utrzymując, bezpieczniejszy i pewniejszy jesteś widzieć twoją metę i do niej ciągle dążyć i zbliżać się. Wśród krwawych boleści, zdradą i przemocą w rozpacz popychany, odrzucaj pokusy, odpychaj jątrzące drażnienia; nie zstępuj do bitew niższego rzędu, któreby obecnie na ciebie i sroższe klęski i gorszy od nich twój własny upadek ściągnęły. Pamiętaj, że wyższego trzeba heroizmu z obnażoną piersią na śmierć się wystawić, niż żeby orężem w ręku o życie walczyć. Największą siłą na ziemi jest

nie dbać o życie. Posiadać tę siłę, a przytem być łagodnym, szlachetnym, bez zemsty i zawziętości, wolnym od chęci szkodzenia komubądź, nawet swoim prześladowcom, to prawdziwa cnota i dobroć, to także rozum polityczny najwyższy. Pychy nie przypuść do serca, ona najczystsze popędy psuje i zniża; ale wiedz ty poczciwy i zacny polski ludzie, że ów twojego ducha wyższy nastrój, że ta cnota dobroci, która w tobie jaśnieje, jest niezwalczoną siłą i Polski na przyszłość nadzieją. Męczeństwo za wiarę i ojczyznę, nigdy bez konieczności nie ponowione, zapewnia za każdą razą zwycięztwo, bo ofiarę uwieńcza równą zasługą przed Bogiem i ludźmi, prześladowców ohydniejszą hańbą okrywa. Nie dano jest ludziom przewidzieć wypadków, zwłaszcza, gdy na takich wyżynach ducha rozgrywa się sprawa. Łaską jedynie Opatrzności na naród polski spłynął promień dzisiejszego natchnienia, a doczekamy się chwili, w której przez zwrot niespodziewany okoliczności ta opiekuńcza Opatrzność przyjdzie w pomoc niewinnie cierpiącym i w Jej wsparcie jedynie wierzącym".

Mowa ta w ogólności przez swój ton mistyczny, przez polecanie narodowi polegania na Opatrzności, przez ukazywanie „palca Bożego" w wypadkach warszawskich, nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie to, że od wielu lat mowy zgrzybiałego reprezentanta polskości miały w oczach Europy dyplomatycznej i monarchicznej cechę programu polskiego. Czytano je wszędzie i zwracano na nie uwagę powszechną. Mistyczny ton ostatniej mowy dziwnie musiał się przedstawiać oczom czytelników europejskich, ale zapewniał zarazem, że powstania zbrojnego nie będzie, a przynajmniej nie tak prędko. W kraju zato nikogo ona nie zadowolniła prócz garści entuzyastów i marzycieli, którzy istotnie widzieli w ruchu warszawskim powtórzenie się starych legend o mękach pierwszych chrześcijan, o ich śmierci heroicznej za wyznawane przekonania, w obec szalejącego i rozbestwionego Rzymu.... Wszelako wszyscy zgadzali się z mową na jednym punkcie, że trzeba się dalej manifestować.

Jakoż manifestowano się ciągle. Przedewszystkiem odbywać się poczęły nabożeństwa za poległych d. 8 Kwietnia. W Paryżu takie nabożeństwo, rozgłoszone przez wszystkie nieomal dzienniki, odbyło się w d. 7 Maja, w kościele św. Rocha. Zapowiadano, że celebrować będzie kardynał arcybiskup bordoski, ks. Donnel, a choć do tego nie przyszło, kościół był jednak przepełniony nie tylko Polakami, ale Francuzami z najwyższych sfer. Ksiądz Menjard, Dominikanin, miał kazanie, w którem palącemi słowy potępiał „katów Polski“, deptał Moskwę i schizmę.... W kraju tego rodzaju nabożeństwa odbywały się wszędzie, w skutek represyi militarnej cicho, spokojnie, bez wyraźnej i głośnej ostentacyi. W jednym tylko Łowiczu odprawiono je z wielką wystawnością, kazaniami i procesyą [1]).

Oprócz nabożeństw z celem patryotycznym, które stały się chlebem tak powszednim, że już nikt na nie uwagi nie zwracał, w kraju agitacya rozszerzała się, liczne manifestacye i zaburzenia się pojawiały. W Łodzi, mieście fabrycznem, przeważnie przez Niemców zamieszkałem, miały one w gruncie rzeczy nie tyle polityczny, ile socyalny charakter. Agitacya widocznie dość długo trwała, nim zdołała poruszyć ciężkie masy robotnicze, na pół niemieckie, które o polskim patryotyzmie nic nie wiedziały i gotowe były do ruchu, ale w celach socyalnych. Zaburzenia zaczęły się od tego, że d. 19 Kwietnia wyprawiono kocią muzykę lekarzowi miejscowemu Wolbergowi. Nazajutrz d. 20, a przypadło to w Sobotę, tłum złożony z 800 przeszło osób, wyłącznie prawie robotników i czeladzi rzemieślniczej, udał się do fabryki sukna i przędzalni żyda, nazwiskiem Prusak, w której z powodu szabasu robotników żydowskich nie było, zniszczył ją i maszyny doszczętnie pogruchotał. Świadczyło to, że ruch łódzki ma odrębny,

[1]) W Krakowie nabożeństwo odbyło się jeszcze d. 10 Kwietnia. Wieść o wypadkach warszawskich zrobiła tam bardzo silne wrażenie; otrzymano ją d. 9 Kwietnia wieczorem, a gdy rozeszła się wśród zgromadzonych w teatrze, opuszczono go natychmiast. Żydzi także chcieli wyprawić nabożeństwo, ale policya im tego zabroniła.

nie polski charakter; robotnicy dlatego niszczyli maszyny, jak to zresztą wszędzie dawniej i później robili, że powszechnem u nich było mniemaniem, iż te odbierają im zarobek. To samo spełnili przy napadzie na wielką przędzalnię Szajblera. Napadu tego dokonali oni w nocy z Niedzieli na Poniedziałek. Większość i wyłącznie prawie niemiecka była pijana. Wybito drzwi, okna; maszyny potłuczono na szczątki, pomimo rozpaczliwego oporu, jaki część robotników polskich i żydowskich stawiała napastnikom.

Jakkolwiek wypadki łódzkie nie miały cechy politycznej i polskiej, były jednak jednym więcej dowodem tego ogólnego wzburzenia umysłów, jakie kraj ogarniało; jak wreszcie idee, nie mające związku z interesami polskimi, wypływały, że tak powiemy, na wierzch. Wprawdzie ruch robotniczo-socyalny ograniczył się tylko na Łodzi, która poczynała już w tej porze być centrem przemysłowem w Królestwie, gdyż gdzieindziej żywiołów potemu nie było, ale był on niejako ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy patrzeć na rzeczy umieli, że do rewolucyi polskiej, czysto politycznej, gotowe są przyłączyć się wszystkie inne, całkiem nam obce i sprzeczne z naszymi interesami. Wzburzenie było powszechne, niepokój ogólny. Uroczystość Zielonych Świątek w d. 19 i 20 Kwietnia dała powód do różnych w kraju tumultów, które nagle przybrały charakter jakiejś trwogi przed niebezpieczeństwami urojonemi. Do Częstochowy na odpust, przypadający we wzmiankowane święta, zeszło się o wiele mniej ludzi, niż to zwykle bywało, z powodu pogłoski, która rozszerzyła się po całym kraju, że wojsko będzie mordowało pątników. Przytem było zimno i śnieg padał. Mimo to jednak zebrało się kilkanaście tysięcy ludzi [1]). W czasie sumy w kościele na Jasnej górze, w dzień Zesłania Ducha Świętego, rozległ się nagle okrzyk, że „wojsko idzie rąbać i mordować“ zebra-

[1]) Niektóre relacye, jakie posiadamy o tym wypadku, obliczają pobożnych na kilkadziesiąt tysięcy.

nych [1]). Okrzyk ten nabierał tem większego prawdopodobieństwa, że wojsko istotnie od rana znajdowało się w obrębie murów klasztornych, ale w kościele wcale się nie ukazywało. Bądźcobądź, w skutek poprzednio już panujących pogłosek i owego niefortunnego krzyku, zapanował w ogromnej świątyni popłoch straszliwy. Kobiety i dzieci na gwałt, z pośpiechem nadzwyczajnym uprowadzono do klasztoru, lub osadzano na wieży dla ochronienia ich przed mniemaną rzezią. Gdy jednak rzeź owa do skutku nie przychodziła, gdy ten i ów wyjrzawszy, przekonał się, że wojsko spoczywa jak przedtem przy broni w kozłach stojącej, poczęto się uspokajać i nic już nie przerwało zwykłych modlitw i zabaw pątników częstochowskich.

W Radomiu zaburzenie, wybuchłe w tenże sam dzień, miało inny nieco charakter. Ustrojono tam z powodu Zielonych Świątek, d. 19 Maja, figurę kamienną Matki Boskiej, stojącą przed kościołem OO. Bernardynów na ulicy Lubelskiej, w wieńce i kwiaty, urządzono łuk tryumfalny z napisem: „Królowo korony polskiej módl się za nami“, a nad tem orła polskiego i koronę złotą. Dla ludności świętującej było to widowisko zbyt nowe i zbyt ciekawe, by nie miała się przed statuą gromadzić tłumnie. Po południu liczebność zbiegowiska tak wzrosła, że miejscowy naczelnik wojenny uznał za stosowne wyprowadzić na ulicę jedną kompanią piechoty, należącą do tego samego pułku Kostromskiego, który strzelał w Warszawie d. 8 Kwietnia. Tłum nie zważał na pojawienie się wojska, rozejść się nie myślał, owszem, agitatorzy, korzystając z tego położenia, zaśpiewali „Boże coś Polskę“. Pułkownik, dowodzący wojskiem, nakazał rozpędzenie śpiewających. Tłum, pod naciskiem po-

[1]) Według korespondencyi, pomieszczonej w „Czasie“, w tej chwili właśnie, gdy powyższy krzyk rozległ się w kościele, miały ukazać się we drzwiach bagnety, ale wojsko do wnętrza świątyni nie weszło. Relacya ta nie wydaje nam się autentyczną. Wojsko istotnie znajdowało się w obrębie klasztoru, gdyż od czasu zaburzeń stale na odpustach się pojawiało i ta okoliczność zapewne dała powód do kłamliwej pogłoski o rzezi.

stępującego zwartym szeregiem wojska, w części rozbiega się, a w części znacznie większej chroni się za mur, otaczający od strony ulicy klasztor dokoła, i tam się zamyka. Wojsko wdziera się na cmentarz i wiele osób aresztuje. Wszystko to staje się powodem, że na ulicy znowu pojawiają się coraz liczniejsze tłumy ciekawych i oburzonych. Wojsko usiłuje plutonami rozpędzić zbiegowisko, ale gubi się w masie, wśród której rozlegają się okrzyki: „nie ustąpimy, dopóki aresztowanych nie uwolnią“. Nakoniec, dla zapobieżenia możliwemu krwi rozlewowi, kilka osób z byłej Delegacyi miejskiej udaje się do gubernatora Oppermana i uzyskuje od niego uwolnienie aresztowanych. Fakt ten i zbliżająca się noc zmusza tłumy do rozejścia się i miasto przybiera swój dawny, cichy i na pół martwy charakter.

Takie sceny, powtarzające się z małemi odmianami co do swego przebiegu faktycznego, ale zato z nużącą jednostajnością co do końcowego rezultatu, t. j. abdykacyi władzy i bezkarności dla agitatorów, rozgrywały się po całym kraju. Naczelnicy wojenni i dowódzcy wojsk byli to po większej części ludzie mało inteligentni i nierozgarnięci [1]); postawieni w obec ruchu religijnego, którego nie pojmowali, tracili do reszty słabą głowę, z obawą zabobonną przystępowali do wykonywania rozkazów wyższych,

[1]) Nie każdy z jenerałów chciał przyjmować na siebie trudne obowiązki naczelnika wojennego. Chruszczow np. w Lublinie, człowiek zkądinąd bardzo zacny, kilkakrotnie prosił, by go uwolniono od tych obowiązków, które w nim wstręt budziły. Tłomaczył się, że nie zna języka polskiego, nie zna „tutejszych kochanek“ (sic, *zdiesznich kochanok)* i tutejszych obyczai, gdyż do czasu mianowania go dowódzcą 5-ej dywizyi nigdy nie był w Polsce; że nie ma zdolności policyjno-żandarmskich i nabywać ich nie chce, ani może; że przy obecnem położeniu rzeczy potrzebni są ludzie niezbyt skrupulatni, którzy, opierając się na oskarżeniach gołosłownych, nie powinni się wahać w surowem karaniu Polaków. Mimo to utrzymano go na tem stanowisku. Ale jeżeli on się wahał, to wszyscy inni z radością przyjmowali posady dobrze płatne (otrzymywali po 1000 złp. na miesiąc), obdarzające ich wielką władzą i dające im możność robienia majątków.

i gdzie mogli unikali krwawego starcia, raz z powodu charakteru religijnego zaburzeń, a potem ze względu na instrukcye z Warszawy, polecające oględność w postępowaniu. Żołnierz w ogólności był łagodny, ale dziki; doprowadzony do ostateczności, drażniony nieustannie, wpadał w gniew i dopuszczał się nieraz czynów wyuzdanego barbarzyństwa, jakto naprzykład było podczas wypadków kwietniowych w Warszawie. Pod Siedlcami zdarzył się fakt, który w innych okolicznościach nie zwróciłby na siebie niczyjej uwagi, ale który teraz rozbrzmiał szeroko, który dał powód do tysiącznych skarg na barbarzyństwo i dzikość żołnierzy rosyjskich, który nakoniec wywołał głośną manifestacyą.

We wsi Grabianowo, leżącej prawie tuż pod Siedlcami, dnia 12 Maja, żołnierz z pułku Sumskiego huzarów, konsystującego w tem mieście i okolicy, napadł w domu gospodarza Ciołka na jego parobka Jana Pachetkę i zranił go pałaszem śmiertelnie. Powodów tej pospolitej zresztą awantury nie znamy bliżej; zdaje się, że poszło o kobietę; dość, że Pachetka, dostawiony do szpitala w Siedlcach, w parę dni potem umarł. Z tej okoliczności agitatorzy, których nigdzie nie brakło, postanowili skorzystać i urządzić biednemu, nieznanemu parobkowi wiejskiemu pogrzeb królewski. W tym celu przedewszystkiem zwłoki przeniesiono ze szpitala do kościoła i tam je na wspaniałym, śród kwiatów i świateł, umieszczono katafalku, jako jednej więcej ofiary „barbarzyństwa Moskali“. Przeniesieniu zwłok towarzyszył kilkutysięczny orszak najwybitniejszych mieszkańców, a nadewszystko mieszkanek Siedlec; trumnę zaś zmarłego chłopa nieśli naprzemian szlachta, mieszczanie i włościanie, których sprowadzono z okolicy. Zanosiło się na ogromną, pogrzebową manifestacyą, które ta epoka sentymentalna i ponura zarazem, niby drugi Karol V-ty, bardzo lubiła, ale policya miejscowa i naczelnik wojenny do tego nie dopuścili. Pachetkę pochowano niepostrzeżenie i cicho.

W ogólności Siedlce, dotąd dość na uboczu stojące

od ruchu rewolucyjnego, rzuciły się doń teraz na oślep. Na parę dni przed manifestacyą z Bogu duszę winnym parobkiem wiejskim, który nigdy zapewne nie przypuszczał, by się mógł stać osobistością historyczną, odprawiono w miejscowym kościele nabożeństwo żałobne za Pantaleona Potockiego, powieszonego w r. 1846. Trudno dziś dojść, kto dał inicyatywę do obchodu tej pamiątki po człowieku bardzo zapewne zacnym, patryocie gorącym, ale należącym do tego nieszczęsnego pokolenia mistyków i szaleńców, którzy chcieli Polskę odbudować przy pomocy gołych rąk, lub pułków archanielskich. Po Mszy udano się w pochodzie procesyonalnym na miejsce, w którem pochowane zostały zwłoki nieszczęśliwego entuzyasty; tam odprawiono stosowne modły za jego duszę i wrócono do miasta, śpiewając pieśni patryotyczne.

W Janowie Ordynackim przytrafiło się coś podobnego, jak z owym parobkiem Pachetką w Siedlcach, i dało powód do zupełnie takiej samej manifestacyi. Żołnierz z garnizonu miejscowego zamordował w polu, na pastwisku, zwanem Zaleśniczówka, dziewczynę wiejską Annę Jedynakównę, wprzódy dopuściwszy się na niej gwałtu. Stało się to d. 21 Maja i z wypadku bardzo zresztą pospolitego zrobiono fakt doniosłości politycznej, rozgłoszono go wszędzie na dowód, jak dzikim i barbarzyńskim jest żołnierz moskiewski i jak strasznym bezprawiom kraj ulega. Zamordowanej dziewczynie tak samo, jak parobkowi Siedleckiemu, sprawiono pogrzeb wspaniały, z lepszem tylko powodzeniem. Cały zakon Dominikanów, mających swój klasztór w Janowie, wystąpił, zjechało się wszystko duchowieństwo okoliczne. Trumnę, przybraną w koronę cierniową, nieśli obywatele ziemscy, urzędnicy i chłopi. Cechy wystąpiły z chorągwiami, a zjazd z całego powiatu był ogromny.

W Płocku dnia 10 Maja wybuchła awantura uliczna, bo trudno ją nazwać manifestacyą, w obec której miejscowe władze wojskowe istotnie dziwnie się zachowały. Potwierdziła ona zresztą w sposób krzyczący, że to, co pisał Fijałkowski i Szymański o przykrem położeniu ducho-

wieństwa w obec śpiewów patryotycznych, było szczerą prawdą, ale właśnie w takich okolicznościach okazuje swą siłę charakter prawdziwie męzki i głębokie poczucie istotnych interesów kraju. W kościele farnym płockim, wieczorem, gdy po nabożeństwie majowem poczęto zamiast zwykłych pieśni kościelnych śpiewać „Boże coś Polskę“, proboszcz miejscowy, ksiądz Szanior, zamknął Najświętszy Sakrament, sam zaś, niedokończywszy nabożeństwa, z wyraźną oznaką niezadowolenia z zachowania się ludu udał się do zakrystyi i tam rozebrał. Czyn ten wywołał śród gorącej młodzieży i licznych już w tej porze agitatorów, zapatrujących się we wszystkiem na Warszawę, ogromne oburzenie. Tejże samej nocy na drzwiach mieszkania proboszcza powieszono stryczek i wyrysowano szubienicę. Cały dzień następny wzburzenie w mieście było widoczne; do władzy dochodziły wieści głuche i niepewne, że agitatorzy zamierzają dokonać jakiegoś gwałtu nad wieczorem, przed nabożeństwem majowem. W skutek tego komenderujący w Płocku jenerał Szepielow kazał ustawić na rynku dwie kompanie piechoty i nieco kozaków. Widok ten zgromadza ogromne tłumy, które zajmują rynek i okolice fary i widocznie mają jakieś złe zamysły względem księdza Szaniora. Dla zapobieżenia temu zjawił się znany nam już ks. Myśliński, administrator płocki, w towarzystwie kanonika katedralnego Motylińskiego na cmentarzu i począł prosić tłumy, ażeby się albo rozeszły, albo wstąpiły do kościoła i wysłuchały nabożeństwa. Na to rozległy się krzyki: „nie pójdziemy do kościoła! świątynia sprofanowana! religia obrażona! precz ze szpiegiem moskiewskim! precz z proboszczem Szaniorem! nie chcemy takiego pasterza! jemu należy się szubienica!“ i t. p. Słowa te zdawały się rozdrażniać tłumy, między którymi było bardzo wiele żydów najwięcej krzyczących, choć ich zapewne mniemana obraza religii katolickiej jak najmniej obchodziła. Myśliński począł mówić; gorącemi słowy zaklinał „obywateli i szanowne Polki“, by się uspokoiły, zapewniał uroczyście, że ks. Szaniora usunie z probostwa. „To mało,

poczęto wołać, won z nim z gubernii! niech gnije w Liszkowie!“ [1]). Myśliński i na to się zgadza, zapewnia, że tak a nie inaczej postąpi z ks. Szaniorem, byle się tylko uspokojono i zaprasza do kościoła. Tłum nie chce iść: „nie pójdziemy, wołają, dopóki wojsko nie ustąpi, nawet z rynku, bo pod bagnetami modlić się nie będziemy“. Cóż było robić? Myśliński zdecydował się pójść do jenerała Szepielowa i prosić go, by wojsku kazał ustąpić. Gdy obaj z kanonikiem opuścili w tym celu miejsce zbiegowiska, tłum począł szydzić i wymyślać wojsku. Mnóstwo żydziaków przekomarza się z kozakami, straszy ich konie, zowie ich głośno: niedźwiedziami. Wojsko w milczeniu znosi te obelgi. Gdy się pojawił na cmentarzu naczelnik żandarmów i chciał coś przemówić, powitano go ogromną wrzawą i krzykami: „precz, won, czapkę zdejm!“ Żandarm nie czekał na więcej duserów, tylko uciekł. Na szczęście przybywa ze swego poselstwa administrator Myśliński i zapewnia uroczyście, że jenerał odtąd nie będzie się mięszał do spraw kościelnych, i że wojsko nie będzie stało przed kościołem. Na to z tłumu rozlegają się głosy, że dopóty do kościoła nie pójdą, dopóki wojsko zupełnie, nawet z rynku nie ustąpi. Nowe pertraktacye, których smutnym rezultatem, powtarzającym się w tych czasach wszędzie, było to, że uczyniono zadość żądaniom tłumu; wojsko ustąpiło zupełnie i władza abdykowała przed zbiegowiskiem młodzieży, kobiet i ostatniego motłochu. Z okrzykami radości, z poczuciem tryumfu tłoczą się wszyscy do kościoła, Niemcy i żydzi nawet, gdzie Myśliński wstępuje na kazalnicę i ma tak gorącą, tak patetyczną mowę, że cały kościół jęczy od płaczu....

Ruch ten, jaki od czterech miesięcy wrzał i kipiał w całym kraju, musiał się koniecznie z natury rzeczy odbić i na Litwie. Widzieliśmy już, że obchodzono tam nabożeń-

---

[1]) Liszków, wieś w Augustowskiem, w której osadzano księży przestępnych (demerytów). Zdaje się jednak, że już w r. 1861 do Liszkowa nie posyłano, ale na Łysą górę w Sandomierskie.

stwa żałobne za poległych, że były pojedyncze, sporadyczne objawy, świadczące o wzburzeniu umysłów w klasach wyższych, ale ogół kraju był spokojny. Chłop nie był polski, pragnień i aspiracyi polskich nie rozumiał, nie był im przyjazny, zresztą w tej chwili zupełnie czem innem był zajęty. Właśnie przed paru miesiącami, kiedy Warszawa przybierała się w żałobę i sprawiała pogrzeb uroczysty pięciu poległym, w Wilnie zjawił się fligieladjutant hr. Ołsufiew i przywiózł ukaz cesarski o usamowolnieniu włościan [1]). Rozesłani urzędnicy po kraju nieśli wszędzie wieść drzemiącemu wśród swych puszcz odwiecznych chłopu litewskiemu o wolności. Sam manifest odczytywano z ambon po kościołach, a choć był reformą niezmiernie ważnej doniosłości, burzył odwieczny ustrój społeczny, na ciężkim i tępym chłopie litewskim nie robił on wrażenia zbyt silnego. Powoli dopiero, w ciągu paru miesięcy, wieści o łasce carskiej rosły, rozszerzały się, i wraz z wiosną, budzącą puszcze litewskie, budziły i ospałe umysły chłopskie. Gdzieindziej, wśród ludności żywszej, lotniejszej umysłowo, wieści te wywoływały formalnie rokosze i zaburzenia. W sześciu powiatach gubernii Podolskiej (Winnicki, Olhopolski, Bracławski, Hajsyński, Jampolski i Kamieniecki), w Maju 1861 r. zaburzenia te przybrały szerokie rozmiary, ogarnęły 141 wsi z ludnością liczącą około 71 tysięcy dusz. Ukaz, jak wszystkie tego rodzaju dokumenty wychodzące z kancelaryi rosyjskiej, był dość niejasny i mętny, nawet dla ludzi wykształconych; dla chłopa był on całkiem niezrozumiały, a jako taki, rodził Bóg wie jakie nadzieje i jakie marzenia. Tu i owdzie dziedzic perswazyą zdołał stłumić zrywającą się burzę; w innych miejscach musiano się uciec do pomocy wojsk. We wsi Tymanówce, w powiecie Jampolskim, w majątku na szczęście należącym do Mo-

[1]) W kilka dni potem, d. 21 Marca, w starej katedrze wileńskiej biskup Krasiński odprawił uroczyste na tę intencyą nabożeństwo. Na nabożeństwie tem był jenerał-gubernator Nazimow, gubernator wileński Pochwisniew, Domeyko, marszałek gubernialny wileński, wszyscy urzędnicy i mnóstwo osób.

skala, hr. Protasowa-Bachmatiewa, chłopi czynny opór stawili sprowadzonemu wojsku. W Kirnasówce, w powiecie Bracławskim, tym razem niestety! własności Polaka, Sobańskiego, 28 gospodarzy surowo ukarano rózgami. W powiecie Olhopolskim główne centrum zamieszek stanowiła wieś Żabokrycze, należąca do szlachcica Brzozowskiego. Za Żabokryczanami poszło dziewięć innych wsi. W powiecie Winnickim zaburzenia wybuchły we wsi Wielkiej Ostróżce, będącej własnością marszałka powiatowego Polkowskiego. Aresztowano w niej i odstawiono do powiatu sześciu gospodarzy. Były także rozruchy w powiecie Lityńskim, we wsi Śmiały.

Na Litwie zato, z wyjątkiem zaburzeń sporadycznych z charakterem zresztą bardzo spokojnym, w niektórych wioskach gubernii Wileńskiej i Grodzieńskiej [1]) panowała zupełna cisza, jakkolwiek umysły były zaniepokojone i w dręczącej gorączce oczekiwały dalszego rozwoju wypadków [2]). Ale następstwem tego było to, że chłopa nic nie obchodziły inne sprawy, leżące poza kwestyą jego swobody osobistej. Zresztą, powtarzamy, nie był Polakiem i w ruchu z charakterem politycznym polskim nigdyby był nie wziął udziału. Ruch ten więc ograniczył się tylko na szlachcie i to zamożniejszej, gdyż zaściankowa, tak licznie na Litwie osiadła, nie rozumiała jeszcze dobrze, o co idzie. Żydzi trzymali się na uboczu i ciekawie przypatrywali się wypadkom, rozgrywającym się przed ich oczami.

Tak więc Litwa była prawie spokojną. Nabożeństwa, pod wpływem szlachty bogatej urządzane, odbywały się cicho i szerokiego wrażenia nie wywoływały. Sam zaś ruch

---

[1]) W Marcu 1861 r., we wsi Turość w Grodzieńskiem, należącej do Ossolińskiego, chłopi nie chcieli chodzić na pańszczyznę. W skutek wpływu proboszcza miejscowego, ks. Morawskiego, rzecz się załagodziła. Proboszcz dostał za to od cesarza krzyż do noszenia na piersi.

[2]) W Inflantach polskich, w okolicach Porchowa były także zamieszki chłopskie, o których jednak bliższych szczegółów nie posiadamy.

objawiał się tylko żałobą, nieuczęszczaniem na zabawy tak, że na wszystkich trzech balach podczas karnawału, w klubie szlacheckim w Wilnie, nie było ani jednej kobiety; na pewnem nakoniec podniesieniu się poziomu moralnego, na marzeniach utopijnych o doskonałości, tak charakterystycznych i tak piękną cechę nadających początkom tego ruchu bezprzykładnego w dziejach. W powiecie Lidzkim np. szlachta dała sobie słowo uroczyste, że w ich domach żaden napój zbytkowny nie postanie. W Nowogródzkiem niejaki Władysław Brochocki, ziemianin zamożny, zamknął w swych dobrach wszystkie szynki, nie zważając wcale na szczerby, jakie jego budżet z tego powodu poniesie. Zakładano wszędzie szkoły wiejskie, w których młodzież dworska uczyła chłopskie dzieci, urządzano biblioteki, czytano wiele, marzono jeszcze więcej o świetnej, złocistej przyszłości pod cieniem orła białego i starej pogoni litewskiej. Rozprawiano o potrzebie podniesienia ekonomicznego kraju, o skierowaniu szlachty zaściankowej, schłopiałej już zupełnie, wiodącej żywot nędzny na swych rozdrobnionych do niemożliwości gruntach, do przemysłu i handlu. Miała ona wytworzyć z czasem stan trzeci, którego Litwa wcale dotąd nie posiadała, a którego posiadanie ówczesnym teoretykom wydawało się niezbędnem do normalnego rozwoju narodu.

Taki stan Litwy nie podobał się agitatorom i zadecydowali pchnąć ją na drogę manifestacyi. Zamiar ten urodził się w Paryżu, wśród młodzieży litewskiej, która tłumnie się tu zjechała tak z kraju, jak i z uniwersytetów rosyjskich, w celu wstąpienia do mającego się utworzyć przez Mierosławskiego legionu polskiego. Gdy jednak legion się nie organizował, gdy wreszcie nadzieja nawet znikła usztyftowania go, gdy większość „twardych“, jak ich nazywano, Litwinów, zawsze trzymających się siebie i chodzących kupą, przekonała się naocznie o wartości „jenerała Ludwika“, zdecydowano się powrócić do kraju i tam wziąć czynny udział w rozruszaniu ludu. Uchwalono dać do tego hasło z Wilna, jako stolicy Litwy i w tym celu postano-

wiono zgromadzić jak najwięcej młodzieży uniwersyteckiej i innej do tego miasta podczas kontraktów wiosennych, rozpoczynających się w pierwszych dniach Maja. Jakoż w tym czasie ze wszech stron poczęła się do Wilna zjeżdżać młodzież, przeważnie studenci uniwersytetów rosyjskich, którzy dali się odrazu uczuć w mieście. Nie zwłócząc, zajęli się oni organizacyą miejscowej młodzieży szkolnej, rzemieślniczej i urzędniczej, dzieląc ją na dziesiątki i setki, które miały później wytworzyć z siebie komitet rewolucyjny. Tymczasem jednak sformowano osobne ciało, złożone z przybyłych studentów, którego zadaniem miało być urządzenie pierwszej wielkiej manifestacyi w Wilnie. Termin tej manifestacyi oznaczono na dzień 20 Maja, w którym to dniu, według starego stylu przypadała uroczystość św. Stanisława. W tym celu poczęto przepisywać i rozrzucać po mieście pieśni nabożne patryotyczne, czem głównie zajmowała się młodzież szkolna i kobiety. Robiło się to wszystko dość jawnie i bez ostrożności należytej; policya wiedziała o zjeździe licznym studentów, o niezwykłym wśród nich ruchu i ożywieniu, odgadywała, że się coś przygotowuje, ale pomimo starań wiadomości dokładnych o tem nie miała. Nazimow, na skutek raportu policyi, że „Polacy przygotowują jakąś demonstracyą“, wydał rzeczonej policyi w wigilią św. Stanisława rozkaz, ażeby „pilnie czuwała nad agitatorami“. Zresztą z godnem podziwu niedołęztwem nie zrobiono najmniejszego kroku, którymby można było zapobiedz demonstracyi.

Skoro więc w dzień ów uroczysty, w starej katedrze wileńskiej sam biskup Krasiński ukończył nabożeństwo, wśród kościoła, przepełnionego ludem i wyższą szlachtą, mała gromadka, złożona z trzydziestu kilku młodych ludzi, zaśpiewała „Boże coś Polskę“. Duchowieństwo dało znak organiście, by zagłuszył śpiew, ale agitatorzy nie ustąpili i ostatecznie odnieśli zwycięztwo i pieśń do samego końca odśpiewali. Policya, która dość licznie była reprezentowaną w kościele, przy wyjściu z niego aresztowała ośmiu studentów, jako głównych kierowników manifestacyi, a mia-

nowicie: Wiktora Paszkowskiego, studenta uniwersytetu petersburskiego; Kazimierza hr. Tyszkiewicza, Ksawerego Korejwę i Aleksandra Zelwerowicza, studentów uniwersytetu moskiewskiego; znanego później w naszej socyalistycznej i historycznej literaturze Bolesława Limanowskiego, studenta uniwersytetu dorpackiego i dwóch jego braci: Lucyana i Józefa; głośnego z czasem w nauce polskiej Benedykta Dybowskiego; i nakoniec nauczyciela Hryniewieckiego [1]). Z rozkazu Nazimowa rozpoczęto natychmiast śledztwo, ale, jak wszystkie śledztwa tej doby, nie doprowadziło ono do niczego, gdyż, jak brzmi odnośny raport, „żadnych wskazówek co do podżegaczy i ajentów tajnych nie wykryto, z powodu braku żalu szczerego w osobach aresztowanych". Komisya śledcza, zainteresowana nowością sprawy, chciała się koniecznie dowiedzieć: „gdzie aresztowani nauczyli się hymnu", śpiewanego w kościele? — ale ciekawość jej nawet pod tym względem nie została zaspokojoną. Jeden z młodzieży twierdził, że słyszał pieśń rzeczoną zagranicą, inny, że ją zna od dzieciństwa, a Tyszkiewicz wprost odpowiedział, że nauczył jej się w Moskwie, „w czasie nabożeństwa za poległych w Warszawie". Wszystkich pięciu uznano za przestępców politycznych i wysłano do Rosyi [2]).

Podczas gdy komisya śledcza pragnęła się czegoś do-

[1]) Raport urzędowy policyjny, jaki mamy przed sobą, nie wymienia wcale dwóch braci Limanowskich, Dybowskiego i Hryniewieckiego. Poszliśmy w tym względzie za jednogłośnie brzmiącemi co do liczby i nazwisk aresztowanych źródłami polskiemi.

[2]) W skład Komisyi śledczej wchodził: pułkownik Haller, jako prezydujący; pułkownik żandarmów Adamowicz, oberaudytor Emilianow i cenzor wileński Muchin, który odczytywał pisma zabrane aresztowanym. Wyrok brzmiał jak następuje: Lucyan i Józef, bracia Limanowscy, skazani zostali na osiedlenie do Wołogdy, Bolesław zaś do Archangielska; Hryniewiecki do Permu; Ksawery Korejwa do Wiatki; Dybowski z początku do Dorpatu, zkąd miał być przewieziony do jednej z bardziej oddalonych gubernii rosyjskich; Zelwerowicz i Tyszkiewicz odesłani z powrotem do Moskwy i oddani pod najsurowszy nadzór policyjny.

wiedzieć, a w rzeczy samej nic się nie dowiedziała, w mieście, dotąd cichem i spokojnem, wybuchło oburzenie powszechne. Koledzy aresztowanych rozbiegli się wszędzie i oburzenie to podsycali. Dzięki ich zabiegom i staraniom, nazajutrz d. 21 Maja zebrał się przed pałacem jenerał-gubernatorskim tłum samych kobiet, na czele których znajdowały się panie: Walicka z córką, Żabina, obie obywatelki ziemskie i Orgelbrandowa, żydówka, żona księgarza. Panie te wyruszyły w deputacyi do Nazimowa i domagały się posłuchania, chcąc prosić o uwolnienie studentów wczoraj aresztowanych. Oczywiście, pomimo upartych nalegań, Nazimow ich nie przyjął, na co deputacya kobieca, istny wyskok szaleństwa, odrzekła, że jutro zjawi się tutaj w liczbie daleko większej i swojego musi dokonać. W mieście heroizm, jak go nazywano, niewieści, wszystkim się podobał; nie było ani jednego męża, ojca, brata, któryby wytłomaczył kobietom, że polityka nie jest ich zadaniem, że Polka prawdziwa i obywatelka rzetelna pilnuje domu i dobrze wychowuje swe dzieci, a nie włóczy się po gubernatorach moskiewskich. Rzecz prosta, iż poklask, jaki znalazły kobiety, zachęcił je jeszcze bardziej do wykonania tego jutro, co dziś Nazimowowi zapowiedziały. Gorliwie popierane przez młodzież, miały w istocie nazajutrz zamanifestować się w sposób jedyny i niesłychany.

Jakoż od świtu d. 22 Maja ulice Wilna zakipiały niewidzianym oddawna ruchem i wrzawą, napełniły ciche miasteczko litewskie przedsmakiem zbierającej się na horyzoncie ponurej burzy. Przed kaplicą Ostrobramską od samego rana gromadziły się tłumy kobiet ubranych w grubą żałobę, uczniów szkolnych i studentów. Mężczyzn cywilnych w ogólności było bardzo niewielu i trzymali się zdaleka. Po wysłuchaniu nabożeństwa i odśpiewaniu „Boże, coś Polskę“, kobiety, których naliczono przeszło sto, pod przewodnictwem pani i panny Walickiej, pani Żabinej, panny hrabianki Plater i nakoniec żydówki Orgelbrandowej, idąc przez ulice najludniejsze, ruszyły do pałacu jenerał-gubernatora. Za kobietami postępowali parami stu-

denci i uczniowie szkolni. Pochód był osobliwszy i wszystkich uwagę zwracał na siebie, zwłaszcza obdartego żydowstwa, które gromadnie biegło za „babską procesyą“, jak mówiono w mieście, i ciekawie jej się przypatrywało.

Pałac jenerał-gubernatorski w Wilnie, niegdyś należący do Masalskich, znajduje się na rogu ulicy i placu, od którego rozwija się głównym, ciężkim nieco frontem. Od strony ulicy jest podjazd w głębi dużego podwórza. Otóż część większa kobiet wdarła się na to podwórze; służba też zaraz zamknęła bramę tak, że reszta tłumu, rosnącego z każdą chwilą, dochodząca może do liczby półtora tysiąca głów, przeważnie żydów, zalała prawie cały plac. Nazimow, nieco przestraszony tem zbiegowiskiem, zgodził się, by niektóre z kobiet wpuszczone były do niego, ale pojedynczo. Przyjmował je grzecznie, lecz o uwolnieniu studentów aresztowanych słuchać nawet nie chciał. Pertraktacye te wlokły się leniwie, żadna strona ustąpić nie myślała, czas upływał, tłum na placu zwiększał się, wzburzenie rosło. Za radą oberpolicmajstra, chcąc położyć koniec scenom tak śmiesznym i tak niebezpiecznym zarazem, polecono sprowadzić nieco wojska i straż ogniową z sikawkami. Gdy te nadjechały, oznajmiono kobietom, że, jeżeli się nie rozejdą, zostaną oblane wodą. Groźba ta poskutkowała i tłum powoli się rozszedł wśród śmiechów i żartów, nie zawsze przyzwoitych, zwłaszcza ze strony żydowstwa. Manifestacya skończyła się na niczem, a nadewszystko miała finał komiczny. Mimo to Nazimow rozkazał policyi, by odtąd baczną na ludność i młodzież zwracała uwagę; pani Walickiej zaś z córką, pani Zabinej i hrabiance Plater polecił opuścić Wilno i udać się do siebie na wieś, zkąd niewolno im się było oddalać, na co musiały się podpisać.

Odtąd w Wilnie „Boże, coś Polskę“ brzmiało ciągle i manifestacye z charakterem religijnym były na porządku dziennym. Co wieczór nieomal tłumy zgromadzały się przed obrazem cudownym w Ostrejbramie, lub u figury Matki Boskiej przed kościołem Franciszkanów i odśpiewywały

całą seryą patryotyczno-nabożnych pieśni. Policya rosyjska, jak wszędzie w tej dobie, niedołężna i niezaradna, przypatrywała się wszystkiemu, pisywała raporta pozornie bardzo szczegółowe, ale rola jej cała na tem się ograniczała [1]).

Wśród takich to wypadków, takiej gorączki rewolucyjnej, ogarniającej już nie tylko Królestwo, ale Litwę, i w ogóle prowincye zabrane, Wielopolski przystąpił do najważniejszej czynności, do uregulowania stosunków włościańskich w kraju, czego potrzebę koniecznie czuli wszyscy głęboko, tak rząd, jak Biali i Czerwoni. Wiedzieli oni do-

[1]) Mamy właśnie przed sobą kilka takich raportów, świadczących o niedołęztwie i niezrozumieniu swego zadania przez organa policyjne. „Dnia 17 Maja (brzmi jeden z nich), o godz. 6½ po południu, w kaplicy Ostrobramskiej, po odprawieniu przez biskupa Krasińskiego nieszporów, uczniowie gimnazyum wileńskiego, których było ze 30, zbiwszy się w gromadę po lewej stronie wielkiego ołtarza, odśpiewali z gwałtownością (s nieistowstwom), krzycząc każdy z nich ze wszystkich sił, hymn rewolucyjny. Z ich liczby wiadomi są tylko dwaj N. N.; prócz nich śpiewała ten hymn córka obywatelki ziemskiej N. N. Obok śpiewających znajdował się tłum różnych ludzi, w liczbie których stał aptekarz N. a także przeszło siedemdziesięciu uczniów tegoż gimnazyum, który chociaż nie śpiewali, ale zato bacznie śledzili działalność urzędników policyjnych. Po ukończeniu śpiewu wzmiankowani uczniowie tłumnie weszli przez osobne drzwi, znajdujące się obok wielkiego ołtarza, do zakrystyi. Wyszedłszy zaś z kościoła i zamknąwszy za sobą drzwi, rzekli: „chodźmy zbitą masą“. W obec tego, czy nie wypadałoby zażądać od władz szkolnych, ażeby dla dozoru nad uczniami wyznaczyły dozorców szkolnych, tak do kościołów, jak i do miejsc spacerowych, do Zakrętu i Antokola, gdyż bez tego będą oni dalej swobodnie urządzać nieporządki“. — „Dnia 21 Maja (czytamy jeszcze w innym raporcie) o godz. 12½ po południu, w kościele św. Jana, przy wielkim zbiegowisku ludu, po ukończeniu nabożeństwa (była to Niedziela) uczniowie gimnazyum tutejszego, w liczbie więcej niż 150, zgromadziwszy się razem w lewej nawie, między ścianą i kolumnadą, otoczeni tłumem różnych klas ludzi, upadli na kolana, a za nimi wszyscy obecni i głosem donośnym odśpiewali hymn rewolucyjny. Klęczących było około 500 osób, ale ponieważ wszyscy byli pochyleni i zasłaniali się chustkami, kapeluszami i burnusami, więc zauważono tylko następujących (tu raport wymienia kilkanaście nazwisk); uczniów gimnazyum naliczono 62. Do tego dodać należy, że: 1) inicya-

brze, iż w rozpoczynającej się akcyi, której strasznych skutków, niestety! nikt jeszcze wtedy nie przeczuwał, na dolę chłopską przypadnie pierwszorzędna rola do odegrania. Każden więc chciał, by nowy czynnik, wstępujący na arenę dziejową, był mu przyjazny. Wielopolskiemu zaś szło o to głównie, by raz rozciąć wrzód ropiący się na ciele polskiem, raz skończyć ze sprawą chłopską, zawsze niezmiernie ważną i wycieńczającą organizm narodowy. Zresztą, rozwiązawszy Towarzystwo rolnicze, które w czasach ostatnich prawie wyłącznie się tą sprawą zajmowało, trzeba

---

torami i kierownikami śpiewu byli uczniowie VI klasy gimnazyum, dwaj bracia D.; i 2) uczniowie gimnazyum codzień stają się śmielsi i zuchwalsi i publicznie obrażają urzędników policyjnych. Mianowicie dopuścili się oni tego d. 21 Maja, przy wyjściu dwóch urzędników policyjnych z kościoła, wielkiemi drzwiami przez podwórze gimnazyalne na ulicę, gdzie uczniowie, zebrawszy się w liczbie przeszło dwustu, zaczęli krzyczeć, obrzucać obelgami i grozić złemi następstwami; potem gdy jeden z tych urzędników, siadłszy do dorożki, odjeżdżał, to oni, wyszedłszy z dziedzieńca, obrzucili go w obec znacznego zbiegowiska ludzi wyrazami obelżywymi". — „Dnia 24 Maja, o godz. 7-ej po południu (cytujemy inny raport), przed figurą Matki Boskiej przy kościele Franciszkańskim, po ukończeniu nieszporów, różnego zajęcia ludzie, a w tej liczbie około 60 uczniów gimnazyum gubernialnego wileńskiego, śpiewali hymn rewolucyjny. W ich liczbie zanotowano uczniów 24, urzędników 3. Po ukończeniu tego hymnu uczniowie gimnazyum, wyszedłszy na ulicę, zatrzymali się i umyślnie oczekiwali wyjścia urzędników policyjnych, poczem obrzucili ich najobelżywszemi słowami, zapraszając ich na jutro na jakąś majówkę (kakuju to majewku); damy zaś widocznie podmawiały ich do tego i śmiejąc się szydziły". — „Dnia 7 Czerwca wieczorem, uczeń klasy V gimnazyum wileńskiego, żyd P., wysłany został przez uczniów z progimnazyum do uczniów szkoły rabinów z poleceniem oznajmienia im, że oni chcą z nimi pogodzić się, żeby hymn rewolucyjny przetłómaczyli na język żydowski i śpiewali go, oraz żeby z nimi poszli na majówkę".

Raporta te w sposób dosadny charakteryzują niedołęztwo i ciasnotę widnokręgu władz policyjnych wileńskich. Śledzą one pilnie wszystko, ale tak niezręcznie, że uczniowie obelgami obrzucają policyantów, którzy piszą idyotyczne raporta i na tem kończą swą czynność. Czyż mógłby jakikolwiek rząd na świecie stłumić ruch rewolucyjny, mając taką policyą?

było samemu się nią zająć, nie chcąc narażać się na dotkliwe i, jak tym razem, zupełnie słuszne zarzuty. Chłop nakoniec nie był spokojny; obawy rzezi w kraju nie ustawały; podżegacze tajni ciągle byli chwytani w różnych stronach Królestwa; głuche wieści, wpadając w senne, posępne wody umysłu chłopskiego, tworzyły coraz większe, coraz szersze koła, obejmowały sobą najgwałtowniejsze żądze i najfantastyczniejsze nadzieje. Z drugiej strony nie przestawały do wieśniaka dochodzić różne odezwy, które jeszcze bardziej mąciły mu w głowie, a w każdym razie przekonywały go, że w kraju się coś dzieje, coś dla niego, jak przypuszczał, niebezpiecznego. Do takich odezw całkiem niepotrzebnych należało rozporządzenie o zbiegowiskach, które z rozkazu Wielopolskiego w tym czasie wszędzie odczytywano chłopom z ambon po kościołach. Lud po większej części nie rozumiał go i nie pojmował wcale o co idzie.

W takim stanie rzeczy Wielopolski przystąpił do uregulowania sprawy chłopskiej, czyli właściwie, negując zupełnie uchwałę Towarzystwa rolniczego o uwłaszczeniu, do zamiany pańszczyzny na okup prawny z początku, a następnie oczynszowanie. Wiemy, że tego rodzaju postępowanie praktykowało się u nas w kraju oddawna, a zwłaszcza od r. 1858 przybrało nieco szersze rozmiary, jakkolwiek nie takie, jakie powinno było przyjąć, gdyby zdrowe poczucie interesu publicznego przenikało głowy i serca szlacheckie. Szlachta w ogóle niechętną była oczynszowaniu, szczególniej młodsze pokolenie, wychowane w szkole muchanowskiego zepsucia, nie umiejące nawiązać tradycyi istotnego patryotyzmu. Młodzi ci ludzie pięknie mówili na zebraniach Towarzystwa rolniczego, wygłaszali szumne frazesy liberalne, a w praktyce pragnęli pozostać jak najdłużej przy pańszczyznie i jeżeli przystępowali do oczynszowania, to działali prawie zawsze z widoczną szkodą dla włościan. Dzięki tym wszystkim przyczynom, od r. 1858 do 1861, t. j. w ciągu trzech lat ożywionego ruchu umysłów i budzącego się patryotyzmu, na ogólną cyfrę 137.250

osad włościańskich w kraju, podlegających robociznie przymusowej, oczynszowano zaledwie 1.017 [1]). Stosunek jest zanadto rażący, by nie miał świadczyć, że, pomimo wszelkich okoliczności nieprzyjaznych, szlachta niechętną była w gruncie rzeczy zmianie położenia dotychczasowego.

Wiemy już, że Wielopolski był przeciwny uwłaszczeniu, w którem widział „zmorę zaboru“, że ideałem uregulowania opłakanych stosunków wiejskich było dla niego oczynszowanie, i takowe postanowił przeprowadzić. Wychodził on z zasady, że „pańszczyzna, czyli robocizna przymusowa, nietylko jest obcą obowiązującemu u nas prawu cywilnemu, jest ona jeszcze wyraźnym jego przepisom i całemu układowi przeciwną. Wedle art. 1142 K. C. każdy obowiązek czynienia, w razie niedopełnienia go przez dłużnika, daje tylko prawo poszukiwania szkód i straconych korzyści; dalej, w prawie tem, przymus osobisty dopuszczony jest tylko w rzadkich, wyjątkowych przypadkach, jak art. 2059 i następne tegoż kodeksu przekonywują. Przez pańszczyznę, z której pieniędzmi wykupić się nie jest wolno, ludność wiejska zostaje pod rodzajem ciągłego osobistego przymusu o dopełnienie obowiązku czynienia. Egzekucya pańszczyzny na drodze administracyjnej wywoływać musi rozdrażnienie między ludnością i stawia nieraz rząd w konieczności używania środków represyi, nie dających się pogodzić z obecnym stanem towarzyskim. Te uwagi widocznie wskazują, że chociaż zasada dobrowolności umów zkądinąd zasługuje na najwyższe poszanowanie, to przecież co do przejścia z pańszczyzny do prawnego opisu umowy czynszowej ustąpić ona musi wyższym względom, które w imię porządku towarzyskiego i dobra ogółu zniesienie pańszczyznianych stosunków nakazują“.

Ukaz, znoszący pańszczyznę i ustanawiający okup prawny, pojawił się dnia 16 Maja. Mocą tego prawa nowego pańszczyzna, czyli robocizna przymusowa znosiła się

---

[1]) Z tych 1017 osad na gubernią warszawską przypadło 585, na augustowską 44, radomską 245, lubelską zaledwie 15, płocką 128.

w Królestwie od d. 1 Października 1861 r. Naznaczenie tak odległego stosunkowo terminu miało na celu, ażeby zasiewy były zebrane, i żeby przez nagły przewrót w gospodarstwie rolnem nie narazić kraju na poważne straty ekonomiczne. Co do tego punktu zresztą, w Komitecie włościańskim, ustanowionym przez Wielopolskiego przy Komisyi spraw wewnętrznych, a złożonym przeważnie z członków byłego Towarzystwa rolniczego, zdania były podzielone. Jedni chcieli, by pańszczyzna ustała dopiero z d. 1 Stycznia 1862 r., inni domagali się natychmiastowego jej zniesienia, bez względu na szkody, jakie kraj mógłby ponieść; jeszcze inni pragnęli, by ten termin nastąpił d. 1 Lipca. W ogólności najracyonalniejszym i najlepszym był termin 1 Października i ten też przez ukaz został oznaczony. Do tego zaś czasu chłopi robociznę, tabelami prestacyjnemi wykazaną, odrabiać byli powinni. W zamian za pańszczyznę nowe prawo ustanawiało okup, czyli wynagrodzenie pieniężne. W tym celu oparto się na cenach praktykowanych w kraju, oraz na przepisach Komisyi skarbu, według których ta ostatnia obliczała wartość prestand pańszczyznianych przy wydzierżawianiu dóbr rządowych. Według nich więc ustanowiono najniższą wartość za robociznę, podzieloną na dni piesze i sprzężajne, paro i cztero-bydlęce. Ponieważ jednak nie można było oznaczać jednostajnej wysokości okupu w całym kraju, jeszcze raz oparto się na sposobach praktykowanych oddawna przez Komisyą skarbu, to jest, wzięto za podstawę ceny średnie żyta, według których rzeczona Komisya z peryodu trzydziestoletniego ułożyła tabelę podziału wszystkich powiatów kraju na pewne strefy czyli klasy. Na tej podstawie ukaz podzielił kraj na cztery takie strefy, albo jak je nazywa „oddziały“, w których cena dnia pieszego od groszy 15 dosięgała do 24, sprzężajnych w jedną parę od 40 gr. do 2 złp., w dwie pary od 2 złp. do złp. 2 gr. 20 [1]).

[1]) W oddziale I, dzień pieszy kopiejek sr. 12, ciągły 2 bydlęcy kop. 30, cztero-bydlęcy kop. 45. W oddziale II, dzień pieszy kopiejek

Okup ten trwać miał dopóty, dopóki nie nastąpi umowa wieczystoczynszowa między dworem i wsią. Chłopi obowiązani są okup ten płacić kwartalnie z góry, każdego pierwszego dnia kwartału. Wolno było chłopom pozostać przy pańszczyznie do czasu zawarcia umowy wieczystoczynszowej, wszakże raz odrabiania pańszczyzny zaniechawszy, już do niej bez zgody właściciela dóbr powracać nie mogli. Dalsze artykuły ukazu zajmują się sposobem egzekucyi czynszów i oznaczeniem sądów, w jakich mają być spory, między stronami zachodzące, rozstrzygane. Na żądanie wyżej wymienionego Komitetu włościańskiego, którego członkowie w motywach do ukazu noszą nazwę „mężów zaufania“, dodano jeszcze jeden artyku (14), w którym wskazano, że włościanie, odmawiający pańszczyzny przed terminem ustanowionym, ulegać będą, niezależnie od zwykłych środków egzekucyi, obowiązkowi opłaty za nieodrobione dni zwiększonej ceny [1]).

10½, ciągły dwu bydlęcy kop. 27, cztero-bydlęcy kp. 40. W oddziale III, dzień pieszy kop. 9, ciągły dwubydlęcy kp. 23½, czterobydlęcy kp. 35. W oddziale IV, dzień pieszy kp. 7½, dwubydlęcy kp. 20, czterobydlęcy kp. 30. Do oddziału I zaś należały powiaty: włocławski, łowicki, warszawski, stanisławowski, łęczycki, rawski, koniński. Powiatów: kaliskiego, okręg kaliski; wieluńskiego, okręg częstochowski. Oddział II, powiaty: gostyński, płocki, pułtuski, lipnowski, przasnyski, ostrołęcki, piotrkowski, sieradzki, radomski, opoczyński, olkuski. Powiatów: kaliskiego, okręg wartski; wieluńskiego, okręg wieluński; opatowskiego, okr. solecki; kieleckiego, okr. kielecki. Oddział III powiaty: mławski, siedlecki, sandomierski, miechowski, lubelski, łomżyński, augustowski, sejneński, kalwaryjski, maryampolski, Pow. łukowskiego, okr. żelechowski i garwoliński; ptu. opatowskiego, okr. opatowski; ptu. kieleckiego, okr. jędrzejowski; ptu. stopnickiego, okr. szydłowski; ptu. krasnostawskiego, okr. krasnostawski; ptu. zamojskiego, okr. tarnogrodzki i kraśnicki. Oddział IV powiaty: radzyński, bialski, hrubieszowski; powiatu łukowskiego, okręg łukowski, ptu. stopnickiego, okręg stopnicki; ptu. krasnostawskiego, okręg chełmski; ptu. zamojskiego, okręg zamojski.

[1]) Cenę tę oznaczono: w oddziale I za nieodrobiony dzień pieszy kop. 18, ciągły dwubydlęcy kp. 45. W oddziale II, za nieodrobiony dzień pieszy kop. 15; ciągły dwubydlęcy kop. 40, czterobydlęcy

Takim był w głównych zarysach ukaz o okupie prawnym, stanowiącym niejako przejście od pańszczyzny do oczynszowania przymusowego. Był to więc środek tymczasowy i główną jego zaletą było to, że znosił pańszczyznę, ten trąd szkaradny na ciele polskiem. Tej zasadniczej i kardynalnej zasługi nowego prawa w kraju uznać nie chciano; nie zadowolniło ono nikogo, a wielu oburzyło. Mnóstwo interesowanych, oczywiście między szlachtą niechętnie patrzącą na zbliżającą się szybkimi krokami reformę włościańską, poczęło głośno wyrażać obawę, że w obec nowego prawa wierzyciele hipoteczni mogą być narażeni na straty. Obawa ta była płonną. „Gdziekolwiek, pisze Wielopolski w motywach do ukazu, urządzono stosunki włościańskie przez uchylenie pańszczyzny za słusznem wynagrodzeniem i ludowi swobodę pracy nadano, tam ogólny dobry byt, a z nim i wartość dóbr nieruchomych wzrastały, instytucye kredytowe zakwitły, a ztąd powiększyło się bezpieczeństwo dla kapitałów hipotecznych, oraz łatwość ich realizowania“.

Inni znowu, zapatrując się na nowe prawo ze stanowiska osobistego interesu, dla każdego inaczej się przedstawiającego, oceniali je według miary strat własnych. Mówiono więc, że dni robocze zostały za nizko oszacowane, brano bowiem za normę nie wartość istotną pańszczyzny, lecz ceny najmu, jakie odtąd nastawały. Ukaz trzymał się zasady, że gdzie ludność jest większą, tam robocizna winna być tańszą i odwrotnie. Tymczasem w rzeczywistości inaczej było. Czy w skutek pojawienia się ukazu i nadziei uregulowania ostatecznego kwestyi włościańskiej, czy z innych powodów ekonomicznej natury, których rozjaśnienie w zakres nasz nie wchodzi, dość, że w wielu okolicach o dobrej ziemi i mocno zaludnionych, jak np. w Hrubieszowskiem, Proszowskiem, na Kujawach, najem nagle i nie-

---

kop. 60. W oddziale III, za nieodrobiony dzień pieszy kop. 13½ ciągły dwubydlęcy kop. 34; czterobydlęcy kop. 52½. W oddziale IV za nieodrobiony dzień pieszy kop. 11, ciągły dwubydlęcy kop. 30, czterobydlęcy kop. 45.

proporcyonalnie podrożał tak, że oszacowanie ukazu wcale nie odpowiadało rzeczywistości. Dochód z osady chłopu wystarczał, więc najmować się nie chciał; może rad był w pierwszych chwilach okazać dworowi swą niezależność. Oczywiście wina tego stanu rzeczy nie leżała na prawodawcy, i on na to poradzić nic nie mógł; trzeba było zostawić to naturalnemu rozwojowi ekonomicznemu i czekać cierpliwie.

Jeżeli atoli obrzucali zarzutami właściciele ziemscy nowe prawo, to ogół kraju niemniej niechętnie je przyjął. Dla Czerwieńców, dla wyznawców Mierosławskiego było ono rodzajem zamachu na ich program, na ich przyszłość rewolucyjną. Udanie się bowiem powstania, według nich, zależnem było od tego, że stosunki wiejskie pozostaną takimi jak przedtem i że rewolucya, jako środek pociągnięcia chłopów do ruchu, będzie miała uwłaszczenie. Wszelka więc regulacya uprzednia stosunków włościańskich była według nich zamachem na przyszłość kraju, zbrodnią przeciw ojczyznie. Tej zasady doktrynerskiej, fałszywej i zgubnej, nie głosili oni publicznie, lękając się słusznego oburzenia opinii, ale przyłączali się ze swemi skargami na nowe prawo do tej licznej rzeszy mieszczaństwa demokratycznie usposobionego, do tych adwokatów, urzędników, literatów, kupców i t. d., którzy zbawienie kraju widzieli w uwłaszczeniu natychmiastowem. Nie przeczymy, że uwłaszczenie było środkiem najlepszym, nawet koniecznym, ale trzeba się było godzić z tem, co Wielopolski robił, boć w każdym razie było to lepszem jak pańszczyzna, a nadewszystko nie rujnowało mnóstwa drobniejszych i uboższych właścicieli. Nie uwzględniano jednak tego, szydzono z nowego prawa, nazywano je z przekąsem „rozkładem oczynszowania na raty“, cofnięciem uchwał Towarzystwa rolniczego i dalszym ciągiem zgubnej, jak mówiono, polityki rozwiązania onegoż. W Warszawie ukazał się obrazek, odbity w litografii Dzwonkowskiego, przedstawiający Faryzeusza, który pokazuje Chrystusowi monetę czynszową. Obrazek ten tani, bo tylko dwa złote kosztujący, rozku-

pywany był powszechnie, jako okaz szyderstwa z nowego prawa.

Tymczasem prawo to było zaiste wielkiem zdarzeniem historycznem, wystarczałoby samo przez się do nadania 1861 rokowi doniosłego znaczenia w dziejach naszych, gdyby w kraju umysły nie były czem innem zajęte, gdyby serc i głów polskich nie porywał ów straszny, peryodyczny wicher, który je wysusza i obezwładnia na długo. Nie chciano widzieć tego, że ostatecznie pańszczyzna, po trzechwiekowem blizko istnieniu, została zniesiona, że pękł bolący wrzód na ciele narodowem, który nadawał mu wygląd chorobliwy, który był strasznym anachronizmem, który je czynił niezdatnem ani do rozwoju normalnego, ani do wielkich wysileń narodowych. O tem wszystkiem zapomniano; pisarze i poeci, tworzący co chwila ckliwe pieśni i skargi do wszelkich możebnych świętych o niedoli ojczyzny, nie widzieli tego, że skończyła się po długim, przez trzy stulecia istniejącym czasie, największa i najcięższa jej niedola. Tak to niekiedy ludziom i narodom pada na oczy bielmo, zasłaniające przed nimi istotne dobro, a każące im ścigać fantastyczne marzenia i urojone ideały pomyślności. Szczęśliwe ludy, które prędko pozbywają się tego zaślepienia! my, niestety! takiego szczęścia nigdy nie mieliśmy, lub mieć nie chcieliśmy. Napróżno pewna część prasy warszawskiej podnosiła wysoko nowe prawo, napróżno zachęcała do korzystania z niego. „Gazeta warszawska“. lubo uchodząca za organ szlachecki, wołała jednak w dobrze zrozumianym interesie narodowym: „otwiera się więc dla obywateli wiejskich pole pracy i zasługi niemałej, jeżeli śpiesznie przemienią stosunek pańszczyzniany na czynszowy, doprowadzający włościan do własności. Teraz nadeszła pora działania szybko i stanowczo. Mamy powody spodziewać się, że włościanie chętniej dzisiaj do zawierania umów przystępować będą, a nie wątpimy, że właściciele ziemscy silnie przekonani będąc o potrzebie wykonania tego, co słuszność sama i potrzeba czasu wymagają,

mieć będą energią i wytrwałość, potrzebną do śpiesznego dopełnienia tej wielkiej i stanowczej dla kraju reformy“ [1]).

Ukaz, ostatecznie zatwierdzony przez cesarza d. 15 Maja, ogłoszony został w gazetach dopiero d. 21 t. m. Wielopolskiemu szło o jak najszybsze wprowadzenie go w wykonanie. „Wszelkimi sposobami starać się nam należy, pisał w motywach do nowego prawa, aby nowe stosunki, zwłaszcza w ich zawiązku, ile możności wolne były od zdrażnienia. Jeżeli projekt mój zatwierdzenie uzyska, pożądanem będzie jak najrychlejsze ogłoszenie postanowienia, aby wiadomość o zniesieniu pańszczyzny przez rząd, ze stolicy po kraju się szerząca, zamiast wywoływania niekorzystnych następstw, dokładną znajomością szczegółów i warunków uzupełniona, przyczyniła się do coraz głębszego uspokojenia umysłów“.

---

[1]) „Gazeta polska“, jak spodziewać się należało, bardziej radykalnie na tę kwestyą się zapatrywała. „Oczynszowanie, pisze ona w № 152, równie jak opłata za pańszczyznę, lubo czasowo zaradzają złemu, nie są ostatnim wyrazem potrzeby społecznej, są to środki *pro tempore*, przejście tylko z jednego do drugiego stanu stanowiące. Ułatwienie nabycia własności, wykup czynszów, oto cel, oto konieczność, do której zdążać jak najprędzej potrzeba. Tam, gdzie, jak widzimy, brakło dotąd nawet idei własności pojedynczej, trzeba ją zaszczepić praktycznie, aby przyszłość kraju ubezpieczyć; włościanin, stając się dopiero właścicielem, staje się czynnym członkiem społeczeństwa, wchodzi w rodzinę narodu, związuje się z nim, poczuwa jego potrzeby, pojmuje, że do ogólnej pomyślności, której część spływa nań, przyczynić się jest obowiązany. Czynsz zaspokaja chwilowo, ale nie zadowalnia, a oczynszowanie wieczne, półśrodek najszkodliwszy, zaciemnia ideę własności, o której wpojenie chodzi głównie; rozwój sił swobodny przy nim nastąpić nie może; wieczna dzierżawa nie zaspokaja tak, jak dziedzictwo, jest zawsze obwarunkowaną, nierozporządzalną, niepodzielną, jakąś dwulicową własnością“. — Trwajmy w przekonaniu, że pierwszym obowiązkiem jest załatwienie tej kwestyi po bratersku, po ludzku i na starej zasadzie, zgodnej z charakterem narodowym, z duchem ofiary. Płacimy długi za przeszłość, lecz jak dzieci uczciwe, nie stękajmy, że je nam zostawili rodzice“. Było to więc wyraźne oświadczenie się za uwłaszczeniem, oświadczenie, które należy uważać za opinią wyższego mieszczaństwa warszawskiego.

W tym celu, w celu „coraz głębszego uspokojenia umysłów“, Wielopolski postanowił rozesłać na wsie osobnych urzędników, którzyby chłopu ukaz odczytywali i wprowadzali go w wykonanie. Dla tych komisarzy już w kilka dni potem, bo d. 21 Maja, przygotował instrukcyą specyalną, która polecała, ażeby delegat, przybywszy na miejsce, udał się do kancelaryi wójta gminy i wezwał go o niezwłoczne zwołanie wszystkich sołtysów i włościan pańszczyznianych w gminie na oznaczony czas, jednocześnie z chłopami ma być wezwany właściciel dóbr, lub jego plenipotent. Jak tylko wszyscy się stawią, urzędnik delegowany, przybrany we właściwy mundur, odczytać winien wolno i głośno sam ukaz, bez żadnych ze swej strony objaśnień i komentarzy. Natychmiast po odczytaniu ukazu, urzędnik przystąpi do odczytania tak zwanej informacyi, zredagowanej przez Wielopolskiego i wyjaśniającej ukaz. W końcu tej informacyi pomieszczony był taki ustęp „najjaśniejszy pan chce, abyście, jako jemu wierni poddani, spokojnie się zachowywali i z dziedzicami waszymi w zgodzie żyli, powinności wasze czy to w robociznie, czy w gotowiznie, wedle tutaj objawionej wam woli rządu uiszczając i aby nie było powodu za nieuległość was karać“.

Instrukcya kilkakrotnie jak najkategoryczniej zabraniała wszelkich objaśnień ustnych, odpowiadania na pytania, lub przyjmowania skarg od włościan. W rzeczywistości jednak inaczej się działo. Tego rodzaju delegatów wyznaczała Komisya spraw wewnętrznych i oczywiście wyznaczała z pomiędzy urzędników niższych i młodszych, którzy od dawien dawna przesiąknięci byli duchem skrajnego rewolucyonizmu i należeli do wszelkich manifestacyi i kół spiskowych, tworzących się na bruku warszawskim. Doskonale oni pojmowali, że jest to sposobność jedyna przekonania się naocznego o usposobieniu kraju a nadewszystko chłopów i dlatego skwapliwie chwycili się tej misyi. Przeciwni ukazowi, który nie czynił zadość ich ideałom rewolucyjnym, z góry postanowili mu szkodzić, gdzie tylko

można było i wcale nie myśleli krępować się instrukcyą [1]). Między nimi znalazł się także Edward Jurgens, który rad był tej wycieczce, dającej mu możność pod pokrywką misyi urzędowej przekonać się o istotnem położeniu ludu i o jego usposobieniu. Udał on się w Lubelskie. Inni, rozjechawszy się w różne strony, wszędzie mówili, że „ukaz ten nic właściwie nie robi dla chłopa; że wszystko skończy się tylko na zwiększeniu czynszu, że chłop nigdy nie będzie wolny, że panowie do Października wszystko przerobią“ i t. p. Łatwo pojąć, jak takie słowa oddziaływać musiały na wieśniaka i jak silny niepokój budził się w jego duszy. Tak to najlepsze zamiary Wielopolskiego natrafiały wszędzie na przeszkody niezwalczone i rozbijać się musiały o złą wolę wykonawców.

Mimo to nie upadał on na duchu, znajdując orzeźwienie i źródła nadziei w olbrzymiej, gorączkowej pracy, jakiej się poświęcał, w snuciu nowych projektów i nowych reform, które sądził, że zdołają wpłynąć na uspokojenie umysłów. W połowie Maja, właśnie w tym czasie, gdy ukaz znoszący pańszczyznę miał być wkrótce ogłoszony, Wielopolski przygotował memoryał do cesarza, żądając jeszcze większego rozszerzenia praw autonomicznych Królestwa. Korzystając z tego, że cesarz osobiście był mu bardzo przychylny, że przysłał mu przez pośrednictwo namiestnika podziękowanie i uznanie jego zasług, ośmiela się zauważyć, że „instytucye, któremi najjaśniejszy pan raczył łaskawie obdarzyć Królestwo Polskie, nie wyłączając nowego ukazu o okupie pańszczyzny, szczerze wprowadzone w życie, zdaje mi się, że odpowiadają potrzebom najbardziej naglącym mej ojczyzny. Postępując drogą rozsądną reform użytecznych, rząd i kraj znajdą się powoli na szerokiej i żyznej drodze legalności. Reformy te nie przyczynią się

[1]) Do gubernii radomskiej i lubelskiej Komisya spraw wewnętrznych wysłała ogółem 18 delegatów, na których skarb Królestwa wydał rs. 2041 kop. 3. O ilości delegatów, wysłanych do innych gubernii, nie mamy danych: to tylko pewna, że oprócz nich ukaz ogłaszały także władze administracyjne i sądy pokoju.

nigdy do osłabienia władzy, tej strażnicy porządku społecznego, więcej niż kiedykolwiek u nas koniecznego w tej chwili. Jego C. Mość trzyma w swym ręku potężne środki, zdolne podnieść w oczach Jego poddanych polskich znaczenie i urok łask, jakich im udzielić raczył".

Czegóż więc żądał margrabia? Przedewszystkiem żądał, by podobnie, jak Ogólne zgromadzenie departamentów rządzącego senatu zastąpiła już Rada stanu, zastąpił IX i X departament tegoż senatu Sąd najwyższy, niegdyś objęty konstytucyą 1815 r. i Statutem organicznym, zachowując przytem pożyteczną instytucyą prokuratora naczelnego. Była to tylko zmiana formy, nie dotykająca się w niczem istoty rzeczy, ale zmiana ta przypominałaby krajowi lepsze jego dni, zbliżała go do instytucyi Królestwa kongresowego, „odpowiedziałaby, jak pisał Wielopolski, życzeniom kraju, życzeniom, podług mnie, legalnym, i byłaby rękojmią naszej autonomii administracyjnej". Następnie domagał się, żeby przywrócono w Królestwie dawny podział na ośm województw. „Podczas ostatnich zaburzeń, motywował to swoje żądanie, rząd miał sposobność przekonania się, że obecny podział administracyjny obejmuje zanadto wielkie przestrzenie, by działalność administracyjna mogła być skuteczna. Takaż niedogodność okaże się wkrótce pod względem reprezentacyi interesów w Radach gubernialnych. Reprezentacya ta stanie się skuteczniejszą i odpowie lepiej potrzebom, które się zmieniają odpowiednio do miejsca, gdyby liczba Rad była zwiększoną. Prócz tego przypuszczenie do Rady stanu znamienitości krajowych, pochodzących z wyborów, stanie się z kolei rzeczy bardziej odpowiadającem istotnym interesom kraju. Zmiany te w niczem nie rozminą się z zasadami ustanowionemi przez N. Pana, uczynią tylko zastosowanie tych zasad bardziej zupełnem".

W dalszym ciągu żądał, by język polski był przywrócony w urzędach: „Redakcya projektu do prawa o Radzie stanu, tłomaczył się, naturalnie wywiodła na stół kwestyą języka urzędowego. Prawa obecnie obowiązujące nie

nadają tego charakteru językowi rosyjskiemu i nie przepisują wyraźnie znajomości tego języka, jako warunku przypuszczenia do urzędów publicznych. Racz N. Panie w swej wspaniałomyślności i sprawiedliwości utrzymać obecne urządzenie w tej kwestyi. W tem życzeniu poddanych W. C. Mości jestem osobiście interesowany, gdyż, jeżeliby znajomość języka rosyjskiego była uznaną za konieczną dla biorących udział w Radzie administracyjnej, jako nie posiadający tego języka, musiałbym się usunąć. Chciał wreszcie, by Rada stanu miała w pieczęci herb Królestwa, jak również mundury w kolorach narodowych, takie, jakie były przepisane przed rokiem 1830, oraz żeby ta łaska rozszerzona była na Komisyą wyznań i oświecenia publicznego. „Wysoka mądrość cesarza i króla, pisał, oceni czy to jest możliwem, ażeby ta sama łaska zaraz była rozszerzoną na inne gałęzie służby cywilnej Królestwa, a mianowicie, ażeby wolno było mieszkańcom tego kraju nosić dawne mundury obywatelskie [1]). Ta wielka łaska W. C. Mości, nadając instytucyom niedawno utworzonym charakter narodowy, odpowie gorącym życzeniom kraju. Środek ten nakoniec przyczyni się do odebrania wszelkiego znaczenia wychodźtwu, osiadłemu w stolicach Europy, które uchodzi za reprezentacyą Polski. Liczni podróżnicy polscy, mogąc występować w mundurach o barwach narodowych, nie będą wstydzili się swych stosunków z misyami cesarskiemi rosyjskiemi, a zatem i ze światem urzędowym na obczyźnie, który wkrótce przekona się, po czyjej stronie stoi Polska prawdziwa i prawowita. Jeżeli cesarz i król raczy uzupełnić w ten sposób miarę swych dobrodziejstw, jego wierni poddani w Królestwie i Europa cała przyjmą z uwielbieniem ten akt monarchy wspaniałomyślnego, który przyrzekłszy wiele udziela nagle daleko więcej, niż przyrzekł. Jednocześnie w kraju coraz więcej utrwalać się będzie ufność ku rządowi J. C. Mości, a co do mnie, dumny będę, iż mogę poświęcić me życie służbie

[1]) Granatowe z amarantem.

wielkiego monarchy. Opatrzność Boska wynagrodzi J. C. Mość, że przyczynił się do rozwoju i szczęścia mej ojczyzny, udzielając mu panowanie pełne chwały".

Memoryał ten, który gdyby był wszedł w wykonanie, zwłaszcza co do barw narodowych, reformy najbardziej rzucającej się w oczy tłumów, mógł mieć nader zbawienne skutki, wręczony został ks. Gorczakowi, który nie przesłał go nawet do Petersburga, gdyż w tej dobie niczem się już nie zajmował z powodu choroby, jaka nim owładła. Później zaś, zobaczymy w miejscu właściwem, jakie wrażenie jeden tylko ustęp z tego memoryału wywarł w Petersburgu. Gdyby Gorczakow był żył, niektóre żądania Wielopolskiego możeby weszły były w wykonanie, ale na nieszczęście Polski śmierć szybkimi krokami zbliżała się do starego namiestnika.

Zostawiliśmy go wstrząśniętym do głębi przez straszne wypadki kwietniowe; po nocach przed jego rozgorączkowaną wyobraźnią snuły się mary żałobne i grobowe. Zasłabł właściwie d. 19 Kwietnia, a choć doniósł o tem cecarzowi [1]), jednak nie pokazywał tego po sobie. Mimo to, wszyscy otaczający widzieli w nim wielką zmianę; zwykle łagodny, wahający się, niezdecydowany, stał się nagle rozdrażnionym, gwałtownym. Nie ufał już teraz nikomu, podejrzywał wszystkich, tak, że nie można z nim było mówić spokojnie o najzwyczajniejszych i najobojętniejszych przedmiotach. Gniewał się o lada co; udawał, że jest zdrowy, krzepił się jak mógł i gdy mu napomykano o potrzebie spoczynku, o wycieczce do wód zagranicznych, ani chciał o tem słyszeć. Wprawdzie przez jakiś czas sam nosił się z myślą ustąpienia z namiestnictwa, mówił nawet o tem Kotzebuemu, ale nazajutrz, jak zwykle bywało, zmienił zdanie i rzekł do tegoż Kotzebuego: „rozmyślałem długo nad moją dymisyą i przyszedłem do przekonania, że nie ma nikogo w Rosyi, ktoby mię mógł zastąpić" (j'ai

[1]) Depesza z d. $^{7}/_{19}$ Kwietnia do ministra wojny: „dziś jestem niezdrów" (siewo dnia niezdorow).

beacoup médité sur ma retraite, et je suis venu à la conclusion qu'il n'y a personne en Russie, qui aurait pû me remplacer). Tymczasem w Petersburgu na seryo już myślano o tem, żeby starego, zniedołężniałego namiestnika usunąć i rozglądano się dokoła, kogoby wybrać należało na to stanowisko niezmiernie teraz trudne, śliskie i pełne odpowiedzialności.

Do tego usposobienia nad Newą, a zapewne i do rozdrażnienia, jakie owładnęło teraz Gorczakowem, przyczynił się bardzo wiele stary intrygant, zły i zgryźliwy Niemiec, wspomniany Paweł Kotzebue. Jakkolwiek był on w stosunkach zażyłych z namiestnikiem, jakkolwiek był to może jeden jedyny z plebejuszów, którego arystokratyczny kniaź przypuścił do swej poufałości i nic bez niego nie robił, przecież Kotzebue nie czuł się w niczem obowiązany Gorczakowowi i ciągle obok niego, przy nim i za jego plecami intrygował. Widząc, że namiestnik co chwila staje się słabszym, postanowił pod pozorem dobra państwowego donieść o wszystkiem do Petersburga, napisać do ministra wojny, że „wszystko tu w Warszawie stare i zmurszałe i ludzie i system rządzenia; wszystko potrzebuje odmiany: wypadki płyną jak chmury i grożą katastrofą"; domagał się, żeby minister raczył o tem zawiadomić cesarza, iż należy nowego namiestnika przysłać do Warszawy, młodszego, energiczniejszego, gdyż książę Gorczakow jest chory moralnie i fizycznie, że nawet w ostatnich czasach miał kilka ataków nerwowych. Do tego pisma zdradzieckiego dołączone było świadectwo lekarskie, potwierdzające fakt choroby namiestnika.

Bojąc się jednak, żeby to nie wyglądało na denuncyacyą, przez szczególny sposób pojmowania rzeczy i wypadków, Kotzebue postanowił list ten swój pokazać Gorczakowowi. Być może (jeżeli wolno odgadywać historykowi skryte myśli ludzkie i pobudki czynów), iż Kotzebuemu szło o to, by obezwładnić Gorczakowa, który nie wiedząc o piśmie traktowałby je wprost jako denuncyacyą, wiedząc zaś nie mógł oczywiście przeciw niemu wystąpić. Samo

zaś pismo spełniłoby swoje; podkopałoby stanowisko starego wodza, stanowisko, którego, jak wieść powszechna niesie, Kotzebue gorąco pragnął dla siebie i czuł się zupełnie odpowiednim do jego zajęcia.

Tym razem jednak niegodna ta intryga się nie udała. Gorczakow, mając sobie przedstawione przez samego autora pismo rzeczone, ze zwykłym brakiem decyzyi w stanowczych momentach życia, przeczytał je z pozornym spokojem, poprawił nawet jeden błąd pod względem języka (list był skreślony po rosyjsku) i rzekł: „poślij pan, ja nic nie mam przeciw temu“. W gruncie jednak rzeczy, oburzył się mocno. Jak wszystkie charaktery słabe, a co zatem idzie i skryte, przez tego samego kuryera wysłał kże swój list do ministra wojny Suchozaneta, za którego pośrednictwem miało się dostać do cesarza pismo Kotzebuego i w liście tym między innemi było takie zdanie: „widzisz pan wśród jakich intryg zmuszony jestem działać!“ Rezultat tej intrygi wypadł jak najgorzej dla Kotzebuego. Przysłano mu urlop roczny (właściwie na jedenaście miesięcy) do Rosyi i zagranicę, co oczywiście równało się uwolnieniu ze służby; jakoż wyjechał on zaraz do Paryża. Co zaś do Gorczakowa, to utwierdzono się w stolicy caratu jeszcze mocniej w przekonaniu, że jest on wprost niemożliwy, jako namiestnik Królestwa. Radzono mu w sposób naglący, by postarał się o poprawę swego zdrowia, obiecywano mu urlop trzechmiesięczny, tak, że namiestnik wybierać się począł do wód w Ems i mówił, że „jedzie tylko na miesiąc, a za miesiąc wróci i zarządzi wybory do rad powiatowych i miejskich“.

Jak na teraz atoli ofiarą instrygi padł dotychczasowy jenerał-gubernator warszawski Paniutyn, którego niedołęztwo w jaskrawych kolorach przedstawił w swem piśmie Kotzebue. Paniutyna postanowiono w Petersburgu usunąć, gdyż nie miano powodu oszczędzać go tak, jak oszczędzano Gorczakowa, starego wodza sewastopolskiego, zasłużonego jenerała i kniazia. Już w końcu Kwietnia decyzya ta zapadła, oczywiście za uprzedniem porozumieniem się

z namiestnikiem i zamierzono powołać na to stanowisko jenerała Lamberta, pochodzącego z rodziny francuzkiej, bawiącego w tej chwili zagranicą, a który z czasem bardzo wielką i bardzo tragiczną rolę miał odegrać w wypadkach polskich. Wysłano do niego zapytanie, czy gotów jest przyjąć jenerał-gubernatorstwo w Warszawie i oczekiwano właśnie na jego odpowiedź. Paniutyn o tem wszystkiem nic nie wiedział, tak, że Gorczakow w d. 29 Kwietnia pytał się telegramem cesarza, czy może uwiadomić już Paniutyna o jego dymisyi, oraz czy do czasu, nim Lambert da odpowiedź, może zastępczo powierzyć jenerał-gubernatorstwo Merchelewiczowi? Cesarz zgodził się na to, Paniutyn został uwolniony i d. 19 Maja nazawsze opuścił Warszawę, udając się do Petersburga, zostawiwszy po sobie pamięć w mieście człowieka dobrego, jakkolwiek intryganta. Tym to intrygom zawdzięczał on swój upadek. Usunięto także od prezydencyi w komisyi śledczej w cytadeli osławionego jenerała Jermołowa, a na to miejsce powołano pułkownika von-Tschudi.

Gdy się to wszystko działo w sferach rządowych, gdy namiestnik, przeniósłszy się na mieszkanie do Belwederu, z każdą chwilą nieomal tracił siły, choć udawał zdrowego, w mieście było pozornie dość cicho i spokojnie, tak, że oberpolicmajster Rozwadowski z wyraźnego rozkazu Gorczakowa uznał za stosowne porobić pewne ulgi mieszkańcom. Przez rozporządzenie z d. 13 Maja, dozwolono więc „z uwagi, że porządek w mieście w niczem nie został naruszony“, chodzić po godz. 10 wieczorem bez latarek. Świadczyło to, o tyle o ile, o dobrych chęciach konającego wielkorządcy Polski, ale nie o jego przenikliwości. Pod spokojem bowiem pozornym wulkan wrzał i kipiał, dając znać o sobie od czasu do czasu przez wybuchy złowróżbnego dymu. W ogrodzie Saskim chłopcy z niższych klas szkolnych zbierali się tłumnie prawie codzień i podzieliwszy się na dwie partye: Polaków i Moskali, staczali ze sobą walki, w których oczywiście ci ostatni zawsze bywali pobici, przy oklaskach i oznakach uznania ze strony

publiczności, zawsze przypatrującej się gromadnie temu widowisku i zachęcającej dzieciuchów do niego. Zdarzało się, że niekiedy policya mięszała się w te zabawy, wzywała chłopców do rozejścia się, pobitego mocno wodza „Moskali“ osłaniała, ale zwykle sama musiała ze wstydem rejterować w obec oburzenia publicznego, obelg, świstań i krzyków. Za przykładem Włochów, nie chcących nosić przed kilku laty kapeluszy cylindrowych, poczęto je zrzucać, a stroić się natomiast w czapki, kapelusze węgierskie, lub t. z. neapolitańskie z wielkiemi, bandyckiemi skrzydłami. Ale i temu śmiesznemu objawowi pseudo-patryotyzmu, Bóg wie z czyjej inicyatywy, postanowiono nadać charakter głośnej, publicznej manifestacyi. Pewnego dnia, wśród śmiechów, krzyków, oklasków, mężczyzni zrzucali w ogrodzie Saskim „cylindry“, tak, że aleje literalnie były niemi zasypane.

Tymczasem z Gorczakowem było coraz gorzej. Choroba widocznie się wzmagała, tak, że wezwano z zagranicy jego żonę i obie córki (Zofię i Barbarę, z męża Pankratiew), które przybyły do Warszawy d. 24 Maja. Nazajutrz, koło południa, nastąpiło gwałtowne pogorszenie, jakkolwiek lekarze wojskowi utrzymywali, że niebezpieczeństwa jeszcze nie ma. Ale gdy na drugi dzień się nie polepszyło, gdy lekarstwa przestały działać, gdy chory upadł nadzwyczajnie na duchu i ciągle o śmierci mówił, zaproszono do rady polskie znakomitości lekarskie, między nimi Chałubińskiego, ale ratunek był już prawie niemożliwy. Paraliż płuc powolny, ale ciągły, zapowiadał śmierć rychłą i męczącą. Chory ciężko cierpiał, dusił się i niczem już stanowczo zajmować się nie mógł, a noce przepędzał niespokojnie wśród wizyi i dręczącej jakiejś trwogi. To też przedewszystkiem, d. 26 Maja, zdał dowództwo nad armią jenerałowi Kryżanowskiemu. W Petersburgu dowiedziano się o niebezpiecznym stanie Gorczakowa d. 25 Maja, z telegramu Kryżanowskiego i postanowiono natychmiast wysłać na zastępcę namiestnika, jenerała Suchozaneta, ministra wojny, a tymczasem cesarz przez depeszę z d. 26 Maja nakazał

jenerał-gubernatorowi Merchelewiczowi, jako najstarszemu po Gorczakowie pod względem rangi jenerałowi, pełnienie obowiązków „zarządzającego służbą cywilną“ w Królestwie i prezydowanie w Radzie administracyjnej, dopóki nie przybędzie Suchozanet, który miał wyruszyć do stolicy polskiej d. 28 Maja.

W tymże samym dniu, w którym Merchelewicz otrzymał rozkaz zarządzania Królestwem, zdarzył się na Lesznie wypadek opłakany, świadczący, jak dalece umysły były wzburzone. Była to niedziela i kościółek karmelicki, który niedawno tak ważną rolę odegrał w ruchu rewolucyjnym, był przepełniony modlącymi się. Ktoś miał zauważyć, że jakiś człowiek kręci się ciągle po kościele i w czasie śpiewu „Boże, coś Polskę“ robi znaki kredą na plecach śpiewających. Czy w istocie tak było, trudno dziś dociec, dość, że puszczono pogłoskę, że to szpieg i może najniewinniejszego biedaka miano odtąd na oku. Gdy nakoniec wyszedł z kościoła otoczono go i zbito niemiłosiernie, tak, że cały pokrwawiony ledwie zdołał wymknąć się i uratować od śmierci niechybnej i strasznej. Nadbiegła policya i żandarmi, ale rozdrażniony tłum schronił się na chodniki, które na Lesznie oddzielone są od ulicy bardzo szerokimi rynsztokami, tak, że wszelkie usiłowania żandarmów rozpędzenia zbiegowiska były bezowocne.

Podobnaż scena powtórzyła się nazajutrz w Czerniakowie z innym człowiekiem, podejrzanym także o szpiegostwo, którego ledwie ocaliła policya i żandarmi. Bicie szpiegów nazywano odtąd w Warszawie „wysmaleniem skóry!“ Gdy się rozległ ten okrzyk, biada było nieszczęśliwemu, na którego się rzucono. Jeżeli nie życiem, to zdrowiem przypłacał straszny akt „sprawiedliwości ludowej“.

To „smalenie skóry“, te krwawe awantury uliczne świadczyły o wzrastających znowu falach wzburzenia, ucichłego nieco na chwilę po okropnych dniach kwietniowych. Do policyi dochodziły głuche wieści o przygotowującej się jakoby w uroczystość Bożego Ciała, przypadającą we Czwartek d. 30 Maja, wielkiej manifestacyi. Kryżanowski,

jako naczelnie dowodzący armią, chciał przy odgłosie bębnów obwieścić miastu, że pierwszy wystrzał z cytadeli na alarm, będzie zarazem znakiem, że Warszawa znajduje się w stanie oblężenia. Telegrafował d. 27 Maja do Petersburga i domagał się usilnie, by odpowiedni rozkaz wydano Merchelewiczowi. Jakoż tego jeszcze dnia wieczorem, o godz. $11^1/_2$, minister wojny, a zarazem zastępca namiestnika, Suchozanet, polecił Merchelewiczowi, ażeby taką odezwę, jakiej domagał się Kryżanowski, opublikował. Odezwę tę więc poczęto redagować, gdyż co chwila przychodziły nowe wieści o przygotowujących się jakoby bardzo ważnych wypadkach i Kryżanowski chciał, by koniecznie ogłoszono stan wojenny. Na szczęście oparł się temu stanowczo Wielopolski; mówił, że niema żadnego powodu do używania tego surowego środka, że lepiej go zachować na chwilę istotnego niebezpieczeństwa, że wieści o gotującej się jakoby manifestacyi, jeżeli nie są zupełnie fałszywe, to w każdym razie mocno przesadzone. Merchelewicz, człowiek dobry i łagodny, dał się przekonać i d. 28 Maja na rogach ulic miasta ukazała się odezwa następująca:

„Mieszkańcy Warszawy! Wolą monarszą powołany zostałem do objęcia zarządu częścią cywilną w Królestwie Polskiem, na czas choroby J. O. księcia namiestnika. Oznajmiając o tem mieszkańcom miasta Warszawy, mam nadzieję, że spokojne zachowanie się wasze i uległość władzom, dozwoli mi spełnić powołanie moje pieczą tylko nad dobrem waszem. W razie ponowienia zaburzeń i zbiegowisk, postanowienie Rady administracyjnej Królestwa z d. 27 Marca (8 Kwietnia) r. b. z żołnierską sumiennością wykonam. Postanowienie rzeczone ogłaszam wam na nowo. W Warszawie d. $^{16}/_{28}$ Maja 1861 r. Jenerał-adjutant, Merchelewicz“.

Groźba zawarta w tej odezwie, groźba, której się nikt nie lękał, ani też zapowiedź „żołnierskiej sumienności“, nie mogły powstrzymać rozszalałej młodzieży i agitatorów ulicznych. Z odezwy szydzono, w wielu miejscach zbryzgano ją błotem i kałem, w innych pozdzierano, tak, że

musiano przylepiać nowe egzemplarze, a gdy te taki sam los spotkał, przystawić na rogach ulic żandarmów z poleceniem czuwania nad całością proklamacyi namiestnikowskiej. Oberpolicmajster zaś warszawski, pułkownik Rozwadowski, musiał w parę dni potem przez publiczne ogłoszenia przypominać agitatorom, że w kodeksie kar głównych i poprawczych istnieje paragraf, zabraniający oddzierania lub niszczenia obwieszczeń, publicznie przez zwierzchność wystawionych, pod karą aresztu od dni trzech do tyluż tygodni, lub opłaty pieniężnej od jednego do dziesięciu rubli. „Ponieważ, pisze w końcu Rozwadowski, podobne przekroczenia w obecnym czasie miały miejsce, przeto ober-policmajster z rozkazu J. W. jenerał-adjutanta Merchelewicza, zarządzającego częścią cywilną w Królestwie, podając do powszechnej wiadomości powyżej cytowany artykuł prawa, uprzedza zarazem, że winni w tym wypadku, wedle brzmienia powołanego prawa do odpowiedzialności pociągnięci będą.“

Wszystko to oczywiście skutku mieć nie miało i władza, zwłaszcza Kryżanowskij drżał z obawy przed zbliżającą się uroczystością Bożego Ciała, a z nią, zapowiedzianą przez policyą, wielką jakoby manifestacyą. W strachu przed nią robiono próby u arcybiskupa Fijałkowskiego, czyby nie uznał za stosowne nie odprawiać procesyi publicznych, ale propozycyą tę arcybiskup odrzucił i słusznie, gdyż byłoby to lekarstwo gorsze od choroby samej, a nadewszystko dałoby nowy powód do tysiąca skarg na ucisk, jakiego się niby rząd dopuszcza względem kościoła katolickiego. Kryżanowskij przedsięwziął tylko pewne ostrożności, o których głuche i przesadzone wieści, przedostając się do publiczności, wywołały obawę i ten rodzaj nerwowego naprężenia, które przy pierwszej lepszej sposobności, przy najmniejszym wypadku, mogło było wywołać panikę i zamięszanie powszechne. Obiegały po mieście pogłoski, że Moskale skorzystają ze znacznego nagromadzenia się ludności, by rzeź między nią sprawić. Pogłoski te stały się tem prawdopodobniejsze w oczach strwo-

żonej Warszawy, że rano w dzień Bożego Ciała na placu Zamkowym ukazało się kilka dział, wylotami skierowanych w zbiegające się tu ulice. Jednem słowem obie strony przejęte były obawą urojoną i niczem nie uzasadnioną.

W procesyi sam arcybiskup wziął udział. Jest starym zwyczajem warszawskim, że procesya taka postępuje z katedry przez plac Zamkowy na Krakowskie Przedmieście, na którem wzniesionych jest kilka ołtarzy. Tym razem jednak, z powodu, że na placu rzeczonym od wypadków kwietniowych obozowało wojsko i porozbijane były przezeń namioty, zmieniono więc kierunek procesyi, która, wyruszając z katedry, miała iść na rynek Starego Miasta. Napływ ludności przez nabożeństwo, przez ciekawość, przez chęć wreszcie wzięcia udziału w manifestacyi, jeżeli ona istotnie przyjdzie do skutku, był ogromny. Cała ulica Sto-Jańska, Zapiecek, Piwna, Podwale, Stare-Miasto, Gołębia i t. d. zapełnione były tłumami, nieco niespokojnymi, nadsłuchującymi pilnie, czy nad głowami ich nie zerwie się jaka straszna, pełna krwi i trupów burza. W katedrze na nabożeństwie odśpiewano nowo utworzony hymn na Boże Ciało, w którym była mowa, że Polacy gotowi iść na działa i bagnety, byle ojczyznę z niewoli wydobyć, w którym nieznany autor dziwi się, że Pan Bóg pozwala jeszcze dotąd Moskalom gnębić Polaków, tym Moskalom, którzy niedawno po dwakroć krzyż Boży biczowali. Takie to pieśni uchodziły za nabożne i prawowierne i śpiewano je po kościołach z gorącą wiarą w ich skuteczność i ortodoksyjność.

Obok występującego z katedry z monstrancyą arcybiskupa, ubranego we wszystkie insygnia swego dostojeństwa, starca siwowłosego, zgarbionego, posuwali się gubernator Łaszczyński i oberpolicmajster Rozwadowski w błyszczących mundurach. W chwili gdy wyruszano z katedry zagrzmiało potężne „Boże, coś Polskę“, które, podawane przez usta ustom, brzmieć poczęło na wszystkich ulicach, szumiało, jak wody szerokie wszędzie dokoła. Orszak, wśród tej zawsze wspaniałej i zawsze wstrząsającej serce polskie

pieśni, powoli posuwał się ku Staremu Miastu, a głos tysiąców ludu, wydobywając się z ciasnych zaułków staromiejskich, z pod dawnych, średniowiecznych murów, które widziały tyle dni chwały i tyle dni niedoli polskiej, płynął falą olbrzymią pod jasne, błękitne niebo majowe, gdzie niestety! dawno już nikogo nie było, coby chciał słuchać skarg polskich.... Wrażenie tego potężnego, imponującego śpiewu było ogromne. Kobiety głośno szlochały, serca z bólu pękały za tą ojczyzną tak nędznie, tak marnie zatraconą....

Wśród tego wszystkiego orszak dociągnął do rynku Starego Miasta, a arcybiskup zatrzymał się na rogu, przed ołtarzem tam urządzonym. Wtem, przy wylocie ulicy Piekarskiej, zdarzyło się, że żandarm konny, których poustawiano na wszystkich rogach, wypadkiem popchnął koniem chłopca, który z krzykiem upadł. Robi się oczywiście w tak zbitych masach, przejętych trwogą przed grożącą im jakoby rzezią, zamięszanie; lud faluje jak wody, gdy odparte zostaną od brzegu. Wtem na ulicy Śto-Jańskiej rozlegają się donośne głosy: „uciekajcie, Moskale idą zabijać! Moskale strzelają!“ a nawet zagrzmiał okrzyk: „hura!“ jaki wydaje wojsko moskiewskie, idąc do ataku. Okrzyk ten i wyrazy: „Moskale strzelają“ przebiega z ust do ust w najdalsze kąty, powstaje straszna, trudna do opisania panika. Słychać płacz kobiet, krzyk dzieci, wszystko co żyje ciśnie się z powrotem do kościoła, popychają się, depczą, gubią parasole, czapki, kije; wielu pokaleczono, połamano ręce, nogi. Nacisk był tak wielki, tak gwałtowny i tak bezmyślny, że arcybiskup popychany i potrącany, omdlał ze strachu. Podnoszą go, a Rozwadowski, nie tracąc przytomności, radzi drżącemu i zmięszanemu mocno Fijałkowskiemu, ażeby wzniósł w górę monstrancyą, sam zaś powiewa chustką i skłania osoby otaczające, żeby to samo czyniły. Widok monstrancyi, w której promieniach złocistych słońce zapaliło oślepiające blaski, podziałał uspokajająco; najbliżsi padli na kolana, za nimi inni i powoli zapanowała w tłumie cisza.... Procesya odbyła się dalej, po tem krótkiem

zamięszaniu w porządku. Jeszcze raz wprawdzie usiłowano wzbudzić popłoch w chwili wejścia orszaku do kościoła, ale lud już temu nie uwierzył i zachował się spokojnie. Na bocznych tylko ulicach schwytano znowu kilku mniemanych szpiegów, „wysmalono im skórę“ i ofiary rozdrażnionej ludności odprowadzono do cyrkułu policyjnego. Tak się skończyły wypadki tego dnia, którego się tyle obawiał Kryżanowski. Manifestacyi żadnej nie było, a o powodach zamięszania podczas procesyi różne historye sobie opowiadano. Mówiono między innemi, że przyczyną przerażenia powszechnego, była rakieta, która nagle ukazała się na czystem tle nieba, wypuszczona z Belwederu dla zawiadomienia Zamku i cytadeli, że książę Gorczakow, namiestnik Królestwa, w tej chwili właśnie skonał.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Choroba wlokła się przez cały tydzień blizko i chociaż, jak wiemy, z początku nie wydawała się niebezpieczną, tak, że doktorzy twierdzili, że po trzech, czterech tygodniach namiestnik będzie zdrów, z każdym dniem jednak stawała się groźniejszą. Z początku Gorczakow, nosząc się z zamiarem wyjazdu zagranicę, sam się domagał od cesarza, by przysłał Suchozaneta do Warszawy na zastępstwo i cesarz pisał mu d. 27 Maja, że „w skutek żądania pańskiego, posyłam ministra wojny dla czasowego zastępstwa. Modlę się do Boga o prędkie wasze wyzdrowienie“. Widocznie więc Gorczakow był przekonany, że po chwilowej nieobecności wróci na Zamek warszawski, nie wiedząc o tem, że dymisya jego była prawie postanowiona i że w Petersburgu oglądano się pilnie dokoła, komu powierzyć niezmiernie teraz ważne stanowisko wielkorządcy polskiego. Tymczasem choroba namiestnika wzmagała się; bywały godziny, że wstawał, spoczywał w fotelu, ale upadek sił był nadzwyczajny, duszność nieustanna, a w końcu przyłączyła się do tego bezsenność. Wreszcie d. 30 Maja, w samo południe, gdy na Starem Mieście, w czasie procesyi, rozgrywały się wyżej opisane sceny, stary kniaź moskiewski skonał w cichym, wiosenną zielenią teraz otoczonym Belwederze.

Taki był koniec człowieka, który przez sześć lat przeszło rządził Polską, na którego dolę przypadły początki najstraszliwszej burzy, jaka kiedykolwiek nieszczęsny ten kraj dotknęła. Pogrzeb jego odbył się w dziesięć dni dopiero potem, d. 8 Czerwca, przy zwykłej pompie i blasku. Ciało stało przez ten czas w cerkwi pałacowej w Łazienkach, gdzie je mogli odwiedzać wszyscy. Odwiedził je także przejeżdżający do Moskwy, jenerał Lambert. Ponieważ zmarły, w poetycznem wspomnieniu krwawych dni sewastopolskich, pragnął być pochowanym w stronie północnej tej twierdzy i cesarz się na to zgodził, więc ciało musiało być przewiezione na Wiedeń, Galacz do ujścia Dunaju, a ztąd morzem do Krymu. Nakazano wojskom, konsystującym w Królestwie, włożyć żałobę na trzy dni, a pułkowi Bryańskiemu piechoty, którego szefem był Gorczakow, na dziewięć dni.

Dnia 8 Czerwca, o godz. 11-ej rano, ciało umieszczone na karawanie, w sześć koni zaprzężonym, ozdobionym herbami wszystkich gubernii Królestwa, powieziono na dworzec drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Przed karawanem szła setnia kozaków i szwadron żandarmeryi. Orszak postępował przez park łazienkowski, Aleję Ujazdowską, Nowy świat i Aleję Jerozolimską. Na wszystkich tych ulicach rozstawione były wojska. Znaki i ordery niesiono na dziewięciu poduszkach przez siedmiu sztabowych i dziesięciu wyższych oficerów. Potem szli śpiewacy cerkiewni i popy w swych kołpakach na głowie i ryzach żałobnych, a po nich dopiero karawan, prowadzony przez sześciu masztalerzy. Za rodziną, postępującą tuż za zwłokami męża i ojca, prowadzono konia okrytego kirem. Za tym koniem ukazała się chuda, szczupła, niepoczesna figura ministra wojny Suchozaneta, pełniącego obowiązki namiestnika w Królestwie, a za nim Rada administracyjna, senat, jenerałowie, konsulowie zagraniczni, oficerowie sztabu, urzędnicy, wszyscy w mundurach paradnych, błyszczący złotem i orderami. Orszak kończył pułk piechoty, pułk ułanów i baterya artyleryi konnej. Gdy pociąg kolei z trumną ru-

szył, artylerya i piechota dała po trzy salwy, a huk ten był ostatniem pożegnaniem człowieka, który bardzo ważną i bardzo zgubną niestety! rolę odegrał w naszych dziejach.

Publiczność, oprócz motłochu i żydów [1]), bardzo mały wzięła udział w pogrzebie. Od rana po ulicach snuła się młodzież szkolna i zwracała idących ku Łazienkom w stronę przeciwną. W domach, około których orszak przechodził, pozapuszczano w oknach firanki i zasłony. Urzędnicy polscy szli za trumną tylko do Nowego Światu, a potem poczęli wymykać się po jednemu, po dwóch i skręcać w ulice boczne. Wielu zachowywało się tak nieprzyzwoicie, że idąc za pogrzebem palili cygara. Ci, którzy wytrwali do końca, gdy potem wracali do domów, zostali przez uliczników powitani gwizdaniem i krzykami, rodzajem małej kociej muzyki. Ciało do granicy odprowadziło czterdziestu szeregowców z osławionego pułku Kostromskiego i sześciu kozaków kubańskich, zagranicą zaś do samego Sewastopola, jechali ze zwłokami adjutanci zmarłego: Mezencow, Meyendorf, Golicyn, Ładomirski i Urusow. Na stacyach kolei występowały wszędzie wojska i gromadki publiczności, zachowując się spokojnie, ale chłodno. Na granicy ciało odebrała straż austryacka, a w Wiedniu sam cesarz Franciszek Józef przeprowadził zwłoki namiestnika. W Sewastopolu pochowano go ostatecznie d. 19 Czerwca.

Tak więc nie stało człowieka, który przez swój brak charakteru i stanowczości, przyczynił się bardzo wiele do nieszczęść, jakie potem spadły na Polskę. Pomimo strasznych scen kwietniowych, pomimo chwilowych rządów gwałtu i represyi militarnej, zostawił on dobre w kraju wspomnienie, dzięki swej prawości, uczciwości, tak rzadkiej w satrapach moskiewskich, rządzących Polską, dzięki sercu, które bolało nad tem, co się dzieje, które życzyło Polsce jak najlepiej, które nakoniec w marzeniach swoich śniło

[1]) Pojawienie się żydów na pogrzebie, jak zapewnia Chrulew w swych pamiętnikach (Czasopismo „Kołosia“ z r. 1884, 90—118) naruszyło harmonią między Polakami i żydami, a niektórych wracających z pogrzebu nawet pobito w ogrodzie Saskim.

może o zgodzie wiekuistej dwóch narodów, przez los połączonych ze sobą. Był to człowiek bądź co bądź z szerszym poglądem na rzeczy; nie był zwyczajnym jenerałem „stupajką“. Nie ulega wątpliwości, że reformy marcowe jemu prawie wyłącznie zawdzięczały swe istnienie, że on je zainicyował i popierał u cesarza tak gorąco, że aż blizki kuzyn posądzał go o „utratę głowy“. Łudził się, że reformami zażegna burzę, zbierającą się nad krajem, ale czyż on jeden się łudził? Wszak i Wielopolski, człowiek nieporównanie wyższy od Gorczakowa i znający kraj lepiej, miał takie same złudzenia, co jemu można za grzech poczytać, ale nigdy staremu namiestnikowi, który w najszczerszej chęci starał się o reformy i o ich możliwie szybkie wprowadzenie. Reformy udzielone zostały, ale wpływu czarodziejskiego, jakiego po nich oczekiwano, nie wywarły. Kraj podawnemu wrzał, modlił się, śpiewał hymny zakazane, które wszystkich jenerałów i samego namiestnika w sposób osobliwszy drażniły. Wówczas to, za radą kamaryli wojskowej, za zgodą może i samego Wielopolskiego, zrobił ze wstrętem i odrazą krok stanowczy; zezwolił na prowokacyą ludu, by mu dać w d. 8 Kwietnia naukę krwawą i straszną.

Niestety! i tym razem się łudzono. Rzeź kwietniowa, owe margrabskie „krwawe starcie“, kraju nie uspokoiła, a na starego namiestnika silny i nadzwyczaj zgubny wpływ wywarła [1]). Schodził teraz ze sceny dziejowej nieżałowany przez nikogo, nikomu już niepotrzebny, przez lud warszawski przeklinany za krew, którą z niego wytoczył [2]). Jeżeli

[1]) Zagranicą powszechna, w najpoważniejszych nawet dziennikach ukazująca się wieść, że Gorczakow pod grozą tych wypadków dostał pomięszania zmysłów, jakkolwiek jest kłamliwą, ma jednak źródło prawdziwe. Rzeź kwietniowa wstrząsnęła do głębi schorowanym starcem i powaliła go na łoże, z którego już wstać nie miał.

[2]) Wkrótce po rzezi kwietniowej obiegał po Warszawie w licznych odpisach wiersz, zatytułowany: „Klątwa na Gorczakowa“, skreślony przez autora nieznanego, tej treści:

śmierć jego mogła być korzystną dla kraju, gdyby następca był człowiekiem dobrej wiary, dobrej głowy i energii, to z drugiej strony, w razie przeciwnym była ciężką klęską. Przysłowiowe szczęście polskie nie dało nam za wielkorządcę takiego dobrej wiary i dobrej głowy człowieka. To też z tego punktu widzenia śmierć starego kniazia była nieszczęściem dla Polski. Zmarły gorąco się zajmował reformami, dla margrabiego żywił szczerą przyjaźń i przekonanie, że popierać go należy wszelkiemi siłami i pragnął, by kraj na drodze autonomicznej coraz bardziej się rozwijał.

Teraz, z jego śmiercią, inaczej dziać się miało i Wielopolski musiał walczyć i szamotać się nietylko z burzą, szalejącą dokoła niego, nietylko z ziemią, drżącą mu pod nogami, ale i ze złą wolą, z ciasnotą pojęć, z nawyknieniami samowoli moskiewsko-żołnierskiej przyszłych następców berła namiestnikowskiego. Akcya więc staje się bardzo zawiłą, powieść coraz więcej skomplikowaną, horyzont

„I ty, co cię naród swym obrońcą mienił,
Ty, coś swe piękne imię na zbójcę zamienił,
Nie pomnąc jak od wszystkich byłeś szanowany,
Morderco! zbrodniarzu, polską krwią zbryzgany!
Próżno się na nas miota twa nienawiść wściekła,
Próżno wzywasz twe siostry, krwawe jędze piekła,
Próżno zarażasz ziemię swym wszetecznym rodem,
Próżno się uniewinniasz przed biednym narodem,
Już cię wiecznej niesławy objęła pomroka.
Wrótce może rozpryśnie twa brzydka posoka (sic)
Tam gdzie nie ma ludzi, gdzie gad tylko chodzi,
Bo ropa twoja same potwory wyrodzi.
Nie ma dziś w świecie równego tobie szermierza,
Coby, jak ty, był godzien stryczka i pręgierza.
Powiedz, czy w twoich piersiach serce wtedy biło,
Czy słońce twym złowieszczym oczom nie świeciło,
Gdyś na lud się modlący wydał wyrok śmierci?
Gdy czerkies niemowlęta rozdzierał na ćwierci,
Gdy ciała męczenników o kamień rozprysły,
A wleczone na stryczkach wrzucano do Wisły?
Jeszcze drgały oczy pomroką zaćmione,
Raz jeszcze na rodzinną obracały stronę.

nad Polską coraz chmurniejszy, burza coraz bliższą. Zobaczymy teraz, jak po skończonym pierwszym akcie ponurego dramatu polskiego, akcie, płynącym w nieskończoność dziejową z hukiem i dymem salw wojskowych, żegnających zwłoki Gorczakowa na dworcu kolei, rozpocznie się scena nowa, stokroć posępniejsza, stokroć groźniejsza, mająca zakończyć się katastrofą tak olbrzymią i tak straszną, jakich dzieje nie wiele przykładów dają.

Nie chciałeś, by ich ziemia ojczysta pokryła,
By ich mogiły wolna trawa zieleniła,
Wypiastowana braćmi jednej matki synów,
Bo niechciałeś mieć świadków swoich niecnych czynów.
Niechaj ci we dnie i w nocy jęk zabitych dzwoni,
Niech Bóg zemsty znak hańby wyciśnie na skroni,
Niechaj każdy twój pokarm ich krwią będzie zlany,
Każdy napój ze łzami ich matek zmięszany.
Bodajbyś wiecznie konał w okropnej katuszy,
A wiecznie nie mógł oddać potępionej duszy.
Bodajby sęp żarłoczny szarpał twe wnętrzności,
Bodajby ogień piekła trawił twoje kości,
Bodajby ziemia przyjąć twoich zwłok nie chciała,
Lecz gromada psów wściekłych one poszarpała.
Bodajby twoje plemię z szatana poczęte,
Miało piętno na czole twą krwią wyciśnięte.
Bodajby... lecz słów braknie w przekleństwach dla ciebie,
Zbrodniarzu! pomnij na to, że jest Pan Bóg w niebie,
On słyszy jęki sierót i ludu wołanie,
A ciebie wraz z twym carem na ziemi nie stanie!“

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DOKUMENTA.

№ I (do str. 122).

W sprawie memoryału Enocha.

Podania dotychczasowe zawierają pod względem faktycznym jeden błąd kardynalny, a mianowicie co do daty napisania i podania księciu Gorczakowowi memoryału Enocha. Karnicki w swojem *Suum cuique*, może w chęci wywyższenia siebie i podniesienia odegranej przez niego roli, utrzymuje, że będący w mowie memoryał był napisany *post factum*, czyli po uzyskaniu monarszej sankcyi dla reform, Królestwu Polskiemu nadanych, chcąc tem dowieść, że takowy nie miał i mieć nie mógł żadnego wpływu na nie, i że cała zasługa w ich uzyskaniu jemu jednemu przynależy. Byćby jednak mogło, że fałszywe twierdzenie to pochodziło z istotnej nieświadomości rzeczy; bo memoryał był napisanym i podanym podczas gdy Karnicki już był w Petersburgu, a zatem mógł on nie wiedzieć dokładnie daty jego powstania. Kiedy zaś doszedł jego wiadomości i czy mu za powrotem do Warszawy Enoch o nim wspominał, nie jest mi wiadomem. Sekretarz Stanu przy Radzie Administracyjnej i Naczelny Prokurator przy ogólnem zgromadzeniu warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu, przy zachowaniu w stosunkach wzajemnych najuprzejmiejszych form salonowych, wzajemnie się nie lubili; Karnicki miał Enocha za chytrego parweniusza, któremu zazdrościł przeważnego wpływu na umysł namiestnika; Enoch zaś Karnickiego za fałszywego i liżącego się dworaka. Zaufania więc wzajem do siebie nie mieli i nie jest niepodobieństwem, że Enoch zgoła Karnickiemu o swoim memoryale nie mówił, jeżeli zaś to uczynił, to niewątpliwie w sposób dla tego ostatniego nieprzyjemny, w skutek czego obrażona miłość własna, nie mając materyalnego dowodu daty, wytworzyła teoryą dla siebie pochlebniejszą: napisania memoryału po dokonanym fakcie. Również i książę Gorczakow, który cenił zdolności Karnickiego, lecz nie miał do niego sympatyi, jak i margrabia Wie-

lopolski, który o jego charakterze miał nieprzychylną opinią, mogli uważać za zbyteczne wtajemniczać Karnickiego w istnienie memoryału i nie jest niepodobnem, że Karnicki dowiedział słę o nim i o dokładnej jego treści dopiero z dzieła p. Lisickiego. Na tę myśl naprowadza poniekąd tak późne zjawienie się jego *Suum cuique*, który to tytuł możnaby w tym razie przetłomaczyć po polsku „wszystko mnie, drugim nic“. Że pismo to mogło jak najsłuszniej Enocha oburzyć, nic w tem dziwnego. Chciał na nie odpowiedzieć i wyjaśnić istotny stan rzeczy; pisał w tym celu do Kretkowskiego zapytując, czy nie będzie miał nic przeciwko wymienieniu go, jako autora (właściwiej byłoby jako redaktora) memoryału. Tymczasem Karnicki życie zakończył i Enoch, uważając, że prowadzenie na ostre polemiki z przeciwnikiem, któremu śmierć dopiero co usta zamknęła, byłoby niewłaściwem, odłożył urzeczywistnienie swego zamiaru na później. Niewątpliwie miał w tem racyą, lecz na nieszczęście wkrótce potem sam zachorował; bujny, świetny, błyszczący i błyskotliwy jego umysł zaczął się pokrywać pomroką; zaćmienie szybkim posuwało się krokiem i doprowadziło go do grobu. Te to są przyczyny, dla których Enoch nie upomniał się o swoje, a szkoda to nieodżałowana, bo niewątpliwie będąc wtajemniczonym, jako główny działacz, we wszystkie szczegóły przejść idei reform, zaczątkowanych przez margrabiego, byłby wyświetlił nie jeden punkt ciemny tej. tak bolesnej dla nas w skutkach epoki.

Lecz jeżeli Karnicki świadomie, lub nawpół bezwiednie (co prędzej przypuszczam) naznaczył memoryałowi zbyt późną datę urodzin, inni stanowczo podają zbyt wczesną. Rzeczywisty zaś przebieg rzeczy był następujący. Strzały jenerała Zabołockiego padły. Wzburzenie. zresztą zupełnie naturalne, a podniecane jeszcze przez agitatorów, chcących je wyzyskać dla swoich celów, było ogromne. Ze stanowiska władzy należało zapewne stawić mu czoło i siłą go poskromić. bez względu na to, że prawdopodobnie do dania ognia wyższego nie było rozkazu. Tego zdania był szef sztabu jeneralnego, Paweł Kotzebue i kilka osobistości stronnictwa wojskowego. Gdyby tak postąpiono, byłoby znowu więcej ofiar, lecz oszczędzonoby krajowi wiele krwi, łez i nieszczęść, które następnie na niego lawiną się sypnęły. Lecz szlachetny do przesady książę Namiestnik nie mógł się zdecydować broczyć dalej drogą zalaną krwią Polaków, z którymi zżył się i których pokochał, przebywając w pośród nich od lat kilkudziesięciu. Zdawało mu się, że wyjednanie reform, odpowiednich wyrażonym wówczas przez ludzi poważnych życzeniom, zapobiegnie rozwojowi ruchu i potrzebie krwawej walki ulicznej, której przedewszystkiem chciał uniknąć; otaczający go Polacy wzmacniali go w tem przekonaniu. Wysłał w tym celu Karnickiego do Petersburga, nie wątpię, że z instrukcyami piśmiennemi i, o ile

w podobnych razach to jest możebnem, dokładnemi, gdyż Karnicki był zbyt ostrożnym, ażeby cokolwiek na własną brać odpowiedzialność. Lecz pobyt jego w Petersburgu przeciągał się, a żadnej nie było pewności, czy i jakie ustępstwa na rzecz krajowego samorządu zostaną uzyskane. Wtedy to (jeżeli się nie mylę, w Piątek, na dziesięć dni przed rozpoczęciem Wielkiego tygodnia) pewnego wieczoru Kretkowski otrzymał od Enocha kartkę, wzywającą go w pilnym i ważnym interesie. Za przybyciem, Enoch zażądał napisania w języku francuskim memoryału, wskazując punkta żądań, mające wejść w ramy takowego; że dane te były wynikiem rozmów z margrabią Wielopolskim prowadzonych i opierały się na porozumieniu z nim, o tem Kretkowski nie wątpi. Nazajutrz wieczorem, Kretkowski zaniósł Enochowi memoryał, napisany słowo w słowo tak, jak w dziele p. Lisickiego jest wydrukowanym; obejmował on wszystkie żądania przez Enocha wskazane z dodaniem jedynie dwóch własnej Kretkowskiego inicyatywy, zawartych w ustępie końcowym. Całkowita osnowa przedstawionego przez Enocha memoryału trafiła do przekonania Namiestnika, a ponieważ reformy, w takowym wskazane, sięgały poza granicę żądań zawiezionych przez Sekretarza Stanu przy Radzie administracyjnej, a może i nadawały tym ostatnim nieco odmienny kształt, zachodziła potrzeba nowego zniesienia się z Petersburgiem. Zapewne droga telegraficzna i korespondencyjna byłaby tej potrzebie w zupełności wystarczyła, gdyby nie okoliczność, że według doniesień tajnej policyi, była przygotowaną olbrzymia manifestacya, zapowiedziana na Wielki Tydzień (zdaje się na Środę Wielkotygodniową). Książę Namiestnik chciał ją uprzedzić i sparaliżować ogłoszeniem pod tą datą koncesyi monarszych i uniknąć tym sposobem krwawego poskromienia, któreby wtedy mogło być nieodzownem, a po którem i nadzieja reform byłaby prawdopodobnie straconą. Szło więc o pośpiech i wtedy Namiestnik zdecydował się na wysłanie drugiego gońca do Petersburga. Zapewne Enoch zaproponował mu Kretkowskiego, jako Namiestnikowi dobrze znanego i bardzo przezeń lubianego. W trzy dni po wręczeniu memoryału przez Enocha Kretkowski wyjechał z Zamku około piątej wieczorem z dwoma zapieczętowanymi pakietami, z których jeden pod adresem księcia Gorczakowa, Ministra Spraw zagranicznych, brata stryjecznego Namiestnika, drugi dla Tymowskiego, Ministra sekretarza Stanu Królestwa Polskiego, z instrukcyą ustną Namiestnika: 1-o przyjazdu według możności najrychlejszego do Petersburga; 2 o czynienia wszystkiego, co będzie mógł, celem zyskania monarszej sankcyi dla żądanych reform przed dniem na manifestacyą oznaczonym (według powyższego przed Środą Wielkotygodniową); 3-o zawiadomienia go telegraficznie z chwilą położenia najwyższego podpisu; 4-o trzymania się we wszelkich rozmowach i objaśnieniach urzędowych zasad me-

moryału. Drogę do Dynaburga Kretkowski odbył *perekładną*, bez chwili odpoczynku, przeprawiwszy się przez Bug (sic — zapewne Dźwinę), gęstą krą pokryty, a dalej koleją. Wprost z dworca kolei Petersburskiego, na który przybył o rannej godzinie, udał się do Ministeryum spraw zagranicznych, a następnie do Sekretaryatu Stanu, gdzie ministrom oddał przeznaczone dla nich pakiety, przyczem starał się opisać jak najwierniej wzburzenie umysłów w Warszawie, przedstawić potrzebę jak najprędszego zdecydowania stanowczego, mających być przedsięwziętemi reform, w duchu rozszerzenia autonomii, aby nie przyszły poniewczasie; w obec zaś Ministra spraw zagranicznych, który po odczytaniu depesz, odezwał się: *je crois que mon cher cousin a un peu perdu la tramontane*, usiłował usprawiedliwić dotychczasowe postępowanie Namiestnika i postawienie żądań, które w przekonaniu tegoż miały uspokoić wzburzenie. Tymowski zaś i Karnicki, któremu natychmiast depesze zakomunikował, nie tracąc chwili czasu, przebrali się, objechali wszystkich ministrów, zyskali znaczną większość dla żądań Namiestnika i na odbytej nazajutrz Radzie ministrów, ukaz o reformach ustał przez Monarchę podpisany w mniemaniu, że kraj zadowolni i ochroni od potrzeby krwawej represyi. Natychmiast po podpisaniu Kretkowski księcia Namiestnika zawiadomił, ten zaś zaraz po otrzymaniu telegramu wiadomość tę w dziennikach warszawskich ogłosił, celem uspokojenia umysłów. Na tem ograniczyła się cała rola Kretkowskiego, ku prawdziwemu jego zadowoleniu, bo lubo w wielu wypadkach, gdzie go Namiestnik wzywał do objawienia swego zdania, obstawał przy swojem z całą siłą przekonania (czego mu Namiestnik nie miał nigdy za złe), w tym jednak razie odebrał tylko rozkaz od wysokiego swego zwierzchnika i nie pozostawało mu jak wiernie go spełnić; również bodźcem była myśl, że w tych strasznych okolicznościach wypadało, jak to czynił Namiestnik, chwycić się chociaż cienia nadziei, aby uniknąć krwawych i okropnych skutków, któreby kraj pogrążyły w tumany krwi i żałoby; lecz z drugiej strony ciężko było popierać z całą siłą wiary w skuteczność środki, o których w głębi duszy miało się przekonanie, że niczemu nie zapobiegną i potoku nie cofną. Kretkowski miał to przekonanie i kiedy Enoch zażądał napisania memoryału, objawił mu je z całą szczerością; wiele w tym duchu rozmawiał także z mecenasem Majewskim, z którym wracał z Petersburga, a który pomimo gorącości uczuć, przeciwnego był zdania do chwili stąpnięcia na bruk warszawski. Przekonanie to, że ustępstwa przyszły zapóźno lub zawcześnie, z którem Kretkowski w rozmowach poufnych wcale się nie ukrywał, ściągnęło nań następnie niełaskę Margrabiego, pomimo, że najgorliwiej służył i z uwielbieniem hołdował jego ideom.

Powyższe wyjaśnienie dowodzi faktu, za który Kretkowski

poręczyć może: 1) że memoryał był przezeń na żądanie i z natchnienia Enocha napisanym; 2) że był napisanym po wyjeździe Karnickiego do Petersburga i podczas jego tamże pobytu; 3) że stał się on ostatnim bodźcem do nadania Królestwu reform w tych granicach, w jakich wtedy zostały udzielone. *W. D.*

№ 2 (do str. 69).

Memoryał Michała Łempickiego.

„J. O. książę! Przedewszystkiem winien jestem zrobić uwagę, że do rzetelnego pojęcia słów moich koniecznie potrzeba, abyś W. ks. Mość uwierzył, że można być dobrym Polakiem, a niekoniecznie nienawidzić Rosyi, owszem, że można być dobrym Polakiem, a obok tego pragnąć szczerze i Rosyi dobra. Uwierzyć zaś w to W. ks. Mość wtenczas tylko możesz, jeżeli sam, jako dobry Rosyanin uczujesz się zdolnym pokochać Polaków i ich dobra zapragnąć. Na spólne nasze nieszczęście, dotąd po większej części dzieje się przeciwnie; dotąd patryotyzm polski polega nie wyłącznie na miłości sprawy narodowej, ale niemal koniecznie i na nienawiści do naszych zwycięzców — jak znowu w ogóle patryota rosyjski czuje dla nas jeżeli nie pogardę, to przynajmniej niechęć, a często nawet nienawiść. Jest to fakt, niestety! aż nadto prawdziwy, nieskończenie małe wyjątki najlepszym są tego dowodem. A przecież Mości książę, dla wzajemnego naszego dobra w bliższej i dalszej przyszłości, koniecznością jest zastąpić te nieprzyjazne uczucia, uczuciami przyjaznemi; koniecznością jest, albowiem z woli Bożej losy obu narodów są nierozdzielne. Że tak jest, świadczą dzieje. Był czas, że Polska i Rosya połączone były pod panowaniem polskiem. Było to krótko i upadło, ale było. Dziś znowu część Polski połączona z Rosyą pod panowaniem Rosyi. I to także upadnie, bo upaść musi dla tego samego, dla czego tamto upadło, dla tego właśnie i jedynie dla tego, że jest panowaniem. Aż przyjdzie czas swobodnego całej Polski i Rosyi połączenia, bez panowania jednych nad drugimi. A ten czas przyjść musi, bo z woli Bożej losy obu narodów są nierozdzielne. Otóż pierwszym a koniecznym do tego krokiem jest pozbywanie się wzajemnej niechęci, a zdobywanie w to miejsce wzajemnej życzliwości, wzajemnego szacunku i szczerej chęci pomagania, nie szkodzenia sobie. Na tej drodze początkować winna Rosya, jako naród panujący, a przedewszystkiem władze rządowe. Tak dalece jest to prawdą, że od postępowania rządu w najbliższej przyszłości zależeć będzie, czy mamy wejść dobrowolnie zaraz teraz w wieczny związek z Rosyą, czy też dopiero po długich, może wiekowych, krwawych zapa-

sach, po mnogich, nieprzeliczonych a okropnych klęskach, spełnić wolę Opatrzności.

Naród rosyjski jest zwycięzkim, u nas panującym, więc z natury rzeczy tego panowania dobrowolnie się nie zrzecze, chyba w widocznem przekonaniu, że go utrzymać nie potrafi. Otóż zadaniem tego mego pisma jest przekonać W. ks. M. i wszystkich mężów stanu Rosyi, że panowanie Rosyi w Polsce upaść musi, a nawet upadnie niedługo.

Mości książę! w ostatnich dwóch latach zaszła radykalna zmiana w prawie publicznem europejskiem. Zasada dynastyczna ustąpiła pierwszeństwa zasadzie narodowości. Skutkiem tego wielu panujących pozbawieni tronów, a ich poddani tworzą jedno potężne państwo Italii; z drugiej strony wszystkie narody pod berłem Austryi i Turcyi budzą się do życia niepodległego. Najstarsza z dynastyi europejskich, dynastya Habsburgów zrzeka się własnowolnie praw do samowładnego panowania i powołuje narody do pisania praw, wedle jakich rządzone być mają. A przecież nie tu koniec następstw owej zmiany w publicznem prawie europejskiem, następstw, jakie nieprzeparta logika wypadków koniecznie spowodować musi. Zasada narodowości, t. j. zasada, że najwyższem prawem, jest prawo każdego narodu do bytu niepodległego; zasada ta zwycięzka we Włoszech musi zwyciężyć wszędzie i wszędzie zwycięży. Niedalej jak na przyszłą wiosnę Wenecya i Węgry odpadną od Austryi. Bardzo być może, że stanie się coś więcej, ale za co z zupełną pewnością poręczać mogę, to za niepodległość Węgier i za połączenie Wenecyi z resztą Italii. Na tronie węgierskim osiądzie, przez naród obrany, kuzyn cesarza Francuzów, zięć króla włoskiego; wtedy Węgry staną się państwem rdzennem, z którem połączą się Rumuny i Słowianie tureccy, a może nawet i wszyscy Słowianie austryaccy. Nie trzeba zapominać, że Garibaldi zobowiązał się uroczyście w imieniu Włoch pomagać Węgrom w ich walce o niepodległość. Że tego zobowiązania Włochy dotrzymują, ich własny interes najlepszą rękojmią. Tą bowiem drogą najłatwiej przyjdą do Wenecyi. Ale choćby nawet tak nie było, choćby Włochy odzyskały Wenecyą w inny jaki sposób, to zawsze nie przestanie być ich interesem mieć za sąsiada zamiast nieprzyjaciela, naród wolny i przyjazny, więc zawsze ich interesem będzie pomódz Węgrom do odzyskania niepodległego bytu. Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w roku przyszłym Austrya dotychczasowa istnieć przestaje, a w jej miejscu powstaje państwo wolne, tak jak Włochy i Francya i najściślejszem z obydwoma przymierzem złączone. Powiedziałem wyżej, że na tronie tego państwa zasiądzie książę Napoleon i jest to najprawdopodobniejsze; już nawet ta myśl żyje pomiędzy Węgrami. Może jednak ten tron uregulować jeszcze dla siebie cesarz Franciszek Józef, jeżeli w dobrej

wierze i z całą potrzebną energią pójdzie drogą, po jakiej idzie Wiktor Emanuel; jeżeli usłucha przyjaznych głosów, ukazujących mu ją, jako jedynie zbawienną. Czy ich usłucha? Niedaleka przyszłość pokaże. Że przecież są ludzie, którzy usilnie nad tem pracują, o tem mogę zapewnić W. ks. Mość uroczyście. W rezultacie jednak czy panować tam będzie Napoleon, czy nawet cesarz Franciszek Józef, wszystko jedno; nic to natury rzeczy nie zmieni, nie zmieni natury państwa, które będzie nowym żołnierzem, nowym obrońcą zasady: że najwyższem prawem jest prawo każdego narodu do bytu niepodległego. W każdym więc razie tworzy się na granicy Rosyi potężne państwo, z natury swojej Rosyi nieprzyjazne, a całą potęgą Włoch, Francyi, nawet Anglii poparte. Jest to fakt nieunikniony i już dziś nie ma potęgi, któraby mu spełnić się nie dozwoliła; nie wypowiadam go tu bez obawy i pytam, czy Rosya na przyjęcie takiego sąsiada jest przysposobiona?

Mnie się zdaje, że nie, bo wojny z nim nie wytrzyma, a pokój i zgodę otrzymać będzie mogła tylko zrzeczeniem się Polski. Ależ Rosya dla zachowania stanowiska swego w Europie, Polski się nie zrzeknie; więc nieuniknioną wojna, której ostatecznem następstwem będzie wprawdzie oswobodzenie Polski z pod panowania Rosyi, ale Polski zniszczonej, krwią zalanej. Z drugiej strony również nieuniknionem następstwem tej wojny będzie osłabienie Rosyi takie, że przez długie lata ran swych nie zagoi, a nadewszystko postawienie Polski i Rosyi, jako dwóch wrogów śmiertelnych, czychających na każdą sposobność wzajemnego sobie szkodzenia. Otóż Mości książę, ponieważ ten ostateczny wypadek jest tak samo zgubnym dla Rosyi, jak dla Polski, i ponieważ okupić go mamy niesłychanym krwi ludzkiej przelewem i wzajemnemi nie do opisania klęskami, uważałem za mój sumienny obowiązek przekonać W. ks. Mość, że ten wypadek jest nieuniknionym, jeżeli Rosya wcześnie, a czas do tego jest nieskończenie krótki, nie postawi kroku, któryby go nie dopuścił.

Tutaj, dla nadania większej wagi słowom moim, dla mocniejszego przekonania W. ks. Mości, że i dziś mówię prawdę, zmuszony jestem powołać się na pismo moje do Najjaśniejszego Pana jeszcze z r. 1857. Powiedziałem tam wyraźnie, że zasada narodowości musi przyjść do panowania, że koniecznem tego następstwem będzie utworzenie potężnego państwa Italii pod berłem dynastyi sabaudzkiej, a z drugiej strony upadek Austryi. Fakta od tego czasu dokonane, oczywiście dowodzą, że powiedziałem prawdę, że widziałem dobrze.

Nie moją jest winą, Mości książę, moje stanowisko w społeczeństwie, moją przecież jest zasługą przewidzenie wypadków, jakie nastąpić mają; a wypowiedzenie ich jasne i sumienne i wtenczas

i teraz jest niezaprzeczonym dowodem, że pragnę usilnie dobra Polski łącznie z dobrem Rosyi. Jeżeli tedy dobrze widziałem w r. 1857, może mam prawo mniemać, że i dzisiaj widzę dobrze, że więc prawdą jest to, co dzisiaj powiadam. Wszakże fakta już dokonane dają mi świadectwo, że powiedziałem prawdę, bo oto już od dwóch lat dzieje się ruch rewolucyjny, który przepowiedziałem, tylko teraz posługuje się całą siłą organizowanego państwa i ma wodzem człowieka, który nazywa się Napoleon. Idzie więc śmiało naprzód do pewnego zwycięztwa, i na rok przyszły staje na granicy Rosyi. Wszakże fakta już dokonane niezaprzeczenie dowodzą, że gdyby N. Pan przez odbudowanie Polski był pierwszy wprowadził w życie zasadę narodowości, jak to zrobił cesarz Napoleon przez wojnę włoską, byłby zajął w Europie znakomitsze jeszcze stanowisko od tego, jakie dziś cesarz Francuzów zajmuje. Bo Italia nam, nie Francyi, byłaby winna swój byt niepodległy, a cesarz rosyjski byłby już dziś królem całej Polski, królem węgierskim, czeskim, serbskim i rumuńskim i panem w Konstantynopolu. Wszak dziś już nie możesz W. ks. Mość zaprzeczyć, że po odbudowaniu Polski w r. 1857, wszystko to w jednej kampanii 1858 r. z armią trzech a nawet dwóchkroć stotysięczną można było zrobić. A właśnie taką myśl przedłożyłem wówczas J. C. Mości. Dziś stan rzeczy zupełnie jest inny, dziś nie marzyć już o takiej wielkości dla cesarza Rosyi, bo to wszystko już zajęte, to wszystko już w potężnej dłoni cesarza Francuzów; dziś już jedna tylko kwestya zostaje do rozstrzygnienia, a mianowicie kwestya taka: co jest dla Rosyi lepiej, czy czekać wypadków, aby się doczekać po dwóch, a najdalej trzech latach Polski, po walce z Rosyą, niepodległej, więc Rosyi nieprzyjaznej, czy też wziąć inicyatywę w tej sprawie i w dobrej wierze użyć całej swej potęgi do odbudowania dawnej Rzeczypospolitej?

Może wiadomości dyplomatyczne, jakie ma rząd rosyjski, nie przedstawiają rzeczy w takiem świetle, w jakiem ja je tu przedstawiam; w takim razie poważam się ostrzedz, że mogą być one niekoniecznie prawdziwe. Bo dziś Mości książę, obok dyplomacyi gabinetowej, powstała druga publiczna; chodzi ona po ulicach, wstępuje do mieszkań prywatnych, do zakładów fabrycznych, rzemieślniczych i do zagród wiejskich. Moje wiadomości po największej części od tej ostatniej pochodzą, a wiem, że są pewne, to też na duszę moją przysięgam W. ks. Mości, że w przeciągu dwóch, trzech lat najdalej, cała dawna Polska niepodległą będzie. Ależ zdaje mi się, że i oczy dyplomatyczne, byle jakkolwiek zdrowe, dopatrzeć tego powinny. Wiadome z dziejów odwieczne przyjazne nasze stosunki z Węgrami, znaną jest dla nas sympatya Francuzów, otóż i dla dyplomacyi gabinetowej nie powinnoby być wątpliwością, że oswobodzone Węgry i Włochy (przynajmniej póki Garibaldi żyć będzie), pomogą

nam silnie do wywalczenia naszej niepodległości, że i Francya swej pomocy nam nie odmówi, jeżeli zwłaszcza cały ten ruch pod jej najwyższym odbywać się będzie kierunkiem. Czyż można wreszcie przypuścić, abyśmy my jedni tylko na potępienie zostali skazani, jeżeli wszystkie inne narody żyć będą swobodne? Takiego przypuszczenia nawet dyplomacya gabinetowa zrobić nie będzie mogła. Otóż i dyplomatycznie przyjść musimy do pewnika, że Polska niepodległą być musi. Ażeby odjąć wszelki nawet pozór fałszu słowom moim, uważam za właściwe jasno wytłomaczyć W. ks. Mości moją troskliwość o dobro Rosyi, moje pragnienia swobodnego połączenia Polski z Rosyą na wieki.

Z położenia jeograficznego, a więc z woli Bożej, Rosya i Polska są obowiązane do pewnej spólności; obie mają jedno historyczne zadanie i jednego, nawet spólnego a rzeczywistego nieprzyjaciela, którym są Niemcy. Niemcy są tak rzeczywistym i tak strasznym nieprzyjacielem, że tylko spólnemi siłami oprzeć mu się będziemy mogli. Rozdzieleni zaś, a tem bardziej poważnieni z sobą, uledz im będziemy musieli. Osłabiając się wzajemnie my tylko tracimy, a zyskują tylko Niemcy, Niemcy są przyczyną odwieczną i jedyną wszelkiej pomiędzy nami niezgody. Ich polityka względem nas zawsze jedna i taż sama, zawsze dla nich korzystna. Jej owocem ciągłe zdobywanie ziem słowiańskich. I rozbiór Polski niemieckiem był dziełem; Niemcy skusili do tego Rosyą i Niemcy tylko na tem zyskali, bo zyskali kawał słowiańskiej ziemi do rozsiedlania się na niej. Dokonywają też tego w sposób tak zatrważający, że gdyby jeszcze 15, najwięcej 20 lat, ziemie polskie zostały pod pruskiem panowaniem, stałyby się one prowincyą najdoskonalej niemiecką, bo ludność polska, jakaby jeszcze wówczas została, byłaby tylko, jak dziś na Szląsku, inwentarzem roboczym. Wtedy Niemcy musieliby znowu posuwać się dalej na wschód, zdobyć nowy kawał ziemi, któryby połączył ich posiadłości z prowincyami rosyjskiemi nadbałtyckiemi, przez Niemców zamieszkałemi — i szliby tak coraz dalej i coraz prędzej.

Otóż Mości książę, śmiem twierdzić, iż rozbiór Polski był ze strony Rosyi błędem politycznym pierwszego rzędu, bo Rosya nic a nic na nim nie zyskała, owszem straciła, a cała korzyść była tylko dla Niemców. Naprawić ten błąd, powinno być dziś pierwszem zadaniem Rosyi, bo inaczej, choćby się nic nie stało, gdyby rzeczy szły dotychczasową koleją, wedle myśli polityków niemieckich, Niemcy zjedliby naprzód nas, a potem zjedliby Rosyan. Wszakże już dużo plemion słowiańskich przepadło i Niemcy rozpościerają się na ich ziemiach, nazywając je swojemi ziemiami. Taki sam los chcieliby i nam zgotować, zawsze w jednym i tym samym szlachetnym celu, niesienia cywilizacyi na wschód. Tej to cywilizacyi ja lękam się dla

nas, i dla tego pragnę wiecznego przymierza Polski z Rosyą; i dla tego jestem przekonany, że umysł zachowawczy, jakim Bóg natchnął każde stworzenie, zmusi Rosyę i Polskę do tego przymierza, choćbyśmy nawet rozstali się teraz jako nieprzyjaciele. Ale wtedy stałoby się to już ze wspólną naszą szkodą po wielkiej jakiej stracie.

Sumiennie tedy wyspowiadałem się W. ks. Mości z najgłębszych przekonań moich, bo rozumiem, że to jest droga jedynie właściwa, tem bardziej, że te przekonania moje nie są tylko moje indywidualne, ale każdego Polaka w dalszą patrzącego przyszłość. W ogóle nawet, leży w instynkcie narodowym nieprzezwyciężony wstręt do Niemców, i pomimo, że pozornie Rosya najwięcej zrobiła nam złego, zdolni jesteśmy pokochać Rosyan i żyć z nimi pod jednym dachem, jak tylko Rosya okaże nam czynem miłość swoją dla nas. Takiego czynu, ale natychmiast, własny interes Rosyi, własne dobro Rosyi koniecznie wymaga. Za chwilę może być zapóźno. Jakim ma być ten czyn, obecny stan rzeczy najwidoczniej wskazuje. Upadek kilku dynastyi, konanie Austryi, uczą wyraźnie, że w okolicznościach jak dzisiejsze, wszelkie opóźnienie się, lub półśrodek są śmiertelne. To też raz jeszcze powtarzam, że jeżeli w interesie Rosyi leży wieczysty sojusz z całą Polską pod berłem jednej dynastyi, a to tylko, nic innego jest jeszcze do zrobienia, musi rząd zaraz teraz na początku zimy postawić krok śmiały, który koniecznie do tego doprowadzi. Na wiosnę, a może nawet w końcu zimy, będzie już zapóźno. Tak samo, wszelki półśrodek chociaż przyjęty będzie, to tylko jako narzędzie, dające większą łatwość odzyskania wszystkiego. A wszystkiem jest byt niepodległy całego narodu.

Otóż taki tylko czyn ze strony Rosyi, który nas za jej sprawą do tego doprowadzi, zrodzić musi nie tylko zapomnienie wszelkich naszych uraz do Rosyi, ale nawet naszą dla niej wdzięczność i wieczny z nią związek. Tę samą myśl przedstawiłem N. Panu jeszcze w r. 1857, a chociaż jej wykonanie dzisiaj nie przyniesie już tak bogatych owoców, jakieby wtenczas było przyniosło, to znów dziś konieczność jej wykonania może być widoczniejszą, a zawsze w zbawienny owoc nie ubogą.

Tutaj raz jeszcze zmuszony jestem W. ks. Mość upraszać, abyś zapomnieć raczył, kto te słowa mówi, a tylko słowa same, jako dobry a światły Rosyanin, głęboko rozważył. Są one sumienną prawdą, podyktowaną przez chęć gorącą zapewnienia spokoju i błogiego szczęścia w bliższej i dalszej przyszłości dwom bratnim narodom.

Mości książę! wszystko to, co powiedziałem, jest tak jasną, tak oczywistą prawdą, że nie pojmuję nawet, jak można jej nie widzieć. Wprawdzie dzieją się rzeczy niepojęte; ludzie niemal świadomie z całych sił swoich pracują na własną zgubę; ależ przez Boga żywego, czyż tak ma być zawsze? czyż przelewanie krwi własnej i cu-

dzej, niszczenie, męczenie, ma być zawsze jeszcze rozumem? O nie! wiara w Boga uczy mię, że to fałsz; wiara w Boga uczy mię, że „najwyższy rozum, cnota“, więc miłość, więc pokój i zgoda. Tej zgody i miłości ja pragnę dla Rosyi i Polski, więc pragnę ich rzeczywistej wielkości, potęgi i sławy. Inaczej biada nam i Rosyi biada! wtedy Niemcy okrzyk tryumfu podniosą i pójdą śmielej krok dalej na wschód. Z woli Bożej dziś losy obu narodów, ich przyszłe i trwałe szczęście, lub długa niedola, zależą od woli N. Pana, od tego, co raczy postanowić względem obecnego stosunku Rosyi do Polski. Dla tego też pragnę, aby to pismo moje przedstawione było J. C. M. bo mocno wierzę, że nie napróżno umieściła Opatrzność w tej ważnej chwili takiego Monarchę na tronie rosyjskim, więc wierzę w pomyślny skutek słów moich, jeżeli zwłaszcza zdołałem przekonać W. ks. Mość, że powiedziałem prawdę. W końcu poważam się jeszcze zwrócić uwagę W. ks. Mości, że i to moje tylokrotne odzywanie się w tym duchu, pomimo zawodów i boleści, z tego powodu doznanych, nie może być bez historycznego znaczenia. I rzeczywiście, czyż ja maluczki, pojedynczy człowiek byłbym wstanie zdobyć się na odwagę do tego potrzebną, gdybym nie czuł, gdybym nie wiedział, że głos mój jest tylko odbiciem głosu utajonego w piersi narodu; gdybym nie czuł, gdybym nie wiedział, że wypowiadam tylko prawdę! Ależ M. książę do pojęcia i uznania tej prawdy koniecznym, choć jedynym warunkiem, jest dobra wola! Pisałem w Warszawie d. 14 Grudnia 1860 r.“

№ 3 (do str. 134).

Protokół posiedzenia Delegacyi.

Działo się w Ratuszu m. Warszawy d. 6 Marca 1861 r., o godz. 11-ej rano.

Ustanowiona przez J. O. księcia Namiestnika dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego Delegacya z 24 wybranych obywateli m. Warszawy, którą składają:

1. X. kan. Wyszyński	9. Stan. Hiszpański	17. Karol Scholtze
2. X. kan. Stecki	10. Mathias Rozen	18. Kajetan Witkowski
3. Jakób Lewiński	11. Karol Beyer	19. H. Kuszkowski stud. Akad. Med.
4. Ksawery Schlenker	12. Józef Kraszewski	20. Konstanty Fischer
5. Leop. Kronenberg	13. Józef Koenig	21. Henr. Krajewski
6. Jakób Piotrowski	14. Teofil Piotrowski	22. Ant. Trembicki
7. Aug. Trzetrzewiński	15. Nadrabin Mejsels	23. Ant. Wrotnowski
8. Tytus Chałubiński	16. Jakób Natanson	24. Dominik Zieliński

Polegając na objawionych jej przez JW. Jenerała Pauluzzi dwóch decyzyach J. O. księcia Namiestnika, a mianowicie: pierwszej stanowiącej, że komunikowanemi będą imiona i nazwiska osób, mogących być aresztowanemi, z wyjaśnieniem przyczyn aresztowania — drugiej: według której przedsięwziętymi być mają środki w celu pogodzenia przepisów postępowania sądowego wojskowego z życzeniem J. O. księcia Namiestnika, aby oskarżonym obrona prawna była zapewnioną — przystąpiła pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi do swych czynności. Na dzisiejszem pierwszem posiedzeniu, po dopełnieniu instalacyi, członkowie Delegacyi przedewszystkiem proszą o uwiadomienie:

1-o o ile decyzya J. O. ks. Namiestnika względem dodania obrony oskarżonym wprowadzoną została w wykonanie. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że zapyta o to J. O. ks. Namiestnika i dziś jeszcze Delegacyi odpowiedź zakomunikuje.

2-o Delegacya dla uspokojenia umysłów prosi o uwiadomienie o imionach i nazwiskach osób uwięzionych, tudzież o czynionych im zarzutach. JW. Jenerał oświadczył, że i to żądanie przedstawi J. O. ks. Namiestnikowi i dziś jeszcze da odpowiedź.

3-o Delegacya wyraziła zdanie, że szybkie zadecydowanie co do losu obwinionych, zgodnie z zasadami słuszności i ludzkości, przyczyniłoby się potężnie do uspokojenia umysłów. JW. Jenerał odpowiedział, że żądanie to przedstawi J. O. ks. Namiestnikowi.

4-o Delegacya uważa za stosowne i konieczne urządzenie straży bezpieczeństwa obywateli nie zbrojnej i bez cech urzędowych. JW. Jenerał odpowiedział, że żądanie to również przedstawi J. O. księciu i dziś jeszcze udzieli odpowiedź.

5-o Delegacya wyraziła zdanie, że uważa za potrzebne, ażeby Policya wykonawcza w razie wykonania środków nadzwyczajnych zawiadomiła o tem poprzednio Delegacyą, przez coby środki te nadzwyczajne nieraz uniknionymi być mogły. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że na powyższy wniosek zupełnie się zgadza.

6-o Postanowiono: że sesye zwyczajne odbywać się będą codziennie o godz. 1-ej w południe i 7-ej wieczór; na sesyach prowadzony protokół w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, przez wszystkich członków podpisany będzie.

7-o JW. Jenerał zgodził się na żądanie Delegacyi, ażeby służba policyjna zawiadomioną była o nazwiskach i imionach członków delegacyi, celem łatwiejszego uzyskania pomocy policyjnej w razie potrzeby. Na tem protokół niniejszy zakończony, przyjęty i podpisany został przez wszystkich obecnych z tą wzmianką, że wszystkie wnioski członków Delegacyi jednozgodnie przedstawionymi były.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym d. 6 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Przedewszystkiem JW. Jenerał Pauluzzi zakomunikował następującą odpowiedź na żądania przedstawione na ostatniem posiedzeniu:

J. O. książę Namiestnik, któremu miałem honor przedstawić środki, które uważacie Panowie za potrzebne przedsięwziąć w celu uspokojenia wzburzenia umysłów, upoważnił mnie do zakomunikowania Panom co następuje:

1-o J. O. książę Namiestnik powtórzył mi, że zajmie się jak można najspieszniej zapewnieniem uwięzionym politycznym środków uniewinnienia się przez udzielenie im obrońców; z mojej strony mam honor dodać, że środek ten tak wielkiej wagi w interesie ludzkości nie może być przedsięwziętym bez dojrzałej rozwagi, tem więcej, że zmienia on całkowicie sposób postępowania istniejący w Królestwie.

2-o Lista uwięzionych za przestępstwa polityczne i przyczyna ich zatrzymania zakomunikowaną zostanie Delegacyi.

3-o J. O. ks. Namiestnik zgodził się także na życzenie Panów przyspieszenia decyzyi względem losu uwięzionych politycznych.

4-o J. O. ks. Namiestnik podług życzeń Delegacyi raczył zezwolić w razie nagłości wskazanej przez Delegacyę i uznanej przez Prezesa, jako Dyrektora Głównego Policyi, właścicielom nieruchomości i mieszkańcom miasta pełnić służbę konstablów w celu utrzymania porządku publicznego.

Po wysłuchaniu powyższych odpowiedzi Delegacya wyraziła zdanie, że zwłoka w tak nagłych okolicznościach może wywrzeć niekorzystne wrażenie na umysły obywateli miasta. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że wiadomość co do uwięzionych politycznych na jutrzejszem posiedzeniu zakomunikuje. Wreszcie JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że dla ułatwienia obrad oraz na przypadek jego nieobecności zachodzi potrzeba obrania Wice-Prezesa Delegacyi. Delegacya, podzielając to zdanie, jednomyślnością na Wice-Prezesa zaprosiła i obrała członka swego Jakóba Lewińskiego, który obowiązki Wice-Prezesa przyjął.

Działo się w Gmachu Ratuszowym dnia 7 Marca 1861 r. o godz. 1-ej po południu.

1-o Na dzisiejszem posiedzeniu zwyczajnem pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi zebrali się członkowie niżej podpisani. Posiedzenie otworzył Jenerał Pauluzzi złożeniem podpisanej przez siebie listy więźniów w cytadeli. Delegacya przyjęła ten dokument w zamiarze rozpoznania takowego, stanowiąc, że kopia jego do protokółu następnego posiedzenia dosłownie wniesioną będzie.

2-o Na zapytanie Delegacyi, czyli oprócz w Cytadeli nie ma gdzieindziej uwięzionych za sprawy polityczne, JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że wiadomo mu tylko, iż w Gmachu Ratuszowym znajduje się jakiś zatrzymany, na odwiedzenie którego po ukończeniu posiedzenia obecnego przez Członków Delegacyi, JW. Jenerał Pauluzzi zezwolił.

3-o JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że Prezes Komisyi Śledczej w Cytadeli przedsięweźmie środki w celu wyjednania, ażeby przy śledztwie, prowadzonem w sprawach uwięzionych politycznych, dwóch członków przez Delegacyą wybranych asystować mogło.

4-o Delegacya przedstawiła, że, z powodu trudności w robieniu kopii z protokółów jej posiedzeń, wypadałoby wyjednać ogłoszenie ich drukiem. JW. Jenerał oświadczył, że drukowanie tych protokółów miejsca mieć nie może.

5-o Delegacya przedstawiła następnie, że, gdy niewiadomością prawa tłomaczyć się nie można, zatem konieczną jest rzeczą wiedzieć o prawie, w kraju obowiązującem; tymczasem uwięzieni za sprawy polityczne oddawna sądzeni są przez sądy wojenne podług praw, które nigdy ogłoszone nie były i nikomu z mieszkańców wiadomemi nie są. Delegacya zatem uważa za konieczne prosić o zakomunikowanie jej prawa i procedury, których sądy wojenne trzymają się w sądzeniu spraw politycznych. JW. Jenerał przyrzekł żądaniu temu zadość uczynić.

6-o Delegacya wyraziła następnie, że dodanie obrońców uwięzionym politycznym mogłoby mieć miejsce stosownie do praw obowiązujących na podstawie Art. 53 ustawy przechodniej do Kod. kar. w d. $^{11}/_{11}$ 1848 r. wydanej.

7-o Delegacya przedstawiła, iż w mieście rozchodzą się wieści, że na placach publicznych postawione być mają budki w celu pomieszczenia w nich wojska, co na stan umysłów szkodliwy wpływ mieć może. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że pomieszczenie żołnierzy w budkach uważa za właściwsze, jak pomieszczenie ich w miejscach prywatnych i ukrytych.

8-o W czasie trwającego posiedzenia członkowie Delegacyi: Jakób Lewiński, ks. kanonik Stecki i Antoni Wrotnowski, udali się z JW. Jenerałem do aresztu dentencyjnego, w Gmachu Ratuszowym znajdującego się i tamże przekonali się, że w rzeczonym areszcie znajduje się jeden tylko zatrzymany Feliks Maladziński, przyaresztowany w zeszły poniedziałek przez Akademików, jako niespokojny, oprócz niego jest jeszcze jeden odesłany do Szpitala, Krynicki.

Na tem posiedzenie ukończono — protokół niniejszy przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 8 Marca 1861 r. o godz. 11-ej zrana.

Na dzisiejszem zwyczajnem posiedzeniu pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi zebrali się członkowie niżej podpisani.

Delegacya przedstawiła przedewszystkiem JW. Jenerałowi Pauluzzi projekt do ogłoszenia w pismach publicznych z jej strony uczynić się mającego, tej treści: „Delegacya, czuwająca ze strony obywateli nad porządkiem i bezpieczeństwem publicznem, oraz nad losem osób wypadkami ostatnich czasów dotkniętych, nie tracąc na chwilę z oczu obowiązków, zaufaniem współobywateli na nią włożonych, odwołuje się do świętego uczucia miłości kraju i uprasza ludność, aby dopomagając Dalegacyi w spełnieniu trudnego zadania i nadal okazywała takież same uczucia, jakie ją ożywiały w pamiętnym dniu pogrzebu 2 Marca i aby zachowała tę samą, pełną godności postawę w dniu jutrzejszego nabożeństwa. Nad porządkiem przy kościołach czuwać będzie służba obywatelska". .

I prosiła o wyjednanie u J. O. księcia Namiestnika wydrukowania dziś jeszcze wspomnianego ogłoszenia w całości, a to w celu uspokojenia umysłów, bez czego Delegacya uważałaby swoją działalność za stanowczo utrudnioną, a temsamem nieodpowiadającą dostatecznie zamierzonemu celowi.

Skutkiem tego Delegacya upraszała JW. Jenerała Pauluzzi, aby raczył zdanie to wraz z projektem ogłoszenia przedstawić J. O. księciu Namiestnikowi, na którego decyzyą Delegacya w komplecie oczekiwać będzie.

Jakoż w ciągu trwającego posiedzenia JW. Jenerał Pauluzzi udał się do J. O. księcia Namiestnika, od którego powróciwszy następującą Delegacyi zakomunikował odpowiedź, iż J. O. książę Namiestnik na publikacyą zezwolić nie raczył. Mając sobie zatamowaną tym sposobem możność odezwania się do publiczności zapomocą druku, Delegacya pozbawioną jest normalnych środków działania na umysły. Z tego względu uważa Delegacya wpływ swój zewnętrzny za najzupełniej nadwerężony i niepodobny.

Na tem protokół ukończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 9 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejszem wieczornem posiedzeniu zgromadzeni niżej podpisani członkowie pod prezydencyą Wice-Prezesa J. Lewińskiego.

1-o Delegacya wzięła na uwagę świeżo wprowadzone obostrzenie w losie więźni w Cytadeli, a mianowicie, iż zabroniono wszelkim innym osobom, oprócz rodziców, braci i sióstr rodzonych uwię-

zionego, widywać się z więźniami, że i ci krewni nawet legitymować się muszą z pokrewieństwa świadectwem policyi i że dostarczanie więźniom książek do czytania wzbronionem zostało. Ponieważ mała bardzo liczba więźniów ma tutaj tak blizkich krewnych, ponieważ legitymacya przez świadectwa policyi jest niemal niepodobną, ponieważ tym sposobem więźniowie skazani są na zupełne prawie odosobnienie od świata zewnętrznego, przeto Delegacya postanowiła rzecz tę przedstawić JW. Jenerałowi Pauluzzi, aby usunięcie tych obostrzeń, gdzie należy, jak najprędzej wyjednać zechciał.

2-o Delegacya, mając wiadomość z własnego niektórych jej członków przekonania, że żołnierze przez swe postępowanie zdają się drażnić publiczność, objawia życzenie, aby wydany był rozkaz dzienny nakazujący im odpowiednie zachowywanie się.

Z powodu nieobecności JW. Jenerała Pauluzzi, prosiła członków swych Ksawerego Schlenkera i Jakóba Piotrowskiego, aby powyższe przedstawienia jak najprędzej JW. Jenerałowi Pauluzzi zakomunikowali.

Na tem protokół ukończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 11 Marca 1861 r. o godz. 1-ej po południu.

Na dzisiejszem zwyczajnem posiedzeniu zgromadzili się niżej podpisani członkowie pod prezydencyą Wice-Prezesa Jakóba Lewińskiego. Stosownie do protokółu Delegacyi z d. 7 b. m., zamieszcza się lista więźniów przez JW. Jenerała Pauluzzi zakomunikowana wraz z nocyami szczegółowemi, niżej zamieszczonemi.

Lista obejmuje najprzód tytuły rubryk następujące:

a. numer porządkowy. *b.* imię i nazwisko aresztowanego,
c. stan. *d.* datę dostawienia do cytadeli.
e. obciążający zarzut. *f.* uwagi.

Oskarżeni podzieleni są na kategorye odróżnione przez podkreślenie każdej z nich, po wymienieniu osób do tejże kategoryi należących, które tu liczbami rzymskiemi oznaczają się.

I. *a.* 1. *b. Aleksander Pomian. c. b.* Inżynier z Rosyi d. 25 Stycznia (6 Lutego) 1859 r.

a. 2. *b. Michał Butowicz. c. b.* Komisyoner z Rosyi d. 25 Stycznia (6 Lutego) 1859 r.

a. 3. *b. Jakób Szemiot. c. b.* Urzędnik Intendentury d. 26 Stycznia (7 Lutego) 1859 r.

e. Pomian obwiniony o fałszowanie sturublowych assygnat rosyjskich. Butowicz o puszczenie ich w kurs ze złą wiarą, a Szemiot o ukrywanie przestępstwa i przestępcy.

f. Sprawa skończona, wyrok Sądu wojennego zapadł, lecz konfirmacya jeszcze nie nastąpiła.

II. *a.* 4. *b. Adam Trąbczyński. c.* uczeń Gimn. Real. d. 13/26 Października 1860 r.

a. 5. *b. Henryk Filipowicz. c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Października 1860 r.

a. 6. *b. Józef Kleczyński. c.* uczeń Gimn. Real. d. 8 Października 1860 r.

e. wszyscy trzej obwinieni o rozprzestrzenianie pomiędzy publicznością proklamacyi, wierszy, oblewanie tejże publiczności ubrania kwasem siarczanym i rozmyślne wylanie w teatrze cuchnącego płynu podczas bytności tamże Najjaśniejszego Pana.

f. Sprawa ukończona i przedstawiona do decyzyi J. O. ks. Namiestnika, lecz decyzya jeszcze nie wydana. *NB.* Trąbczyński osadzony w Ordynanshausie.

III. *a.* 7. *b. Narcyz Jankowski. c.* dym. porucznik Ułan. Ros. d. 7/19 Stycznia 1861 r.

a. 8. *b. Konstanty Szyszkowski. c.* uczeń Zakładu Mech. d. 8/20 Listopada 1860 r.

a. 9. *b. Bolesław Dehnel. c. b.* pisarz Konsyst. Wyz. Ew. Augs. d. 28 Listopada (10 Grudnia) 1860 r.

e. Jankowski aresztowany w Krakowie przez władze austryackie, wydany władzom naszym jako podejrzany o stosunki z partyą Mierosławskiego i zamiar zrobienia powstania w Królestwie. Dehnel zaś i Szyszkowski podejrzani o stosunki z Jankowskim w tymże samym celu.

f. jak w kategoryi drugiej.

IV. *a.* 10. *b. Aleksander Bondzewicz. c.* Magazynier kolei żel. Warsz. Wied. d. 30 Grudnia 1860 r. (11 Stycznia 1861 r.).

e. obwiniony o posiadanie zabronionych książek i wierszy.

f. jak w kategoryi III.

V. *a.* 11. *b. Andrzej Sikorski. c.* Guwerner Inst. Szlach. d. 12/24 Stycznia 1861 r.

a. 12. *b. Adam Rzeszotarski. c.* syn obywatela ziem. d. 14/26 Stycznia 1861 r.

e. Sikorski obwiniony o posiadanie zakazanych książek i wierszy, a Rzeszotarski o napisanie do Sikorskiego listu z Paryża, w którym opisuje o zawiązanych znajomościach z członkami partyi Mierosławskiego.

f. Sprawa ta z decyzyi J. O. ks. Namiestnika oddana pod Sąd wojenny; lecz sąd do czynności jeszcze nie przystąpił.

VI. *a.* 13. *b. Antoni Załuskowski. c.* syn obywatela ziemsk. d. 26 Stycznia (7 Lutego) 1861 r.

e. aresztowany z powodu włożenia na siebie w czasie maskarady kostiumu niewolnika, obciążonego łańcuchami. *f.* jak w kategoryi V.

VII. *a.* 14. *b. Stanisław Krupski.* *c.* poddany Austryacki d. 1/13 Lutego 1861 r.

e. okazał się być agentem rządu austryackiego i takież obowiązki przyjął w Warszawie, gdzie rozsyłał bezimienne listy i przylepiał po ulicach proklamacye powstańcze:

f. Sprawa ukończona, lecz decyzya J. O. ks. Namiestnika nie nastąpiła.

VIII. *a.* 15. *b. Ignacy Starzyński.* *c.* utrzymujący się z prac literackich d. 8/20 Lutego 1861 r.

a. 16. *b. Henryk Sykłowski.* *c.* subjekt handlowy, d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 17. *b. Antoni Nassalski.* *c.* student Akademii medyko-chirurgicznej [1]).

e. pierwsi dwaj obwinieni o rozsyłanie w Lublinie bezimiennych listów i wybijanie tamże okien, a trzeci podejrzany o kompozycyą tychże listów, posiadanie proklamacyi Mierosławskiego i zbieranie w Lublinie składek.

f. z powodu nienaznaczenia nowego inkwirenta do Komisyi Śledczej instrukcya tej sprawy nie rozpoczęta.

IX. *a.* 18. *b. Władysław Krajewski.* *c.* student Akad. Medycznej d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 19. *b. Stanisław Szachowski.* *c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 20. *b. Ludwik Balcer.* *c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

a. 21. *b. Karol Nowakowski.* *c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 22. *b. Józef Turowski.* *c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

a. 23. *b. Leopold Cieleski* [2]) *c.* uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 24. *b. Ludwik Biernacki.* *c.* pisarz prywatny, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

---

[1]) W egzemplarzu litogratowanym protokółów Delegacyi, z których niniejszy przedruk dokonany został, Nassalski dopisany jest ołówkiem. W przekładzie rosyjskim tychże protokółów, jaki dołączył Podwysockij do swych „Zapisek Oczewidca“, Nassalski jest pomieszczony, z tym dodatkiem, że aresztowany został d. 26 Lutego 1861 r. (Przyp. Wydawcy).

[2]) Właściwie Cielecki. (Przyp. Wydawcy).

e. Nowakowski, Turowski i Cielecki, obwinieni o krzyki na Gołębiej ulicy w dniu 13/25 Lutego r. b. i pobicie dozorców, a Nowakowski nadto o pobicie policyanta Tadeuszka w głowę, skutkiem czego pogiął mu kaskę (sic). Biernacki o krzyki, aby illuminować miasto i uderzenie żelaznym prętem w głowę policyanta, chcącego go zatrzymać. Krajewski o krzyki i ranienie żandarma w twarz. Szachowski o krzyki — i Balcer o rozlepienie na ulicy Elektoralnej plakatów.

f. z powodu nienaznaczenia nowego inkwirenta do Komisyi Śledczej, instrukcya tej sprawy nie rozpoczęta.

X. *a.* 25. *b. Józef Cywiński. c.* dym. oficer wojsk rosyj., d. 21 Lutego (5 Marca) 1861 r.

e. obwiniony o namawianie uczniów Gimn. Piotrkowskiego do powstania i rozdawania im broni, aresztowany przez tychże uczniów. *f.* jak w kategoryi IX.

Lista zakończona jest następującem zaświadczeniem JW. Jenerała Pauluzzi:

„Zapewniam niniejszem, że prócz osób w liście tej wymienionych więcej nikogo za polityczne przewinienia w Cytadeli aresztowanego niema, że porządek, za czasów pełnienia przezemnie obowiązków Prezesa Komisyi Śledczej zaprowadzony, dotychczas istnieje, a nadto J. O. książę Namiestnik rozkazał w miejsce dotychczasowego etatu po kop. 30 na osobę, wyznaczyć po kop. 45 dziennie w Warszawie d. 24 Lutego (7 Marca) 1861 r. Jenerał Pauluzzi".

W czasie rozpoznawania tej listy Delegacya miała sobie przedstawione liczne prośby tak ustnie jak i na piśmie o wstawienie się do Władz, celem wyjednania złagodzeń losu uwięzionych, tudzież ich uwolnienia, które też Delegacya w następstwie szczegółowo rozpatrzy: obecnie zaś

Delegacya, wychodząc z zasady, że wszystko, cokolwiek przyczynić się może do uspokojenia umysłów, wchodzi w zakres jej działania, i że takowe o tyle tylko skutecznem być może, o ile Delegacya będzie ciągle organem ludności pośredniczącym u Władzy; mając na uwadze, że los więźniów znakomicie wpływa na dzisiejszy stan umysłów, ma honor przedstawić niektóre ogólne uwagi co do komunikowanej jej listy uwięzionych. W zadaniu swojem kieruje się Delegacya jedynie treścią zakomunikowanej listy, gdyż akta spraw nie są jej znane.

Przedewszystkiem nadmienić wypada, że trzej pierwsi oskarżeni należą do kategoryi, którą zajmować się nie może być zadaniem Delegacyi, że następnie w liczbie uwięzionych znajduje się jeden agent prowokacyjny zagraniczny, a drugi aresztowany przez uczniów Gimn. Piotrkowskiego, że więc właściwie znajduje się w Cy-

tadeli dwudziestu więźniów, których los publiczność obchodzi; co do tych więc Delegacya ma zaszczyt przedstawić następujące uwagi:

a. Bondzewicz i Sikorski są oskarżeni o posiadanie zakazanych książek i wierszy. Nadmienić tu wypada, że lista książek zakazanych, o ile wiadomo Delegacyi, nigdy publikowaną nie była, w każdym zaś razie za posiadanie pism, choćby nawet podburzających do oporu władzom, przez Rząd ustanowionym, ustęp drugi Art. 265 k. k. G. i P. oznacza karę aresztu od 3-ch dni do 3-ch tygodni, lub naganę w obec sądu, karę nierównie mniejszą, od wysiedzianego już przez Bondzewicza i Sikorskiego w Cytadeli aresztu. Zresztą czyny, o których tu mowa, jako objęte działem III Kod. kar. nie podlegają podług art. 29 Ustawy Przechodniej z r. 1847 pod jurysdykcyą Sądów wojennych.

b. Obwinieni o krzyki na Gołębiej ulicy lub pobicie policyantów w d. 13/25 Lutego r. b. Władysław Krajewski, Stanisław Szachowski, Józef Turowski, Karol Nowakowski, Leopold Cielecki, Ludwik Biernacki, podlegaćby się zdawali karom w art. 302 k. k. G i P. objętym, z których najsurowszą jest areszt od 3-ch dni do 3-ch miesięcy, zaś zarzut czyniony Ludwikowi Balcer odnosić się zdaje do art. 315 tegoż kodeksu. Obwinieni obu powyższych kategoryi kwalifikowaliby się zdaniem Delegacyi do odpowiadania z wolności, nim sądy właściwe o istocie czynu zadecydują.

c. O ile z określenia czynu w zakomunikowanej liście wnioskować można, Delegacya nie może dopatrzeć dostatecznie czynu karygodnego co do Antoniego Załuskowskiego o włożenie kostiumu niewolnika podczas maskarady. Podobnież co do Adama Rzeszotarskiego, sam fakt znajomości członków partyi Mierosławskiego i napisanie o tem listu, jeżeli inne nie zachodzą zarzuty, nie zdawałby się także ulegać jakiejkolwiek karze przez kodeks karny ustanowionej.

d. Co do obwinionych Adama Trąbczyńskiego, Henryka Filipowicza i Józefa Kleczyńskiego, jeżeli czyny w oskarżeniu wymienione, dowiedzione im zostały, Delegacya nadmienić to tylko może, że obwinieni są małoletni i uwięzienie ich trwa już blizko pięć miesięcy.

e. Co do Narcyza Jankowskiego, Konstantego Szyszkowskiego i Bolesława Dehnela, Delegacya ośmiela się upraszać o przyspieszenie decyzyi zgodnie z zasadami ludzkości.

f. Co do Ignacego Starzyńskiego, Henryka Szydłowskiego i Antoniego Nassalskiego, Delegacya z zakomunikowanej listy nie może sobie na teraz dostatecznie zdać sprawy o doniosłości oskarżenia; a w razie, jeżeli czyn ich nie przechodzi art. 285 k. k. G. i P. postąpienie z nimi jak z innymi obwinionymi tej kategoryi za stosowneby uważała.

Wyszczególniwszy powyższe okoliczności, które z samego już stanowiska prawnego przytoczyć się dają, Delegacya pozwoli sobie upraszać JW. Jenerała Pauluzzi, aby te względy przedstawić raczył J. O. ks. Namiestnikowi z powodu, że takowe może na los więźniów wpłynąćby mogły. Obok tego wszakże, mając sobie powierzone zadanie utrzymania porządku i bezpieczeństwa, Delegacya najmocniej uprasza o zwrócenie uwagi, że wszystkie te czyny zdają się być wynikiem ogólnego wzburzenia, które w ostatnich wypadkach tak widocznem się stało. Delegacya jest przekonaną, że w obecnym czasie odstąpienie od środków karnych, skoro dojdzie do wiadomości publicznej, przyczyni się do uspokojenia umysłów.

Następnie członkowie Ksawery Schlenker i Jakób Piotrowski zdali sprawę z czynności powierzonej im na posiedzeniu w dniu onegdajszym, odbytem w słowach następujących: „Z powodu słabości JW. Jenerała Pauluzzi, udaliśmy się do JW. Jenerała Adjutanta Kotzebue z przełożeniem, aby raczył w tym samym dniu jeszcze przedstawić J. O. ks. Namiestnikowi potrzebę zwolnienia obostrzeń w Cytadeli w ostatnich dniach zaprowadzonych. W skutek tego przybył z odpowiedzią pułkownik i oświadczył, że J. O. książę Namiestnik polecił Jenerałowi Jermołow, żeby dozwolono odwiedzać uwięzionych nietylko krewnym ale i znajomym, bez legitymowania się przez policyą, byleby tylko nie zgromadzano się tam zbyt tłumnie“.

Co się tyczy prośby, żeby żołnierzom ponownie wydany był rozkaz odpowiedniego zachowania się względem publiczności, JW. Jenerał Kotzebue oświadczył, że polecenia w tej mierze dwukrotnie wydane zostały i że sam osobiście upomina oficerów, aby tego najsurowiej przestrzegali, że jednak na skutek naszej prośby nowego rozkazu wydać nie omieszka“.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie d. 12 Marca o godz. 1-ej.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie zgromadzili się członkowie pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi — przedewszystkiem wypada nadmienić, że zamieszczone we wczorajszym protokóle uwagi względem więźniów przez członków Delegacyi, Jakóba Piotrowskiego, Ksawerego Schlenkera i L. Kronenberga zakomunikowane zostały JW. Jenerałowi Pauluzzi, który następnie miał zaszczyt przedstawić je J. O. księciu Namiestnikowi i w odpowiedzi na takowe obecnie oświadczył, że J. O. książę Namiestnik przedstawienie Delegacyi bardzo dobrze przyjąć raczył i że obecnie losem więźniów się zajmuje, czego dowodem jest, że już jednego z nich Stanisława Szachowskiego uwolnić polecił; co do innych zaś uwięzionych JW.

Jenerał Pauluzzi wyraził nadzieję, iż względem ich losu w bardzo krótkim czasie przychylna nastąpi decyzya.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym d. 13 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi. Przedewszystkiem członek Delegacyi Ksawery Szlenker oświadczył, że w dniu dzisiejszym o godz. 12-ej w południe wezwany został wraz z Leopoldem Kronenbergiem, członkiem Delegacyi do J. O. księcia Namiestnika, który im jako i jednocześnie zawezwanym Metropolicie Arcybiskupowi Fijałkowskiemu, Andrzejowi hr. Zamoyskiemu i hr. Władysławowi Małachowskiemu odczytać raczył Najwyższe pismo Najjaśniejszego Pana do J. O. księcia Namiestnika adresowane, którego treść główna jest ta, że Najjaśniejszy Pan zamierza zaprowadzić reformy w Królestwie Polskiem, czem teraz zajmować się raczy i liczy na utrzymanie porządku i spokojności ze strony mieszkańców Królestwa. Następnie delegowanym wyżej rzeczonym komunikowanem zostało poufnie, iż pierwszemi reformami, zaprowadzić się mającemi, będą:

1-o Utworzenie Rady Stanu, do której składu wejść mają uzdolnieni obywatele, ludzie zaufania.

2-o Urządzenie Rad Municypalnych po miastach w kraju, na zasadzie wyborów.

3-o Zupełna zmiana systemu wychowania publicznego.

4-o Wezwani będą uzdolnieni obywatele, ludzie zaufania, w celu naradzenia się nad potrzebami kraju. Wszystkie te projekta w ciągu dni 12 ogłoszone być mają.

Po zapisaniu powyższej relacyi członka Delegacyi Ksawerego Schlenkera, nadmienić tu wypada, że JW. Jenerał Pauluzzi zawiadomił w dniu wczorajszym Wice-Prezesa Delegacyi Jakóba Lewińskiego o uwolnieniu z Cytadeli Józefa Turowskiego, zaś w dniu dzisiejszym o uwolnieniu następujących więźni: Adama Trąbczyńskiego, Aleksandra Bondzewicza, Andrzeja Sikorskiego, Antoniego Załuskowskiego, Leopolda Cieleskiego, Henryka Sykłowskiego, Adama Rzeszotarskiego, Ignacego Starzyńskiego, Konstantego Szyszkowskiego. Po wysłuchaniu relacyi członka Delegacyi Ksawerego Schlenkera, Delegacya objawiła zdanie następujące: Delegacya obywateli miasta Warszawy, powołana zaufaniem mieszkańców 27 Lutego, upoważniona przez J. O. księcia Namiestnika, w Ratuszu umieszczona, przyjęła mandat wpływania na uspokojenie umysłów do nadejścia odpowiedzi od Najjaśniejszego Pana na adres przez mieszkańców Kró-

lestwa, i mandat ten wśród najdrażliwszych okoliczności dopełniła tylko siłą moralną i wpływem, jakie jej dało zaufanie obywateli. Dzisiaj w przekonaniu, że mandat ten udzielony jest doraźnie i czasowo, ustaje, Delegacya uważa za obowiązek, odpowiadając położonemu w niej zaufaniu, przedstawić potrzeby miasta, które, aczkolwiek nader drobne z ogólnemi potrzebami kraju, są wszakże ogólnych pragnień odbiciem. Za najpierwszy warunek i rękojmię porządku uważa Delegacya, powierzenie Zarządu miasta, administracyi dochodów i podatków ludziom powołanym przez ogół swobodnymi wyborami obywateli bez różnicy stanu i wyznania. Za jeden z główniejszych powodów, na (sic) których dzisiejszy zarząd nie odpowiada swojemu zadaniu, opinia publiczna uważa rozdzielenie administracyi od policyi wykonawczej, któreby złączone być winny tak, aby tym sposobem policya nabrała charakteru zapobiegającej i opiekuńczej, w miejsce drażniącej i prowokacyjnej. W obec tych potrzeb Delegacya widzi się w obowiązku wypowiedzieć, że jak najprędsze zarządzenie wyborów zdaje się być koniecznością położenia.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 15 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi.

Przedewszystkiem Delegacya uważa się w obowiązku zamieścić tutaj, że zdanie jej, wyrażone na posiedzeniu z dnia 13 b. m. i r. określające mandat Delegacyi za ustały, wywołało ogólny objaw opinii publicznej, aby Delegacya pełnionych przez siebie obowiązków jeszcze nie opuszczała. Z powodu silnego wzruszenia umysłów, jakie obecnie na nowo się objawiło, Delegacya uważa za konieczne, aby zapowiedziane poufnie reformy jak najprędzej ogłoszonemi były i w wykonanie wprowadzone zostały. Delegacya uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. księcia Namiestnika ponieść raczył.

JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że, mając najzupełniejszą pewność prędkiego wprowadzenia w wykonanie zapowiedzianych reform, nie uważałby potrzeby osobnego przedstawienia do J. O. księcia Namiestnika, jednakowoż życzeniu Delegacyi zadosyćuczyni i zdanie jej J. O. księciu Namiestnikowi przedstawi. Delegacya następnie upraszała o ponowne przedstawienie J. O. księciu Namiestnikowi sprawy pozostałych w Cytadeli więźniów. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że spodziewa się wkrótce co do losu ich decyzyi.

Na tem protokół niniejszy zakończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym dnia 16 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi, który zakomunikował Delegacyi w przedmiocie Sądów wojennych co do spraw politycznych następujące wyjaśnienia na piśmie.

1-o Podług obowiązującej u nas ordynacyi kryminalnej pruskiej każdemu z obwinionych o jakiekolwiekbądź przestępstwo służy możność ustanowienia sobie obrońcy, który ma prawo znajdować się przy badaniu świadków (§ 340), asystować przy ostatecznem przesłuchaniu swego klienta (§ 342), akta śledcze do wyrobienia obrony powinny mu być po ukończeniu inkwizycyi komunikowane (§ 451); w tej obronie wykazać on może niedokładność śledztwu, żądać uzupełnienia takowego, zwrócić uwagę sądu na przepisy prawa, które względem wypadku (questionis) stosowane być winny. Ten przepis prawa podający obwinionemu wszelką możność usprawiedliwienia się miał głównie na celu, aby ścisła, bezwzględna była wyrządzona sprawiedliwość; taki też cel pojmując kodeks K. G. i P. nie tylko, że w tem postępowaniu nic zupełnie nie zmienił, ale owszem w Ustawie przechodniej z d. 11 Listopada 1847 r. § 53, wyraźnie postanowił, „iż w sprawach o przestępstwa i wykroczenia, zagrożone karami głównemi, obrony z urzędu przynoszone im będą, bez względu czyli obwinieni będą tego żądać lub nie“. Ponieważ sprawy o przestępstwa polityczne należą do rzędu ważniejszych i po większej części zagrożone są karami głównemi, obwinionym przeto bezwarunkowo dodawani być powinni obrońcy na zasadach, służących wszystkim oskarżonym (zwraca się tu uwagę, że nasi obrońcy sporządzają obronę w języku polskim i niewielu się zapewne znajduje władających tak dokładnie językiem rosyjskim, aby w nim obrony swoje pisać byli wstanie, a w takim razie, jeżeli sprawa przyjdzie pod decyzyą sądu wojennego, w którego składzie prawie zwykle są członkami osoby nierozumiejące po polsku, to obrona niepojęta przez nich i niekiedy niedokładnie tłomaczona, zamierzonemu nie odpowie celowi, chybaby do składu sądu wojennego delegowani byli członkowie cywilni, tak jak nam przedstawia niejako obraz tego ogólne zebranie rządzącego Senatu).

2-o Co się tyczy prawa i procedury, jakiemi się rządzą sądy wojenne, takowe objęte są w dziele pod tytułem: Swod wojennych zakonow, część V, Ustaw wojenno-ugołownyj z 1855 roku T. 12 (jest jeszcze nowsze wydanie z dopełnieniem postanowień od r. 1855, o którem było ogłoszenie w gazetach, lecz dotychczas z Petersburga władzy nie nadesłany) Pauluzzi.

Po rozpoznaniu tego pisma, Delegacya czuje się w obowiązku wyrazić:

a) że, jak się pokazuje, przyczyną, dla której obwinieni polityczni nie mieli dotąd dodawanych obrońców, nie są specyalne przepisy wojenne, ale ta okoliczność, że sądzący nie znają języka polskiego. Trudność ta byłaby usuniętą, gdyby na sędziów mianowanemi były osoby jedynie język krajowy posiadające, co tem bardziej jest koniecznem, że i swiadkowie w sprawach słuchani, rozumianymi być muszą.

b) że prawo pod tytułem: „Swod wojennych prawlenii“, którego właściwie uzupełnione wydanie dotąd nawet nadesłanem nie zostało, nie jest w kraju obowiązującem.

Ponieważ J. O. książę Namiestnik wyrazić raczył życzenie, aby obrona obwinionym politycznym zapewnioną była, Delegacya nie wątpi, że JW. Jenerał Pauluzzi raczy powyższe jej zdanie przedstawić J. O. księciu Namiestnikowi, a przez to spełnienie życzenia J. O. księcia Namiestnika przyspieszy. Następnie Delegacya, mając na uwadze wzburzenie, objawiające się między ludnością, wśród której rozprzestrzeniane są różne wieści, niepokojące umysły, powołując się na dzisiejszą odezwę J. O. księcia Namiestnika, w której nadzwyczajne środki, przez policyą przedsiębrać się mające, są wzmiankowane — powołując się na protokół swój z d. $^{6}/_{3}$ r. b. w którym zawiadomienie poprzednie Delegacyi w takich razach przez JW. Jenerała Pauluzzi było przyrzeczone — wnioskując z dzisiejszej odezwy J. O. księcia Namiestnika, że w zamiarze władzy interwencya policyi zastąpić ma wpływ moralny przez Delegacyą dotychczas wywierany, uważa, że wpływ ten byłby tym sposobem stanowczo zwichnięty i dalsze urzędowanie Delegacyi nie przynosiłoby korzyści, uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. ks. Namiestnika ponieść raczył. W takich okolicznościach Delegacya najusilniej prosi JW. Jenerała Pauluzzi o jednoczesne przedstawienie J. O. księciu Namiestnikowi zakończenia swego protokółu z d. 13 b. m. i roku, tyczącego się zarządu miasta.

W końcu JW. Jenerał Pauluzzi zakomunikował co następuje. Przedstawiłem J. O. księciu Namiestnikowi prośbę o uwolnienie pozostałych więźniów i spodziewam się, że weźmie ją na uwagę, gdyż na dzisiejszej audyencyi bardzo przychylnie przyjął przedstawione Mu podanie z prośbą do J. C. Mości o powrócenie z wygnania Stefana Dobrycza.

Nareszcie na zapytanie Delegacyi, czy wieści o zaszłych jakoby aresztowaniach kilku osób z prowincyi są uzasadnione, JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że nic mu o tem nie wiadomo. Delegacya przedstawiła jeszcze powziętą wiadomość, że w Lublinie aresztowany jest i uwięziony od dwóch tygodni Mysłowski, aplikant Sądu

poprawczego, prosiła o wiadomość o przyczynach tego aresztowania. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że o tem aresztowaniu żadnej niema wiadomości, lecz takową zasięgnie i Delegacyi udzieli.

Na tem protokół zakończony, przeczytany itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym d. 18 Marca 1861 r. o godz. 1-ej w południe.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie zgromadzili się niżej podpisani członkowie pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi. Wice-Prezes Delegacyi J. Lewiński złożył Delegacyi list JW. Jenerała Pauluzzi, otrzymany w dniu wczorajszym treści następującej:

Kochany Panie! co się tyczy wczorajszej odezwy, mam honor przedstawić Panu, że J. O. książę Namiestnik uważał się w obowiązku jej ogłoszenia z powodu, że doszło do Jego wiadomości, że w mieście znajdują się ajenci prowokacyjni, którzy usiłują niepokoić publiczność i Rząd pod względem manifestacyi, mogących mieć miejsce, oprócz tego J. O. książę Namiestnik zmuszony był uczynić krok ten z powodu, że wiele osób powołanych do dania objaśnień o opłakanych wypadkach d. 25 i 27 Lutego zeznało, iż wcale nie miały wiadomości o tem, że takie manifestacye są przez Rząd zabronione. Co się zaś tyczy pracy o municypalności, J. O. książę Namiestnik upoważnił mnie do oświadczenia Panu, że rzecz ta już jest opracowywaną.

Po przeczytaniu powyższego pisma Delegacya zapytała JW. Jenerała Pauluzzi, czy list powyższy ma być uważany za odpowiedź na przedstawienie Delegacyi, doręczone J. O. księciu Namiestnikowi przez JW. Jenerała Pauluzzi, a mianowicie za odpowiedź na część przedstawienia tyczącą się zarządu miasta. JW. Jenerał Pauluzzi na powyższe pytanie dał odpowiedź twierdzącą.

Opierając się na brzmieniu odezwy J. O. księcia Namiestnika w d. 16 b. m. w pismach publicznych umieszczonej, z której się okazuje, że istnieją poduszczenia ajentów prowokacyjnych w celu pobudzenia do manifestacyi, Delegacya jeszcze raz widzi się w konieczności wykazania, jak dalece działalność służby obywatelskiej, która już wielokrotne dała dowody swej skuteczności, nadal stosowną by była. Delegacya uprasza o upoważnienie do użycia tej służby w razie zachodzącej potrzeby. Nadmienia przytem, że chociaż zewnętrzne oznaki dla poznania obywateli, do służby obywatelskiej należących, byłoby bardzo pożyteczne, jednak na żądanie Władzy od tego warunku odstępuje, udzielając w zamian za to każdemu z obywateli do tej służby należących, odpowiednią kartkę, którą w potrzebie okazać i charakter swój wylegitymować był w stanie. W skutek tego wniosku JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że gdy współ-

działanie obywateli zawezwanych przez Delegacyą już trzykrotnie okazało się skutecznem, JW. Jenerał na użycie służby obywatelskiej w razie zachodzącej potrzeby zezwala, z tem zastrzeżeniem, aby cech zewnętrznych urzędowych nie było i on o nastąpionem użyciu był zawiadomiony. W końcu członek Delegacyi Ksawery Schlenker doniósł, z uwagi, że wszystko co dotyczy dobra i pokoju miasta, Delegacyi obywatelskiej wiadomem być winno, iż na d. 17 b. m. Zgromadzenie kupców obywateli Warszawy odbyło ogólne posiedzenie w Resursie kupieckiej, na którem jednomyślnie następującą protokólarną uchwałę przyjęło:

Działo się w Warszawie d. 17 Marca 1861 r. na posiedzeniu ogólnem Zgromadzenia kupców w Resursie kupieckiej.

Zebrani niżej podpisani członkowie Zgromadzenia kupców m. Warszawy po wysłuchaniu przedstawienia Starszego Zgromadzenia Ks. Schlenkera, czy nie należy zaprowadzoną w r. 1817 w Zgromadzeniu i dotąd utrzymywaną podwójną listę kupców t. j. jedną kupców chrześcian, drugą kupców Starozakonnych, zlać w jedno, a to dla dania jawnego i głośnego objawu tolerancyi dla wyznawców religii Mojżeszowej, którzy okazali żywe sympatye dla sprawy ogólnej w ostatnich wydarzeniach kraju. Zgromadzenie zebrane, osądziwszy sprawiedliwość wniosku, na zlanie w jedną listę kupców chrześcijan i starozakonnych jednomyślnie zezwala i wniosek Starszego w zupełności przyjmuje.

Członek Delegacyi Ks. Schlenker wniósł dalej, czy Delegacya nie uzna stosownem, aby dołożyć starań, aby powyższy protokół Zgromadzenia kupców przez pisma publiczne do wiadomości ogólnej mógł być podany, by tym sposobem służył za przykład innym warstwom społeczeństwa krajowego. Delegacya w uznaniu ważności postanowienia powyższego na Zgromadzeniu kupców przyjętego, wiadomość tę z radością i współczuciem przyjęła i obok podziękowania członkowi swojemu Ks. Schlenkerowi wniosek jego popierać postanowiła wszelkimi środkami, jakie od niej zależą.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie dnia 20 Marca 1861 r. o godz. 1-ej po południu.

Na dzisiejsze posiedzenie zebrali się niżej podpisani członkowie pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi.

1-o Z powodu obiegających pogłosek o istnieniu listy osób podejrzanych, Delegacya, powodowana bezwzględnem uczuciem sprawiedliwości, czuła się w obowiązku wydania w dniu wczorajszym

następującego obwieszczenia: „Doszło do wiadomości Delegacyi, że cyrkulują po mieście listy, jakoby to z pism zagranicznych wypisane, szarpiące honor różnych a nawet i nader poważnych osób. Nie mogąc być obojętną w tak ważnej okoliczności, Delegacya przedsięwzięła wszelkie zawisłe od niej środki dla sprawdzenia tej przynajmniej okoliczności, czyli była istotnie lista jaka w pismach zagranicznych ogłoszoną, ale przekonania tego bynajmniej nie nabrała. Gdy zatem wszelkie jest prawdopodobieństwo, że listy te, na których coraz nowe wymienione są nazwiska, są poprostu dziełem nierozwagi i złośliwej swawoli, Delegacya czuje się w obowiązku przestrzedz publiczność, i upraszać, aby mniemanym listom żadnej cechy autentyczności nie mającym, wiara dawaną nie była. Honoru cudzego szarpać i mieszkańców jednych przeciw drugim podburzać wcale nie wypada, każdy przeto dobrze myślący obywatel powinienby wpływem swoim dalszemu rozprzestrzenianiu nieuzasadnionych paszkwilów zapobiegać.

2-o Doszło do wiadomości Delegacyi, że studenci Uniw. Petersburskiego, którzy przybyli do Warszawy za odpowiednimi urlopami Zwierzchności Uniwersyteckiej, niepokojeni są przez policyą tutejszą. Władza policyjna bez przytoczenia prawnych przyczyn swego postępowania, oznajmiła studentom, że otrzymała polecenie wysłania ich najdalej d. 22 b. m. z powrotem do Petersburga. Delegacya ma honor zwrócić uwagę JW. Jenerała Pauluzzi, że o tym nadzwyczajnym środku policyi uwiadomioną nie była, gdy zaś żadne zasady prawne takiego postępowania interesowanym objawione nie zostały, uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby raczył wydać polecenie wstrzymania tego rodzaju kroków. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że studenci, o których mowa, zmuszeni do wyjazdu nie będą.

3-o Z powodu wydanego okólnika do Gubernatorów cywilnych, rozporządzającego różne środki nadzwyczajne, mające być zaleconymi niższym władzom Administracyjnym i Policyjnym, Delegacya uczyniła do J. O. księcia Namiestnika przedstawienie, oparte na jednomyślnem wyrażeniu się opinii publicznej i prosiła Jego ks. Mości o przedsięwzięcie właściwych środków w celu uspokojenia i przywrócenia zaufania, powyższem rozporządzeniem wstrząśnionego. Delegacya prosiła JW. Jenerała Pauluzzi, aby ze swej strony przedstawienie to poprzeć raczył. JW. Jenerał oświadczył, że poparcia swego nie odmawia.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie dnia 21 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi zebrali się niżej podpisani członkowie.

1-o Posiedzenie rozpoczęte zostało odpowiedzią JW. Jenerała Pauluzzi na przedstawienie Delegacyi do J. O. księcia Namiestnika uczynione w przedmiocie okólnika wydanego przez Dyrektora Głównego w Komisyi Rz. S. W. i D. Muchanowa do Gubernatorów Cywilnych. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył,

a) że okólnik wspomniony nieodpowiednio jest tłomaczony; b) że z początku przez pomyłkę opuszczono wójtów gmin. pomiędzy wymienionemi władzami, którym okólnik miał być komunikowany; c) że jednak zaraz to sprostowanem zostało i w okólnikach wójtów gmin. wyszczególniono; d) że wreszcie oprócz zapowiedzianych reform, których ogłoszenie lada dzień może być spodziewanem, zajdą wkrótce zmiany, które zadowolnią opinię publiczną, okólnikiem niepokojoną.

Delegacya po otrzymaniu tej odpowiedzi powtórzyć tylko może, że jej wczorajsze przedstawienie było i jest odgłosem jednomyślnym kraju całego.

2-o Delegacya na skutek zaniesionego do niej żądania zaznacza w protokóle swoim podług relacyi członka swego ks. Steckiego fakt następujący:

W dniu wczorajszym zebrali się w gmachu Resursy kupieckiej fabrykanci i Starsi zgromadzeń rzemieślniczych, którzy jednomyślnie uchwalili, aby wygotowano projekt uformowania korporacyi, mającej mieć na celu rozwój rękodzielnictwa i przemysłu. Do ciała tego postanowiono (w razie zezwolenia Rządu do jego utworzenia) dopuścić wszystkich przemysłowców i rękodzielników krajowych bez różnicy stanu i religii. Tym końcem przedewszystkiem zgodzono się na przypuszczenie Starozakonnych do istniejących już cechów.

Wreszcie Zgromadzenie postanowiło, aby przedsięwzięte były kroki celem wyjednania zezwolenia Rządu, której (? zdaje się Resursy rzemieślniczej) projekt podanym jest Radzie administracyjnej pod zatwierdzenie.

Fakt powyższy, dowodzący zgody i jedności obywateli, przemysłowi fabrycznemu i rękodzielniczemu oddanych, Delegacya z radością i współczuciem w protokóle zaznacza.

Na tem protokół ukończony, przyjęty itd. [1]).

Dnia 22 Marca 1861 r. posiedzenia Delegacyi nie było. Delegacya jednak oświadczyła, że J. O. książę Namiestnik Królestwa

[1]) W egzemplarzu jaki mieliśmy przed sobą, w tem miejscu dopisano atramentem czerwonym te słowa: „po odczytaniu protokółu powyższego, zagrzmiała sala okrzykiem: „precz z Muchanowem!“

wezwał do siebie 4 członków i. dziękując im za porządek miasta, raczył uczynić 4-ry kwestye, na które członkowie, nie będąc w komplecie, udzielić odpowiedzi nie byli w możności i odłożyli ją do dnia następnego.

Przytem Delegacya zawiadamia, że w dniu dzisiejszym uwolniony został z Cytadeli Antoni Nassalski, student Akademii medycznej.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 23 Marca 1861 r. o godz. 11-ej w południe.

W dniu wczorajszym o godz. 12 w południe J. O. książę Namiestnik zawezwać raczył do siebie JW. Jenerała Pauluzzi, oraz członków Delegacyi J. Lewińskiego, L. Kronenberga, Ks. Schlenkera i M. Rosena — wyraziwszy im podziękowanie za dotychczasowe czynności Delegacyi, oświadczył, że Delegacya obywatelska m. Warszawy w dotychczasowej formie urzędować przestanie, a po dalszą decyzyą w dniu dzisiejszym zgłosić się polecił.

W dniu dzisiejszym J. O. książę Namiestnik oświadczyć raczył, że utworzony ma być wydział tymczasowy obywateli, składający się z 8 osób, z grona Delegacyi wybranych, zasiadających w Magistracie, z temi samemi atrybucyami, jakie miała przestająca istnieć Delegacya, i z zastrzeżeniem, aby ogłaszanie protokółów ustało.

Członkowie Delegacyi m. Warszawy w wykonaniu woli J. O. księcia Namiestnika zebrali się w dniu dzisiejszym na zakończenie swych dotychczasowych czynności i spisanie protokółu rozwiązania. Zarazem mając na uwadze, że nowo utworzony Wydział obywatelski, pozostając przy tych samych atrybucyach, jakie miała Delegacya m. Warszawy, będzie mógł zawsze, choć pod zmienioną formą służyć za przedstawiciela i pośrednika w opinii miasta u władzy, a tym sposobem zapewnić obywatelom wpływ odpowiedni w rozmaitych okolicznościach, postanowił wydelegować ze swego grona 8 członków, którzy stanowić mają nowo utworzony Wydział obywatelski.

Powołując się na protokół z d. 13 b. m. tyczący się potrzeb miasta, członkowie Delegacyi uważają się w obowiązku zamieszczenia jeszcze projektu urządzeń municypalnych dla m. Warszawy, wyrażając w tym przedmiocie życzenia mieszkańców i upraszając JW. Jenerała Pauluzzi, aby takowy J. O. książę Namiestnik przedstawić raczył.

Projekt. W celu doprowadzenia do skutku reformy dotychczasowego zarządu miast Królestwa Polskiego, odpowiednio prawdziwym korzyściom i stanowi kraju, tudzież potrzebom miejscowym i zwyczajom mieszkańców względem zarządu municypalnego miasta stołecznego Warszawy, głos powszechny mieszkańców następujące wskazuje potrzeby i zasady:

1-o Zarząd miasta porucza się Zwierzchności przez Zgromadzenie miejskie wybranej.

2-o Zwierzchność miejska składa się z Rady Municypalnej i Prezydenta, który nosić będzie tytuł Prezydenta Municypalności i Policyi.

3-o Do pomocy Prezydentowi w załatwieniu zwyczajnych czynności zarządu przydani będą czterej Radni i czterej Ławnicy, oraz Sekretarz jeneralny i Kasyer główny ze stosowną liczbą osób biuro zarządu składających, oraz Komisarzami cyrkułowymi z odpowiednią służbą obywatelską i policyjną.

4-o Rada miejska składać się będzie z 24 członków, noszących tytuł Radców municypalnych, wybieranych przez mieszkańców miasta, podług prawideł niżej wskazanych. Urzędowanie Radców municypalnych jest bezpłatne i trwać będzie lat trzy, co rok $^1/_3$ część Radców przez wybory odnawianą będzie; członkowie wychodzący mogą być na nowo wybrani.

5-o Prezydent Municypalności i Policyi mianowany będzie przez Króla na przedstawienie Rady Municypalnej z liczby trzech kandydatów, wybranych przez mieszkańców w sposób poniżej określony. Urzędowanie Prezydenta trwać będzie lat trzy i może być na nowo wybrany.

6-o Radni, Ławnicy, Sekretarz generalny i Kasyer główny wybierani będą na lat 12, w sposób powyższym artykułem oznaczony. Inne osoby należące do Biura Zarządu miejskiego jako to: Technicy, Budowniczowie, Inżenierowie, Medycy, mianowani będą przez władze właściwe na przedstawienie Rady Municypalnej.

7-o Rada Municypalna zgromadza się w stale oznaczonych przez siebie terminach, właściwych do załatwienia należących do nich przedmiotów, oraz w każdym czasie na wezwanie Prezydenta Municypalności i Policyi, lub na żądanie trzech swoich członków; do czynności zaś ciągłych wyznaczona będzie z łona Rady municypalnej Deputacya w liczbie 8.

8-o Na Radzie Municypalnej przewodniczy Prezydent, lub gdyby Prezydent zasiadać nie mógł, członek najstarszy wiekiem; Rada Municypalna nie może nic w przedmiotach obradom jej podległym decydować, gdy przynajmniej $^2/_3$ członków nie są przytomnymi. Uchwały Rady zapadają większością głosów. Obrady będą jawne i protokóły obrad ogłaszane będą drukiem w Gazecie.

9-o Atrybucye Rady Municypalnej są następujące:

a) obmyślanie i zarządzanie wszelkich środków, mających na celu zapewnienie spokojności, porządku i bezpieczeństwa miasta; b) zarząd własnością miasta; nabycia, zamiany, sprzedaże własności miejskiej, zaciąganie pożyczek, których potwierdzanie zależeć będzie od władz wyższych; c) ustanowienie budżetu i w ogólności wszel-

kich dochodów i wydatków miasta tak zwyczajnych, jako i nadzwyczajnych, stanowienie miejscowych podatków, ciężarów, składek jak np. latarniowego, brukowego i t. p.; d) oznaczenie taryf i poborów, opłat miejskich, kwaterunku w naturze i pieniądzach. Stanowienie taks na artykuły żywności, oznaczenie samej potrzeby i wysokości tychże taks, tudzież nadzór nad egzekucyą wszelkich czynności ztąd wynikających; e) rozkład ciężarów na rzecz Skarbu publicznego i użytków, jakie miasto ze swych własności i funduszów ciągnie; f) zarządzanie wszelkiemi konstrukcyami, znacznemi reparacyami, demolicyami i w ogólności wszelkiemi robotami przedsięwziąć się mającemi, tak około budowli, jakoteż utrzymania regulacyi dróg, ulic, placów publicznych, bruków, kanałów, mostów, mostków, wodociągów, studzien, grobli, brzegów nadrzecznych, oświetlenia i oczyszczania miasta, porządków ogniowych i t. p.; g) zatwierdzenie warunków do licytacyi na przedsiębiorstwa, dostawy, dzierżawy i t. p. odbywanie i zatwierdzanie tychże licytacyi, lub oddawania przedsiębiorstw z wolnej ręki; h) pilnowanie praw miasta, zawierania transakcyi za zaciągnięciem opinii Radcy prawnego i Prokuratoryi w Królestwie; i) wykonywanie rozporządzeń testamentowych względem legatów, przeznaczonych na wsparcia, lub inne dobroczynne cele; k) utrzymanie i nadzór nad szkołami elementarnemi, cyrkułowemi i prywatnemi (jak do r. 1833); l) odbiór, rozpoznawanie i monitowanie rachunków od Prezydenta Municypalności i Policyi oraz Magistratu z użytych sum na potrzeby budżetem przeznaczonych, które to rachunki następnie wprost przesłane być mają do ostatecznej decyzyi Najwyższej Izby obrachunkowej; m) nadzór nad poborem do wojska, nad postępowaniem urzędników, służbą obywatelską i policyjną, rozpoznanie o decydowanie zaskarżeń z powodu egzekucyi, przepisów, przedstawień do alleniacyi i umorzenia nieopłaconych podatków, rozporządzeń dotyczących dobra miasta i t. d.; n) zatwierdzanie list wyborców, przygotowanych przez Deputacyą Rady Municypalnej; o) naradzanie się nad projektami dotyczącymi sposobu poprawienia administracyi miejscowej, projektowanie zmian istniejących przepisów i urządzeń, tudzież organizacyi Rady Municypalnej.

10-o Deputacya stała Rady Municypalnej oprócz załatwienia czynności bieżących trudnić się będzie kontrolowaniem ksiąg spisu ludności, formowaniem i rozpoznawaniem list wyborców, mieć udział w rewizyi kas, tudzież przygotowawczem opracowaniu przedmiotów, pod rozpoznanie Rady Municypalnej przyjść mających.

11-o Prezydent Municypalności i Policyi z pomocą Magistratu sprawować będzie następne obowiązki:

a) rozsyła, podaje do wiadomości publicznej i wykonywa urządzenia i rozporządzenia rządowe od Komisyi Rząd. Spraw Wewnętrznych odbierane; czuwa nad bezpieczeństwem majątków i osób mie-

szkańców, oraz nad porządkiem, czystością w mieście, w zakresie środków przez Radę Municypalną uchwalonych, zapobiega próżniactwu, włóczęgostwu i żebraninie; b) przedstawia Radzie Municypalnej projekta do budżetu i wszelkich ulepszeń w mieście; daje baczność na to wszystko, co w obwodzie miasta jest własnością publiczną, doziera robót publicznych przez Radę Municypalną zarządzonych; c) zawiaduje prowadzeniem rachunków, wypłaca sumy budżetem miasta przeznaczone z dochodów miejskich pochodzące i należytości za roboty publiczne przypadające. Dopełnia rewizyi kas miejskich wraz z Delegacyą stałą Rady Municypalnej; d) rozporządza pomocą do sprawiedliwego rozkładu i prędkiego poboru ciężarów publicznych; mianuje urzędników, oficyalistów i posługaczy od siebie zależących, na przedstawienie Rady Municypalnej; e) czuwa nad postępowaniem tychże urzędników i oficyalistów, niepoprawnych przez siebie mianowanych oddala, a o innych Radę Municypalną zawiadamia; f) prowadzi ciągłą kontrolę ksiąg ludności niestałej, wydaje świadectwa, pasporty i przesiedlania; ma dozór policyjny nad targami, wagą i miarą, wszelkim handlem i zarobkowaniem, porządkiem dróg i mostów, narzędzi ogniowych, jatek, szlachtuzów, aresztów i t. p.; g) załatwia czynności spisu wojskowego w zakresie przepisanym instrukcyą, łącznie z dwoma członkami Rady.

Wybory członków Rady Municypalnej i Kandydatów na Prezydenta.

1-o Wybory są podwójne, to jest wybory 1-go stopnia, wybierają wyborców stopnia 2-go, a ci ostatni członków Rady Municypalnej.

2-o Wyborcą 1-go stopnia jest każdy pełnoletni mieszkaniec miasta stołecznego Warszawy, mający kwalifikacye następujące: a) posiadający własność gruntową; b) fabrykant, rzemieślnik przełożony nad czeladzią warsztatową i czeladnik wyzwolony; c) bankier, kupiec handlujący, agent, komisant i subjekt kupiecki; d) duchowny, proboszcz, wikaryusz i przełożony zakonu lub każdej gminy religijnej; e) lekarz, nauczyciel, artysta, inżenier, technik wolno-praktykujący, aptekarz, obrońca sądowy, rejent, tudzież osoby poświęcające się naukom i posiadające wyższe ukształcenie; f) każdy ojciec familii nie należący do powyższych kategoryi, ponoszący jakiekolwiek ciężary gminne.

3-o Każdy wyborca 1-go stopnia mający lat 25 skończonych, czytać i pisać po polsku umiejący, może być powołanym na wyborcę stopnia 2-go do Rady Municypalnej.

4-o Na każde 500 dusz ludności stałej jeden wyborca 2-go stopnia powołanym będzie. Wybory odbywać się będą cyrkułami pod prezydencyą obywateli doraźnie na ten cel obranych przez wyborców.

5-o Wyborcy 2-go stopnia wybierają większością głosów 22 członków Rady Municypalnej, trzech kandydatów na Prezydenta, z których nie utrzymujący się zostają Radcami Municypalnymi i ci urząd Prezydenta mają zastępować, tudzież Radnych Magistratu, Ławników, Sekretarza jeneralnego i Kasyera, a to z osób stale w mieście osiadłych lub innych krajowców własnej lub obcej gminy.

6-o W liczbie kandydatów na Prezydenta może być jeden urzędnik, a dwaj inni obywatele z powyższych kategoryi w art. 2-m wymienionych.

Kończąc swoje czynności, Członkowie Delegacyi mają zaszczyt wyrazić jeszcze prośbę, aby J. O. książę Namiestnik, co do pozostałych w Cytadeli więźniów łaskawie wyrzec raczył i zarazem dziękują za dozwolone im działanie w tak ważnych krajowych okolicznościach i zapewniają, że nie zaprzestaną całym swym osobistym wpływem działać na współobywateli, aby zachowywali godną i umiarkowaną postawę, jaką dotąd okazywali.

Następnie JW. Jenerała Pauluzzi wyraził na piśmie podziękowanie swe całej Delegacyi.

Delegacya nawzajem czuje się w obowiązku złożenia JW. Jenerała Pauluzzi najżywszego podziękowania za doznaną pomoc i za pośrednictwo pełne ludzkości i umiarkowania, które mu powszechne zjednały uznanie i w końcu wynurza to przekonanie, że wyrazy jej znajdą oddźwięk w całym kraju.

Na tem protokół ukończony, przeczytany i podpisany został.

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU II.

Rozdział V. Pięć ofiar. Stan miasta. Raport urzędowy do cesarza. Aresztowanie Majewskiego. Zjazd delegatów uniwersyteckich. Powstanie tryumwiratu. Antoni Załuskowski w salach redutowych. Komitet Towarzystwa rolniczego. Pierwsze posiedzenie. Mowa Zamoyskiego. Konkluzya komitetu. Towarzystwo pod wpływem Tomasza Potockiego uchwala uwłaszczenie. Wieści o manifestacyi. Jełszyn i Paulucci. Balcer i środki ostrożności. Zebranie się ludu na polach grochowskich. Manifestacya na rynku Starego Miasta. Rada w Zamku i pobicie Trepowa. Wyruszenie procesyi z kościoła OO. Paulinów. Starcie z żandarmami. Pogłoski i rozwinięcie siły wojskowej. Żałoba. Telegram Gorczakowa do cesarza i ogłoszenie Trepowa. Postanowienie tryumwiratu. Inicyatywa mieszczaństwa warszawskiego w sprawie adresu. Wybory w cukierni Kontiego. Dzień 27 Lutego. Nabożeństwo na Lesznie. Instrukcya namiestnika. Pochód procesyi. Zjawienie się jej na placu Zamkowym. Ataki Czernobrowa na tłum pod Bernardynami. Pogrzeb Łempickiego. Złamany krzyż. Wystąpienie piechoty Hartonga. Pojawienie się Zabołockiego. Towarzystwo rolnicze i Narzymski. Zabołocki rusza na wązkie Krakowskie Przedmieście. Strzały. Pięć ofiar i ich nazwiska. Zbieranie trupów przez lud i poszukiwanie dla nich pomieszczenia. Wzburzenie umysłów. Gorczakow wysyła Wiesielickiego i Semekę. Raport Zabołockiego. Deputacya u namiestnika. Wybór i wysłanie delegacyi. Delegaci i Gorczakow. Sześć punktów i usunięcie Trepowa. Redakcya adresu. Usiłowania Wielopolskiego. Podpisywanie adresu. Konstable narodowi. Korespondencya Gorczakowa z Petersburgiem. Oględziny sądowe ciał poległych. Patrole nocne i prowokatorzy. Wręczenie adresu. Popłoch w Zamku. Uroczysty pogrzeb poległych. Odezwy i wiersze. Okólnik o żałobie. Odezwa żydowska. Zakończenie . . . . . Str. 1 do 116

Rozdział VI. Koncesye. Polskie czasy. Cesarz odrzuca adres. Gorczakow myśli o reformach. Juliusz Enoch. Karnicki jedzie do

Petersburga. Proponowanie reformy. Nadzwyczajna rada tajna. Przyznanie koncesyi. Stan miasta. Pertraktacye Delegacyi z Gorczakowem. Zebrania w resursie. Organizacya straży bezpieczeństwa. Posiedzenia Delegacyi. Dziennikarstwo, fotografie, medale, krzyże i kopce pamiątkowe. Nabożeństwo żałobne d. 9 Marca. Składki. Nabożeństwa w kraju i zagranicą. Dwa stronnictwa w Delegacyi. Więźniowie polityczni. Odpowiedź cesarska na adres, i wrażenie, jakie ona wywarła. Zamoyski z podpisami u Gorczakowa. Dymisya Muchanowa z kuratorstwa. Mowa Łaszczyńskiego. Wielopolski w Warszawie i jego warunki. Program żądanych przezeń koncesyi. Wysyłka projektu do Petersburga. Raport ministra sekretarza stanu. Ośmiogodzinna narada ministrów. Ogłoszenie treści koncesyi. Ukaz cesarski. Odezwa namiestnika. Okólnik Gorczakowa do ambasad i misyi rosyjskich. Delegacya w Lublinie. Zamach Nowakowskiego na Delegacyą. Projekt Szlenkiera. Wzburzenie wśród ludu. Okólnik Muchanowa. Instrukcya Towarzystwa rolniczego. Okólnik Myślińskiego. Dymisya Muchanowa i jego wyjazd z Warszawy. Rozwiązanie Delegacyi. Wydział obywatelski. Kocie muzyki. Narada w Zamku. Ogłoszenie koncesyi. Zakończenie Str. 117—252.

Rozdział VII. Margrabia. Krwawe starcie. Wielopolski u władzy i jego przemowa w Komisyi oświecenia. Wrażenie tej mowy. Drobne manifestacye. Święta wielkanocne. Dymisye. Odezwa Wielopolskiego do chłopów i jego domagania się u namiestnika. Podział miasta na cztery okręgi wojenne. Trzecie posiedzenie Wydziału obywatelskiego i jego rozwiązanie. Zaburzenia na prowincyi. Kocie muzyki i Delegacya w Radomiu. Wypadki w Puławach, Kielcach, Kaliszu i innych miastach. Ucieczka Mackiewicza z Lublina i nominacya Boduszyńskiego na gubernatora. Wypadki w gimnazyum Żytomierskiem. Bebutow. Sprawa Międzyrzecka. Mowa Wielopolskiego do duchowieństwa i żydów. Protestacya duchowieństwa. Ks. Dekert. Zniesienie Towarzystwa rolniczego. Oznajmienie Wielopolskiego. Wrażenie dekretu. Początek manifestacyi na Powązkach. Zbiegowisko przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego i przed pałacem Zamoyskiego. Zbiegowisko przed Zamkiem. Gorczakow i lud. Noc z 7-go na 8-my Kwietnia. Nowe prawo o zbiegowiskach. Pogrzeb Stobnickiego. Lud gromadzi się na placu zamkowym. Wystąpienie wojska i Ojrzyński. Atak żandarmów. Żyd Landau. Strzały i Nowakowski. Pięć salw. Straszne sceny. Chrulew i Wielopolski w Zamku. Telegram Gorczakowa do cesarza. Dymisya Wołowskiego. Mowa Wielopolskiego. Wypadki w Płocku. Komunikat Wielopolskiego. Okólnik Giecewicza i Gorczakowa. Zakończenie Str. 253—384.

Rozdział VIII. Śmierć Gorczakowa. Pogląd Wielopolskiego i Gorczakowa na położenie kraju. Organizacya czasowa Rady municypalnej w Warszawie. Projekt organizacyi Rady Stanu. Zamoyski odmawia odczytania go. Margrabia broni Zamoyskiego. Sprawa Modlińska i Wieczorkowski. Akta zejścia poległych d. 8 Kwietnia. Rozkaz dzienny Gorczakowa. Chaos w kołach rewolucyjnych. Tworzenie się dziesiątek. Agaton Giller i jego „Posłanie do wszystkich Polaków“. Program Millenerów. Poroniona akcya Zamoyskiego. Akt konfederacyi. Mężowie zaufania. Nieporządki szkolne. Zamykanie gimnazyów. Sprawa o sztachety. Wielopolski i „Czas“ krakowski. Duchowieństwo i pieśni patryotyczne. Komunikat Wielopolskiego i reskrypt do władz dyecezyalnych. Odpowiedź arcybiskupa i Benjamina. Druga protestacya duchowieństwa. Karanie księży. Manifestacya 3 Maja. Mowa ks. A. Czartoryskiego w Paryżu. Zaburzenia w Łodzi, Częstochowie, Radomiu, Siedlcach, Janowie Ordynackim i Płocku. Litwa i zaburzenia chłopskie na Podolu. Demonstracya w Wilnie d. 20 Maja. Komisya śledcza i wypadki d. 21 i 22 Maja. Prawo o skupie pańszczyzny. Komisarze i instrukcya dla nich. Nowe projekta Wielopolskiego. Choroba Gorczakowa. Kotzebue i jego pismo. Dymisya Paniutyna. Nominacya Merchelewicza i jego odezwa. Wypadki w Boże Ciało. Śmierć Gorczakowa i jego pogrzeb. Zakończenie str. 385—483.

Dokumenta. № I. W sprawie memoryału Enocha . . str. 485—489.

№ II. Memoryał Michała Łempickiego . . str. 489—495.

№ III. Protokóły posiedzeń Delegacyi . . str. 495—518.

Sprostowanie. W tomie I niniejszego dzieła na str. 281 powiedziano, że założycielka „Czytelni niedzielnej“ p. Petrow była Polką. Jest to błąd. Pani Petrow, córka Pogodina, który otrzymał majorat Osiek w Sandomierskiem, była Rosyanką z rodu, co się niniejszem prostuje.

Ważniejsze omyłki druku.

Na str. 15 wiersz 18 od góry zamiast: *Walenski* czytaj: *Walewski.*
„ 17 „ 7 od dołu „ *oporu* „ *sporu.*
„ 40 „ 10 od góry „ *Rentowa* „ *Reutowa.*
„ 47 „ 12 od dołu „ *wzbite* „ *w zbite.*
„ 49 w przyp. wiersz 8 od dołu zam. *porty* czyt. *poczty.*
„ 50 „ „ 2 od góry „ *rękopisie* „ *rękopism.*
„ 58 „ „ 4 od góry „ *prenes-vous* „ *prenez-vous.*
i w następnym wierszu „ *oddre* „ *ordre.*
„ 62 wiersz 12 od góry zamiast: *malcheur* czytaj: *malheur.*
„ 74 „ 10 od dołu przed wyrazem „zupełnej“ przyimek *o* nie jest potrzebny, podobnież i w wierszu następnym przy wyrazie „granicach“.
Na str. 88 w przypisku wiersz 10 zamiast *swawolili* czytaj *swawoliły.*
„ 96 wiersz 6 od dołu zam. *Kołaczkowskiemu* czyt. *Kozaczkowskiemu.*
„ 113 „ 9 „ „ *tagcetlens* „ *tagcetlem.*
„ 122 „ 14 od góry „ *znamionami* „ *zmianami.*
„ 149 w przyp. wiersz 2 zam. *Lüderza* „ *Lüdersa.*
„ 164 „ „ 3 zam. *Załuszewskiego* „ *Załuskowskiego.*
„ 179 „ „ 18 „ *zapowiada* „ *opowiada.*
„ 182 „ „ ost. „ *„La marquis“* „ *„Le marquis“.*
„ 184 wiersz 12 od góry zamiast *Komisyi* czytaj *Komicyi.*
„ 195 „ 13 od dołu „ *pierunem* „ *piorunem.*
„ 207 „ 11 „ „ *Piotrawski* „ *Piotrowski.*
„ 208 „ 11 od góry w wyrazie *Kurtyzany*, wielka litera nie potrzebna.
Na str. 382 w przypisku wiersz 8 od dołu zamiast *de Menave* czytaj *de Mazade.*
Na str. 417 wiersz 6 od dołu zamiast *„Zebrowskich“* czytaj *„Żebrowskich“.*



BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

II
29587/2